

**Jonathan Kellerman**

**Diabelski walc**

*Przekład Piotr Lewiński*

**Szanowni Czytelnicy,**

Pracując jako psycholog kliniczny zetknąłem się z niezwykłym i zastanawiającym schorzeniem psychicznym zwanym zespołem Munchhausena. Ludzie nim dotknięci symulują chorobę kłamiąc na temat objawów, kalecząc się bądź połykając substancje toksyczne. Potrzeba kłamstwa jest tak silna, że pacjenci zgadzają się poddać wielokrotnym hospitalizacjom, inwazyjnym badaniom medycznym, a nawet operacjom chirurgicznym.

Złośliwa odmiana tego schorzenia, zespół Munchhausena per procura, polega na tym, że rodzice wywołują chorobę u własnych dzieci, prowadząc w ten sposób intelektualną grę z lekarzami, pielęgniarkami, z całą służbą zdrowia. Nikt właściwie nie rozumie, jak i dlaczego dochodzi do takich zaburzeń psychicznych. Zespół Munchhausena pozostaje przerażającą zagadką dla medycyny, a dla mnie, jako pisarza i klinicysty, fascynującym polem badań.

W „Diabelskim walcu” Alex Delaware przeżywa swoją być może najbardziej intrygującą i mrozącą krew w żyłach przygodę. Pewna mała dziewczynka ciągle choruje i nikt nie wie dlaczego. Lekarze podejrzewają chorobę Munchhausena per procura, lecz nie mogą tego udowodnić. Dążenie do poznania prawdy staje się obsesją Alexa, a to co odkrywa, daleko wykracza poza prywatne życie dziecka i jego umęczonych rodziców, i rzuca światło na niektóre z ważniejszych problemów stojących dziś przed służbą zdrowia.

Mam nadzieję, że spodoba się Wam ta książka.

Z poważaniem

Jonathan Kellerman

## Rozdział pierwszy

Był to przybytek mitu i strachu, dom cudów i najgorszych porażek.

Spędziłem tam czwartą część swego życia, ucząc się radzić sobie z rytmem, szaleństwem, z nakrochmaloną bielą tego wszystkiego.

Po pięciu latach nieobecności byłem tam obcy, więc gdy wkraczałem do holu, z niepokoju ścisnęło mnie w żołądku.

Szklane drzwi, czarne granitowe posadzki, wysokie, wklęsłe, wyłożone marmurem ściany obwieszające nazwiska zmarłych dobroczyńców.

Pozornie wspaniałe miejsce rozpoczęcia pełnej niepewności podróży, która nie wiadomo gdzie się zakończy.

Grupa wymęczonych podwójnym dyżurem chirurgów-stażystów – Boże, jacyż byli młodzi – wlokła się w tekstylnych pantoflach na papierowej podeszwie. Moje własne buty miały podeszwy ze skóry i głośno stukały na granicie.

Gładkie jak lód posadzki. Zaczynałem właśnie staż, kiedy je ułożono. Przypomniały mi się protesty. Petycje przeciw niestosowności polerowanego kamienia w miejscu, gdzie chodzą i biegają, kuśtykają i jeżdżą na wózkach małe dzieci. Lecz jakiś filantrop uznał, że tak będzie ładnie. W czasach, gdy łatwo było o filantropów.

Tego ranka granitu prawie nie było widać. Hol wypełniał tłum ludzi, przeważnie ciemnoskórych i ubogo odzianych. Stali w kolejkach do oszklonych budek, wyczekując na łaskawą uwagę rejestratorek o kamiennych twarzach. Te unikały patrzenia w oczy, kontemplując nabożnie dokumenty. Nie wyglądało na to, by kolejki posuwały się naprzód.

Dzieci płakały i ssały pierś matek, kobiety pochylały się, mężczyźni patrzyli w podłogę, tłumiąc przekleństwa.

Ludzie wpadali na siebie i rozładowywali napięcie żartami. Niektóre dzieci – te które wyglądały jeszcze jak dzieci – wykręcały się i wyrwały ze zmęczonych ramion dorosłych, by zdobyć cenne sekundy wolności, zanim zostaną pochwycone i przyciągnięte z powrotem. Inne – blade, chude i łyse, o zapadłych policzkach i nienaturalnej karnacji – stały w milczeniu, boleśnie uległe. Słowa w obcych językach rozbrzmiewały ostro na tle monotonnego buczenia głosów operatorek pagerów. Czasem zdawkowy uśmiech czy żart rozjaśniał posępną apatię, by zaraz potem zgasnąć, niczym iskra z wilgotnego krzemienia.

Gdy podszedłem bliżej, poczułem ten zapach.

Spirytus do dezynfekcji, gorzkie mikstury antybiotyków, lepko-dojrzały eliksir życia i cierpienia.

Eau de Hospital. Pewne rzeczy zawsze pozostają takie same. Ale ja się zmieniłem, miałem zimne ręce.

Przecisnąłem się przez tłum. Właśnie dotarłem do wind, gdy mocno zbudowany mężczyzna w granatowym mundurze wynajętego policjanta wyłonił się nie wiadomo skąd, zastępując mi drogę. Miał siwiejące blond włosy ostrzyżone na jeża, okulary w czarnej oprawie na trójkątnej twarzy, wygolonej tak dokładnie, że skóra sprawiała wrażenie, jakby wypolerowano ją wilgotnym piaskiem.

– Czym mogę panu służyć?

– Jestem doktor Delaware. Mam spotkanie z doktor Eves.

– Proszę okazać jakiś dokument.

Zaskoczony wyłowiłem z kieszeni przypinaną plakietkę identyfikacyjną sprzed pięciu lat. Wziął ją

i zlustrował uważnie, jakby stanowiła klucz do jakiejś zagadki. Spojrzał na mnie, następnie znów na czarno-białe zdjęcie zrobione dziesięć lat temu. W ręku miał radiotelefon, przy pasie kaburę z pistoletem.

– Wygląda na to, że zaostrzono środki bezpieczeństwa, odkąd byłem tu po raz ostatni – powiedziałem.

– Ta plakietka jest już nieważna – stwierdził. – Ciągle należy pan do personelu?

– Owszem.

Zmarszczył brwi i schował plakietkę do kieszeni.

– Będą jakieś problemy? – zapytałem.

– Wymagane są nowe plakietki, proszę pana. Jeśli pójdzie pan do ochrony, prosto przez kaplicę, zrobią panu zdjęcie i załatwią wszystko. Dotknął plakietki w swojej klapie. Kolorowa fotografia, dziesięciocyfrowy numer identyfikacyjny.

– Ile to potrwa? – zapytałem.

– To zależy, proszę pana. – Popatrzył ponad moim ramieniem, jakby nagle znudzony.

– Od czego?

– Ilu jest przed panem. Czy pana papiery są w porządku.

– Niech pan posłucha – powiedziałem – już za parę minut mam spotkanie z doktor Eves. Załatwię plakietkę wychodząc stąd.

– Niestety, proszę pana – odparł, patrząc ciągle gdzie indziej. Założył ramiona na piersi. – Przepisy.

– Jakież nowe?

– Listy do personelu medycznego wysłano zeszłego lata.

– Musiałem go przegapić. – Pewnie wyrzuciłem go do śmieci, nie otwierając, jak większość druków szpitalnych.

Nie odpowiedział.

– Naprawdę zależy mi na czasie – podjąłem. – A nie mógłbym przejść z plakietką odwiedzającego?

– Plakietki odwiedzających są dla odwiedzających, proszę pana.

– Odwiedzam doktor Eves.

Przeniósł wzrok na mnie. Znów zmarszczył brwi – z głębszym namysłem. Zlustrował deseń na moim krawacie. Dotknął swojego pasa po stronie kabury z pistoletem.

– Plakietki odwiedzających są tam w rejestracji – powiedział, wskazując zgiętym kciukiem jedną ze zbitych kolejek.

Znów założył ręce.

Uśmiechnąłem się.

– Nie da się tego jakoś obejść, co?

– Nie, proszę pana.

– Prosto przez kaplicę?

– Prosto i w prawo.

– Mieliście jakieś przestępstwa? – zapytałem.

– Ja nie ustalam przepisów, proszę pana. Egzekwuję je tylko.

Odsunął się dopiero po chwili, obserwując z ukosa moje odejście. Skręciłem za róg, na poły spodziewając się, że pójdzie za mną, ale korytarz był cichy i pusty.

Drzwi z napisem SŁUŻBY OCHRONY były dwadzieścia kroków dalej. Na kłamce wisiała wywieszka: WRÓCĘ O. Ruchome wskazówki wydrukowanej ponad napisem tarczy zegara ustawiono na dziewiątej trzydzięci rano. Mój zegarek wskazywał dziewiątą dziesięć. Mimo to zapukałem. Żadnej

odpowiedzi. Obejrzałem się. Żadnego strażnika. Przypomniawszy sobie, że tuż za medycyną nuklearną jest winda dla personelu, ruszyłem dalej korytarzem.

Zamiast medycyny nuklearnej ujrzałem napis MAGAZYNEK. Następne zamknięte drzwi. Winda była na swoim miejscu, ale nie miała klamek. Żeby ją otworzyć, potrzebowałbym klucza. Rozglądałem się za najbliższą klatką schodową, kiedy pojawiło się dwóch sanitariuszy toczących puste łóżko na kółkach. Obaj byli młodzi, wysocy i czarni, z dumą obnosili swoje kanciaste fryzury. Dyskutowali o grze Raidersów. Jeden z nich wyjął klucz, włożył w zamek i przekręcił. Drzwi windy rozsunęły się, ukazując ściany z pikowanym obiciem. Podłoga zaśmiecona była opakowaniami po słodyczach i kawałkami brudnej gazy. Sanitariusze wepchnęli wózek do środka. Wszedłem za nimi.

Pediatrya Ogólna zajmowała wschodnie skrzydło czwartego piętra, od Oddziału Noworodków oddzielały ją drewniane wahadłowe drzwi. Wiedziałem, że poradnię dla pacjentów z miasta otwarto dopiero przed kwadransem, ale mała poczekalnia była już przepełniona. Chorzy pokasływali, kichali, wodzili szklistymi spojrzeniami i kręcili się niecierpliwie. Matczyne ręce ścisnęły mocno dzieci i niemowlęta, dokumenty i połyskujące magicznie plastikiem karty ubezpieczenia Medi-Cal. Na prawo od okienka recepcji znajdowały się dwuskrzydłowe drzwi z poleceniem PACJENCIE NAJPIERW SIĘ ZAREJESTRUJ, poniżej to samo napisano po hiszpańsku.

Przepchnąłem się i poszedłem dalej długim białym korytarzem oblepionym plakatami informującymi o wartościach odżywczych pokarmów i środkach bezpieczeństwa, komunikatami okręgowej służby zdrowia i dwujęzycznymi upomnieniami, by jadać prawidłowo, szczepić się, stronić od alkoholu i narkotyków. Pacjentów przyjmowano w kilkunastu pokojach, stelaże na karty choroby były przepełnione. Spoza zamkniętych drzwi dobiegały kocie wrzaski i pomruki zadowolenia. Po drugiej stronie korytarza znajdowały się kartoteki, magazynki i lodówka z czerwonym krzyżem. Sekretarka wystukiwała coś na klawiaturze komputera. Pielęgniarki krzątały się między magazynkami i pokojami przyjęć. Stażyści rozmawiali przez zawieszane pod brodą przenośne telefony, podążając za dziarsko kroczącymi lekarzami.

W krótszym korytarzyku odchodzącym pod kątem prostym mieściły się gabinety. Otwarte, trzecie z kolei z siedmiu drzwi, prowadziły do pokoju Stephanie Eves.

Pomieszczenie miało dziesięć na dwanaście stóp. Ściany pomalowane na obowiązujący beżowy kolor ożywiały półeczki pełne książek i czasopism, kilka plakatów Miro i jedno zaparowane okno, wychodzące na wschód. Ponad lśniącoymi dachami samochodów, szczyty wzgórz Hollywood zdawały się rozplýwać w smogu i chaosie tablic ogłoszeniowych.

Standardowe szpitalne biurko, z chromu i sztucznego orzecha, przysunięte było do ściany. Solidne, chromowane krzesło z siedzeniem obitym pomarańczową tkaniną walczyło o miejsce z wytartym fotelem o opuszczanym oparciu. Na zniszczonym stoliku pomiędzy nimi umieszczono maszynkę do kawy i cherlawy filodendron w niebieskiej porcelanowej doniczce.

Stephanie siedziała przy biurku, w białym fartuchu nałożonym na sukienkę w kolorach szarym i czerwonego wina, wpisując do formularza liczbę przyjmowanych pacjentów. Sięgający do brody stos kart przesłaniał rękę, którą pisała. Kiedy wszedłem do pokoju, podniosła wzrok, odłożyła długopis, uśmiechnęła się i wstała.

– Alex.

Stała się przystojną kobietą. Jej ciemnobrązowe włosy, niegdyś sięgające ramion, rzadkie i spięte wsuwkami, były teraz krótko przycięte, przyprószone na końcach siwizną i puszyste. Szkła kontaktowe zastąpiły babcine okulary, odsłaniając bursztynowe oczy, na które nie zwróciłem dotąd uwagi. Jej rysy

wydawały się ostrzejsze, bardziej wyraziste. Nigdy nie była tęga, teraz stała się wręcz szczupła. Przekroczyła już połowę trzydziestki i czas nie oszczędził jej; w kącikach oczu pojawiła się siateczka drobnych zmarszczek, a na ustach miała lekki grymas. Makijaż doskonale wszystko to maskował.

– Miło cię widzieć – powiedziała, ujmując moją rękę.

– Miło cię widzieć, Steph.

Objęliśmy się na chwilę.

– Podać ci coś? – Wskazała maszynkę do kawy, pobrzękując poślaczanymi bransoletkami. Na drugiej ręce miała złoty zegarek. Nie nosiła żadnych pierścionków. – Starą dobrą kawę czy prawdziwe cafe au laif. Ten krasnal naprawdę gotuje mleko.

Powiedziałem, że dziękuję i spojrzałem na maszynkę. Mała i pękata, matowo-czarna, z elementami z błyszczącej stali, miała logo niemieckiego producenta. Zbiorniczek był niewielki – na dwie filiżanki. Obok znajdował się mały, miedziany dzbanuszek.

– Ładny, co? – zapytała. – To prezent od przyjaciela. Chciałam, by było tu trochę bardziej szykownie.

Uśmiechnęła się. Szyk był czymś, do czego nigdy przedtem nie przywiązywała znaczenia. Odpowiedziałem uśmiechem i usadowiłem się na fotelu. Na stoliku obok leżała oprawna w skórę książka. Podniosłem ją. Wiersze zebrane Byrona. Zakładka księgarni Browserów – w Los Feliz, tuż za Hollywood. Tłoczonej i pełnej kurzu, prowadzącej głównie poezję. Mnóstwo chlamu i trochę pereł. Chadzałem tam jako stażysta, w czasie przerwy na lunch.

– Pisarz z prawdziwego zdarzenia – powiedziała Stephanie. – Staram się poszerzyć zainteresowania.

Odłożyłem książkę. Stephanie siadła przy biurku, założyła nogę na nogę i patrzyła na mnie, obracając się na krześle. Jasnoszare pończochy i zamszowe pantofle pasowały do jej sukienki.

– Świetnie wyglądasz – powiedziałem.

Znow uśmiech, zdawkowy, lecz radosny, jakby ucieszył ją ten komplement, mimo iż się go spodziewała.

– Ty także, Alex. Dzięki, że zechciałeś przyjść tak szybko.

– Zainteresowałaś mnie.

– Czyżby?

– Pewnie. Wszystkie te napomknienia o zawiłej intrydze.

Obróciła się w stronę biurka, wyciągnęła ze stosu jedną z kart i położyła sobie na kolanach, ale nie otworzyła.

– Tak – rzekła – zastanawiająca sprawa, to pewne.

Wstała nagle, podeszła do drzwi, zamknęła je i wróciła na miejsce.

– No więc – zapytała – jak się czujesz, wróciwszy tu znowu?

– Omal mnie nie zatrzymano po drodze.

Opowiedziałem jej o spotkaniu ze strażnikiem ochrony.

– Faszysta – rzuciła wesoło. Odżyły wspomnienia: komitety protestacyjne, którym przewodniczyła. Białe fartuch wżgardzony dla dzinsów, sandałów i spłowiałych bawełnianych bluzek. Stephanie, nie pani doktor. Tytuły to ekskluzywistyczny wynalazek elity władzy...

– Taa, miał w sobie coś z wojskowego – odrzekłem, ale ona wpatrywała się tylko w leżącą na kolanach kartę.

– Zawiła intryga – podjęła. – Zagadką jest kto-zrobił, jak-zrobił, i czy w-ogóle-ktoś-to-zrobił. Tylko że to nie Agatha Christie, Alex. Całe to zamieszanie dzieje się naprawdę. Nie wiem, czy będziesz w stanie pomóc, ale nie jestem pewna, co mam dalej robić.

Do pokoju przeniknęły głosy z korytarza, wrzaski, napomnienia, kroki biegnącego. Potem gipsowymi ściankami wstrząsnął przeraźliwy krzyk dziecka.

– Toż to istne zoo – powiedziała Stephanie. – Chodźmy stąd.

## Rozdział drugi

Tylne drzwi poradni wychodziły na klatkę schodową. Zeszliśmy na pierwsze piętro podziemi. Stephanie poruszała się szybko, niemal zbiegała po schodach.

W kawiarence było prawie pusto – przy jednym stoliku z pomarańczowym blatem jakiś stażysta czytał kolumnę sportową, dwa inne zajmowały wymęczone pary, które wyglądały, jakby spały w ubraniach. Rodzice spędzający noc w szpitalu. Walczyliśmy o to niegdyś.

Niektóre stoliki zastawione były pustymi tacami i brudnymi naczyniami. Sanitariusz w siatce na włosach krążył niespiesznie po sali napełniając solniczki.

Na wschodniej ścianie znajdowały się drzwi do jadalni dla lekarzy: na lakierowanej okładzinie z drewna tekowego widniała mosiężna tabliczka z misternie wygrawerowanym nazwiskiem. Jakiś filantrop o inklinacjach marynarskich. Stephanie minęła je i poprowadziła mnie do odgrodzonego ścianką stolika w końcu głównej sali.

– Na pewno nie chcesz kawy? – zapytała.

Przypomniawszy sobie szpitalną lurę, odparłem:

– Wyczerpałem już swój limit kofeiny.

– Wiem, co masz na myśli.

Przeczesała ręką włosy. Usiedliśmy.

– Dobra – powiedziała. – Mamy tu dwudziestojednomiesięczną białą dziewczynkę, ciąża donoszona, poród normalny, dziewięć punktów w Skali Ogólnej Oceny Pediatricznej. Jedyne istotne fakty z przeszłości to to, że tuż przed urodzeniem małej jej roczny brat zmarł na Zespół Nagłej Śmierci Noworodków.

– Czy są inne dzieci? – spytałem, wyjmując notatnik i długopis.

– Nie, tylko Cassie. Chowała się świetnie aż do trzeciego miesiąca życia, kiedy to matka wstawszy pewnej nocy, by sprawdzić, jak się czuje, spostrzegła, że nie oddycha.

– Chciała sprawdzić, bo obawiała się nagłej śmierci?

– Dokładnie. Nie mogąc rozbudzić dziecka, intuicyjnie zastosowała sztuczne oddychanie oraz masaż serca, i po pewnym czasie zreanimowała ją. Potem przywieźli dziewczynkę na ostry dyżur. Kiedy przyszedłem ją zbadać, wyglądała dobrze, nie znalazłem nic szczególnego. Przyjęłam ją na obserwację, kazałam zrobić wszystkie rutynowe analizy. Nic. Po wypisaniu zainstalowaliśmy w domu monitor snu z alarmem. W ciągu kilku następnych miesięcy dzwonek odezwał się parę razy, ale były to fałszywe alarmy – dziecko oddychało normalnie. Na wykresach znalazły się miejsca mogące świadczyć o bardzo krótkich okresach bezdechu, ale często zdarzają się także artefakty ruchowe – gdy dziecko rzuca się w czasie snu. Uznałam, że może po prostu była niespokojna – te alarmy nie są niezawodne – i przypisałam cały incydent jakiejś przypadkowej nieregularności. Ale poprosiłam pulmonologów, żeby ją zbadali, bo jej brat zmarł nagle jako niemowlę. Nic nie stwierdzili. Postanowiliśmy więc poddawać ją ściślejszej kontroli w okresie największego zagrożenia śmiercią w kołysce.

– Rok?

Skinęła głową.

– Wolałam być ostrożna – piętnaście miesięcy. Zaczęłam od cotygodniowych kontroli, potem kazałam im przychodzić coraz rzadziej, więc kiedy dziecko miało dziewięć miesięcy, gotowa byłam dać im spokój aż do badania w wieku jednego roku. Dwa dni później znów są na ostrym dyżurze, kłopoty z oddychaniem w środku nocy – dziecko obudziło się z ogromnym kaszlem i głośnym świstem



krtaniowym, ledwie dysząc. Znów sztuczne oddychanie w wykonaniu mamy i przywożą ją tutaj.

– Czy to nie przesada robić sztuczne oddychanie przy obrzęku krtani? Czy dziecko naprawdę zemdlalo?

– Nie, nigdy nie straciła przytomności, tylko z trudem łapała oddech. Matka zareagowała może przesadnie, ale czyż można ją winić, skoro straciła pierwsze dziecko? Gdy dotarłam na ostry dyżur, dziewczynka wyglądała dobrze, żadnej gorączki, żadnych dolegliwości. I nic dziwnego. Chłodne nocne powietrze zmniejszyła obrzęk śluzówki. Zrobiłam rentgen klatki piersiowej, badanie krwi, wszystko w normie. Zapisałam środki zmniejszające przekrwienie, płyny i całą resztę, i gotowa byłam odesłać ich do domu, ale matka poprosiła o przyjęcie do szpitala, przekonana, że to coś poważnego. Ja byłam prawie pewna, że nie, ale ponieważ mieliśmy ostatnio przypadki niepokojących zaburzeń oddechowych, przyjąłem ją i zleciłem codzienne analizy krwi. Wyniki były w normie, za to po kilku dniach klucia mała dostawała hysterii na widok białego fartucha. Wypisałem ją, wróciłem do cotygodniowych kontroli, w czasie których dzieciak nie miał mnie widywać. Gdy tylko wchodzę do pokoju przyjęć, mała zaczyna wrzeszczeć.

– Przyjemna strona pracy lekarza – powiedziałem.

Uśmiechnęła się smutno, spojrzała w stronę obsługujących.

– Zamykają już. Chcesz coś?

– Nie, dziękuję.

– Wybacz, ale nie jadłam jeszcze śniadania.

Podeszła żwawo do metalowych kontuarów i wróciła z filiżanką kawy i połówką grejpfruta na talerzyku. Upiła łyk kawy i skrzywiła się.

– Może trzeba dodać gorącego mleka? – zasugerowałem.

Otarła usta serwetką.

– Nic jej już nie pomoże.

– Przynajmniej nic nie kosztuje.

– Kto to powiedział?

– Co? Nie ma już darmowej kawy dla lekarzy?

– Było minęło, Alex.

– Kolejny dobry obyczaj poszedł w zapomnienie – powiedziałem. – Stara śpiewka budżetowa?

– A cóż innego? Filiżanka kawy czy herbaty kosztuje teraz czterdzieści dziewięć centów. Ciekawe, ile filiżanek potrzeba, żeby wyrównać niedobory finansowe szpitala.

Zjadła trochę grejpfruta. Bawiąc się długopisem powiedziałem: – Pamiętam, jak ostro walczyliście, żeby stażyści i lekarze dostawali darmowe posiłki.

Pokręciła głową.

– Zdziwiający, co wtedy wydawało się ważne.

– Coraz większe problemy z pieniędzmi?

– Niestety tak. – Zmarszczyła brwi, odłożyła łyżeczkę i odsunęła od siebie grejpfruta. – No, ale do rzeczy. Na czym skończyłam?

– Dzieciak wrzeszczy na ciebie.

– Racja. Dobra, więc znów sytuacja zaczyna wyglądać lepiej, robię kontrole coraz rzadziej, kończę je, wreszcie umawiam się na następne spotkanie za dwa miesiące. Trzy dni później znów są na ostrym dyżurze, o drugiej nad ranem. Znów obrzęk krtani. Tylko tym razem matka utrzymuje, że dziecko było nieprzytomne i zrobiło się dosłownie całe sine. Znów sztuczne oddychanie.

– Trzy dni po tym, jak skończyłaś – powtórzyłem notując. – Poprzednio były dwa.

– Ciekawe, co? Dobra, robię badania. Ciśnienie krwi nieznacznie wzrosło, przyspieszony oddech, a przecież dzieciak oddychał powietrzem z dużym dodatkiem tlenu. Choć nie miała duszności, podejrzewałam albo ostrą astmę, albo jakąś reakcję nerwicową.

– Panika wywołana powrotem do szpitala?

– To albo po prostu udzielił jej się niepokój rodziców.

– Czy matka okazywała poważne zaniepokojenie?

– Właściwie nie, ale wiesz jak to jest z matką i dzieckiem – wyczuwają wzajemnie swe nastroje. Z drugiej strony nie mogłam z czystym sumieniem wykluczyć choroby somatycznej. Utratę przytomności u dziecka trzeba traktować poważnie.

– Jasne – przytaknąłem – ale mogły to być tylko przesadne konsekwencje napadu złego humoru. Niektóre dzieci bardzo wcześnie uczą się, jak zemdleć, wstrzymując oddech.

– Wiem, Alex, ale to się zdarzyło w środku nocy, a nie po jakiejś szamotaninie. Więc przyjąłem ją jeszcze raz, poleciłem wykonać testy alergiczne, kompleksowe badania czynnościowe płuc – żadnej astmy. Zaczęłam się też zastanawiać, czy nie jest to coś rzadszego: zaburzenia dyfuzji gazów, jakaś choroba mózgu, czy jakiś defekt enzymatyczny. Są przez tydzień na piątce, istna karuzela, konsultanci wszelkich możliwych specjalności, ciągłe szturchanie i opukiwanie. Biedactwo szaleje, gdy tylko otworzą się drzwi do jej pokoju, nikt nie stawia żadnej diagnozy, a przez cały czas, kiedy jest tutaj, nie ma problemów z oddychaniem. Umacam się w przekonaniu, że to reakcja nerwicowa. Wypisuję małą, a kiedy znowu widzę ją u siebie w gabinecie, nie robię nic, staram się tylko z nią pobawić. Ale ciągle nie chce mieć ze mną do czynienia. Więc ostrożnie poruszam kwestię lęku w rozmowie z matką, ale ona nie chce wierzyć.

– Jak to przyjęła? – zapytałem.

– Żadnego gniewu – to nie w stylu tej pani. – Powiedziała tylko, że nie może sobie tego wyobrazić u tak małego dziecka. Tłumaczyłam, że fobie mogą wystąpić w każdym wieku, ale wyraźnie nie docierało to do niej. Ustąpiłam więc, odesłałam je do domu, dając trochę czasu na przemyślenie moich słów. Miałam nadzieję, że kiedy dziecko skończy pierwszy rok życia i zagrożenie zespołem nagłej śmierci znacznie się zmniejszy, obawy matki ustąpią i Cassie też zacznie się odprężyć. Cztery dni później znów są na ostrym dyżurze, obrzęk, duszność, mama we łzach, błaga o przyjęcie. Umieszczam dzieciaka na oddziale, ale nie zlecam żadnych inwazyjnych badań, tylko obserwację. A dziecko wygląda świetnie, nawet nosem nie pociągnie. W tym momencie biorę mamę na stronę, kładę silniejszy nacisk na aspekt psychologiczny. Ciągle jej to nie przekonuje.

– Rozmawiałaś z nią kiedyś o śmierci pierwszego dziecka?

Potrząsnęła głową.

– Nie, Alex. Myślałam o tym, ale w takiej chwili wydawało się to po prostu niewskazane. Byłoby jej zbyt ciężko. Wydawało mi się, że dobrze ją rozumiem – miałam dyżur, kiedy przywieźli tu pierwsze dziecko, już martwe. Przeprowadziłam oględziny pośmiertne... To ja zaniósłam je do prosektorium, Alex.

Zamknęła oczy, otworzyła je, patrzyła gdzieś w bok.

– Co za piekło – powiedziałem.

– Taak – to czysty przypadek. Byli prywatnymi pacjentami Rity, ale wyjechała z miasta, a ja miałam dyżur. Choć widziałam ich pierwszy raz w życiu, musiałam z nimi porozmawiać po śmierci dziecka. Próbowalam udzielić kilku podstawowych rad, poleciłam parę grup zrzeszających osoby dotknięte stratą bliskich, ale to ich nie interesowało. Kiedy wrócili półtora roku później, chcąc bym zajęła się ich

następnym dzieckiem, byłam zupełnie zaskoczona.

– Dlaczego?

– Prędzej bym się spodziewała, że będą mnie kojarzyli z tą tragedią, jak kogoś, kto przyniósł złe wieści. Skoro tak się nie stało, sądziłam, że załatwiłam to taktownie.

– Jestem tego pewien.

Wzruszyła ramionami.

– Jak Rita zareagowała na to, że przejąłeś jej pacjentów? – zapytałam.

– Jaki miała wybór? Nie pojawiła się, kiedy jej potrzebowali. Borykała się wtedy z własnymi problemami. Jej mąż – wiesz, kto nim był, prawda?

– Otto Kohler.

– Ten słynny dyrygent – tak zawsze o nim mówiła: „Mój mąż, ten słynny dyrygent”.

– Umarł niedawno, prawda?

– Przed paroma miesiącami. Chorował przez pewien czas, miał kilka udarów. Od tej pory Rita jeszcze bardziej się opuszczała i my wszyscy musimy załatwiać zaniedbane przez nią sprawy. Przeważnie bywa na kongresach, gdzie odczytuje swoje stare referaty. Wkrótce przejdzie na emeryturę. Stephanie uśmiechnęła się z zakłopotaniem.

– Pomyślałam, czy nie starać się o jej miejsce, Alex. Wyobrażasz sobie mnie jako ordynatora oddziału?

– Pewnie.

– Naprawdę?

– Pewnie, Steph. Czemu nie?

– Sama nie wiem. To stanowisko wymaga... skłonności dyktatorskich.

– Do pewnego stopnia – powiedziałam. – Ale mam wrażenie, że można tu zastosować różne style kierowania ludźmi.

– No cóż – podjęła. – Nie jestem pewna, czy byłabym dobrym kierownikiem. Tak naprawdę nie lubię mówić ludziom, co mają robić... Tak czy inaczej, dość już o tym. Odbiegam od tematu. Były jeszcze dwa drobne epizody, zanim powróciłam do koncepcji zaburzeń psychosomatycznych.

– Jeszcze dwa – powtórzyłam, spoglądając w notatki. – Czyli w sumie pięć?

– Słusznie.

– Ile miesięcy ma wtedy dziecko?

– Niespełna rok. I jest już weteranem szpitalnym. Jeszcze dwie hospitalizacje i nic nie stwierdzono. W tym momencie posadziłam mamę i stanowczo zaleciłam konsultację psychologiczną. Na co zareagowała... jest, pozwól, że ci zacytuję.

Otworzyła kartę i przeczytała cicho:

– „Zdaję sobie sprawę, doktor Eves, że to, co pani powiedziała brzmi sensownie, ale po prostu wiem, że Cassie jest chora. Gdyby ją tylko pani widziała – jak leży z objawami sinicy”. Koniec cytatu.

– Tak się wyraziła? „Z objawami sinicy?”

– Owszem. Ma wykształcenie medyczne. Uczyla się na rehabilitanta terapii oddechowej.

– I dwoje jej dzieci przestaje oddychać. Ciekawe.

– Tak – uśmiechnęła się z przymusem. – Wtedy nie zdawałam sobie jeszcze sprawy, jak bardzo ciekawe. Tak mnie zafrapowała ta łamigłówka starałam się postawić jakąś diagnozę, martwiłam się, kiedy nastąpi kolejny kryzys i czy będę w stanie mu jakoś zaradzić. Ku memu zaskoczeniu chwilowo nic się nie działo.

Znów spojrzała na kartę.

– Mija miesiąc, dwa, trzy, ich ciągle ani widu, ani słychu. Cieszę się, że z dzieckiem wszystko w porządku, ale zaczynam się też zastanawiać, czy przypadkiem nie znaleźli sobie innego lekarza. Zadzwoiłam więc do domu, pogadałam z mamą. Wszystko świetnie. Wtedy zdałam sobie sprawę, że w całym tym zamieszaniu zapomniano o badaniach kontrolnych po ukończeniu pierwszego roku życia. Wyznaczam termin, wszystko w najlepszym porządku, z wyjątkiem: dziewczynka jest nieco opóźniona jeśli chodzi o rozwój mowy.

– Jak bardzo?

– To nie jest poważne opóźnienie, nic takiego. Po prostu bardzo rzadko się odzywała – prawdę mówiąc, nie słyszałam od niej ani słowa, a matka stwierdziła, że w domu też jest bardzo cicha. Usiłowałam zastosować test Baileya, ale nie mogłam, bo dzieciak nie chciał współdziałać. Szacowałam opóźnienie na jakieś dwa miesiące, ale sam wiesz, że w tym wieku zbyt dokładne oceny nie mają sensu, a biorąc pod uwagę wszystkie stresy, jakich biedactwo doświadczyło, to nic wielkiego. Ale chciałam być za mądra. Matka, usłyszawszy wzmiankę o rozwoju mowy, właśnie tym się zaniepokoiła. Wysłałam je więc do poradni otorynolaryngologicznej i logopedycznej, gdzie uznano, że uszy i krtań są absolutnie normalne i potwierdzono moją opinię o możliwości nieznacznego opóźnienia jako reakcji na stresy spowodowane leczeniem. Podsunęłam matce parę sugestii, jak pobudzić rozwój mowy, i nie słyszałam o nich przez kolejne dwa miesiące.

– Dziecko ma teraz czternaście miesięcy – stwierdziłem zapisując.

– I znów na ostrym dyżurze, cztery dni później. Ale nie ma kłopotów z oddychaniem. Tym razem to wysoka gorączka - 40,5°C. Dziewczynka jest rozpalona, ma przyspieszony oddech. Szczerze mówiąc, byłam nieomal szczęśliwa widząc, że ma gorączkę – nareszcie był jakiś objaw somatyczny do rozpracowania. Ale liczba białych ciałek we krwi okazała się normalna, żadnej infekcji wirusowej czy bakteryjnej. Zleciłam analizy toksykologiczne. Nic. Mimo wszystko testy laboratoryjne nie są doskonałe – nawet u nas wskaźnik błędów wynosi dziesięć do dwudziestu procent. A gorączkę miała naprawdę – sama mierzyłam. Wykapaliśmy dziecko i stosowaliśmy tylenol aż temperatura spadła do 38,8°C. Przyjęliśmy ją z rozpoznaniem: gorączka o nieustalonej etiologii, podaliśmy płyny. Przeszła przez prawdziwe piekło: nakłucie lędźwiowe, by wykluczyć zapalenie opon mózgowych, choć uszy miała czyste, a kark giętki, bo z tego, co wiedzieliśmy musiała piekielnie boleć ją głowa, o czym nie mogła nam powiedzieć. Nadto analiza krwi dwa razy dziennie – dostawała szafu, trzeba ją było przytrzymywać. Mimo to zdołała parę razy wyjąć igłę.

Stephanie wypuściła powietrze z płuc i odsunęła grejpfruta jeszcze dalej. Jej czoło pokryło się potem. Ocierając je serwetką zauważyła: – Pierwszy raz opowiedziałam to w ten sposób od początku.

– Nie mieliście konsylium w tej sprawie?

– Nie, rzadko to już teraz robimy. Z Rity nie ma zasadniczo żadnego pożytku.

– Jak matka reagowała na wszystkie te zabiegi? – zapytałem.

– Trochę łez, ale w zasadzie była opanowana. Zdolna pocieszać dziecko, utulić je, gdy było po wszystkim. Zwracałam uwagę, by nigdy nie musiała uczestniczyć w przytrzymywaniu Cassie – nie naruszyć więzów matka-dziecko. Widzisz Alex, twoje wykłady nie poszły na marne. Oczywiście my wszyscy czuliśmy się jak naziści.

Znów przetarła czoło.

– W każdym razie wyniki analiz krwi były ciągle w normie, ale powstrzymywałam się z wypisaniem aż do momentu, gdy przez cztery kolejne dni dziewczynka nie miała gorączki.

Westchnąwszy, przeczesła palcami włosy i przerzuciła stronice karty choroby.

– Następny skok temperatury: dzieciak ma piętnaście miesięcy, matka utrzymuje, że było 41 °C.

– Niebezpieczne.

– Ja myślę. Lekarz na ostrym dyżurze notuje 40,3°C, kąpie ją i podaje leki, zbijając gorączkę do 38,6°C. A mama informuje o nowych objawach: nudnościach, chlustających wymiotach i bieguncie. I czarnych stolcach.

– Krwotok wewnętrzny?

– Na to wygląda. Wtedy wszyscy ostro wzięli się do roboty. Na pieluszcze, którą dziewczynka miała na sobie były ślady biegunki, ale nie krwi. Matka powiedziała, że zakrwawioną wyrzuciła, ale spróbuje ją odszukać. Badanie wykazało lekkie zaczerwienienie okolicy odbytu i nieznaczne podrażnienie zewnętrznej krawędzi zwieracza odbytu. Ale nie wyczuwało się wzmożonego napięcia jelit – brzusek był zdrowy i miękki, może tylko trochę wrażliwy na dotyk. Ale trudno to ocenić, bo mała wariuje przy każdym badaniu.

– Podrażnienie odbytu – powiedziałam. – Jakies pęknięcia w śluzówce?

– Nie, nie, nic z tych rzeczy. Tylko niewielkie podrażnienie, normalne przy bieguncie. Trzeba było wykluczyć zaparcie i wyrostek. Wezwałam chirurga, Joe Leibowitza – wiesz, jaki jest sumienny. Przebadał ją i stwierdził, że nie ma wskazań do laparotomii, ale powinniśmy przyjąć ją na pewien czas na obserwację. Podłączyliśmy dziecku kroplówkę – świetna zabawa zrobiliśmy pełny zestaw analiz, tym razem liczba białych ciałek była nieco podwyższona. Ale jeszcze w granicach normy, nie pasowało to do 41°C gorączki. Następnego dnia miała 37,7°C. Dzień później 37,3°C i wyglądało na to, że brzusek ją nie boli. Joe powiedział: „zdecydowanie wykluczam wyrostek, wezwijcie gastrologa”. Poprosiłam o konsultację Tony’ego Franksa, brał pod uwagę wczesne objawy zespołu drażliwych jelit, chorobę Crohna, zaburzenia funkcji wątroby. Nic nie stwierdził. Następne testy toksykologiczne, drobiazgowa analiza pokarmów. Znów poprosiłam alergologię i immunologię, żeby sprawdzili, czy nie ma jakiegoś dziwnego uczulenia.

– Czy była karmiona butelką?

– Nie, piersią, ale wtedy jadła już tylko pokarmy stałe. Po tygodniu wyglądała znakomicie. Bogu dzięki, że nie robiliśmy operacji.

– Ma piętnaście miesięcy – stwierdziłem. – Właśnie minął okres największego zagrożenia zespołem nagłej śmierci. Więc układ oddechowy stabilizuje się i zaczynają dokazywać jelita?

Stephanie obrzuciła mnie długim, pytającym spojrzeniem.

– Zaryzykujesz diagnozę?

– Czy to już wszystko?

– Aha! Jeszcze dwa razy miały miejsce zaburzenia żołądkowo-jelitowe. W szesnastym miesiącu – cztery dni po wizycie u Tony’ego w poradni gastrologicznej – i półtora miesiąca później, po ich ostatnim spotkaniu z Franksem.

– Te same objawy?

– Dokładnie. Ale w obu wypadkach matka rzeczywiście przyniosła zakrwawione pieluszki, które przebadaliśmy na wszelkie możliwe zarazki chorobotwórcze – mam na myśli tyfus, cholerę, choroby tropikalne, jakie nigdy nie występowały na tym kontynencie. Różne toksyny środowiskowe ołów, metale ciężkie, sam wiesz. Ale wszystko, co znaleźliśmy, to odrobina zdrowej krwi.

– Czy rodzice mają pracę, która mogłaby wystawić dziecko na działanie jakichś niezwykłych zanieczyszczeń?

– Właściwie nie. Ona jest pełnoetatową mamą, a on profesorem college'u.

– Biologia?

– Socjologia. Ale nim przejdziemy do opisu rodziny, jest jeszcze jedno. Kryzys innego rodzaju. Sześć tygodni temu. Żegnajcie jelita, witaj nowy układzie. Chcesz zgadnąć, o który chodziło?

Zastanowiłem się przez chwilę.

– Nerwowo?

– Bingo. – Wyciągnąwszy rękę dotknęła mego ramienia. – Czuję, że dobrze zrobiłam, prosząc cię o pomoc.

– Napady padaczki?

– W środku nocy. Grand mai, według rodziców, łącznie z pianą na ustach. EEG nie wykazało żadnych nieprawidłowości, wszystkie odruchy dziecka w porządku, ale zrobiliśmy jej tomografię komputerową, jeszcze jedną punkcję lędźwiową i wszystkie te supernowoczesne neuroradiologiczne wideo-gry, na wypadek, gdyby miała guza mózgu. Alex, to mnie naprawdę przstraszyło, po przemyśleniu zdałam sobie sprawę, że guz mózgu mógł być przyczyną wszystkiego, co się dotąd działo, od samego początku. Wzrastając atakowałby kolejno różne ośrodki, powodując rozmaite objawy.

Pokręciła głową.

– Czy to nie byłaby rozkoszna sytuacja? Ja paplam o zaburzeniach psychosomatycznych, a u niej rozwija się astrocytoma albo coś podobnego? Bogu dzięki żadne zdjęcia nic nie wykazały.

– Czy kiedy zobaczyłaś ją na ostrym dyżurze, wyglądała jakby niedawno miała napad padaczkowy?

– Była rzeczywiście senna i apatyczna, ale przyczyną mogło być to, że wyciągnięto dzieciaka z łóżka w środku nocy i przepuszczono przez szpitalną wyżymaczkę. A jednak przstraszyłam się – że przeoczyłam jakieś schorzenie somatyczne. Poprosiłam neurologię o dalszą obserwację. Robili to przez miesiąc, nic nie znaleźli, skończyli. Dwa tygodnie później – dwa dni temu kolejny atak konwulsji. I naprawdę potrzebna mi jest twoja pomoc, Alex. Są teraz na górze, na piątce zachodniej. Oto i cały kram, wiesz już wszystko. Gotów jesteś teraz nieco mnie oświecić?

Przejrzałem uważnie notatki.

Powracające, niewyjaśnione dolegliwości. Wielokrotne hospitalizacje.

Zaatakowane kolejno różne układy.

Brak zgodności objawów i wyników analiz laboratoryjnych.

Dziewczynka reagująca paniką na próby dotknięcia czy wykonania zabiegów.

Matka z pewnym przygotowaniem medycznym.

Sympatyczna.

Sympatyczna matka, która może być po prostu potworem. Scenarzystą, choreografem i reżyserem makabrycznego przedstawienia, w którym własnemu, nieświadomemu tego dziecku, przydzieliła rolę gwiazdy.

Niezwykła diagnoza, ale fakty pasują. Jeszcze dwadzieścia lat temu nikt o tym nie słyszał.

– Zespół Munchausena per procura – orzekłem, odkładając notatki. Wygląda na podręcznikowy przypadek.

Stephanie zmrużyła oczy.

– Tak, istotnie. Kiedy słyszysz to wszystko połączone w jedną całość. Ale będąc w centrum wydarzeń... nawet teraz nie mam pewności.

– Ciągłe podejrzewasz przyczyny somatyczne?

– Muszę, póki nie udowodnię, że jest inaczej. Był już taki przypadek w zeszłym roku, w County.

Dwadzieścia pięć kolejnych przyjęć do szpitala z nawrotami dziwnych infekcji w ciągu sześciu miesięcy. Też dziewczynka; troskliwa matka, wyglądająca zbyt spokojnie, by nie zaniepokoiło to personelu. Z tamtym dzieckiem było naprawdę coraz gorzej, już mieli zawiadomić władze, gdy okazało się, że jest to rzadka postać braku odporności – trzy udokumentowane przypadki w literaturze, specjalne testy, które trzeba robić w Narodowym Instytucie Zdrowia. Gdy tylko o tym usłyszałam, kazałam przebadać na to Cassie. Wynik negatywny. Co nie wyklucza istnienia jakiegoś innego czynnika, którego nie byłam zdolna wychwycić. Ciągłe pojawiają się nowe materiały – ledwo nadążam z czytaniem czasopism.

Zamieszała kawę łyżeczką.

– A może po prostu odsuwam to od siebie – by nie mieć wyrzutów sumienia, że nie dostrzegłam wcześniej Munchhausena. Właśnie dlatego poprosiłam cię o pomoc – muszę obrać jakiś kierunek, Alex. Powiedz mi, co z tym dalej robić.

Zastanowiłem się przez chwilę.

Zespół Munchhausena.

Znany też jako pseudologia fantastica.

Także jako zespół nieistniejącej choroby.

Wyjątkowo groteskowa forma patologicznej potrzeby kłamstwa, nazwana tak od nazwiska barona von Munchhausena, blagiera światowej klasy.

Zespół Munchhausena to hipochondria doprowadzona do absurdu. Pacjenci symulują choroby, kalecząc się i zatruwając, czasem po prostu kłamiąc. Prowadzą grę z lekarzami i pielęgniarkami – z całą służbą zdrowia.

Dorosłym pacjentom z zespołem Munchhausena uda się doprowadzić do tego, że są nieustannie przyjmowani do szpitala, bez potrzeby faszzerowani lekami, a nawet poddawani laparotomii na stole operacyjnym.

Żaloszny, wprawiający w zakłopotanie masochizm – zboczenie, które wciąż wymyka się ludzkiemu pojmowaniu.

Ale odmiana, którą rozważaliśmy nie zasługiwała na litość. Był to wariant złośliwy:

Munchhausen per procura.

Są rodzice – niezmiennie matki – wywołujący choroby u swojego potomstwa. Posługują się własnymi dziećmi – przeważnie córkami – niby tyglami do przyrządzania obrzydliwej mikstury kłamstw, cierpienia i chorób.

– Tak wiele z tego pasuje, Steph – powiedziałem. – Od samego początku. Bezdech i omdlenia mogły być spowodowane duszeniem – te artefakty ruchowe na monitorze mogły świadczyć o tym, że dziewczynka wrywała się.

Stephanie wzdrygnęła się.

– O Boże, tak. Właśnie trochę o tym czytałam. Był taki przypadek w Anglii, dzięki artefaktom ruchowym zorientowali się, że dziecko było duszone.

– Co więcej, ponieważ matka jest rehabilitantką terapii oddechowych, układ oddechowy mógł być pierwszym, który wybrałaby w nim namieszać. A co z kłopotami jelitowymi? Jakies zatrucie?

– Najprawdopodobniej, ale musiało to być coś, czego nie wykazały badania toksykologiczne.

– Może zastosowała środek o krótkim działaniu?

– Albo obojętny środek drażniący, który pobudził mechanicznie jelita, ale nie pozostawił śladów chemicznych.

– A napady padaczkowe?

– To samo, jak sądzę. Nie wiem, Alex. Naprawdę nie wiem. – Znow ścisnęła mnie za ramię. – Nie mam żadnych dowodów, a jeżeli się mylę, to co? Potrzebuję cię, byś spojrział na to obiektywnie. Zaufaj trochę matce Cassie. Może źle ją osądzam. Postaraj się ją zrozumieć.

– Nie mogę obiecać cudów, Steph.

– Wiem. Ale wszystko, co będziesz mógł zrobić, okaże się pomocne. Ta sprawa może się zakończyć naprawdę paskudnie.

– Powiedziałaś matce, że będę konsultantem?

Skinęła głową.

– Czy jest teraz bardziej skłonna zasięgnąć porady psychologa?

– Tego nie powiedziałabym, ale zgodziła się. Myślę, że przekonałam ją, odwołując sugestię, iż to stres wywołał dolegliwości Cassie. Jak dla niej, wierzę w to, że ataki konwulsji są bona fide somatyczne. Położyłam nacisk na potrzebę wspomnienia Cassie w przewyciężaniu szoku związanego z hospitalizacją. Wyjaśniłam, że przy epilepsji możemy spodziewać się wielokrotnych powrotów dziewczynki do szpitala, więc musimy pomóc jej dawać sobie z tym radę. Powiedziałam, że jesteś specjalistą od urazów medycznych, będziesz w stanie zastosować hipnozę, by rozluźnić Cassie w trakcie zabiegów.

Skinąłem głową.

– Przy okazji – ciągnęła – będziesz mógł poobserwować matkę. Sprawdzić, czy to psychopatka.

– Jeśli to jest Munchhausen per procura, możemy nie mieć do czynienia z psychopatką.

– Więc z kim? Cóż za pomylenie robi takie rzeczy własnemu dziecku?

– Tego nikt naprawdę nie wie – odparłem. – Dość dawno nie zaglądałem do literatury, ale najtrafniejszym wyjaśnieniem wydawała się hipoteza, że to rodzaj złożonych zaburzeń osobowości. Cały problem w tym, że udokumentowanych przypadków jest bardzo mało i brak dostatecznej ilości danych.

– Ciągle nic się nie zmieniło, Alex. Przejrzałam materiały na wydziale medycznym, znalazłam bardzo niewiele.

– Chciałbym zobaczyć te artykuły.

– Przeczytałam je na miejscu, nie pożyczałam – powiedziała. – Ale sądzę, że mam gdzieś jeszcze dane bibliograficzne. I chyba pamiętam coś o tej pomieszanej osobowości – cokolwiek to znaczy.

– Znaczy to, że nic nie wiemy, więc klecimy kulawą teorię. Problem polega po części na tym, że psychologowie i psychiatrzy opierają się na informacjach otrzymanych od pacjenta. A przeprowadzać wywiad z chorym na Munchhausena, to tyle, co wierzyć nałogowemu kłamcy. Ale historie, które opowiadają, gdy się już ich zdemaskuje, wydają się dość przekonujące: poważne schorzenia czy urazy we wczesnej młodości, rodziny, w których przesadną uwagę zwracano na kwestie zdrowia i choroby, maltretowanie dzieci, czasem kazirodztwo. Co prowadzi do niskiej samooceny, trudności w nawiązywaniu kontaktów z innymi ludźmi i nienormalnej potrzeby zwracania na siebie uwagi. Choroba staje się polem, na którym zaspokajają tę potrzebę – to dlatego tak wielu z nich obiera zawody związane ze służbą zdrowia. Ale większość ludzi z podobnymi życiorysami nie wykazuje objawów zespołu Munchhausena. Co więcej ci, którzy znęcają się nad sobą, i ci którzy dręczą swoje potomstwo miewali podobne przeżycia w dzieciństwie. Wysunięto nawet sugestię, że rodzice z Munchhausenem per procura zaczynają najpierw dręczyć siebie, i dopiero później przestawiają się na męczenie własnych dzieci. Ale kiedy i dlaczego tak się dzieje, tego nikt nie wie.

– Niesamowite – powiedziała, kręcąc głową. – To jest niczym taniec. Mam wrażenie, że wiruję, tańcząc z nią walca, ale to ona prowadzi.



– Diabelski walc – powiedziałem.

Wzdrygnęła się.

– Alex, wiem, że to nie są nauki ścisłe, ale gdyby udało ci się rozgryźć tę sprawę, powiedz mi, jeśli uznasz, że ona to robi...

– Jasne. Ale ciekaw jestem, czemu nie poprosiłaś o pomoc kogoś z psychiatrii.

– Nigdy nie lubiłam ludzi z psychiatrii – odparła. – Za bardzo hołdują freudyzmowi. Hardesty chciał kłaść każdego na leżance. Tak czy inaczej, to bezprzedmiotowa dyskusja. Nie ma już psychiatrii.

– Co chcesz przez to powiedzieć?

– Wywalili ich wszystkich.

– Cały oddział? Kiedy?

– Przed paroma miesiącami. Nie czytujesz biuletynu szpitalnego?

– Nie za często.

– To widać. No cóż, zlikwidowano psychiatrię. Zerwano kontrakt hrabstwa z Hardestym, a że nigdy nie zabiegał o dotacje, nie miał poparcia finansowego. Rada postanowiła, że nie będą pokrywać kosztów.

– A co z etatem Hardesty’ego? A inni – czy Greiler i Pantissa nie byli także na etatach?

– Prawdopodobnie. Ale etat, jak się okazuje, daje uczelnia, a nie szpital. Więc dalej mają swoje tytuły. Pensje to już całkiem inna historia. Spora niespodzianka dla tych z nas, którzy sądzili, że mamy bezpieczne posady. Co prawda nikt nie walczył o Hardesty’ego. Wszyscy uważali, że on i jego ludzie to zbędny balast.

– Nie ma już psychiatrii – powiedziałem. – Nie ma darmowej kawy. Czego jeszcze?

– Och, wielu rzeczy. Czy to, że zlikwidowano psychiatrię ma dla ciebie jakieś znaczenie – chodzi mi o twoje uprawnienia zawodowe?

– Nie, mam umowę z pediatrią. A praktycznie z onkologią, choć już od lat nie widziałem pacjenta z rakiem.

– To dobrze – powiedziała. – Nie będzie więc żadnych scysji proceduralnych. Jeszcze jakieś pytania, zanim pójdziemy na górę?

– Tylko kilka spostrzeżeń. Jeżeli to jest Munchhausen per procura, należy się pospieszyć – zwykle dochodzi do eskalacji działań. Czasem dzieci umierają, Steph.

– Wiem – powiedziała żałośnie, przyciskając palcami skronie. – Wiem, że może będę musiała porozmawiać o tym wprost z matką. Dlatego muszę mieć pewność.

– Druga sprawa to ich pierwsze dziecko – chłopak. Przyjmuję, że bierzesz pod uwagę możliwość morderstwa.

– O Boże, tak. To mnie naprawdę gryzie. Kiedy zaczęłam precyzować podejrzenia co do matki, wyciągnęłam jego kartę choroby i przejrzałam bardzo uważnie. Ale nie znalazłam nic niezwykłego. Bieżące oceny Rity były dobre – zanim umarł, cieszył się doskonałym zdrowiem, a wyniki autopsji nie rozstrzygały, jak się to często zdarza. Teraz mam tu żywą, oddychającą dziewczynkę i nie potrafię nic zrobić, żeby jej pomóc.

– Wydaje się, że robisz wszystko, co możesz.

– Staram się, ale to jest tak cholernie frustrujące.

– A co z ojcem – zapytałem. Nie mówiliśmy o nim.

– Tak naprawdę niewiele mogę o nim powiedzieć. Dzieckiem opiekuje się głównie matka i to z nią miałam przeważnie do czynienia. Kiedy już zaczęłam podejrzewać Munchhausena per procura, uznałam, że to na niej powinnam się skoncentrować, bo zawsze chodzi o matki, prawda?

– Owszem – odparłem. – Ale w pewnych wypadkach ojciec staje się biernym współnikiem. Czy coś wskazuje na to, że on ma jakieś podejrzenia?

– Nawet jeżeli tak, nic mi o tym nie powiedział. Nie wydaje się specjalnie bierny – jest dość sympatyczny. Ona też, skoro o tym mowa. Oboje są sympatyczni, Alex. Między innymi dlatego to wszystko jest takie trudne.

– Klasyczny scenariusz munchhausenowski. Pielęgniarki zapewne ich uwielbiają.

Skinęła głowę.

– A dlaczego jeszcze?

– Co?

– Jaka jest inna przyczyna, która sprawia, że jest to takie trudne? Steph zamknęła oczy i długo nie odpowiadała, masując powieki.

– Inna przyczyna – podjęła – i może zabrzmie to strasznie cynicznie, wiąże się z tym, kim oni są. Pod względem społecznym. Politycznym. Pełne nazwisko dziecka brzmi Cassie Bfooks Jones – zapaliło ci się jakieś światełko?

– Nie – odrzekłem. – Jones nie jest nazwiskiem specjalnie oryginalnym.

– Jones, jak Charles L. Junior. Gruba ryba finansjery? Osoba kontrolująca finanse szpitala?

– Nie znam go.

– No właśnie – nie czytujesz biuletynów. No więc, od ośmiu miesięcy jest też prezesem rady nadzorczej. Było wielkie wietrzenie.

– Budżet?

– A cóżby innego. W każdym razie, oto genealogia: jedyny syn Charlesa Juniora to Charles Trzeci – niczym w rodzie królewskim. Znany jako Chip – to ojciec Cassie. Mama to Cindy. Zmarły syn nazywał się Chad – Charles Czwarty.

– Sami C – powiedziałem. – Wygląda na to, że lubią porządek.

– Może. Najważniejsze że Cassie to jedyna wnuczka Charlesa Juniora. Alex, czyż to nie cudowne? Mam tu potencjalnego Munchhausena per procura, który w każdej chwili może wyjść na jaw z wielkim hukiem, a pacjentka jest jedyną wnuczką gościa, który odebrał nam darmową kawę.

## Rozdział trzeci

Wstaliśmy od stołu.

– Pójdziemy schodami, dobrze – poprosiła Stephanie.

– Poranny aerobik? Jasne.

– Dobijasz do trzydziestu pięciu lat – powiedziała, przyglądając sukienkę i zapinając biały fartuch – i stary dobry metabolizm diabli biorą. Trzeba się nieźle napracować, żeby nie przytyć. A przy tym windy ciągle jeżdżą jak po środkach uspokajających.

Szliśmy w stronę głównego wyjścia z kawiarenki. Stoliki były teraz zupełnie puste. Pracownik obsługi w brązowym uniformie przecierał na mokro podłogę, więc musieliśmy stąpać niesłychanie ostrożnie, by zachować równowagę.

– W windzie, którą jechałem do twego gabinetu założono zamek powiedziałem. – Po co te wszystkie środki ostrożności?

– Wedle wersji oficjalnej chodzi o zapobieganie przestępstwom – odparła. – Odgrodzenie się od zamętu, jaki panuje na ulicy. I do pewnego stopnia jest to uzasadnione – ostatnio było trochę więcej problemów, głównie w czasie nocnych dyżurów. Ale czy pamiętasz czasy, kiedy East Hollywood było bezpieczne po zmroku?

Doszliśmy do wyjścia. Inny pracownik obsługi zamykał właśnie drzwi, a kiedy nas dostrzegł, otworzył je, patrząc na nas znużonym wzrokiem.

– Skrócone godziny pracy – jeszcze jedno cięcie w budżecie – skomentowała Stephanie.

Na korytarzu panowało istne szaleństwo. Lekarze pędzili w hałaśliwych grupkach, słychać było urywki ich ożywionych rozmów. Rodziny włóczyły się tu i tam, wożąc nie większych od lalek szpitalnych weteranów na przepisane przez naukę męki.

Milczący tłum zgromadził się przy drzwiach, niczym zbita masa, czekając na którąś z trzech wind, jakie zatrzymały się jednocześnie na trzecim piętrze. Czekając, zawsze czekając...

Stephanie lawirowała zręcznie, pozdrawiając znajomych skinieniem głowy, ale nie zatrzymując się. Podążyłem tuż za nią, unikając kolizji ze statywami kroplówek.

Kiedy weszliśmy na schody do podziemi, zapytałem:

– Jakie mieliście tu przestępstwa?

– Te co zwykle, tylko więcej – odparła, wchodząc po stopniach. Włamania do samochodów, wandalizm, wyrywanie torebek. Czasem rabunek na Sunset. A przed kilkoma miesiącami było parę napaści na pielęgniarki na parkingu po drugiej stronie ulicy.

– Napaści seksualnych? – zapytałem, przeskakując po dwa schodki, by dotrzeć jej kroku.

– Nigdy tego nie wyjaśniono. Żadna z nich nie wróciłaby o tym rozmawiać. Pracowały dorywczo na nocnych dyżurach, nie należały do stałego personelu. Słyszałam tylko, że pobito je dość dotkliwie i zabrano torebki. Policja przysłała oficera do spraw kontaktów ze społecznością lokalną, który wygłosił typowy wykład o osobistym bezpieczeństwie i przyznał, że w gruncie rzeczy niewiele można zrobić, żeby zlikwidować zagrożenie, o ile nie zmieni się szpitala w obóz warowny. Kobiety z personelu podniosły wielki krzyk i administracja przyrzekła częstsze patrole ochrony.

– Dotrzymali słowa?

– Raczej tak. Częściej widać mundury na parkingach, od tamtej pory napaści nie powtórzyły się. Ale ta opieka pociągnęła za sobą całą masę skutków ubocznych, o które nikt nie prosił. Strażnicy na terenie szpitala, nowe plakietki, częste scysje, jak ta, którą miałeś przy wejściu. Osobiście uważam, że poszliśmy

tylko na rękę administracji – dając im pretekst do sprawowania ściślejszej kontroli. A skoro przechwycili władzę, nigdy się jej nie wyrzekną.

– Zemsta trójkowych studentów?

Zatrzymała się i spojrzała na mnie przez ramię, uśmiechając się nieśmiało.

– Pamiętasz to?

– Bardzo dokładnie.

– Byłam wtedy dość pyskata, co?

– Młodzieńczy zapał – powiedziałem. – Należało im się – za to, że traktowali cię lekceważąco, mówiąc przy ludziach ta „doktor Mądrała”.

– Tak, to była jednak zgraja bezczelnych typów, prawda? – Stephanie ruszyła dalej, ale już wolniej. – Godziny pracy jak w banku, zakrapiane lunche, przesiadywanie na pogawędkach w kafejce i wysyłanie nam okólników wzywających do zwiększenia efektywności pracy i ograniczenia wydatków.

Parę kroków dalej znów się zatrzymała.

– Trójkowi studenci – trudno mi uwierzyć, że rzeczywiście to powiedziałam. – Policzki jej płonęły. – Byłam jednak okropna, prawda?

– Natchniona, Steph.

– Raczej napalona. To były szalone czasy, Alex. Zupełnie szalone.

– Pewnie, że tak – odrzekłem. – Ale nie lekceważ tego, co osiągnęliśmy: równe płace dla żeńskiego personelu, noclegi dla rodziców, pokoje zabaw dla dzieci.

– Nie zapominajmy też o darmowej kawie dla pracowników szpitala.

Parę kroków dalej odezwała się znowu:

– Mimo to nasz upór dotyczył chyba czasem niewłaściwych spraw. Skupialiśmy się na osobach, a problem tkwił w systemie. Jedna klika trójkowych studentów odchodzi, przychodzi inna, a dawne kwestie pozostają nierozwiązane. Czasem się zastanawiam, czy nie za długo pracuję w tym miejscu. Spójrz na siebie – nie było cię tu przez tyle lat, a wyglądasz lepiej niż kiedykolwiek.

– Ty także – odparłem, przypomniawszy sobie, że niedawno mówiła o swoich planach związanych ze stanowiskiem ordynatora oddziału.

– Ja? – Uśmiechnęła się. – No cóż, to uprzejmie z twojej strony, ale w moim przypadku przyczyną nie jest spełnienie marzeń. To tylko uporządkowany tryb życia.

Na piątym piętrze przebywały dzieci w wieku od roku do jedenastu lat, nad którymi opieka nie wymagała skomplikowanej aparatury medycznej. Setka łóżek Oddziału Wschodniego zajmowała dwie trzecie powierzchni.

Na pozostałej części, po stronie zachodniej, urządzono prywatną jednostkę na dwadzieścia łóżek. Między tą częścią, a oddziałem znajdowały się drzwi z drzewa tekowego z mosiężną tabliczką JEDNOSTKA WYDZIELONA HANNAH CHAPPELL.

Chappy Ward. Niedostępny dla praktykantów i tłumu zwykłych śmiertelników, utrzymywany z darowizn, prywatnych ubezpieczeń i opłat pacjentów; nie uświadczy się tam formularza Medi-Cal.

Prywatny charakter tego miejsca można było poznać dzięki muzyce płynącej z ukrytych pod sufitem głośników, dywanom na podłogach w miejsce linoleum, pokojom jednoosobowym zamiast ogólnych sal, telewizorom, choć przestarzałym, czarno-białym, lecz włączonym niemal przez cały czas.

Tego ranka prawie wszystkie z dwudziestu pokoi były puste. Trzy wyraźnie znudzone dyplomowane pielęgniarki stały za pulpitem w dyżurce. Parę stóp dalej rejestratorka piłowała paznokcie.

– Dzień dobry, doktor Eves – rzekła jedna z pielęgniarek, zwracając się do Stephanie, ale patrząc na

mnie i to niezbyt przyjaźnie. Ciekawe dlaczego, pomyślałem, ale uśmiechnąłem się do niej. Odwróciła się. Przekroczyła już chyba pięćdziesiątkę, była niska, przysadzista, miała brzydką cerę, wydłużony podbródek, i polakierowane blond włosy. Nosiała szaroniebieski uniform z białymi lamówkami, a na sztywnej fryzurze wykrochmalony czepek, jakiego już tak dawno nie widziałem.

Dwie pozostałe pielęgniarki, dwudziestoparoletnie Filipinki, spojrzały na siebie i wycofały się jak na dany sygnał.

– Dzień dobry, Vicki – odpowiedziała Stephanie. – Jak się miewa nasza dziewczynka?

– Jak dotąd dobrze. – Blondynka wyjęła kartę choroby z przegródki oznaczonej numerem 505 W i wręczyła ją Stephanie. Paznokcie miała krótkie i poogryzane. Znowu utkwiła we mnie spojrzenie. Mój urok osobisty ciągle nie robił na niej wrażenia.

– To jest doktor Alex Delaware – przedstawiła mnie Stephanie, przeglądając kartę. – Nasz psycholog-konsultant. Doktorze Delaware, Vicki Bottomley, pielęgniarka opiekująca się Cassie.

– Cindy wspominała, że będzie nas pan odwiedzał – powiedziała pielęgniarka tonem, jakim przekazuje się złe nowiny. Stephanie ciągle czytała.

– Miło cię poznać – powiedziałem.

– Miło pana poznać. – Wyzywający ton jej posępnego głosu sprawił, że Stephanie podniosła wzrok.

– Wszystko w porządku, Vicki?

– Ekstra – odparła pielęgniarka, błysnąwszy uśmiechem wesołym jak klepnięcie po twarzy. – Wszystko świetnie. Wtrząchnęła prawie całe śniadanie, płyny i leki doustne...

– Jakie leki?

– Tylko tylenol. Godzinę temu. Cindy mówiła, że boli ją głowa...

– Tylenol I?

– Tak jest, pani doktor, ten dla dzieci, w płynie, jedną łyżeczkę – wszystko tam jest. – Wskazała kartę.

– Tak, widzę – powiedziała Stephanie czytając. – No cóż, Vicki, niech będzie, ale następnym razem żadnych leków – nawet tych bez recepty – o ile nie wyrażę zgody. Wszystko, co dostaje to dziecko, oprócz jedzenia i napojów, musi być przez mnie zaakceptowane. Jasne?

– Jasne – odparła Bottomley, znowu się uśmiechając. – W porządku. Myślałam tylko...

– Nic się nie stało, Vicki – potwierdziła Stephanie, poklepując ją po ramieniu. – Na pewno zgodziłabym się na tylenol. Po prostu biorąc pod uwagę historię choroby, musimy być wyjątkowo ostrożni, żeby wyeliminować negatywne reakcje na leki.

– Tak, pani doktor. Coś jeszcze?

Stephanie zajrzała znowu do karty, potem zamknęła ją i oddała z powrotem.

– Nie, na razie, chyba że masz coś do dodania. Bottomley potrząsnęła głową.

– Więc dobrze. Zaraz tam pójde przedstawić doktora Delaware. Chcesz jeszcze powiedzieć coś na temat Cassie?

Bottomley wyjęła z włosów spinkę i wsunęła ją z powrotem, przytwierdzając do czepka blond pasemka. Jej szeroko rozstawione oczy o długich rzęsach jaśniały łagodnym, pięknym błękitem, kontrastując z brzydką cerą i napięciem malującym się na twarzy.

– Na przykład co? – zapytała.

– Cokolwiek, Vicki, co doktor Delaware powinien wiedzieć, by pomóc Cassie i jej rodzicom.

Bottomley patrzyła przez chwilę na Stephanie, potem odwróciła się, wlepiając we mnie wzrok.

– Wszystko jest z nimi w porządku. To całkiem normalni ludzie.

- Słyszałem, że Cassie reaguje bardzo niespokojnie na zabiegi medyczne – powiedziałem.  
Bottomley wzięła się pod boki.
- A pan by nie reagował, gdyby kluto pana tyle co ją?
- Vicki... – upomniała ją Stephanie.
- Pewnie – odparłem uśmiechając się. – To najzupełniej naturalne zachowanie, ale czasem całkiem normalny niepokój można złagodzić dzięki terapii behawioralnej.  
Bottomley odpowiedziała skąpym uśmiechem.
- Być może. Powodzenia.
- Stephanie już chciała się odezwać.
- Może byśmy poszli? – zaproponowałem, dotykając jej ramienia.
- Jasne. – Zwróciła się do Bottomley: – Pamiętaj, nic doustnie, poza jedzeniem i piciem.  
Uśmiech znów wypłynął na twarz pielęgniarki.
- Tak, pani doktor. A teraz, jeżeli to już wszystko, chciałabym wyjść na parę minut.  
Stephanie spojrzała na zegarek.
- Przerwa?
- Nie. Chciałam tylko zejść do sklepu z upominkami i kupić Cassie maskotkę – zna pani te pluszowe króliczki z telewizyjnych filmów rysunkowych? Mała szaleje za nimi. Sądzę, że w towarzystwie lekarzy nic jej się nie stanie przez parę minut.
- Stephanie spojrzała na mnie. Bottomley podążyła za jej wzrokiem z widocznym zadowoleniem. Raz jeszcze uśmiechnęła się zdawkowo i odeszła. Szła szybkim krokiem, kiwając się na boki jak kaczka. Nakrochmalony czepek płynął korytarzem niczym latawiec niesiony wiatrem.
- Stephanie ujęła mnie za ramię i wyprowadziła z dyżurki.
- Przepraszam, Alex. Nigdy dotąd taka nie była.
- Czy przedtem też opiekowała się Cassie?
- Kilka razy, niemal od początku. Stosunki między nią a Cindy układają się dobrze, a Cassie też zdaje się ją lubić. Kiedy mała tu wraca, proszą o nią.
- Chyba stała się dosyć zaborcza.
- Łatwo się angażuje, ale zawsze uważałam to za zaletę. Rodziny ją uwielbiają – to jedna z najbardziej oddanych pielęgniarek, z jakimi pracowałam. Przy dzisiejszym morale trudno o taką postawę.
- Czy jej zaangażowanie obejmuje także wizyty domowe?
- O ile mi wiadomo, nie. Tylko ja byłam u nich w domu parę razy, z jednym z lekarzy szpitalnych, na samym początku, żeby zainstalować monitor snu. – Podniosła dłoń do ust. – Nie sugerujesz chyba, że ona ma coś wspólnego z...
- Niczego nie sugeruję – odparłem, zastanawiając się, czy rzeczywiście tego nie robię, bo pielęgniarka załazła mi za skórę. – To tylko luźne uwagi.
- Hmm... cóż, to jest jakiś pomysł. Munchhausenowska pielęgniarka? Wykształcenie medyczne pasowałoby.
- Znane są takie przypadki – wyjaśniłem. – Dotyczą pielęgniarek i lekarzy chcących zwrócić na siebie uwagę. Zwykle byli to ludzie naprawdę zaborczy. Ale skoro dolegliwości Cassie zawsze zaczynały się w domu i ustępowały w szpitalu, należałoby wykluczyć Vicki, chyba że rezyduje na stałe w domu Jonesów.
- Nie rezyduje. Przynajmniej, o ile się orientuję. Nie, oczywiście że nie wiedziałabym, gdyby tak

było.

Nie wydawała się pewna. Raczej przybita. Uświadomiłem sobie, jaką udreką była dla niej ta sprawa.

– Chciałbym wiedzieć, dlaczego odniosła się do mnie tak nieprzyjaźnie powiedziałem. – Interesuje mnie to nie z pobudek osobistych, a ze względu na związki emocjonalne w tej rodzinie. Jeżeli Vicki i matka mają dobry kontakt, a Vicki mnie nie lubi, może to zepsuć atmosferę.

– Trafna uwaga... Nie wiem, co ją ugryzło.

– Zakładam, że nie mówiłaś z nią o swoich podejrzeniach dotyczących Cindy?

– Nie. Jesteś naprawdę pierwszą osobą, z którą o tym rozmawiałam. Dlatego uzasadniłam zakaz podawania leków koniecznością wyeliminowania reakcji na środki farmakologiczne. Z tych samych powodów poproszono Cindy, żeby nie przynosiła jedzenia z domu. Vicki i pielęgniarki z innych dyżurów zobowiązane są notować dokładnie, co Cassie je. – Zmarszczyła brwi. – Oczywiście jeżeli Vicki przekroczy swoje kompetencje, może się do tego nie stosować. Chcesz, żebym kazała ją przenieść? Przełożona pielęgniarek da mi popalić, ale sądzę, że byłabym w stanie załatwić to dość szybko.

– Nie z mojego powodu. Nie zmieniamy na razie niczego.

Wróciliśmy do dyżurki. Stephanie wyjęła kartę i przejrzała ją powtórnie.

– Wygląda na to, że wszystko w porządku – powiedziała wreszcie. – Ale i tak z nią pogadam.

– Pozwól mi spojrzeć – poprosiłem.

Podawała mi kartę. Zobaczyłem jej wyraźny, jak zawsze, charakter pisma i szczegółowe notatki. Obejmowały także wywiad na temat rodziny, który przyciągnął na dłużej moją uwagę.

– Nie ma dziadków ze strony matki?

Steph potrząsnęła głową.

– Cindy straciła rodziców w młodym wieku. Także matka Chipa zmarła, kiedy miał kilkanaście lat. Stary Chuck to jedyny żyjący dziadek.

– Często tu przychodzi w odwiedziny?

– Od czasu do czasu. Jest bardzo zajęty.

Czytałem dalej.

– Cindy ma tylko dwadzieścia sześć lat... Może Vicki jest dla niej uosobieniem matki.

– Może – odparła. – Tak czy inaczej będę ją trzymać krótko.

– Nie naciskaj jej od razu zbyt ostro, Steph. Nie chcę, żeby Vicki – albo Cindy – widziały we mnie człowieka, który utrudnia komuś życie. Daj mi szansę poznać Vicki. Może okaże się sprzymierzeńcem.

– W porządku – zgodziła się. – Stosunki międzyludzkie to twoja działka. Ale daj mi znać, jeżeli ciągle będą z nią kłopoty. Nie chcę, żeby cokolwiek przeszkadzało w rozpracowaniu tego przypadku.

Pokój pełen był pluszowych króliczków – stały na parapecie, nocnym stoliku, składanym stoliczku przy łóżku, na telewizorze. Błyszczący sterczącymi zębami komitet powitalny w kolorach tęczy.

Poręcze łóżka były opuszczone. Spało w nim śliczne dziecko, którego drobne ciało jak mały tłumoczek ledwo wybrzuszało kołdrę.

Pulchna buzia w kształcie serduszka przechylona była na bok; różowe, rozchylone usta przywodziły na myśl pączek róży. Dziewczynka miała cerę koloru maślanki, pyzate policzki, mały, krągły nosek, włosy czarne, proste, przylizane, sięgające ramion. Wilgotne i posklejane kosmyki grzywki przykleiły się do czoła. Ponad brzegiem koca widać było okrągły, koronkowy kołnierzyk. Jedna ręka była przykryta, druga zaciśnięta na tkaninie okrycia. Kciuk miał wielkość ziarna fasoli.

Kanapka przy oknie była rozłożona, pościel na niej starannie zasłana po wojskowemu, poduszka gładka jak skorupka jajka. Winyłowa kosmetyczka w kwiaty leżała na podłodze obok pustej tacy.

Młoda kobieta siedziała z nogą założoną na nogę na brzegu materaca czytając „TV Guide”. Ledwo nas spostrzegła, odłożyła magazyn i wstała.

Miała pięć stóp wzrostu, mocną budowę ciała i trochę przydługi tułów. Te same lśniące, ciemne co u córki włosy, rozdzielone były pośrodku, związane luźno z tyłu i zaplecione w gruby warkocz sięgający niemal do pasa. Rysy pociągłej, niemal doskonale owalnej twarzy przypominały Cassie. Matka miała delikatny nos, proste, szerokie, nieumalowane usta o naturalnie ciemnych wargach. Duże brązowe oczy, były teraz zaczerwienione.

Żadnego makijażu, świeża cera. Dziewczęcy wygląd. Miała dwadzieścia sześć lat, ale z łatwością mogłaby uchodzić za studentkę.

Od strony łóżka dobiegł cichy, przypominający sapanie dźwięk. Westchnienie Cassie. Wszyscy spojrzeliśmy na nią. Nie otworzyła oczu, ale zadrżały jej powieki. Lawendowo-niebieskie żyłki prześwitywały przez skórę. Przewróciła się na drugi bok, odwracając od nas.

Przypominała mi porcelanową laleczkę.

Zewsząd łypały na nas króliczki.

Cindy Jones spojrzała na córkę i odgarnęła jej włosy z oczu.

Zwróciwszy się ku nam, pospiesznie przebiegła dłońmi po ubraniu, jakby szukając nie zapiętych guzików. Miała na sobie niewyszukaną, kraciastą bawełnianą koszulę, wyblakłe džinsy, sandały na niskim obcasie i różowy, plastikowy zegarek marki Swatch. Nie wyglądała, jak się spodziewałem, na kogoś z towarzystwa, synową wysoko postawionej osoby.

– No proszę – szepnęła Stephanie. – Zdaje się, że ktoś przesypia życie. A ty, Cindy, zdrzemnęłaś się nieco?

– Trochę. – Miała cichy, przyjemny głos. Nie musiała mówić szeptem.

– Naszym materacom wiele brakuje, prawda?

– Czuję się świetnie, doktor Eves. – Uśmiechnęła się, lecz widać było, że jest zmęczona. – Rzeczywiście, Cassie dobrze spała. Raz się zbudziła, około piątej, musiałam ją utulić. Wzięłam ją na ręce, pośpiewałam trochę, aż usnęła koło siódmej. Pewnie dlatego ciągle nie chce wstać.

– Vicki mówiła, że bolała ją głowa.

– Tak, po przebudzeniu. Vicki dała jej trochę tylenolu w syropie, i chyba pomogło.

– Cindy, tylenol był odpowiednim środkiem, ale w przyszłości ja muszę akceptować wszelkie leki – nawet te bez recepty. Tak będzie bezpieczniej.

Kobieta otwarła szeroko oczy.

– Och, jasne. Przepraszam.

Stephanie uśmiechnęła się.

– Nic się nie stało. Po prostu wolę być ostrożna. Cindy, to jest doktor Delaware, psycholog, o którym rozmawialiśmy.

– Dzień dobry, doktorze Delaware.

– Dzień dobry, pani Jones.

– Cindy. – Podała mi wąską dłoń, uśmiechając się nieśmiało. Budziła sympatię. Zrozumiałem, że czeka mnie niełatwe zadanie.

– Jak ci mówiłam – podjęła Stephanie – doktor Delaware jest specjalistą od stresów u dzieci. Jeżeli ktokolwiek może pomóc Cassie dawać sobie z nimi radę, to właśnie on. Chciałby pomówić z tobą już teraz, jeżeli ci to nie przeszkadza.

– Och... jasne. Doskonale. – Cindy dotknęła warkocza. Wyglądała na zakłopotaną.



– Wspaniale – powiedziała Stephanie. – Jeżeli niczego ode mnie nie chcesz, pójdę już.

– Nic mi teraz nie przychodzi do głowy, pani doktor. Zastanawiałam się tylko, czy pani... już coś wie?

– Jeszcze nie, Cindy. Wczorajsze EEG było zupełnie normalne. Ale jak ci już mówiłam, u dziecka w tym wieku to o niczym nie przesądza. Pielęgniarki nie odnotowały żadnych objawów padaczkowych. A ty nic nie zauważyłaś?

– Nie... właściwie nie.

– Właściwie nie? – Stephanie zrobiła krok w przód. Była tylko o cal wyższa od tamtej, ale wydawała się dużo większa.

Cindy Jones przygryzła na chwilę górną wargę.

– Nic takiego – to pewno nieważne.

– W porządku, Cindy. Powiedz mi wszystko, nawet jeżeli sądzisz, że to nieistotne.

– No cóż, jestem pewna, że to nic takiego, ale czasem mam wrażenie, że ona się wyłącza – przestaje słuchać, gdy do niej mówię. Wpatruje się w przestrzeń – jak w petit mai. To prawdopodobnie nic takiego, wydaje mi się tylko, bo chcę coś wynaleźć.

– Kiedy spostrzegłaś takie zachowanie po raz pierwszy?

– Wczoraj, po tym jak nas przyjęto.

– W domu nigdy go nie widziałaś?

– Ja... nie. Ale mogło się zdarzyć, a ja po prostu nie zauważyłam. A może mi się zdawało. Prawdopodobnie tylko mi się zdawało – sama nie wiem.

Jej ładna twarz wykrzywiła się.

Stephanie poklepała ją po ramieniu, a Cindy przechyliła się w stronę jej ręki, prawie niedostrzegalnie, jakby spragniona pocieszenia.

Stephanie odsunęła się o krok.

– Jak często zdarzało się jej zagapić tym nieruchomym spojrzeniem?

– Może kilka razy dziennie. To pewnie nic takiego – po prostu koncentruje się. Nigdy nie miała z tym trudności – kiedy bawi się w domu, naprawdę umie się skoncentrować.

– No cóż, to dobrze – że ma łatwość skupiania uwagi.

Cindy skinęła głową, ale nie wydawała się uspokojona.

– Stephanie wyciągnęła z kieszeni fartucha terminarzyk, wyrwała ostatnią kartkę i wręczyła ją Cindy.

– Wiesz co, następnym razem, kiedy zauważysz to znieruchomienie, zanotuj dokładnie czas i wezwij Vicki czy inną dyżurną pielęgniarkę, żeby rzuciły na to okiem, dobrze?

– Dobrze, pani doktor, ale to nie trwa długo. Tylko parę sekund.

– Zrób, co będziesz mogła – odparła Stephanie. – Na razie zostawiam was, byście mogli się lepiej poznać.

Przystanąła na chwilę, żeby spojrzeć na śpiące dziecko, uśmiechnęła się do nas i wyszła.

Kiedy drzwi się za nią zamknęły, Cindy popatrzyła na swoje łóżko.

– Złożę to, żeby miał pan gdzie usiąść. – Przez jej skórę także przeświecały delikatne, lawendowo-niebieskie żyłki, pulsujące na skroniach.

– Zróbmy to razem – zaproponowałam.

Zaskoczyło ją to wyraźnie.

– Nie, nie, dziękuję.

Schyliwszy się, chwyciła materac i uniosła do góry. Ja uczyniłem to samo i oboje podnieśliśmy

oparcie sofy.

Przyglądziła poduszki, odstała w tył mówiąc:

– Proszę.

Usiadłem, czując się jakbym był w domu gejsz.

Podeszła do zielonego krzesła i zdjęła z niego króliczki. Postawiwszy je na nocnym stoliku, przesunęła fotelik tak, by znalazł się naprzeciw sofy, i usiadła, stawiając stopy płasko na podłodze, a dłonie kładąc na szczupłych udach.

Wyciągnąwszy rękę wziąłem z parapetu jedno z pluszowych zwierzątek i pogładziłem je. Widoczne za szybą korony drzew z Griffith Park przypominały zielono-czarne chmury.

– Ładne – powiedziałem. – Prezenty?

– Niektóre – tak. Inne przywieźliśmy od nas. Chcieliśmy, by Cassie czuła się tu jak w domu.

– Szpital stał się dla niej drugim domem, prawda?

Utkwiła we mnie nieruchome spojrzenie. Brązowe oczy zaszyły łzami i wydawały się teraz większe. Na twarzy odbił się wstyd.

Wstyd? A może poczucie winy?

Podniosła dłonie i ukryła w nich twarz.

Przez chwilę płakała w milczeniu.

Wyjąłem jednorazową chusteczkę z pudełka leżącego na stoliku obok łóżka i czekałem.

## Rozdział czwarty

Odsłoniła twarz.

– Przepraszam.

– Nie musisz – powiedziałem. – Niewiele jest rzeczy równie stresujących, co choroba dziecka.

Skinęła głową.

– Najgorzej jest nie wiedzieć – patrzeć, jak cierpi i nie wiedzieć... Gdyby ktoś mógł coś wymyślić.

– Poprzednie objawy ustąpiły. Może z tym będzie tak samo.

Przerzuciwszy warkocz przez ramię, dotknęła palcami jego końca.

– Mam nadzieję, że tak... Ale...

Uśmiechnąłem się, ale nic nie powiedziałem.

– Tamto było bardziej... typowe. Normalne – jeśli można to tak nazwać – mówiła.

– Normalne choroby wieku dziecięcego – podsunąłem.

– Tak – koklusz, biegunka. Inne dzieci też je przechodzą. Nie zawsze tak ciężko, ale jednak, więc można to zrozumieć. Ale napady padaczki... to po prostu nie jest – normalne.

– Czasami – wyjaśniłem – dzieci dostają konwulsji po wysokiej gorączce. Jeden, dwa incydenty i na tym koniec.

– Tak, wiem. Doktor Eves mówiła mi o tym. Ale Cassie nie miała gorączki przed napadem. Wcześniej – kiedy cierpiała na zaburzenia trawienne – miała podwyższoną temperaturę. Była wtedy cała rozpalona. 41,1°C. – Szarpnęła warkocz. – Potem to minęło i myślałam, że wszystko będzie dobrze i nagle nie wiadomo skąd pojawiły się napady – doprawdy przerażające. Usłyszałam jakieś odgłosy w jej pokoju – jakby pukanie. Weszłam, a ona trzęsła się tak bardzo, że aż łóżeczko postukiwało.

Wargi Cindy zaczęły drżeć. Przycisnęła do nich dłoń. Drugą zmięła chusteczkę, którą jej podałem.

– Okropne – przyznałem.

– Przerażające – powiedziała, patrząc mi w oczy. – Ale najgorzej było patrzeć, jak cierpi i nie być w stanie jej pomóc. Beznadziejność – to jest najgorsze. Potrafiłabym zrobić dla niej więcej niż tylko wziąć ją na ręce, ale jednak... Ma pan dzieci?

– Nie.

Przestała patrzeć mi w twarz, jakby nagle straciła zainteresowanie. Wstała z westchnieniem i podeszła do łóżka, ciągle trzymając zmiętą chusteczkę. Pochyliła się, otuliła dziewczynkę kocem po szyję i pocałowała ją w policzek. Oddech Cassie stał się na chwilę szybszy, potem uspokoił się. Cindy stała przy jej łóżeczku, patrząc, jak śpi.

– Śliczne dziecko – powiedziałem.

– To mój pączus.

Wyciągnąwszy rękę, dotknęła czoła Cassie, potem cofnęła ramię, które opadło bezwładnie wzdłuż boku. Wpatrywała się w córkę jeszcze przez parę sekund, po czym wróciła na krzesło.

– Mówimy o cierpieniu, ale właściwie nic nie wskazuje na to, że ataki są bolesne – odezwałem się.

– To samo mówi doktor Eves – odpowiedziała bez przekonania. – Mam nadzieję, że tak jest... ale gdyby widział ją pan po tym – była po prostu wycieńczona.

Odwróciła się i wbiła wzrok w okno. Odczekawszy chwilę, zapytałem:

– A poza bólem głowy, jak się dzisiaj czuje?

– Dobrze. W ciągu tych paru godzin, kiedy nie spała.

– A ból głowy wystąpił dziś o piątej rano?

– Tak. Obudziła się z nim.

– Vicki była już wtedy na dyżurze?

Kiwnęła głową.

– Ma podwójny dyżur – była od jedenastej wieczór do siódmej rano i wzięła następny, od siódmej do trzeciej.

– Jest niezwykle oddana.

– Owszem. Bardzo nam pomaga. Mamy szczęście, że jest z nami.

– Odwiedza was czasem w domu?

Zdziwiło ją to pytanie.

– Była parę razy – prywatnie, nie jako pielęgniarka. Przyniosła Cassie pierwszego króliczka i teraz mała jest w nich po prostu zakochana.

Wyraz zaskoczenia nie zniknął z jej twarzy. Nie zwracając na to uwagi, zapytałem:

– Jak Cassie daje ci znać, że boli ją głowa?

– Wskazując na nią palcem i płacząc. Nie powiedziała mi tego, jeśli to chce pan wiedzieć. Zna tylko parę słów. Mówi pies na psa, bubu na butelkę i nawet wtedy czasem ciągle jeszcze pokazuje palcem. Doktor Eves twierdzi, że rozwój mowy jest u niej opóźniony o kilka miesięcy.

– To nic niezwykłego, że dziecko, które było hospitalizowane przez dłuższy czas, pozostaje nieco w tyle. To mija.

– Staram się pracować z nią w domu – rozmawiam z nią jak najwięcej. Czytam jej, kiedy mi na to pozwala.

– To dobrze.

– Czasem to lubi, ale czasem jest bardzo niespokojna – szczególnie, kiedy miała złą noc.

– Dużo jest takich złych nocy?

– Nie bardzo, ale ciężko je znosi.

– Jak to wygląda?

– Budzi się, jakby miała zły sen. Rzuca się, przewraca z boku na bok i płacze. Przytulam ją i czasem znowu usypia. Ale nieraz bardzo długo płacze. Nazajutrz jest zwykle niespokojna.

– Jak się objawia ten niepokój?

– Ma trudności z koncentracją. Innym razem potrafi skupić na czymś uwagę przez dłuższy czas – godzinę i dłużej. Wtedy staram się jej czytać, rozmawiać z nią. Żeby pobudzić rozwój mowy. Ma pan jeszcze jakieś sugestie?

– Wygląda na to, że idziesz w dobrym kierunku.

– Czasem odnoszę wrażenie, że ona nie mówi, bo nie czuje takiej potrzeby. Mogę się domyślić, czego chce i daję jej to zanim się odezwie.

– Czy tak właśnie było z bólem głowy?

– Dokładnie. Zbudziła się z płaczem i rzucała na łóżku. Najpierw dotknęłam jej czoła, żeby sprawdzić, czy ma gorączkę. Nie była zdenerwowana. Co mnie nie zdziwiło – nie płakała ze strachu. Raczej z bólu. Potrafię już to odróżnić. Zaczęłam więc wypytywać, co ją boli i wreszcie dotknęła głowy. Wiem, że z punktu widzenia nauki, nie brzmi to przekonująco, ale można rozwinąć w sobie wrażliwość na odczucia dziecka – to jest prawie jak radar. – Spojrzała w stronę łóżka. – Gdyby nie to, że wyniki badań tomograficznych zrobionych tego samego dnia były w porządku, naprawdę bym się wystraszyła.

– Z powodu bólu głowy?

– Gdy spędziło się tu dość czasu, zaczyna działać wyobraźnia. Myśli się o najgorszych rzeczach.

Jeszcze teraz jestem przerażona, kiedy mała płacze w środku nocy – nigdy nie wiadomo, co się może stać.

Znów zalała się łzami, przyciskając do oczu zmiętą chusteczkę. Podałem jej świeżą.

– Bardzo przepraszam, doktorze Delaware. Po prostu nie jestem w stanie patrzeć, jak cierpi.

– To zrozumiałe – odparłem. Jak na ironię, najwięcej bólu zadajemy dziewczynce w czasie zabiegów i testów, które mają jej pomóc.

Wzięła głęboki oddech i skinęła głową.

– To dlatego doktor Eves prosiłabym się z tobą spotkać. Istnieją techniki psychologiczne pozwalające pomóc dziecku dawać sobie radę z lękiem w czasie zabiegów, a czasem nawet zmniejszyć sam ból.

– Techniki – powtórzyła podobnym tonem co Vicki Bottomley, ale pozbawionym jej sarkazmu. – Byłoby wspaniale – byłabym panu wdzięczna za każdą pomoc. Patrzeć, przez co przechodzi przy pobieraniu krwi... To wręcz potworne.

Przypomniałem sobie, co Stephanie mówiła o opanowaniu matki w trakcie zabiegów.

Jakby czytając w moich myślach, dodała:

– Ilekroć ktoś wchodzi do tego pokoju ze strzykawką, zamieram wewnątrz, choć nie przestaję się uśmiechać. Robię to dla Cassie. Bardzo się staram nie okazywać przy niej zdenerwowania, ale wiem, że ona i tak to wyczuwa.

– Radar.

– Jesteśmy sobie tak bliskie – to moje oczko w głowie. Wystarczy, że na mnie spojrzy i już wie. Nie pomagam jej, ale cóż mam zrobić. Nie mogę zostawić jej z nimi samej.

– Doktor Eves twierdzi, że świetnie sobie radzisz.

W jej brązowych oczach pojawił się nowy wyraz. Zacięcie? Potem uśmiechnęła się słabo.

– Doktor Eves jest wspaniała. My... Ona była... Była cudowna dla Cassie, choć teraz mała nie chce mieć z nią do czynienia. Wiem, że i dla niej wszystkie te choroby były czymś strasznym. Tak mi przykro, ilekroć wzywają ją na ostry dyżur, że narażam ją na podobne doświadczenia.

– To jej praca.

Wyglądała, jakbym ją uderzył.

– Pewna jestem, że dla niej to więcej niż praca.

– Tak, to prawda. – Zdałem sobie sprawę, że wciąż trzymam w ręku króliczka. Ścisnąłem go.

Pogłaskawszy maskotkę po brzuszku, odłożyłem ją na parapet. Cindy obserwowała mnie, gładząc warkocz.

– Nie chciałam być nieuprzejma – powiedziała. – Ale to, co pan teraz powiedział – że doktor Eves wykonuje swój zawód – przypomniało mi o mojej pracy. O macierzyństwie. Nie za dobrze mi to idzie, prawda? Tego nigdzie nie uczą.

Odwróciła wzrok.

– Cindy – powiedziałem, pochylając się do przodu – to ciężka szkoła życia, a nie biznes jak wiele innych.

Na mgnienie oka uśmiech zaignął na jej wargach. Uśmiech smutnej madonny.

Madonny-potwora?

Stephanie prosiłabym przystąpić do sprawy bez uprzedzeń, wiedziałem jednak, że punktem wyjścia były dla mnie jej hipotezy rzucające podejrzenia na Cindy.

Winna, dopóki nie dowiedzie się niewinności?

Milo nazwałby to zawężonym myśleniem. Postanowiłem skupić się na tym, co miałem rzeczywiście

przed oczyma.

Jak dotąd, nie zauważyłem żadnej wyraźnej patologii. Żadnych oznak braku równowagi emocjonalnej, oczywistej pozy czy chorobliwego zwracania na siebie uwagi. Mimo to przyszło mi do głowy, czy nie udało jej się w sposób dyskretny i taktowny – skierować rozmowy wyłącznie na swój temat. Zaczęła mówić o Cassie, a skończyła na swoich macierzyńskich niepowodzeniach.

Ale to przecież ja skłoniłem ją do tych wyznań. Stosowałem psychoanalityczne chwyt – spojrzenia, pauzy i frazesy, żeby się przede mną otworzyła.

Pomyślałem o wrażeniu, jakie mógł wywierać na innych jej wygląd splot warkocza, którym bawiła się, by rozładować napięcie, brak makijażu, prosty strój zwracający uwagę u kobiety o jej pozycji społecznej.

Wszystko to można by uznać za pozę. W konwencjonalnym salonie rzucałaby się w oczy.

Jeszcze jedna rzecz zaciekawiła mój analityczny umysł, kiedy porównywałem ją z typowym obrazem chorego z zespołem Munchhausena per procura.

Łatwość, z jaką posługiwała się żargonem szpitalnym:

Świece gorączkowe... ciągnąć podwójnie. Objawy sinicy.

Nawyk z okresu, kiedy przechodziła szkolenie na rehabilitantkę terapii oddechowych? A może świadectwo przewrotnej fascynacji zagadnieniami medycznymi?

A może nie chodziło o nic złowrogiego, był to tylko efekt zbyt wielu godzin spędzonych w tym przybytku. Przez długie lata pracy na oddziale spotykałem hydraulików, gospodynie domowe, kierowców ciężarówek i księgowych – rodziców przewlekle chorych dzieci, którzy mieszkając, śpiąc i jedząc w szpitalu sami zaczęli w końcu używać żargonu początkujących lekarzy szpitalnych.

Żadne z nich nie zatruwało swoich dzieci.

Cindy dotknęła warkocza i znów spojrzała na mnie.

Przywołałem na usta pokrzepiający, jak miałem nadzieję, uśmiech, dumając nad tym, z jaką pewnością twierdziła, że była w stanie porozumiewać się z Cassie w sposób nieomal telepatyczny.

Zaburzenia osobowości?

Swego rodzaju patologiczna identyfikacja prowadząca do maltretowania córki?

Ale któraż matka nie utrzymuje – często nie bez racji – że ma intuicyjny kontakt z własnym dzieckiem? Dlaczego tę właśnie miałbym podejrzewać o coś więcej niż dobry związek uczuciowy?

Ponieważ dzieci tej matki nie miały zdrowego, szczęśliwego dzieciństwa.

Cindy wciąż patrzyła na mnie. Wiedziałem, że nie mogę wałkować w myślach każdego szczegółu, a jednocześnie wydawać się autentyczny.

Spojrzałem przelotnie na śpiące w łóżeczku dziecko, doskonale niczym porcelanowa laleczka.

Laleczka woodoo jej matki?

– Starasz się, jak możesz – powiedziałem. – Nikt nie powinien więcej od ciebie wymagać.

Miałem nadzieję, że słowa te tchnęły szczerością, której w nich nie było. Nim Cindy zdołała odpowiedzieć, Cassie otworzyła oczy, ziewnęła, przetarła powieki i usiadła niepewnie. Obie rączki były teraz widoczne. Ta, którą schowała przedtem pod kocem, była obrzmiała, poznaczona siniakami po ukłuciu i żółtymi plamkami betadyny.

Cindy podbiegła do niej i przytuliła do siebie.

– Dzień dobry, kochanie. – W jej głosie pojawiły się nowe tony. Pocałowała Cassie w policzek.

Dziewczynka spojrzała na nią i oparła główkę o brzuch matki. Cindy pogładziła ją po włosach i przytuliła mocniej. Ziewnąwszy raz jeszcze, Cassie rozejrzała się wokół, aż wzrok jej spoczął na

ustawionych na nocnym stoliku króliczkach.

Wskazując pluszowe zwierzątka zaczęła wydawać z siebie natarczywe pojękiwania:

– Ee, ee.

Wyciągnąwszy rękę, Cindy chwyciła różowego zwierzaka.

– Masz, tu, kochanie. To Śmieszny Króliczek, mówi ci „Dzień dobry, panno Cassie Jones. Miałaś przyjemne sny?”

Mówiła cicho, powoli, głupawym przypochlebnym tonem gospodarza telewizyjnych programów dla dzieci.

Cassie chwyciła zabawkę. Przyciskając ją do piersi, kołysała się z przymkniętymi powiekami i przez moment myślałam, że usnęła. Ale chwilę później otworzyła oczy, duże i brązowe, dokładnie takie, jak matki. Raz jeszcze omiotła pokój wzrokiem, skierowała go w moją stronę i zatrzymała.

Nasze spojrzenia spotkały się.

Uśmiechnąłem się.

A ona krzyknęła.

## Rozdział piąty

Cindy przytuliła ją, ukołysała i powiedziała.

– Już dobrze. To nasz przyjaciel.

Cassie rzuciła królika na podłogę i wybuchnęła szlochem, chcąc go odzyskać.

Podniosłem maskotkę i wyciągnąłem w jej kierunku. Skuliła się i przywarła do matki. Podałem zabawkę Cindy, wziąłem z półki drugą, żółtą, i usiadłem z powrotem.

Zacząłem bawić się zwierzątkiem, manipulując jego łapkami i paplając bez sensu. Cassie płakała nadal, a Cindy przemawiała do niej, pocieszając spokojnym głosem, zbyt słabym, bym mógł usłyszeć, o czym mówi. Zająłem się więc królikiem. Po jakiejś minucie krzyk Cassie przycichł nieco.

– Spójrz kruszyno – widzisz? – przemówiła Cindy. – Doktor Delaware też lubi króliczki.

Cassie zakrztusiła się, sapnęła i zanosła płaczem.

– Nie kochanie, nie zrobi ci krzywdy. To nasz przyjaciel.

Wpatrując się w wystające siekacze zwierzątka, uściśnałem mu łapę. Na białym serduszku na jego brzuchu widniały żółte litery ZABAWNY KRÓLICZEK i znak handlowy. Metka wszyta w kroku informowała MADE IN TAIWAN.

Cassie zamilkła dla złapania oddechu.

– Już dobrze, kochanie. Wszystko w porządku – pocieszała Cindy.

Od strony łóżka dobiegało kwilenie i pociąganie nosem.

– Opowiem ci bajkę, dziecinko, dobrze? Razu pewnego żyła sobie księżniczka Cassandra. Mieszkała w wielkim zamczysku i miała cudowne sny o cukierkach i o obłokach z bitej śmietany...

Cassie wpatrywała się w matkę. Posiniaczoną rączką dotknęła warg.

Postawiwszy żółtego królika na podłodze, otworzyłem teczkę i wyjąłem z niej zeszyt i ołówek. Cindy urwała na chwilę, po czym podjęła opowieść. Cassie była teraz spokojna, pogrążona w zupełnie innym świecie.

Zabrałem się do rysowania. Króliczka – miałem nadzieję.

Parę minut potem stało się jasne, że chłopcy od Disneya nie mają się czego obawiać, ale uznałem, że produkt końcowy jest dość ładny i dostatecznie przypomina królika. Dorysowałem kapelusz i muszkę, sięgnąwszy do teczki wydobylem pudełko kolorowych pisaków, które nosiłem w niej wraz z innymi narzędziami pracy.

Przystąpiłem do kolorowania. Pisaki skrzypiały. Od strony łóżka dobiegły jakieś szelesty. Cindy przerwała opowieść.

– Och spójrz, kochanie, doktor Delaware rysuje. Co pan rysuje, doktorze?

Nim zdołałem odpowiedzieć, słowo doktor wywołało kolejny atak płaczu.

I znów matczyne pocieszenia uciszyły dziewczynkę.

Uniosłem swoje arcydzieło.

– Och, spójrz, kochanie, to króliczek. I ma kapelusz. I muszkę – czyż to nie zabawne?

Milczenie.

– Cóż, ja sądzę, że to zabawne. Jak myślisz, to jeden z twoich króliczków, Cass?

Milczenie.

– Czy doktor Delaware narysował twojego króliczka?

Dziecko zaczęło kwilić.

– Daj spokój, Cass, nie ma się czego bać. Doktor Delaware nie zrobi ci krzywdy. To taki doktor,



który nie robi zastrzyków.

Mała rozbeczała się. Uspokojenie jej zajęło Cindy dobrą chwilę. Wreszcie mogła kontynuować opowieść. Księżniczka Cassandra mknęła na białym rumaku...

Narysowałem Panu Królikowi w Kapeluszu towarzyszkę. Taki sam pyszczek gryzonia, ale krótkie uszy i sukienka w groszki – Panna Wiewiórka. Wyrwałem kartkę z zeszytu i położyłem ją na łóżku przy nogach Cassie.

Ledwo zdążyłem usiąść z powrotem, odwróciła szybko głowę.

– Och, spójrz – powiedziała Cindy. – Pan narysował też... chomika. I to dziewczynkę, Cass – spójrz na jej sukienkę. Czy to nie śmieszne! I ma całą sukienkę w wielkie groszki, Cass. To takie śmieszne – chomik w sukience!

Usłyszałem ciepły kobiecy śmiech. Zawtórował mu dziecięcy chichot.

– Jakie to zabawne. Ciekawe, czy wybiera się w tej sukience na przyjęcie... a może idzie robić zakupy, co? Czy to nie byłoby zabawne, chomik idzie robić zakupy w centrum handlowym! Idzie razem z Przyjacielem, Panem Króliczkiem, a on ma ten zabawny kapelusz – oboje się tak zabawnie wystroili. Może pójdą do sklepu kupić sobie własne zabawki – to byłoby coś, Cass? Taak to byłoby zabawne. Rety, ten doktor Delaware naprawdę rysuje zabawne obrazki – ciekawe, co teraz robi!

Uśmiechnąłem się i uniosłem ołówkę. Coś łatwego: hipopotam... zwykła wanna na nóżkach.

– Jak się nazywa pana króliczek, doktorze?

– Benny.

– Króliczek Benny – a to pocieszne!

Pokryłem uśmiechem swoje twórcze zmagania. Wanna wyglądała zbyt groźnie... Trzeba coś zrobić z tymi wyszczerzonymi agresywnie zębami... – to raczej bezrogi nosorożec... Co Freud by o tym powiedział?

Poddałem pysk zwierzaka operacji plastycznej.

– Króliczek Benny w Kapeluszu – słyszałaś to, Cass?

Rozległ się piskliwy, dziecięcy śmiech.

– Doktorze, a chomik? Jak ona ma na imię?

– Priscilla... – Działałem dalej. Zwierzak stał się wreszcie hipopotamowaty, ale ciągle coś było nie tak... – ten oślizły przypochebny uśmiezek sprzedajnego naganiacza. Może pies byłby łatwiejszy...

– Chomik Priscilla! To nie do wiary!

– Pilla!

– Tak, Priscilla!

– Pilla!

– Bardzo dobrze, Cass! znakomicie! Priscilla. Powtórzysz to?

Milczenie.

– Priscilla – Pri-scil-la. Przecież to powiedziałaś. No popatrz na moje usta, Cass.

Milczenie.

– Dobrze, jeśli nie chcesz, nie zmuszam cię. Wróćmy do księżniczki Cassandry Srebrzynki, która galopuje na Śnieżynce do Krainy Blasku...

Skończyłem wreszcie hipopotama. Był poznaczony plamami i śladami gumki, ale przynajmniej nie wyglądał, jakby miał za sobą kilka wyroków. Położyłem rysunek na pościeli.

– Och, spójrz, Cass. Wiemy, co to jest, prawda? To hipopotam i trzyma...

– Jo-jo – odpowiedziałem.

– Jo-jo! Hipcio z jo-jo – to naprawdę zabawne. Wiesz, co myślę, Cass? Myślę, że doktor Delaware potrafi być całkiem zabawny, jeśli chce, mimo że jest lekarzem. A co ty o tym sądzisz?

Zwróciłem się ku dziewczynce. Nasze spojrzenia znów się spotkały. Zamrugła. Wydeła różane usteczka, wywijając dolną wargę. Trudno sobie wyobrazić, by ktoś był zdolny ją skrzywdzić.

– Chcesz, żebym jeszcze coś narysował? – zapytałem.

Spojrzawszy na matkę, chwyciła ją za rękaw.

– Jasne – odparła Cindy. – Zobaczymy, jakie jeszcze zabawne rzeczy potrafi narysować doktor Delaware, dobrze?

Cassie nieznacznie skinęła głową. Wtuliła twarz w bluzkę Cindy.

Znowu sięgnąłem po szkicownik.

Wyliniały pies, zezowata kaczka, a potem jeszcze ochwacony koń. Cassie tolerowała moją obecność.

Stopniowo przesunąłem krzesło w kierunku łóżka. Gwarzyłem z Cindy o grach, zabawach i ulubionych przysmakach. Uznawszy, że Cassie zaakceptowała moją osobę, siadłem tuż obok Cindy i nauczyłem ją zabawy rysunkowej – na zmianę uzupełnialiśmy nieregularne, powyginane kontury, przekształcając je w konkretne przedmioty. Jest to technika psychoanalityków dziecięcych ułatwiająca nawiązanie kontaktu i pozwalająca w subtelny sposób dotrzeć do podświadomości pacjenta.

Używałem matki jako pośredniczki, obserwując ją jednocześnie.

Poddawałem ją badaniu.

Narysowałem nieregularny wielobok i wręczyłem papier Cindy. Obie siedziały przytulone do siebie niby na plakacie Narodowego Tygodnia Rodziny. Cindy przekształciła wielobok w dom i oddała mi kartkę mówiąc:

– Niezbyt udany, ale...

Kąciki ust Cassie uniosły się lekko ku górze. Potem opadły. Zamknąwszy oczy, wtuliła twarz w bluzkę matki. Chwyciła jej pierś i ścisnęła. Cindy ujęła delikatnie rączkę małej i położyła sobie na kolanach. Dostrzegłem ślady po ukłuciu na ciele dziecka. Czarne kropki jak po ukąszeniu węża.

Cindy mruzczała łagodnie, dziewczynka przytuliła się, zmieniła pozycję i zacisnęła dłoń na koszuli matki.

Znów była śpiąca. Cindy pocałowała ją w czubek głowy.

Uczono mnie leczyć i pokładać ufność w otwartych, szczerych stosunkach z pacjentem. Siedząc w tym pokoju, czułem się jak oszust.

A potem pomyślałem o wycieńczających gorączkach, krwawych biegunkach i konwulsjach tak gwałtownych, że aż łóżeczko stukalo; przypomniałem sobie małego chłopca zmarłego we śnie. Moje wątpliwości zbladły i rozwiały się.

Była dziesiąta czterdzieści pięć, spędziłem tam już ponad pół godziny, przeważnie obserwując leżącą w ramionach matki Cassie. Czuła się już swobodniej w moim towarzystwie, uśmiechnęła się nawet raz i drugi. Najwyższy czas, by zwinąć manatki i odtrąbić zwycięstwo.

Podniosłem się. Cassie zaczęła się wiercić.

– Oho – rzekła Cindy, wciągając powietrze i marszcząc nos.

Ostrożnie przewróciła dziecko na plecy i zmieniła pieluszkę.

Cassie, mimo iż została posypana talkiem, poklepana i ubrana powtórnie, była nadal niespokojna. Wskazując podłogę powiedziała – Pacie! Pacie! Pacie!

– Na spacer?

Przytaknęła z zapalem. – Śpacie!

Uklękła i spróbowała stanąć na łóżku, kołysząc się na elastycznym materacu. Cindy ujęła ją pod pachy, podniosła i postawiła na podłodze.

– Chcesz pochodzić? Włożymy ci buciki. – Podeszły obie do szafki na ubrania. Przydługie nogawki piżamy Cassie ciągnęły się za nią po podłodze. Na stojąco wydawała się jeszcze drobniejsza. Lecz wyglądała dzielnie. Pewny krok, dobre poczucie równowagi.

– Zabrałem swoją teczkę.

Cindy przyklękła i włożyła dziecku różowe kapcie w kształcie królików, które miały jasne plastikowe oczka o źrenicach z ruchomych czarnych paciorków. Buciki syczały przy każdym kroku Cassie.

Spróbowała podskoczyć, ale ledwo oderwała się od ziemi.

– Dobry skok, Cass – pochwaliła Cindy.

Drzwi otworzyły się i wszedł jakiś mężczyzna.

Wyglądał na trzydzieści parę lat. Był bardzo szczupły, miał ponad sześć stóp wzrostu, włosy ciemnobrązowe, gęste i falujące, zaczesane gładko do tyłu i sięgające kołnierzyka. Pełna twarz zaokrąglona jeszcze bujną, krótko przyciętą brązową brodą, poznaczoną pasemkami siwizny, nie pasowała do tyczkowatej postaci. Sprawiał wrażenie łagodnego i sympatycznego. Miał maleńki złoty kolczyk w lewym uchu, a na sobie luźne, ale dobrze skrojone ubranie: szarą tweedową marynarkę o sportowym kroju, koszulę w niebiesko-białe paski, workowate spodnie z czarnego sztruksu i chyba zupełnie nowe czarne sportowe buty.

W ręku niósł kubek kawy.

– To tata! – powiedziała Cindy.

Cassie wyciągnęła rączki.

Wysoki mężczyzna odstawił kubek i powiedział:

– Dzień dobry paniom. – Pocałowałszy Cindy w policzek, wziął Cassie na rękę. Dziewczynka pisnęła, kiedy uniósł ją wysoko w górę. Opuścił ją, przyciągając do siebie płynnym ruchem.

– Jak się ma moja córeczka? – zapytał, przyciskając ją do brody. Jego nos zniknął we włosach dziewczynki. Zachichotała. – Jak się ma mała grandę danie w pieluszcze?

Cassie zanurzyła obie dłonie we włosach ojca i pociągnęła.

– Auć!

Mała zachichotała i szarpnęła znowu.

– Auć! Auć!

Dziecko śmiało się beztrasko.

– Auć-A-uu!

Bawili się jeszcze trochę, potem ojciec odsunął się i rzucił: – Au! Za ostry jesteś dla mnie, Spikej

– To jest doktor Delaware, kochanie – przedstawiła mnie Cindy. Psycholog? Doktorze, to tata Cassie.

Mężczyzna zwrócił się ku mnie, przytrzymując córeczkę i wyciągnął wolną rękę.

– Chip Jones. Miło pana poznać.

Mocno uścisnął mi dłoń. Cassie wciąż szarpała i wichrzyła jego włosy. Chyba mu to nie przeszkadzało.

– Studiowałem psychologię jako przedmiot dodatkowy – powiedział z uśmiechem. – Zapomniałem prawie wszystko. – Zwrócił się do Cindy: Jak leci?

– Jak zwykle.

Zmarszczył brwi. Spojrzał na zegarek. To też był swatch.

– Spiesz ci się? – zapytała Cindy.

– Niestety. Chciałem was tylko zobaczyć. – Wziął kubek z kawą i podał jej.

– Nie, dziękuję.

– Na pewno?

– Nie, naprawdę nie.

– Żołądek?

Dotknąwszy ręką brzucha powiedziała.

– Trochę kiepsko się czuję. Długo możesz zostać?

– Wpadłem tylko – odparł. – Mam zajęcia o dwunastej, potem zebranie do końca dnia – może głupio zrobiłem, że przyjechałem, ale stęskniłem się za wami.

Cindy uśmiechnęła się.

Chip pocałował ją, potem Cassie.

– Tata nie może zostać, Cass – powiedziała Cindy. – A to ładaco.

– Ta-taa.

Chip delikatnie uszczypnął Cassie w podbródek. Nie przestawała bawić się jego brodą.

– Spróbuję wpaść jeszcze wieczorem. Zostanę tak długo, jak zechcecie.

– Świetnie – odparła Cindy.

– Ta-taa.

– Ta-taa – powtórzył Chip. – Tata cię kocha, ślicznotko. Znów zwrócił się do Cindy: – To kiepski pomysł wpadać na dwie minuty. Teraz naprawdę będzie mi was brakować.

– My też tęsknimy za tobą.

– Byłem w sąsiedztwie – wyjaśnił. – Przynajmniej po tej stronie wzgórza, że tak powiem.

– Uniwerek?

– Tak. Pracowałem w bibliotece. – Zwrócił się do mnie: – Uczę w college’u West Valley. To nowy campus, nie ma wielkiego księgozbioru. Kiedy muszę przeprowadzić poważniejsze studia, przyjeżdżam na uniwersytet.

– Moja alma mater – powiedziałem.

– Ach tak? Ja chodziłem do szkoły na wschodzie. – Połaskotał Cassie po brzuchu. – Spałaś choć trochę, Cin?

– Bardzo długo.

– Poważnie?

– Aha.

– Chcesz herbaty ziołowej? Mam chyba rumianek w samochodzie.

– Nie, dziękuję, kochanie. Doktor Delaware zna techniki, które pomogą Cassie znosić ból.

Chip spojrzał na mnie, gładząc Cassie po ramieniu.

– To by było coś. Przeżyła nieprawdopodobne męczarnie. – Miał bladoniebieskie, głęboko osadzone oczy o lekko skośnych powiekach.

– Wiem o tym – odrzekłem.

Chip i Cindy spojrzeli na siebie, potem na mnie.

– No cóż – powiedziałem. – Będę już uciekał. Wpadnę was odwiedzić jutro rano.

Schyliłem się i szepnąłem Cassie do widzenia. Zatrzepotała rzęsami i odwróciła się.

– Co za flirtiara – roześmiał się Chip. – To wrodzone, prawda?

– A pana techniki? – spytała Cindy. – Kiedy możemy o tym pomówić?

– Już niedługo – odparłem. – Najpierw muszę nawiązać kontakt z Cassie. Myślę, że dzisiaj całkiem

nieźle nam poszło.

– Och, pewnie. Byłyśmy dzielne. Prawda, pączusiu?

– Odpowiada ci godzina dziesiąta?

– Jasne – odparła Cindy. – Nigdzie nie wychodzimy.

Chip spojrział na nią i zapytał: – Doktor Eves nie mówiła, kiedy was wypisze?

– Jeszcze nie. Chce ją nadal obserwować.

– W porządku – westchnął.

Podszedłem do drzwi.

– Sam też już muszę lecieć, doktorze – powiedział Chip. – Jeżeli może pan poczekać chwilkę, wyjdę z panem.

– Jasne.

Ujął żonę za rękę.

Zamknąwszy za sobą drzwi przeszedłem do dyżurki pielęgniarek i stanąłem za pulpitem Vicki Bottomley, która wróciła już ze sklepu z upominkami i siedziała teraz na krześle rejestratorki czytając magazyn. W pobliżu nie było nikogo więcej. Pudełko zawinięte w papier sklepu z upominkami Western Peds leżało na blacie obok zwoju rurki cewnika i stosu formularzy ubezpieczeniowych.

Vicki nie podniosła wzroku, kiedy wyjąłem kartę Cassie i zacząłem ją przeglądać. Przebiegłszy wzrokiem historię choroby, natknąłem się na przeprowadzony przez Stephanie wywiad środowiskowy. Zastanawiając się, jaka jest różnica wieku między Chipem i Cindy, szukałem jego danych personalnych.

Charles L. Jones III. Wiek: trzydzieści osiem lat. Wykształcenie: wyższe. Zawód: profesor college'u.

Czując na sobie czyjś wzrok, opuściłem kartę i zobaczyłem, jak Vicki odwraca gwałtownie głowę w stronę czytanego przez siebie magazynu.

– No – zagadnąłem. – Jak tam było w sklepie?

Opuściła czasopismo.

– Potrzebuje pan ode mnie czegoś konkretnego?

– Czegokolwiek, co mogłoby mi pomóc pracować nad niepokojem Cassie.

Jej piękne oczy zwięzły się.

– Doktor Eves już o to pytała. Był pan przy tym.

– Myślałem tylko, że może od tamtego czasu coś ci przyszło do głowy.

– Nic mi nie przyszło do głowy – odparła. – Nic nie wiem – jestem tylko pielęgniarką.

– Pielęgniarka często wie więcej, niż ktokolwiek inny.

– Niech pan to powie w komisji płac. – Podniosła wysoko magazyn, chowając twarz.

Zastanawiałem się, co odpowiedzieć, gdy usłyszałem, że ktoś woła mnie po nazwisku. Chip Jones zmierzał w moim kierunku.

– Dzięki, że pan poczekał.

Słyszając jego głos, Vicki przestała czytać. Poprawiwszy czepek powiedziała:

– Dzień dobry, doktorze Jones. – Słodzutki uśmiech rozlał się na jej twarzy, niczym miód na czerstwym chlebie.

Chip oparł się o pulpit i pokręcił głową, szczerząc zęby w uśmiechu.

– A ty znowu swoje, Vicki. Chcesz mnie awansować. – Zwrócił się do mnie: – Jestem doktorem abdy – to znaczy „ale bez dysertacji”, Vicki – ale szczodra pani Bottomley stara się mnie promować, nim na to zasłużę.

Vicki jeszcze raz przywołała na twarz przypochlebny uśmiech.

– Z tytułem czy bez, cóż to za różnica?

– No – odparł Chip. – To może być zasadnicza różnica dla kogoś, kto zdobył go naprawdę, jak obecny tu doktor Delaware.

– Głowę dam, że tak jest.

Słyszac sarkazm w głosie pielęgniarki, Chip rzucił jej pytające spojrzenie. Zmieszała się i odwróciła wzrok.

Dostrzegł pudełko z upominkiem.

– Vicki, znów?

– To tylko mały drobiazg.

– To miło z twojej strony, Vicki, ale zupełnie niepotrzebnie to robisz.

– Tak chciałam, doktorze Jones. Istny z niej aniołek.

– To na pewno, Vicki. – Uśmiechnął się. – Jeszcze jeden króliczek?

– Tak bardzo je lubi, doktorze Jones.

– Panie Jones, Vicki – jeśli upierasz się, by używać tytułu, co powiesz na Herr Professor? Pełen jest staroświeckiej elegancji, prawda, doktorze Delaware?

– Bezwzględnie.

– Plotę od rzeczy – zauważył. – To miejsce mnie ogłupia. Raz jeszcze dziękuję, Vicki. Jesteś naprawdę kochana.

Bottomley oblała się rumieńcem.

– Chodźmy, jeśli pan gotów, doktorze – powiedział do mnie Chip.

Za tekowymi drzwiami ujrzeliśmy codzienną krzątanicę piątki wschodniej. Płakało wiezione dokądś dziecko – mały chłopiec w turbanie z bandaża, podłączony do kroplówki. Chip, patrzył na to, zasepiony, ale nie odzywał się.

Kiedy dotarliśmy do wind, pokręcił głową i powiedział: – Pocziwa, stara Vicki. Co za bezwstydną lizuska! Ale przy panu zadzierą nosa, prawda?

– Nie należę do jej ulubieńców.

– Dlaczego?

– Nie wiem.

– Miał pan z nią wcześniej jakieś scysje?

– Skądże. Nigdy przedtem jej nie spotkałem.

Pokręcił głową.

– Cóż, przykro mi z pana powodu, ale ona bardzo troskliwie opiekuje się Cassie. A Cindy też ją lubi. Myślę, że przypomina jej ciotkę – bo wychowała ją ciotka. Też była pielęgniarką, naprawdę twarda sztuka.

Gdy minęliśmy grupkę nieco oszołomionych studentów medycyny, powiedział.

– Wygląda to na obronę swego terytorium – sposób, w jaki Vicki reaguje na pana. Walka o dominację, nie sądzi pan?

– Być może.

– To często daje się tutaj zauważyć. Zaborczość w stosunku do pacjentów. Zupełnie jakby byli przedmiotami.

– Doświadczył pan tego osobiście?

– No pewnie. Poza tym nasza pozycja społeczna wzmaga napięcie. Ludzie sądzą, że warto włączyć nam w tyłek, bo mamy bezpośredni dostęp do struktur władzy. Zakładam, że wie pan, kim jest mój

ojciec.

Skinąłem głową.

– Irytuje mnie to, że jestem traktowany inaczej – stwierdził. – Martwię się, że z tego powodu Cassie może mieć gorszą opiekę.

– W jaki sposób?

– Sam nie wiem, to nic szczególnego – sędzę, że po prostu niezręcznie się czuję jako wyjątek. Nie chciałbym, by ktoś przeoczył coś istotnego, wykazując brak zdecydowania lub zaniedbując rutynowe procedury, by nie narazić się naszej rodzinie. Nie mogę nic zarzucić doktor Eves – mam dla niej tylko szacunek. Chodzi mi raczej o cały system – o atmosferę, jaka mnie tu otacza.

Zwolnił kroku.

– Być może mówię od rzeczy. To frustracja. Cassie miała takie czy inne dolegliwości praktycznie od urodzenia i jak dotąd nikt nie ma pojęcia, co się z nią dzieje, a my także... Chcę powiedzieć, że ten szpital to struktura wysoce sformalizowana, ilekroć reguły rządzące taką instytucją ulegają zmianie, pojawia się ryzyko rozprzężenia. Struktury organizacyjne są moją dziedziną badań. A niech mi pan wierzy, to jest dopiero instytucja.

Dotarliśmy do wind. Wcisnął guzik i powiedział:

– Mam nadzieję, że zdoła pan pomóc Cassie znieść zastrzyki – przeżyła prawdziwy koszmar. Cindy także. Jest fantastyczną matką, ale po takich przejściach trudno się oprzeć zwątpieniu.

– Dręczy ją poczucie winy?

– Czasami. Choć jest to zupełnie nieuzasadnione. Tłumaczę jej to, ale...

Pokręcił głową, złożony dłoń. Miał białe kłykcie. Uniósł dłoń do ucha i zakręcił kołczykiem.

– Żyła w nieprawdopodobnym stresie.

– Panu też jest pewnie nielekkko – powiedziałem.

– Na pewno nie było to przyjemne. Ale najgorsze spada na Cindy. Szczerze mówiąc, tworzymy tradycyjną rodzinę, z klasycznym podziałem ról zależnie od płci – ja pracuję, ona zajmuje się domem. To nasz wspólny wybór – tego właśnie pragnęła Cindy. Pomagam trochę w domu – zapewne nie tyle, ile powinienem – ale wychowanie dziecka to domena żony. Bóg mi świadkiem, jest w tym o niebo lepsza ode mnie. Toteż kiedy w tej dziedzinie dzieje się coś złego, cała odpowiedzialność spada na jej barki.

Pogładził się po brodzie, kręcąc głową.

– No proszę, a to piękny przykład drobiazgowego usprawiedliwienia swego postępowania prawda? Tak, pewnie, było mi cholernie ciężko. Widzieć, jak człowiek, którego się kocha... Zakładam, że wie pan o Chadzie naszym pierwszym dziecku?

Skinąłem głową.

– To nas dobiło, doktorze. Po prostu nie ma sposobu... – zamknąwszy oczy znów pokręcił głową. Boleśnie, jakby starał się stłumić żal.

– Powiedzmy, że było to coś, czego nie życzyłbym nawet najgorszemu wrogowi.

Dźgnął guzik windy, spojrzął na zegarek.

– Wygląda na to, że mamy środek lokomocji, doktorze. W każdym razie zaczęliśmy się po tym podnosić – Cindy i ja. Wzięliśmy się w garść, cieszyliśmy się z Cassie, kiedy zwała się na nas ta historia... Niewiarygodne.

Nadjechała winda. Wszedł z niej lekarz i dwoje dzieci w pasiastych piżamach. Wsiedliśmy. Chip wcisnął guzik parteru i oparł się plecami o tylną ścianę.

– Nigdy nie wiadomo, co życie ma dla nas w zanadrzu – powiedział. Zawsze byłem uparty. Pewnie

aż do przesady – nieuleczalny indywidualista. Chyba dlatego, że w dzieciństwie musiałem przełknąć sporo upokorzeń. Ale zdałem sobie sprawę, że w gruncie rzeczy jestem tradycjonalistą. Wierzę w podstawowe wartości: żyj przykładowo i wszystko się ułoży. To beznadziejnie naiwne, oczywiście. Ale przyjmuje się pewien sposób myślenia, wydaje się, że odpowiedni, więc człowiek się go trzyma. Wiara dobra jak każda inna. Tylko że ja tracę swoją.

Winda przystanąła na czwartym piętrze. Wsiadła Latynoska po pięćdziesiątce i dziesięcioletni mniej więcej chłopiec, niski, krępy i w okularach. Tępe rysy twarzy niedwuznacznie świadczyły, że cierpi na zespół Downa. Chip uśmiechnął się do nich. Chłopak zdawał się go nie dostrzegać. Kobieta wyglądała na bardzo zmęczoną. Nikt się nie odzywał. Oboje wysiedli na trzecim piętrze.

Kiedy drzwi się zamykały, Chip utkwiał w nich nieruchome spojrzenie. Gdy winda ruszyła w dół, powiedział:

– Weźmy tę biedaczkę. Nie spodziewała się tego – urodziła dziecko w późnym wieku i teraz będzie musiała wiecznie się nim opiekować. Takie nieszczęście może zachwiać światopoglądem człowieka. Spotkało mnie właśnie coś takiego – wszystkie te problemy z dziećmi. Nie liczę już na happy endy.

Odwrócił się ku mnie. W jego stalowych oczach była wściekłość. Naprawdę spodziewam się, że pomoże pan Cassandrze. Skoro już musi przejść przez to całe gówno, oszczędźmy jej przynajmniej cierpienia.

Winda stanęła. Chip zniknął mi z oczu, ledwo drzwi się rozsunęły.

Gdy wróciłem do poradni pediatrii ogólnej, Stephanie była w jednym z pokoiów przyjęć. Zaczekałem na korytarzu. Wyszła po paru minutach w towarzystwie ogromnej Murzynki i może pięcioletniej dziewczynki, która ubrana była w czerwoną sukienkę w grochy, miała skórę czarną jak smoła, i piękne afrykańskie rysy. Jedną rękę podała Stephanie, w drugiej trzymała lizaka. Strużki łez spływały jej po policzku, niczym lakier po hebanie. W zgięciu ramienia odznaczał się okrągły różowy plaster.

– Byłaś dzielna, Tonya – mówiła Stephanie. – Spostrzegłszy mnie rzuciła w przelocie ledwo słyszalnym szeptem. – U mnie w gabinecie – i zwróciła się znów ku dziewczynce.

Poszedłem do jej pokoju. Tomik Byrona wrócił już na półkę, jego złożony grzbiet wyróżniał się wśród tekstów medycznych.

Przekartkowałem ostatni numer „Pediatrics”. Niedługo potem weszła Stephanie. Zamknęła drzwi i opadła na swoje krzesło.

– No więc – zapytała. – Jak poszło?

– Świetnie, nie licząc ciągłej niechęci pani Bottomley.

– Przeszkadza ci?

– Nie, tylko zachowuje się wciąż tak samo. – Zrelacjonowałem jej scenę, jaka rozegrała się między Chipem i pielęgniarką. – Starła mu się przypodobać, ale najpewniej wszystko spaliło na panewce. Uważa ją za bezwstydną lizuskę, choć przyznaje, że dobrze opiekuje się Cassie. A jego wyjaśnienie faktu, że Vicki czuje do mnie urazę jest chyba trafne: zabiega o względy ważnego pacjenta.

– Stara się zwrócić na siebie uwagę, co? To jeden z objawów Munchausena.

– Owszem. Co więcej, odwiedzała ich w domu. Ale tylko parę razy, dawno temu. Toteż nie wydaje się możliwe, by miała w tym jakiś udział. Ale miejmy ją na oku.

– Ja już zaczęłam, Alex. Wypytywałam o nią tu i tam. W izbie pielęgniarek uważają, że jest znakomita. Regularnie dobre oceny, żadnych skarg. I o ile mi wiadomo, nie było niczego niezwykłego w przebiegu choroby żadnego z jej pacjentów. Ale moja propozycja jest nadal aktualna: jeśli będzie zbyt dużo tarć, przeniosę ją.



– Zobaczą, czy uda mi się dojść z nią do ładu. Cindy i Chip lubią ją.

– Mimo że się podlizuje?

– Mimo to. Nawiasem mówiąc, Chip myśli to samo o całym szpitalu. Nie lubi, gdy traktuje się go wyjątkowo.

– To znaczy?

– Nie wymienił żadnych konkretnych zarzutów. Szczególnie podkreślał, że lubi ciebie. Niepokoi się tylko, że ktoś może czegoś zaniedbać ze względu na pozycję jego ojca. Wydaje się przede wszystkim wyczerpany. Ona też.

– A czy my wszyscy nie jesteśmy – odparła. – No więc, jakie wrażenie zrobiła na tobie mama?

– Jest inna niż się spodziewałem – on zresztą też. Bardziej pasują do restauracji ze zdrową żywnością niż do country clubu. Oboje też się od siebie różnią. Ona jest bardzo... chyba najlepiej oddaje to słowo naturalna. Skromna. Szczególnie jak na synową bonzy. Mogę sobie wyobrazić, że Chip wyrósł wśród bogactwa, ale nie wygląda właściwie na syna biznesmena.

– Kolczyk?

– Kolczyk, wybór zawodu, sposób bycia. Opowiadał, że w dzieciństwie zmuszano go do uległości i o tym, że się buntował. Może ślub z Cindy też był tego przejawem. Różnica wieku między nimi wynosi dwanaście lat. Czy była jego studentką?

– Mogła być, nie wiem. Czy to istotne przy Munchhausenie?

– Właściwie nie. Badam na razie przedpole. Zbyt wcześnie jeszcze, by orzekać, czy jej typ sceniczny odpowiada typowi munchhausenowskiemu. Wtrąca czasem wyrażenia z żargonu medycznego, bardzo utożsamia się z Cassie – odczuwa niemal telepatyczną więź. Fizyczne podobieństwo między nimi jest duże – Cassie wygląda jak mama w miniaturze. A to, jak sądzę, może ułatwiać identyfikację.

– Znaczy to, że jeśli Cindy czuje do siebie nienawiść, może dokonywać jej projekcji na córkę?

– To prawdopodobne – powiedziałem. – Ale daleki jestem od takich interpretacji. Czy Chad także był do niej podobny?

– Widziałam go martwego, Alex. – Ukryła twarz w dłoniach, przetarła oczy i spojrzała na mnie. – Pamiętam tylko, że był to śliczny chłopczyk. Szary, jak statuetki cherubinów, które ustawia się w ogrodzie. Prawdę mówiąc, starałam się nie patrzeć na niego.

Podniosła małą filiżankę i wyglądała, jakby była gotowa nią rzucić.

– Boże, co za koszmar. Znosiłam go do prosektorium. Winda dla personelu była zatłoczona. Stałam tam, trzymając to zawiniątko. Czekałam. Ludzie przechodzili tuż obok mnie, gadali. Miałam ochotę krzyknąć. Wreszcie przeszłam do wind dla pacjentów. Zjechałam na dół z grupką innych ludzi. Pacjenci, rodzice. Starałam się nie patrzeć na nich. Żeby nie domyślili się, co wiozę.

Siedzieliśmy przez chwilę. Nagle powiedziała:

– Ekspres – przechyliła się w stronę czarnej maszynki i włączyła ją. Rozjarzyło się czerwone światełko. – Naładowany i gotowy. Utopimy nasze troski w kofeinie. Och, miałam ci podać te artykuły.

– Wyjęła z biurka kartkę papieru i wręczyła mi listę dziesięciu artykułów.

– Dzięki.

– Coś jeszcze zwróciło twoją uwagę u Cindy? – zapytała.

– Jak dotąd żadnej belle indifference ani przesadnego zwracania na siebie uwagi. Przeciwnie, wygląda raczej na przygnębioną. Chip wspominał, że ciotka, która ją wychowywała była pielęgniarką, więc dziewczyna wcześniej zetknęła się z problematyką zdrowotną, poza tym jest rehabilitantką terapii oddechowej. Ale samo w sobie, to niewiele. Jej przygotowanie do opieki nad dzieckiem jest dobre –

nawet wzorowe.

– A jej stosunki z mężem? Wyczułeś jakieś napięcie?

– Nie. A ty?

Potrząsnęła głową. Uśmiechnęła się.

– Sądziłam jednak, że znacie jakieś sztuczki.

– Nie wziąłem dzisiaj swojej torby. Zresztą wygląda na to, że całkiem dobrze im ze sobą.

– Jedna wielka szczęśliwa rodzinka – powiedziała. – Widziałeś już kiedyś coś podobnego?

– Nigdy – odparłem. – Munchhausenowcy unikają psychologów i psychiatrów jak zarazy, ponieważ nasza obecność jest dowodem na to, że nie traktuje się poważnie ich dolegliwości. Najbliższą odmianą tej psychozy, z jaką się zetknąłem są hipochondrycy – rodzice przekonani, że coś jest nie tak z ich dziećmi i biegający od specjalisty do specjalisty, choć nikt nie może się dopatrzeć żadnych rzeczywistych objawów. Kiedy praktykowałem jako psycholog, kierowali ich do mnie lekarze, których doprowadzili do szaleństwa. Ale nigdy nie zajmowałem się nimi zbyt długo. O ile w ogóle się pojawiali, przyjmowali dość nieprzyjazną postawę i prawie zawsze rychło rezygnowali.

– Rodzice – hipochondrycy – powtórzyła Steph. – Nigdy nie przyszło mi do głowy, że to munchhausenowcy w miniaturze.

– Może tu działać ten sam mechanizm, tylko w łagodniejszej postaci. Obsesja na punkcie zdrowia, obskakiwanie autorytetów dla zwrócenia na siebie ich uwagi.

– Walc – powiedziała. – A co z Cassie? Jak się zachowywała?

– Dokładnie tak, jak to opisałaś. – Rozbeczała się na mój widok, ale w końcu uspokoiła się.

– Widzę, że idzie ci lepiej niż mnie.

– Ja nie faszeruję jej zastrzykami, Steph.

Uśmiechnęła się kwaśno.

– Może wybrałam złą specjalność. Masz coś jeszcze do dodania na jej temat?

– Nie odnotowałem żadnych istotnych zaburzeń, co najwyżej nieznaczne opóźnienie rozwoju mowy. Jeśli sytuacja nie poprawi się w ciągu najbliższych sześciu miesięcy, będę to musiał sprawdzić, stosując cały arsenał środków, łącznie z testami neuropsychologicznymi.

Zaczęła porządkować leżące na biurku sterty papierów. Obróciła się na krześle i spojrzała mi w oczy.

– Sześć miesięcy – powtórzyła. – Jeżeli będzie jeszcze żyła.

## Rozdział szósty

Duszną poczekalnię wypełniał zniecierpliwiony tłum. Gdy Stephanie wyszła ze mną z pokoju, kilka matek obrzuciło ją pełnymi nadziei spojrzeniami.

– Już zaraz – powiedziała z uśmiechem i odprowadziła mnie do holu.

Mała grupa – trzech lekarzy w białych fartuchach i mężczyzna o wyglądzie biznesmena w garniturze z szarej flaneli – zdążyła w naszym kierunku. Idący na ich czele biały fartuch dostrzegł nas i zawołał:

– Doktor Eves!

Stephanie wykrzywiła się.

– Cudownie.

Przystanęła, aż mężczyźni zrównali się z nami. Ci w białych fartuchach, wszyscy około pięćdziesiątki, mieli dobrze odkarmione i dobrze wygolone fizjonomie starszych lekarzy o ustalonej praktyce.

Garnitur był młodszy – gdzieś w połowie trzydziestki – i mocno zbudowany. Miał sześć stóp wzrostu, ważył jakieś dwieście trzydzieści funtów. Głowa na grubej, walcowatej szyi, wyrastała z potężnych, przygarbionych i obrośniętych tłuszczem ramion. Miał krótkie, popielate włosy i łagodne rysy, z wyjątkiem nosa skrzywionego po złamaniu. Rzadki wąsik nie przydawał twarzy żadnej powagi. Mężczyzna wyglądał jak były atleta bawiący się w biznesmena. Trzymał się z tyłu za innymi, zbyt daleko, bym mógł odczytać jego plakietkę.

Idący na czele lekarz też był gruby i bardzo wysoki. Miał szerokie usta o cienkich wargach i długawe, choć przerzedzone, kręcone włosy w kolorze stołowego srebra, które powiewały mu po obu stronach głowy. Ciężki, wydatny podbródek sprawiał wrażenie wysuniętego. Miał bystre brązowe oczy, skórę zaróżowioną i lśniącą, jakby przed chwilą wyszedł z sauny. Obaj idący po jego bokach lekarze byli średniego wzrostu, siwi i w okularach. Jeden z nich nosił perukę.

– Cóż tam słyhać w okopach, doktor Eves? – zapytał ten z podbródkiem, głębokim, nosowym głosem.

– Jak to w okopach – odparła Stephanie.

Lekarz zwrócił się w moją stronę, unosząc rytmicznie brwi.

– To jest doktor Delaware, należy do personelu – przedstawiła mnie Stephanie.

Szybkim ruchem podał mi rękę.

– Nie sądzę, bym miał przyjemność. George Plumb.

– Miło pana poznać, doktorze Plumb.

Jego uścisk przypominał imadło.

– Delaware – powtórzył. Jaka jest pańska specjalizacja, doktorze?

– Jestem psychologiem.

– Aha.

Obaj siwi mężczyźni spojrzeli na mnie, ale nie odezwali się ani nie poruszyli. Ten w garniturze wydawał się zajęty liczeniem otworów w akustycznym suficie.

– Pracuje na pediatrii – wyjaśniła Stephanie. – Jest konsultantem w sprawie Cassie Jones – pomaga rodzinie walczyć ze stresem.

Plumb przeniósł znów wzrok na nią.

– Aha. Bardzo dobrze. – Dotknął lekko jej ramienia. Wytrzymała to przez chwilę, potem cofnęła się.

Uśmiechnął się znowu.

– Musimy się naradzić, Stephanie. Każę mojej dziewczynie, żeby zadzwoniła do twojej i ustaliła termin.

– George, ja nie mam dziewczyny. W piątkę mamy na spółkę jedną panią, sekretarkę.

Siwi bliźniacy spojrzeli na nią, jak na ciekawy okaz. Ten w garniturze był myślami gdzieś indziej.

Plumb uśmiechał się ciągle.

– Tak, nomenklatura ustawicznie się zmienia. Dobrze, więc moja dziewczyna zadzwoni do twojej pani. Trzymaj się, Stephanie.

Poprowadził korytarzem swoją świtę, przystanął parę metrów dalej i zaczął lustrować ścianę z góry na dół i z powrotem, jakby chciał ją wymierzyć.

– No chłopcy, co jeszcze chcecie zdemontować? – mruknęła pod nosem Stephanie.

Plumb ruszył dalej i cała grupa zniknęła za zakrętem korytarza.

– Kto to właściwie był? – zapytałem.

– Był to doktor Plumb, nasz nowy kierownik administracyjny i członek rady odpowiedzialny za sprawy ekonomiczne. Chłopak papy Jonesa. – Pan Interesowny.

– Doktor medycyny administratorem?

Roześmiała się.

– Co, fartuch? Nie, nie jest lekarzem. Tylko jakimś tam kretyńskim doktorem humanistyki... – Urwała czerwieniąc się. – Jezu, przepraszam.

Musiałem się roześmiać.

– Nie przejmuj się.

– Alex, naprawdę przepraszam. Wiesz, co myślę o psychologach...

– Nie ma sprawy. – Otoczyłem ręką jej ramiona. Objęła mnie w pasie.

– Źle z moją głową – powiedziała cicho. – Stanowczo staję się rozkojarzona.

– Z czego Plumb ma doktorat?

– Z biznesu czy zarządzania, coś w tym stylu. Wykorzystuje to, jak tylko może. Każe się tytułować doktorem, nosi biały fartuch. Większość jego sługusów też ma doktoraty – jak ci, którzy z nim byli, Flip i Flap: Roberts i Novak, jego księgowi. Wszyscy oni uwielbiają zaglądać do jadalni dla lekarzy i urzędować tam przy stoliku. Pokazują się na posiedzeniach lekarskich i obchodach bez żadnego uzasadnienia, pałętają się wszędzie oglądając, mierząc i robiąc notatki. Widziałeś, jak Plumb zatrzymał się i obmierzał tamtą ścianę. Nie zdziwiłabym się, gdyby wkrótce pokazali się stolarze. Z trzech gabinetów zrobią sześć, pomieszczenia kliniczne zabiorą na biura. A teraz Plumb chce naradzić się ze mną – trzeba spodziewać się czegoś nowego.

– Jesteś zagrożona?

– Wszyscy są, ale pediatria ogólna jest w najgorszej sytuacji. Nie mamy wymyślnej aparatury ani heroicznych dokonań na pierwsze strony gazet. Przyjmujemy głównie pacjentów z miasta. Proporcja zwrotu kosztów do poniesionych wydatków jest u nas najniższa w całym szpitalu. Odkąd nie ma psychiatrii. – Uśmiechnęła się.

– Nawet nowoczesna aparatura nie zapewnia bezpieczeństwa – powiedziałem. – Dziś rano, szukając windy, przechodziłem koło miejsca, gdzie była kiedyś medycyna nuklearna. W pomieszczeniach tych jest teraz jakiś MAGAZYNEK.

– Jeszcze jeden wyczyn Plumba. Ale nie martw się o jądrowców – mają się dobrze. Przeprowadzili się na dwójkę, ta sama powierzchnia, tylko pacjenci miewają trudności z odnalezieniem ich. Za to niektóre inne specjalności mają prawdziwe problemy – nefrologia, reumatologia, twoi koledzy

z onkologii. Wsadzili ich do barakowozów po drugiej stronie ulicy.

– Do barakowozów?

– Jak w Winnebago.

– Przecież to podstawowe specjalności, Steph. Dlaczego się na to zgodzili?

– Nie było wyboru, Alex. Zrzekli się swoich praw. Mieli ich umieścić w starej hollywoodzkiej Lutheran Tower – Western Peds zakupił ją przed paru laty, kiedy luteranie sami musieli się jej pozbyć z powodu własnych problemów finansowych. Rada obiecywała zbudować fantastyczne pomieszczenia każdemu, kto się tam przeprowadzi. Prace miały się rozpocząć w zeszłym roku. Specjalności, które wyraziły zgodę, przeniesiono do barakowozów, a ich pokoje oddano komuś innemu. Potem odkryli – Plumb odkrył – że co prawda zgromadzono dość pieniędzy, by zapłacić z góry za nową siedzibę i dokonać kilku przeróbek, jednak brak dostatecznych funduszy na zakończenie robót i utrzymanie budynku. Drobne trzynaście milionów dolarów. Spróbuj zebrać je w takiej atmosferze – już teraz cierpimy na brak bohaterów, ponieważ przyłgnęła do nas opinia szpitala dla ubogich, a nikt nie chce, żeby jego nazwisko zdobiło drzwi kilku gabinetów lekarskich.

– Barakowozy – powiedziałem. – Melendez-Lynch musi być zachwycony.

– Melendez-Lynch odszedł, adios, w zeszłym roku.

– Żartujesz. Przecież Raoul mieszkał tutaj.

– Już nie. Jest w Miami. Zaproponowali mu stanowisko ordynatora w jakimś szpitalu, a on się zgodził. Słyszałam, że ma trzy razy wyższą pensję i o połowę mniej kłopotów.

– To było tak dawno – powiedziałem. – Raoul dostawał tyle dotacji na badania naukowe. Dlaczego pozwolili mu odejść?

– Alex, dla tych ludzi badania naukowe nie mają znaczenia. Nie chcą ponosić dodatkowych kosztów. Grają według zupełnie innych reguł. – Opuściła rękę, którą obejmowała mnie w pasie. Ruszyliśmy dalej.

– A kim jest ten drugi facet? – zapytałem. – Pan Szara Marynara.

– Och, ten. – Wydawała się zdeprymowana. – To Huenengarth – Presley Huenengarth. Szef ochrony.

– Wygląda jak egzekutor – powiedziałem. – Mięśniak wymuszający należności od tych, którzy nie płacą rachunków.

Roześmiała się.

– To nie byłoby takie straszne. Ponad osiemdziesiąt procent rachunków szpitalnych pozostaje niezapłacone. Nie, nie wydaje się, żeby on robił coś konkretnego. Towarzyszy tylko Plumbowi i czai się. Niektórzy twierdzą, że przypomina widmo.

– Dlaczego?

Nie odpowiadała przez chwilę.

– Sposobem bycia, jak sędzę.

– Miałaś z nim jakieś przykre doświadczenia?

– Ja? Nie. Dlaczego?

– Sprawiasz wrażenie trochę niespokojnej, kiedy o nim mówisz.

– Nie – odparła. – To nic osobistego – chodzi tylko o jego zachowanie. Pojawia się niespodziewanie. Materializuje się zza rogu. Wychodzisz z pokoju pacjenta, a on stoi tuż obok.

– Uroczy.

– Tres. Ale cóż może zrobić dziewczyna? Wezwać ochronę?

Zjechałem samotnie na parter, pokój ochrony był otwarty. Poddawszy się pięciominutowemu przesłuchaniu prowadzonemu przez umundurowanego strażnika, zdobyłem wreszcie prawo do posiadania

kolorowej plakietki.

Na zdjęciu wyszedłem jak palant. Wpiąłem identyfikator w klapę, zszedłem schodami na drugie piętro podziemia i skierowałem się w stronę szpitalnej biblioteki, zamierzając pożyczyć artykuły, które poleciła mi Stephanie.

Drzwi były zamknięte. Naklejony na nich okólnik bez daty informował o nowych godzinach otwarcia biblioteki – od poniedziałku do środy, między piętnastą a siedemnastą.

Zajrzałem do sąsiedniej czytelnicy. Była otwarta, ale pusta. Wkroczyłem w zupełnie inny świat. Boazeria malowana farbą olejną, obite skórą, wyściełane kanapki i głębokie fotele, piękne, choć podniszczone perskie dywany na żółtym, ułożonym w jodełkę, dębowym parkiecie.

Hollywood zdawał się leżeć na innej planecie.

Wyposażenie pokoju, będącego niegdyś gabinetem w angielskiej rezydencji, подарowane szpitalowi przed wielu laty – zanim przybyłem tam jako stażysta – przewiezione zostało przez Atlantyki i zrekonstruowane dzięki finansowemu wsparciu mecenasa-anglofila, który uważał, że lekarzom należą się chwile relaksu w stylowym otoczeniu. Sam nie spędził ani minuty w towarzystwie lekarza z Western Peds.

Przeszedłszy szybko przez czytelnicy, spróbowałem wejść do biblioteki przez drzwi łączące oba pomieszczenia. Były otwarte.

W pozbawionym okien pokoju panowały egipskie ciemności. Zapaliłem światło. Prawie wszystkie regały były puste, tylko na niektórych półkach leżały luźne stopy zdekompletowanych egzemplarzy rozmaitych czasopism. Niedbale ułożone sterty książek piętrzyły się na podłodze. Tylne ściany były całkiem gołe.

Nie znalazłem komputera, z którego korzystałem w systemie Medline. Ani tradycyjnego katalogu w obudowie ze złocistego dębu, z etykietkami odręcznie wypisanymi na pergaminie. Jedyne meble były szary metalowy stolik. Do blatu przyklejono jakąś kartkę. Okólnik wewnętrzny sprzed trzech miesięcy.

Do: personelu medycznego.

Wydane przez: dra biz. i żarz. G.H. Plumba, kierownika administracyjnego.

Dotyczy: restrukturyzacji biblioteki.

W odpowiedzi na powtarzające się próby personelu medycznego i zgodnie z pozytywną decyzją podjętą przez Komisję Badań Naukowych, Radę Nadzorczą w pełnym składzie i Podkomisję Finansową Rady Administracyjnej, katalog Biblioteki Medycznej przekształcony zostanie w system w pełni skomputeryzowany, oparty na standardowych programach wyszukiwania danych typu Orion i Melvyl. Po rozpisaniu konkursu na przeprowadzenie komputeryzacji i starannym rozważeniu propozycji, analizie kosztów i zysków, kontrakt podpisano z koncernem BIO-DAT Inc. z Pittsburgha, w stanie Pensylwania, firmie specjalizującej się w integracji placówek opieki zdrowotnej i systemach wyszukiwania wyników badań naukowych i medycznych. Przedstawiciele BIO-DAT-u poinformowali nas, że cały proces zajmie około trzech tygodni, odkąd wejdą w posiadanie wszystkich niezbędnych danych. W związku z tym kartoteka biblioteki przesiana zostanie do centrali BIO-DAT-u w Pittsburghu na czas niezbędny do przeprowadzenia komputeryzacji, a po jej zakończeniu wróci do Los Angeles, do archiwum. Dziękujemy za współpracę i przepraszamy za niedogodności, jakie mogą wynikać w tym okresie.

Trzy tygodnie przeciągnęły się do trzech miesięcy.

Przesunąłem po metalowym blacie palcem. Jego czubek był czarny od kurzu.

Wyszedłem z pokoju, gasząc światło.

Sunset Boulevard przypominał tygiel, w którym gniew i nędza mieszały się z nadzieją imigrantów, przyprawione popełnianym bezkarnie przestępstwem.

Minąłem porno kluby, piwnice muzyczne, gigantyczne tablice ogłoszeniowe show-biznesu i butiki dla anorektycznych klientek; przeciąłem Doheny i prześlizgnąłem się między świątyniami mamony w Beverly Hills. Minąwszy rozwidlenie w Beverly Glen, gdzie zwykle skręcałem do domu, skierowałem się ku miejscu, w którym zawsze można przeprowadzić poważne studia. Bywał tu także Chip Jones.

Biblioteka biomedyczna pełna była dociekliwych i obowiązkowych. Przy jednym z monitorów dostrzegłem znajomą sylwetkę.

Twarz urwisa, skupione spojrzenie, dyndające kolczyki, podwójnie przekłute prawe ucho. Jasnobrązowe włosy niegdyś przycięte na pazia, tworzyły teraz sięgający ramion wachlarz. Biała linia kołnierzyka widoczna była ponad szerokim wycięciem granatowego swetra.

Kiedy widziałem ją po raz ostatni? Jakies trzy lata temu. Więc miała teraz dwadzieścia.

Ciekaw byłem, czy obroniła już doktorat.

Szybko uderzała w klawisze, przywołując na ekran potrzebne informacje. Zbliżywszy się dostrzegłem, że tekst był po niemiecku. Raz po raz pojawiał się wyraz neuropeptide.

– Cześć, Jennifer.

Okręciła się na stołku.

– Alex! – Uśmiechnęła się promiennie. Pocałowała mnie w policzek i wstała.

– Już doktor Leavitt? – zapytałem.

– W czerwcu – odparła. – Wykańczam dysertację.

– Moje gratulacje. Neuroanatomia?

– Neurochemia – o wiele bardziej praktyczne, prawda?

– Wciąż masz zamiar iść na wydział medyczny?

– W następnym semestrze. Do Stanford.

– Psychiatria?

– Sama nie wiem – odparła. – Może coś bardziej... praktycznego. Bez urazy. Mam czas, zobaczę, co mnie będzie pociągać.

– No cóż, rzeczywiście nie ma pośpiechu – ile masz lat, dwanaście?

– Dwadzieścia! Za miesiąc będę miała dwadzieścia jeden.

– Prawdziwa staruszka.

– A ty nie byłeś młody, kiedy skończyłeś studia?

– Nie taki znów młody. Golilem się już.

Znów się roześmiała.

– Fajnie, że cię widzę. Nie wiesz, co u Jameya?

– Dostałem kartkę na Boże Narodzenie. Z New Hampshire. Dzierżawi tam farmę. Pisze wiersze.

– Czy... wszystko u niego w porządku?

– Lepiej się czuje. Na kartce nie podał zwrotnego adresu, a nie było go w spisie. Zadzwoiłem więc do psychiatry, która zajmowała się nim w Carmel. Mówiła, że w czasie leczenia zachowywał się całkiem dobrze. Rzecz jasna ma tam kogoś, kto się nim opiekuje. Jedną z pielęgniarek, która zajmowała się nim w szpitalu.

– No cóż, to dobrze – powiedziała. – Biedny chłopak. Tak wiele miał w życiu ułatwień i trudności.

– Zgrabnie to ujęłaś. Kontaktujesz się może z innymi ludźmi z grupy?

Grupa. Projekt 160. Jak iloraz inteligencji. Przyspieszone studia akademickie dla genialnych

nastolatków. Wielki eksperyment. Skończyło się na tym, że jeden z uczestników został oskarżony o dokonanie serii morderstw. Byłem w to wmieszany, znalazłem się w świecie nienawiści i zepsucia.

– ... Jest na prawie w Harvardzie, zamierza zostać sędzią, Felicia studiuje matkę na Columbi, a David wyleciał z wydziału medycznego University of Chicago po pierwszym semestrze i został handlowcem. Na giełdzie. Zawsze był typem kombinatora. W każdym razie projekt się rozleciał – doktor Flowers nie starała się o przedłużenie dotacji.

– Kłopoty ze zdrowiem?

– Częściowo. No i oczywiście rozgłos, jaki wywołała sprawa Jameya nie pomógł jej. Przeniosła się na Hawaje. Sądzę, że chciała zminimalizować stres, w związku z tym, że cierpi na stwardnienie rozsiane.

Już drugi raz owego dnia natrafiłem na ślady przeszłości. Uświadomiłem sobie, jak wiele różnych spraw rozpocząłem w moim życiu.

– No, a co ciebie tu sprowadza? – zapytała.

– Szukam materiałów na temat pewnego przypadku.

– Coś ciekawego?

– Zespół Munchhausena per procura. Wiesz coś na ten temat?

– Słyszałam o Munchhausenie – chodzi o osoby, które znęcają się nad sobą, żeby wywoływać choroby, prawda? A dlaczego per procura?

– Są ludzie, którzy wywołują choroby u własnych dzieci.

– No nie, to jest naprawdę obrzydliwe. Jakie choroby?

– Prawie każdą. Najczęstsze objawy to zaburzenia oddechowe, krwawienia, gorączki, zakażenia, rzekome napady padaczkowe.

– Per procura – powtórzyła. – Już samo określenie jest deprymujące wyrachowane, jakby dotyczyło jakiejś transakcji handlowej. Zajmujesz się teraz kimś takim?

– Obserwuję pewną rodzinę, żeby sprawdzić, czy mamy z tym do czynienia. Jestem ciągle w stadium wstępnej diagnozy. Mam trochę podstawowych danych bibliograficznych, zamierzałem przejrzeć literaturę.

Uśmiechnęła się.

– Interesuje cię katalog kartkowy czy może oswoiłeś się z komputerem?

– Komputer. Jeśli monitor odpowiada po angielsku.

– Masz konto pracownicze SAP?

– Nie. Co to takiego?

– „Search and Print”. To nowy system. Czasopisma wczytane do komputera. Pełne teksty zeskanowane i wprowadzone do pamięci. Można wywoływać całe artykuły i otrzymać ich wydruki. Tylko dla wykładowców, jeśli masz ochotę zapłacić. Mój profesor załatwił mi tymczasowe stanowisko wykładowcy i własne konto. Spodziewa się, że opublikuję wyniki swoich badań i zamieszczę tam jego nazwisko. Niestety system nie obejmuje jeszcze czasopism obcojęzycznych, więc muszę je wyszukiwać staroświeckimi metodami.

Wskazała na ekran.

– Język panów. Czyż nie rozkoszne są te sześćdziesięcioliterowe wyrazy z umlautami? Gramatyka jest zwariowana, ale mama pomaga mi przy trudniejszych kawałkach.

Przypomniała mi się jej matka, tęga i sympatyczna, pachnąca cukrem i surowym ciastem. Miała niebieski numer na białym, miękkim ramieniu.

– Załatw sobie kartę SAP – zachęcała Jennifer. – Prawdziwa frajda.



– Nie wiem, czy mi przysługuje. Pracuję poza uczelnią.  
– Sądzę, że tak. Pokaż tylko legitymację i zapłać, ile trzeba. Za jakiś tydzień będzie gotowa.  
– W takim razie zrobię to później. Nie mogę czekać tak długo.  
– No tak, oczywiście, że nie. Słuchaj mam jeszcze mnóstwo niewykorzystanego czasu na swoim koncie. Mój profesor chce, żebym zużyła cały. Będzie mógł prosić o większe nakłady na komputery w przyszłorocznym budżecie. Jeśli chcesz, żebym wyszukała coś dla ciebie, pozwól, że skończę swoją robotę i znajdziemy wszystko o ludziach, którzy „prokurują” swoje dzieci.

Wjechaliśmy na ostatnie piętro biblioteki, gdzie znajdował się pokój SAP-u. Nie różniło się to niczym od terminali, przy których siedziała Jennifer: rzędy komputerów ustawione były w kabinach. Znaleźliśmy wolne stanowisko i Jennifer wyszukała dane bibliograficzne na temat Munchhausena per procura. Ekran szybko się zapełniał. Lista zawierała wszystkie artykuły, które poleciła mi Stephanie, i wiele innych.

– Wygląda na to, że najwcześniejszy jest z 1977 roku – powiedziała Jennifer. „Lancet”. Meadow, R. „Zespół Munchhausena per procura: Podświadomość a znęcanie się nad dzieckiem”.

– To pierwszy artykuł na ten temat – powiedziałem. – Meadow jest brytyjskim pediatrą, który odkrył ten zespół i nadał mu nazwę.

– Podświadomość... to też brzmi złowieszczo. A oto lista tematów pokrewnych: zespół Munchhausena, przestępstwa wobec dzieci, kazirodztwo, zachowania dysocjatywne.

– Zaczynij od zachowań dysocjatywnych.

Przez następną godzinę przebieraliśmy wśród setek artykułów, w końcu odsialiliśmy jakiś tuzin tych, które wydawały się istotne. Kiedy skończyliśmy, Jennifer zabezpieczyła zbiór i wystukała numer kodu.

– Połączy nas z systemem drukującym – wyjaśniła.

Drukarki znajdowały się za niebieskimi przepierzeniami ustawionymi wzdłuż dwu ścian przyległego pokoju. Każda składała się z małego ekranu, otworu na kartę, klawiatury i siatkowego pojemnika na wydruki umieszczonego pod szeroką na stopę poziomą szczeliną, która przypominała mi usta George’a Plumba. Dwa terminale były wolne. Na jednym widniał napis NIE DZIAŁA.

Jennifer uruchomiła ekran operacyjny, umieszczając plastikową kartę w otworze i wystukując kod literowo-cyfrowy, potem hasła wywoławcze pierwszego i ostatniego z odszukanych artykułów. Po paru sekundach siatka zaczęła napęlić się papierem wydruku.

– Automatycznie zestawiane – skomentowała. – Chytre, co?

– Melvyl i Orion – to podstawowe programy, prawda? – zapytałem.

– Przedpotopowe. Wyprzedzają tylko o krok fiszki w katalogu.

– Czy gdyby szpital o ograniczonym budżecie chciał skomputeryzować katalog, mógłby sobie pozwolić na coś więcej?

– Jasne. Na znacznie więcej. Jest cała masa nowych programów. Nawet lekarz z prywatną praktyką mógłby sobie pozwolić na coś lepszego.

– Słyszałaś kiedyś o spółce BIO-DAT?

– Nie, nie powiem, że tak, ale to o niczym nie świadczy – nie jestem komputerowcem. Dla mnie to tylko narzędzie. A co takiego? Co oni robią?

– Komputeryzują bibliotekę w Western Pediatrics Hospital. Zamieniają katalog kartkowy na Melvyl i Orion. Miała to być robota na trzy tygodnie, a babrzą się z tym już trzy miesiące.

– Czy to jakaś ogromna biblioteka?

– Skądże, całkiem mała.

– Jeśli ma to być tylko program wyszukiwania danych, za pomocą skanera można to zrobić w ciągu paru dni.

– A jeśli nie mają skanera?

– Są w epoce kamiennej. Oznaczałoby to transfer ręczny. Przepisywanie na maszynie każdego artykułu słowo po słowie. Ale dlaczego ktoś miałby wynająć firmę z takim prymitywnym sprzętem, skoro... Oo, już skończone.

Gruby plik papieru wypełniał siatkowy pojemnik.

– Cuda-niewidy. Bez pracy, koszyk kołaczy – skonkludowała. Kiedyś uda im się pewnie zaprogramować broszurowanie.

Podziękowałem jej, życząc powodzenia i pojechałem do domu z grubym plikiem dokumentów na siedzeniu pasażera. Zameldowałem się w biurze zleceń, przejrzałem pocztę, nakarmiłem rybki – koi, które przeżyły dzieciństwo i rozwijały się znakomicie – po czym przełknąwszy pozostałe z wczorajszej kolacji pół kanapki z rostbefem i popiwszy piwem, zabrałem się do mojej pracy domowej.

Ludzie, którzy „prokurowali” swoje dzieci...

Po trzech godzinach lektury czułem się paskudnie. Nawet suchy styl artykułów medycznych nie uchronił mnie przed dreszczem grozy.

Diabelski walc...

Zatruwanie solą, cukrem, alkoholem, narkotykami, środkami wykrztuśnymi, przeczyszczającymi, emetykami, nawet fekaliami i ropą, wywołującymi wyniszczające młode organizmy inwazje bakterii.

Niemowlęta i dzieci poddawane całemu szeregowi zatrważających męczarni, przywodzących na myśl nazistowskie „eksperymenty”. Następujące po sobie przypadki dzieci, u których indukowano przerażającą różnorodność objawów – wyglądało na to, że można wywołać sztucznie praktycznie każdą chorobę.

Winowajczyniami były najczęściej matki.

Ofiarami – prawie zawsze córki.

Charakterystyka kryminologiczna: przykładna matka, często urocza i ujmująca, z przygotowaniem medycznym. Niezwykły spokój w obliczu tragedii – stopień uczuciowe skrywane pod pozorami opanowania. Natura troskliwa i opiekuńcza – pewien specjalista uprzedzał nawet lekarzy, żeby zwracali szczególną uwagę na matki „nadopiekuńcze”.

Cokolwiek miało to oznaczać.

Przypomniałem sobie, jak Cindy Jones przestała płakać z chwilą, gdy zbudziła się Cassie. Jak zajmowała się małą, pieściła, opowiadała bajki i przytulała do piersi.

Troskliwa opieka czy jakaś podłość?

Zgadzałoby się coś jeszcze.

W „Lancecie” był inny artykuł doktora Roya Meadowa, pioniera badań w tej dziedzinie. Opisywał odkrycie dokonane w 1984 roku, po starannym zbadaniu trzydziestu dwóch przypadków sztucznie wywołanej epilepsji.

Siedmioro dzieci będących rodzeństwem, zmarło i zostało pochowanych. Za każdym razem chodziło o Zespół Nagłej Śmierci Noworodków.

## Rozdział siódmy

Poczytałem jeszcze trochę do siódmej, potem popracowałem nad korektą monografii, którą przyjęto mi do druku. Dotyczyła adaptacji emocjonalnej uczniów szkoły ostrzelanej przez snajpera w zeszłym roku. Dyrektorka stała się moją przyjaciółką, następnie czymś więcej. A potem wyjechała do Teksasu opiekować się chorym ojcem. Ojciec zmarł, a ona nigdy nie wróciła.

Sprawy, które rozpoczynałem...

Zastałem Robin w jej pracowni. Powiedziała, że ma roboty po łokcie przy szarpiącym nerwy przedsięwzięciu – wykonaniu czterech gitar w kształcie bombowców Stealth dla kapeli heavy-metalowej, której członkowie nie grzeszyli nadmiarem pieniędzy, za to lubili się zabawić. Nie zdziwiło mnie więc wyczuwalne w jej głosie napięcie.

– Dzwonię nie w porę?

– Nie, nie, to miło pogadać z kimś, kto nie jest pijany.

Usłyszałem wrzaski.

– Czy to są chłopcy? – zapytałem.

– Jacy tam chłopcy. Wykopuję ich, a oni ciągle wracają jak bumerang. Wydawałoby się, że mają coś innego do roboty – zdemolować apartament hotelowy, na przykład, ale – oho, przestań. Lucern, zabieraj się stamtąd! Palce mogą ci się jeszcze kiedyś przydać. Wybacz, Alex. Bębnił tuż koło piły tarczowej. – Jej głos złagodniał: – Słuchaj, muszę iść. Co powiesz na piątkowy wieczór – odpowiada ci?

– Odpowiada. U mnie czy u ciebie?

– Alex, nie jestem pewna, kiedy dokładnie będę gotowa, więc może ja wpadnę do ciebie. Nie później niż o dziewiątej, obiecuję, dobrze?

– Dobrze.

Pozegnaliśmy się, a ja zacząłem rozmyślać nad tym, jak bardzo stała się niezależna.

Wyciągnąłem swoją starą gitarę Martina i pobrzdakałem trochę. Potem wróciłem do gabinetu i przejrzałem jeszcze kilka razy artykuły o Munchhousenie, mając nadzieję, że znajdę coś – jakąś wskazówkę w klinicznym obrazie choroby – która mi się dotąd wymykała. Ale nic takiego nie nastąpiło. Wciąż miałem przed oczyma pyzată buzię Cassie Jones, poszarzałą i martwą w mojej wyobraźni.

Zastanawiałem się, czy był to w ogóle problem naukowy – czy cała wiedza medyczna świata mogła pomóc mi rozwiązać tą sprawę.

Może nadszedł już czas, by zajęli się nią zupełnie inni specjaliści.

Wykręciłem numer w West Hollywood. Odezwał się namiętny, kobiecy głos:

– Tu Niebieskie Dochodzenia. Nasze biuro jest nieczynne. Jeżeli życzysz sobie zostawić wiadomość, zrób to po pierwszym sygnale. Jeżeli wiadomość jest pilna, zaczekaj na drugi sygnał.

– Milo, tu Alex. Zadzwoń do mnie do domu – powiedziałem po drugim sygnale i znów wziąłem gitarę.

Zagrałem dziesięć taktów „Windy and Warm”, gdy zadzwonił telefon.

Odezwał się głos robiący wrażenie, jakby dochodził z daleka. – Co masz pilnego, koleś?

– Niebieskie Dochodzenia?

– Jak gliniarz.

– Aha.

– Zbyt abstrakcyjne? – zapytał. – Kojarzy się z pornografią?

– Nie, to całkiem niezłe – naprawdę w stylu Los Angeles. Czyj głos był na automatycznej sekretarce?

– Siostry Ricka.  
– Dentystki?  
– Tak. Niezły, co?  
– Bombowy.  
– Aż ciarki chodzą po plecach, kiedy boruje ci zęby.  
– Kiedy się sprywatyzowałeś?  
– Taak, no cóż, sam wiesz, jak to jest – urok dolara. To tylko drobne fuchy. Tak długo, jak wydział zanudza mnie na śmierć w ciągu dnia, niech mi za to płacą po godzinach.  
– Nie pokochałeś jeszcze komputerów?  
– Hej, kocham je, ale bez wzajemności. Przecież mówią teraz, że te cholerne pudła emitują szkodliwe promieniowanie – dosłownie. Elektromagnetyczne gówno – pewnie niszczą powoli to wspaniałe ciało. – Silne trzaski skutecznie zagłuszyły koniec zdania.  
– Skąd dzwonisz? – zapytałem.  
– Z samochodu. Kończę robotę.  
– Z samochodu Ricka?  
– Ze swego. Telefon też jest mój. To nowa epoka, doktoru. Szybka komunikacja i jeszcze szybszy rozkład. Ale do rzeczy, o co chodzi?  
– Chciałem cię prosić o radę w pewnej sprawie – sprawie, nad którą pracuję...  
– Ani słowa więcej...  
– Ja...  
– Mówię poważnie, Alex. Ani. Słowa. Więcej. Telefony komórkowe i dyskrecja nie chodzą w parze. Każdy może podsłuchiwać. Trzymaj się. Rozłączył się. Dwadzieścia minut potem odezwał się dzwonek u drzwi.  
– Byłem niedaleko – wyjaśnił, włączając do mojej kuchni. – W Wilshire koło Barrington, nadzór nad paranoicznym kochankiem.  
W lewej ręce trzymał policyjny notes i czarny radiotelefon wielkości kostki mydła.  
Ubrany był po cywilnemu: granatowa kurtka, koszula w tym samym kolorze, szare, bawełniane spodnie, brązowe buty z wysoką cholewką. Schudł chyba z pięć funtów, odkąd widziałem go po raz ostatni – ale wciąż zostało jeszcze przynajmniej dwieście pięćdziesiąt, rozłożonych nierównomiernie na jego wysokiej postaci. Miał długie, cienkie nogi, wydatny brzuch i obwisły, przelewający się nad kołnierzykiem podbródek.  
Odwiedził niedawno fryzjera – włosy z tyłu i po bokach głowy były krótko przystrzyżone, na środku dość długie. W czarnej strzeczce zwieszającej się nad czołem odznaczało się kilka pasemek siwizny. Bokobrody sięgały do końca uszu, dobre dwa centymetry dalej niż pozwalały przepisy wydziału ale to był najmniejszy z kłopotów, jakie sprawiał policji.  
Milo nieświadom był istnienia mody. Wyglądał tak samo, odkąd go znałem. Fryzura ta przyjęła się ostatnio wśród elegantów z Melrose, ale wątpię, czy to zauważył.  
Jego duża, poznaczona śladami po ospie twarz była blada jak po nocnej zmianie, ale niespokojne, zielone oczy spoglądały bystrzej niż zwykle.  
– Wydajesz się przybity – powiedział.  
Otworzywszy lodówkę, ominął butelki piwa, wyjął nie napoczęty, litrowy pojemnik soku grejpfrutowego. Ujął nakrętkę dwoma grubymi palcami i przekręcił ją szybkim ruchem.  
Podałem mu szklanekę. Napełnił ją i osuszył, napełnił raz jeszcze i upił trochę soku.

– Witamina C, prywatna inicjatywa, wpadająca w ucho nazwa interesu jak dla mnie, za szybko walisz do przodu, Milo.

Oblizał wargi, odstawiając szklanke.

– Prawdę mówiąc – wyjaśnił, wyraz „Niebieskie” jest akronimem. NIEzgrabna BIEganina Starego KIEpa – to dowcip w stylu Ricka. Choć muszę przyznać, że wtedy było to trafne – przeskok do sektora prywatnego nie poszedł wcale tak gładko. Ale cieszę się, że to zrobiłem, z powodu forsy. Zacząłem poważnie myśleć o zabezpieczeniu finansowym na starość.

– Ile bierzesz?

– Pięćdziesiąt – osiemdziesiąt za godzinę, zależy. Nie tyle co psychoterapeuta, ale nie narzekam. Jeżeli miasto chce zmarnować to, czego mnie nauczyło, każąc mi tkwić przez cały dzień przed ekranem komputera, to ich strata. Za to nocą utrzymuję formę jako detektyw.

– Prowadzisz jakieś ciekawe sprawy?

– Nie, zwykle jakiś gówniany nadzór, żeby paranoicy czuli się szczęśliwi. Ale przynajmniej nie zapominam, jak wygląda ulica.

Dolał sobie soku i wypił.

– Nie wiem, jak długo to zniosę – moje dzienne zajęcie.

Potał twarz dłońmi, jakby myjąc ją bez wody. Nagle wydał mi się zmęczony, bez swego huraoptymizmu na pokaz.

Pomyślałem o wszystkim, co przeszedł w ciągu ostatniego roku. Złamał szczękę zwierzchnikowi, który wystawił jego życie na niebezpieczeństwo. W czasie transmisji telewizyjnej na żywo. Wydział policji zawarł z nim ugodę, bojąc się, że rozgłos nadany sprawie może się okazać kłopotliwy. Nie wniesiono oskarżenia, dostał półroczny bezpłatny urlop, a potem wrócił do wydziału zabójstw i rozbojów West L.A., zdegradowany o stopień. Po pół roku dowiedział się, że nie ma wolnych etatów dla detektywów ani w West L.A., ani nigdzie indziej, z powodu „nieprzewidzianych” cięć w budżecie.

Przesunięto go – „tymczasowo” – do pracy w ośrodku przetwarzania danych w Parker Center, gdzie oddano go pod opiekę wyraźnie zniewieściałego cywilnego instruktora i nauczono bawić się komputerem. Było to niezbyt subtelne przypomnienie ze strony wydziału, że napaść to jedna sprawa, ale to, co robi w łóżku, nie zostanie zapomniane ani wybaczone.

– Ciągle zamierzasz iść z tym do sądu?

– Nie wiem. Rick chciałby, żebym walczył do upadłego. Mówi, że sposób w jaki wycofali się z umowy, świadczy o tym, że nigdy mi nie popuszczą. Ale wiem, że jeśli pójdę do sądu, to koniec ze mną w wydziale. Nawet jeśli wygram.

– Zdjął kurtkę i rzucił ją na blat.

– Dość tego cholernego uzalania się nad sobą. Co mogę zrobić dla ciebie!

Opowiedziałem mu o Cassie Jones, zrobiłem krótki wykład o zespole Munchhausena. Popijał nie komentując. Wyglądał niemal jakby się wyłączył.

– Słyszałeś o tym wcześniej? – zapytałem.

– Nie. Dlaczego tak myślisz?

– Większość ludzi reaguje trochę bardziej gwałtownie.

– Po prostu przetrawiam to wszystko... Coś mi to nawet przypomniało. Sprzed paru lat. Był taki facet, przyszedł na ostry dyżur w Cedars. Krwawiący wrzód żołądka. Rick przyjął go, zapytał o stresy. Facet mówi, że często zagląda do kieliszka, bo ma wyrzuty sumienia z powodu morderstwa, które uszło mu na sucho. Był podobno z panią na telefon, wściekł się i pochlastał ją. Okropnie – jak prawdziwy

psychopata. Rick przytakiwał, powtarzał aha – a wreszcie zwał stamtąd i wezwał ochronę – a potem mnie. Morderstwa dokonano w Westwood. W tym czasie byłem w wozie z Delem Hardym, rozpracowywaliśmy jakieś rozboje w Pico-Robertson, podskoczyliśmy więc od razu. Poinformowaliśmy go o jego prawach i wysłuchaliśmy tego, co miał do powiedzenia.

– Ptaszek był uradowany, że nas widzi. Rzygał informacjami, jakby od nas zależało jego zbawienie. Nazwiska, adresy, daty, broń. Nie przyznawał się do innych morderstw, i jak się okazało, nie był nigdy notowany przez policję. Zupełnie przeciętny obywatel, miał nawet własny interes chyba czyszczenie dywanów. Wsadziliśmy go do aresztu, nagraliśmy powtórne zeznania, wyobrażając sobie, że trafiła nam się prawdziwa gratka. Potem zaczęliśmy weryfikować szczegóły. I nic nie znaleźliśmy. Żadnej zbrodni, żadnych materialnych dowodów morderstwa w tym miejscu i czasie. Żadna dziwka nie mieszkała pod tym adresem ani nigdzie w pobliżu. Panienki o tym nazwisku i rysopisie nigdy nie było w L.A. Sprawdziliśmy nie zidentyfikowane ofiary, ale żadna z kostnicy nie pasowała, a żadne przewisko z kartoteki obyczajówki nie odpowiadało temu, którego, jak twierdził facet, używała dziewczyna. Sprawdziliśmy nawet w innych miastach, skontaktowaliśmy się z FBI, sądząc, że może mu się pomieszało – jakieś zaćmienie umysłu – i pomylił adres. On uparcie twierdził, że wszystko odbyło się tak, jak to opisywał. Powtarzał, że chce być ukarany.

– Po trzech dniach wysiłków: nada. Wbrew woli przydzielono mu obrońcę z urzędu i prawnik wrzeszczy na nas, żebyśmy wnieśli sprawę albo puścili jego klienta. Nasz porucznik naciska coraz bardziej – dowlacie mu albo odwalcie się. Więc grzebiemy dalej. Nic.

– W tym momencie zaczynamy podejrzewać, że nas wrobiono, pytamy go wprost. Zaprzecza. Był naprawdę przekonujący – De Niro mógłby się od niego uczyć. Więc przerabiamy wszystko od początku. Wracamy do punktu wyjścia, sprawdzamy powtórnie, cholera nas bierze. I nadal nic nie możemy wycisnąć. Wreszcie przekonani, że to blaga, otwarcie wkurwiamy się na niego – pierwszoligowe złe gliny. W odpowiedzi na to on też się wkurwia. Ale przez jego gniew przebija zakłopotanie. Obrzydliwy typ. Tak jakby wiedział, że go zdemaskowano i odgrywał przesadne oburzenie, żeby nas sprowadzić do defensywy.

Pokręcił głową i zanucił temat z „Twilight Zone”.

– I co było dalej?

– A co mogło być? Puściliśmy dupka, by już nigdy więcej o nim nie usłyszeć. Mogliśmy go oskarżyć o złożenie fałszywego doniesienia, ale musielibyśmy wtedy odwalić mnóstwo papierkowej roboty i tracić czas w sądzie, a po co? Dostałby pouczenie i grzywnę za pierwsze przestępstwo zredukowane do wykroczenia? Nie, dziękuję. Alex, byliśmy naprawdę wkurzeni. Nigdy nie widziałem, by Del tak się wściekł. To był ciężki tydzień, mnóstwo prawdziwych zbrodni, niewielu sprawców wykryto. A ten skurwiel zawraca nam głowę pełnym gównem.

Wspomnienie wywołało rumieniec gniewu na jego twarzy.

– Samooskarżenie – powiedział. – Są ludzie, którzy domagają się uwagi, łapią za rękaw każdego, kto się napatoczy. Czy to nie przypomina ci twoich nieudaczników z Munchhausenem?

– Bardzo – odparłem. – Nigdy nie patrzyłem na to od tej strony.

– Widzisz? Jestem stałym źródłem natchnienia. Wal dalej ze swoją sprawą.

Opowiedziałem mu resztę.

– Dobra, więc czego ci trzeba? – zapytał. – Mam sprawdzić przeszłość matki? Obojga rodziców? Pielęgniarki?

– Nie myślałem o tym w tych kategoriach.

– Nie? Więc o co chodzi?

– Naprawdę nie wiem, Milo. Chyba chciałem jakiejś rady.

Sklonił głowę, założywszy dłonie na brzuchu. Uniósł ją i powiedział:

– Czcigodny Budda dyżurny. Czcigodny Budda radzi co następuje: wystrzelać wszystkich łobuzów. Niechaj jakieś inne bóstwo ich wyselekcjonuje.

– Dobrze by było wiedzieć, kto jest tym łobuzem.

– Właśnie. Dlatego proponowałem sprawdzenie przeszłości. Przynajmniej głównego podejrzanego.

– To byłaby chyba matka.

– Więc nią zajmę się najpierw. Ale skoro już siadam za klawiaturą mogę dorzucić innych ekstra. Ciekawsze to niż te cholerne listy płac, na które mnie skazali.

– Co będziesz sprawdzał?

– Przeszłość kryminalną. Jest w policyjnym banku danych. Czy twoja przyjaciółka, pani doktor będzie wtajemniczona w sprawę?

– A co?

– Chciałbym wiedzieć, na czym stoję, skoro wścibiam nos w nie swoje sprawy. To, co robimy jest praktycznie rzecz biorąc niedozwolone.

– Nie. Trzymajmy ją od tego z dala – po co ją narażać.

– Świetnie.

– Jeśli chodzi o przeszłość kryminalną – podjąłem, munchhausenowcy zwykle jawią się jako wzorowi obywatele – jak ten twój czyściciel dywanów. Ale wiemy też o zgonie pierwszego dziecka. Zakwalifikowano to jako Zespół Nagłej Śmierci Noworodków.

Zamyślił się.

– Powinien być raport koronera, ale jeżeli nikt nie podejrzewał żadnych machinacji, to nic więcej. Zobaczę, czy uda mi się wydobyć te papiery. Może nawet byłbyś w stanie sam to zrobić – sprawdź w archiwach szpitalnych. Jeśli potrafisz przeprowadzić to dyskretnie.

– Nie wiem, czy będę mógł. Szpital wygląda dziś zupełnie inaczej.

– Dlaczego?

– Jest o wiele bardziej strzeżony – patrzą ci na ręce.

– Cóż – odparł. – Nie możesz ich za to winić. Ta część miasta stała się naprawdę paskudna.

Wstał, podszedł do lodówki, wyjął pomarańczę i zaczął obierać ją nad zlewem. Zmarszczył brwi.

– Co jest? – zapytałem.

– Próbuję wymyślić jakąś strategię. Mam wrażenie, że jedynym sposobem wykrycia sprawcy byłoby złapanie łobuza na gorącym uczynku. Dzieciak zaczyna chorować w domu?

Skinąłem głową.

– Więc jedyną metodą byłaby inwigilacja prowadzona przy pomocy sprzętu elektronicznego. Ukryty mikrofon i kamera. Żeby spróbować sfilmować, jak ktoś podaje dziecku truciznę.

– Gierki pułkownika – skomentowałem.

Skrzywił się słysząc to.

– Taak, to dokładnie coś z tych rzeczy, które ten kutas tak uwielbiał... Wiesz, przeprowadził się.

– Dokąd?

– Do Waszyngtonu, D.C. Gdzieżby indziej? Wszedł w jakieś nowe przedsięwzięcie. Jedną z tych korporacji, których nazwa nie mówi, czym się zajmują. Dziesięć do jednego, że żyje za rządowe pieniądze. Dostałem niedawno wiadomość i służbową wizytówkę. Gratulacje z powodu wkroczenia w erę

informatyki i darmowy program pozwalający obliczać podatki.

– Wiedział, czym się zajmujesz?

– Na to wygląda. No, ale wróćmy do twego truciciela dzieci i szpikowania domu elektroniką. Bez nakazu sądowego żadne nagranie nie będzie miało wartości z prawnego punktu widzenia. A żeby dostać nakaz potrzeba mocnych dowodów, a ty masz tylko podejrzenia. Nie wspominając już o tym, że dziadek siedzi na kilku stołkach i należy postępować wyjątkowo ostrożnie.

Skończył obierać pomarańczę, odłożył ją, umył ręce i zaczął dzielić owoc na cząstki.

– To może być prawdziwy wyciskacz łez – tylko mi nie mów, jakie ładne jest to dziecko.

– Dziecko jest czarujące.

– Dziękuję uprzejmie.

– Było kilka takich przypadków w Anglii, opisano je w czasopismach pediatrycznych. Nagrali kamerą wideo, jak matki duszą własne dzieci, a dysponowali tylko podejrzeniami.

– Nagrali to w domu?

– W szpitalu.

– Zasadnicza różnica. A o ile wiem, prawo w Anglii jest inne... Pomyślę jeszcze o tym, Alex. Zobaczą, czy jest coś sensownego, co możemy zrobić. W międzyczasie przelecę lokalne rejestry, kartoteki policyjne na wypadek, gdyby któreś z nich było kiedyś niegrzeczne, może uda nam się coś wymyślić, żeby wydębic nakaz. Stary Charlie nieźle mnie wyszkolił – powinieneś zobaczyć, jak poruszam się po bazach danych.

– Ty też się nie narażaj – poradziłem.

– Spokojna głowa. Te wstępne poszukiwania nie są niczym więcej niż to, co robi każdy funkcjonariusz, zatrzymując kogoś i każąc mu zjechać na pobocze. Jeśli zacznę kiedyś grzebać głębiej, zachowam ostrożność. Czy rodzice mieszkali kiedyś poza L.A.?

– Nie wiem – odparłem. – Naprawdę niewiele o nich wiem, powinienem zacząć się dowiadywać.

– Taak. Draż swój podkop, ja będę drażył swój. – Oparł się o blat, myśląc głośno. – To ludzie z wyższych sfer, co może oznaczać, że uczęszczali do szkół prywatnych. Trudna sprawa.

– Matka mogła chodzić do publicznej. Nie robi wrażenia osoby z bogatej rodziny.

– Pcha się w górę drabiny społecznej?

– Nie, jest naturalna. On wykłada w college'u. Mogła być jego studentką.

– Dobra – powiedział, otwierając notes. – Co jeszcze? Może jego służba wojskowa albo szkolenie oficerskie – kolejny trudny orzech do zgryzienia. Charliemu udało się włamać do rejestrów wojskowych, ale nie ma tam żadnych bajerów, tylko zasiłki dla weteranów, takie rzeczy.

– Co wy tam chłopcy wyprawiacie, zabawiacie się tajnymi bankami danych?

– Raczej on się zabawia. Ja się przyglądam. Gdzie uczy ojciec?

– W West Valley Community College. Socjologia.

– A żona? Pracuje?

– Nie, to pełnoetatowa mama.

– Podchodzi do tego poważnie, co? Dobra, podaj mi nazwisko, którego mam szukać.

– Jones.

Spojrzał na mnie.

Skinałem głowę.

Jego śmiech był donośny, prawie pijacki.



## Rozdział ósmy

Nazajutrz przybyłem do szpitala o dziewiątej czterdzieści pięć. Parking dla lekarzy był prawie pełny, więc musiałem wjechać na górny poziom, żeby znaleźć miejsce. Mundurowy strażnik stał oparty o betonowy filar, częściowo ukryty w cieniu, paląc papierosa. Przyglądał mi się, kiedy wysiadałem z seville'a, i nie spuścił ze mnie oka, póki nie wpiąłem w klapę nowej plakietki.

Na oddziale prywatnym było równie spokojnie, jak dzień wcześniej. Jedyna pielęgniarka siedziała przy biurku, a rejestratorka czytała „McCall's”.

Obejrzałem kartę Cassie. Stephanie była tam w czasie rannego obchodu, zanotowała, że brak jakichkolwiek objawów chorobowych, ale postanowiła zatrzymać ją przynajmniej jeszcze jeden dzień. Udałem się do 505W, zapukałem i wszedłem.

Cindy Jones i Vicki Bottomley siedziały na tapczanie. Na kolanach Vicki leżała talia kart. Obie podniosły wzrok.

– Dzień dobry.

– Dobra – rzuciła Vicki i wstała.

Część łóżka Cassie podniesiona była tak, że tworzyła rodzaj oparcia. Dziewczynka siedziała, bawiąc się domkiem Fisher-Price'a. Inne zabawki, nie wyłączając wybranej grupy pluszowych królików, rozrzucone były na pościeli. Na tacy śniadaniowej stał talerz niedojedzonych płatków zbożowych i plastikowy kubek z jakimś czerwonym napojem. Na ekranie telewizora migał film rysunkowy, ale głos był wyłączony. Zaabsorbowana domkiem Cassie, ustawiała meble i plastikowe figurki. Statyw z kroplówką odsunięto w kąt pokoju.

Położyłem na łóżku nowy rysunek. Mała przyglądała mu się przez chwilę, po czym wróciła do zabawy.

Vicki poruszała się szybko – podała karty Cindy, uściśnęła krótko jej dłoń. Unikając patrzenia mi w oczy, podeszła do łóżka Cassie i powiedziała, mierzwiąc jej włosy:

– Do zobaczenia, urwisie.

Dziewczynka podniosła na chwilę wzrok. Vicki jeszcze raz zmierzwiła jej włosy i wyszła.

Cindy wstała. Ubrana była w różową bluzkę zamiast wczorajszej kraty, w te same džinsy i sandały.

– Zobaczmy, co doktor Delaware narysował dziś dla ciebie? – Podniosła rysunek. Cassie wyciągnęła rączkę i wzięła go od matki.

Cindy objęła ją ramieniem.

– To słoń! Doktor Delaware narysował ci pięknego niebieskiego słońca!

Dziewczynka przysunęła sobie papier.

– Soń.

– Dobrze, Cass, doskonale! Słyszał pan to, doktorze? Słoń?

Skinałem głowę.

– Fantastycznie.

– Nie wiem, jak pan to zrobił, doktorze, ale od wczoraj więcej mówi. Cass, możesz jeszcze raz powiedzieć „słoń”?

Cassie zamknęła buzię i zmięła papier.

– Och, nie – zmartwiła się Cindy, tuląc ją i gładząc po policzku.

Oboje przyglądaliśmy się, jak mała usiłuje rozwinąć rysunek.

Gdy jej się to w końcu udało, powiedziała:

– Soń! – Jeszcze raz ścisnęła papier, mocniej niż poprzednio, zgniatając go w kulkę rozmiaru pięści, a potem spojrzała na nią zakłopotana.

– Przepraszam, doktorze – odezwała się Cindy. – Wygląda na to, że pański słoń nie najlepiej się miewa.

– Za to Cassie miewa się lepiej.

Uśmiechnęła się z przymusem i skinęła głową.

Cassie uczyniła kolejną próbę wyprostowania rysunku. Tym razem maleńkie paluszki nie mogły sprostać zadaniu, więc Cindy jej pomogła.

– O, proszę, kochanie... Tak, doskonale się czuje.

– Były jakieś kłopoty w czasie zabiegów?

– Nie było żadnych zabiegów. Przynajmniej od wczoraj rano. Siedzimy tu tylko – to jest...

– O co chodzi? – zapytałem.

Przerzuciła warkocz przez ramię i pogładziła jego koniec.

– Ludzie pewnie myślą, że oszalałam – powiedziała.

– Dlaczego tak mówisz?

– Sama nie wiem. To głupio z mojej strony, przepraszam.

– O co chodzi, Cindy?

Odrzuciła głowę, bawiąc się warkoczem. Potem znów usiadła. Wzięła talię kart, przełożyła ją z ręki do ręki.

– To tylko... – zaczęła głosem tak cichym, że musiałem się przysunąć. Ja... za każdym razem, kiedy przywożę ją tutaj, wraca do zdrowia. A potem zabieram ją do domu, myśląc, że wszystko będzie w porządku i jest tak przez krótki czas, a potem...

– A potem znów choruje.

Przytaknęła, nie podnosząc głowy.

Cassie mamrotała coś do plastikowej figurki.

– Dobrze, dziecino – powiedziała Cindy, ale dziewczynka zdawała się nie słyszeć.

– A potem znów choruje i czujesz się upokorzona?

Cassie odrzuciła figurkę, podniosła inną i jęła nią potrząsać.

– A potem nagle wraca do zdrowia – tak jak teraz – podjęła. – To miałam na myśli, mówiąc, że oszalałam. Czasami mnie samej tak się wydaje.

Pokręciła głową i wróciła do łóżeczka Cassie. Ujęła pasemko jej włosów i przepuściła między palcami. Zaglądając do domku powiedziała:

– Proszę, co tu mamy – wszyscy jedzą obiad, który im ugotowałaś! W jej głosie było tyle radości, że aż zrobiło mi się nieprzyjemnie.

Została tam, bawiąc się włosami Cassie, wskazując lalki i zachęcając małą do mówienia. Dziewczynka wydawała rozmaite dźwięki, usiłując naśladować matkę. W niektórych można było rozpoznać słowa.

– Może zeszlibyśmy na dół na filiżankę kawy? – zaproponowałem. Vicki może zostać z Cassie.

Cindy podniosła wzrok. Jedną rękę trzymała na ramieniu dziecko.

– Nie – nie, przepraszam, doktorze, nie mogłabym. Nigdy jej nie zostawiam – odparła.

– Nigdy?

Potrząsnęła głową.

– Nigdy, kiedy jest tutaj. Wiem, że to też wygląda na szaleństwo, ale nie mogę. Zbyt wiele słyszy się

o... różnych rzeczach.

– Jakich rzeczach?

– Wypadkach – ktoś dostaje złe lekarstwo. Nie żebym się naprawdę tego obawiała – to znakomity szpital. Ale... Po prostu muszę tu być. Przykro mi.

– W porządku. Rozumiem.

– Na pewno robię to bardziej dla siebie niż dla niej, ale... – Schyliła się, przytulając Cassie. Mała wyrwała się i wróciła do zabawy. Cindy spojrzała na mnie bezradnie.

– Wiem, że jestem nadopiekuńcza – powiedziała.

– To nie dziwi, biorąc pod uwagę, przez co przeszłaś.

– Cóż... dziękuję, że pan to powiedział.

Wskazałem krzesło.

Uśmiechnęła się słabo i usiadła.

– To musi być ogromnie wyczerpujące – powiedziałem. – Wracać tu tak często. Pracować w szpitalu to jedno, ale być uzależnionym od innych, to zupełnie coś innego.

Wydawała się zdziwiona.

– Pracować w szpitalu?

– Byłaś rehabilitantką od terapii oddechowych, prawda? – zapytałem. Nie robiłaś tego w szpitalu?

– Och, to. To było dawno temu. Nie, nigdy tak daleko nie zaszłam – nie skończyłam szkoły.

– Znudziło ci się?

– Coś w tym rodzaju. – Wzięła pudełko kart i zaczęła postukiwać nim o kolano. – Prawdę mówiąc, ta szkoła to pomysł mojej ciotki. Była dyplomowaną pielęgniarką. Twierdziła, że kobieta musi mieć jakiś zawód, nawet jeśli nie będzie go wykonywała, że powinnam wybrać coś, na co zawsze jest popyt, jak opieka medyczna. Uważała, że przy takim tempie zanieczyszczania powietrza i tylu palących, zawsze będzie zapotrzebowanie na rehabilitantów oddechowych.

– Twoja ciotka sprawia wrażenie osoby o wyrobionych poglądach.

Uśmiechnęła się.

– Och, była taka. Już nie żyje. – Szybko zamrugnęła powiekami. – Fantastyczna. Moi rodzice umarli, kiedy byłam dzieckiem. Zasadniczo to ona mnie wychowała.

– Ale nie zachęcała cię, żebyś została pielęgniarką? Mimo że sama nią była?

– Właściwie odradzała mi. Mówiła, że to mnóstwo pracy za zbyt niskie wynagrodzenie, a lekarze...

Uśmiechnęła się z zakłopotaniem.

– A lekarze nie zawsze dostatecznie cię szanują – dokończyłem.

– Jak pan powiedział, doktorze, miała wyrobione poglądy na prawie każdy temat.

– Była pielęgniarką szpitalną?

– Nie, pracowała przez dwadzieścia pięć lat z tym samym lekarzem ogólnym i przez cały ten czas dogryzali sobie jak stare małżeństwo. Ale to był naprawdę miły człowiek – lekarz domowy starej daty, niezbyt zaradny przy inkasowaniu należności. Ciocia Harriet zawsze miała mu to za złe. Przywiązywała ogromną wagę do szczegółów, chyba od czasu kiedy była w wojsku służyła w Korei, na froncie. Doszła do stopnia kapitana.

– Naprawdę? – rzuciłem.

– Aha. To dlatego sama też spróbowałam służby. Rety, mam wrażenie, jakbym cofnęła się o parę lat.

– Byłaś w wojsku?

Uśmiechnęła się półgębkiem, jakby spodziewała się, że będę zaskoczony.

– Dziwne zajęcie dla dziewczyny, co? To było w ostatniej klasie szkoły średniej. W dniu informacji o wyborze zawodu przyszedł oficer rekrutacyjny. Wyglądało to całkiem zachęcająco – szkolenie, stypendia. Ciocia Harriet też uznała, że to niezły pomysł, więc decyzja zapadła.

– Jak długo tam byłaś?

– Tylko kilka miesięcy. – Ręce miała zajęte warkoczem. – Kilka miesięcy po przyjeździe zachorowałam i musieli mnie zwolnić przedterminowo.

– Przykro o tym słyszeć – powiedziałem. – To na pewno było coś poważnego.

Podniosła wzrok. Oblała się głębokim rumieńcem. Szarpnęła za warkocz.

– Tak – odparła. – Grypa – naprawdę ciężka – która rozwinęła się w zapalenie płuc. Ostre wirusowe zapalenie płuc – w koszarach była straszna epidemia. Wiele dziewczyn zachorowało. Gdy wyszłam z tego, powiedzieli, że mogę mieć osłabione płuca i nie chcieli mnie już. – Wzruszyła ramionami to tyle. Moja wspaniała kariera wojskowa.

– Byłaś bardzo rozczarowana?

– Nie, właściwie nie. To wszystko wyszło mi na dobre. – Spojrzała na Cassie.

– Gdzie stacjonowałaś?

– W Fort Jackson. W Południowej Karolinie. To jedno z nielicznych miejsc, gdzie szkolono wyłącznie kobiety. Było lato – latem nie myśli się o zapaleniu płuc, ale zarazek to zarazek, prawda?

– Prawda.

– Było tak wilgotno. Człowiek wychodził spod prysznic i za parę sekund czuł się brudny. Nie umiałam się do tego przyzwyczaić.

– Wychowałaś się w Kalifornii?

– Jestem córką Kalifornii – rzuciła, powiewając wymyśloną flagą. Pochodzę z Ventura. Moja rodzina przybyła tam z Oklahomy. W czasach gorączki złota. Jedna z moich prababek miała w sobie indiańską krew – stąd moje włosy, jak twierdziła ciocia.

Uniosła warkocz, potem puściła go.

– Oczywiście, to chyba nie jest prawda – podjęła uśmiechając się. – Dziś każdy chce być Indianinem. To rodzaj mody. – Spojrzała na mnie. – Delaware. Z takim nazwiskiem, pan też może mieć trochę indiańskiej krwi.

– Tak głosi rodzinna legenda – Indianinem w jednej trzeciej był jeden z prapradziadków. Sądzę, że ja sam jestem mieszańcem – wszystkiego po trochu.

– Cóż, to dobrze dla pana. Jest pan wszechamerykański, prawda?

– Chyba tak – odparłem z uśmiechem. – Czy Chip służył kiedyś w wojsku?

– Chip? – Rozbawiło ją to wyraźnie. – Nie.

– Jak się poznaliście?

– W college’u. Studiowałam przez rok w West Valley, po technikum. Chodziłam na wykłady z podstaw socjologii, a on był moim nauczycielem.

Znów spojrzała na Cassie, ciągle zajęta domkiem.

– Chce pan spróbować teraz swoich technik?

– Jest jeszcze trochę za wcześnie – odparłem. – Chcę, żeby naprawdę mi zaufała.

– Cóż... myślę, że panu ufa. Uwielbia pana rysunki – zachowałyśmy wszystkie, których nie zniszczyła.

Uśmiechnąłem się.

– Mimo to lepiej się nie spieszyć. A skoro nie jest poddawana żadnym zabiegom, czas nas nie nagli.

– To prawda – przyznała. – Biorąc pod uwagę, co się tu dzieje, mogłybyśmy wrócić do domu już teraz.

– A chcesz tego?

– Oczywiście. Ale przede wszystkim chcę, żeby wyzdrowiała. – Cassie obejrzała się, więc Cindy znów zniżyła głos do szeptu. – Te napady padaczkowe naprawdę mnie przerażyły, doktorze. To było jak...

– Pokręciła głową.

– Jak co?

– Jak w kinie. To strasznie zabrzmiało, ale przypomniało mi „Egzorcystę”. Znów pokręciła głową. – Pewna jestem, że doktor Eves dojdzie ostatecznie, co jest przyczyną tego wszystkiego. Prawda? Powiedziała, że powinniśmy zostać jeszcze przynajmniej jedną noc, może dwie, na obserwacji. Tak pewnie będzie lepiej. Cassie jest tutaj zawsze taka zdrowa.

Oczy jej zwilgotniały.

– Kiedy już wróćcie do domu – powiedziałem – chciałbym was odwiedzić.

– Och, oczywiście... – Na jej twarzy malowało się nieme pytanie.

– Żeby pogłębić kontakt – wyjaśniłem. – Gdybym mógł doprowadzić do tego, że poczuje się ze mną zupełnie swobodnie, kiedy nie jest poddawana zabiegom, łatwiej mi będzie jej pomagać, gdy będzie mnie potrzebować.

– Jasne. Ma pan rację. Dziękuję, to bardzo miło z pana strony. Ja... nie wiedziałam, że lekarze wciąż odwiedzają pacjentów w domu.

– Raz na jakiś czas. Nazywamy to wizytami domowymi.

– Och. No cóż, jasne, świetnie. To miło, że zadaje sobie pan tyle trudu.

– Zadzwoń do ciebie, kiedy was wypiszą, żeby ustalić termin. Nie dałabyś mi adresu i numeru telefonu?

Wyrwałem kartkę z terminarza i podałem jej razem z długopisem.

Zanotowała i oddała mi z powrotem.

Ładne, okrągłe litery, wprawne pismo.

Dom Cassie B. Jones:

19547 Dunbar Court

Valley Hills, Kalifornia

Numer telefonu z kierunkowym 818.

– To na północnym końcu Topanga Boulevard – wyjaśniła. – Niedaleko Santa Susanna Pass.

– Spory kawałek od szpitala.

– Rzeczywiście. – Znów przetarła oczy. Przygryzła wargę i spróbowała się uśmiechnąć.

– O co chodzi? – zapytałem.

– Myślałam tylko. Kiedy tu przyjeżdżamy, jest zawsze środek nocy i szosa jest pusta. Czasem nienawidzę nocy.

Ścisnąłem jej rękę. Nie poruszyła palcami.

Puściłem je, raz jeszcze spojrzałem na kartkę, złożyłem ją i wsadziłem do kieszeni.

– Cassie B. – powiedziałem. – Co oznacza to B?

– Brooks – moje panięskie nazwisko. To rodzaj hołdu dla cioci Harriet. Jest niezbyt kobiece, jak sądzę. Brooke z „e” na końcu brzmiałoby lepiej, jak imię dziewczynki. Jak Brooke Shields. Ale chciałam

uczcić pamięć cioci Harriet. – Rzuciła okiem w bok. – Co teraz robią, Cass? Zmywają naczynia?

– Ćinia.

– Dobrze! Naczynia!

Wstała. Ja też się podniosłem.

– Masz jeszcze jakieś pytania, zanim odejdę?

– Nie... Nie sądzę.

– Więc wstąpię jutro.

– Jasne. Świetnie. Cass? Doktor Delaware wychodzi. Powiesz pa, pa?

Cassie podniosła oczy. W obu rękach ścisnęła plastikowe laleczki.

– Pa, pa, Cassie – powiedziałem.

– Pa, pa.

– Znakomicie! – pochwaliła Cindy. – Naprawdę znakomicie!

– Pa... pa. – Mała klasnęła dłońmi. Laleczki stuknęły przy uderzeniu. Pa! Pa!

Podszedłem do łóżka. Cassie spojrzała na mnie. Błyszczące oczy. Obojętny wyraz twarzy. Dotknąłem jej policzka. Był ciepły i śliski.

– Pa! – Drobnym paluszkiem nacisnął moje ramię, tylko przez chwilę. Ranka po ukłuciu zagoiła się.

– Pa, ślicznotko.

– Pa!

Vicki była w dyżurce pielęgniarek. Pożegnałem się, ale nie odpowiedziała, więc wpisałem swoją wizytę do karty, przeszedłem na piątkę wschodnią i zszedłem schodami na parter. Ze szpitala podjechałem na stację benzynową na rogu Sunset i La Brea, skąd zadzwoniłem z automatu do Mila, do Parker Center.

Linia była zajęta. Spróbowałem jeszcze dwa razy, z tym samym skutkiem, wykręciłem numer domowy Mila i wysłuchałem seksownego głosu siostry Ricka.

Rozległ się pierwszy sygnał. Powiedziałem szybko:

– Cześć, panie Niebieski, nic pilnego, tylko kilka informacji, dzięki którym oszczędzisz może trochę czasu. Tata nie był nigdy w wojsku, ale mama była – co powiesz na taką zamianę? Nazwisko panięskie: Brooks. Służyła w Fort Jackson, w Południowej Karolinie. Zwolniona wcześniej, z powodu wirusowego zapalenia płuc, jak twierdzi. Ale mówiąc o tym zarumieniła się i trochę zdenerwowała, więc może to nie jest cała prawda. Może źle się zachowywała i wywalili ją. Ma teraz dwadzieścia sześć lat, była w ostatniej klasie szkoły średniej, kiedy wstąpiła do armii, to ci zawęźa przedział czasu, w jakim masz szukać.

Wróciłem do samochodu i przez resztę drogi do domu rozmyślałem o zapaleniu płuc, terapii oddechowej i małym chłopcu, nieruchomym i sinym w swym łóżeczku. Kiedy dotarłem do domu, brak mi było tchu.

Przebrawszy się w szorty i koszulkę z krótkim rękawem, jeszcze raz przebiegiem w myślach rozmowę z Cindy.

Ludzie pewnie myślą, że oszalałam... Czasami mnie samej tak się wydaje.

Poczucie winy? Zawołowane wyznanie? Albo tylko mnie zwodzi?

Tańczy walca.

Była skłonna współpracować z zapałem, dopóki nie zaproponowałem, byśmy wyszli z pokoju.

„Nadopiekuńcza” matka z Munchhausenem? A może chodzi tylko o zrozumiałą niepokój kobiety, która straciła jedno dziecko i wiele wycierpiała z następnym?

Przypomniałem sobie zdenerwowanie i zaskoczenie, jakie okazywała, kiedy powiedziałem, że planuję wizytę domową.

Ma coś do ukrycia? Czy było to tylko zdziwienie – uzasadniona reakcja ponieważ lekarze nie składają już wizyt domowych?

Inny czynnik ryzyka związany jest z postacią ciotki, pielęgniarki. Kobiety, która jawiła się, nawet w pełnych miłości wspomnieniach, jako surowa służbistka.

Pielęgniarka, która pracowała dla lekarza, ale i walczyła z nim. I dyskredytowała lekarzy.

Kierowała Cindy ku służbie zdrowia, ale nie chciałyby dziewczyna została pielęgniarką. Czy oznaczało to dwuznaczny stosunek do lekarzy? Do hierarchicznej struktury służby zdrowia? Zaabsorbowanie chorobami i leczeniem?

Czy wszystko to wpojono Cindy we wczesnej młodości?

A do tego kwestia jej własnych chorób – grypy i zapalenia płuc, które pokrzyżowały plany zawodowe.

Wszystko wyszło mi na dobre.

Rumieniec, szarpanie za warkocz. Zwolnienie z wojska było stanowczo tematem drażliwym.

Podszedłem do kuchennego telefonu, wykręciłem kierunkowy 803 do Południowej Karoliny i połączyłem się z miejscową informacją. Okazało się, że Fort Jackson znajduje się w mieście Columbia. Zanotowałem numer i zadzwoniłem.

Odezwał się cedzący słowa, kobiecy głos. Poprosiłem naczelnego oficera medycznego bazy.

– Chce pan mówić z komendantem szpitala?

– Tak, poproszę.

– Chwileczkę.

Sekundę później usłyszałem:

– Biuro pułkownika Hedgeworth.

– Tu doktor Delaware, z Los Angeles, w Kalifornii. Chciałbym mówić z pułkownikiem.

– Jak pana nazwisko?

– Delaware. – Podałem też tytuł i nazwę szkoły medycznej gdzie pracowałem.

– Pułkownik Hedgeworth nie ma w biurze. Zechce pan rozmawiać z majorem Dunlapem?

– Tak, oczywiście.

– Proszę zaczekać.

Po kilku sygnałach usłyszałem w słuchawce, następny cedzący słowa głos, tym razem męski baryton:

– Major Dunlap.

– Majorze, tu doktor Alex Delaware, z L.A. – Powtórzyłem swoje dane.

– Aha. W czym mogę pomóc, doktorze?

– Robimy takie badania pilotowe – regularności wybuchów epidemii wirusowych, szczególnie grypy i zapalenia płuc – w środowiskach względnie izolowanych, jak więzienia, szkoły prywatne i bazy wojskowe. Porównujemy je z grupami kontrolnymi z populacji ogólnej.

– Badania epidemiologiczne?

– Robimy to na wydziale pediatrii. Jesteśmy ciągle na etapie gromadzenia danych wstępnych i Fort Jackson wypłynął jako potencjalny obiekt badań.

– Aha – powiedział. Nastąpiła długa pauza. – Dostaliście już na to dotację?

– Jeszcze nie, tylko trochę pieniędzy na badania wstępne. To czy złożymy podanie o przyznanie funduszy, zależy od wstępnych wyników. Jeżeli złożymy ten projekt, będzie to praca zbiorowa – obiekty

poddawane badaniom plus my. Pokryjemy wszystkie koszty dodatkowe, potrzebny nam tylko dostęp do faktów i liczb.

Zachichotał.

– My wam damy statystyki, a wy umieścicie nasze nazwiska na wszystkich artykułach, jakie napiszecie?

– Częściowo tak to wygląda, ale jesteśmy zawsze otwarci na sugestie naukowe.

– Co to za szkoła medyczna?

Powiedziałem mu.

– Aha. – Znów śmiech. – Cóż, sądzę, że byłaby to całkiem kusząca propozycja, gdybym przejmował się jeszcze takimi sprawami. Ale tak, jasne, myślę, że może pan zapisać nasze nazwiska, na razie – warunkowo, bez zobowiązań. Zanim sfinalizujemy cokolwiek muszę uzgodnić to z pułkownik Hedgeworth.

– A kiedy on wróci?

Znów się roześmiał.

– Ona wróci za parę dni. Niech mi pan poda swój numer. [W języku angielskim rzeczownik nie odmienia się przez rodzaje. Delaware dopiero w tym momencie dowiaduje się, że pułkownik jest kobietą.]

Podałem mu swój telefon domowy, wyjaśniając:

– To prywatna linia, łatwiej się dodzwonić.

– A jak brzmi pana nazwisko?

– Delaware.

– Jak nazwa stanu?

– Dokładnie.

– I jest pan z pediatrii?

– Tak – odparłem. Praktycznie biorąc było to prawdą, ale miałem nadzieję, że nie będzie się zbytnio zagłębiać i nie dowie się, że jestem wprawdzie klinicystą, ale nie wykładałem od lat.

– Świetnie – powiedział. – Oddzwonię, jak tylko będę mógł. Jeśli nie odezwę się w ciągu, powiedzmy, tygodnia – proszę zadzwonić.

– To wystarczy, majorze. Dzięki.

– Nie ma sprawy.

– A tymczasem, byłbym zobowiązany, gdyby zechciał mi pan udzielić paru informacji.

– O co chodzi?

– Czy przypomina pan sobie jakieś epidemie grypy albo zapalenia płuc u was w bazie w ciągu ostatnich dziesięciu lat?

– Dziesięciu lat? Hm. Nie jestem tu tak długo. Parę lat temu mieliśmy dużo przypadków zapalenia opon mózgowych, ale to było bakteryjne. Paskudna sprawa.

– Ograniczamy badania do wirusowych infekcji układu oddechowego.

– No cóż – odparł – sądzę, że ktoś ma te informacje – proszę zaczekać.

Minęły dwie minuty.

– Kapitan Katz, w czym mogę pomóc?

Powtórzyłem swoją prośbę.

– Tak starych danych nie będzie w komputerze – powiedział. – Mogę do pana zadzwonić później?

– Jasne. Dzięki.



Kolejna wymiana numerów.

Odłożyłem słuchawkę, zawiedziony i przygnębiony, Wiedziałem, że informacje były u kogoś na twardym dysku czy dyskietce, dostępne natychmiast, za naciśnięciem właściwego guzika.

Milo oddzwonił dopiero o czwartej.

– Próbowałem dowiedzieć się czegoś o Jonesach – powiedział. – Koroner ma w kartotece świadectwo zgonu pierwszego dziecka. Charlesa Lymana Jonesa Czwartego. Nic podejrzanego – Zespół Nagłej Śmierci Noworodków, stwierdzony przez twoją przyjaciółkę Stephanie i poświadczony przez dr med. Ritę Kohler.

– Jest ordynatorem pediatrii ogólnej. Szefowa Stephanie. Była pierwotnie ich lekarzem, ale przebywała poza miastem, kiedy umarł Chad.

– Aha. Cóż, wygląda na to, że wszystko odbyło się zgodnie z przepisami. Teraz, jeśli chodzi o rodziców, oto, co znalazłem dotąd. Mieszkają w West Valley i płacą podatek od nieruchomości w terminie – wysoki, bo mają wielki majątek. Pięćdziesiąt parceli.

– Pięćdziesiąt? Gdzie?

– Tam, gdzie mieszkają – cały przyległy teren należy do nich. Nieźle jak na wykładowcę college'u, co?

– Wykładowca college'u z funduszem powierniczym.

– Bez wątpienia. Wygląda na to, że poza tym żyją całkiem zwyczajnie i skromnie. Charles Lyman Trzeci jeździ czterodrzwiowym volvo 240 rocznik 1985, dostał jeden mandat za przekroczenie szybkości w zeszłym roku i dwa za niewłaściwe parkowanie, wszystko zapłacone. Cindy Brooks Jones jeździ furgonetką plymouth voyager i jest czysta jak świeżo spadły śnieg, jeśli chodzi o wykroczenia. Tak samo twoja grubiańska pielęgniarka, jeśli to jest Victoria June Bottomley, urodzona 24 kwietnia 1936, zamieszkała w Sun Valley.

– To pewnie ona.

– Jak na razie same aniołki.

– Oczywiście nie dostałeś wiadomości ode mnie?

– Nie. Gdzie i kiedy?

– Około jedenastej. Zostawiłem u siostry Ricka.

– Nie było żadnych pilnych wiadomości.

– Bo zostawiłem po pierwszym sygnale – odparłem. – Szanuję zwyczaje twojej firmy. – Opowiedziałem mu o podejrzeniach, jakie obudziła we mnie rozmowa z Cindy i o telefonie do Południowej Karoliny.

– Józio Detektyw – skomentował. – Nie możesz się opanować.

– Hej, sądziłem, że przy twoich stawkach, wszystko, co mogę zrobić sam będzie świetnym interesem. Chrząknął.

– Już to, że mnie znasz, to świetny interes. Zapalenie płuc, co? Więc jak mówisz? Ma chore płuca, co krzyżuje jej plany, więc rozpieprza płuca dzieciakowi na zasadzie – tej tam, projekcji?

– Coś w tym rodzaju. A na dobitkę jest przeszkolona w terapiach oddechowych.

– Więc dlaczego zrezygnowała z dolegliwości oddechowych? Skąd kłopoty żołądkowe i konwulsje?

– Nie wiem, ale fakty pozostają: choroba płuc zniszczyła jej plany życiowe. I, lub zwróciła na nią uwagę innych.

– Więc przeniosła to na dzieci, żeby jeszcze raz zwrócić na siebie uwagę? Albo oszalała na punkcie choroby i odbija to sobie na dzieciakach?

– Jedno z dwojga. Albo jedno i drugie. Albo ani jedno, ani drugie. Sam nie wiem. Może zwyczajnie „rozdmuchuję” sprawę – nie chciałem być złośliwy.

– A ta uwaga o zbzikowaniu. Sądzisz, że podejrzewa, iż jest pod obserwacją?

– To możliwe. Albo tylko droczy się ze mną. Jest zdenerwowana, ale któż by nie był, mając dziecko, które bez przerwy choruje? Dlatego cała sprawa jest taka trudna – wszystko, co zaobserwuję, można wyjaśnić na kilka różnych sposobów. Za to zwrócił moją uwagę fakt, że opowiadając o wojsku, zaczerwieniła się i bawiła warkoczem. Zastanawiam się, czy ta historyjka z zapaleniem płuc nie miała ukryć prawdziwej przyczyny zwolnienia – zaburzeń psychicznych albo czegoś innego, czego nie chciałaby ujawnić. Mam nadzieję, że wojsko będzie w stanie to potwierdzić, w jedną albo w drugą stronę.

– Kiedy armia do ciebie oddzwoni?

– Facet, z którym gadałem, nie zobowiązywał się do niczego. Powiedział, że tak stare archiwa medyczne nie są skomputeryzowane. Czy wojskowe banki danych, do których włamuje się Charlie, mogą zawierać dane medyczne?

– Nie wiem, ale zapytam go.

– Dzięki.

– Jak się czuje mała?

– Zupełnie zdrowa. Żadnych zaburzeń neurologicznych, które mogłyby powodować napady padaczkowe. Stephanie chce ją mieć na obserwacji jeszcze dzień lub dwa. Mama mówi, że chętnie wróciłaby do domu, ale nie nalega – Panna Potulna, lekarz wie lepiej. Twierdzi też, że Cassie więcej mówi, odkąd u niej byłem. Pewna jest, że to moja zasługa.

– Lizuska?

– Mamy z Munchhausenem robią to notorycznie – personel zwykle je uwielbia.

– No cóż – odparł. – Korzystaj z tego, póki możesz. Jak wyciągniesz na jaw jakieś brudy tej pani, nie będzie ci się już nigdy podlizywać.

## Rozdział dziewiąty

Gdy odłożył słuchawkę, zabrałem korespondencję, poranną gazetę i rachunki z całego miesiąca do delikatesów w West L.A. Prawie cała sala była wypełniona – starzy ludzie przygarbieni nad talerzem zupy, młode małżeństwa z małymi dziećmi. Dwóch mundurowych policjantów zartowało w głębi z właścicielem, a kopiaiste kanapki leżały na stoliku obok ich radiotelefonów.

Siadłem przy stoliku w rogu, na lewo od kontuaru, i zamówiłem kanapkę z wędzonym indykiem, surówkę z kapusty i wodę mineralną.

Dobre żarcie, ale myśli o szpitalu przeszkadzały mi w trawieniu.

O dziewiątej wieczorem postanowiłem wrócić do szpitala z niezapowiedzianą wizytą. Żeby zobaczyć, jak to przyjmie żona Charlesa Lymana Jonesa Trzeciego.

Była ciemna noc, cienie na Sunset zdawały się przesuwać w zwolnionym tempie, a na bulwarze wiało grozą coraz bliżej lepszej części miasta. Po paru milach jazdy, w trakcie której mijałem postaci o zapadniętych oczach, powłóczące nogami ofiary torazyny i podejrzane motele, logo Western Peds w kształcie dziecka i jasno podświetlona strzałka oznaczająca ostry dyżur zapowiedziały gościnną placówkę.

Parking był prawie zupełnie opustoszały. Małe bursztynowożółte żarówki w drucianych osłonach zwisające z betonowego sufitu rzucały skupione światło na co drugie miejsce. Na pozostałych panowała całkowita ciemność. Przypominało to paski zebry. Podchodząc do schodów, miałem wrażenie, że ktoś mnie obserwuje. Kiedy się obejrzałem, nie zauważyłem nikogo.

Hol wejściowy był także pusty. Lustra marmurowych posadzek nie odbijały niczego. Siedząca w okienku informacji kobieta stemplowała metodycznie jakieś dokumenty. Operatorce pagerów płacono za obecność. Głośno tykał zegar. W powietrzu unosił się zapach przylepca i słaba, ale wyraźna woń potu, świadcząca o przeżywanych tu stresach.

Znów coś, o czym zapomniałem: w nocy szpitale wyglądają inaczej. Było tu równie upiornie, co na ulicach.

Pojechałem windą na piątkę i przeszedłem przez oddział, przez nikogo niezauważony. Drzwi większości pokoi były zamknięte, monotonię przerywały gdzieniegdzie odręczne wywieszki: „Izolacja Zapobiegawcza”, „Obserwacja Infekcji. Żadnych Odwiedzin...”Z nielicznych otwartych sal dochodziły dźwięki programów telewizyjnych i cykanie liczników kroplówek. Mijałem dzieci śpiące i te, zahipnotyzowane światłem ekranów. Rodzice siedzieli sztywno, jakby byli z gipsu. Czekali.

Tekowe drzwi Chappy Ward wessały mnie w martwą ciszę. Nikogo nie było przy biurku.

Podszedłem do drzwi 505 i zastukałem cichutko. Brak odpowiedzi. Otworzyłem i zajrzałem do środka.

Poręczce łóżka były podniesione, Cassie spała chroniona nierdzewną stalą. Cindy też spała na sofie, ułożona tak, by mieć głowę przy stopach dziecka. Jej wsunięta między pręty ręka dotykała prześcieradła malej.

Zamknąłem po cichu drzwi.

– Śpią – powiedział jakiś głos za moimi plecami.

Odwróciłem się.

Vicki Bottomley wpatrywała się we mnie z dłońmi wspartymi o szerokie biodra.

– Znowu podwójny dyżur? – zapytałem.

Wywróciła oczami i zaczęła się oddalać.

– Proszę zaczekać – powstrzymałem ją. Ostrość mego głosu zdziwiła nas oboje.  
Stała i odwróciła się powoli.

– Co takiego?

– W czym problem, Vicki?

– Nie ma żadnego problemu.

– Myślę, że jest.

– Ma pan prawo. – Znow zamierzała odejść.

– Proszę zaczekać. – Pustka korytarza zwiokrotniła siłę mego głosu. A może naprawdę byłem taki zły.

– Mam pracę do wykonania – odparła.

– Ja również, Vicki. Z tym samym pacjentem, nawiasem mówiąc.  
Wyciągnęła rękę w stronę stelaża na karty.

– Zapraszam.

Podszedłem do niej. Niemal napałem. Cofnęła się. Postąpiłem do przodu.

– Nie wiem, w czym tkwi problem w twoim stosunku do mnie, ale proponuję, żebyśmy go rozwiązali.

– Nie mam z nikim żadnych problemów.

– Och? Więc to, co dotąd widziałem, to twój stały urok osobisty?

Jej piękne, niebieskie oczy zamrugwały. Mimo że były suche, wytarła je pospiesznie.

– Słuchaj – powiedziałem, cofając się o krok. – Nie chcę wkraczać w twoje sprawy osobiste. Ale od samego początku jesteś do mnie wrogo nastawiona i chciałbym wiedzieć, dlaczego.

Wbiła we mnie wzrok. Otworzyła usta. Zamknęła je.

– To nic – odparła. – Poprawię się – nie ma problemu, przyrzekam. W porządku?

Wyciągnęła rękę.

Ująłem ją.

Podąła mi końce palców. Gdy wymieniliśmy szybki uścisk, odwróciła się i zaczęła oddalać.

– Schodzę na kawę. Zejdiesz ze mną? – zaproponowałem.

Stała, ale nie odwróciła się.

– Nie mogę. Dyżur.

– Przynieść ci filiżankę?

Teraz odwróciła się gwałtownie.

– Czego pan chce!

– Niczego – odparłem. – Sądziłem, że na podwójnym dyżurze dobrze ci zrobi trochę kawy.

– Czuję się świetnie.

– Słyszałem, że jesteś wspaniała.

– Co pan ma myśli?

– Doktor Eves bardzo cię ceni. Jako pielęgniarkę. Tak samo Cindy.

Objęła się ramionami, jakby chciała dodać sobie pewności. – Robię, co do mnie należy.

– Uważasz, że wchodzę ci w drogę?

Uniosła ramiona. Zdawało się, że przygotowuje odpowiedź. Ale rzekła tylko:

– Nie. Wszystko będzie dobrze. W porządku?

– Vicki...

– Przyrzekam – obiecała. – Proszę. Mogę już odejść?

– Jasne – odparłem. – Przepraszam, jeśli byłem zbyt natrętny.

Zacisnęła wargi, odwróciła się na pięcie i wróciła do dyżurki.

Przeszedłem do wind piątki wschodniej. Jedna była zablokowana na szóstym piętrze. Dwie pozostałe nadjechały równocześnie. Ze środkowych drzwi wyszedł Chip Jones, z kubkiem kawy w każdej ręce. Miał na sobie spłowiałe dżinsy, biały golf i pasującą do spodni dżinsową kurtkę.

– Doktorze Delaware.

– Profesorze.

– Proszę. Roześmiał się – i wyszedł na korytarz. – Jak się mają moje panie?

– Obie śpią.

– Bogu dzięki. Rozmawiałem z Cindy po południu, wydawała się wyczerpana. Przyniosłem to z dołu.

– Uniósł jeden kubek – żeby ją „podładować”. Ale sen to coś, czego naprawdę potrzebuje.

Ruszył w stronę tekowych drzwi. Dołączyłem do niego.

– Trzymamy pana z dala od ogniska domowego, doktorze?

Potrząsnąłem głową.

– Byłem już i wróciłem.

– Nie wiedziałem, że psychologowie mają taki rozkład zajęć.

– Nie mamy, kiedy możemy tego uniknąć.

Uśmiechnął się.

– Skoro Cindy poszła spać tak wcześnie, znaczy to, że mogła się odprężyć, bo Cassie jest dość zdrowa. A to dobrze.

– Mówiła mi, że nigdy nie zostawia Cassie.

– Nigdy.

– Musi jej być ciężko.

– Ogromnie ciężko. Początkowo usiłowałem ją od tego odwieść, ale kiedy po kilku wizytach zobaczyłem inne matki, zdałem sobie sprawę, że to normalne. Uzasadnione, w gruncie rzeczy. To samoobrona.

– Przed czym?

– Przed pomyłkami.

– Także Cindy o tym mówiła – powiedziałem. – Był pan tutaj świadkiem popełnienia wielu błędów w sztuce lekarskiej?

– Jako rodzic, czy jako syn Chucka Jonesa?

– A to nie to samo?

Uśmiechnął się nieznacznie.

– Ja myślę, że nie. Jako syn Chucka Jonesa uważam, że ten przybytek to pediatryczny raj i powiem to na najbliższym spotkaniu z dziennikarzami, jeśli mnie zapytają. Jako rodzic widziałem różne rzeczy – nieuniknione ludzkie pomyłki. Podam panu przykład – coś, co mną naprawdę wstrząsnęło. Parę miesięcy temu głośno było o tym na całym piątym piętrze. Przebywał tam taki chłopiec, chory na raka – dostawał jakieś eksperymentalne lekarstwo, więc pewnie i tak rokowania nie były pomyślne. Ale nie w tym rzecz. Ktoś źle odczytał miejsce dziesiętne i lek nieźle przedawkowano. Uszkodzenie mózgu, śpiączka, cała afera. Wszyscy rodzice na piętrze słyszeli sygnał alarmowy, widzieli, jak wpada zespół reanimacyjny. Słyszeli, jak matka wzywa pomocy. My także – byłem w korytarzu. Rzeczywiście słyszałem jej krzyk.

Wzdrygnął się.

– Zobaczyłem ją kilka dni potem, doktorze. Chłopiec był ciągle pod respiratorem. Matka wyglądała

niczym ofiara obozu koncentracyjnego. Jak ktoś zgnębiony i zdradzony. Wszystko z powodu miejsca dziesiątego. Cóż, takie rzeczy zdarzają się zapewne przez cały czas, na mniejszą skalę wypadki, których skutki można załagodzić. Czy nawet takie, których nie wychwytuje się w pierwszej chwili. Trudno więc winić rodziców za to, że chcą mieć wszystko na oku, prawda?

– Owszem – odparłem. – Nie ma pan, zdaje się, wielkiego zaufania do tego szpitala?

– Przeciwnie – zaprzeczył niecierpliwie. – Zanim zdecydowaliśmy się, że Cassie będzie tu leczona, przeprowadziliśmy wywiad – bez wiedzy ojca. I wiem, że dla chorego dziecka to najlepsze miejsce w całym mieście. Ale gdy w grę wchodzi pana dziecko, statystyki niewiele znaczą, prawda? A ludzkie pomyłki są nieuniknione.

Przytrzymałem mu drzwi do Chappy Ward, by mógł wnieść kawę.

Przez szklane drzwi magazynku za dyżurką pielęgniarek widać było przysadzistą sylwetkę Vicki. Ustawiała coś wysoko na półce. Minąwszy ją, podeszliśmy do pokoju Cassie.

Chip wsunął do środka głowę, cofnął ją i powiedział:

– Ciągle śpią. – Spojrzawszy na kubki, wyciągnął jeden w moją stronę. Nie ma sensu marnować złej kawy.

– Nie, dziękuję – odparłem.

Roześmiał się cicho.

– Przemawia przez pana doświadczenie, co? Zawsze była taka zła?

– Zawsze.

– Proszę spojrzeć na to – mamy tu „Exxon Valdez” w miniaturze. – Na czarnej powierzchni unosiła się tłusta tęczowa plamka. Chip krzywiąc się, podniósł do ust drugi kubek.

– Mniemam – przypomina mi czasy studenckie. Ale potrzebuję jej, żeby zachować przytomność umysłu.

– Długi dzień?

– Przeciwnie – za krótki. W miarę jak się starzejemy, wydają się coraz krótsze, prawda? Krótsze i wypełnione pracą. A do tego przejazdu samochodem tam i z powrotem między szkołą, domem i szpitalem. Nasze wspaniałe szosy – nadmiar ludzkich możliwości.

– Do Valley Hills jedzie się Ventura Freeway – stwierdziłem. – Jest tam coraz gorzej.

– Fatalnie. Kiedy szukaliśmy domu, specjalnie wybrałem miejsce blisko pracy, by uniknąć uciążliwych dojazdów. – Wzruszył ramionami. – Skrupulatnie obmyślone plany. Czasem tkwię w korku, zderzak przy zderzaku, i mam wrażenie, że tak właśnie wygląda piekło.

Znów się roześmiał i łyknął kawę.

– Za parę dni doświadczę tego na własnej skórze – odwiedzając was w domu – powiedziałem.

– Tak, Cindy wspominała o tym. Ach, a oto i panna Nightingale... Cześć, Vicki. Znów zarywasz noc?

Odwróciwszy się, ujrzałem, jak pielęgniarka sunie ku nam, uśmiechając się. Czepek podrygiwał na jej głowie.

– ... Bry wieczór, profesorze Jones. – Nabrała powietrza do płuc, jakby przygotowywała się do dźwignięcia ciężaru, po czym skinęła mi głową.

Chip podał jej nietkniętą kawę.

– Wypij to albo wylej.

– Dziękuję, profesorze Jones.

Ruchem głowy wskazał pokój Cassie.

– Jak długo już drzemią moje Śpiące Królowny?

– Cassie położyła się o ósmej, pani Jones o ósmej czterdzieści pięć.

Spojrzał na zegarek.

– Vicki, możesz mi zrobić przysługę? Odprowadzę na dół doktora Delaware, może zjem coś przy okazji. Każ mnie wezwać, jeśli się zbudzą.

– Jeśli pan sobie życzy, mogę panu coś przynieść z dołu, profesorze.

– Nie, dziękuję. Muszę rozprostować kości – korkomatyzm.

Vicki cmoknęła współczująco.

– Oczywiście. Dam panu znać, jeśli tylko któraś wstanie.

Kiedy przeszliśmy na drugą stronę tekowych drzwi, przystanął i zapytał:

– Co pan sądzi o tym, jak się nas traktuje?

– Jak to traktuje?

Ruszył dalej.

– Pod względem medycznym – ta ciągła hospitalizacja. O ile mi wiadomo, nikt nie stara się postawić rozpoznania. Nikt nie bada jej pod względem fizycznym. Wcale mi to nie przeszkadza – dzięki Bogu nie musi przechodzić przez te cholerne nakłuwania. Ale zaczyna docierać do mojej świadomości, że to tylko placebo. Załóżmy ręce, przyślijmy psychoterapeutę – proszę nie brać tego do siebie osobiście – i niech to, co się dzieje z Cassie, samo przejdzie.

– Czuje się pan urażony?

– Nie tyle urażony – no, może odrobinę. Jakbyśmy to sami wymyślili. Proszę mi wierzyć, nie jest tak. Wy tutaj nie widzieliście tego co my – krwi, konwulsji.

– Patrzył pan na to wszystko?

– Nie na wszystko. To Cindy wstaje w nocy. Ja mam zwykle mocny sen. Ale dosyć widziałem. Krew to argument, z którym nie sposób polemizować. Więc dlaczego nie robi się więcej?

– Nie mogę odpowiadać za innych – odparłem. – Ale podejrzewam, że tak naprawdę nikt nie wie, co robić, a lekarze nie chcą jej przeciążać zabiegami.

– Tak przypuszczałem – powiedział. – I o ile wiem, to jest właśnie najlepsze podejście. Doktor Eves na pewno nie brak rozumu. Może objawy Cassie są – jak to się określa – samoograniczone?

– Samoograniczające się.

– Samoograniczające się. – Uśmiechnął się. – Lekarze upowszechniają więcej eufemizmów niż ktokolwiek inny... Proszę Boga, żeby to było coś samoograniczającego się. Będę bardziej niż szczęśliwy, jeśli Cassie w końcu wróci do zdrowia, nawet gdyby jej choroba miała pozostać nierozwiązaną zagadką medycyny. Ale coraz trudniej teraz o nadzieję.

– Chip – powiedziałem. – Nie wezwano mnie dlatego, że ktoś zakłada psychosomatyczny charakter dolegliwości Cassie. Moje zadanie to pomóc jej znosić ból i niepokój. Zamierzam was odwiedzić, żeby nawiązać z nią głębszy kontakt; łatwiej mi będzie jej pomóc, kiedy znajdzie taka potrzeba.

– Jasne – zgodził się. – Rozumiem.

Patrzył w sufit, postukując nogą. Minęło nas parę pielęgniarek. Machinalnie powiódł za nimi wzrokiem.

– Chyba najtrudniej mi pogodzić się z irracjonalnością całej sytuacji stwierdził. – To tak, jakbyśmy dryfowali wszyscy w oceanie przypadkowych wydarzeń. Dlaczego, u diabła, ona choruje?

Walnął pięścią w ścianę.

Czułem, że cokolwiek powiem, pogorszy tylko sytuację, ale wiedziałem, że milczenie też niewiele pomoże.

Drzwi windy rozsunęły się i weszliśmy do środka.

– Wkurzeni rodzice – rzucił, wciskając energicznie guzik DÓŁ. – Miłe zakończenie pańskiego dnia.

– To moja praca.

– Praca, co się zowie.

– Gorsza od fizycznej.

Uśmiechnął się.

Wskazałem kubek, który trzymał w ręce.

– Pewnie już wystygła. Może łykniemy obaj trochę świeżej lury?

Zastanowił się przez chwilę.

– Jasne, czemu nie?

Kawiarenka była zamknięta, więc ruszyliśmy korytarzem w stronę saloniku lekarzy szpitalnych, za którym, obok szatni, znajdowało się kilka automatycznych dystrybutorów. Szczupła, młoda kobieta w chirurgicznym stroju odchodziła właśnie od nich, mając obie dłonie pełne batoników. Wzięliśmy po czarnej kawie, a Chip dokupił jeszcze dwa czekoladowe ciastka w foliowym opakowaniu.

Obok w korytarzu była poczekalnia: pomarańczowe, plastikowe krzeselka ustawiono w kształt litery L, na białym, niskim stole, leżały stare magazyny i opakowania po jedzeniu. Nieco dalej mieściło się laboratorium patologii. Pomyślałem o małym synku Chipa, zastanawiając się, czy Jones ma te same skojarzenia. Ale minął drzwi jak gdyby nigdy nic i usiadł ziewając.

Rozpakowawszy ciasteczka, umoczył jedno w kawie. – Zdrowa żywność – powiedział i zjadł nasączony kawałek.

Siedziałem bokiem do niego, popijając kawę. Była okropna, ale dziwnie pokrzepiająca – jak nieświeży oddech ukochanego wujka.

– Więc – odezwał się, maczając znów ciasteczko – opowiem panu o mojej córce. Ma wesołe usposobienie, dużo je, dużo śpi – mając pięć tygodni przesypiała cały dzień. U innego dziecka cieszyłoby to, prawda? Ale po tym, co stało się z Chadem, byliśmy cholernie wystraszeni. Chcieliśmy, żeby była przytomna. Chodziliśmy do niej na zmianę, żeby ją budzić, biedule. To zadziwiające, jaka jest silna – jak potrafi się opierać. Kto by pomyślał, że szkrab może być takim twardzielem.

– To wszystko wydaje mi się śmieszne – nawet dyskusja z psychologiem na jej temat. Na litość boską, przecież to małe dziecko – jakie ona może mieć nerwice? Choć po tym wszystkim mogłaby dostać kilka naraz, prawda? Cały ten stres. Czy trzeba będzie poddawać ją psychoterapii przez resztę życia?

– Nie.

– Czy ktoś to badał?

– Jest wiele prac – odparłem. – Dzieci przewlekle chore zwykle dają sobie radę lepiej niż przewidują eksperci.

– Zwykle?

– Większość, tak.

– Uśmiechnął się.

– Rozumiem. To nie fizyka. W porządku, pozwolę sobie na chwilowy optymizm.

Naprężył się, potem rozluźnił – świadomie, jakby uczono go medytacji. Opuścił ramiona, pozwalając im kołysać się swobodnie, wyciągnął nogi. Odrzucił w tył głowę i masował skronie.

– Nie denerwuje to pana? – zapytał. – Wysłuchiwanie ludzi przez cały dzień? Konieczność potakiwania, współczucia i powtarzania, że wszystko z nimi w porządku?

– Czasami – zgodziłem się. – Ale zwykle lepiej poznaje się ludzi, zaczyna się dostrzegać ich



człowieczeństwo.

– Tak, przypominają się tu słowa – „Duch nigdy rzadszy światem nie kierował, lecz bóg przywary do cnót naszych miesza, aby ludzkości nie zetrzeć w nas piętna”. Słowa – Willy Szekspir: podkreślenie – moje. Wiem, że to brzmi pretensjonalnie, ale stary bard podnosi mnie na duchu – ma coś na każdą okazję. Ciekawe, czy on bywał kiedyś w szpitalach.

– Mógł. Za jego życia miała miejsce epidemia czarnej śmierci.

– To prawda... Cóż – poprawił się na krześle i rozpakował drugie ciastko – cała zasługa po pana stronie, ja nie mógłbym tego robić. Muszę mieć coś jasnego i porządnego, teoretycznego w każdym razie.

– Nie sądziłem, że socjologia to nauka ścisła.

– W większej części nie jest. Ale w badaniach dotyczących instytucji mamy rozmaite eleganckie modele i wymierne hipotezy. Złudzenie precyzji. Oszukuję się regularnie.

– Czym się pan zajmuje? Zarządzaniem przemysłem? Analizą systemów?

Potrząsnął głową.

– Nie, to sprawa zastosowań. Jestem teoretykiem – tworzę modele funkcjonowania grup i instytucji na poziomie strukturalnym, fenomenologią zazębiania się elementów. Siedzę pod kloszem, ale bawi mnie to. Uczyłem się też pod kloszem.

– A gdzie?

– Studia w Yale, doktorat – University of Connecticut. Nie skończyłem dysertacji, uprzytomniwszy sobie, że nauczanie pociąga mnie bardziej niż praca naukowa.

Wpatrywał się w pusty korytarz podziemi, obserwując przechodzące z rzadka widmowe postaci w białych fartuchach.

– Straszne – powiedział.

– Co takiego?

– To miejsce. – Ziewnął, spojrzął na zegarek. – Pójdę chyba na górę, zobaczyć, co z moimi paniami.

Dziękuję, że znalazł pan dla mnie czas.

Podnieśliśmy się obaj.

– Gdyby chciał pan kiedyś ze mną rozmawiać – powiedział – to jest mój telefon do pracy.

Odstawił kubek, sięgnął do kieszeni na biodrze i wyciągnął srebrny hinduski zacisk do banknotów ozdobiony nieregularnym turkusem. Na zewnątrz znajdował się banknot dwudziestodolarowy, w środku karty kredytowe i różne inne dokumenty. Wyjąwszy cały plik, przejrzał go i znalazł białą służbową wizytówkę. Położył ją na stole i wydobywszy z innej kieszeni niebieskiego bica, zapisał coś na niej i podał mi.

Logo miało kształt ryczącego tygrysa, wokół litery WVCC. Poniżej:

West Valley Community College

Wydział Nauk Społecznych

(818) 509-3476

Dwie linie na dole wypełnił wyraźnymi drukowanymi literami:

CHIP JONES

WEW. 23 59

– Jeśli będę miał zajęcia – wyjaśnił – połączy się pan z sekretariatem. Gdyby pan chciał mnie widzieć w czasie wizyty u nas, proszę mnie uprzedzić dzień wcześniej.

Zanim zdążyłem odpowiedzieć, szybkie, ciężkie kroki w odległym końcu korytarza zmusiły nas obu do odwrócenia się. Jakaś postać zbliżała się ku nam. Chód atlety, ciemna kurtka.

Czarna, skórzana kurtka. Niebieskie spodnie i kapelusz. Jeden ze strażników wypatrujących w korytarzach pediatrycznego rajy śladów zła?

Podszedł bliżej. Murzyn z wąsikami, o kwadratowej twarzy i żywym spojrzeniu. Spojrzawszy na jego odznakę, zrozumiałem, że nie należy do ochrony. Policja Los Angeles. Trzy paski. Sierżant.

– Wybaczenie, panowie – zagadnął, mówiąc cicho, ale obrzucając nas szybkim spojrzeniem. Nazwisko na identyfikatorze brzmiało PERKINS.

– O co chodzi? – zapytał Chip.

Policjant odczytał moją plakietkę. Chyba się zmieszał.

– Jest pan lekarzem?

Skinałem głową.

– Jak długo byliście panowie w tym korytarzu?

– Pięć może dziesięć minut – odparł Chip. – Coś nie w porządku?

Spojrzenie Perkinsa przeniosło się na pierś Chipa, potem na brodę i kolczyk. – Pan też jest lekarzem?

– Ojcem – wyjaśniłem. – Odwiedza dziecko.

– Ma pan plakietkę odwiedzającego?

Chip wyjął ją i przytrzymał przed oczyma policjanta.

Perkins przygryzł policzek i znów zwrócił się do mnie. Zalaatywało od niego wodą fryzjerską.

– Czy któryś z panów zauważył coś szczególnego?

– Na przykład? – zapytał Chip.

– Coś niezwykłego, proszę pana. Kogoś obcego.

– Obcego – powtórzył Chip. – Kogoś zdrowego, na przykład?

Perkins zmrużył oczy.

– Nie widzieliśmy niczego, sierżancie – odparłem. – Było tu spokojnie. A co takiego?

– Dziękuję – rzucił Perkins i odszedł. Zauważyłem, że zwolnił na moment, mijając laboratorium patologii.

Zeszliśmy schodami do holu wejściowego. Zgromadzony po jego wschodniej stronie tłumek pracowników nocnej zmiany napierał na szklane drzwi prowadzące na zewnątrz. Ciemności po drugiej stronie szyby rozcinały pulsujące, wiśniowo-czerwone i białe, załamujące się w kaskady gwiazdek światła wozów policyjnych.

– Co się dzieje? – zapytał Chip.

Stojąca obok pielęgniarka odpowiedziała nie odwracając głowy: – Napadnięto kogoś. Na parking.

– Napadnięto? Kto?

Pielęgniarka spojrzała na niego i zobaczywszy, że jest cywilem odeszła.

Rozejrzałem się, szukając znajomej twarzy. Nikogo. Zbyt wiele lat upłynęło.

Szczupły, bladej skórego sanitariusz z białą opaską na platynowych włosach powiedział nosowym głosem:

– Dość już tego. Chcę tylko iść do domu.

Ktoś jęknął do wtóru.

Przez hol przebiegły niewyraźne szepty. Po drugiej stronie szyby dostrzegłem postać w mundurze, blokującą drzwi. Z zewnątrz doleciały odgłosy prowadzonej przez radiotelefon rozmowy. Trwała tam gorączkowa krzątanina. Jakiś samochód omiół światłami wejście, zakręcił i odjechał pełnym gazem. Zauważyłem napis: AMBULANS. Ale żadnych migaczy ani syreny.

- Dlaczego nie wnieśli jej tutaj? – zapytał ktoś.
- A kto powiedział, że to ona!
- To zawsze jest ona – odparła jakaś kobieta.
- Słyszeliście? Nie było wyjścia – odezwał się ktoś. – Nic groźnego.
- Albo jest już za późno – rzucił blondyn.

Tłum zafalował jak żel na szalce Petriego.

- Chciałem wyjść od tyłu, ale zablokowali drzwi – powiedział ktoś inny. – Załatwili mnie, cholera.
- Jeden z nich mówił chyba, że to lekarz.
- Kto?

– Tylko tyle słyszałem.

Pomruki. Szept.

– Cudownie – powiedział Chip. Odwrócił się gwałtownie i począł przepychać się przez tłum z powrotem do szpitala. Zniknął, zanim zdążyłem się odezwać.

Pięć minut potem szklane drzwi otworzono, a tłum przesunął się do przodu. Sierżant Perkins wśliznął się do środka i wyciągnął przed siebie brunatną dłoń. Wyglądał jak nauczyciel na zastępstwie przed klasą rozbrykanych licealistów.

– Mogę na chwilę prosić o uwagę? – Czekał, aż zapanuje całkowite milczenie, potem przystał na względną ciszę. – Na waszym parkingu dokonano napadu. Chcemy, żebyście wychodzili jedno po drugim i odpowiedzieli na parę pytań.

- Co to za napad?
- Czy nic mu nie jest?
- Kto to był?
- Czy to był lekarz?
- Na którym parkingu to się zdarzyło?

Perkins znów zmrużył oczy.

– Ludzie, załatwmy to jak najszybciej i będziecie mogli wszyscy pójść do domu.

– A może byście nam powiedzieli, co się stało, żebyśmy się mogli zabezpieczyć! – odezwał się mężczyzna z białą opaską. Rozległy się pełne aprobaty pomruki.

– Uspokójcie się – rzucił Perkins.

– Nie, to wy się uspokójcie – odparł blondyn. – Potraficie tylko wypisywać na bulwarze mandaty za przebieganie przez jezdnię. A potem, kiedy coś się naprawdę stanie, zadajecie pytania i znikacie, zostawiając nam cały bałagan.

Perkins nie poruszył się ani nie odezwał.

– Daj spokój, chłopie – odezwał się inny mężczyzna, czarny i przygarbiony, w pielęgniarskim uniformie. – My też mamy swoje sprawy. Powiedz, co się stało.

– Taak!

Nozdrza Perkinsa rozdęły się. Patrzył jeszcze przez chwilę na ludzi, potem otworzył drzwi i wycofał się.

Tłum w holu zawrzał gniewem.

- Pies szeryfa – krzyknął ktoś.
- Pieprzeni mandaciarze.

– Taa, banda palantów. – Szpital pakuje nas na drugą stronę ulicy, a potem zatrzymują nas, gdy chcemy zdążyć do pracy.

Znów rozległ się pomruk aprobaty. Nikt już nie rozmawiał o wydarzeniu na parkingu.

Drzwi znów się otworzyły. Tym razem weszła policjantka – biała, młoda i ponura.

– Słuchajcie wszyscy – powiedziała. – Jeśli wyjdziecie jedno po drugim, funkcjonariusz sprawdzi wasze dokumenty i możecie iść do domu.

– Jo – rzucił Murzyn. – Witajcie w San Quentin. Co dalej? Rewizja osobista?

Po kilku podobnych odzywkach tłum poruszył się i ucichł.

Uplynęło dwadzieścia minut, zanim wyszedłem. Policjant z notatnikiem przepisał moje nazwisko z plakietki, poprosił o jakiś inny dokument i zanotował numer prawa jazdy. Tuż przy wejściu zaparkowano bezładnie sześć wozów patrolowych, obok stał sedan bez oznaczeń. Na pochyłym podejściu, w połowie drogi do piętrowego parkingu, gromadka ludzi rozprawiała o czymś.

– Gdzie to się wydarzyło? – zapytałem policjanta.

Zgiętym palcem wskazał piętrowy parking.

– Zostawiłem tam wóz.

Uniósł brwi.

– O której pan przyjechał?

– Około dziewiętej trzydzieści.

– Wieczorem?

– Tak.

– Na którym poziomie pan zaparkował?

– Na drugim.

Otworzył szeroko oczy.

– Zauważył pan wtedy coś niezwykłego – nikt się nie włóczył ani nie zachowywał podejrzanie?

Przypomniawszy sobie, że wysiadając z wozu miałem wrażenie, iż ktoś mnie obserwuje, odparłem:

– Nie, ale oświetlenie było nierównomierne.

– Jak to nierównomierne, proszę pana?

– Nieregularne. Niektóre pasy były oświetlone, inne ciemne. Łatwo byłoby się komuś ukryć.

– Spojrzał na mnie. Zaciśnął zęby. Raz jeszcze rzucił okiem na moją plakietkę i powiedział:

– Może pan już iść, proszę pana.

Ruszyłem dalej chodnikiem. Mijając grupkę ludzi, rozpoznałem jednego z mężczyzn. Presley Huenengarth. Szef ochrony szpitala ćmił papierosa wpatrując się w niebo, choć nie było na nim widać gwiazd. Facet w garniturze, ze złotą tarczą w klapie, opowiadał coś. Huenengarth zdawał się nie zwracać na to uwagi.

Nasze spojrzenia spotkały się na chwilę, ale nie zatrzymał wzroku. Rozglądał się, wydmuchując dym przez nos. Był niebywale spokojny, jak na człowieka, którego system zawiódł właśnie na całej linii.

## Rozdział dziesiąty

Środowe wydania gazet doniosły, że efektem napadu było zabójstwo.

Ofiarą, obrabowaną i pobitą na śmierć, okazał się rzeczywiście lekarz. Nazwisko, Laurence Ashmore nic mi nie mówiło. Miał czterdzieści pięć lat, w Western Peds był dopiero od roku. Uderzono go od tyłu i zabrano portfel, klucze i kartę magnetyczną pozwalającą wjechać na parking dla lekarzy. Niewymieniony z nazwiska rzecznik szpitala podkreślił, że zmieniono wszystkie kody otwierające wjazd na parking, ale przyznał, że jedyną przeszkodą przy wejściu tam pieszo, będzie ciągle wysiłek niezbędny do wspięcia się po schodach.

Napastnik nieznany, żadnych poszlak.

Odłożyłem gazetę i przejrzałem szuflady biurka, aż znalazłem listę pracowników szpitala z fotografiami. Ale była wydana pięć lat wcześniej, przed przybyciem Ashmore'a.

Tuż po ósmej znalazłem się znowu w szpitalu. Wjazd na parking dla lekarzy zablokowano metalową harmonijkową bramką, a samochody zaparkowane były ciasno obok siebie na kolistym podjeździe przed głównym wejściem. Przed podjazdem ustawiono znak BRAK MIEJSC. Strażnik ochrony wręczył mi powielaczową odbitkę instrukcji opisującej procedurę niezbędną do uzyskania nowej karty.

– Gdzie mam zaparkować do tego czasu?

Wskazał leżący po drugiej stronie ulicy, poźłobiony koleinami parking dla pielęgniarek i sanitariuszy. Cofnąłem wóz, wjechałem w boczną uliczkę, żeby podjechać z drugiej strony i znalazłem się na końcu kolejki. Czekałem piętnaście minut. Następne dziesięć zajęło mi znalezienie miejsca. Na skos przez bulwar popędziłem do głównego wejścia. W holu stało dwóch strażników zamiast jednego, poza tym nic nie wskazywało na to, że kilkaset stóp dalej odebrano komuś życie. Wiedziałem, że śmierć nie była tu niczym niezwykłym, ale wydawało mi się, że morderstwo zasługiwało na żywszą reakcję. Potem przyjrzałem się twarzom wchodzących, wychodzących i czekających tam ludzi. Nie dostrzegłem na nich troski ani zgryzoty.

Kierując się w stronę tylnej klatki schodowej zauważyłem na kontuarze obok okienka informacji aktualną listę pracowników. W lewym górnym rogu było zdjęcie Laurence'a Ashmore'a. Specjalność – toksykologia.

Jeśli fotografię wykonano niedawno, wyglądał młodo jak na czterdziestopięciolatka. Szczupła, poważna twarz. Ciemne, niesforne włosy, wąskie usta, okulary w rogowej oprawie. Woody Allen z niestrawnością. Typ człowieka, z którym napastnik nie miał pewnie większych kłopotów. Zastanowiłem się, czy rzeczywiście trzeba go było zabić, żeby zabrać portfel, potem uprzytomniłem sobie, jak idiotyczne było to pytanie.

Zamierzałem właśnie wjechać na piątkę, gdy zwróciły moją uwagę odgłosy dochodzące z końca korytarza. Zobaczyłem tam mnóstwo białych fartuchów. Linie mego spojrzenia przecięła grupa ludzi pędząca w kierunku windy do przewozu pacjentów.

Dwóch sanitariuszy transportowało dziecko, jeden pchał łóżko, drugi dotrzymywał mu kroku, niosąc butlę kroplówki.

W kobiecie rozpoznałem Stephanie. Były jeszcze dwie osoby w cywilnych ubraniach. Chip i Cindy.

Poszedłem za nimi i dogoniłem w momencie, gdy wsiadali do windy. Ledwo wcisnąłem się do środka i przysunąłem ku Stephanie.

Na mój widok lekko skrzywiła usta. Cindy trzymała Cassie za rękę. Ona i Chip wyglądali na przybitych, żadne nie podniosło wzroku.

Jechaliśmy w milczeniu. Gdy wysiedliśmy z windy, Chip wyciągnął do mnie rękę, a ja uściśnąłem ją krótko.

Sanitariusze powieźli dziewczynkę przez oddział i dalej za tekowe drzwi. W ciągu paru chwil położono na łóżku jej bezwładne ciało, podłączono kroplówkę i uniesiono poręczę boczne.

– Karta Cassie leżała na wózku. Stephanie zabrała ją i rzekła:

– Dziękuję, chłopcy. – Sanitariusze wyszli.

Chip i Cindy kręcili się niepewnie koło łóżka. Lampy w pokoju nie paliły się, a przez szparę między zaciągniętymi zasłonami, ostrymi klinami wdzierало się do środka szare światło poranka.

Twarz Cassie była obrzmiała, a mimo to wydawała się odwodniona – jak rozdęta lupina. Cindy znów wzięła małą za rękę. Chip pokręcił głową i objął ramieniem talię żony.

– Doktor Bogner zajrzy tu jeszcze i ten szwedzki lekarz chyba też oznajmiła Stephanie.

Oboje słabo skinęli głowami.

Stephanie dała mi znak. Wyszliśmy oboje na korytarz.

– Znów napad padaczki? – zapytałem.

– O czwartej rano. Byliśmy dotąd na oddziale intensywnej opieki, pracując przy niej.

– W jakim jest stanie?

– Stabilnym. Jest w śpiączce. Bogner próbuje wszystkich swoich sztuczek diagnostycznych, ale niewiele mu z tego wychodzi.

– Czy była w niebezpieczeństwie?

– Nie było zagrożenia życia, ale sam wiesz, do jakich uszkodzeń mogą prowadzić nawracające napady drgawek. A jeśli będzie się to nasilać, musimy spodziewać się wielu następnych. – Potarła oczy.

– Kim jest ten szwedzki lekarz? – zapytałem.

– Neuroradiolog nazwiskiem Torgeson, opublikował sporo prac o dziecięcej epilepsji. Ma wykłady na wydziale medycznym. Pomyślałam, czemu nie?

Podeszliśmy do pulpitu. Siedziała tam teraz młoda, ciemnowłosa pielęgniarka. Stephanie wpisała coś do karty i poleciła jej:

– Wezwij mnie bezzwłocznie, jeśli będą jakieś zmiany.

– Tak, pani doktor.

Przeszliśmy w głąb korytarza.

– Gdzie jest Vicki? – zapytałem.

– Mam nadzieję, że odsypia w domu. Zeszła z dyżuru o siódmej, ale była na oddziale intensywnej opieki do jakiejś siódmej trzydzieści, trzymała Cassie za rękę. Chciała zostać na kolejnym dyżurze, ale nalegałam, żeby poszła do domu – wyglądała na całkiem wypraną z sił.

– Widziała te drgawki?

Stephanie skinęła głową.

– Rejestratorka także. Cindy wcisnęła guzik alarmu, a potem wybiegła z pokoju, wołając o pomoc.

– Kiedy pokazał się Chip?

– Jak tylko stan Cassie się unormował, Cindy zadzwoniła do domu i przyjechał natychmiast. Mogła być jakaś czwarta trzydzieści.

– Piękna noc.

– Cóż, przynajmniej mamy potwierdzenie napadów padaczki. Dzieciak stanowczo przeszedł grand mai.

– Więc teraz wszyscy już wiedzą, że Cindy nie zbzikowała.

– Co masz na myśli?

– Wczoraj powiedziała mi, że ludzie myślą, iż oszalała.

– Dosłownie tak powiedziała!

– Dokładnie. Chodziło jej o to, że tylko ona widzi, jak Cassie choruje, a dziecko zdrowieje, kiedy tylko przyjadą do szpitala. Jakby ktoś podważał jej wiarygodność. Chyba była tylko sfrustrowana, ale może wie, że ją podejrzewamy, i chciała sprawdzić moją reakcję. Albo po prostu się zgrywa.

– Jak się zachowałeś?

– Mam nadzieję, że byłem spokojny i dodawałem jej otuchy.

– Hm – powiedziała, marszcząc brwi. – Najpierw martwi się o swoją wiarygodność, a potem nagle pojawiają się u dziecka dolegliwości somatyczne?

– Zbieżność czasowa jest doprawdy uderzająca – przyznałem. – Kto prócz Cindy był z Cassie zeszłej nocy?

– Nikt. Na stałe – nikt. Myślisz, że wsypała jej coś?

– Albo zacisnęła nos. Albo ścisnęła szyję – masując zatokę szyjną. Natknąłem się na obie metody, wertując literaturę na temat Munchausena, a jestem pewien, że istnieje jeszcze kilka sztuczek, których nie udokumentowano.

– Sztuczek nieobcych być może rehabilitantowi oddechowemu... Cholera. Więc jak, u licha, można wykryć coś podobnego?

Ściągnęła z szyi stetoskop. Oplotła go wokół ręki, potem rozwinęła. Stanąwszy przy ścianie, przycisnęła do niej czoło i zamknęła oczy.

– Zapiszesz jej coś? – zapytałem. – Dolargan albo Luminal?

– Nie mogę. Jeśli nie są to autentyczne zaburzenia, leki mogą jej bardziej zaszkodzić niż pomóc.

– Nie będą czegoś podejrzewać, jeśli nie dasz jej leków?

– Może... Powiem im prawdę. Wyniki EEG nie rozstrzygają, a chcę odkryć przyczynę ataków, zanim poddam dziecko leczeniu farmakologicznemu. Bogner poprze mnie w tym – wściekł się, bo sam nie może nic wymyślić.

– Tekowe drzwi otworzyły się, a do środka wpadł, trzepocząc połami białego fartucha i wysuwając podbródek George Plumb. Przytrzymał je mężczyźni dobrze po sześćdziesiątce, ubranemu w granatowy garnitur w prążki. Nieznajomy był dużo niższy od Plumba – mógł mieć pięć stóp i sześć, siedem cali – krępy i łysy. Szedł szybko, kołysząc się na pałkowatych nogach, a jego ruchliwa twarz wyglądała, jakby spadło na nią wiele bezpośrednich ciosów: nos był złamany, podbródek zdeformowany, brwi siwe, a małe oczka obramowane siateczką zmarszczek. Miał okulary w metalowej oprawie, białą koszulę z wykładanym kołnierzem i szaroniebieską jedwabną krawatę. Jego pantofle lśniły.

Obaj podeszli prosto do nas. Niższy sprawiał wrażenie zajętego człowieka, nawet gdy stał w miejscu.

– Doktor Eves – przedstawił Plumb. – I doktor... Delaware, prawda?

Skinąłem głową.

Nieznajomy wyraźnie wyłączył się z prezentacji. Rozglądał się po oddziale – tym samym taksującym spojrzeniem co Plumb dwa dni wcześniej.

– Jak się miewa nasza dziewczynka, doktor Eves? – zagadnął Plumb.

– Odpoczywa – odparła Stephanie, obserwując niższego. – Dzień dobry, panie Jones.

Mężczyzna obrócił szybko łysą głowę. Spojrzał na Steph, potem na mnie, przypatrując się uważnie. Jakby był krawcem, a ja belą sukna.

– Co się dokładnie wydarzyło? – zapytał chropawym głosem.

– Wczesnym rankiem Cassie miała napad padaczkowy – wyjaśniła Stephanie.  
– Cholera – uderzył pięścią o dłoń. – I ciągle nie wiadomo, co jest przyczyną?  
– Obawiam się, że jeszcze nie. Poprzednim razem kiedy ją przyjęto, wykonaliśmy wszystkie odpowiednie testy, ale powtarzamy je, dołączył też do nas doktor Bogner. Lada chwila ma też przybyć pewien profesor ze Szwecji, który jest tu na kontrakcie. Specjalizuje się w epilepsji dziecięcej. Choć kiedy rozmawiałam z nim przez telefon, stwierdził, że postępujemy właściwie.

– Cholera. – Mężczyzna zwrócił na mnie otoczone zmarszczkami oczy. Energicznie wyciągnął rękę.  
– Chuck Jones.

– Alex Delaware.

Wymieniliśmy mocny i szybki uścisk. Miał dłoń niczym raszpłę. Odnosiło się wrażenie, że działa na przyspieszonych obrotach.

– Chuck, doktor Delaware jest psychologiem.

Jones zamrugał i spojrzął na mnie.

– Doktor Delaware pracuje z Cassie – dodała Stephanie – by pomóc jej pozbyć się strachu przed zastrzykami.

Jones mruknął coś niezrozumiałego, a potem powiedział:

– Zobaczymy, co tu jest grane. Musimy rozgryźć ten cholerny nonsens...

Poszedł do pokoju Cassie. Plumb postępował za nim jak szczeniak.

Kiedy byli już w środku, powtórzyłem:

– Nonsens?

– Chciałbyś mieć takiego dziadka?

– Na pewno uwielbia kolczyk Chipa.

– Nie uwielbia natomiast psychoterapeutów. Po tym jak zlikwidowano psychiatrię poszliśmy do niego całą paczką, żeby przywrócił jakąś formę opieki nad zdrowiem psychicznym. Równie dobrze moglibyśmy go prosić o nieoprocentowany kredyt. Plumb wystawił cię, mówiąc Jonesowi, czym się zajmujesz.

– Stare numery ludzi interesu? Dlaczego?

– Kto wie? Uprzedzam cię tylko, żebyś się miał na baczności. Oni grają według innych reguł.

– Słuszne spostrzeżenie – stwierdziłem.

Spojrzała na zegarek.

– Czas do poradni.

Wyszliśmy z Chappy, kierując się ku window.

– Więc co zrobimy, Alex?

Zastanawiałem się, czy nie powiedzieć jej, do czego namówiłem Mila, ale zdecydowałem, że lepiej nie mieszać jej w to.

– Z tego, co mi wiadomo, jedynym skutecznym sposobem jest złapać kogoś na gorącym uczynku albo doprowadzić do bezpośredniej konfrontacji, by wymusić przyznanie się.

– Konfrontacji? Występując z konkretnym zarzutem?

Skinąłem głową.

– W tym momencie nie mogę tego zrobić, nie sądzisz? – zapytała. – Ona ma teraz świadków autentycznego ataku padaczki, a ja poprosiłam o pomoc specjalistów. Kto wie, może moje podejrzenia są całkowicie bezpodstawne, a to jest rzeczywiście rodzaj padaczki, sama nie wiem... Dostałam dziś rano list od Rity. Ekspres z Nowego Jorku – obchodzi galerie sztuki. „Jak postępuje sprawa?” Czy „zblizam się do



ustalenia rozpoznania!” Mam wrażenie, że ktoś kontaktował się z nią za moimi plecami.

– Plumb?

– Aha. Pamiętasz, jak chciał się ze mną spotkać? Odbyło się to wczoraj do rany można go było przyłożyć. Opowiadał, jak bardzo ceni moje oddanie instytucji. Dawał do zrozumienia, że sytuacja finansowa jest parszywa, a będzie jeszcze gorsza, ale sugerował, że jeśli nie zacznę rozrabiać, mogę dostać wyższe stanowisko.

– Rity.

– Nie wystąpił z tym otwarcie, ale o to chodziło. Byłoby w jego stylu, zadzwonić potem do Rity, żeby podjudzić ją przeciw mnie... Tak czy inaczej, to bez znaczenia. Co robić z Cassie?

– Dlaczego nie poczekaasz, co powie ten Torgeson? Jeśli uzna, że napady wywołano, będziesz miała więcej argumentów na wypadek ewentualnej konfrontacji.

– Konfrontacji, co? Nie mogę czekać.

Gdy zbliżaliśmy się do poczekalni, podzieliłem się ze Stephanie spostrzeżeniem, że zamordowanie Laurence’a Ashmore’a wywarło tak niewielkie wrażenie.

– Co masz na myśli?

– Nikt o tym nie rozmawia.

– Owszem. Masz rację – to straszne, no nie? Zrobiliśmy się tacy gruboskórni. Zaabsorbowani własnymi sprawami.

Po kilku krokach dodała:

– Tak naprawdę nie znałam go – Ashmore’a. Trzymał się na uboczu typ odludka. Nie zjawiał się na posiedzeniach lekarskich, nie przyjmował zaproszeń na przyjęcia.

– Jak zdobywał referencje, jeśli był nietowarzyski?

– Nie potrzebował ich – nie był klinicystą, ale stuprocentowym naukowcem.

– Szczur laboratoryjny?

– Oczka jak paciorki i te rzeczy. Ale słyszałam, że był dobry – znał się na toksykologii. Kiedy zaczęto przywozić Cassie z zaburzeniami oddechowymi, poprosiłam, żeby przejrzał kartę Chada.

– Powiedziałaś mu dlaczego?

– Że coś podejrzewam? Nie. Chciałam, żeby zajął się tym bez żadnych uprzedzeń. Poprosiłam tylko, żeby poszukał czegoś nietypowego. Przyjął to niechętnie. Był wręcz urażony – jakbym mu się narzucała. Parę dni potem dostałam telefoniczną wiadomość, że nic nie znalazł. Jakby chciał mi powiedzieć – nie zwracaj mi więcej głowy.

– Skąd brał pieniądze? Dotacje?

– Tak sądzę.

– Myślałem, że szpital niechętnie je przyjmował – nie chcąc ponosić kosztów dodatkowych.

– Nie wiem. Może sam je opłacał – odparła.

Zmarszczyła brwi.

– Bez względu na jego zalety towarzyskie, to straszne, co się z nim stało. Były czasy, kiedy mając na sobie biały fartuch albo stetoskop na szyi, mogłeś się czuć bezpiecznie, niezależnie od tego, jak paskudnie było na ulicach. Teraz to się załamało. Czasem mam wrażenie, że wszystko się załamuje.

Dotarliśmy do poradni. W przepelnionej poczekalni panował taki hałas, jakby pracował tam młot pneumatyczny.

– Dość tych jęków. Nikt mnie do tego nie zmusza – podjęła. – Nie miałabym natomiast nic przeciw paru dniom wolnego.

– Dlaczego nie weźmiesz urlopu?

– Mam dług hipoteczny.

Kilka matek zamachało do niej, odpowiedziała na pozdrowienia. Wyszedszy z poczekalni, skierowaliśmy się do jej gabinetu. Jakaś pielęgniarka powiedziała:

– ... Dzień dobry, doktor Eves. Pani karnet jest pełen.

Stephanie uśmiechnęła się krzywo. Inna pielęgniarka wręczyła jej stertę kart.

– Tobie także życzę Wesołych Świąt, Joyce – powiedziała, a pielęgniarka roześmiała się i odeszła pospiesznie.

– Do zobaczenia – rzuciłem.

– Dobra. Dzięki. O, a propos, dowiedziałam się czegoś jeszcze o Vicki. Pielęgniarka, z którą pracowałam kiedyś na czwórce, powiedziała mi, że według niej, Vicki miała kłopoty rodzinne. Mąż alkoholik trochę szorstko się z nią obchodził. Więc może jest po prostu nieco rozgoryczona – cięta na facetów. Ciągłe ci miesza?

– Nie. Prawdę mówiąc, mieliśmy nawet małą konfrontację, po której zawarliśmy swego rodzaju rozejm.

– To dobrze.

– Może jest cięta na facetów – podjąłem. – Ale nie na Chipa.

– Chip to nie facet. To syn szefa.

– Słusznie – odparłem. – Brutalny mąż wyjaśniałby, dlaczego ja tak jej działam na nerwy. Mogła zwrócić się o pomoc do terapeuty, nic jej to nie dało, zaczęła odczuwać niechęć... Oczywiście poważne kłopoty rodzinne może odreagowywać w inny sposób – stając się bohaterką w pracy, żeby podnieść samoocenę. Jak sobie radziła w czasie ataku?

– Jest kompetentna. Nie nazwałabym tego bohaterstwem. Uspokoiła Cindy, upewniła się, że Cassie nic nie grozi, potem zawołała mnie. Opanowana w ogniu walki, wszystko robi według podręcznika.

– Podręcznikowa pielęgniarka, podręcznikowy przypadek.

– Ale sam wcześniej powiedziałaś, że nie mogła być w to zamieszana, skoro wszystkie poprzednie kryzysy zaczynały się w domu.

– Oprócz tego. Nie, jeśli mam być szczery, nie mogę powiedzieć, że naprawdę ją o coś podejrzewam. Po prostu zwróciłem uwagę na fakt, że mając kłopoty w domu, przychodzi tutaj i błyszczy... Pewnie dlatego interesuję się nią, bo mi dokuczyła.

– Zabawny przypadek, co?

– Zawiała intryga, jak sama powiedziałaś.

– Zawsze dotrzymuję obietnic. – Znów spojrzała na zegarek. Muszę załatwić przedpołudniowe badania, potem pojechać do Century City i podrzucić tu Torgesona. Żeby mieć pewność, że nie ugrzęźnie z samochodem na parkingu. Gdzie cię umieścili?

– Po drugiej stronie ulicy, jak wszystkich innych.

– Przykro mi.

– Hola – powiedziałem, udając urazę. – Jedni w tym towarzystwie to światowe sławy, a inni parkują po drugiej stronie ulicy.

– Przez telefon facet robi wrażenie fajtłapy, ale to znakomitość – pracował w Komitecie Nagrody Nobla.

– As.

– As pikowy. Zobaczmy, czy uda nam się zbić go z pantałyku.

Zadzwoiłem z automatu do Mila i zostawiłem mu kolejną wiadomość po pierwszym sygnale:

– Vicki Bottomley ma męża, który pije, a może i bije ją. To pewnie bez znaczenia, ale sprawdź, proszę, jeśli możesz, czy nie odnotowano nic w rejestrze wezwań do awantur rodzinnych, a jeśli tak, podaj mi daty.

Podręcznikowa pielęgniarka...

Podręcznikowy zespół Munchausena per procura.

Podręcznikowa śmierć w kołysce.

Śmierć w kołysce analizowana przez zmarłego doktora Ashmore'a.

Lekarza, który nie przyjmował pacjentów.

To tylko fatalny zbieg okoliczności, bez wątplenia. Wystarczy posiedzieć dostatecznie długo w dowolnym szpitalu, a okropność stanie się normalnością. Ale nie wiedząc, co dalej robić, postanowiłem, że sam przyjrzę się karcie Chada.

Archiwum szpitalne mieściło się nadal na pierwszym piętrze podziemi. Zaczekałem w kolejce za kilkoma sekretarkami trzymającymi kwity zapotrzebowań i lekarzem szpitalnym dzierżącym laptopa, po to tylko, by się dowiedzieć, że rejestr zmarłych pacjentów znajduje się niżej, na drugim piętrze podziemi, w pomieszczeniu zwanym STN – „stan trwale nieaktywny”. Nazwa brzmiała tak, jakby wymyślili ją wojskowi.

Na ścianie drugiego piętra, tuż przy schodach, wisiał plan z czerwoną strzałką JESTES TUTAJ w lewym dolnym rogu. Przedstawiał rzut poziomy siatki korytarzy. Ściany wyłożono białymi kafelkami, a podłogi szarym linoleum w czarno-różowe trójkąty. Drzwi były szare, tabliczki czerwone. W oświetlonym jarzeniówkami korytarzu unosił się kwaśny zapach laboratorium chemicznego.

Pokój STN znajdował się w środku rysunku. Mały kwadracik. Na podstawie dwuwymiarowego planu trudno było oszacować rzeczywistą odległość na długim odcinku korytarza, który rozciągał się przede mną.

Zacząłem iść, odczytując napisy na drzwiach. KOTŁOWNIA. MAGAZYN MEBLI. Szereg drzwi z napisem MAGAZYNEK. Mnóstwo innych bez żadnych oznaczeń.

Korytarz skręcał w prawo.

SPEKTROGRAFIA CHEMICZNA, ARCHIWUM ZDJĘĆ RTG. ARCHIWUM HISTOPATOLOGICZNE. Podwójne drzwi z napisem PROSEKTORIUM: NIEUPOWAŻNIONYM WSTĘP ZABRONIONY.

Przystanąłem. Nie czuło się zapachu formaliny, nic nie wskazywało, co znajduje się po drugiej stronie. Tylko cisza, ostry, kwaśny zapach i chłód, którego przyczyną był zapewne nastawiony na niską temperaturę termostat.

Odtworzyłem w wyobraźni plan. O ile pamięć mnie nie myliła, żeby dojść do STN należało skręcić w prawo, potem w lewo i przejść kawałek. Ruszyłem dalej. Uprzytomniłem sobie, że nie spotkałem nikogo, odkąd zszedłem na dół. Zrobiło się zimno.

Przyspieszyłem kroku, nabierając tempa szybkiego, beztroskiego marszu, kiedy drzwi po prawej stronie otworzyły się tak gwałtownie, że musiałem uskoczyć, by uniknąć uderzenia.

Nie było na nich żadnej tabliczki. Wyłoniło się stamtąd dwóch niosących coś pracowników obsługi technicznej w szarych kombinezonach roboczych. Komputer. PC, ale duży – czarny i chyba drogi. Kiedy zniknęli, pojawiło się jeszcze dwóch. I następny komputer. Potem mężczyzna z zawiniętymi rękawami, i węzlastymi bicepsami, niosący drukarkę laserową. Na jej obudowie przyklejono kartę katalogową o wymiarach pięć na osiem cali z nazwiskiem dr med. L. ASHMORE.

Minąwszy drzwi, ujrzałem stojącego w nich z pełnym naręczem wydruków Presleya Huenengartha. Za nim dostrzegłem gołe, beżowe ściany, metalowe meble w kolorze grafitowym i jeszcze kilka komputerów, częściowo porołączanych.

Wiszący na haczyku biały fartuch był jedynym śladem tego, że badano tam substancję bardziej organiczną niż równania różniczkowe.

Huenengarth utkwiał we mnie spojrzenie.

– Jestem doktor Delaware – powiedziałem. – Spotkaliśmy się parę dni temu. Na pediatrii ogólnej.

Skinął nieznacznie głową.

– To straszne, co się stało z doktorem Ashmorem – stwierdziłem.

Znów skinął głową, cofnął się do pokoju i zamknął drzwi.

Spojrzałem w głąb korytarza. Wynoszący sprzęt Ashmore'a pracownicy przywodzili na myśl rabusiów grobów. Perspektywa znalezienia się w pomieszczeniu pełnym akt osób zmarłych wydała mi się nagle czymś miłym i zachęcającym.

## Rozdział jedenasty

Stan trwale nieaktywny – okazał się długim, wąskim pokojem, wypełnionym rzędami sięgających do sufitu metalowych półek, oddzielonych przejściami szerokości człowieka. Półki wypełniały karty medyczne. Przy każdej była czarna przywieszka. Setki kolejnych przywieszek tworzyły falujące, szerokie na cal czarne linie, które zdawały się przecinać dokumenty na pół.

Przystępu do półek bronił wysoki do pasa pulpit. Siedziała za nim Azjatka po czterdziestce, czytająca niewielkiego formatu gazetę w jakimś azjatyckim języku. Zaokrąglone litery – tajskie albo laotańskie, jak sądziłem. Zobaczywszy mnie, odłożyła ją i uśmiechnęła się, jakbym przynosił dobre nowiny.

Poprosiłem o kartę Charlesa Lymana Jonesa Czwartego. Wyglądało na to, że nazwisko to nic jej nie mówi. Sięgnęła pod pulpit i wyjęła formularz zapotrzebowania, wymiarów trzy na pięć cali. Wypełniłem go, a ona wzięła, odczytała „Jones”, uśmiechnęła się znowu i weszła między półki.

Szukała przez chwilę, chodząc wzdłuż regałów, wyciągając karty, unosząc wywieszki i rzucając okiem na formularz. Wróciła z pustymi rękami.

– Tu tego nie ma, doktorze.

– Nie wie pani, gdzie może być?

Wzruszyła ramionami.

– Ktoś wziął.

– Ktoś już to pożyczył?

– Pewnie tak, doktorze.

– Hm – powiedziałem, zastanawiając się, kogo zainteresowało świadectwo zgonu dwuletniego dziecka. – To bardzo ważne – dla celów naukowych. Czy mógłbym jakoś skontaktować się z tą osobą?

Zastanowiła się przez chwilę, uśmiechnęła i wyjęła coś jeszcze spod pulpitu. Pudełko po cygarach „El Producto”. Wewnątrz było pięć plików zapotrzebowań spiętych zaciskami. Rozłożyła je na pulpicie. Na wszystkich leżących na wierzchu formularzach widniały podpisy patologów. Odczytałem nazwiska pacjentów, ale nic nie świadczyło o tym, by zostały uporządkowane alfabetycznie czy w jakiś inny sposób.

Kobieta znów się uśmiechnęła, powiedziała: „Proszę” i wróciła do lektury.

Zdjąłem zacisk z pierwszego pliku i przerzuciłem formularze. Wkrótce stało się jasne, że istniał jakiś system. Zapotrzebowania ułożone były według daty złożenia. Każdy plik odpowiadał okresowi jednego miesiąca. Papierki ułożono w porządku chronologicznym. Pięć plików, gdyż teraz był maj.

Musiałem przejrzeć wszystkie po kolei bez żadnych ułatwień. A jeżeli kartę Chada Jonesa pożyczono wcześniej niż w styczniu, formularza w ogóle tam nie będzie.

Zacząłem czytać nazwiska zmarłych dzieci, udając przed sobą, że to tylko przypadkowe zbiory liter.

Chwilę potem znalazłem to, czego szukałem. W pliku z lutego. Kwit z datą 14 lutego, podpisany przez kogoś mającego okropny charakter pisma. Przyjrzawszy się zamazanemu gryzmołowi, odcyfrowałem w końcu nazwisko jako Herbert. D. Kent Herbert, a może było to Dr Kent Herbert.

Na formularzu było tylko nazwisko, data i szpitalny numer telefonu. Pozycji STANOWISKO/TYTUŁ, SPECJALNOŚĆ, UZASADNIENIE ZAPOTRZEBOWANIA nie wypełniono. Przepisałem numer telefonu i podziękowałem kobiecie za pulpit.

– Wszystko w porządku? – zapytała.

– Nie wie pani, kto to jest?

Podeszła i przyjrzała się formularzowi.

– Habert... nie. Pracuję tu tylko miesiąc. – Znów się uśmiechnęła. – To dobry szpital – dodała pogodnie.

Zacząłem się zastanawiać, czy ma pojęcie, jakie akta ewidencjonuje.

– Ma pani spis numerów szpitalnych?

Wydawała się zmieszana.

– Książkę telefoniczną szpitala – taka mała, pomarańczowa?

– Aha. – Schyliła się i wyjęła spis spod pulpitu.

Nie było żadnych Herbertów w spisie personelu medycznego. W następnej części, wśród pozostałego personelu, znalazłem RONALDA HERBERTA, określonego jako zastępcę kierownika ds. zaopatrzenia. Ale telefon nie odpowiadał temu, który miałem na zapotrzebowaniu i trudno mi było sobie wyobrazić, by ktoś zajmujący się zaopatrzeniem w żywność miał się interesować zespołem nagiej śmierci.

Podziękowałem i wyszedłem. Zanim zdążyłem zamknąć drzwi, usłyszałem jeszcze:

– Do zobaczenia, doktorze.

Wracając przez podziemia, raz jeszcze przeszedłem obok pokoju Laurence'a Ashmore'a. Drzwi były wciąż zamknięte, a kiedy przystanąłem, żeby posłuchać, wydało mi się, że z drugiej strony dobiegł mnie jakiś dźwięk.

Szedłem dalej, szukając telefonu, wreszcie dostrzegłem automat tuż obok wind. Zanim do niego dotarłem, drzwi windy rozsunęły się, a w środku stał, przyglądając mi się, Presley Huenengarth. Zawahał się, po czym wyszedł na korytarz. Stojąc do mnie plecami, wyjął z kieszeni paczkę „Winstonów” i nie spiesząc się, rozpieczętował pudełko.

Drzwi windy zaczęły się zasuwać. Przytrzymałem je grzbietem dłoni i wsiadłem. Ostatnią rzeczą, jaką dostrzegłem, nim się zamknęły, było spokojne spojrzenie szefa ochrony, przesłonięte unoszącym się w górę obłoczkiem dymu.

Wjehawszy na pierwsze piętro, skorzystałem z wewnętrznego telefonu obok radioterapii, żeby zadzwonić do D. Kenta Herberta. Odezwała się centrala szpitalna.

– Western Pediatrics.

– Wykręciłem numer dwadzieścia pięć zero sześć.

– Momencik, zaraz pana połączę. – Po serii trzasków i mechanicznych czknięć usłyszałem. – Przykro mi, proszę pana, ten numer został wyłączony.

– Od kiedy?

– Nie wiem.

– Nie orientuje się pani, czyj to był numer?

– Nie proszę pana. Z kim chciał się pan połączyć?

– Z D. Kentem Herbertem.

– Czy to lekarz?

– Nie wiem.

Pauza.

– Chwileczkę... Jedyne Herbert, jakiego mam w spisie, to Ronald, z zaopatrzenia. Mam pana połączyć?

– Czemu nie?

Po pięciu sygnałach energiczny głos powiedział:

– Ron Herbert.

– Panie Herbert, tu archiwum, dzwonię w sprawie karty, którą pan pożyczył.

- Może pan powtórzyć?
- Karty choroby, którą wziął pan w lutym.
- Musi pan mieć złe nazwisko, kolego. To kawiarenka.
- Nie pożyczał pan karty 14 lutego tego roku?

Roześmiał się.

- A po co, u licha, miałbym to robić?
- Dziękuję panu.
- Nie ma sprawy. Mam nadzieję, że znajdzie pan to, czego szuka.

Odłożyłem słuchawkę, zszedłem schodami na parter i wkroczyłem między tłum zgromadzony w holu wejściowym. Przecisnąwszy się między stłoczonymi ciałami, skierowałem się ku kontuarowi informacji. Dostrzegłszy obok ramienia urzędniczki spis telefonów przysunąłem go do siebie.

Urzędniczka, Murzynka o farbowanych na jasno włosach, odpowiadała właśnie na pytanie zadane [po angielsku] przez jakiegoś Latynosa. Oboje wyglądali na zmęczonych, a napięcie wisiało w powietrzu. Dostrzegłszy książkę w moim ręku, urzędniczka popatrzyła na mnie z góry. Wzrok męczyzny podążył za jej spojrzeniem. Kolejka za jego plecami zafalowała i zagrzmiała jak ogromny wąż.

- Nie może pan tego wziąć – oznajmiła urzędniczka.

Uśmiechnąłem się, wskazałem na plaketkę i powiedziałem:

- Chciałem tylko pożyczyć na minutkę.

Przewróciła oczami i odparła:

- Tylko na minutkę, nie więcej.

Przesunąłem się na skraj kontuaru, otworzyłem książeczkę na pierwszej stronie i począłem przebiegać wzrokiem i palcem wskazującym długą kolumnę numerów na prawym brzegu każdej strony, szykując się na przejrzanie wszystkich od 1 do 2506. Ale poszczęściło mi się już po kilku tuzinach.

Ashmore, L.W. (toksyk.) 2506

Oddałem spis i podziękowałem urzędnicze. Znów spojrzała na mnie, chwyciła książkę i umieściła w bezpiecznym miejscu.

- Pół minuty – stwierdziłem. – Zwróci mi pani pieniądze?

Wtedy ujrzałem twarze ludzi czekających w kolejce i pożałowałem, że zrobiłem z siebie przemądrzałego cwaniaka.

Pojechałem na górę odwiedzić Cassie, ale na drzwiach była wywieszka NIE PRZESZKADZAĆ, a dyżurna pielęgniarka powiedziała, że dziecko i Cindy śpią.

Gdy wychodziłem ze szpitala, wyrwał mnie z rozmyślań czyjś głos wołający mnie po imieniu. Uniósłszy wzrok, dostrzegłem wysokiego wąsatego mężczyznę zbliżającego się od strony głównego wejścia. Był dobrze po trzydziestce, miał biały fartuch, okulary bez oprawki i ubranie Ivy League. Wywoskowane, ekstrawaganckie wąsiska przypominały czarne, sterczące na bok uchwyty. One przede wszystkim rzucały się w oczy.

Zamachał ręką.

Sięgnąwszy myślą w przeszłość, przywołałem z pamięci nazwisko.

Dan Kornblatt. Kardiolog. Były naczelny lekarz szpitalny kliniki uniwersyteckiej w San Francisco. Jego pierwszy rok w szpitalu był moim ostatnim. Nasza znajomość ograniczała się do udziału w konsyliach i zdawkowych pogawędkach o mieście nad zatoką – byłem kiedyś stypendystą w Langley Porter, a Kornblatt z upodobaniem występował z tezą, że na południe od Carmel nie istnieje cywilizacja. Zapamiętałem go jako człowieka, który odznaczał się nadmiarem inteligencji i brakiem taktu

w kontaktach z kolegami i rodzicami, ale bardzo troszczył się o swoich małych pacjentów. Szło z nim jeszcze czworo lekarzy, dwie kobiety i dwu mężczyzn, wszyscy młodzi. Cała piątka poruszała się żwawo, wymachując energicznie ramionami, co mogło oznaczać sprawność fizyczną albo zdecydowane zamiary. Gdy się zbliżyli, ujrzałem, że włosy Kornblatta posiwały na skroniach, a na jego jastrzębiej twarzy pojawiło się kilka zmarszczek.

– Alex Delaware. Proszę, proszę.

– Cześć, Dan.

– Czemu zawdzięczamy zaszczyt?

– Jestem tu na konsultacji.

– Naprawdę? Praktyka prywatna?

– Od kilku lat.

– Gdzie?

– West Side.

– Ależ oczywiście. Byłeś ostatnio w prawdziwym mieście?

– Ostatnio nie.

– Ani ja. Od Bożego Narodzenia dwa lata temu. Brak mi Tadich Grill, całej tej kultury prawdziwego miasta.

Przedstawił nas sobie. Dwoje z obecnych było lekarzami szpitalnymi, jeden stypendystą na kardiologii, a druga kobieta – niska, smągła Arabka lekarzem ambulatoryjnym. Nastąpiły obowiązkowe uśmiechy i uściski rąk. Wymieniono cztery nazwiska, które puściłem mimo uszu.

– Alex był jednym z naszych czołowych psychologów – wyjaśnił Kornblatt. – Kiedy ich jeszcze mieliśmy. – Zwrócił się do mnie. – Skoro o tym mowa, sądziłem, że jesteście tu verboten. Czy coś się zmieniło pod tym względem?

Potrząsnąłem głową.

– To tylko konsultacja w sprawie jednego przypadku.

– Aha. Więc dokąd zmierzasz? Do miasta?

Przytaknąłem.

– Jeśli ci nie pilno, może poszedłbyś z nami? Specjalne zebranie pracowników. Należysz ciągle do personelu? Pewno tak, skoro jesteś konsultantem. – Uniósł brwi. – Jak ci się udało uniknąć krwawej łaźni na psychiatrii?

– Drobne sprostowanie. Jestem na pediatрії, nie na psychiatrii.

– Pediatria – to ciekawe. Niezłe wyjście. – Odwrócił się do pozostałych: Widzicie, zawsze jest jakieś wyjście.

Wymienili porozumiewawcze spojrzenia. Żadne z nich nie przekroczyło trzydziestki.

– Więc jak, walisz z nami? – zapytał Kornblatt. – To ważne zebranie o ile czujesz się dostatecznie związany ze szpitalem, by przejmować się tym, co się tu dzieje.

– Jasne – odrzekłem i ruszyłem z grupą, idąc obok niego. – Jaki będzie temat?

– Rozkład i upadek Imperium Western Peds. Czego dowodzi zabójstwo Larry'ego Ashmore'a. Tak właściwie to zebranie dla uczczenia jego pamięci. – Zmarszczył brwi. – Słyszałeś, co się stało, prawda?

Skinąłem głową.

– To straszne.

– Symptomatyczne, Alex.

– Dlaczego?



– Dlatego, co się tu dzieje. Zwróć uwagę, w jaki sposób administracja załatwiła całą sprawę. Zamordowano lekarza, a nikt się nawet nie zatroszczyłby rozesłać okólnik w tej sprawie. Nie są tacy nieśmiali, gdy idzie o rozpowszechnianie ich dyrektyw.

– Wiem – odparłem. – Czytałem jeden. Na drzwiach biblioteki.

Wykrzywił twarz, poruszając gniewnie wąsiskami.

– Jakiej biblioteki?

– To też widziałem.

– Palanty – powiedział. – Ilekroć chcę coś znaleźć, muszę jechać na wydział medyczny.

Przeszliśmy przez hol i zbliżyliśmy się do kolejek. Jedna z lekarek, dostrzegłszy czekającego pacjenta, rzuciła: „Zaraz do was wrócę” i odłączyła od grupy, by przywitać się z dzieckiem.

– Nie spóźnij się na zebranie – zawołał za nią Kornblatt, nie zwalniając kroku. Kiedy przedostaliśmy się przez tłum, powiedział: – Nie ma biblioteki, nie ma psychiatrii, opłat dodatkowych na dotacje, wprowadzono całkowitą blokadę etatów. A teraz mówi się o dalszych cięciach na wszystkich specjalnościach – hurtem. Entropia. Bydlaki zamierzają chyba rozwalić ten przybytek i sprzedać teren.

– Nie ma na to popytu.

– Nie, Alex, mówię serio. Nie zarabiamy pieniędzy, a to są ludzie interesowni. Zaleją wszystko betonem, podzielą na działki parkingowe.

– Cóż – powiedziałem – mogliby zacząć od wybetonowania tych po drugiej stronie ulicy.

– Nie licz na to. Dla tych facetów jesteśmy peonami. Traktują nas jak służbę.

– Jak się dorwali do władzy?

– Jones – nowy prezes – zarządzał funduszem inwestycyjnym szpitala. Przypuszczalnie zrobił naprawdę dobrą robotę, więc kiedy ciężkie czasy stały się jeszcze cięższe, rada stwierdziła, że potrzebny im doświadczony finansista i wybrali jego. A on z kolei posłał na zieloną trawkę całą dawną administrację i sprowadził własną ekipę.

Przy drzwiach także kłębił się tłum. Ludzie przestępowali z nogi na nogę, niecierpliwie kiwali głowami i niepotrzebnie pukali palcami w guziki. Dwie windy były zablokowane na wyższych piętrach. Na drzwiach trzeciej naklejono kartkę z napisem NIE DZIAŁA.

– Naprzód, żołnierze – rzucił Kornblatt, wskazując klatkę schodową i przyspieszając kroku niemal do biegu. Pierwszy zakręt przebyli wszyscy jednym skokiem z zapałem naćpanych triathlonistów. Kiedy dotarliśmy na górę, Kornblatt podskakiwał jak bokser.

– Do boju, drużyno! – rzucił, otwierając jednym pchnięciem drzwi.

Audytorium było parę kroków od schodów. Paru lekarzy spacerowało przy wejściu, nad którym wisiał odręcznie wykonany transparent ZEBRANIE DLA UCZCZENIA PAMIĘCI DRA ASHMORE’A.

– Co się stało z Kentem Herbertem? – zapytałem.

– Z kim? – zdziwił się Kornblatt.

– Z Herbertem. Toksykologiem. Czy nie pracował z Ashmorem?

– Nie sądziłem, że ktokolwiek pracował z Ashmorem. Facet był samotnikiem, prawdziwym... Urwał.  
– Herbert? Nie, nie przypominam sobie.

– Weszliśmy do wielkiej sali wykładowej w kształcie wycinka koła. Rzędy pokrytych szarą tkaniną krzeseł schodziły stromo ku drewnianej katedrze. Za nią stała pokryta kurzem zielona tablica na kółkach. Tkanina wyściełająca siedzenia była brudna, a niektóre poduszki wystrzępione. Salę wypełniał cichy, niejednostajny szmer sporadycznych rozmów.

W audytorium znajdowało się przynajmniej pięćset krzeseł, ale co najwyżej siedemdziesiąt było

zajętych. Tak słaba frekwencja przywodziła na myśl przesiany rocznik studentów. Kornblatt i jego świta ruszyli w dół sali, wymieniając po drodze uściski dłoni i pozdrawiając znajomych gestem ręki. Zostałem z tyłu i siadłem samotnie w najwyższym rzędzie.

W większości białych fartuchów – rozpoznałem pełnoetatowych pracowników. Ale gdzie byli prywatnie praktykujący lekarze? Za późno ich poinformowano czy woleli trzymać się z boku? W Western Peds zawsze panowały niesnaski między personelem szpitalnym a lekarzami z „rzeczywistego świata”, ale jakoś udawało się osiągnąć stan niechętnie tolerowanej symbiozy.

Gdy rozejrzałem się uważniej, zauważyłem jeszcze jedno: prawie nie było siwych głów. Gdzie się podzieli wszyscy starsi ludzie, których znalazłem?

Zanim zdążyłem to przemyśleć, na katedrę wstąpił mężczyzna trzymający bezprzewodowy mikrofon i poprosił o ciszę. Miał trzydzieści pięć lat, łagodną, bladą dziecięcą twarz i wielkie blond afro. Nieco poźółkły biały fartuch był na niego za duży. Pod spodem miał czarną koszulę i brązowy, dzianinowy krawat.

– Bardzo proszę – powiedział. Szmer zamarł. Odezwało się kilka beeperów, potem zapadła cisza.

– Dziękuję wam wszystkim za przybycie. Czy ktoś mógłby zamknąć drzwi?

Głowy odwróciły się. Uświadomiwszy sobie, że siedzę najbliżej wyjścia, wstałem i zamknąłem drzwi.

– Dobra – powiedział Afro. – Punkt pierwszy programu to uczczenie minutą milczenia pamięci naszego kolegi doktora Laurence’a Ashmore’a, proszę wszystkich o powstanie...

Wszyscy wstali. Spuścili głowy. Upłynęła długa minuta.

– Dobra – powtórzył mówca. – Proszę usiąść. – Podszedł do tablicy, wziął kawałek kredy i napisał:

## PORZĄDEK OBRAD

1. Uczczenie pamięci dra Ashmore’a

2.

3.

4...?

Odstąpił na bok i zapytał:

– Czy ktoś chciałby powiedzieć parę słów o doktorze Ashmore?

Cisza.

– Pozwólcie mi w takim razie potępić w imieniu nas wszystkich brutalność tego, co stało się z Larrym. I przekazać jego rodzinie wyrazy najgłębszego współczucia. Zamiast kwiatów proponuję zebrać pewną sumę i ofiarować na rzecz organizacji wskazanej przez rodzinę. Albo przez nas samych, jeśli uznacie, że zasięganie opinii rodziny w tej kwestii będzie dla niej zbyt bolesne. Możemy zdecydować o tym teraz bądź też później, zgodnie z waszym odczuciem. Czy ktoś chciałby coś dodać?

Odezwała się krótko ostrzyżona kobieta z trzeciego rzędu:

– Może wybrać Centrum Kontroli Zanieczyszczeń? Był przecież toksykologiem.

– Centrum Kontroli Zanieczyszczeń – to niezły pomysł – stwierdził Afro. – Kto jest za?

Uniosła się jedna ręka w środku sali.

– Dzięki, Barb. Jestem wzruszony. Czy ktoś zna rodzinę? Żeby przekazać im naszą propozycję?

Nikt nie odpowiedział.

Spojrzał na kobietę, która wystąpiła z pomysłem.

– Barb, zajęłabyś się zbiórką pieniędzy?

Skinęła głową.

– Dobra. Ludzie, składajcie datki w gabinecie Barb Loman na reumatologii, a my dopilnujemy, żeby Centrum Kontroli Zanieczyszczeń dostało pieniądze jak najszybciej. Coś jeszcze w związku z tą sprawą?

– Informacje – odezwał się ktoś. – Nie mamy żadnych.

– Greg, mógłbyś wstać i wyjaśnić, o co chodzi? – poprosił Afro.

Podniósł się krępy, brodaty mężczyzna w kraciastej koszuli i szerokim krawacie retro w kwiaty. Wydawało mi się, że pamiętam go, bez brody, jako lekarza szpitalnego. Włoskie nazwisko...

– ... Chodzi mi o to, John, że coś tu nie gra z ochroną. To, co go spotkało, mogło stać się każdemu z nas, a ponieważ idzie tu o nasze życie, należy nam się pełny dostęp do informacji. Co się dokładnie wydarzyło, jak postępuje śledztwo, a także, jakie środki możemy przedsięwziąć, żeby zapewnić sobie bezpieczeństwo.

– Nic nie możemy! – wykrzyknął z drugiej strony sali czarny mężczyzna w okularach. – O ile administracja nie zadba poważnie o prawdziwą ochronę – nie ustawi strażników przy każdym wjeździe na parking i przy każdej klatce schodowej przez całą dobę.

– To będzie kosztować, Hank – odparł brodacz. – Powodzenia.

Wstała jakaś kobieta o popielatych włosach związanych w koński ogon.

– Pieniądze znalazłyby się, Greg – powiedziała. – Gdybyśmy podali dokładnie, czego chcemy. Nie potrzeba nam facetów w mundurach indagujących pacjentów na korytarzach. Potrzebujemy dokładnie tego, o czym ty i Hank właśnie mówiliście: prawdziwej ochrony, łącznie z kursami samoobrony, karate, Mace, treningiem indywidualnym i tak dalej. Szczególnie personel żeński. Pielęgniarki narażone są na tego rodzaju niebezpieczeństwa dzień w dzień, przechodząc przez parking po drugiej stronie ulicy. Zwłaszcza te z nocnego dyżuru – wiecie, że kilka z nich pobito i...

– Wiem o t...

– ... Odkryte parkingi w ogóle nie są zabezpieczone. Doświadczamy tego na własnej skórze. Przyjechałam dziś rano o piątej do nagłego przypadku i, wierzcie mi ludzie, bałam się. Muszę też dodać, że według mnie było poważnym błędem zaproszenie na to zebranie tylko lekarzy. Nie czas na elitaryzm. Są też pielęgniarki i personel pomocniczy, którzy cierpią tak samo jak my, pracując dla tych samych celów. Powinniśmy trzymać się razem, popierać się, a nie dzielić.

Nikt się nie odezwał.

Kobieta rozejrzała się po audytorium i usiadła.

– Dziękuję, Elaine, masz całkowitą rację – powiedział Afro. – Choć nie sądzę, by celowo starano się kogoś wykluczyć.

– No, a czy zawiadomiono kogoś prócz lekarzy? – zapytała kobieta z końskim ogonem, wstawszy raz jeszcze.

Afro uśmiechnął się.

– To jest zwołane ad hoc zebranie personelu lekarskiego, Elaine, jest więc zupełnie naturalne, że lekarze...

– John, nie sądzisz, że resztę personelu też to obchodzi?

– Oczywiście – odrzekł Afro. – Ja...

Kobiety z Western Peds są przerażone. Ludzie, zbudźcie się! Dajmy wszystkim możliwości działania. Jeśli pamiętacie, ofiarami dwóch ostatnich napadów były kobiety i...

– Tak, Elaine, pamiętam. Wszyscy pamiętamy. Zapewniam cię, że jeśli planowane będą następne

zebrania – a jest dla mnie całkiem jasne, że są potrzebne – poczynione zostaną konkretne wysiłki, żeby wiadomość dotarła do wszystkich.

Elaine zastanawiała się, czy odpowiedzieć, ale pokręciła głową i usiadła.

Afro wrócił do tablicy, trzymając kredę w wyciągniętej ręce. – Mam wrażenie, że de facto przeszliśmy już do kolejnego punktu, prawda? Bezpieczeństwo personelu?

Kilka osób przytaknęło. Brak zwartości w grupie był niemal namacalny. Przypomniało mi to tak wiele innych zebrań, sprzed lat. Dyskusje bez końca, żadnych decyzji bądź nieistotne...

Afro odhaczył UCZCZENIE PAMIĘCI DRA ASHMORE’A, wiersz niżej zapisał OCHR. PERSONELU i zwrócił się w stronę obecnych.

– Dobra. Jakies sugestie poza strażnikami i karate?

– Taa – odparł łysy, śniady mężczyzna o potężnych ramionach. Spluwy.

Chichoty.

Afro uśmiechnął się lekko.

– Dziękuję, Al. Czy tak załatwialiście te rzeczy w Houston?

– Ja myślę, John. „S and W” w każdej lekarskiej torbie. To „Smith and Wesson”, dla wszystkich pacyfistów.

Afro zrobił pistolet z kciuka i palca wskazującego, skierował go w stronę Łysego i mrugnął.

– Coś jeszcze, Al, poza zamianą szpitala w obóz warowny?

Wstał Dan Kornblatt.

– Z przykrością to mówię, ale mam wrażenie, że zawężamy zagadnienie. Musimy odnieść się do kwestii ogólniejszych.

– Jak to, Dan?

– Dotyczących naszych celów – celów naszej instytucji.

Afro wydawał się zakłopotany.

– Więc załatwiliśmy już punkt drugi?

– Ja z pewnością tak – odparł Kornblatt. – Brak bezpieczeństwa to symptom poważniejszych niedomagań.

Afro odczekał chwilę, po czym odhaczył OCHR. PERSONELU.

– Jakich niedomagań, Dan?

– Chronicznej apatii w ostatnim stadium – apatii usankcjonowanej instytucjonalnie. Rozejrzyj się tylko. John, ilu prywatnych lekarzy należy do personelu? Dwustu? Spójrz ilu z nich pofatygowano się dzisiaj, by wyrazić swe stanowisko.

– Dan...

– Czekaj, daj mi skończyć. Jest przyczyna, że przyszło ich tak niewielu. To ten sam powód, dla którego unikają przysyłania tu swoich prywatnych pacjentów, jeśli mogą znaleźć jakąś inną w miarę przyzwoitą placówkę. Z tego samego powodu tylu naszych najlepszych ludzi odeszło gdzie indziej. Przyłgnęła do nas etykieta placówki drugiej kategorii – instytucjonalnego nieudacznika. A miejscowa społeczność uwierzyła w to, ponieważ sama rada nadzorcza i administracja odnosi się do szpitala z brakiem szacunku. A i my też. Pewien jestem, że wszyscy dosyć znamy psychologię, żeby zrozumieć, jaki wpływ na samoocenę dziecka wywiera powtarzanie mu, że jest nieudacznikiem. Zaczyna w to wierzyć. To samo odnosi się do...

Drzwi otworzyły się na oścież. Wszystkie głowy odwróciły się. George Plumb wszedł do środka i poprawił krawat – krwistoczerwony, kontrastujący z białą koszulą i jasnoszarą marynarką z surowego

jedwabiu. Jego buty stukwały, kiedy schodził ku katedrze. Znalazłszy się na dole, stanął obok Afro, jakby zajmował przeznaczone dla niego miejsce.

– Dobry wieczór, panie i panowie – rozpoczął.

– Rozmawialiśmy właśnie o instytucjonalnej apatii, George – powiedział Kornblatt.

Plumb rzucił mu zamyślane spojrzenie, wsparłszy brodę na pięści.

– Miałem wrażenie, że jest to spotkanie dla uczczenia pamięci doktora Ashmore'a?

– Było, ale odeszliśmy trochę od tematu – odparł Afro.

Plumb odwrócił się i przestudiował napisy na tablicy.

– I to całkiem sporo, jak widzę. Czy mógłbym wrócić do tematu i powiedzieć parę słów o doktorze Ashmore?

Cisza. Potem przytakiwania. Kornblatt usiadł, wyraźnie zde gustowany.

– Po pierwsze – podjął Plumb. – Chciałbym w imieniu rady nadzorczej i administracyjnej przekazać wyrazy współczucia z powodu śmierci doktora Laurence'a Ashmore'a. Doktor Ashmore był znamienitym uczonym i jego brak da się głęboko odczuć. Zamiast kwiatów, pani Ashmore życzyła sobie, żeby zebraną sumę przekazać na rzecz UNICEF-u. Wszystkie datki proszę składać w moim biurze. Po drugie, chciałbym państwa zapewnić, że sprawa przygotowania nowych kart parkingowych posunęła się do przodu. Karty są gotowe i można je odebrać w biurze ochrony dziś i jutro, między trzecią i piątą. Przepraszamy za wynikłe stąd niedogodności. Pewien jednak jestem że wszyscy państwo uznają konieczność zmiany kart. Czy są jakieś pytania?

– A co z prawdziwą ochroną – jak strażnicy na każdej klatce schodowej? – zapytał krępy brodac z imieniem Greg.

Plumb uśmiechnął się:

– Właśnie miałem do tego przejść, doktorze Spironi. Tak, zarówno policja, jak i pracownicy ochrony szpitala informowali nas, że klatki schodowe stanowią problem, i choć koszty będą znaczne, jesteśmy przygotowani na wprowadzenie całodobowej straży, po jednym człowieku na zmianę na każdym poziomie parkingu dla lekarzy, jak również na każdym z trzech otwartych parkingów po drugiej stronie bulwaru. Łącznie daje to piętnastu ludzi na parkingach, co oznacza konieczność zatrudnienia przynajmniej jedenastu nowych strażników oprócz czterech już pracujących. Koszty, łącznie z zasiłkami i ubezpieczeniem, powinny wynieść prawie czterysta tysięcy dolarów.

– Czterysta! – wykrzyknął Kornblatt, zrywając się z miejsca. – Prawie czterdzieści tysięcy na jednego gliniarza?

– Strażnika, nie gliniarza, doktorze Kornblatt. Gliniarze kosztowaliby dużo, dużo więcej. Jak powiedziałem, suma obejmuje zasiłki, ubezpieczenia, rekompensaty, wydatki związane z ekwipunkiem i zaopatrzeniem, i dodatkowe koszty specjalne, jak przeszkolenie wstępne i przygotowanie do pracy na terenie szpitala. Firma, z którą podpisaliśmy kontrakt cieszy się doskonałą opinią, a jej oferta obejmuje kursy samoobrony i przeszkolenie w dziedzinie zapobiegania przestępstwom dla całego personelu. Administracja nie sądziłaby oszczędzanie na tej sprawie było rzeczą właściwą, doktorze Kornblatt. Gdyby jednak miał pan ochotę rozejrzeć się za firmą proponującą ceny konkurencyjne, zapraszamy. Proszę mieć jednak na uwadze, że kwestia czasu ma tu istotne znaczenie – dla dobra ogółu chcemy możliwie szybko przywrócić poczucie bezpieczeństwa.

Splótłszy palce na brzuchu, spojrzał na Kornblatta.

– O ile nic się nie zmieniło, do moich obowiązków należy leczenie dzieci, George – stwierdził kardiolog.

– Dokładnie – odparł Plumb. Odwróciwszy się plecami do Kornblatta, rzucił: – Są jeszcze jakieś pytania?

Zapadła cisza, na chwilę równie długą, jak ta ku uczczeniu pamięci Ashmore’a.

Kornblatt wstał i powiedział:

– Nie wiem jak inni, ale ja mam wrażenie, jakbym znalazł się tu przypadkowo.

– Przekładkowo? – powtórzył Plumb. – Co pan ma na myśli, doktorze Kornblatt?

– Mam na myśli, George, że miało to być zebranie lekarzy, a ty wszedłeś i przejąłeś inicjatywę.

Plumb potarł podbródek. Spojrzał na lekarzy. Uśmiechnął się. Pokręcił głową.

– No cóż – powiedział. – Z pewnością nie było to moją intencją.

– Być może, George, ale tak to wygląda.

Plumb postąpił naprzód, w kierunku pierwszego rzędu. Postawił stopę na siedzeniu pustego krzesła i wsparł łokieć na zgiętym kolanie. Z podbródkiem na dłoni przypominał „Myśliciela” Rodina.

– Przekładkowi – powiedział. – Mogę jedynie stwierdzić, że nie było to moją intencją.

– George, Dan chciał... – wtrącił Afro.

– Nie potrzeba wyjaśnień, doktorze Runge. Tragiczny incydent z doktorem Ashmore wszystkich nas wyprowadził z równowagi.

Pozostając w tej samej pozycji, zwrócił się ku Kornblattowi. – Muszę powiedzieć, doktorze, że jestem zdziwiony, słysząc takie sekciarskie wypowiedzi właśnie z pana ust. O ile dobrze pamiętam, to przecież pan zgłosił w zeszłym miesiącu propozycję okólnika, w którym wzywał pan do pogłębienia kontaktów między administracją a personelem medycznym. Użył pan, zdaje mi się, terminu „wzajemna inspiracja”?

– Mówiłem o podejmowaniu decyzji, George.

– I właśnie ku temu zmierzam, doktorze Kornblatt. Ku wzajemnej inspiracji w kwestii podejmowania decyzji dotyczących bezpieczeństwa. W tym duchu ponownie przedstawiam panu – wszystkim państwu – moją ofertę. Wystąpcie z własną propozycją. Jeśli okaże się równie wszechstronna co nasza, przy podobnych lub niższych kosztach, administracja i rada będą więcej niż szczęśliwe, mogąc przyjąć ją do wykonania. Mówię serio. Pewien jestem, że nie muszę przypominać państwu, jaka jest nasza sytuacja finansowa. Te czterysta tysięcy trzeba będzie skądś wziąć.

– Ze środków przeznaczonych na opiekę nad pacjentami, bez wątpienia – stwierdził Kornblatt.

Plumb uśmiechnął się smutno.

– Jak już podkreślałem w przeszłości, redukcja sum przeznaczonych na opiekę nad pacjentami to środek ostateczny – powiedział. – Ale z każdym miesiącem nasza sytuacja finansowa pogarsza się. Nie jest to niczyja wina – takie są dzisiejsze realia. W gruncie rzeczy, może to i dobrze, że odbiegliśmy od kwestii zamordowania doktora Ashmore’a i rozmawiamy o tym na otwartym forum. Problemy dotyczące finansów i bezpieczeństwa zazębiają się do pewnego stopnia – jedno i drugie powodowane są przez zjawiska demograficzne pozostające poza naszą kontrolą.

– Miasto się oddala? – zapytał Spironi.

– Niestety, doktorze, miasto już się oddaliło.

– Więc co pan sugeruje? – zapytała Elaine, kobieta z końskim ogonem. Zamknąć szpital?

Plumb spojrział na nią ostro. Wyprostował się, zdjawszy nogę z krzesła, i westchnął.

– Sugeruję, doktor Eubanks, żebyśmy wszyscy byli świadomi, jak ciężkie są warunki obiektywne, które ograniczają nas pod każdym względem. Problemy specyficzne dla naszej placówki pogłębiają już i tak trudną sytuację służby zdrowia w tym mieście, hrabstwie, stanie, a do pewnego stopnia w całym kraju. Proponuję, byśmy wszyscy działali w ramach możliwości wyznaczonych przez realia, ażeby

utrzymać funkcjonowanie tej instytucji na pewnym poziomie.

– Pewnym poziomie? – powtórzył Kornblatt. – To brzmi jak zapowiedź nowych cięć, George. Co dalej, następny pogrom, jak na psychiatrii? Czy radykalna operacja na wszystkich specjalnościach, jak wieść głosi?

– Doprawdy nie wydaje mi się – odrzekł Plumb – by był to właściwy moment, żeby wchodzić w tego rodzaju szczegóły.

– Czemu nie? To otwarte forum.

– Po prostu dlatego, że nie dysponujemy w tej chwili faktami.

– Więc nie zaprzecza pan, że będą wkrótce cięcia?

– Nie, Danielu – odparł Plumb prostując się i zakładając ręce na plecach. – Nie mógłbym zaprzeczyć z czystym sumieniem. Nie potwierdzam ani nie zaprzeczam, ponieważ i jedno, i drugie byłoby niedźwiedzią przysługą wyświadczoną tak wam, jak i szpitalowi. Wziąłem udział w tym zebraniu, żeby oddać hołd pamięci doktora Ashmore'a i zademonstrować – w imieniu własnym i instytucji – poparcie dla pięknej idei zwołania tego zgromadzenia. Nie byłem świadom politycznego charakteru spotkania, a gdybym wiedział, że przeszkadzam, zwinąłbym żagle. Więc wybaczcie mi państwo teraz to najście – choć jeśli mnie oczy nie mylą, dostrzegam tu jeszcze kilku doktorów, nie będących lekarzami. – Rzucił mi szybkie spojrzenie. – Do widzenia.

Zamachał lekko ręką i ruszył w górę po schodach.

– Georgie – doktorze Plumb? – zawołał Afro.

Plumb zatrzymał się i odwrócił.

– Tak, doktorze Runge?

– My wszyscy – mówię to z przekonaniem, że wyrażam opinię ogółu jesteśmy panu wdzięczni za przybycie.

– Dziękuję, John.

– Być może, jeżeli doprowadzi to do pogłębienia kontaktów między administracją a personelem medycznym, śmierć doktora Ashmore'a będzie miała także pozytywne znaczenie.

– Daj Boże – odparł Plumb. – Daj Boże.

## Rozdział dwunasty

Po odejściu Plumba zebrani stracili werwę. Część lekarzy pozostała, dyskutując w małych grupkach, ale większość zniknęła. Wychodząc z audytorium, ujrzałem zbliżającą się korytarzem Stephanie.

– Już po wszystkim? – zapytała, przyspieszając kroku. – Coś mnie zatrzymało.

– Po wszystkim. Ale niewiele straciłaś. Nikt nie miał dużo do powiedzenia na temat Ashmore'a. Zaczęło się to przeistaczać w sesję wyrzekañ na administrację. A potem pojawił się Plumb i wytrącił im broń z ręki, obiecując, że zrobi wszystko, czego żądają.

– Na przykład?

– Skuteczniejsza ochrona. – Wyjaśniłem jej wszystko szczegółowo, zrelacjonowałem wymianę zdań między Plumbem a Danem Kornblattem.

– Teraz coś na weselszą nutę – powiedziała. – Wygląda na to, że wreszcie wykryliśmy u Cassie jakieś zaburzenia fizyczne. Spójrz na to.

Sięgnęła do kieszeni i wyjęła kartkę papieru. U góry widniało nazwisko Cassie i jej szpitalny numer rejestracyjny. Poniżej kolumna cyfr.

– Wyniki porannych analiz, prosto z laboratorium.

Wskazała jedną z liczb.

– Niski poziom cukru – hipoglikemia. Co mogłoby łatwo tłumaczyć grand mai. Na EEG nie było zmian ogniskowych i bardzo niewiele, jeżeli w ogóle, fal nieregularnych – Bogner twierdzi, że to jeden z tych wykresów, które dopuszczają rozmaite interpretacje. Wiesz na pewno, że to się ciągle zdarza u dzieci. Więc gdybyśmy nie stwierdzili niskiego poziomu cukru, byłibyśmy naprawdę w kropce.

Schowała kartkę do kieszeni.

– Poprzednie analizy nie wykazywały hipoglikemii, zgadza się? – zapytałem.

– Nie, a sprawdzałam to za każdym razem. Kiedy dziecko ma napady padaczkowe, zawsze sprawdza się stężenie cukru i wapnia w surowicy. Laikowi hipoglikemia wydaje się drobnym schorzeniem, ale u małych dzieci może zrujnować układ nerwowy. Po obu napadach poziom cukru u Cassie był normalny, ale pytałam Cindy, czy dawała jej coś do picia, zanim przywiozła ją na ostry dyżur, i powiedziała, że tak – sok albo wodę mineralną. Rozsądnie jest podać dziecku płyny, kiedy wydaje się odwodnione. Ale to, plus czas, jaki upłynął, zanim ją przywieziono, mogło zaciemnić wyniki analiz. Więc w pewnym sensie dobrze się stało, że dostała napadu tu w szpitalu, tak że byliśmy w stanie zbadać ją tuż potem.

– A jak byś tłumaczyła niski poziom cukru?

Spojrzała ponuro.

– Oto jest pytanie, Alex. Ostra hipoglikemia z napadami padaczkowymi zdarza się częściej u niemowląt niż u małych dzieci. Występuje u wcześniaków, dzieci diabetyczek, przy uszkodzeniach okołoporodowych – przy wszelkich zaburzeniach funkcjonowania trzustki. U starszych dzieci myśli się raczej o infekcji. Białe ciała u Cassie są w normie, ale może obserwujemy tu efekty wtórne. Postępujące uszkodzenie trzustki wywołane przebyta niegdyś infekcją. Nie mogę też wykluczyć zaburzeń metabolicznych, choć sprawdzaliśmy to, kiedy miała dolegliwości oddechowe. Może też chodzić o jakieś rzadko spotykane zaburzenia w magazynowaniu glikogenu, na które nie mamy testu.

Spojrzała w głąb korytarza, wypuszczając powietrze z płuc.

– Inna możliwość to guz trzustki pobudzający wydzielanie insuliny. Co nie byłoby dobrą nowiną.

– Żadna z tych hipotez nie wygląda na dobrą nowinę.

– Nie, ale przynajmniej będziemy wiedzieć, z czym mamy do czynienia.



– Powiedziałaś Chipowi i Cindy?

– Powiedziałam im, że poziom cukru u Cassie jest za niski i prawdopodobnie nie chodzi o klasyczną epilepsję. Nie widzę powodu, by wdawać się w szczegóły, skoro wciąż szukamy po omacku, usiłując postawić rozpoznanie.

– Jak zareagowali?

– Oboje byli apatyczni – znużeni. Jakby mówili: „Uderz mnie w drugi policzek”. Żadne z nich nie spało wiele tej nocy. On pojechał po prostu do pracy, a ona walnęła się na tapczan.

– A co z Cassie?

– Ciągłe senna. Staramy się ustabilizować u niej poziom cukru. Powinna wkrótce wydobrzeć.

– A co macie dla niej w zanadru, znawczyni w dziedzinie analiz?

– Następne badania krwi, tomografię komputerową jelit. Może nawet konieczna będzie laparotomia, żeby przyjrzeć się bliżej jej trzustce. Ale do tego daleko. Wróćmy do Torgesona. Przegląda kartę choroby w moim gabinecie. Okazał się całkiem fajny, taki naturalny.

– Czy przegląda też kartę Chada?

– Pytałam o nią, ale nie mogli znaleźć.

– Wiem – powiedziałem. Ja też jej szukałem – dla porównania. Wyciągnął ją ktoś o nazwisku D. Kent Herbert – pracował dla Ashmore’a.

– Herbert? – powtórzyła. – Pierwszy raz słyszę. Do czego Ashmore miałby potrzebować karty, skoro za pierwszym razem nawet się tym nie zainteresował?

– Dobre pytanie.

– Wyślę za nią listy gończe. Tymczasem skoncentrujmy się na metabolizmie panny Cassie.

Ruszyliśmy ku schodom.

– Czy hipoglikemia tłumaczyłaby inne dolegliwości – trudności z oddychaniem, krwawe stolce?

– Nie bezpośrednio, ale wszystkie zaburzenia mogły być objawami jakiejś ogólnej infekcji czy rzadkiego zespołu. Bez przerwy dostajemy nowe materiały – ilekroć odkrywa się nowy enzym, znajdują kogoś, kto go nie ma. Albo mógłby to być atypowy przypadek czegoś, na co robiliśmy testy, ale nie ujawniło się to przy badaniach krwi, z Bóg wie jakich powodów.

Mówiła szybko, z ożywieniem. Zadowolona, że zмага się ze znajomym przeciwnikiem.

– Wciąż chcesz, żebym brał w tym udział? – zapytałem.

– Oczywiście. Dlaczego pytasz?

– Wygląda na to, że zrezygnowałaś z Munchhausena i sądzisz, że to autentyczna choroba.

– Cóż – powiedziała – chciałabym, żeby to była autentyczna choroba. I uleczalna. Ale nawet jeśli tak jest, mamy do czynienia ze schorzeniem chronicznym. Więc mogę skorzystać z pomocy, jeśli nie masz nic przeciwko temu.

– Zupełnie nic.

– Wielkie dzięki.

Zeszliśmy w dół po schodach. Piętro niżej zapytałem:

– Czy Cindy – albo ktokolwiek inny – mógłby wywołać hipoglikemię?

– Pewnie. Dając Cassie w nocy zastrzyk insuliny. Myślałam o tym. Ale wymagałoby to dłuższego eksperymentowania z dawkami i sprawdzania po jakim czasie wystąpi atak.

– Mnóstwo próbnych iniekcji?

– Wykorzystując Cassie jako poduszkę do klucza. Mogłabym to przyjąć, teoretycznie. Cindy spędza z córką dużo czasu. Ale biorąc pod uwagę reakcje dziecka na zastrzyki, czy nie należałoby spodziewać

się, że Cassie dostawałaby szafu na widok matki, gdyby ta ją kłuła? A tylko mną zdaje się pogardzać... W każdym razie, nie zauważyłam żadnych niezwykłych śladów po igle w trakcie badania fizykalnego.

– Czy łatwo byłoby je znaleźć, skoro dostawała tyle innych zastrzyków?

– Niełatwo Alex, ale badania przeprowadzam bardzo uważnie. Skrupulatnie oglądam całe ciało dziecka.

– Czy insulinę można podać inaczej niż drogą iniekcji? – Potrząsnęła głową, schodząc ciągle na dół.

– Istnieją doustne substancje hipoglikemizujące, ale ich metabolity wyszłyby przy panelu toksykologicznym.

Przypomniawszy sobie, że Cindy zwolniono z wojska z powodów zdrowotnych, zapytałem:

– Są jacyś inni cukrzycy w rodzinie?

– Ktoś dzieliłby się swoją insuliną z Cassie? – Potrząsnęła głową. – Na samym początku, kiedy badaliśmy przemianę materii u Cassie, sprawdziliśmy Chipa i Cindy. Są w porządku.

– Dobra – powiedziałem. – Powodzenia w poszukiwaniach.

Przystanąła i pocałowała mnie lekko w policzek.

– Wdzięczna ci jestem za uwagi, Alex. Tak ekscytują mnie zmagania z biochemią, że zaczynam tracić umiejętność właściwej oceny.

Wróciwszy na pierwsze piętro, zapytałem strażnika, gdzie mogę znaleźć dział kadr. Zlustrował mnie spojrzeniem i powiedział, że właśnie na pierwszym piętrze.

Okazało się, że jest dokładnie tam, gdzie zapamiętałem. Dwie kobiety siedziały przy maszynach do pisania, trzecia segregowała dokumenty. Ta urzędniczka podeszła do mnie. Miała dobrze po pięćdziesiątce, włosy koloru słomy i wąską, ostrą twarz. Poniżej plakietki identyfikacyjnej przypięła okrągłą odznakę, wyraźnie domowej roboty, z fotografią wielkiego, kudłatego owczarka. Zapytałem o domowy adres Ashmore'a, wyjaśniając, że pragnę przesiać wdowie po nim depezę kondolencyjną.

– Och, tak, czyż to nie straszne? Na co nam tu przyszło? – powiedziała głosem palacza i zajrzała do broszury formatu książki telefonicznej małego miasteczka. – Oto mamy, doktorze – North Whittier Drive, w Beverly Hills. – Odczytała adres w kwartale dziewięćsetnym.

North Beverly Hills – doskonała dzielnica. A kwartał nr 900 jest lepszy niż przy Sunset. Pierwszorzędne miejsce. Ashmore musiał mieć inne dochody niż dotacje na badania naukowe.

Urzędniczka westchnęła.

– Biedaczysko. Najlepszy dowód, że bezpieczeństwa nie można kupić.

– Prawda?

– Właśnie.

Wymieniliśmy mądre uśmiechy.

– Ładny piesek – powiedziałem wskazując odznakę.

Rozpromieniła się.

– To mój pupilek – mój czempion. Hoduję prawdziwe owczarki staroangielskie, ze względu na temperament i zdolności.

– To musi być prawdziwa przyjemność.

– Więcej niż przyjemność. Zwierzęta dają, nie oczekując niczego w zamian. Dużo można by się od nich nauczyć.

Skinąłem głową.

– Jeszcze jedno. Ktoś pracował razem z doktorem Ashmore – jakiś D. Kent Herbert? Lekarze chcieliby go zawiadomić, że szpital utworzył fundusz dobroczynny dla uczczenia pamięci doktora

Ashmore'a, ale nikt nie ma z nim kontaktu. Wyznaczono mnie, żebym go znalazł, ale nie wiem nawet, czy jeszcze tu pracuje, więc jeśli ma pani jakiś adres, byłbym bardzo zobowiązany.

– Herbert – powtórzyła. – Hm. Myśli pan, że już tu nie pracuje?

– Sam nie wiem. Sądzę, że był na liście płac w styczniu czy lutym, jeśli to pani pomoże.

– Może. Herbert... zobaczymy.

Podeszła do biurka i wzięła inną grubą broszurę z wiszącej na ścianie półki.

– Herbert, Herbert, Herbert... Mam tu dwie osoby, ale to chyba żadna z nich. Herbert, Ronald, z zaopatrzenia i Herbert, Dawn, z toksykologii.

– Może to Dawn. Doktor Ashmore był toksykologiem.

Skrzywiła się.

– Dawn jest kobiecym imieniem. Sądziłam, że szuka pan mężczyzny.

Wzruszyłem bezradnie ramionami.

– To pewnie nieporozumienie – lekarz, który podał mi nazwisko nie znał osobiście tego człowieka, więc obaj przyjęliśmy, że to mężczyzna. Przepraszam za dyskryminację płci.

– Och, niech pan się tym nie przejmuje – powiedziała. – Nie bawię się w takie rzeczy.

– Czy ta Dawn ma drugie imię na k?

Spojrzała na listę. – Tak, rzeczywiście.

– Więc o nią mi chodzi – powiedziałem. – Podano mi imię. D. Kent. Jakie miała stanowisko?

– Hm, pięć, trzydzieści trzy, A – spójrzmy... – Przewertowała jeszcze jedną książkę. – Zdaje się, że laboranta, pierwszego stopnia.

– Czy przypadkiem nie przeniosła się na inną specjalność?

Zajrzawszy do jeszcze jednego tomu, powiedziała.

– Nie, chyba skończyła pracę.

– Hm... Ma pani jej adres?

– Nie, żadnego. Wyrzucamy akta personalne trzydzieści dni po rozwiązaniu umowy – mamy poważne kłopoty lokalowe.

– Kiedy dokładnie odeszła?

– To mogę panu powiedzieć. – Przerzuciła kilka stron i wskazała palcem numer, który nic mi nie mówił. – Tutaj. Ma pan rację – że pracowała jeszcze w lutym. Ale to był jej ostatni miesiąc – złożyła wypowiedzenie piętnastego, z listy plac skreślono ją oficjalnie dwudziestego ósmego.

– Piętnastego – powtórzyłem. Dzień po wyjęciu karty Chada Jonesa.

– Tak jest. Widzi pan to? Dwa, kreska, piętnaście?

Zabawiłem jeszcze parę minut, wysłuchując opowieści o jej pieskach. Ale myślałem już o stworzeniach dwunożnych.

Kiedy wyjeżdżałem z parkingu, była trzecia czterdzieści pięć. Parę metrów dalej policjant na motocyklu wypisywał pielęgniarce mandat za nieprawidłowe przechodzenie przez jezdnię. Pielęgniarka była wściekła, twarz policjanta nie wyrażała niczego.

Ruch na Sunset zakłóciła kolizja czterech wozów i towarzyszące jej zamieszanie, wywołane przez gapiów i ospałych funkcjonariuszy drogówki. Prawie godzinę zajęło mi dotarcie do pustego, pełnego zieleni odcinka bulwaru przy Beverly Hills. Kryte dachówką pomniki ku czci swych właścicieli wznosiły się na szczytach pagórków porośniętych trawą i powojem, ozdobione broniącymi przystępu bramami, płachtami kryjącymi korty tenisowe i nieodzownymi rzędami niemieckich samochodów.

Minąłem zarośniętą chwastami parcelę wielkości stadionu, gdzie znajdowała się kiedyś rezydencja

Ardenów. Chwasty wyschły na siano, a wszystkie drzewa na posesji były martwe. Pałacyk w stylu śródziemnomorskim na krótki czas stał się zabawką dwudziestoletniego arabskiego szejka, póki nie podpalili go nieznani sprawcy. Może ich wrażliwość estetyczną raziła obrzydliwa, zielona farba czy kretyńskie posągi z zaczernionym owłosieniem łonowym albo chodziło o zwykłą ksenofobię. Niezależnie od przyczyn podpalenia, przez całe lata krążyły plotki o podziale i odbudowie. Ale gwałtowny spadek cen na rynku nieruchomości zmącił nieco optymizm tych prognoz.

Kilka przecnic dalej ukazał się hotel Beverly Hills otoczony kawalkadą białych kabrioletów. Ślub albo promocja nowego filmu.

Zbliżając się do Whittier Drive, postanowiłem jechać dalej. Ale kiedy litery tablicy z nazwą ulicy nabrały ostrości, złapałem się na tym, że skręcam gwałtownie w prawo i jadę powoli wysadzaną drzewami różnymi aleją.

Dom Laurence'a Ashmore'a stał przy pierwszym skrzyżowaniu. Dwupiętrowy budynek z piaskowca w stylu kolonialnym, na podwójnej parceli szerokiej na dobre dwieście stóp. Był masywny i nienagannie utrzymany. Podjazd z cegły przecinał półkołem idealnie gładki trawnik. Ogród zaprojektowano oszczędnie, ale ze smakiem, z przewagą azalii, kamelii i hawajskich paproci drzewiastych – styl kolonialny w tropikach. Płaczące drzewo oliwne zacieniało połowę murawy. Reszta skąpana była w słońcu.

Po lewej stronie domu znajdowało się porte-cochere dość długie, by osłonić kabriolet taki, jak te, które widziałem właśnie przed hotelem. Sponad drewnianej bramy wyzierały wierzchołki drzew i płonące czerwienią obłoki bugenwilli.

Pierwszorzędne. Nawet przy spadku cen, przynajmniej cztery miliony.

Na kolistym podjeździe zaparkowano tylko jeden samochód. Biały olds cutlass, pięć – lub sześćoletni. Na sto jardów w obie strony krawężnik był pusty. Żadnych przyodzianych w czerń gości ani bukietów na progu. Zasłonięte okna, ani śladu mieszkańców. Tablica firmy ochroniarskiej zatknięta pośród idealnie przystrzyżonej trawy.

Pojechałem dalej, zawróciłem, raz jeszcze minąłem posesję i ruszyłem w stronę domu.

Były tylko zwykłe telefony z biura zleceń; nic z Fort Jackson. Mimo to zadzwoniłem do bazy i poprosiłem kapitana Katza. Podszedł szybko do telefonu.

Przypomniałem mu, kim jestem i wyraziłem nadzieję, że nie przeszkadzam w obiedzie.

– Nie, w porządku – odparł. – Właśnie miałem do pana zadzwonić. Chyba znalazłem to, czego pan szuka.

– Świetnie.

– Sekundę – o, jest. Epidemie grypy i zapalenia płuc w ciągu ostatnich dziesięciu lat, tak?

– Dokładnie.

– No więc, z tego, co mi wiadomo, mieliśmy tylko jedną poważną epidemię grypy – wirus tajlandzki – w 1973 roku. Czyli wcześniej, niż pana interesuje.

– I nic potem?

– Na to wygląda. I żadnego zapalenia płuc, kropka. To znaczy było na pewno wiele izolowanych przypadków grypy, ale nic, co można by nazwać epidemią. A rejestrujemy te dane naprawdę skrupulatnie. Jedyne choroby zakaźne, które zawsze sprawiają nam kłopoty, to bakteryjne zapalenie opon mózgowych. Wie pan, jaka to ciężka sprawa w środowiskach zamkniętych.

– Pewnie – odparłem. – Mieliście epidemie zapalenia opon mózgowych?

– Kilka. Ostatnia była dwa lata temu. Przedtem w 1983, 78 i 75 – wygląda prawie na zjawisko

cykliczne, jakby się zastanowić. Może warto by to sprawdzić, zobaczyć, czy nie da się odkryć jakiejś prawidłowości.

– Jak poważne były te zachorowania?

– Oczywiście widziałem tylko te przed dwoma laty: dość poważne żołnierze umierali.

– A powikłania – uszkodzenie mózgu, zaburzenia padaczkopodobne?

– Najprawdopodobniej. Nie mam tych danych pod ręką, ale mogę je zdobyć. Myśli pan o zmianie projektu?

– Jeszcze nie – odparłem. – To tylko ciekawość.

– Cóż – powiedział. – To dobra rzecz – ciekawość. Przynajmniej w świecie cywilów.

Stephanie miała swoje ścisłe dane, a teraz ja miałem swoje.

Cindy kłamała na temat zwolnienia z wojska.

Może Laurence Ashmore też coś znalazł. Zobaczywszy nazwisko Cassie na liście przyjęć i wypisów, zainteresował się sprawą.

Cóż innego mogło go skłonić do ponownego przejrzenia karty Chada Jonesa?

Nigdy już nie zdoła mi tego powiedzieć, ale może zrobi to jego była asystentka.

Zadzwoiłem do informacji centrali 213, 310 i 818, pytając o adres Dawn Herbert, ale nic nie wskórałem. Poszerzyłem obszar poszukiwań o centrale 805, 714 i 619 z tym samym rezultatem, potem zadzwoniłem do Mila do Parker Center. Odebrał i powiedział: – Słyszałem, że mieliście zabójstwo wczoraj wieczorem.

– Byłem w szpitalu, kiedy się to wydarzyło. – Opowiedziałem mu o pytaniach policjantów i scenie w holu wejściowym. O tym, że opuszczając parking, miałem wrażenie, że ktoś mnie obserwuje.

– Uważaj na siebie, zuchu. Dostałem wiadomość od ciebie, o mężusiu tej Bottomley, ale nie było żadnych wezwań do awantur rodzinnych na jej adres, a w kartotece policyjnej nie figuruje nikt, kto mógłby być jej mężem. Ale mieszka u niej jakiś rozrabiaka. Reginald Douglas Bottomley, urodzony w 1970 roku. Więc mógłby to być jej syn albo jakiś zabłąkany siostrzeniec.

– A co takiego nabroił?

– Mnóstwo – lista jest dość długa, by pokryć łożo Abdul-Jabbara. Zastrzeżony rejestr dotyczący wykroczeń z okresu niepełnoletności, potem kilka zatrzymań za jazdę po pijanemu, przywłaszczenie, kradzież w sklepach, inne drobne kradzieże, włamania, rabunek, napad. Mnóstwo zatrzymań, kilka wyroków, krótkie pobyty w więzieniu, głównie w County. Mam zamiar na detektywa z komendy w Foothill, zobaczę, co on wie. Jaki związek z dzieciakiem ma domowa sytuacja Bottomley?

– Nie wiem – odparłem. – Szukam czynników stresujących, które mogłyby skłonić ją do odreagowywania. Pewnie dlatego, że działała mi na nerwy. Oczywiście, jeśli Reggie zszedł na złe drogi, bo Vicki niedobrze go traktowała, to już byłoby coś. Tymczasem dostałem na pewno istotne informacje. Cindy Jones kłamała na temat zwolnienia z wojska. Rozmawiałem właśnie z Fort Jackson. Nie mieli epidemii zapalenia płuc w 1983.

– Ach tak?

– Mogła mieć zapalenie płuc, ale nie było to w czasie epidemii. A podkreślała, że to była epidemia.

– To głupio kłamać w takiej sprawie.

– Gra Munchhausena – powiedziałem. – A może chciała coś ukryć. Pamiętasz, jak ci mówiłem, że zwolnienie z wojska wydaje się dla niej drażliwym tematem – jak się rumieniła i szarpała warkocz? Oficer sanitarny bazy powiedział, że w 1983 roku miała miejsce epidemia – mniej więcej wtedy, kiedy służyła Cindy. Ale było to bakteryjne zapalenie opon mózgowych. Które może prowadzić do napadów

padaczkowych. A to się łączy z innym typem dolegliwości, na jakie cierpiała Cassie. Zeszłej nocy faktycznie miała grand mai. W szpitalu.

– Pierwszy raz.

– Owszem. Pierwszy raz, kiedy widział to ktoś poza Cindy.

– Kto to był?

– Bottomley i rejestratorka. A co ciekawsze, wczoraj Cindy opowiadała mi, że Cassie zawsze choruje w domu, a w szpitalu od razu zdrowieje. Więc ludzie zaczynają myśleć, że matka oszalała. I oto mamy atak, parę godzin później, przy świadkach, poparty wynikami analiz chemicznych. Testy laboratoryjne wykazały hipoglikemię i teraz Stephanie uważa, że dzieciak jest naprawdę chory. Tylko że hipoglikemię można wywołać środkami zmieniającymi poziom cukru we krwi, jak zastrzyk z insuliny. Napomknąłem o tym Stephanie, ale nie wiem, czy to do niej dotarło. Strasznie się ożywiła, szukając rzadkich zaburzeń przemiany materii.

– Ostre w tył zwrot – powiedział.

– Trudno ją za to winić. Po tylu miesiącach pracy nad tą sprawą jest sfrustrowana i chciałaby zajmować się medycyną, a nie uprawiać zgadywanki psychologiczne.

– A ty, odwrotnie...

– Ja jestem czarnowidzem – zbyt długo się z tobą zadawałem.

– Taak – powiedział. – Rozumiem, do czego zmierzasz, jeśli chodzi o zapalenie opon mózgowych, o ile rzeczywiście na to chorowała mama. Padaczka dla każdego – jak matka, tak i córka. Ale na razie tego nie wiesz. A skoro ukrywa ten fakt, dlaczego sama wspomniała o zwolnieniu? Po co w ogóle mówiła, że była w wojsku?

– A po co twój samooskarżyciel zmyślił swoją bajeczkę? Jeśli ma Munchhausena, zacznie drażnić mnie półprawdami. Milo, fajnie byłoby dobrać się do dokumentów dotyczących zwolnienia. Żeby dowiedzieć się dokładnie, jak to z nią było w Południowej Karolinie.

– Spróbuję, ale to potrwa.

– Coś jeszcze. Poszedłem dzisiaj po kartę zgonu Chada Jonesa, ale nie było jej. Wzięła ją w lutym laborantka Ashmore'a i nie oddała.

– Ashmore'a? Tego, którego zabito?

– Tego samego. Był toksykologiem. Stephanie prosiła go, by przejrzał kartę pół roku temu, kiedy zaczęła coś podejrzewać u Cassie. Zrobił to niechętnie – był naukowcem, nie zajmował się pacjentami. I powiedział jej, że nic nie znalazł. Więc po co miałby wyciągać znowu kartę, o ile sam nie odkrył czegoś nowego w związku z Cassie?

– Skoro nie zajmował się pacjentami, skąd w ogóle by się o niej dowiedział?

– Przeczytał jej nazwisko na liście przyjęć i wypisów. Wychodzą codziennie i dostaje je każdy lekarz. Widząc tam jej nazwisko raz za razem, mógł się w końcu zainteresować na tyle, by zbadać powtórnie przyczyny śmierci jej brata. Asystentka nazywa się Dawn Herbert. Próbowałem ją złapać, ale odeszła ze szpitala dzień po wyjęciu karty. Znowu zastanawiający zbieg okoliczności. A teraz Ashmore nie żyje. Może wydaje ci się, że mam obsesję na punkcie spisku, ale czy to nie dziwne? Herbert mogłaby coś wyjaśnić, ale jej adresu ani numeru telefonu nie mają nigdzie od Santa Barbara do San Diego.

– Dawn Herbert – powiedział. – Jak Herbert Hoover.

– Drugie imię Kent. Jak księstwo.

– Fajno. Spróbuję pójść tym tropem, zanim zejdziesz z dyżuru.

– Jestem zobowiązany.

– Okaż to, dając mi coś do jedzenia. Masz w domu jakąś przyzwoitą wyżerkę?

– Przypuszczam...

– A jeszcze lepiej, haute cuisinc. Sam wybiorę. Coś pysznego, drogiego i na twój koszt.

Zjawił się o ósmej, niosąc białe pudełko. Na pokrywce był rysunek szczerzącego zęby w uśmiechu wyspiarza w spódnicze z trawy, kręcącego na palcu potężnym dyskiem ciasta.

– Pizza? – zdziwiłem się. – A co z haute i drogim?

– Poczekaj, aż zobaczysz rachunek.

Zaniósł pudełko do kuchni, przeciął taśmę paznokciem, zdjął pokrywkę, wyjął kawałek ciasta i zjadł go stojąc przy blacie. Potem wyciągnął następny trójkąt, wręczył go mnie, wziął jeszcze jeden dla siebie i siadł przy stole.

Spojrzałem na trzymany w ręku kawałek. Równina stopionego sera usiana była grzybami, cebulą, papryką, anchois, parówkami i mnóstwem innych rzeczy, których nie byłem w stanie zidentyfikować.

– Co to jest – ananas?

– I mango. I kanadyjska szynka, i kielbaski, i chorizo. Masz tu brachu, prawdziwą pizzę Pogo-Pogo ze Spring Street. Prawdziwie demokratyczna kuchnia – po trochu od każdej grupy etnicznej, lekcja gastronomicznej demokracji.

Jadł i mówił z pełnymi ustami.

– Mały Indonezyjczyk sprzedaje ją prosto ze stoiska, niedaleko Center. Ludzie stoją w kolejce.

– Ludzie stoją też w kolejce, żeby zapłacić kary za złe parkowanie.

– Częstuj się – zachęcił i ugryzł jeszcze raz, przytrzymując drugą ręką ściekający ser.

Podszedłem do szafy, wyjąłem kilka papierowych talerzyków i położyłem je na stole, obok serwetek.

– O! Prawdziwa porcelana! – Otarł podbródek. – Coś do picia?

Wyjąłem z lodówki dwie puszkę coli.

– Może być?

– Jeśli zimna.

Skończywszy drugi kawałek, otworzył puszkę i napił się.

Usiadłem i skosztowałem pizzy.

– Niezła.

– Miło zna się na wyzerce. – Żłopnął jeszcze coli. – Wracając do twojej panny Dawn K. Herbert, ma czyste konto. Następna dziewczina.

Sięgnął do kieszeni, wyciągnął kawałek papieru i podał mi. Napisano na nim na maszynie:

Dawn Kent Herbert, DAT.UR. 13/12/63, 5 stóp i 5 cali,

170 funtów, brązowe i brązowe. Mazda Miata.

Poniżej adres przy Lindblade Street, w Culver City.

Podziękowałem i spytałem, czy słyszał coś nowego o zabójstwie Ashmore'a.

Potrząsnął głową.

– Uznano je za typowy hollywoodzki napad rabunkowy.

– Odpowiedni facet do obrabowania. Był bogaty. – Opisałem dom przy North Whittier.

– Nie wiedziałem, że badania naukowe są tak dobrze płatne – powiedział.

– Nie są. Ashmore musiał mieć jakieś inne źródło dochodów. To by wyjaśniało, dlaczego szpital zatrudnił go w czasie, gdy pozbywają się lekarzy i niechętnie odnoszą do starających się o dotacje na badania naukowe. Prawdopodobnie miał swoje własne fundusze.

– Wkupił się?

– Bywa.

– Chciałbym cię o coś zapytać – powiedział – Na temat twojej teorii, że Ashmore coś zwał. Cassie przywożono i zabierano ze szpitala od urodzenia. Dlaczego miałby zacząć myskować dopiero w lutym?

– Dobre pytanie – odparłem. – Zaczekaj sekundę.

Wyszedłem do biblioteki i przyniosłem swoje notatki dotyczące historii choroby Cassie. Milo siadł przy stole, a ja obok niego, przerzucając stronicę.

– Tutaj mamy – powiedziałem. – 10 lutego. Cztery dni wcześniej, niż Herbert wyjęła kartę Chada. Druga hospitalizacja Cassie z powodu dolegliwości żołądkowych. Rozpoznanie: zaburzenia gastryczne o nieznannej etiologii, możliwa posocznica – główny objaw to krwawa biegunka. Co mogło podsunąć Ashmore'owi myśl o jakimś specyficznym zatruciu. Może ciekawość zawodowa przemogła apatię.

– Nie wystarczyła mu rozmowa ze Stephanie.

– To prawda.

– Więc może szukał i nic nie znalazł.

– No to czemu nie oddał karty?

– Bałagan w gospodarstwie. Herbert miała oddać, ale nie zrobiła tego. Wiedziała, że odchodzi i w nosie miała wszystkie papierki.

– Zapytam, kiedy ją spotkam.

– Taak. Kto wie, może weźmie cię na przejażdżkę swoją miatą.

– Wrrrr, wrrrr – zawarczałem. – Coś nowego o Reginaldzie Bottomley?

– Jeszcze nie. Fordebrand – gość z Foothili – jest na urlopie, więc zostawiłem wiadomość facetowi, który go zastępuje. Miejmy nadzieję, że będzie skłonny do współpracy.

Odstawił colę. Napięcie żłobiło jego twarz i chyba znałem przyczynę. Zastanawiał się, czy tamten detektyw wiedział, kim on jest. Czy zechce mu odpowiedzieć.

– Dzięki – rzekłem. – Za wszystko.

– De nada. – Potrząsnął puszką. Pusta. Spojrzał na mnie, wsparłszy się łokciami o blat.

– O co chodzi? – zapytałem.

– Kiepsko wyglądasz. Jesteś przybity.

– Pewnie że tak – tyle teoretyzowania, a Cassie wcale nie jest bezpieczniejsza.

– Wiem, co masz na myśli – powiedział. – Najlepiej skupić się na problemie, nie dać się znieść za daleko. To ryzykowne przy sprawach, które kiepsko rokują – Bóg jeden wie, ile ich miałem. Czujesz się bezsilny, zaczynasz wymachiwać wściekle pięściami i kończysz niewiele mądrzejszy, za to, cholera, dużo starszy.

Wyszedł tuż po tym, a ja zadzwoniłem do pokoju Cassie w szpitalu. Minęła dziewiąta i bezpośredni dostęp do pacjentów był niemożliwy. Przedstawiwszy się telefonistce szpitalnej, uzyskałem połączenie. Odebrała Vicki.

– Cześć, tu doktor Delaware.

– Och... czym mogę służyć?

– Wszystko dobrze?

– Świetnie.

– Jesteś w pokój u Cassie?

– Nie – tutaj.

– W recepcji?

– Tak.



– Jak się czuje Cassie?

– Świetnie.

– Śpi?

– Aha.

– A Cindy?

– Ona też.

– Trudny dzień dla wszystkich?

– Aha.

– Czy doktor Eves była tam ostatnio?

– Koło ósmej – chce pan dokładny czas?

– Nie, dziękuję. Coś nowego, w związku z hipoglikemią?

– Musi pan o to zapytać doktor Eves.

– Nie było nowych ataków?

– Nie.

– W porządku – powiedziałem. – Proszę powiedzieć Cindy, że dzwoniłem. Wpadnę jutro.

Odłożyła słuchawkę. Pomimo jej wrogości, miałem dziwne – niemal amoralne – poczucie siły. Bo ja wiedziałem o jej nieszczęśliwej przeszłości, a ona nie była tego świadoma. Wtedy uzmysłowiłem sobie, że wiedza ta wcale nie przybliżała mnie do prawdy.

Za daleko – powiedział Milo.

Siedziałem tak, czując, jak poczucie siły mnie opuszcza.

## Rozdział trzynasty

Nazajutrz zbudziło mnie jasne, wiosenne światło. Przebiegłem parę mil, ignorując bóle w kolanach i koncentrując myśli na wieczorze z Robin.

Potem wziąłem prysznic, nakarmiłem rybki i przeczytałem gazetę, jedząc śniadanie. Nie było nic więcej o zabójstwie Ashmore'a.

Zadzwoiłem do informacji, żeby dowiedzieć się, jaki numer odpowiada adresowi Dawn Herbert, który dostałem od Mila. W spisie go nie było, a żaden z dwóch Herbertów mieszkających w Culver City nie znał nikogo o imieniu Dawn.

Odłożyłem słuchawkę, nie będąc pewny, czy miało to jakieś znaczenie. Nawet gdybym ją odnalazł, jak wytłumaczyłbym swoje pytania o kartę Chada?

Postanowiłem skupić się na pracy, która była moim zawodem. Ubrawszy się i wpiąwszy w klapę plakietkę identyfikacyjną, wyjechałem z domu, skręciłem na wschód na Sunset i skierowałem się w stronę Hollywood.

W parę minut znalazłem się na Beverly Hills i przejechałem, nie zwalniając, obok Whittier Drive. Coś po przeciwnej stronie bulwaru przyciągnęło moją uwagę: biały cutlass, nadjeżdżający od wschodu. Skręcił w Whittier i skierował się ku kwartałowi nr 900.

Zawróciłem przy pierwszej przerwie w linii ciągłej. Gdy zajechałem pod wielki dom w stylu kolonialnym, samochód był już zaparkowany w tym samym miejscu, gdzie widziałem go poprzedniego dnia, a jakaś Murzynka wysiadała z niego po stronie kierowcy.

Była młoda – około trzydziestki – niska i szczupła. Miała na sobie szary, bawełniany golf, czarną spódnicę do kostek i czarne pantofle na płaskich obcasach. W jednej ręce trzymała torbę od Bullocka; w drugiej brązową skórzaną torebkę.

Prawdopodobnie gospoia. Robiła w domu towarowym zakupy dla pogrążonej w żałobie wdowy po Ashmorze.

Odwróciwszy się w stronę domu, dostrzegła mnie. Uśmiechnąłem się. Rzuciła mi pytające spojrzenie i ruszyła ku mnie niespiesznie, krótkim, lekkim krokiem. Gdy podeszła bliżej, zauważyłem, że jest bardzo ładna, jej skóra była tak ciemna, że niemal granatowa. Miała okrągłą twarz, zakończoną kwadratowym podbródkiem, rysy piękne i wyraziste niczym nubijska maska. Wnikliwe spojrzenie jej wielkich oczu skupione było na mnie.

– Dzień dobry. Jest pan ze szpitala? – miała angielski akcent, wysubtelniały w prywatnej szkole.

– Owszem – odparłem zdziwiony i zaraz uprzytomniłem sobie, że patrzy na plakietkę w mojej klapie.

Zamrugła oczyma, potem otworzyła je szeroko. Jej tęczy były w dwu odcieniach brązu – mahoń w środku, orzechowe obrzeża.

I różowe obwódki. Płakała. Jej usta drżały lekko.

– To miło, że pan przyszedł – powiedziała.

– Alex Delaware – przedstawiłem się, wyciągając rękę przez okno po stronie kierowcy. Postawiła torbę z zakupami na trawie i podała swoją dłoń – wąską, suchą, i bardzo chłodną.

– Anna Ashmore. Nie spodziewałam się nikogo tak prędko.

Czując się głupio z powodu przypuszczeń, powiedziałem: – Nie znałem osobiście doktora Ashmore'a, ale chciałbym wyrazić ubolewanie.

Jej ręka opadła. Gdzieś w oddali ryknęła kosiarka do trawy.

– Nie ma żadnych oficjalnych uroczystości. Mąż nie był religijny.

– Zwróciła się w stronę domu. – Zechce pan wstąpić?

Wysoki na dwa piętra hol wejściowy miał posadzkę z czarnego marmuru i kremowe tynki. Kręcone marmurowe schody z piękną, mosiężną balustradą prowadziły na pierwsze piętro. Na prawo obszerna żółta jadalnia lśniła od ciemnych secesyjnych mebli o płynnych kształtach, które polerowała prawdziwa gosposia. Ścianę za schodami też wypełniały dzieła sztuki – współczesne malarstwo sąsiadowało z afrykańskimi batikami. Szerokie foyer obok schodów wiodło ku przeszklonym drzwiom, za którymi rozciągał się pejzaż przypominający pocztówki z Kalifornii: zielony trawnik, błękitna woda basenu migocząca srebrzyście w promieniach słońca, białe kabiny za połączoną ozdobnymi kratami kolumnadą, żywopłoty i kwietne rabaty w zmiennym cieniu drzew rzadkich gatunków. Bryzgi szkarłatu strzelające ponad dachówki kabiny – to bugenwilla, którą widziałem z ulicy.

Służąca wyszła z jadalni i odebrała torbę od pani Ashmore. Anna Ashmore podziękowała jej, po czym wskazała dłonią znajdujący się z lewej strony salon, dwukrotnie obszerniejszy od jadalni, do którego schodziło się po dwóch stopniach.

– Proszę – powiedziała schodząc, naciskając kontakt i zapalając w ten sposób kilka stojących lamp.

W rogu umieszczono czarny fortepian. Wschodnią ścianę zajmowały prawie w całości wysokie okna o zamkniętych okiennicach, wpuszczających do środka wąskie smugi światła. Podłogę z żółtych desek pokrywały czarno-rdzawe perskie dywany. Biały kasetonowy sufit wieńczył ściany o morelowych tynkach. Tu również wisiały dzieła sztuki: ta sama kompozycja obrazów olejnych i tkanin. Wydało mi się, że ponad granitowym gzymsem kominka dostrzegam jakiegoś Hockneya.

W pokoju panował chłód. Stojące tam meble wyglądały jak prosto z Design Center. Kryte białym zamsem włoskie sofy, czarne krzesło Breuera, duże „post-neandertalskie” stoliki o nakrapianych kamiennych blatach i kilka mniejszych, z powyginanych, mosiężnych prętów, z blatami z barwionego niebiesko szkła. Jeden z kamiennych stolików stał na wprost największej sofy. Na jego środku umieszczono misę z drzewa różanego pełną jabłek i pomarańcz.

– Proszę – powtórzyła pani Ashmore, więc usiadłem naprzeciw owoców.

– Mogę panu podać coś do picia?

– Nie, dziękuję.

Usiadła dokładnie naprzeciw mnie, sztywna i milcząca.

W czasie, jaki upłynął, odkąd wszedłem do domu jej oczy zaszyły łzami.

– Przykro mi z powodu śmierci doktora Ashmore’a – powiedziałem.

Wytarła palcem powieki i wyprostowała się jeszcze bardziej.

– Dziękuję, że pan przyszedł.

Cisza, jaka zapanowała w pokoju, sprawiła, że salon wydawał się jeszcze chłodniejszy. Anna znów otarła oczy i splotła palce.

– Ma pani piękny dom – powiedziałem.

Rozłożyła bezradnie ręce.

– Nie wiem, co z nim zrobić.

– Długo tu państwo mieszkali?

– Tylko rok. Larry miał go na długo przedtem, ale nie mieszkaliśmy tu razem. Kiedy przyjechaliśmy do Kalifornii, Larry powiedział, że to będzie nasza siedziba.

Wzruszyła ramionami, znów uniosła ręce i opuściła je na kolana.

– Taki duży, to naprawdę śmieszne... Mieliśmy zamiar go sprzedać... Pokręciła głową. – Proszę – niech się pan częstuje.

Wziąłem z misy jabłko i ugryzłem. Patrzyła, jak jem i wyraźnie podnosiło ją to na duchu.

– Skąd państwo przyjechali? – zapytałem.

– Z Nowego Jorku.

– Czy doktor Ashmore mieszkał kiedyś przedtem w Los Angeles?

– Nie, ale przyjeżdżał tu w celach handlowych – należało do niego wiele domów. W całym kraju. To było jego... zajęcie.

– Kupowanie nieruchomości?

– Kupowanie i sprzedawanie. Inwestowanie. Przez krótki czas miał nawet dom we Francji. Bardzo stary – prawdziwe chateau. Kupił go jakiś książę i opowiadał potem każdemu, że od wieków należał do jego rodziny. Larry śmiał się z tego – nie znosił pretensjonalności. Ale uwielbiał kupować i sprzedawać. I wolność, jaką mu to dawało.

Mogłem to zrozumieć, zdobywszy samemu pewną niezależność materialną w czasie boomu na parcele w połowie lat siedemdziesiątych. Ale ja działałem na dużo mniejszą skalę.

– Cała góra jest pusta – powiedziała.

– Mieszka tu pani sama?

– Owszem. Nie mamy dzieci. Proszę – może pomarańczę. To z drzewa za domem, łatwo się obiera.

Wziąłem owoc, obrałem ze skórki i zjadłem cząstkę. Odgłosy żucia wydawały mi się ogłuszające.

– Nie mamy z Larrym wielu znajomych – powiedziała, używając czasu teraźniejszego, co nie dziwiło u świeżo upieczonej wdowy.

Przypomniawszy sobie jej uwagę o mojej niespodziewanie wczesnej wizycie, zapytałem.

– Czy ktoś ze szpitala ma panią odwiedzić?

Skinęła głową.

– Z upominkiem – certyfikatem darowizny na rzecz UNICEF-u. Mają to oprawić. Dzwonił wczoraj jakiś mężczyzna, żeby zapytać, czy to w porządku – ofiarowanie na rzecz UNICEF-u.

– Nazywał się Plumb?

– Nie... Nie sędzę. Miał dłuższe nazwisko – jakby niemieckie.

– Huenengarth?

– Tak, właśnie tak. Był bardzo sympatyczny, tak miło wyrażał się o Larrym.

Obrzuciła sufit roztargnionym spojrzeniem.

– Na pewno nie chciałby się pan niczego napić?

– Wystarczy szklanka wody.

Skinęła głową i wstała.

– Będziemy mieć szczęście, jeśli był człowiek od Sparklettsa. Woda w Beverly Hills jest okropna. Sole mineralne. Larry i ja nie pijemy jej.

Kiedy wyszła, wstałem, by obejrzeć obrazy. To rzeczywiście był Hockney. Akwarela przedstawiająca martwą naturę, oprawiona w ramkę z pleksiglasu. Tuż obok niewielkie abstrakcyjne płótno, jak się okazało De Kooninga. Dzieła Jaspera Johnsa, studium w płaszczu kąpielowym Jima Dine'a, płasy satyra i nimfy na grafice Picassa. Mnóstwo innych, których nie potrafiłem zidentyfikować, przemieszane z batikami w ziemistej tonacji. Odciski woskiem przedstawiały sceny plemienne i wzory geometryczne, które były prawdopodobnie talizmanami.

Wróciła z pustą szklanką, butelką perrier i złożoną lnianą serwetką na owalnej łąkowej tacy.

– Przykro mi, nie ma wody ze źródła. Mam nadzieję, że zadowoli to pana.

– Oczywiście. Dziękuję.

Nalała mi wody i znów zajęła swoje miejsce.

– Piękne dzieła sztuki – powiedziałem.

– Larry kupił je w Nowym Jorku, kiedy pracował w Sloan-Kettering.

– W instytucie raka?

– Tak. Mieszkaliśmy tam przez cztery lata. Larry bardzo interesował się rakiem – wzrostem częstotliwości zachorowań. Prawidłowościami. Tym, jak zatrafa się środowisko. Martwił się o świat.

Znów zamknęła oczy.

Tam się państwo poznali?

– Nie. Spotkaliśmy się w mojej ojczyźnie, w Sudanie. Pochodzę z wioski na południu. Mój ojciec był jej naczelnikiem. Uczęszczałam do szkół w Kenii i Anglii, ponieważ wielkie uniwersytety w Chartumie i Omdurmanie są islamskie, a członkowie mojej rodziny byli chrześcijanami. Południe zamieszkują chrześcijanie i animiści – wie pan, co to takiego?

– Starodawne wierzenia plemienne?

– Tak. Prymitywne, ale silnie zakorzenione. To najbardziej denerwuje tych z północy. Chciano, żeby wszyscy przeszli na islam. Sto lat temu sprzedawano południowców jako niewolników, dzisiaj usiłują zniewolić nas religią.

Zacisnęła ręce. Poza tym pozostała nieporuszona.

– Czy doktor Ashmore prowadził badania w Sudanie?

Skinęła głową.

– Dla ONZ-tu. Badał prawidłowości w występowaniu chorób – to dlatego pan Huenengarth sądził, że darowizna na rzecz UNICEF-u będzie najwłaściwsza.

– Prawidłowości w występowaniu chorób – powtórzyłem. – Epidemiologia?

Skinęła głową.

– Studiował toksykologię i medycynę środowiskową, ale zajmował się tym bardzo krótko. Jego prawdziwą miłością była matematyka, a przy epidemiologii mógł łączyć matematykę z medycyną. W Sudanie badał tempo rozprzestrzeniania się zakażeń bakteryjnych od wioski do wioski. Mój ojciec podziwiał jego pracę, przydzielił mnie do pomocy przy pobieraniu krwi dzieciom – właśnie wróciłam do domu skończywszy szkołę pielęgniarską w Nairobi. – Uśmiechnęła się. – Zostałam panną od igieł – Larry nie lubił sprawiać dzieciom bólu. Zaprzyjaźniliśmy się. Wtedy przyszli muzułmanie. Zabili mego ojca, całą moją rodzinę... Larry zabrał mnie ze sobą samolotem ONZ-tu, do Nowego Jorku.

Relacjonowała tragedię sucho i zdawkowo, jakby znieczuliły ją doznane krzywdy. Zastanawiałem się, czy przeżyte cierpienia pomogą jej pogodzić się ze śmiercią męża, kiedy ból odezwie się z całą mocą, czy też pogorszy to sytuację.

– Dzieci z mojej wioski... – podjęła – zmasakrowano je, kiedy przyszli ludzie z północy. ONZ nie robił nic, a Larry rozgniewał się i rozczarował do nich. Kiedy przyjechaliśmy do Nowego Jorku, pisał listy, starał się skontaktować z wyższymi urzędnikami. Nie chcieli go przyjąć, co rozgniewało go jeszcze bardziej. Odwrócił się od świata. Wtedy zaczęło się kupowanie.

– Żeby poradzić sobie z gniewem?

Żałośnie skinęła głową.

– Sztuka stała się dla niego swego rodzaju ucieczką, doktorze Delaware. Nazywał ją szczytem ludzkich osiągnięć. Kiedy kupował coś nowego, wieszał to na ścianie i wpatrywał się całymi godzinami; opowiadał o konieczności otaczania się rzeczami, które nie mogą nas zranić.

Rozejrzała się po pokoju i pokręciła głową.

– Teraz zostałam z tym wszystkim, a większość tych przedmiotów nie ma dla mnie większego znaczenia. – Znów pokręciła głową. – Obrazy i wspomnienie jego gniewu – był człowiekiem pełnym gniewu. Nawet pieniądze zarabiał z gniewem.

Dostrzegła moje zakłopotanie.

– Proszę mi wybaczyć – odbiegam od tematu. Chodzi mi o to, w jaki sposób zaczynał. Grał w oczko, w kości – w inne gry hazardowe. Chociaż mam wrażenie, że „grał” nie jest odpowiednim określeniem. Nie była to właściwie gra – oddawał się hazardowi całkowicie, nie robił przerw na sen czy posiłki.

– Gdzie grywał?

– Wszędzie. W Los Angeles, Atlantic City, Reno, Lakę Tahoe. Zarobione tam pieniądze inwestował w inne projekty – w akcje, papiery wartościowe. – Machnęła ręką, wskazując pokój.

– Czy zwykle wygrywał?

– Prawie zawsze.

– Miał jakiś system?

– Miał ich wiele. Tworzył je na komputerach. Był geniuszem matematycznym, doktorze Delaware. Jego systemy wymagały fenomenalnej pamięci. Potrafił sumować w pamięci kolumny cyfr niczym ludzki komputer. Mój ojciec uważał go za czarownika. Kiedy pobieraliśmy dzieciom krew, kazałam mu pokazywać im sztuczki z liczbami. Przyglądały się, zdziwione, i nie czuły ukłuć.

Uśmiechnęła się, zakrywając dłonią usta.

– Sądził, że będzie to trwało wiecznie – powiedziała, podnosząc wzrok zarabianie kosztem domów gry. Ale zorientowali się i kazali mu wyjść. Było to w Las Vegas. Poleciał do Reno, ale w tamtejszym kasynie już wiedzieli. Larry był wściekły. Parę miesięcy później wrócił do pierwszego kasyna, w przebraniu i z brodą starca. Zagrał o wyższe stawki i wygrał jeszcze więcej.

Uśmiechała się przez chwilę do tego wspomnienia. Rozmowa wyraźnie dobrze jej robiła. Pozwoliło mi to usprawiedliwić swoją obecność.

– A potem – ciągnęła dalej – po prostu przestał. Grać. Powiedział, że znudziło go to. Zaczął handlować nieruchomościami... Był w tym taki dobry... Nie wiem, co z tym wszystkim począć.

– Ma tu pani jakąś rodzinę?

Potrząsnęła głową i złożyła dłonie.

– Ani tu, ani nigdzie indziej. Rodzice Larry’ego też nie żyją. To takie... to ironia losu. Kiedy przyszli ci z północy, strzelali do kobiet i dzieci, Larry patrzył im prosto w twarz, krzyczał na nich, wyzywając straszliwie. Nie był dużym mężczyzną... Spotkał go pan kiedyś?

Potrząsnąłem głową.

– Był bardzo drobny. – Znów uśmiech. – Bardzo drobny – za plecami ojciec nazywał go małpką. Z sympatią. Małpką, która uważa się za lwa. Cała wioska żartowała w ten sposób, ale Larry nie przejmował się. Może muzułmanie wierzyli, że on jest lwem. Nigdy go nie skrzywdzili. Pozwolili mu zabrać mnie samolotem. Miesiąc po naszym przyjeździe do Nowego Jorku obrabował mnie na ulicy narkoman. Byłam przerażona. Ale Larry nigdy nie bał się miasta. Żartowałam czasem, że to miasto bało się jego. Moja groźna, mała małpka. A teraz...

Pokręciła głową. Znów zakryła usta i odwróciła wzrok. Upłynęła dłuższa chwila, nim się odezwałam.

– Dlaczego przeprowadziliście się państwo do Los Angeles?

– Larry był bardzo nieszczęśliwy w Sloan-Kettering. Zbyt wiele przepisów, zbyt wiele polityki. Powiedział, że powinniśmy przeprowadzić się do Kalifornii i zamieszkać w tym domu – to był najlepszy z jego nabytków. Sądził, że byłoby głupio, gdyby ktoś cieszył się nim, podczas gdy my przebywamy

w wynajętym mieszkaniu. Więc usunął lokatora – jakiegoś producenta filmowego, który nie płacił czynszu.

– Dlaczego wybrał Western Peds?

Zawahała się.

– Niech pan się nie obrazi, doktorze, ale uważał że Western Peds to szpital w... stanie upadku. Problemy z pieniędzmi. Będąc niezależnym finansowo, mógłby trzymać się z boku i zajmować własnymi badaniami.

– Jakie badania prowadził?

– Te same, co zawsze, prawidłowości w występowaniu chorób. Niewiele o tym wiem – Larry nie lubił opowiadać o swojej pracy. – Pokręciła głową. W ogóle niewiele mówił. Po Sudanie, pacjentach chorych na raka w Nowym Jorku, nie chciał mieć do czynienia z konkretnymi ludźmi i ich cierpieniem.

– Słyszałem, że trzymał się z boku.

Uśmiechnęła się tkliwie.

– Uwielbiał samotność. Nie chciał nawet sekretarki. Mówił, że potrafi pisać szybciej i dokładniej na edytorze tekstu, więc po co?

– Miał asystentów, prawda? Jak Dawn Herbert.

– Nie znam nazwisk, ale tak, od czasu do czasu zatrudniał doktorantów z uniwersytetu, lecz nigdy nie był z nich zadowolony.

– Z uniwersytetu w Westwood?

– Tak. Dotacja obejmowała pomoc laboratoryjną, a niektórymi badaniami nie musiał zajmować się osobiście. Ale nigdy nie był zadowolony z pracy innych. Prawdę mówiąc, doktorze, Larry nie lubił być od nikogo zależny. Poleganie na sobie stało się jego religią. Po tym, jak obrabowano mnie w Nowym Jorku, nalegałbyśmy oboje nauczyli się samoobrony. Mówił, że policja działa opieszale i niczym się nie przejmuje. Znalazł na dolnym Manhattanie starego Koreańczyka, który uczył nas karate, kick-boxingu różnych technik. Przyszłam na dwie, trzy lekcje, potem zrezygnowałam. Wydawało się to nielogiczne – jak mogliśmy obronić się gołymi rękami przed uzbrojonym w pistolet narkomanem? Ale Larry chodził dalej i ćwiczył co wieczór. Zdobyl nawet pas.

– Czarny?

– Brązowy. Larry twierdził, że brązowy wystarczy, wszystko ponad to byłoby zarozumiałstwem.

Pląkała cicho, ukrywając twarz w dłoniach. Wzięłam serwetkę z ławkowej tacy, i mając ją w pogotowiu stanąłem obok krzesła Anny. Podniosła wzrok. Jej dłoń ścisnęła moje palce niczym kleszcze, potem rozluźniła uchwyt. Usiadłem z powrotem.

– Podać panu coś jeszcze? – zapytała.

Potrząsnąłem głową.

– Czy mogę pani w czymś pomóc?

– Nie, dziękuję. Już sam fakt, że pan przyszedł, sprawił mi przyjemność nie mamy wielu znajomych.

Raz jeszcze rozejrzała się po pokoju.

– Czy przygotowania do pogrzebu są zakończone? – zapytałem.

– Za pośrednictwem adwokata Larry’ego... Widocznie Larry wszystko to zaplanował. Szczegóły – kolejność działań. Są też zalecenia dla mnie. Nie wiedziałam o tym. O wszystko się zatroszczył... Nie jestem pewna, kiedy odbędzie się pogrzeb. W takich... wypadkach, koroner. Tak głupio...

Jej dłoń uniosła się do twarzy. Znów popłynęły łzy.

– Straszne. Jestem dziecinna. – Manipulowała przy oczach serwetką.

– To straszna strata, pani Ashmore.

– To dla mnie nic nowego – powiedziała szybko. Jej głos stał się nagle twardy, pełen gniewu.

Milczałem.

– Cóż – powiedziała. – Powinam chyba wrócić do swoich zajęć.

Wstałem. Odprowadziła mnie do drzwi.

– Dziękuję, że pan przyszedł doktorze Delaware.

– Jeśli mógłbym coś zrobić...

– To bardzo uprzejmie, ale pewna jestem, że będę w stanie podołać bieżącym obowiązkom.

Otworzyła drzwi.

Powiedziałem do widzenia i drzwi zamknęły się za mną.

Poszedłem wolno w stronę seville'a. Odgłosy pracy w ogrodzie zamarły. Ulica była piękna i cicha.



## Rozdział czternasty

Kiedy wszedłem do pokoju 505W, oczy Cassie skierowały się na mnie, ale dziewczynka nie poruszyła się.

Zasłony były zaciągnięte, a przez uchylone drzwi łazienki dobywało się żółte światło. Dojrzałem mokre ubrania wiszące na rurze od prysznic. Poręcze łóżka opuszczono, a w pokoju unosił się lepki zapach starych bandaży.

Kroplówka z licznikiem ciągle była podłączona do lewego ramienia Cassie. Przezrysty płyn z podwieszanej butli skapywał powoli przez rurkę. Furkot kroplomierza wydawał się głośniejszy. Pluszowe króliczki otaczały dziewczynkę. Nie tknięta taca ze śniadaniem stała na stoliku.

– Cześć, kruszyno – powiedziałem.

Uśmiechnęła się lekko, zamknęła oczy i jęła kręcić głową tam i z powrotem niczym niewidome dziecko.

Cindy wyszła z łazienki i powiedziała:

– Cześć, doktorze Delaware. – Warkocz miała upięty na czubku głowy, a bluzkę wypuszczoną na spodnie.

– Cześć. Jak leci?

– W porządku.

Przysiadłem na brzegu łóżka Cassie. Cindy podeszła i stanęła obok mnie. Nacisk mego ciała sprawił, że dziewczynka ponownie otworzyła oczy. Uśmiechnąłem się do niej, dotknąłem jej palców. Zaburczało jej w brzuchu i raz jeszcze zamknęła oczy. Usta miała wyschnięte i spękane. Skrawek martwego naskórka zwieszał się z górnej wargi. Unosił się lekko za każdym oddechem.

Ująłem jej wolną rękę. Nie opierała się. Jej skóra była ciepła, miękka i delikatna niczym jedwab.

– Taka dobra dziewczynka – powiedziałem i zobaczyłem, jak jej oczy poruszają się pod powiekami.

– Miałyśmy ciężką noc – rzekła Cindy.

– Wiem. Przykro to słyszeć. – Spojrzałem na rączkę w mojej dłoni. Żadnych nowych ranek, ale mnóstwo starych. Paznokciec kciuka był drobny, tępo zakończony i niezbyt czysty. Nacisnąłem delikatnie, i palec uniósł się, pozostał przez chwilę wyprostowany, potem opadł dotykając mojej dłoni. Ponowiłem ucisk i wszystko powtórzyło się. Ale jej oczy pozostały zamknięte, a twarz rozluźniła się. Po paru chwilach spała już, oddychając w rytmie spadających przez rurkę kropli.

Cindy pogładziła policzek córki. Jeden z królików spadł na podłogę. Podniosła go i postawiła obok tacy ze śniadaniem. Taca była dalej niż się spodziewała i przy tym ruchu straciła równowagę. Chwyciłem ją za łokieć i podtrzymałem. Przez rękaw bluzy wyczułem szczupłe, sprężyste ramię. Puściłem, ale wsparła się przez moment na mojej dłoni.

Dostrzegłem linie, jakie troski wyryły wokół jej oczu i ust, zobaczyłem zapowiedź zmarszczek, które pojawiają się na starość. Nasze spojrzenia się spotkały. Patrzyła ze zdziwieniem i strachem. Odsunęła się ode mnie i poszła usiąść na tapczanie.

– Co się tu działo? – zapytałem, chociaż przejrzałem kartę przed wejściem.

– Zastrzyki i badania – odparła. – Parę różnych zdjęć radiologicznych. Dopiero niedawno dostała obiad i nie mogła go zjeść.

– Biedactwo.

Przygryzła wargę.

– Doktor Eves mówi, że brak apetytu spowodowany jest niepokojem albo reakcją na izotopy, których

używano do badań.

– To się czasami zdarza – powiedziałem. – Szczególnie, kiedy robi się wiele badań i izotopy wbudowane są do organizmu.

Skinęła głową.

– Jest bardzo zmęczona. Chyba nie będzie pan mógł dzisiaj z nią rysować.

– Chyba nie.

– Jest bardzo źle – tak ją to wyczerpało. Nie zdążył pan zastosować swoich technik.

– Jak znosiła zabiegi?

– W gruncie rzeczy była tak zmęczona – po grand mai – że zachowywała się raczej biernie.

Spojrzała na łóżko, odwróciła szybko i podparła, kładąc dłonie na sofie.

Nasze spojrzenia znów się spotkały. Stłumiła ziewnięcie i powiedziała:

– Przepraszam.

– Mogę w czymś pomóc?

– Dzięki. Chyba w niczym.

Zamknęła oczy.

– Odpocznij trochę – powiedziałem i ruszyłem ku drzwiom.

– Doktorze Delaware?

– Tak?

– A ta wizyta domowa, o której rozmawialiśmy – zapytała. Ciągle zamierza nas pan odwiedzić, kiedy wreszcie stąd wyjdziemy?

– Jasne.

– To dobrze.

Coś w jej głosie – jakaś ostrość, której nigdy dotąd nie dostrzegłem kazało mi stanąć i poczekać.

Ale powtórzyła tylko: „To dobrze” i odwróciła się zrezygnowana. Jakby chwila krytyczna nadeszła i minęła. Kiedy zaczęła bawić się warkoczem, wyszedłem.

Ani śladu Vicki Bottomley, dyżurna pielęgniarka nie była mi znana. Wpisawszy własne uwagi, przejrzałem powtórnie notatki Stephanie, neurologa i udzielającego konsultacji endokrynologa – faceta nazwiskiem Alan Macauley, o zdecydowanym, zamaszystym charakterze pisma.

Neurolog nie dopatrywał się żadnych nieprawidłowości w dwu kolejnych EEG i ustąpił pola Macauleyowi, który stwierdził, że nic nie świadczy o jakichkolwiek zaburzeniach metabolicznych, choć wyniki testów laboratoryjnych były ciągle poddawane analizie. Zgodnie z jego najlepszą wiedzą, trzustka Cassie jest strukturalnie i biologicznie prawidłowa. Macauley sugerował dalsze testy genetyczne i badania dla wykluczenia nowotworu mózgu, oraz zalecał dalszą „intensywną konsultację psychologiczną prowadzoną przez doktora Delaware”.

Nigdy go nie spotkałem, więc zdziwiłem się, że wymienił mnie z nazwiska. Chcąc się dowiedzieć, co miał na myśli pisząc „intensywna” odszukałem w spisie telefonów szpitalnych jego numer i zadzwoniłem.

– Macauley.

– Doktorze Macauley, tu Alex Delaware – psycholog opiekujący się Cassie Jones.

– Szczęśliwiec z pana. Widział ją pan ostatnio?

– Przed minutą.

– Jak się czuje?

– Znużona. – Sądzę, że wyczerpał ją atak.

– Prawdopodobnie.  
– Jej matka mówiła, że nie jadła obiadu.  
– Jej matka, co?... Więc, czym mogę służyć.  
– Przeczytałem pana uwagi – o wsparciu psychologicznym. Zastanawiałem się, czy nie ma pan jakichś sugestii.

Długa pauza.

– Gdzie pan teraz jest? – spytał.  
– W dyżurce pielęgniarek w Chappy Ward.  
– Dobra, niech pan słucha. Za dwadzieścia minut jestem w poradni dla cukrzyków. Mogę tam być trochę wcześniej – powiedzmy o piątej. Może pan wpadnie? Trójka wschodnia.

Zamachał, zobaczywszy, że się zbliżam, i uprzytomniłem sobie, iż widziałem go dzień wcześniej, na zebraniu ku czci Ashmore'a. Krzepki, śniady, łysy mężczyzna, który mówił o Teksasie, spluwach i Smith & Wessonie w każdej lekarskiej torbie.

Na stojąco wydawał się jeszcze potężniejszy, miał grube, przygarbione ramiona i ręce dokera. Ubrany był w białą koszulkę polo, obcisłe džinsy i kowbojskie buty ze strusiej skóry. Swoją plakietkę przypiął tuż ponad logo przedstawiającym dżokeja na koniu. W rękę trzymał stetoskop. Rozmawiając z tykwatym, siedemnastoletnim mniej więcej chłopakiem, wykonywał drugą ręką gesty naśladujące nurkowanie i gwałtowne wzloty samolotu.

Piętnaście minut przed planowanym otwarciem poradni poczekalnia endokrynologii zaczęła się napępniać ludźmi. Na ścianach wisiały plakaty dotyczące odżywiania. Na stole leżały sterty książeczek dla dzieci i wyświechtanych magazynów, broszurki i torebki sztucznego słodzika.

Macauley klepnął chłopaka po plecach. Usłyszałem jak mówi: – Dobrze ci idzie – tak trzymać. Wiem, że szprycowanie się wykańcza wielkiego kudłacza, ale pozwalanie, by mamusia cię szprycowała, wykańcza jeszcze bardziej, no nie? Więc nie daj jej do cholery wtrącać się do swego życia i idź się zabawić.

– W porządku – odparł chłopak. Miał wydatny podbródek i nos. Wielkie, odstające uszy, w każdym po trzy kółka ze złotego drutu. Mierzył dobrze ponad sześć stóp, ale przy Macauleyu wydawał się mały. Cerę miał tłustą i żółtawą, usianą pryszczami na policzkach i brodzie. Nowofalowa fryzura odznaczała się większą ilością płaszczyn i kątów niż erotyczny sen architekta.

– Zabawię się – odparł kwaśno.  
– Hej, baw się chwacko, chłopie – rzekł Macauley – i do woli, pod warunkiem, że bez cukru.  
– Pierdole – stwierdził chłopak.  
– No, to jest w porządku, Kev. To możesz robić do oporu, pod warunkiem, że używasz prezerwatywy.

Chłopak mimowolnie wyszczerzył zęby w uśmiechu.

Macauley klepnął go jeszcze raz i powiedział:

– Okay, zjeżdżaj, spływaj, spadaj i precz mi z oczu. Muszę się zająć chorymi ludźmi.  
– Taa, jasne. – Chłopak wyciągnął paczkę papierosów, wsadził jednego w usta, ale nie zapalił.  
– Hej, gołąbku, twoje płuca to też czyjaś sprawa – dodał Macauley.

Chłopak roześmiał się i odszedł powłócząc nogami.

Macauley podszedł do mnie:

– Krnąbrni młodzieńcy z niestabilną cukrzycą. Pewien jestem, że po śmierci pójdę do nieba, bo w piekle już byłem.

Wyciągnął ku mnie potężne ramię. Dłoń miał wielką, ale uścisk powściągliwy. Przypominał baseta z niewielką domieszką bulteriera: gruby nos, pełne wargi, małe ciemne oczy o lekko obwisłych powiekach. Łysa czaszka i niezmienny jednodniowy zarost nadawały mu wygląd człowieka w średnim wieku, ale podejrzewałem, że miał jakieś trzydzieści pięć lat.

– Al Macauley.

– Alex Delaware.

– Spotkanie Alów – powiedział. – Wiejmy stąd, póki tubylcy nie zaczną się niepokoić.

Przeprowadził mnie przez wahadłowe drzwi, dokładnie takie, jak w poradni Stephanie, i podobny rozgardiasz wywoływany przez rejestratorki, pielęgniarki, lekarzy, dzwoniące telefony i skrzypiące długopisy do pokoju przyjęć, ozdobionego tablicą zawartości cukru w pokarmach wydaną przez jeden z koncernów produkujący fast-food. Pięć grup pokarmów, ze szczególnym uwzględnieniem hamburgerów i frytek.

– W czym mogę ci pomóc? – zapytał, siadając na stołku i kręcąc się na nim lekko tam i z powrotem.

– Czy intuicja podpowiada ci coś na temat Cassie?

– Intuicja? To chyba twoja specjalność.

– Byłoby tak w świecie doskonałym, Al. Niestety rzeczywistość odmawia współpracy.

Parsknął śmiechem i przejechał dłonią po głowie, przyglądając nieistniejące włosy. Ktoś zostawił na stole gumowy młotek neurologiczny. Podniósł go i dotknął nim czubka kolana.

– Zaleciłeś intensywne wsparcie psychologiczne – powiedziałem – i właśnie zastanawiałem się...

– Czy jestem przewrażliwionym facetem, czy też sprawa wydała mi się podejrzana, zgadza się? Druga odpowiedź jest poprawna. Przeczytałem twoje notatki na karcie, wypytałem, coś za jeden i dowiedziałem się, że jesteś niezły. Więc pomyślałem, że wsadzę swoje trzy grosze.

– Podejrzana – powtórzyłem. – Coś jak Munchhausen per procura?

– Jak zwał, tak zwał – jestem specem od gruczołów, a nie psychoanalitykiem. Ale z metabolizmem dzieciaka wszystko gra, to mogę ci powiedzieć.

– Pewien jesteś?

– Słuchaj, nie pierwszy raz zajmuję się tym przypadkiem – przebadałem ją przed paroma miesiącami, kiedy rzekomo miała krwiste stolce. Nikt naprawdę nie widział ich na własne oczy, z wyjątkiem mamy, a z tego, co mi wiadomo, czerwone plamki na pieluszcze wcale o tym nie świadczą. W grę mógł wchodzić rumień pieluszkowy. A mój pierwszy przegląd był bardzo rygorystyczny. Wszystkie podręcznikowe testy endokrynologiczne i jeszcze parę dodatkowych.

– Byli świadkowie ostatniego ataku padaczki.

– Wiem o tym – powiedział niecierpliwie. – Pielęgniarka i rejestratorka. Niski poziom cukru tłumaczy to, fizjologicznie. Ale nie daje odpowiedzi na pytanie dlaczego. Nie ma u niej żadnych nieprawidłowości genetycznych czy metabolicznych, ani zaburzeń w gromadzeniu glikogenu, a jej trzustka funkcjonuje bez zarzutu. Poruszam się tu po dobrze znanym terenie, dorzucając tylko kilka eksperymentalnych testów, o których dowiedziałem się na wydziale medycyny – wyniki badań podstawowych, nad którymi ciągle pracują. Niewykluczone, że mamy do czynienia z najdokładniej przebadanym dwulatkiem na zachodniej półkuli. Chcesz zadzwonić do Guinnessa?

– A może to coś idiopatycznego – rzadki wariant znanej choroby?

Spojrzał na mnie, przełożył młotek z ręki do ręki.

– Wszystko jest możliwe.

– Ale nie myślisz, by tak było?

– Na pewno nie myślę, by coś było nie w porządku z jej gruczołami. To zdrowy dzieciak, cierpi na hipoglikemię z innych powodów.

– Ktoś jej coś dał?

Wyrzucił młotek w powietrze i złapał go dwoma palcami. Powtórzył ćwiczenie jeszcze parę razy i powiedział:

– A co ty myślisz? – Uśmiechnął się. – Zawsze chciałem zadać to pytanie jednemu z was. Ale mówiąc poważnie, tak, tak właśnie uważam. To chyba logiczne, biorąc pod uwagę historię choroby? I ten zmarły brat.

– Byłeś konsultantem w jego przypadku?

– Nie, niby dlaczego? Chodziło o układ oddechowy. Nie twierdzę, że było w tym coś podejrzanego – dzieci umierają na zespół nagłej śmierci. Ale w tym przypadku to daje do myślenia, prawda?

Skinałem głową.

– Kiedy usłyszałem o hipoglikemii, z miejsca przyszło mi na myśl zatrucie insuliną. Ale Stephanie twierdziła, że na ciele Cassie nie było świeżych śladów nakłuc.

Wzruszył ramionami.

– Mogły być. Nie przeprowadzałem kompletnego badania fizykalnego. Ale są różne subtelne sposoby wstrzyknięć: użyj bardzo cienkiej igły najcieńszej. Wybierz miejsce, które łatwo przeoczyć – fałdy skórne na pośladkach, kolanach, między palcami, przy granicy włosów. Moi pacjenci wciąż wymyślają coś nowego, a insulinę wstrzykuje się pod skórę. Takie drobne nakłucie goi się bardzo prędko.

– Wspominałeś Stephanie o swoich podejrzeniach?

Skinał głową.

– Pewnie, że tak, ale ona uganiała się ciągle za czymś nieuchwytnym. Tak między nami, nie wydawało mi się, by chciała tego słuchać. Dla mnie osobiście nie ma to znaczenia. To już nie mój interes – ulatniam się i kwita. Opuszczam to miejsce, nawiasem mówiąc.

– Odchodzisz ze szpitala?

– Ja myślę. Jeszcze miesiąc i zmykam na spokojne pastwiska. Potrzebuję czasu, jaki mi pozostał, żeby uporządkować własne sprawy. Będzie niezłe zamieszanie – mnóstwo wściekłych rodziców. Ostatnią rzeczą, jakiej bym sobie życzył, jest babranie się w rodzinnych sprawach Chucka Jonesa, kiedy i tak w niczym nie mogę pomóc.

– Dlatego, że to jego rodzina?

Potrząsnął głową.

– Fajnie byłoby powiedzieć tak, to dlatego, to asekuranctwo. Ale w gruncie rzeczy idzie o samą sprawę. Nawet gdyby była wnuczką kogoś innego, to i tak możemy tylko gadać na wiatr, bo nie mamy dowodów. Spójrz tylko na nas. Ty wiesz, co jest grane, ja wiem, co jest grane, Stephanie wiedziała, co jest grane, póki nie zapaliła się do hipoglikemii. Ale to, że wiemy nie ma znaczenia pod względem prawnym, zgadza się? Bo nie możemy nic zrobić. Tego nie cierpię w sprawach dotyczących maltretowania dzieci – ktoś oskarża rodziców, oni zaprzeczają, wychodzą albo żądają innego lekarza. A nawet gdybyś mógł udowodnić, co jest grane, czeka cię maglowanie przez prawników, wypełnianie papierków, lata w sądzie, szarganie w błocie twojego dobrego imienia. Tymczasem dziecko zdane jest na łaskę matki i ojca i nie można nawet doprowadzić do ograniczenia praw rodzicielskich.

– Wygląda na to, że miałeś złe doświadczenia?

– Moja żona jest pracownikiem opieki społecznej. Mają tyle roboty, że nawet spraw dzieci, którym połamano kości, nie uważa się już za priorytetowe. Ale wszędzie jest tak samo – miałem taki przypadek

w Teksasie, dzieciak z cukrzycą. Matka wstrzymywała się z podawaniem insuliny, to było prawdziwe piekło, utrzymać dzieciaka przy życiu. A ona była doskonałą pielęgniarką. Z bloku operacyjnego.

– A propos pielęgniarek – powiedziałem – co myślisz o pielęgniarce, która opiekuje się Cassie?

– A kto to taki? Ach, tak, Vicki. Myślę, że to kopnięte babsko, ale w zasadzie dobra w tym, co robi. – Obwisłe powieki uniosły się. – Ona? Cholera, nigdy o tym nie pomyślałem, ale to chyba nie trzyma się kupy, no nie? Aż do tego ostatniego ataku kłopoty zaczynały się w domu.

– Vicki odwiedzała ich w domu, choć tylko parę razy. Nie zdołałyby wywołać wszystkich tych dolegliwości.

– A poza tym, zawsze chodzi o matkę, prawda, przy Munchhausenie? A ta jest dziwna – przynajmniej dla takiego laika jak ja.

– Jak to?

– Nie wiem. Jest taka cholernie sympatyczna. Szczególnie biorąc pod uwagę nieudolność, z jaką usiłujemy postawić diagnozę jej dziecku. Ja na jej miejscu wkurzyłbym się, domagał zdecydowanych działań. A ona wciąż się uśmiecha. Za dużo się uśmiecha, jak na mój gust. „Dzień dobry, doktorze, jak się pan ma, doktorze?” Nigdy nie ufaj takim miłym uśmiechom, Al. Moja pierwsza żona była taka. Za tym szczerzeniem zębów zawsze coś się kryło pewnie potrafiłbyś wyjaśnić, jaka jest przyczyna, zgadza się?

– Doskonały świat – powiedziałem, wruszając ramionami.

Roześmiał się.

– Niezły jesteś.

– A jakie wrażenie zrobił na tobie ojciec? – zapytałem.

– Nigdy go nie spotkałem. A co? Też jest dziwny?

– Nie powiedziałbym „dziwny”. Po prostu nie tak wyobrażałbyś sobie syna Chucka Jonesa. Broda, kolczyk w uchu. Nie żywi chyba specjalnego sentymentu do szpitala.

– No cóż, przynajmniej ma coś wspólnego z ojcem... Jak dla mnie to przegrana sprawa, a zmęczyłem się już przegrywaniem. Dlatego odbiłem piłeczkę na twoje pole. A teraz mówisz mi, że nie wiesz, co robić. Niedobrze.

Chwycił młotek, podrzucił go, złapał i zaczął bębnić po stole.

– Czy hipoglikemia mogła być przyczyną wcześniejszych dolegliwości? zapytałem.

– Może biegunki. Ale dziecko miało też gorączkę, więc musiała być jakaś infekcja. Jeśli chodzi o zaburzenia oddechowe, to także prawdopodobne. Jak rozregulujesz metabolizm, wszystko jest możliwe.

Wziął swój stetoskop i spojrzał na zegarek.

– Mam robotę. Niektóre z tamtych dzieci przyjmuję dziś po raz ostatni.

Wstałem i podziękowałem mu.

– Za co? W niczym nie pomogłem.

Roześmiał się:

– Ja też tak się czuję, Al.

– Blues konsultanta. Znasz historię o kogucie, który miał zbyt wybujały temperament i napastował kury w kurniku? Zachodził je od tyłu, wskakiwał na nie i w ogóle robił zamieszanie? Więc farmer kazał go wykastrować i mianował konsultantem. Teraz siedzi sobie na płocie, obserwując i udzielając rad innym kogutom. Usiłując przypomnieć sobie, jak się wtedy czuł.

Znów się roześmiałem. Wyszliśmy z pokoju przyjęć i wróciliśmy do poczekalni. Pielęgniarka zbliżyła się do Macauleya i wręczyła mu bez słowa stertę kart. Odchodząc, wyglądała na zagniewaną.

– Tobie też życzę dobrego dnia, kochanie – powiedział i zwrócił się do mnie: – Jestem śmierzącym dezerterem. Następne parę tygodni będzie dla mnie karą.

Gdy dostrzegł panujące w poczekalni zamieszanie, jego psia twarz wydłużyła się.

– Czy spokojne pastwiska oznaczają prywatną praktykę?

– Praktykę grupową. W małym miasteczku w Kolorado, nie opodal Vail. Narty zimą, ryby latem, przez resztę roku trzeba wynaleźć sobie inne figle.

– Nie wygląda to najgorzej.

– Nie powinno. W grupie nie ma innego endokrynologa, więc może raz na jakiś czas będę miał okazję skorzystać ze swojej wiedzy.

– Jak długo jesteś w Western Peds?

– Dwa lata. Półtora roku za długo.

– Ze względów finansowych?

– Głównie, ale to nie wszystko. Przychodząc tu nie byłem Pollyanną, wiedziałem, że praca w miejskim szpitalu to ustawiczna walka, by związać koniec z końcem. To ich podejście działa mi na nerwy.

– Dziadzio Chuck?

– I jego chłopcy. Zarządzają tym szpitalem, jak zwykłym przedsiębiorstwem. Jeśli o nich chodzi, moglibyśmy produkować gadżety. To właśnie drażni – ich brak zrozumienia. Nawet Cyganie wiedzą, że źle się tu dzieje z nasz holliwoodzkich Cyganów.

– Pewnie – odparłem. Wielkie białe cadillaki, po dwunastu ludzi w wozie, obozowiska na klatkach schodowych, handel wymienny.

Wyszczrzył zęby w uśmiechu.

– Płacili mi jedzeniem, częściami zamiennymi do mojego MG, starą mandoliną. W gruncie rzeczy bardziej się to opłaca niż przy opłacaniu rachunków z funduszy państwowych. W każdym razie, jeden z moich cukrzyków jest Cyganem. Ma dziewięć lat, sukcesor linii królewskiej. Jego matka, przystojna, wykształcona kobieta, ma przed sobą ze sto lat życia. Zwykle przychodziła tutaj cała w uśmiechach, kadziła mi, powtarzając, że Bóg stworzył mnie na lekarza. Tym razem była wyciszona, jakby coś ją zaniepokoiło. Chodziło tylko o rutynową kontrolę – chłopak ma się dobrze, pod względem medycznym. Zapytałem ją więc, w czym rzecz, a ona odparła: „To miejsce, doktorze Al Złe fluidy”. Patrzyła na mnie, mrużąc oczy, niby jakaś wróżka sprzed domu towarowego. „Co pani ma na myśli”, zapytałem. Ale nie chciała wyjaśnić, dotknęła tylko mojej ręki i powiedziała: „Lubię pana, doktorze Al, i Anton też pana lubi. Ale nie będziemy tu już przychodzić. Złe fluidy”.

Podniósł karty i przerzucił je do jednej ręki.

– Co za śmiałość, prawda?

– Może powinniśmy zasięgnąć jej porady w sprawie Cassie? – zaproponowałem.

Uśmiechnął się. Napływali coraz to nowi pacjenci, choć nie było już dla nich miejsca. Kilku pozdrowiło Ala, a on odpowiadał mrugnięciem.

Raz jeszcze podziękowałem, że znalazł dla mnie czas.

– Szkoda, że nie będziemy mieli okazji pracować razem – powiedział.

– Powodzenia w Kolorado.

– Pewnie – powiedział. – Jeździsz na nartach?

– Nie.

– Ja też nie... Odwrócił się w stronę poczekalni, pokręcił głową. – Co za miejsce... Pierwotnie miałem

zostać chirurgiem, kroić i siekać. Ale kiedy byłem na drugim roku medycyny, przyplątała się cukrzyca. Żadnych dramatycznych symptomów, tylko nieznaczny spadek wagi, do którego nie przywiązywałem znaczenia, bo kiepsko się wtedy odżywiałem. Dostałem zapaści w trakcie ćwiczeń z anatomii, upadłem prosto na mego truposza. Było to tuż przed Bożym Narodzeniem. Wróciłem do domu, rodzina skwitowała sprawę, podsuwając mi bez słowa pieczoną szynkę, a ja skwitowałem to, zakasując nogawki, kładąc nogi na stół i odpychając ją na oczach wszystkich. W końcu doszedłem do wniosku, że czas zapomnieć o skalpelach i zacząć myśleć o ludziach. Właśnie potrzeba pracy z dziećmi i ich rodzinami przyciągnęła mnie do tego przybytku. Ale kiedy przyszedłem, zrozumiałem, że to już minęło. Rzeczywiście są tu złe fluidy. Ta cygańska dama wyczuła je w chwili, gdy przechodziła przez drzwi. Może zabrzmiało to wariacko, ale jej słowa, uświadomiły mi pewne rzeczy, które przeczuwałem już od pewnego czasu. Jasne, że w Kolorado będzie nudno – katar, kaszel i rumień pieluszkowy. A nie byłem tu na tyle długo, by zapracować na emeryturę, więc finansowo te dwa lata są stracone. Ale przynajmniej nie będę siedział na płocie. Kukurykuu.



## Rozdział piętnasty

Robin zadzwoniła o siódmej, by powiedzieć, że już jest w drodze. Pół godziny później stała przed moimi drzwiami. Włosy, ściągnięte z tyłu i zaplecione w warkocz, podkreślały rozkoszną linię kształtnego karku. Miała czarne kolczyki w kształcie kropli i opinającą biodra bawełnianą sukienkę w zimnym, różowym kolorze. W obu rękach trzymała torby chińskiego jedzenia na wynos.

Kiedy mieszkaliśmy razem, chińszczyzna była zapowiedzią obiadu w łóżku. W dawnych, dobrych czasach zaprowadziłbym ją do sypialni, Joe Szarmancki. Ale dwuletnia rozłąka i ciągle niepewne pojednanie osłabiły moje naturalne odruchy. Odebrałem od niej torby, postawiłem na stole w jadalni i pocałowałem ją lekko w usta.

Otoczyła mnie ramieniem, przyciągając moją głowę i oddała pocałunek.

Kiedy rozdzieliliśmy się dla zaczerpnięcia oddechu, zapytała: – Mam nadzieję, że nigdzie nie wyjdziemy?

– Prawie cały dzień byłem poza domem.

– Ja też. Odwoziłam stealthy do hotelu chłopców. Chcieli, żebym została zabawić się.

– Lepiej się znają na kobietach niż na muzyce.

Roześmiała się, pocałowała mnie znowu i odsunęła, dysząc przesadnie.

– Dość już hormonów – powiedziała. – Na wszystko przyjdzie czas. Podgrzeję to i urządzimy sobie domowy piknik.

Zabrała jedzenie do kuchni. Zostałem z tyłu, patrząc, jak się porusza. Przez wszystkie te lata nigdy nie miałem tego dosyć.

Sukienka była w stylu „dziewczyna z rodeo” – mnóstwo skórzanych frędzli i staroświecki koronkowy kołnierzyk. Robin miała wysokie do kolan buty, które stuknęły głośno o kuchenną podłogę. Jej warkocz kołysał się, kiedy szła. Reszta też, ale złapałem się na tym, że patrzę na warkocz. Był krótszy niż Cindy Jones i kasztanowy, a nie ciemnobrązowy, ale znów przypomniał mi o szpitalu.

Postawiła torby na blacie i już chciała coś powiedzieć, ale uświadomiła sobie, że nie poszedłem za nią. Obejrząwszy się przez ramię, zapytała:

– Coś nie tak, Alex?

– Nie – skłamałem. – Podziwiam tylko.

Jej dłoń pomknęła ku włosom, uświadomiłem sobie, że jest zdenerwowana.

– Wyglądasz wspaniale – powiedziałem.

Obdarzyła mnie uśmiechem, na którego widok ścisnęło mi się serce i wyciągnęła ramiona. Poszedłem do kuchni.

– Trudna sprawa – stwierdziła później, usiłując robić na drutach za pomocą pałeczek do jedzenia i owłosienia na mojej klatce piersiowej.

– Chodzi o to – odezwałem się – byś okazała swe oddanie, robiąc sweter dla mnie, a nie ze mnie.

Roześmiała się.

– Zimne moo-goo. Cóż za smakowity poczęstunek.

– W tym momencie wystarczyłby mokry piasek na grzance. – Poglądziłem ją po twarzy.

Przysunęła się bliżej, odkładając pałeczki na nocny stolik. Nasze wilgotne od potu boki zetknęły się, plaskając niczym mokry plastik. Jej dłoń niczym szybowiec, przemknęła nad moją pierśią, ledwo dotykając skóry. Podparłszy się ramieniem, Robin uderzyła nosem o mój nos, pocałowała mnie w brodę. Włosy miała ciągle zaplecione w warkocz. Kiedy kochaliśmy się, trzymałem go, przepuszczając gładki

splot między palcami, i puściłem, tracąc nad sobą kontrolę, z obawy by nim nie szarpnąć. Kilka wijących się pasemek wysunęło się i łaskotało mnie po twarzy. Odgarnąłem je i wtuliłem nos pod brodę Robin.

Uniosła głowę. Pomasowała jeszcze moją pierś, zatrzymała się, przyjrzała uważniej, i nawinąwszy na palec pojedynczy włos powiedziała:

– Hm.

– Co?

– Siwy – czyż to nie piękne?

– Czarujące.

– Naprawdę, Alex. Dojrzewasz.

– Co to takiego, nowomodny eufemizm?

– Prawda, doktorze. Czas to świnia, nie uznaje równości płci – kobiety starzeją się, mężczyźni „nabierają lat”. Nawet faceci, którzy w młodości nie byli wcale przystojni, przeżywają drugą młodość, o ile tylko nie opuszczą się zupełnie. Tacy jak ty, czarujący od początku, mogą stać się naprawdę fantastyczni.

Zacząłem dyszeć.

– Alex, mówię poważnie. Nabierzesz mądrego i surowego wyglądu – jak ktoś, kto zna życie.

– Mówią coś o kłamliwej reklamie.

Zlustrowała moje skronie, obracając delikatnie moją głowę silnymi palcami i przeczesując mi włosy.

– To idealne miejsce, żeby zacząć siwieć – powiedziała mentorskim tonem. – Najwyższy współczynnik klasy-i-mądrości. Hm, nic, nic jeszcze nie widzę, tylko ten maluch, na dole. – Znowu przecesała paznokciem włosy na mojej piersi. – Niedobrze, że jesteś ciągle nieopierzonym młodzikem.

– Hej, dzidziu, zabawmy się.

Opuściła głowę i zajrzała niżej, pod koc.

– No proszę – powiedziała – tam też dałoby się coś rzec o młodzieńczym nieopierzeniu.

Przeszliśmy do salonu, żeby posłuchać przyniesionych przez nią kaset. Nowy Warren Zevon rzucający zimne światło na ciemną stronę życia powieść w miniaturze. Teksaski geniusz Eric Johnson, autor kompozycji muzycznych na gitarę, które sprawiały, że miałem ochotę spalić swoje własne instrumenty. Lucinda Williams, młoda kobieta o pięknym zbolałym głosie i teksty jej piosenek płynące prosto z serca.

Robin siedziała mi na kolanach, skulona, z głową na mojej piersi, oddychając płytko.

Kiedy muzyka umilkła, zapytała:

– Wszystko w porządku?

– Jasne. A co?

– Wydajesz się trochę roztargniony.

– Przepraszam, nie chciałem – odparłem, zastanawiając się, jak się tego domyśliła.

Wyprostowała się i rozpuściła warkocz. Zaczęła rozdzielać splątane pasma. Wzburzyła je, przywracając im naturalną falistość, i zapytała:

– Jest coś, o czym chciałbyś pomówić?

– To naprawdę nic takiego – odparłem. – Tylko praca – ciężki przypadek. Chyba za bardzo się tym przejmuję.

Spodziewałem się, że ta odpowiedź ją zadowoli, ale zapytała z odrobiną żalu w głosie:

– Poufne, prawda?

– Względnie poufne – odparłem. – Jestem konsultantem, a ta sprawa może znaleźć finał w sądzie.

– Ach, to taka sprawa.

Dotknęła mojej twarzy. Czekala.

Opowiedziałem jej historię Cassie Jones, pomijając nazwiska i szczegóły, pozwalające ustalić, o kogo chodzi.

Kiedy skończyłem, zapytała:

– I nic nie można z tym zrobić?

– Jestem otwarty na propozycje – stwierdziłem. – Poprosiłem Mila o sprawdzenie przeszłości rodziców i pielęgniarki, i staram się ich wszystkich zrozumieć. Rzecz w tym, że nie ma śladu prawdziwych dowodów, tylko wnioski wynikające z logicznego rozumowania, a to w sądzie na niewiele się przyda. Jak dotąd podejrzenia budzi jedynie twierdzenie matki, że będąc w wojsku, padła ofiarą epidemii grypy. Udało mi się dowiedzieć, dzwoniąc do bazy, że nie było żadnej epidemii.

– Dlaczego miałyby kłamać w takiej sprawie?

– Może prawdziwą przyczyną zwolnienia jest coś, co chciałyby zataić. Albo, jeżeli to munchhausenowski typ osobowości, po prostu lubi kłamać.

– Obrzydliwe – powiedziała. – Robić takie rzeczy własnemu dziecku. Jakimukolwiek dziecku... A jak się czujesz z powrotem w szpitalu?

– Prawdę mówiąc jestem przygnębiony. Jakbym spotkał starego przyjaciela, który się stoczył. To teraz ponure miejsce, Rob. Niskie morale, dopływ gotówki słabszy niż zwykle, wielu ludzi odeszło – pamiętasz Raoula Melendez-Lyncha?

– Specjalistę od raka?

– Aha. Szpital był dla niego domem. Obserwowałem go – kryzys za kryzysem, a on chodził jak zegarek. Nawet on odszedł – przyjął propozycję pracy na Florydzie. Wygląda na to, że wszyscy starsi lekarze odeszli. Spotygam na korytarzach same nowe twarze. I młode. A może po prostu się starzeję.

– Dojrzewam – poprawiła. – Powtórz za mną: doj-rze-wam.

– Sądziłem, że jestem nieopierzony.

– Dojrzały i nieopierzony. To sekret twojego uroku.

– A na domiar złego, przestępczość uliczna coraz bardziej daje się we znaki. Pielęgniarki pobite i obrabowane... Parę dni temu było morderstwo na jednym z parkingów. Lekarz.

– Wiem. Słyszałam o tym w radiu. Nie wiedziałam, że znów tam pracujesz, bo bym chyba oszalała.

– Byłem tam tego wieczoru, kiedy to się wydarzyło.

Jej palce zacisnęły się na mojej dłoni, potem rozluźniły.

– Cóż, to pocieszające... Tylko bądź ostrożny, dobrze? A zresztą, czy fakt, że to mówię coś zmienia?

– Zmienia. Przrzekam.

Westchnęła i oparła mi głowę na ramieniu. Siedzieliśmy tak bez słowa.

– Będę ostrożny – powiedziałem. – Naprawdę. Faceci w moim wieku nie mogą sobie pozwolić na lekkomyślność.

– W porządku – rzekła. Chwilę potem dodała: – Więc dlatego jesteś przygnębiony. Myślałam, że to przeze mnie.

– Przez ciebie? Dlaczego?

Wzruszyła ramionami.

– Wszystkie te zmiany – tyle się wydarzyło.

– Nieprawda – powiedziałem. – Jesteś jasnym punktem w moim życiu.

Przysunęła się i oparła dłoń na mojej piersi.

– Jak to powiedziałaś – że szpital jest ponurym miejscem? Szpitale zawsze robiły na mnie takie wrażenie.

– Western Peds był inny, Rob. Był taki... tętnił życiem. Wszystko chodziło jak w zegarku, niczym w cudownej maszynie ludzkiego organizmu.

– Na pewno tak było, Alex – powiedziała cicho. – Ale kiedy pakują cię tam na dobre, wtedy choćby nie wiem jak tętnił życiem i zapewniał najlepszą opiekę, zawsze staje się przybytkiem śmierci, prawda? Gdy słyszę słowo szpital, przypomina mi się mój tata. Jak leży tam, podziurawiony, oplatany rurkami i bezradny. Mama woła pielęgniarkę za każdym razem, kiedy ojciec jęknie, nikt się tym tak naprawdę nie przejmuje... Fakt, że u was leczy się dzieci, pogarsza tylko sprawę, jeśli o mnie chodzi. Bo cóż może być gorszego, niż cierpiące dzieci? Nigdy nie rozumiałam, jak mogłeś pracować tam tak długo.

– Człowiek zamyka się w skorupie – wyjaśniłem. – Rób swoje i pozwalaj sobie na tylko tyle emocji, byś mógł pomagać pacjentom. Jak w tej starej reklamie pasty do zębów. Niewidzialna tarcza.

– Może właśnie to tak naprawdę ci doskwiera; wracasz po tylu latach, ale już bez tarczy.

– Prawdopodobnie masz rację. – Ponuro to zabrzmiało.

– Prawdziwy ze mnie psychoanalityk – powiedziała.

– Nie, nie. Dobrze o tym porozmawiać.

Przytuliła się do mnie.

– Cudownie, że tak uważasz, niezależnie od tego, czy to prawda, czy nie. I cieszę się, że powiedziałeś mi, co ci leży na sercu. Nigdy nie mówiłeś wiele o swojej pracy. Kilka razy próbowałam sama zacząć, ale zmieniałeś temat, więc wiedziałam, że nie odpowiada ci to i nie nalegałam. Rozumiem, że częściowo były to sprawy poufne, ale naprawdę Alex, nie byłam żadna krwawych szczegółów. Pragnęłam tylko wiedzieć, czym się zajmujesz, żeby móc cię wspierać. Sądzę, że chciałeś mi tego oszczędzić.

– Możliwe, że tak – powiedziałem. – Ale prawdę mówiąc, nigdy nie podejrzewałem, że chcesz tego słuchać.

– A to dlaczego?

– Zawsze wydawałaś się bardziej zainteresowana – jak by to powiedzieć – kątaniami i płaszczyznami.

Uśmiechnęła się lekko.

– Tak, masz rację. Nigdy nie byłam uczuciowcem. Jedyna rzecz, co do której nie byłam pewna, czy mi się w tobie podoba, kiedy się spotkaliśmy, to twój zawód. Wcale nie przeszkadzało mi to uganiać się za tobą bezwstydnie, ale dziwiłam się – że pociąga mnie psychoterapeuta. Nie miałam zielonego pojęcia o psychologii, nie miałam nawet z tego wykładów w college'u. Pewnie z powodu taty. Zawsze wygłaszał złośliwe komentarze o kopniętych psychiatrach i szurniętych lekarzach. Powtarzał, że nie można ufać człowiekowi, który nie pracuje własnymi rękami. Ale kiedy poznałam ciebie i zobaczyłam, jak poważnie traktujesz to, co robisz, zmiękłam. Usiłowałam się czegoś nauczyć – przeczytałam nawet kilka twoich książek psychologicznych. Wiedziałeś o tym?

Potrząsnąłem głową.

Uśmiechnęła się.

– W nocy, w bibliotece. Wymykałam się, kiedy ty spałeś, a ja nie mogłam. „Schematy wzmocnienia”. „Teoria poznania”. Całkiem dziwne rzeczy dla kogoś, kto dłubie w drewnie.

– Nie wiedziałem o tym – powiedziałem zdziwiony.

Wzruszyła ramionami.

– Byłam... zakłopotana. Doprawdy nie wiem, dlaczego. Nie miałam zamiaru zostać ekspertem czy coś takiego. Chciałam się do ciebie zbliżyć. Na pewno nie dość jasno dawałam to do zrozumienia... nie

dość życzliwie. To znaczy, mam nadzieję, że możemy robić tak dalej. Trochę bardziej otwierać się przed sobą.

– Pewnie, że możemy – odparłem. – Nigdy nie sądziłem, że nie jesteś mi życzliwa, tylko...

– Zaabsorbowana? Pochłonięta sobą?

Spojrzała na mnie, obdarzając kolejnym rozbrajającym uśmiechem. Duże, białe górne siekacze. Lubiłem gładzić je językiem.

– Maksymalnie skupiona – odrzekłem. – Jesteś typem twórczym. Potrzebujesz intensywnej koncentracji.

– Maksymalnie skupiona, co?

– Stanowczo.

Roześmiała się.

– Zdecydowanie działamy na siebie wzajemnie, doktorze Delaware. To pewnie chemia – feromony czy jak tam.

– W samej rzeczy. W samej rzeczy.

Oparła mi głowę na piersi. Gładziłem ją po włosach, myśląc o tym, jak chodziła do biblioteki czytać moje książki.

– Spróbujemy jeszcze raz? – zapytałem. – Wrócisz do mnie?

Zesztywniała cała.

– Tak – odrzekła. – O Boże, tak.

Wyprostowała się, ujęła dłońmi moją twarz i pocałowała. Wgramoliła się na mnie, dosiadając okrakiem i ściskając dłońmi moje barki.

Przesunąłem rękoma po jej plecach, ująłem jej biodra i uniosłem się ku niej. Połączywszy się raz jeszcze, kołysaliśmy się, milczący i skupieni.

Potem położyła się na plecach, zdyszana. Ja też oddychałem z trudem, więc upłynęła spora chwila, nim się uspokoilem.

Przekręciłem się na bok, obejmując ją. Przycisnęła brzuch do mego, przylgnęła do mnie cała.

Pozostaliśmy tak razem przez dłuższą chwilę. Kiedy zaczęła się wiercić, jak to zwykle czyniła, chcąc się odsunąć, nie puściłem jej.

## Rozdział szesnasty

Została na noc, a rano, jak zwykle, wstała wcześniej.

Niezwykłe natomiast było to, że zabawiła jeszcze przez godzinę, popijając kawę i czytając gazetę. Siedziała obok mnie przy stole, z ręką na moim kolanie, przeglądając dział artystyczny, gdy ja przebiegałem wzrokiem wiadomości sportowe. Potem wyszliśmy nad staw i rzucaliśmy rybkom pokarm. Upały zapanowały wcześniej tej wiosny, przewyciężając wpływ prądów oceanicznych, i w powietrzu czuło się nadchodzące lato.

Była sobota, ale miałem ochotę popracować.

Robin stała tuż obok mnie. Tuliliśmy się do siebie, ale zaczęła już zdradzać oznaki niepokoju: skurcze mięśni, nerwowe spojrzenia, drobne przerwy w rozmowie, które mógł dostrzec tylko kochanek lub paranoik.

– Czeka cię pracowity dzień?

– Muszę tylko nadrobić trochę zaległości. A ty?

– Tak samo. Mam zamiar wpaść w ciągu dnia do szpitala.

Skinęła głową, otoczyła mnie w pasie ramionami. Wróciliśmy, objęci, z powrotem do domu. Wzięła torebkę i wyszliśmy do otwartego garażu.

Obok seville'a stał zaparkowany nowy samochód. Niebieski chevy pickup z białym pasem rajdowym wzdłuż boku. Tymczasowa nalepka rejestracyjna nowego samochodu na przedniej szybie.

– Ładny – orzekłem. – Kiedy go kupiłaś? – zapytałem.

– Wczoraj. Toyota miała poważne kłopoty z silnikiem, koszt naprawy oceniono na jeden do dwóch tysięcy, więc pomyślałam, że poradzę sobie sama.

Odprowadziłem ją do wozu.

– Tacie by się spodobał – powiedziała. – Uznawał zawsze tylko chevrolety – innych prawie nie używał. Prowadząc inny wóz często miałam wrażenie, że zagląda mi przez ramię, robi gniewne miny i opowiada o Iwo-jimie.

Wsiadła, położyła torebkę na siedzeniu obok i wystawiła przez okno twarz do pocałunku.

– Mniam – rzekła. – Powtórzmy to wkrótce, ślicznotko. Jak ci na imię? Felix? Ajax?

– Pan Przystojniak.

– Jako żywo – odparła, odjeżdżając ze śmiechem.

Wezwałem przez pager Stephanie, odezwała się telefonistka, mówiąc, że doktor Eves oddzwoni do mnie. Odłożyłem słuchawkę, wyjąłem plan miasta, żeby ustalić położenie domu Dawn Herbert przy Lindblade Street. Właśnie go zlokalizowałem, gdy zadzwonił telefon.

– Steph?

– Nie, Milo. Przeszkadzam w czymś?

– Czekałam na telefon ze szpitala.

– I oczywiście nie masz automatu pozwalającego drugiemu dzwoniącemu włączyć się w rozmowę prowadzoną z pierwszym?

– Oczywiście.

Milo wydał z siebie długie, końskie parsknięcie, które telefon wzmocnił niemal do grzmotu.

– A zmieniłeś już swoje lampy gazowe na magiczne druciki doktora Edisona?

– Gdyby Bóg pragnął stworzyć człowieka jako istotę elektryczną, wyposażyłby go w baterie.

Parsknął śmiechem.

– Jestem w Center. Zadzwoń do mnie, jak tylko skończysz ze Steph.  
Wyłączył się. Jeszcze dziesięć minut czekałem na telefon od Stephanie.

– Dzień dobry, Alex – powiedziała. – Co się dzieje?  
– Właśnie o to chciałem cię zapytać.  
– Nic nowego. Widziałam ją godzinę temu – odparła. – Lepiej się czuje przytomna, rześka i wrzeszczy na mój widok.  
– A najświeższe wieści na temat hipoglikemii?  
– Spece od metabolizmu mówią, że nie ma żadnych zaburzeń przemiany materii, przebadali jej trzustkę na wszelkie sposoby – czysta jak łąka – a mój szwedzki kolega i wszyscy inni wrócili do Munchhausena. Więc chyba ja też muszę się dostosować.  
– Jak długo zamierzasz ją zatrzymać?  
– Dwa albo trzy dni, a potem z powrotem do domu, jeżeli nic nowego się nie wydarzy. Wiem, że niebezpiecznie ją wypuszczać, ale co mogę zrobić, zmienić szpital w dom zastępczy dla niej? Chyba że masz jakieś sugestie.  
– Na razie żadnych.  
– Wiesz – powiedziała – naprawdę zagalopowałam się z tym cukrem. Myśląc, że to prawda.  
– Nie rób sobie wyrzutów. To wariacki przypadek. Jak Cindy i Chip znoszą przeciągającą się niepewność?  
– Widziałam tylko Cindy. Zwykła spokojna rezygnacja.  
Przypomniawszy sobie uwagę Macauleya, zapytałem:  
– Uśmiechy?  
– Uśmiechy? Nie. Ach, masz na myśli te szerokie uśmiechy, którymi nas czasami obdarza? Nie. Nie dziś rano. Alex, jestem tym piekielnie zmartwiona. Na co skazuję Cassie, wypisując ją ze szpitala?  
Nie posiadając balsamu, ofiarowałem plaster.  
– Przynajmniej zwolnienie jej da mi szansę złożenia wizyty domowej.  
– Może będąc tam powęszyłbyś trochę, szukając jakichś świeżych śladów?  
– Takich jak?  
– Igły w szufladach biurka, ampułki insuliny w lodówce. Żartuję – nie, właściwie nie całkiem żartuję. Aż tak blisko jestem konfrontacji z Cindy, niech się dzieje, co chce. Mogę do tego doprowadzić, gdyby dziewczynka jeszcze raz zachorowała, a jeśli wściekną się i pójda gdzie indziej, będę przynajmniej wiedzieć, że zrobiłam wszystko, co było w mojej mocy. – Oo, ktoś mnie wzywa. – Neonatologia, to pewnie jeden z moich wcześniaków. Muszę iść, Alex. Zadzwoń, jeśli dowiesz się czegoś, dobrze?  
Oddzwoniłem do Mila.  
– Robocze weekendy?  
– Ubiłem interes z Charliem. Soboty w zamian za pewien luz dla moich fuch. Co tam u starej Steph?  
– Odeszła od choroby somatycznej, wróciła do Munchhausena. Nikt nie potrafi znaleźć organicznej przyczyny hipoglikemii.  
– Niedobrze – powiedział. – Tymczasem dostałem poufne dane o Reggie Bottomley, złej latorośli twojej pielęgniarki. Facet nie żyje już od paru lat. Nie wiedzieć dlaczego jego nazwiska nie usunięto z rejestrów. Samobójstwo.  
– Tak.  
– Poszedł do łazienki, rozebrał się, siadł na klozecie, zapalił cracka, zbranzłował się i rozkwaśił sobie łeb strzałem z pistoletu. Paskudna sprawa. Detektyw z Tujunga – dziewczyna o nazwisku Dunn –

twierdzi, że kiedy to się stało, Vicki była w domu, oglądała telewizję w pokoju obok.

– Jezu.

– Taak. Mieli właśnie jakąś sprzeczkę na temat rozwiązłego trybu życia Reggiego. Reggie wycofał się, zabrał z szuflady swoje „zabawki” i broń, zaryglował w kłopot i bubum. Mama usłyszała strzał, nie mogła otworzyć drzwi, spróbowała tasakiem, też jej się nie udało. Sanitariusze zastali ją, jak siedziała na podłodze płacząc i krzycząc, żeby zechciał wyjść i porozmawiać. Wyważyli drzwi, a kiedy zobaczyli, jak chłopak wygląda, starali się jej nie dopuścić. Ale zdążyła rzucić okiem. To tłumaczyłoby jej kwaśny humor.

– O rany – powiedziałem. – Co za przejście. Czy jakieś konflikty w rodzinie mogły przyczynić się do samobójstwa?

– Dunn mówiła, że nie ma doniesień o znęcaniu się nad dzieckiem widziała to zasadniczo w kategoriach: dobra matka i fatalny syn. Zatrzymywała go wiele razy, znała dobrze.

– A ojciec?

– Zmarł, kiedy Reggie był mały. Ostro pił, jak sam mówiłeś. Reggie wpadł w tarapaty już od samego początku, palił narkotyki i piął się po drabinie środków farmakologicznych. Dunn określiła go jako małego, chudego przygłupa. Niezbyt inteligentny, przyswajał sobie wszystko, co najgorsze, nie potrafił utrzymać pracy. Jako przestępca też nieudolny – wpadał za każdym razem, ale wyglądał tak żałośnie, że sędziowie traktowali go zwykle ulgowo. Nie stosował przemocy prawie aż do końca – dostał wyrok za napad. A i to raczej drobna sprawa – bójka w barze, potraktował łeb jakiegoś innego palanta kijem bilardowym. Dunn mówiła, że słabł coraz bardziej z powodu narkotyków, było tylko kwestią czasu, kiedy skończy jako przedwcześnie muerto. Według niej matka miała świętą cierpliwość, robiła, co mogła. Koniec opowieści. Mówi ci to coś o Vicki jako ewentualnej podejrzanej?

– Właściwie nie. W każdym razie dzięki.

– Jaki będzie twój następny krok?

– Sądzę, że z braku czegoś lepszego, wizyta u Dawn Herbert. Rozmawiałem wczoraj z żoną Ashmore’a, mówiła, że zatrudniał doktorantów z uniwersytetu. Więc może Herbert jest dość wykształcona, żeby rozumieć, czego Ashmore szukał w karcie Chada.

– Z żoną Ashmore’a? Coś ty zrobił, złożyłeś wizytę kondolencyjną?

– Owszem. Sympatyczna dama. Z tego Ashmore’a był całkiem ciekawy gość. – Opowiedziałem mu o ich pobycie w Sudanie, systemach gry i inwestycjach.

– Dwadzieścia jeden, co? Musiał być dobry.

– Żona twierdzi, że był geniuszem matematycznym – komputerowy czarownik. Do tego brązowy pas kilku sztuk walki. Niezbyt łatwe zadanie dla rabusia.

– Nie? Wiem, że sporo się tym zajmowałeś i nigdy nie chciałem pozbawiać cię złudzeń, ale widziałem już wielu takich sztukmistrzów z przywieszką na palcu u nogi. Jedna rzecz to dojo, gdzie kłaniasz się, skaczesz i wrzeszczysz, jakby ci kto szpilkę od kapelusza w tyłek wsadził. Ale na ulicy tu już zupełnie inna historia. Nawiasem mówiąc, dowadywałem się o zabójstwo Ashmore’a w komendzie hollywoodzkiej, twierdzą, że szansę na wyjaśnienie są niewielkie. Lepiej, żeby wdowa nie pokładała zbyt wielu nadziei w tym, że sprawiedliwości stanie się zadość.

– Wdowa jest ciągle zbyt oszołomiona, żeby mieć nadzieję.

– Taak...

– Co?

– No cóż – powiedział. – Wiele myślałem o twojej sprawie – o psychologii tego całego



Munchhausena – i mam wrażenie, że zapomnieliśmy o jednym potencjalnym podejrzanym.

– O kim?

– O twojej kumpelce Steph.

– Stephanie? Dlaczego?

– Kobieta, wykształcenie medyczne, lubi poddawać próbom autorytety, chce być w centrum wydarzeń.

– Nigdy nie uważałem, żeby pragnęła zwracać na siebie uwagę.

– A czyż nie mówiłeś mi, że w dawnych czasach była wielkim radykałem, przewodniczącą związku stażystów lekarskich?

– Pewnie, ale wydawała się szczerą. Idealistyczna.

– Być może. Ale spójrz na to w ten sposób: w związku z opieką nad Cassie znalazła się w samym centrum wydarzeń, a im bardziej dziecko jest chore, tym bardziej błyszczy Stephanie. Odgrywa wybawczynię, wielką bohaterkę, pędzi na ostry dyżur, bierze na siebie odpowiedzialność. Fakt, że Cassie jest wnuczką grubej ryby, dodaje jeszcze smaczku, z tego punktu widzenia. A te jej nagłe zwroty dziś Munchhausen, jutro choroba trzustki, potem z powrotem Munchhausen. Nie ma w tym czegoś historycznego! Twój przeklęty walc?

Przełknąłem to wszystko.

– Może jest jakaś przyczyna tego, że dzieciak dostaje świra, kiedy ją widzi, Alex?

– Ale te same argumenty, które przemawiają na korzyść Vicki, stosują się i do niej – odparłem. – Aż do tego ostatniego ataku wszystkie kłopoty Cassie zaczynały się w domu. W jaki sposób Stephanie mogłaby być w to zamieszana?

– Czy ona odwiedzała ich kiedyś w domu?

– Dawno – raz czy dwa, żeby zainstalować monitor snu.

– Dobra, a co powiesz na to? Pierwsze dolegliwości dziecka były rzeczywiste – krup czy co tam jeszcze. Steph przyjęła ich, wtedy poczuła, że być lekarzem wnuczki prezesa rady nadzorczej to jest coś. Wspaniała kariera sam mówiłeś, że zamierza zostać ordynatorem oddziału.

– Gdyby to było jej celem, wyleczenie Cassie stawiałoby ją w o wiele lepszym świetle.

– Rodzice nie zrezygnowali jeszcze z jej usług, prawda?

– Nie. Uważają, że jest świetna.

– A widzisz. Uzależnia ich od siebie i coś tam kombinuje przy Cassie panu Bogu świeczkę i diabłu ogarek. Sam mi powiedziałeś, że mała zaczyna chorować tuż po wizytach u niej. A jeśli to dlatego, że Stephanie coś jej robi – podaje jakieś środki farmakologiczne w czasie badania i odsyła do domu niczym medyczną bombę zegarową?

– Cóż mogłaby zrobić, mając Cindy w pokoju przyjąć?

– Skąd wiesz, że ona tam była?

– Bo nigdy nie zostawia Cassie samej. A niektóre z tych wizyt były u innych lekarzy – u specjalistów, nie u Stephanie.

– A wiesz na pewno, że Stephanie nie widziała dziecka tego samego dnia co specjaliści?

– Nie. Sądzę, że mógłbym sprawdzić w karcie pacjenta.

– Jeśli to odnotowała. Mogła jakoś sprytnie przeprowadzić coś takiego zajrzeć dziecku do gardła i jednocześnie posmarować czymś spód języka. Tak czy inaczej, warto to przemyśleć, no nie?

– Pani doktor wysyła dziecko do domu z czymś więcej niż lizak? To wręcz nieprzyzwoite.

– Bardziej niż matka zatruwająca własną córkę? Inna rzecz, która przychodzi do głowy jako

potencjalny motyw, to zemsta: nienawidzi dziadka za to, co wyprawia w szpitalu, więc mści się na Cassie.

– Wygląda na to, że wiele rozmyślałeś.

– Widzę wszystko w czarnych barwach, Alex. Za to mi płacili. Prawdę mówiąc, pobudziła mnie do tego rozmowa z Rickiem. Słyszał o Munchhausenie – dotyczącym dorosłych. Twierdzi, że spotykał pielęgniarki i lekarzy o takich skłonnościach. Nieprzypadkowe pomyłki w dozowaniu leków, bohaterzy pędzący, by uratować sytuację – niczym strażacy-piromani.

– Chip opowiadał o tym – powiedziałem. – Pomyłki lekarzy, złe wyliczone dawki. Może podświadomie wyczuwa coś podejrzanego u Stephanie... Więc dlaczego mnie wezwała? Żeby igrać ze mną? Nigdy tak ściśle nie współpracowaliśmy. Nie mogę aż tyle dla niej znaczyć, psychologicznie rzecz biorąc.

– Wezwanie ciebie dowodzi, że sumiennie wykonuje swoje obowiązki. A ty masz opinię łebskiego faceta – to dla niej prawdziwe wyzwanie, jeśli jest Munchie. Nadto trzyma z daleka wszystkich innych psychoterapeutów.

– To prawda, ale sam nie wiem... Stephanie?

– Nie ma potrzeby wałkować tego bez końca – to tylko teoria. Mogę ci ich natworzyć, ile zechcesz.

– Mdło mi się od tego robi, ale zacznę przyglądać się jej baczniej. Chyba powinienem uważać, co jej mówię, przestać myśleć w kategoriach pracy zespołowej.

– Czyż nie jest tak zawsze? Samotny facet kroczący własną drogą.

– Taa... A na razie, skoro mnożymy hipotezy, co powiesz na następującą: nie możemy ruszyć z miejsca, bo ograniczamy się do teorii jednego łajdaka. A jeśli mamy do czynienia z jakąś zmwą?

– Kto?

– Nasuwają się przede wszystkim Cindy i Chip. Typowy mąż z Munchhausenem to osoba bierna, o słabej woli. Co zupełnie nie pasuje do Chipa. To rzeczowy facet, bystry, uparty. Więc jeśli żona maltretuje Cassie, dlaczego nie jest tego świadomy? Ale mogą to też być Cindy i Vicki...

– Co? Jakaś romantyczna przygoda?

– Albo tylko wypaczona relacja matka-córka. Cindy odnajduje w Vicki swoją zmarłą ciotkę – też twarda pielęgniarka. A Vicki, poniosłszy klęskę w wychowaniu własnego dziecka, gotowa jest traktować Cindy jako córkę. Ich patologiczne skłonności mogą się jakoś dziwacznie uzupełniać. Do licha, a może robią to Cindy i Stephanie. I może to jest coś romantycznego. Nic nie wiem o prywatnym życiu Stephanie. W dawnych czasach wyglądało na to, że w ogóle go nie ma.

– Skoro już idziemy na całego, to może tata i Stephanie?

– Jasne – odparłem. – Tata i lekarz, tata i pielęgniarka – Vicki wyraźnie nadskakuje Chipowi. Pielęgniarka i lekarz, et cetera. Adnauseum. E pluribus unum. Miło, a może to oni wszyscy. Munchhausen zbiorowy – pediatryczny Orient Express. Może połowa tego cholernego świata to psychopaci?

– Zbyt ostrożny szacunek – odparł.

– Prawdopodobnie.

– Przydałby ci się urlop, doktorku.

– Niemożliwe – powiedziałem. – Zbyt wielu psychopatów, zbyt mało czasu. Dzięki za przypomnienie.

Roześmiał się.

– Miło uprzyjemnić ci dzień. Chciałbyś, żebym poszukał w rejestrach Stephanie?

– Pewnie. A skoro już zaczniesz wciskać klawisze, to może i Ashmore'a? Umarłych nie pozwą do sądu.

– Zrobione. Ktoś jeszcze? Korzystaj z mego dobrego humoru i komputera Wydziału Policji Los Angeles.

– To może ja?

– To już zrobiłem – odparł. – Przed laty, kiedy sądziłem, że możemy zostać przyjaciółmi.

Odbyłem przejażdżkę do Culver City, żywiąc nadzieję, że Dawn Herbert spędza sobotni poranek w domu. W Oberland minąłem miejsce, gdzie stał niegdyś tandetny blok, w którym mieszkałem za czasów studiów i stażu szpitalnego. Warsztat samochodowy obok był tam, gdzie przedtem, ale mój budynek wyburzono i zrobiono na jego miejscu parking dla używanych samochodów.

Przy Washington Boulevard pojechałem na zachód do Sepulveda, potem na południe, aż do pierwszego skrzyżowania za Culver. Skręciłem w lewo przy sklepie z rybami tropikalnymi, którego okna pokrywał rysunek raf koralowych, wyjeżdżając w boczną uliczkę, by odszukać adres, który Milo wydobyl z rejestrów wydziału komunikacji.

Lindblade upchane było pudełkowatymi, parterowymi bungalowami o wielospadowych dachach i trawnikach tylko na tyle dużych, by można na nich zagrać w klasy. Hojnie szafowano farbą: kolorem miesiąca był maślano-żółty. Wielkie chińskie wiązy ocieniały ulicę. Większość domków była schludnie utrzymana, choć ogródki – tuje, wysmukłą krzewy różane i inne rośliny – wydawały się rozplanowane dość przypadkowo.

Okazało się, że dom, w którym mieszka Dawn Herbert, to bladoniebieskie pudełko na drugiej od skrzyżowania parceli. Na podjeździe stał stary, ciemnobrązowy mikrobus volkswagena. Dolną krawędź tylnej szyby oblepiały kalkomanie z podróży. Brązowa farba była ciemna niczym kakao w proszku.

Mężczyzna i kobieta pracowali w ogródku przed domem. Towarzyszyły im dwa psy: wielki golden retriever i mały czarny kundelek z pretensjami do spaniela.

Oboje mogli mieć około czterdziestki. Ich bladą skórę pracowników biurowych zdobiły czerwone plamy świeżej opalenizny na barkach i ramionach. Mieli jasnobrązowe włosy sięgające niżej ramion i okulary bez oprawek. Ubrani byli w kamizelki, szorty i gumowe sandały.

Mężczyzna stał z nożycami w ręku przy krzewie hortensji. Ścięte kwiaty piętrzyły się u jego stóp niczym różowe runo. Był chudy i żyłasty. Jego rozszerzone u dołu bokobrody sięgały podbródka. Skórzane szelki podtrzymywały szorty. Na głowie miał ozdobioną paciorkami przepaskę.

Kobieta była bez stanika, a kiedy pełła, schylona na kolanach, jej piersi o widocznych brązowych sutkach sięgały niemal trawnika. Wydawała się tak samo wysoka, jak mężczyzna – pięć stóp i dziewięć, może dziesięć cali – ale cięższa o dobre trzydzieści funtów, rozmieszczone głównie na piersiach i udach. Odpowiadałoby to wzrostowi i wadze Dawn Herbert z prawa jazdy, ale była co najmniej dziesięć lat za stara niż ktoś urodzony w 1963.

Podjechawszy bliżej, odniosłem niejasne wrażenie, że oboje wydają mi się znajomi. Ale nie mogłem dojść dłużej.

Zatrzymałem wóz i wyłączyłem silnik. Żadne z nich nie podniosło wzroku. Mniejszy pies zaciął ujadać, mężczyzna rzucił mu: „Leżeć, Homer” nie przerywając strzyżenia.

Wywołało to istną eksplozję jazgotu. Podczas gdy kundelek testował, wytrzeszczając oczy, granice możliwości swoich strun głosowych, retriever przyglądał mu się ubawiony. Kobieta przerwała pielenie, szukając źródła tej irytacji. Znalazłszy, utkwiała we mnie spojrzenie. Wsiadłem z wozu. Kundelek dotrzymał pola, ale przybrał postawę pełną uległości, z głową przy ziemi.

– Cześć, mały – rzekłem i pogłaskałem go. Mężczyzna opuścił nożyce. Cała czwórka wpatrywała się teraz we mnie.

– Dzień dobry – powiedziałem.

Kobieta podniosła się. Jak na Dawn Herbert była także zbyt wysoka. Jej pulchna, rumiana twarz pasowała do wiejskiej stodoły.

– Czym mogę służyć? – zapytała. – Miała melodyjny głos i pewien byłem, że już go gdzieś słyszałem. Ale gdzie?

– Szukam Dawn Herbert.

Spojrzenie, jakie wymienili sprawiło, że poczułem się jak gliniarz.

– Ach tak? – odezwał się mężczyzna. – Już tu nie mieszka.

– Nie wiecie państwo, gdzie mieszka?

Znów spojrzeli po sobie. Raczej bojaźliwie niż ostrożnie.

– To nic złego – wyjaśniłem. – Jestem lekarzem, z Western Pediatric Hospital – w Hollywood. Dawn pracowała tam i może posiadać informacje o jednym z pacjentów. Podano mi tylko ten adres.

Kobieta podeszła do mężczyzny. Wyglądało to na odruch samoobrony, ale nie było jasne, kto kogo chroni.

Mężczyzna strzepnął wolną ręką płatki z szortów. Koścista szczeka była mocno zaciśnięta. Słońce dosięgło też jego nosa, którego czubek się zaczerwienił.

– Przyjechał pan taki kawał drogi tylko po informacje? – zapytał.

– To skomplikowane – zacząłem, chcąc zyskać na czasie, by sklecić jakąś wiarygodną historię. – To ważny przypadek – idzie o życie małego dziecka. Dawn pożyczyla ze szpitala jego kartę choroby i nie oddała jej. Normalnie poszedłbym do jej szefa. Lekarza nazwiskiem Ashmore. Ale on nie żyje. Napadnięto go parę dni temu na szpitalnym parkingu – może słyszeli państwo o tym.

Ich twarze przybrały nowy wyraz. Strach i zakłopotanie. Wiadomości wyraźnie ich zaskoczyły i nie wiedzieli, jak zareagować. Wreszcie zdecydowali się na podejrzliwość, patrzyli na mnie, trzymając się za ręce.

Retrieverowi nie spodobała się napięta atmosfera. Obejrzał się na swoich państwa i począł skomleć.

– Jethro – rzuciła kobieta i pies umilkł. Czarny kundel postawił uszy i warknął.

– Spokój, Homer – powiedziała śpiewnym głosem, prawie nucać.

– Homer i Jethro – powtórzyłem. – Czy sami sobie akompaniują, czy też używają podkładu muzycznego?

Ani śladu uśmiechu. Wtedy przypomniałem sobie wreszcie, gdzie ich widziałem. W sklepie Robin, w zeszłym roku. Naprawa sprzętu. Gitara i mandolina, ta pierwsza w bardzo kiepskim stanie. Dwoje folkowców – wielka prawość, odrobina talentu i niewiele pieniędzy. Robin wykonała robotę wartą pięćset dolców za kilka amatorskich albumów z nagraniami, talerz bułeczek domowego wypieku i siedemdziesiąt pięć gotówką. Obserwowałem całą transakcję, sam niewidoczny, z sypialni na stryszku. Potem wysłuchaliśmy z Robin kilku płyt. Przeważnie klasyczne kawałki – ballady i reele, wykonane na modłę tradycyjną i to wcale nieźle.

– Jesteście Bobby i Ben, prawda?

To że rozpoznałem oboje, przełamało ich nieufność, ale znów wprawiło w zakłopotanie.

– Robin Castagna jest moją przyjaciółką – wyjaśniłem.

– Ach tak? – zdziwił się mężczyzna.

– Łatała wasz sprzęt zeszłej zimy. Gibson A-cztery z pęknięciem główki? – D-osiemnaście

z rozluźnionymi klamrami, wygiętą szyjką, zepsutymi progami i pękniętym mostkiem? Ktokolwiek piekł te bułeczki był naprawdę dobry.

– Kim pan jest? – zapytała kobieta.

– Dokładnie tym, za kogo się podałem. Zadzwońcie do Robin – jest teraz w sklepie. Zapytajcie ją o Alexa Delaware. Albo, jeśli nie chcecie się fatygować, powiedzcie mi, proszę, gdzie mogę znaleźć Dawn Herbert? Nie zamierzam przysparzać jej kłopotów, chcę tylko odzyskać kartę.

Nie odpowiadali. Mężczyzna zahaczył kciukiem o szelkę.

– Idź zadzwoń – odezwała się do niego kobieta.

Wszedł do domu. Ona pozostała na miejscu. Przyglądała mi się i oddychała głęboko, aż unosiły się jej piersi. Psy też mnie obserwowały. Nikt się nie odzywał. Kątem oka dostrzegłem ruch na zachodnim krańcu kwartału. Odwróciwszy się, zobaczyłem przyczepę kempingową wyjeżdżającą z podjazdu i toczącą się w stronę Sepulveda. Po drugiej stronie ulicy ktoś powiewał amerykańską flagą. Dalej starszy mężczyzna siedział rozparty na leżaku. Nie byłem pewien, ale miałem wrażenie, że on też mi się przygląda.

Królowa balu w Culver City.

Mężczyzna w szelkach wrócił parę minut później, uśmiechając się, jakby napotkał Mesjasza. Niósł bładniebieski talerz. Bułki i ciasteczka.

Skinął głową. Widząc to i obserwując jego uśmiech, kobieta rozluźniła się. Psy zaczęły machać ogonami.

Czekałem, aż ktoś poprosi mnie do tańca.

– Zgadza się, Bob – mężczyzna zwrócił się do kobiety. – Ten chłopak to jej numer jeden.

– Świat jest mały – powiedziała, uśmiechając się wreszcie. Przypomniał mi się jej głos śpiewający z albumu, wysoki i czysty, lekko drżący. Kiedy mówiła, też był miły. Mogłaby zarabiać pieniądze dostarczając „seksu przez telefon”.

– Masz fantastyczną dziewczynę – powiedziała, przypatrując mi się nadal. – Doceniasz to?

– Każdego dnia.

Przytaknęła, podała mi rękę, mówiąc:

– Bobby Murtaugh. To jest Ben. Przedstawiono ci już tamte osoby.

Nastąpiła wymiana gestów powitalnych. Poglaskałem psy, a Ben podsunął talerz. Wszyscy troje wzięliśmy po bułeczce. Robiło to wrażenie plemiennego rytuału. Ale nawet żując, wyglądali na zmartwionych.

Bobby pierwsza skończyła swoją bułeczkę. Zjadła ciastko, potem następne, żując non stop. Okruchy zebrały jej się na piersi. Strząsnęła je i powiedziała:

– Chodźmy do środka.

Psy weszły z nami i pobiegły dalej, do kuchni. Chwilę potem usłyszałem ich chleptanie. W pokoju frontowym o płaskim suficie i zaciągniętych zasłonach panował półmrok. Pachniało tam cukrem i mokrymi psami. Brunatne ściany, niepoliturowana sosnowa podłoga, domowej roboty niewymiarowe regały na książki, kilka futerałów na instrumenty muzyczne w miejscu, gdzie można by się spodziewać stolika do kawy. Na pulpicie w kącie sterta nut. Ciężkie meble z czasów wielkiego kryzysu – skarby z wyprzedaży. Na ścianach zegar, który przestał chodzić o drugiej, oprawiony w ramkę plakat gitar Martina za szkłem i kilka ulotek upamiętniających festiwale Topanga Fiddle i Bajno Contest.

– Usiądź – powiedział Ben.

Nim zdążyłem skorzystać z tej propozycji, oznajmił:

– Przykro mi to mówić, przyjacielu, ale Dawn nie żyje. Ktoś ją zabił. To dlatego tak się najeżyliśmy, kiedy wspomniałeś o niej i tamtym morderstwie. Przykro mi.

Spojrzał na talerz z bułeczkami i pokręcił głową.

– Ciągłe nie możemy o tym zapomnieć – powiedziała Bobby. – Siądź mimo to. Jeśli masz ochotę.

Opadła na zniszczoną zieloną sofę. Ben siadł obok niej, opierając talerz na kościstym kolanie.

Przysiadłem na wyplatany krzeselku i zapytałem:

– Kiedy to się stało?

– Przed paroma miesiącami – odparła Bobby. – W marcu. To był weekend – środek miesiąca, dziesiątego, jak sądzę. Nie, dziewiątego. – Spojrzała na Bena.

– Coś takiego – potwierdził.

– Jestem prawie pewna, że to było dziewiątego, kochanie. Weekend w Sonoma, pamiętasz? Graliśmy dziewiątego, a dziesiątego wróciliśmy do L.A. – pamiętasz, jak było późno, ponieważ mieliśmy kłopoty z wozem w San Simeon? To wtedy się zdarzyło, przynajmniej według niego – tego gliniarza. Dziewiątego. To było dziewiątego.

– Tak, masz rację – potwierdził.

Spojrzała na mnie.

– Nie było nas w mieście – graliśmy na festiwalu na północy. Mieliśmy kłopoty z wozem, utknęliśmy po drodze i wróciliśmy dopiero późnym wieczorem dziesiątego – właściwie wczesnym rankiem jedenastego. W skrzynce na listy leżała wizytówka policjanta z numerem telefonu, pod który należało zadzwonić. Detektyw z wydziału zabójstw. Nie wiedzieliśmy, co zrobić i nie odezwaliśmy się, ale on zadzwonił do nas. Wyjaśnił, co się wydarzyło, i zadawał mnóstwo pytań. Nie mieliśmy mu nic do powiedzenia. Następnego dnia przyszedł z kilkoma innymi facetami i przetrząsnęli dom. Mieli nakaz i wszystko, ale byli w porządku.

Spojrzała na Bena.

– Nie najgorsi – przyznał.

– Chcieli tylko przejrzeć jej rzeczy, zobaczyć, czy nie natrafiają na coś, co miałoby związek ze sprawą. Oczywiście nie znaleźli – i nic dziwnego. To nie zdarzyło się tutaj, powiedzieli nam od razu, że nie podejrzewają nikogo z jej znajomych.

– A to dlaczego?

– On – ten detektyw – mówił, że to było... Zamknęła oczy i sięgnęła po ciasteczko. Udało jej się znaleźć. Zjadła połowę.

– Według tego gliniarza, to robota jakiegoś chorego psycha – podjął Ben. – Powiedział, że była naprawdę...

Pokręcił głową.

– Pokieroszowana – podpowiedziała Bobby.

– Nic tu nie znaleźli – dodał Ben. Oboje wydawali się wstrząśnięci.

– Wrócić do domu i taka sprawa – powiedziałem.

– O tak – rzekła Bobby. – Naprawdę się przestraszyliśmy – przecież ją znaliśmy. – Sięgnęła po następne ciastko, choć ciągle trzymała w ręku połowę pierwszego.

– Była współlokatorką?

– Lokatorką – odparła Bobby. – To nasz dom. – Powiedziała to ze zdziwieniem. – Mamy dodatkową sypialnię, używaliśmy jej jako studio, robiliśmy domowe nagrania. Potem straciłam pracę w ośrodku opieki nad dziećmi, więc postanowiliśmy odnająć pokój za pieniądze. Wywiesiliśmy ogłoszenie na

tablicy informacyjnej na uniwersytecie, sądząc, że student może potrzebować tylko pokoju. Dawni zadzwoniła pierwsza.

– Dawno to było?

– W lipcu.

Zjadła oba ciastka. Ben poklepał ją po udzie i ścisnął je delikatnie. Jej miękkie ciało zmarszczyło się. Westchnęła.

– A to, co powiedziałaś wcześniej – zagadnął. – O tej karcie choroby, którą wzięła. Czy było w tym coś niewłaściwego?

– Powinna była ją zwrócić.

Spojrzeli po sobie.

– Czy miała skłonności do przywłaszczania rzeczy?

– No cóż – powiedział, czując się wyraźnie niezręcznie.

– Nie od początku – wyjaśniła Bobby. – Na początku była wzorową lokatorką – sprzątała po sobie, zajmowała się swoimi sprawami. W gruncie rzeczy rzadko ją widywaliśmy, ponieważ w dzień pracowaliśmy, a wieczorami wychodziliśmy czasem pośpiewać. A jeśli nie, wcześniej kładliśmy się spać. A ona przez cały czas przebywała poza domem – prawdziwa nocna sowa. Był to całkiem niezły układ.

– Jedyne problemy stanowiły jej nocne powroty – dodał Ben. – Bo Homer to czujny pies, więc kiedy wracała, szczekał i budził nas. Ale przecież nie mogliśmy jej pouczyć, kiedy ma wychodzić i wracać do domu, prawda? Przeważnie była w porządku.

– Kiedy zaczęła zabierać rzeczy?

– To było później – wyjaśnił.

– Parę miesięcy po wprowadzeniu się – podjęła Bobby. – Na początku nie skojarzyliśmy tego. Chodziło o same drobiazgi – długopisy, kostki do gitary. Nie posiadamy nic wartościowego, prócz instrumentów, a takie rzeczy się gubią, prawda? Wystarczy spojrzeć na te wszystkie skarpetki bez pary, no nie? Potem zaczęło się to rzucać w oczy. Jakieś kasety, opakowanie z sześcioma puszkami piwa – które i tak by dostała, gdyby poprosiła. Nie oszczędzamy na jedzeniu, choć zgodnie z umową, sama miała sobie kupować. Potem biżuteria – kilka par moich kolczyków. I jedna z apaszek Bena, plus para staromodnych szelek, które zdobył w Seattle. Naprawdę ładne, ciężkie, skórzane szelki, nie robią już takich. Najbardziej zmartwiła mnie strata ostatniej rzeczy, którą wzięła. Była to stara, angielska broszka, którą odziedziczyłam po babce – granat oprawny w srebro. Kamień był sztuczny, ale miała wartość pamiątkową. Zostawiłam ją na komodzie i następnego dnia zniknęła.

– Pytałaś ją o to? – zagadnąłem.

– Nie oskarżyłam jej otwarcie, zapytałam tylko, czy nie widziała broszki. Albo kolczyków. „Nie”, powiedziała, zupełnie obojętnie. Ale wiedzieliśmy, że to musiała zrobić ona. No bo któż by inny? Była jedyną osobą poza nami, która tu wchodziła, a zanim przyszła, rzeczy nie ginęły.

– To musiały być problemy emocjonalne – dodał Ben. – Kleptomania czy coś w tym rodzaju. Za żadną z tych rzeczy nie mogła dostać większych pieniędzy. Zresztą nie potrzebowała ich. Miała kupę ciuchów i całkiem nowy wóz.

– Jaki?

– Taki mały, ze spuszczanym dachem – chyba mazdę. Kupiła go po Bożym Narodzeniu, nie miała samochodu, kiedy zaczęła u nas mieszkać, bo wtedy zarządalibyśmy trochę więcej pieniędzy. Braliśmy od niej tylko setkę miesięcznie. Sądziłyśmy, że to głodująca studentka.

– Stanowczo miała kłopoty z głową – powiedziała Bobby. – Cały ten skradziony przez nią chłam

znalazłam w garażu, schowany pod podłogą z desek, w pudełku, razem z jej fotografią – jakby chciała zabezpieczyć prawo własności, zgromadzić w dziupli jak wiewiórka czy coś takiego. Prawdę mówiąc, była też zachłanna – wiem że nieładnie tak mówić, ale taka jest prawda. Dopiero później powiązałam jedno z drugim.

– W jakim sensie zachłanna?

– Zagarniała najlepsze dla siebie. Na przykład jeśli masz w zamrażalniku dwa litry leguminy waniliowej z czekoladą, po powrocie okazuje się, że cała czekolada została wyjedzona i została tylko wanilia. A z miski czereśni zniknęły wszystkie ciemniejsze.

– Czy płaciła za pokój w terminie?

– Mniej więcej. Czasami spóźniała się tydzień czy dwa. Nigdy jej tego nie wypominaliśmy i ostatecznie zawsze płaciła.

– Ale atmosfera zaczęła się zagęszczać – dodał Ben.

– Byliśmy już bliscy poproszenia jej, żeby się wyprowadziła – podjęła Bobby. – Przez parę tygodni naradzaliśmy się, jak to zrobić. Potem mieliśmy sesję muzyczną w Sonoma i byliśmy zajęci ćwiczeniami. A potem wróciliśmy do domu i...

– Gdzie ją zamordowano?

– Gdzieś w mieście. W klubie.

– Nocnym klubie?

Oboje skinęli głowami.

– Mam wrażenie, że był to jeden z tych lokali nowofalowych. Jak on się nazywał, Ben? Coś indiańskiego, prawda?

– Mayan – powiedział. – Moody Mayan. Albo coś takiego. – Uśmiechnął się słabo. – Ten gliniarz pytał, czy byliśmy tam kiedyś. Racja.

– Czy Dawn była nowofalówką?

– Nie od początku – odparła Bobby. – To znaczy, kiedy ją poznaliśmy, wyglądała zupełnie porządnie. Niemal za porządnie – jak jakaś skromnisia. Obawialiśmy się, że ona uzna nas za zbyt swobodnych. Potem zaczęła się stopniowo opuszczać. Jednego nie można jej odmówić, była inteligentna, to pewne. Ciągle czytała podręczniki. Przygotowywała się do doktoratu. Biomatematyka czy coś w tym stylu. Ale wieczorami zmieniała skórę – odstawiała się przed wyjściem. To miał na myśli Ben mówiąc, że miała ciuchy punkowskie stroje, mnóstwo czerni. Wcierała we włosy łatwo zmywalną farbę. I cały ten makijaż a la rodzina Addamsów – czasem smarowała czymś włosy i stroszyła je. To przypominało kostium teatralny. Nazajutrz idąc do pracy, wyglądała znów zupełnie normalnie. Nie poznałbyś jej.

– Czy rzeczywiście zabito ją w tym klubie?

– Nie wiem – odparła. – Nie zwracaliśmy uwagi na szczegóły, chcieliśmy tylko, żeby gliniarze zabrali stąd jej rzeczy, żeby odciąć się wreszcie od tego.

– Pamiętacie nazwisko detektywa?

– Gomez – odpowiedzieli unisono.

– Ray Gomez – uzupełniła Bobby. – Był fanem Los Lobos i lubił styl doo-wop. Niezły gość.

Ben przytaknął. Ich kolana napierały na siebie tak mocno, że aż zbieleły z napięcia.

– Co za historia – powiedziała. – Czy to dziecko będzie cierpieć dlatego, że Dawn ukradła kartę?

– Poradzimy sobie – odparłem. – Po prostu dobrze byłoby ją mieć.

– To wstyd – stwierdził Ben. – Przykro mi, że nie możemy ci pomóc. Policja zabrała wszystkie jej rzeczy, ale nie widziałem tam żadnej karty choroby. Co prawda nie szukałem jej specjalnie.



– A rzeczy, które ukradła?

– Nie – powiedziała Bobby – tam też nie było żadnej karty. Gliniarze nie szukali zbyt skrupulatnie, skoro jej nie znaleźli, co? Ale sprawdzę, tak dla pewności – może jest za zakładką pudełka, czy ja wiem.

Wyszła do kuchni i wróciła wkrótce z pudełkiem po butach i kawałkiem papieru.

– Puste – a to jest zdjęcie, które położyła na wierzchu. Jakby chciała potwierdzić prawo własności.

Wziąłem fotografię. Jeden z tych poczwórnych autoportretów, jakie za ćwierć dolara można sobie zrobić w automacie na dworcu autobusowym. Cztery ujęcia twarzy niegdyś ładnej, teraz nalanej i zeszpeconej malującym się na niej wyrazem nieufności. Proste, ciemne włosy, wielkie ciemne podkrążone oczy. Chciałem oddać zdjęcie.

– Zatrzymaj je – powstrzymała mnie Bobby. – Nie chcę go.

Raz jeszcze spojrzałem na fotografię, zanim schowałem ją do kieszeni. Na wszystkich zdjęciach ten sam wyraz twarzy, ponury i czujny.

– Smutna – powiedziałem.

– Tak – potwierdziła Bobby. – Prawie się nie uśmiechała.

– Może – dodał Ben – zostawiła ją w pokoju na uniwerku – to znaczy kartę.

– Wiecie, na jakim była wydziale?

– Nie, ale miała telefon wewnętrzny. Podała nam numer. Dwa-dwa-trzy-osiem, zgadza się?

– Myślę, że tak – przytaknęła Bobby.

Wyjąłem z teczki długopis i papier. Zapiisałem numer.

– Była na studiach doktoranckich?

– Tak nam powiedziała, prosząc o pokój. Biomatematyka czy coś takiego.

– Czy wspominała kiedyś, jak się nazywał jej profesor?

– Podała nazwisko, gdybyśmy żądali referencji – powiedziała Bobby ale prawdę mówiąc, nigdy tam nie dzwoniliśmy.

– Uśmiechnęła się przepaszająco.

– Było krucho z pieniędzmi – rzekł Ben. – Chcieliśmy mieć szybko lokatora, a ona wydawała się w porządku.

– Jedyne szef, o jakim wspominała, to facet ze szpitala – ten, którego zabito. Ale nigdy nie wymieniała jego nazwiska.

Ben skinął głową.

– Nie za bardzo go lubiła.

– A to dlaczego?

– Nie wiem. Nigdy nie wdawała się w szczegóły – mówiła tylko, że to dupek, strasznie grymaśny, i że zamierza odejść. Tak też zrobiła, w lutym.

– Czy dostała inną pracę?

– Nam o tym nie mówiła – stwierdziła Bobby.

– Nie orientujecie się, skąd brała pieniądze?

– Nie, ale zawsze miała ich dosyć.

Ben uśmiechnął się boleśnie.

– Co? – zapytała Bobby.

– Ona i jej szef. Nie znosiła go, a teraz są na tym samym wózku. L.A. dostało ich.

Bobby wzdrygnęła się i ugryzła bułeczkę.

## Rozdział siedemnasty

Wiadomości o zamordowaniu Dawn Herbert i jej skłonnościach do kradzieży pobudziły mnie do myślenia.

Przyjmowałem, że wyjęła kartę Chada dla Laurence'a Ashmore'a. A co jeśli zrobiła to z własnej inicjatywy, ponieważ dowiedziała się czegoś obciążającego rodzinę Jonesów i zamierzała wyciągnąć z tego korzyści?

A teraz nie żyła.

Podjechałem do sklepu z rybami, i kupiwszy torbę pokarmu dla koi, spytałem, czy mogę skorzystać z telefonu dla odbycia rozmowy miejscowej. Chłopak za kontuarem podumał chwilę, spojrzął na sumę w registratorze kasy i powiedział: „Tam, proszę” wskazując stary, czarny aparat na ścianie. Tuż obok znajdowało się wielkie akwarium ze słoną wodą, w którym umieszczono małego rekinka płamistego. Kilka złotych rybek pluskało się przy powierzchni wody. Rekin sunął spokojnie. Ślepia miał niebieskie i nieruchome, niemal tak piękne jak oczy Vicki Bottomley.

Zadzwoiłem do Parker Center. Mężczyzna, który odebrał, powiedział, że Milo jest nieobecny, a on nie wie, kiedy wróci.

– Czy to Charlie? – zapytałem.

– Nie.

Trzask.

Wykręciłem domowy numer Mila. Chłopak za kontuarem obserwował mnie. Uśmiechnąłem się i słuchając sygnałów, uniosłem palec wskazujący w geście oznaczającym – jedną minutę.

Namiętny głos wygłosił frazes reklamowy Niebieskich Dochodzeń. Wtedy powiedziałem:

– Dawn Herbert została zamordowana w marcu. Prawdopodobnie dziewiątego, gdzieś w centrum, niedaleko klubu muzycznego dla punków. Detektyw śledczy nazywał się Ray Gomez. Za godzinę powinienem być w szpitalu – każ mi wezwać, gdybyś chciał o tym porozmawiać.

Odłożywszy słuchawkę, ruszyłem w stronę wyjścia. Kątem oka dostrzegłem gwałtowny ruch, odwróciłem się w stronę akwarium. Obie złote rybki zniknęły.

Na hollywoodzkim odcinku Sunset panował weekendowy spokój. Banki i przedsiębiorstwa rozrywkowe przed Hospital Row były pozamykane, tylko gdzieś snuli się chodnikiem włóczędzy i rodziny biedaków. Ruch na jezdni był niewielki – głównie ludzie pracujący w weekendy i turyści, którzy zapuścili się zbyt daleko poza Vine. Do wjazdu na piętrowy parking dla lekarzy dotarłem w niecałe pół godziny. Znowu był czynny. Mnóstwo wolnych miejsc.

Przed pójściem na oddział, wstąpiłem do kawiarenki na kawę.

Kończyła się właśnie godzina przeznaczona na lunch, ale sala była prawie pusta. W momencie gdy podszedłem, żeby zapłacić, Dan Kornblatt odbierał resztę od kasjera. Kardiolog trzymał plastikowy kubek z pokrywką. Kawa wyciekła z niego, spływając po ściankach stróżkami koloru błota. Wąsiska Kornblatt obwisły, wydawał się pochłonięty myślami. Wrzucił resztę do kieszeni, a zobaczywszy mnie, skinął krótko głową.

– Cześć, Dan. Co się dzieje?

Mój uśmiech wyraźnie go zmartwił.

– Czytałeś poranną gazetę? – zapytał.

– Prawdę mówiąc – odparłem – przejrzałem tylko.

Spojrzął na mnie zezem, stanowczo poirytowany. Poczuliśmy się, jakbym dał niewłaściwą odpowiedź

na egzaminie ustnym.

– Cóż mogę powiedzieć – rzucił opryskliwie i odszedł.

Zapłaciłem za kawę, zastanawiając się, co za informacja w prasie tak go zdenerwowała. Rozejrzałem się po kawiarence, szukając jakiejś pozostawionej gazety, ale nie dostrzegłem żadnej. Wypiłem kawę paroma łykami, wyrzuciłem kubek i poszedłem do czytelnicy. Tym razem była zamknięta.

Chappy Ward był opustoszały, drzwi do wszystkich sal z wyjątkiem pokoju Cassie stały otworem. Wygaszone światła, łóżka bez pościeli, woń fermentującego siana pozostała po niedawnej dezodoryzacji. Mężczyzna w żółtym stroju personelu pomocniczego odkurzał korytarz. Z głośników dobiegała jakaś wiedeńska muzyka, powolna i przesłodzona.

Vicki Bottomley siedziała w dyżurce pielęgniarek, czytając kartę choroby. Jej czepek był lekko przekrzywiony.

– Hej, coś nowego? – powiedziałem.

Potrząsnęła głową i podała mi kartę, nie podnosząc wzroku.

– Nie przeszkadzaj sobie, skończ – zaproponowałem.

– Skończyłam. – Machnęła kartą.

Wziąłem ją, ale nie otwierałem. Oparłszy się o pulpit, zagadnąłem:

– Jak się dziś czuje Cassie?

– Nieco lepiej. – Nadal na mnie nie patrzyła.

– Kiedy się obudziła?

– Około dziewiątej.

– Tata już był?

– Tam jest wszystko – odparła, wskazując na kartę bez podnoszenia głowy.

Otworzyłem ją, przerzucając strony, aż natrafiłem na zapisaną tego ranka. Przeczytałem podsumowując uwagi Ala Macauleya i neurologa.

Vicki zaczęła wypełniać jakiś formularz.

– Ten ostatni atak Cassie – zagadnąłem – wygląda na to, że był bardzo gwałtowny.

– Nic, czego nie widziałabym przedtem.

Odłożyłem kartę, ale nie ruszyłem się. Wreszcie uniosła wzrok. Jej niebieskie oczy mrugały szybko.

– Widziałas wiele przypadków padaczki u dzieci? – zapytałem.

– Wszystko widziałam. Pracowałam na onkologii. Opiekowałam się dziećmi z guzem mózgu. –

Wzruszyła ramionami.

– Ja też byłem na onkologii. Przed laty. Wsparcie psychospołeczne.

– Aha. – Wróciła do formularza.

– No cóż – powiedziałem – przynajmniej nie wygląda na to, by Cassie miała nowotwór.

Brak odpowiedzi.

– Doktor Eves wspominała, że zamierza wkrótce ją wypisać.

– Aha.

– Pomyślałem, że wpadnę tam z wizytą.

Jej długopis przyspieszył.

– Byłaś tam kiedyś sama, prawda?

Brak odpowiedzi.

Powtórzyłem pytanie. Przestała pisać i podniosła wzrok.

– A jeśli tak, to co w tym złego?

– Nic. Ja tylko...

– Tylko gada pan ot tak sobie. Racja? – Odłożyła długopis i odsunęła się w tył na krześle. Uśmiechnęła się zadowolona z siebie. – Albo może sprawdza mnie pan? Żeby dowiedzieć się, czy poszłam tam i zrobiłam jej coś?

Odsunęła się jeszcze bardziej do tyłu, nie spuszczać ze mnie wzroku i uśmiechając się ciągle.

– Dlaczego miałbym tak sądzić? – zapytałem.

– Bo znam wasz sposób myślenia.

– To było tylko proste pytanie, Vicki.

– Taa, słusznie. Właśnie o to szło, od samego początku. Całe te udawane gadu-gadu. Sprawdza mnie pan, żeby zobaczyć czy jestem jak ta pielęgniarka z New Jersey.

– Co za pielęgniarka?

– Ta która zabijała dzieci. Napisali o tym książkę i pokazywali w telewizji.

– Sądzisz, że jesteś podejrzana?

– A nie jestem? Przecież zawsze oskarża się pielęgniarkę.

– A czy pielęgniarkę z New Jersey oskarżono niesłusznie?

Jej uśmiech niezauważalnie przeszedł w grymas.

– Niedobrze mi się robi od tych gierki – powiedziała wstając i odsuwając krzesło. – Zawsze stosujecie te same gierki.

– „Wy” to znaczy psychologdy?

Założyła ręce na piersi i zamruczała coś. Potem odwróciła się do mnie plecami.

– Vicki?

Brak odpowiedzi.

– Idzie w tym wszystkim o to – wycedziłem, usiłując nie podnosić głosu żeby dowiedzieć się, co u licha, dzieje się z Cassie.

Udawiała, że czyta tablicę informacyjną przy wejściu.

– To tyle, jeśli chodzi o nasz rozejm – rzekłem.

– Niech pan się nie martwi – powiedziała, odwracając się szybko w moją stronę. Jej podniesiony głos brzmiał jak ostre solo na fujarce na tle słodkiej melodii.

– Niech pan się nie martwi – powtórzyła. – Nie będę panu wchodzić w drogę. Chce pan czegoś, wystarczy poprosić. Bo pan jest lekarzem. A ja zrobię wszystko, żeby pomóc temu biednemu maleństwu – wbrew temu, co pan sądzi, martwię się o nią, rozumie pan? Faktem jest, że mogę nawet zejść na dół przynieść panu kawę, jeśli to wywrze na panu wrażenie i pomoże skupić uwagę na tym, co trzeba, czyli na niej. Nie jestem jedną z tych feministek, które uważają, że przyniesie im ujmę zrobienie czegoś więcej niż podanie leków. Ale niech pan nie udaje mojego przyjaciela, w porządku? Róbmy oboje, co do nas należy, bez żadnego gadu-gadu i nie wchodźmy sobie w paradę, w porządku? A odpowiadając na pana pytanie, byłam u nich w domu dokładnie dwa razy – parę miesięcy temu. Wystarczy?

Przeszła na drugi koniec dyżurki, znalazła inny formularz, podniosła go i zaczęła czytać. Trzymała druk na odległość wyciągniętego ramienia, mrużąc oczy. Potrzebowała okularów do czytania. Na jej twarz powrócił uśmiech samozadowolenia.

– Robisz jej coś, Vicki? – zapytałem.

Jej ręce drgnęły nerwowo, wypuściła papier. Schyliła się po niego i spadł jej czepek. Skłoniwszy się raz jeszcze, podniosła go i wyprostowała się sztywno. Używała dużo tuszu do rzęs i kilka drobinek spadło na policzki poniżej oka.

Nie ruszyłem się z miejsca.

– Nie! – Jej szept był pełen ukrytej mocy.

Słyszac kroki, oboje odwróciliśmy głowy. W holu pojawił się ciągnący odkurzacz pracownik obsługi. Latynos w średnim wieku, o starych oczach i małym wąsiku.

– Coś jeszcze? – zapytał.

– Nie – odparła Vicki. – Idź już.

Spojrzał na nią, uniósłszy brwi, potem szarpnął urządzeniem i pociągnął je w stronę tekowych drzwi. Vicki obserwowała go z zaciśniętymi pięściami.

Kiedy odszedł, powiedziała:

– To było straszne pytanie! Dlaczego musi pan mieć takie okropne myśli – dlaczego ktokolwiek miałby jej coś robić? Ona jest chora!

– Wszystko to są objawy jakiegoś tajemniczego schorzenia?

– Czemu nie – zapytała. – Czemu nie? To szpital. Jest właśnie dla nich dla chorych dzieci. To właśnie robią prawdziwi lekarze. Leczą chore dzieci.

Nie przerywałem mego milczenia.

Jej ręce zaczęły się unosić. Starła się je pohamować, jak człowiek stawiający opór hipnotyzerowi. Tam gdzie był przedtem czepek, sterczała teraz niczym kopuła czapa jej sztywnych włosów.

– Prawdziwym lekarzom jakoś nie bardzo się powiodło, prawda? powiedziałem.

Parsknęła.

– Gierki – powiedziała, znowu szeptem. – Zawsze prowadzicie gierki.

– Wygląda na to, że wiele o nas wiesz.

Wydała się zaskoczona. Poderwała dłoń do oczu. Tusz zaczął jej spływać po twarzy, a kłykcie dłoni zabarwiły się na szaro, ale nie zwróciła na to uwagi, jej spojrzenie wbite było we mnie.

Wytrzymałem je.

Uśmiech samozadowolenia powrócił na jej twarz.

– Czy życzy pan sobie czegoś jeszcze, proszę pana! – Wyjęła spinki z włosów i umocowała z ich pomocą sztywny biały trójkąt.

– Opowiedziałas Jonesom o swoich odczuciach w stosunku do terapeutów? – zapytałem.

– Zachowuję swoje odczucia dla siebie. Jestem profesjonalistką.

– Powiedziałaś im, że ktoś podejrzewa tu brudne machinacje?

– Oczywiście, że nie. Jak mówiłam, jestem profesjonalistką!

– Profesjonalistką – powtórzyłem. – Po prostu nie znosisz terapeutów. Banda szarlatanów, którzy obiecują pomoc, ale nie spełniają oczekiwań.

Poderwała głowę do tyłu. Czapa włosów podskoczyła, a ręka Vicki poderwała się, by je podtrzymać.

– Nie zna mnie pan – powiedziała. – Nic pan o mnie nie wie.

– To prawda – skłamałem. – I staje się to problemem dla Cassie.

– To śmiesz...

– Twoje zachowanie utrudnia opiekę nad nią, Vicki. Nie dyskutujmy już o tym tutaj. – Wskazałem pokój pielęgniarek za dyżurką.

Wzięła się pod boki.

– Po co?

– Na rozmowę.

– Nie ma pan prawa.

– Prawdę mówiąc, mam. I tylko moja dobra wola sprawia, że ciągle zajmujesz się tym przypadkiem. Doktor Eves podziwia twoje umiejętności zawodowe, ale twoja postawa i jej działa na nerwy.

– Zgoda.

Podniosłem słuchawkę telefonu.

– Zadzwoń do niej.

Wzięła głęboki oddech. Dotknęła czepka. Oblizwała wargi. – Czego pan ode mnie chce? – Zabrzmiało to prawie jak jęk.

– Nie tutaj – powiedziałem. – Tam w środku, Vicki. Proszę.

Chciała zaprotestować. Nie mogła wydobyć z siebie głosu. Jej wargi drżały. Przykryła usta dłonią.

– Zostawmy to – powiedziała. – Przepraszam, w porządku?

Oczy miała pełne łez. Przypomniawszy sobie, w jakim stanie widziała po raz ostatni swego syna, poczułem się jak gnida, ale potrząsnąłem głową.

– Już żadnych scysji – powiedziała. – Obiecuję – tym razem mówię serio. Ma pan rację, nie powinnam była stroić fochów. To dlatego, że martwię się o nią, tak samo jak pan. Poprawię się. Przepraszam. To się więcej nie powtórzy...

– Vicki, proszę. – Wskazałem pokój pielęgniarek.

– ... Przysięgam. Niech mi pan pozwoli trochę odsapnąć.

Nie ustąpiłem.

Ruszyła ku mnie z zaciśniętymi pięściami, prawie gotowa uderzyć. Potem opuściła ręce. Zrobiła gwałtowny zwrot i przeszła do pokoju. Poruszała się wolno, z opuszczonymi ramionami ledwo unosząc buty ponad dywan.

Umeblowanie pomieszczenia składało się z pomarańczowej leżanki, takiegoż krzesła i stolika do kawy. Stał na nim telefon, obok niewłączona do kontaktu maszynka do kawy, której nie używano bądź nie czyszczono przez dłuższy czas. Na ścianie wisiały plakaty ze szczeniakiem i kotem. Poniżej nalepka z napisem PIELĘGNIARKI CZYNIĄ TO Z PEŁNĄ CZULEJ MIŁOŚCI UWAGĄ.

Zamknąłem drzwi i siadłem na leżance.

– To śmierdząca sprawa – powiedziała bez przekonania. – Nie ma pan prawa – zadzwonię jednak do doktor Eves.

Podniosłem słuchawkę, połączyłem się z operatorką pagerów i poprosiłem Stephanie.

– Chwileczkę – powiedziała Vicki. – Niech pan odłoży słuchawkę.

Odwołałem wezwanie i rozłączyłem się. Stała chwilę, przenosząc ciężar ciała z pięt na palce i z powrotem, wreszcie opadła na krzesło, manipulując przy czepku, trzymając stopy płasko na podłodze. Zauważyłem coś, czego nie dostrzegłem dotąd: małą stokrotkę namalowaną lakierem do paznokci na jej nowej plakietce, tuż ponad fotografią. Lakier zaczynał się już łuszczyć i kwiatek wyglądał jak wystrzępiony.

Umieściła ręce na rozłożystym łonie. Miała wyraz twarzy skazańca.

– Mam pracę do wykonania – powiedziała. – Muszę jeszcze zmienić pościel i sprawdzić, czy kuchnia dostała właściwe zamówienie na obiad.

– Pielęgniarka z New Jersey – zagadnąłem. – Skąd ci to przyszło do głowy?

– Ciągle o tym?

Czekałem.

– Nic wielkiego – wyjaśniła. – Jak powiedziałam, była taka książka, przeczytałam ją, to wszystko. Na ogół nie lubię czytać takich rzeczy, ale ktoś mi ją dał, więc przeczytałam. Wystarczy?

Uśmiechała się, ale nagle jej oczy wypełniły się łzami. Manipulowała przy twarzy, usiłując osuszyć je palcami. Rozejrzałem się po pokoju. Żadnych chusteczek. Moja chustka do nosa była czysta, więc podałem ją Vicki.

Spojrzała na nią i udała, że nie dostrzega. Jej twarz pozostała mokra, spływający tusz wyłobitł w grubej warstwie makijażu czarne ślady jakby kocich pazurów.

– Kto ci dał tę książkę? – zapytałem.

Jej twarz stężała z bólu. Czuję się, jakbym ją uderzył.

– To nie ma nic wspólnego z Cassie. Niech mi pan uwierzy.

– Dobrze. A co konkretnie robiła ta pielęgniarka?

– Zatrzuwała dzieci – lidokainą. Ale to nie była pielęgniarka. Pielęgniarki kochają dzieci. Prawdziwe pielęgniarki. – Przeniosła wzrok na napis na ścianie i rozplakała się jeszcze bardziej.

Kiedy przestała, znów wyciągnąłem ku niej chusteczkę. Udawała, że jej nie widzi.

– Czego pan ode mnie chce?

– Trochę porozmawiać szczerze...

– O czym?

– O całej tej niechęci, jaką mnie darzysz...

– Przepraszam za to.

– Ja nie potrzebuję usprawiedliwień, Vicki. Nie chodzi tu o mój honor, nie musimy być kolegami – ucinać sobie pogawędek. Ale musimy porozumiewać się dobrze na tyle, na ile wymaga tego opieka nad Cassie. A twoje zachowanie jest tu przeszkodą.

– Nie zgadz...

– Jest, Vicki. I wiem, że nie chodzi o coś, co powiedziałem czy zrobiłem, bo byłaś wrogo nastawiona, nim zdążyłem otworzyć usta. To oczywiste, że masz coś przeciwko psychologom. Podejrzewam, że dlatego, bo zawiedli cię – albo źle potraktowali.

– Co pan robi? Analizuje pan moją psychikę?

– Skoro trzeba.

– To nie jest w porządku.

– Jeśli chcesz zajmować się dalej tym przypadkiem, pomówmy otwarcie. Cała sprawa jest wystarczająco trudna sama w sobie. Za każdym razem kiedy ją tu przywożą, Cassie jest coraz bardziej chora i nikt nie wie, co, u diabła, się z nią dzieje. Jeszcze kilka takich ataków jak ten, którego byłaś świadkiem, i grozi jej poważne uszkodzenie mózgu. Nie możemy pozwolić sobie na to, żeby rozpraszały nas jakieś „interpersonalne” pierdoły.

Jej warga zadrżała i wysunęła się do przodu.

– Nie ma potrzeby kłąć – powiedziała.

– Przepraszam. A poza moją niewyparzoną gębą, co masz przeciw mnie?

– Nic.

– Bujasz, Vicki.

– Naprawdę nie ma...

– Nie lubisz psychoterapeutów – powiedziałem – i wyczuwam intuicyjnie, że masz ku temu powody.

Poprawiła się na krześle.

– Czyżby?

Skinąłem głową. – Wielu jest złych terapeutów, szczęśliwych, że mogą wziąć pieniądze, nic dla ciebie nie robiąc. Tak się składa, że nie jestem jednym z nich, ale nie spodziewam się, że w to uwierzysz,

tylko dlatego, bo tak mówię.

– Zacisnęła usta. Rozluźniła je. Pozostały zmarszczki ponad górną wargą. Jej zmęczona twarz była cała w plamach i smugach. Poczułem się jak Wielki Inkwizytor.

– A z drugiej strony – podjąłem – może tylko do mnie czujesz urazę współzawodnicząc o Cassie, chcąc być szefem.

– To zupełnie nie w tym rzecz!

– Więc w czym, Vicki?

Nie odpowiedziała. Spojrzała na ręce. Przyglądała paznokciem odgięty naskórek. Miała obojętny wyraz twarzy, ale łzy nie przestały płynąć.

– Dlaczego nie pomówimy otwarcie, żeby mieć to z głowy – zapytałem. Jeśli nie ma to związku z Cassie, nie wyjdzie poza ten pokój.

Pociągnęła nosem, ścisnąwszy jego czubek palcami.

Ciągnąłem dalej, łagodniejszym już tonem:

– Słuchaj, to nie musi być maraton. Nie zamierzam ujawniać twoich tajemnic. Chcę tylko oczyścić atmosferę – wypracować prawdziwy rozejm.

– Nie wyjdzie poza ten pokój, co? – Na jej twarz powrócił uśmiech samozadowolenia. – Już to kiedyś słyszałam.

Nasze spojrzenia spotkały się. Zamrugła oczami. Moje powieki ani drgnęły.

Nagle wyrzuciła w górę ręce, krzyżując dłonie. Zerwawszy z głowy czepek, cisnęła nim przed siebie. Wylądował na podłodze. Zamierzała wstać, ale wstrzymała się.

– A niech pana szlag trafi! – wybuchnęła. Jej głowa przypominała ptasie gniazdo.

Złożyłem chusteczkę i położyłem ją na kolanie. Porządny chłopiec z tego Inkwizytora.

Objęła dłońmi skronie.

Wstałem i położyłem jej rękę na ramieniu, pewien, że ją odtrąci. Ale nie zrobiła tego.

– Przepraszam – powiedziałem.

Zaszlochała i rozpoczęła opowieść. A ja musiałem już tylko słuchać.

Opowiedziała tylko część. Rozdrapywała zabliznione rany, walcząc jednocześnie o to, żeby zachować choć trochę godności.

Występny Reggie zmienił się w „żywego chłopca z problemami w nauce”.

– Był dość bystry, ale nie mógł znaleźć czegoś, co by go zainteresowało, zawsze błądził gdzieś myślami.

Chłopiec wyrósł na „niespokojnego” młodzieńca, który „nie potrafił po prostu ustatkować się”.

Lata drobnych przestępstw zredukowała do „pewnych kłopotów”.

Znów się rozszlochała. Tym razem wzięła ode mnie chusteczkę.

Łkając, dojrnęła do kulminacyjnego punktu swej historii, o którym opowiedziała szeptem: jej jedyne dziecko umiera w dziewiętnastym roku życia, na skutek „wypadku”.

Inkwizytor, uwolniony od konieczności dochowania tajemnicy, trzymał język za zębami.

Milczała przez dłuższą chwilę, osuszając oczy i wycierając twarz, potem podjęła opowieść.

Mąż alkoholik podniesiony został do rangi robotniczego bohatera. Zmarł w wieku trzydziestu ośmiu lat, jako ofiara „wysokiego poziomu cholesterolu”.

– Dzięki Bogu mieliśmy własny dom – powiedziała. – Poza tym jedyną wartościową rzeczą, jaką zostawił nam Jimmy, był stary motocykl „Harley-Davidson” – jedna z tych rajdowych maszyn. Zawsze coś przy nim majstrował, robiąc wokół zamieszanie. Sadzał Reggiego za sobą i rozbijał się po okolicy.



Nazywał maszynę swoim wieprzem. Aż do czwartego roku życia Reggie naprawdę sądził, że to jest właśnie wieprz.

Uśmiechała się.

– To była pierwsza rzecz, jaką sprzedałam – mówiła. – Nie chciałam, żeby Reggie mu wpadło do głowy, że to jego przyrodzone prawo wyjść z domu i skrócić sobie kark na drodze publicznej. Zawsze lubił szybkość. Tak jak jego ojciec. Więc sprzedałam motocykl jednemu z lekarzy z Foothill General, gdzie pracowałam, zanim urodził się Reggie. Po śmierci Jimmy’ego musiałam tam wrócić.

– Pediatria? – zapytałam.

Potrząsnęła głową.

– Oddział ogólny – nie było tam pediatrii. Wolałabym pediatrię, ale chciałam pracować niedaleko od domu, żebym mogła być blisko Reggiego miał dziesięć lat, ale ciągle nie bardzo dawał sobie sam radę. Chciałam być w domu, wtedy co i on. Więc pracowałam nocami. Kładłam go spać o dziewiątej, czekałam aż zaśnie, ucinałam sobie godzinną drzemkę i wychodziłam o dziesiątej czterdzieści pięć, żeby zdążyć na dyżur na jedenastą.

Czekała na osąd.

Inkwizytor nie raczył się odezwać.

– Był zupełnie sam – mówiła. – Każdej nocy. Ale sądziłam, że skoro śpi, wszystko będzie z nim w porządku. Teraz nazwano by go „dzieckiem z kluczem na szyi”, ale wtedy nie mówiło się tak jeszcze. Nie było wyboru nie miałam nikogo do pomocy. Żadnej rodziny, a nie istniały jeszcze wtedy ośrodki dziennej opieki nad dziećmi. Mogłam tylko zamówić w agencji baby-sitterkę na całą noc, ale żądali tyle, ile sama zarabiałam.

Musnęła ręką twarz. Spojrzała na plakat, stłumiła łzy.

– Nigdy nie przestałam martwić się o tego chłopca. Ale kiedy dorósł, zarzucał mi, że nie dbałam o niego, mówił, że zostawiałam go, bo mnie nie obchodził. Miał nawet pretensje, że sprzedałam motor ojca – uznał to za podłość, a nie objaw troski.

– Samotne wychowywanie dziecka – powiedziałem i pokręciłem głową, mając nadzieję, że będzie to wyglądać na oznakę współczucia.

– Pędziłam zawsze do domu o siódmej rano, mając nadzieję, że jeszcze śpi i będę mogła go obudzić udając, że byłam z nim przez całą noc. Na początku to skutkowało, ale wkrótce zorientował się i zaczął chować przede mną. Taka niby gra – zamykał się w łazience... – Zmięła chusteczkę, a jej twarz przybrała straszny wyraz.

– Już dobrze – powiedziałem – nie musisz...

– Nie ma pan dzieci. Nie rozumie pan, jak to jest. Kiedy był starszy miał kilkanaście lat – nie wracał na noc, czasem przez kilka dni, nigdy nie dzwonił. Kiedy zatrzymywałam go w domu, i tak się wymykał. Śmiał się tylko z każdej kary, jaką usiłowałam stosować. Kiedy starałam się porozmawiać z nim, rzucał mi to w twarz. Że pracowałam, zostawiając go samego. Wet za wet: ty wychodziłaś – teraz ja wychodzę. Nigdy mu...

Pokręciła głową.

– Nigdy mu nie pomogli – dokończyła. – Ani odrobiny... żaden z nich. Pana kumple, eksperci. Doradcy, specjaliści od dzieci trudnych, czy jak im tam. Każdy był ekspertem, tylko nie ja. Bo to ja stanowiłam problem, no nie? Wszyscy oni znakomicie potrafili oskarżać. Byli w tym rzeczywiście dobrzy. Co prawda żaden z nich mu nie pomógł – nie potrafił się niczego nauczyć w szkole. Z roku na rok było coraz gorzej, a oni wykręcali się sianem. Wreszcie zabrałam go do... jednego z was. Prywatny

blazen. Aż z Encino. Właściwie nie bardzo mogłam sobie na to pozwolić.

Rzuciła nazwisko, które nic mi nie mówiło.

– Nigdy o nim nie słyszałam – stwierdziłam.

– Wielkie biuro – ciągnęła. – Z widokiem na góry. I wszystkie te laleczki na półkach zamiast książek. Sześćdziesiąt dolców za godzinę, wtedy to było sporo. Ciągłe jest... szczególnie, za całkowitą stratę czasu. Dwa lata mamienia, oto co dostałam.

– Skąd go wytrzasnęłaś?

– Polecił mi go, gorąco polecił, jeden z lekarzy z Foothill. Najpierw sama sądziłam, że to bystry facet. Spędził z Reggie parę tygodni, nic mi nie mówiąc, potem wezwał mnie na naradę, wyjaśnił, że Reggie ma poważne problemy spowodowane sposobem, w jaki go wychowywałam. Stwierdził, że potrzeba długiego czasu, żeby to naprawić, ale on tego dokona. Jeśli. Cała lista „Jeśli”. Jeśli nie będę wywierała żadnego nacisku na syna, żeby zachowywał się właściwie. Jeśli będę go respektować jako osobę. Respektować jego prywatność. Jaką rolę mam w tym odegrać, zapytałam. Płacić rachunki i pilnować swego nosa, odparł. Reggie miał wyrobić w sobie poczucie odpowiedzialności – tak długo, jak ja będę to robić za niego, nigdy się nie poprawi. Ale tego, co ja powiedziałam jemu o Reggie nie potraktował jako rozmowy prywatnej. Dwa lata opłacałam tego oszusta, a skończyło się na tym, że chłopak znienawidził mnie z powodu tego, co ten człowiek wbijał mu do głowy. Dopiero później dowiedziałam się, że powtarzał mu wszystko, co mówiłam. Rozdmuchał to i pogorszył tylko sytuację.

– Złożyłaś zażalenie?

– Dlaczego? To ja byłam głupia. Że wierzyłam. Chce pan wiedzieć, jak głupia? Po tym... po tym jak Reggie... po tym jak sobie... po tym jak... zmarł – rok po tym, poszłam do innego. Z waszej paczki. Ponieważ moja przełożona uznała, że powinnam – co prawda nie płaciła za to. Nie dlatego, że źle wykonywałam swoje obowiązki, bo pracowałam dobrze. Ale nie mogłam spać ani jeść, ani cieszyć się życiem. Jakbym wcale nie żyła. Więc poleciała mi kogoś. Sądziłam, że może kobieta jest lepszym sędzią charakterów... Ten trefniś był z Beverly Hills. Sto dwadzieścia za godzinę. Inflacja, co? Nie żeby był więcej wart. Choć na początku wyglądał na jeszcze bardziej kompetentnego niż ten pierwszy. Spokojny. Uprzejmy. Prawdziwy dżentelmen. Przy tym sprawiał wrażenie, że rozumie. Czułam... rozmawiając z nim, czułam się lepiej. Na początku. Znow mogłam pracować. Wtedy...

Urwała, zacisnęwszy usta. Odwróciła ode mnie wzrok i skierowała go na ściany, na podłogę, na chusteczkę w swoim ręku. Wpatrywała się w wilgotny materiał ze zdziwieniem i odrazą.

Wypuściła chustkę, jakby była zawszona.

– Proszę mi wybaczyć – poprosiła. – Woda zatamowana.

Skinąłem głową.

Cisnęła mi chusteczkę. Złapałem ją.

– Bob Baseballista – rzuciła odruchowo. Wybuchnęła śmiechem. Stłumiła go.

Położyłem chusteczkę na stoliku.

– Bob Baseballista?

– Tak mówiliśmy – wyjaśniła tonem usprawiedliwienia. – Jimy, ja i Reggie. Kiedy Reggie był mały. Gdy ktoś zręcznie chwycił, nazywaliśmy go Bobem Baseballistą – głupie to było.

– W mojej rodzinie mówiliśmy „biorę cię do zespołu”.

– Taak, znam to.

Siedzieliśmy w milczeniu, czekając na inicjatywę partnera, jak bokserzy w trzynastej rundzie.

– To tyle. Moich tajemnic. Zadowolony?

Zadzwoił telefon. Podniosłem słuchawkę.

– Czy to doktor Delaware? – zapytała telefonistka.

– Słucham.

– Jest telefon do pana od doktora Sturgisa. Wzywa pana już od dziesięciu minut.

Vicki wstała.

Dałem znak, żeby zaczekała.

– Proszę mu przekazać, że oddzwonię.

Odłożyłem słuchawkę. Vicki ciągle stała.

– A ten drugi terapeuta – zapytałem. – Dopuścił się wobec ciebie nadużycia, prawda?

– Nadużycia? – Słowo to wyraźnie ją rozbawiło. – Że co? Jak wobec jakiegoś dziecka?

– To właściwie to samo, prawda? – powiedziałem. – Nadużył zaufania?

– Nadużył zaufania, co? Może raczej gwizdał na nie? Ale to w porządku. Dostałam nauczkę – wzmocniło mnie to. Teraz uważam, co mówię.

– Przeciw niemu też nie wniosłaś zażalenia?

– Skądże. Mówiłam już, że jestem głupia.

– Ja...

– Pewnie – powiedziała. – Tego mi było trzeba, jego słowo przeciw memu – komu by uwierzyli? Jego prawnicy zajęliby się moją przeszłością, odgrzebaliby wszystko – o Reggie. Eksperci stwierdziliby, że kłamałam i byłam parszywą matką... – Łzy popłynęły jej z oczu. – Chciałam, żeby mój chłopak spoczywał w spokoju, rozumie pan? Mimo że...

Uniosła ręce, składając dłonie.

– Mimo że co, Vicki?

– Mimo, że on nigdy nie dał mi spokoju. – Jej głos nabrał wysokiego, graniczącego z histerią tonu.

– Oskarżał mnie aż do końca. Nigdy nie wyzbył się już myśli, które ten pierwszy oszust wbił mu do głowy. To ja byłam zła. Ja nigdy o niego nie dbałam. Ja nie pozwalałam mu się uczyć i odrabiać lekcji. Ja nie kazałam mu chodzić do szkoły, bo guzik mnie to obchodziło. To przeze mnie opuścił się i zaczął ulegać złym wpływom i... To była moja wina w stu procentach, w stu pięciu...

Wybuchnęła śmiechem, od którego zjeżył mi się włos na karku.

– Chce pan usłyszeć coś poufnego – coś takiego, czego wy bardzo lubicie słuchać? To on dał mi książkę o tej dziwce z New Jersey. To był jego prezent dla mnie na Dzień Matki, jasne? Zapakowana w pudełku ze wstążeczkami i słowem „mama” na wierzchu. Drukowanymi literami, bo nie potrafił pisać kursywą, nigdy się tego nie nauczył – nawet jego drukowane litery były koślawe, jak u pierwszoklasisty. Od lat nie dawał mi prezentów, odkąd przestał opowiadać w domu, co chciałby kupić. Ale oto przyniósł prezent, małą, elegancko zapakowaną paczuszkę, a w środku znajdowała się ta używana tania książeczka o zmarłych dzieciach. Miałam zamiar ją wyrzucić, ale jednak przeczytałam. Chciałam sprawdzić, czy czegoś nie przeoczyłam. Może starał się przekazać mi coś, czego nie rozumiałam. Ale nie chodziło o nic takiego. To była czysta okropność. Ona była potworem, a nie prawdziwą pielęgniarką. I jedno wiedziałam sama, do jednego doszłam bez pomocy ekspertów – że ona nie ma ze mną nic wspólnego, jasne? Ona i ja należałyśmy do zupełnie różnych światów. Ja sprawiam, że dzieci czują się lepiej. Jestem w tym dobra. I nigdy ich nie krzywdzę, jasne? Nigdy. I będę im pomagać aż do końca życia.

## Rozdział osiemnasty

– Mogę już odejść? – zapytała. – Chciałabym umyć twarz.

Nie znajdując powodu, by ją zatrzymać, odparłem:

– Oczywiście.

Poprawiła czepek.

– Niech pan posłucha, dość mam już uzalania się, jasne? Najważniejsze, żeby Cassie wydobrzała. Nie żeby... – Zarumieniła się i ruszyła w stronę drzwi.

– Nie żebym mógł zrobić coś pożytecznego na tym oddziale? – dokończyłem.

– Nie żeby to było łatwe. To miałam na myśli. Jeśli właśnie panu uda się ustalić rozpoznanie, czapki z głów.

– A co sądzisz o tym, że lekarze nie mogą nic stwierdzić?

Zatrzymała się z ręką na klamce.

– Lekarze nie mogą stwierdzić wielu rzeczy. Gdyby pacjenci wiedzieli, jak wiele polega na zgadywaniu, wtedy... – Urwała. – Jeśli powiem więcej, znów narobię sobie kłopotów.

– Skąd ta pewność, że to coś organicznego?

– Bo cóż mogłoby być innego? Ci ludzie nie dokonują nadużyć wobec dzieci. Cindy jest jedną z najlepszych matek, jakie widziałam, a doktor Jones to dżentelmen w każdym calu. Nie dają odczuć kim są, nie odgrywiają panów na prawo i lewo, prawda? Jak dla mnie, to ludzie z prawdziwą klasą. Niech pan idzie i sam zobaczy – kochają tę dziewczynkę. To tylko kwestia czasu.

– Zanim co?

– Zanim ktoś dojdzie do tego, co jest nie w porządku. Spotykałam się z tym wiele razy. Lekarze nie mogą nic wymyślić, więc mówią o przyczynach psychosomatycznych. A potem bach, nagle ktoś znajduje coś, czego przedtem nie szukano, i mamy nową chorobę. Nazywają to postępem medycyny.

– A ty jak to nazywasz?

Patrzyła na mnie bez ruchu.

– Ja też nazywam to postępem.

Odeszła, a ja zostałem, rozmyślając. Skłoniłem ją do mówienia, ale czy dowiedziałem się czegoś?

Wróciłem myślami do okrutnego prezentu, jaki ofiarował jej syn. Czysta złośliwość? A może w ten sposób chciał jej coś przekazać?

Czy fakt, że powiedziała mi o tym jest częścią gry? Wyznała tylko to, co chciała, żebym wiedział?

Dumałem przez chwilę, ale nie doszedłem do niczego. Otrząsnąłem się z rozmyślań i poszedłem do 505W.

Cassie siedziała oparta na łóżku, ubrana w czerwoną piżamę w kwiaty, z białym kołnierzykiem i mankietami. Miała malinowe policzki, a włosy zebrane w kucyk związany białą kokardą. Odłączona kroplówka stała w kącie niczym metalowy strach na wróble. Na jej statywie wisiały puste torebki po glukozie. Jedynym świadectwem tego, że dziurawiono Cassie żyły, był mały, okrągły plaster na rękę i żółta plamka betadyny poniżej. Dziewczynka śledziła mnie błyszczącymi oczyma.

Cindy siedziała na łóżku obok niej, karmiąc ją łyżeczką płatkami zbożowymi. Miała na sobie koszulkę z napisem RATUJ OCEANY, bawełnianą spódnicę i sandały. Delfiny igrały na jej piersiach. Ona i Cassie były do siebie bardziej podobne niż kiedykolwiek.

Gdy się zbliżyłem, Cassie otworzyła buzię pełną kleiku zbożowego. Zbłąkana drobina osiadła na jej górnej wardze.

Cindy zdjęła ją.

– Połknij, kochanie. Cześć, doktorze Delaware. Nie spodziewaliśmy się pana dzisiaj.

Odłożyłem teczkę i siadłem w nogach łóżka. Cassie wydawała się zawstydzona, ale nieprzestraszona.

– A to dlaczego?

– Jest weekend.

– Wy jesteście tutaj, więc ja też przyszedłem.

– To bardzo miło z pana strony. Spójrz, kruszyno, doktor Delaware przyjechał tak daleko, żeby odwiedzić cię w sobotę.

Cassie spojrzała na Cindy, potem na mnie, ciągle niepewna.

Zastanawiając się, jaki wpływ na psychikę wywarł atak padaczki, zapytałem:

– Jak leci?

– Och, świetnie.

Dotknąłem dłoni Cassie. Przez sekundę pozostała nieruchoma, potem cofnęła ją powoli. Kiedy pogładziłem ją po brodzie, spojrzała na moją rękę.

– Cześć, Cassie – powiedziałem.

Dalej patrzyła przed siebie nieruchomym wzrokiem. Trochę mleka wyciekło jej z buzi. Cindy otarła jej usta i zamknęła delikatnie. Dziewczynka zaczęła żuć. Potem rozchyliła wargi i powiedziała z buzią pełną kleiku:

– Ćieś.

– Dobrze! – pochwaliła Cindy. – Cześć! Znakomicie, Cass!

– Ćieś.

– Bardzo dobrze sprawiliśmy się dziś z jedzeniem, doktorze. Sok, owoce i krakersy na śniadanie. A potem miałyśmy nasze śniadaniowe płatki na lunch.

– Świetnie.

– Naprawdę świetnie. – Mówiła wzruszonym głosem.

Przypomniawszy sobie przelotny moment napięcia w czasie naszej ostatniej rozmowy – wrażenie, że chce mi powiedzieć coś ważnego – zapytałem:

– Czy jest coś, o czym chciałabyś ze mną porozmawiać?

Dotknęła włosów Cassie. Mała zaczęła bawić się jakimś rysunkiem.

– Nie, chyba nie.

– Doktor Eves mówi, że wkrótce wracacie do domu.

– Tak mówi. – Poprawiła Cassie kucyk. – Czekam na to z niecierpliwością.

– Ja myślę – odpadem. – Żadnych lekarzy przez pewien czas.

Spojrzała na mnie.

– Lekarze byli wspaniali. Wiem, że robili, co mogli.

– Zetknęłaś się z najlepszymi – potwierdziłem. – Bognerem, Torgesonem, Macauleyem, Dawn Herbert.

Brak reakcji.

– Macie jakieś plany po powrocie do domu?

– Powrót do normalności.

Zastanawiając się, co ma na myśli, powiedziałem:

– Chciałbym odwiedzić was już niedługo.

– Och – oczywiście. Będzie pan mógł rysować z Cassie przy jej stolyczku do zabawy. Na pewno

znajdziemy dla pana odpowiedni stołek – prawda, Cass?

– Tołep.

– Dobrze! Stołek.

– Tołep.

– Znakomicie, Cass. Czy chcesz, żeby doktor Delaware rysował z tobą przy twoim stolczku? – Kiedy dziewczynka nie odpowiadała, Cindy powtórzyła: „Rysować? Rysować obrazki?” naśladowując ręką gesty kreślenia.

– Sobą.

– Tak, rysować. Z doktorem Delaware.

Cassie spojrzała na nią, na mnie. Potem skinęła głową. A wreszcie uśmiechnęła się.

Zostałem jeszcze chwilę, zabawiając ją i wypatrując oznak ponapadowych uszkodzeń układu nerwowego. Cassie wyglądała normalnie, ale wiedziałem, że zmiany w mózgu mogą być bardzo subtelne. Tysięczny już chyba raz zastanawiałem się, co się dzieje w jej drobnym ciałku.

Cindy była dość przyjacielska, ale nie mogłem pozbyć się wrażenia, że jej entuzjazm dla moich usług rozwiął się. Siedziała na leżance i szcztokowała włosy przeglądając „TV Guide”. Powietrze w szpitalu było chłodne i suche, włosy trzaskały za każdym pociągnięciem. Przez jedyne okno wpadało do pokoju północne światło, słomkowożółty promień, który przebił się przez smog i rozprysnął na bajkowym motywie tapety. Dolna krawędź promienia prześlizgiwała się po długich ciemnych pasmach, nadając im metaliczny połysk.

Wywołało to niesamowity efekt wizualny. Wyglądała pięknie. Nigdy nie wydawała mi się pociągająca – zbyt byłem zajęty rozważaniami, czy nie jest potworem. Ale widząc ją ozłoconą w ten sposób, zdałem sobie sprawę, jak mało zajmowała się swoim wyglądem zewnętrznym.

Nie mogłem dumać o tym dłużej, bo drzwi otworzyły się i wszedł Chip, niosąc kawę. Miał na sobie granatową bluzę i sportowe buty. Włosy wyglądały na świeżo umyte. W uchu iskrzył się brylant.

Przywitał mnie z kumpłowską wylewnością, ale w jego uprzejmych słowach pobrzękiwały twardsze tony – opór podobnie jak u Cindy. Nasunęło mi to myśl, że oboje rozmawiali na mój temat. Kiedy siadł pomiędzy mną a Cassie, wstałem mówiąc:

– No, to do zobaczenia.

Nikt nie zaprotestował, mimo że Cassie wciąż patrzyła na mnie. Uśmiechnąłem się do niej. Przyglądała się jeszcze przez chwilę, potem skupiła uwagę na rysunku. Zebrałem swoje rzeczy i ruszyłem ku drzwiom.

– Na razie, doktorze Delaware – rzekła Cindy.

– Na razie – zawtórował Chip. – Dzięki za wszystko.

Spojrzałem ponad jego ramieniem na Cassie. Pomachałem jej. Uniosła rączkę, zginając palce. Kucyk znów był w nieładzie. Miałem ochotę chwycić ją i zabrać ze sobą do domu.

– Pa, kruszyno.

– Pa.

## Rozdział dziewiętnasty

Musiałem oderwać się od szpitala.

Czując się jak ząbkujący szczeniak, który nie ma co gryźć, wyjechałem z parkingu i ruszyłem przez Hillhurst w stronę restauracji na końcu ulicy, o której dowiedziałem się kiedyś od Mila, choć sam tam jeszcze nie byłem. Kontynentalne, tradycyjne potrawy, opatrzone autografami fotografie znakomitości średniego kalibru, ciemna boazeria na ścianach przesycona zapachem nikotyny.

Wywieszka w holu oznajmiała, że restauracja będzie nieczynna przez najbliższe pół godziny, ale salka koktajlowa przyjmuje zamówienia na kanapki.

Przy barze pracowała ubrana w smoking kobieta w średnim wieku o nieprawdopodobnie czerwonych włosach. Kilku ostro pijących mężczyzn siedziało na wyściełanej kanapie w kształcie podkowy, żując kostki lodu, pogryzając solone orzeszki i poświęcając resztę uwagi scenie pościgu samochodów na ekranie. Telewizor umieszczony był na podwieszanej pod sufitem półce. Przypomniał mi ten, który widziałem właśnie w pokoju Cassie.

Szpital... zdominował moje myśli, tak jak przed laty. Rozluźniłem krawat, usiadłem i zamówiłem firmową kanapkę i piwo. Kiedy barmanka odwróciła się, żeby to przygotować, poszedłem do automatu w końcu sali i zadzwoniłem do Parker Center.

– Archiwa – odezwał się Milo.

– Doktor Sturgis?

– No proszę, czyż to nie doktor Włóczykij? Taa, uznałem, że posłużenie się tytułem to najlepszy sposób, by skłonić ich tam do działania.

– Gdyby tylko tak było – odparłem. – Przepraszam za opóźnienie, ale byłem zajęty z Vicki Bottomley, a potem z Cassie i jej rodzicami.

– Coś nowego?

– Niewiele, tylko Jonesowie wydali się trochę oziębli.

– Może czują się zagrożeni. Nie zachowujesz dystansu.

– Niby czym. Co do Vicki, odegraliśmy małą psychodramę – usiłowałem oczyścić atmosferę, trochę ją przycisnąć. Zarzuciła mi, że podejrzewam ją, iż krzywdzi Cassie. Więc zapytałem, czy rzeczywiście to robi, wtedy eksplodowała. Skończyło się na tym, że opowiedziała mi wybieloną wersję historii swego syna, dodawszy coś, o czym nie wiedziałem: Reggie ofiarował jej książkę jako prezent na Dzień Matki. Autentyczna opowieść o pielęgniarce z New Jersey, która mordowała dzieci.

– Ładny prezent. Sądziś, że chciała ci coś przekazać?

– Sam nie wiem. Może powinienem powiedzieć Stephanie, żeby odsunęła ją od sprawy i zobaczyć, co się stanie. O ile można ufać Stephanie. Tymczasem mamy tę Dawn Herbert. Nie dość, że ją zamordowano, to jeszcze była kleptomanką.

Przedstawiłem mu swoją hipotezę o szantażu.

– Co o tym sądzisz?

– Aha... tak – powiedział odchrząkując – to na pewno dobre pytanie, proszę pana, ale te informacje nie są aktualnie dostępne w naszej bazie danych.

– Nie możesz rozmawiać?

– Tak jest, proszę pana. Bezzwłocznie, proszę pana. – Chwilę później dodał ściszym głosem: „Góra” robi obchód, jakiś zjazd szyszek policyjnych w czasie weekendu. Schodzę z dyżuru za pięć minut. Co powiesz na późny lunch albo wczesny obiad – powiedzmy za pół godziny?

– Zacząłem bez ciebie – oznajmiłem.

– Co za typ. Gdzie jesteś?

Powiedziałem mu.

– Dobrze – odparł, ciągle niezbyt głośno. – Zamów dla mnie grochówkę na kości od szynki i pierś kurczęcia z farszem kukurydzianym, podwójnym.

– Na razie robią tylko kanapki.

– Zanim tam dojadę, zaczną podawać solidniejsze dania. Powiedz, że to dla mnie. Zapamiętałeś zamówienie?

– Zupa, kość, kurczę, podwójny farsz.

– Jak kiedyś wznowią „Trzydzieści dziewięć kroków”, możesz grać Pana Mózgowicza. Niech zgrają czasy, żeby nic nie wystygło. Do tego ciemne beczkowe. Irlandzkie – będą wiedzieć, o co chodzi.

Wróciwszy do sali, przekazałem barmance zamówienie Mila i poprosiłem, żeby podali mi kanapkę, dopiero kiedy przyjdzie. Skinęła głową, zadzwoniła do kuchni, po czym podała mi piwo i talerzyk migdałów. Zapytałem, czy nie ma gazety.

– Przykro mi – odparła, spoglądając na stałych bywalców. – Nikt tu nie czyta. Niech pan sprawdzi w automacie obok wejścia.

Gdy wyszedłem na Hillhurst, oślepiło mnie słońce. Wzdłuż chodnika stały cztery automatyczne dystrybutory gazet. Trzy były puste, a jeden zdemolowany i pokryty graffiti. Ostatni był wypełniony po brzegi pisemkami obiecującymi BEZPIECZNY SEKS, LUBIEŻNE DZIEWCZYNIKI I SPROŚNE IGRASZKI.

Wróciłem do baru. Zmieniono kanał – siedł teraz klasyczny western. Kwadratowe szczęki, osowiałe psiny i długie ujęcia wyschniętych lasostepów. Bywalczy wpatrywali się zauroczeni w ekran. Zupełnie jakby nie kręcono tego tuż za wzgórzem, w Burbank.

Milo pojawił się trzydzieści sześć minut później. Machnął na mnie, przechodząc obok baru w stronę sali restauracyjnej. Zabrałem swoje piwo i pospieszyłem za nim. Kurtkę miał przewieszoną przez ramię, a koniec krawata zatknięty za pasek, który rozciągał się pod ciężarem brzucha. Kilku moczymordów uniosło wzrok, obserwując go apatycznie, lecz wciąż czujnie. Nie zwracał na to uwagi. Ale pewien byłem, że cieszyłby się, wiedząc, jak bardzo jeszcze czuć go było gliniarzem.

W głównej sali jadalnej nie było nikogo oprócz pomocnika kelnera, który czyścił dywan w kącie ręczną maszynką. Ukazał się starszy, żylasty kelner amerykański gotyk na diecie głodowej – niosący miękkie obwarzanki, piwo dla Mila i talerzyk czerwonych papryczek i nadziewanych oliwek.

– Jemu też, Irv – rzucił Milo.

– Oczywiście, panie Sturgis.

Kiedy kelner oddalił się, Milo dotknął mojej szklanki z piwem i powiedział:

– Zamienisz to na ciemne beczkowe, chłopcze. Ze zmęczonego wyrazu twoich oczu wnoszę, że zasłużyłeś sobie na to.

– O rety, tatusiu, dzięki. A mogę wziąć rowerek bez bocznych kółek?

Wyszczrzył zęby w uśmiechu, obciągnął krawat, rozluźnił całkowicie węzeł i zdjął go z szyi. Przeciagając ręką po twarzy, rozsiadł się wygodnie przy stoliku i parsknął.

– Jak się dowiedziałeś o zamordowaniu Herbert? – zapytał.

– Od jej byłych gospodarzy. – Streściłem rozmowę z Bobby i Benem Murtaugh.

– Budzili zaufanie?

Przytaknąłem.



– Wciąż są wstrząśnięci.

– No cóż – powiedział. – Nie ma nic nowego na temat tej sprawy. Jest w rejestrze komendy głównej jako sprawa otwarta. Ogólnie robi wrażenie dzieła sadystycznego psycha. Bardzo mało dowodów rzeczowych.

– Znów niskie prawdopodobieństwo wykrycia?

– Aha. Przy takich wariactwach można tylko liczyć na to, że bydlak zrobi to jeszcze raz i wpadnie. Paskudna sprawa, na dobitkę. Uderzono ją w głowę, poderżnięto gardło i wepchnięto do pochwy jakiś drewniany przedmiot – koroner znalazł drzazgi. To właściwie wszystkie dowody. Zdarzyło się to nieopodal klubu dla punków działającego w budynku hurtowni odzieżowej w Union District. Niedaleko Convention Center.

– Moody Mayan – dodałem.

– Od kogo to usłyszałeś?

– Od Murtaughów.

– Mają rację tylko w połowie – powiedział. – To było w Mayan Mortgage. Zamknęli interes parę tygodni później.

– Z powodu morderstwa?

– Skądże, do diabła. To tylko nakręciłoby interes. Alex, to jest świat nocnych łązęgów. Rozpieszczone dzieci z Brentwood i Beverly Hills zakładają łąchy z Rocky Horror Shaw i odstawiają brak zdrowego rozsądku. Krew i flaki – cudze – są właśnie tym, czego szukają.

– Pasuje do tego, co Murtaughowie opowiadali o Herbert. W dzień doktorantka, ale wieczorami robiła się na punka. Używała farby do włosów, którą można zmyć nazajutrz.

– Kalejdoskop L.A. – stwierdził. – Nic nie jest tym, na co wygląda... W każdym razie zamknęli lokal prawdopodobnie dlatego, że ferajna łatwo się nudzi – cała radocha w tym, żeby przenosić się z miejsca na miejsce. Metafora samego życia, co?

Udałem, że wkładam sobie palec do gardła.

Roześmiał się.

– Znasz tamten klub? – zapytałem.

– Nie, ale wszystkie są takie same – przenośne wyposażenie, brak zezwolenia na korzystanie z lokalu, brak licencji na wyszynk alkoholi. Czasami zajmują jakiś opuszczony budynek, nie kłopotując się koniecznością opłacenia czynszu. Zanim właściciel połapie się, co jest grane, albo wydział przeciwpożarowy zacznie się starać o zamknięcie lokalu, już ich nie ma. Cóż to szkodzi, że parę setek błaznów upiecze się żywcem.

Uniósł szklankę i umoczył górną wargę w pianie. Otarł ją i powiedział:

– Według ludzi z komendy głównej, jeden z barmanów widział, jak Herbert wychodzi z klubu z jakimś facetem tuż przed drugą rano. Poznał ją, bo tańczyła w klubie, a była jedną z niewielu tęgich dziewczyn, które wpuszczali. Ale nie potrafił powiedzieć nic dokładniejszego, poza tym, że facet wyglądał normalnie i był starszy do niej. Koroner stwierdził, że śmierć nastąpiła między drugą a czwartą, więc pasowałoby to do czasu podanego przez barmana. Koroner znalazł też w jej organizmie kokainę i alkohol.

– Dużo?

– Dość, by przyćmić jej rozsądek. O ile w ogóle coś takiego posiadała w co należy wątpić, biorąc pod uwagę fakt, że włóczyła się po Union District późną nocą, zupełnie sama.

– Gospodarze mówili, że była inteligentna – przygotowywała doktorat z biomatematyki.

– Taa. Cóż, są inteligentni i inteligentni. Samego zabójstwa dokonano w bocznej uliczce, parę przecznic od klubu. W tej jej małej mazdzie. Kluczyki były ciągle w stacyjce.

– Zabito ją w samochodzie?

– Na siedzeniu kierowcy, sądząc po sposobie, w jaki rozprysnęła się krew. Potem osunęła się na oba siedzenia. Ciało zostało znalezione tuż po wschodzie słońca przez robotników idących na ranną zmianę do hurtowni. Krew przeciekła przez podłogę na ulicę. Po pochyłości jezdni spłynęła na krawężnik i do kałuży. To kałuża zwróciła ich uwagę.

Kelner przyniósł moje piwo, miseczkę ostrzyg i zupę dla Mila. Zaczekał, aż ten skosztuje.

– Doskonała, Irv – rzekł Milo, a stary skinął głową i oddalił się.

Milo zjadł jeszcze kilka łyżek, oblizwał wargi i powiedział przez unoszącą się z talerza parę:

– Ruchomy dach mazdy był podniesiony, ale na brzegu nie stwierdzono śladów krwi, więc koroner jest przekonany, że kiedy to się zdarzyło, dach leżał opuszczony. Rozpryski wskazują, że ten, kto to zrobił znajdował się na ulicy, po stronie kierowcy. Stał nad dziewczyną, może jakieś pół metra z tyłu. Uderzył ją w głowę. Sądząc z uszkodzeń czaszki, cios musiał pozbawić ją przytomności albo nawet zabić. Potem przeciął jej tętnicę szyjną i tchawicę ostrym narzędziem. Załatwiwszy się z tym, zgwałcił ją drewnianym przedmiotem, więc może mamy do czynienia z nekrofilem.

– Wygląda to na żądzę niszczenia – stwierdziłem. – Jakaś mania.

– Albo sumienność – odparł, łykając zupę. – Miał na tyle zimnej krwi, żeby podnieść dach.

– Czy widziano, by tańczyła z kimś w klubie?

– Nie ma nic o tym w archiwach. Barman zauważył jej wyjście tylko dlatego, że zrobił sobie przerwę na papierosa, stał na zewnątrz.

– Nie brano go pod uwagę jako podejrzanego?

– Nie. Powiem ci jedno, dupek, który to zrobił, przyszedł przygotowany – pomyśl o tych wszystkich narzędziach. Alex, to zwierzę. Obserwuje klub, kręcąc się po okolicy, ponieważ wie, że można tam spotkać wiele kobiet. Czeka, aż dostrzeże dokładnie to, czego szuka. Samotny cel, być może pewien typ urody, albo po prostu postanowił, że właśnie dziś jest ta noc. A na dodatek samochód stoi w spokojnej, ciemnej uliczce. Z opuszczonym dachem. To tak, jakby Dawn mówiła: „Serdecznie zapraszam do napaści”.

– Brzmi rozsądnie – powiedziałem, czując, że robi mi się niedobrze.

– Doktorantka, co? Szkoda, że przerznęła egzamin z podstaw logiki. Nie chcę obwiniać ofiary, Alex, ale dodaj narkotyki i alkohol do jej sposobu bycia, a nie sprawia ona wrażenia damy o rozwiniętym instynkcie samozachowawczym. Co ukradła?

Kiedy mu opowiedziałem, przełknął jeszcze trochę zupy, wydlubał łyżeczką szpik z kości i zjadł go również.

– Murtaughowie mówili, że miała kupę forsy nawet po tym, jak rzuciła pracę – dodałem. – A właśnie dodałeś do jej budżetu wydatki na kokainę. Więc szantaż pasowałby, prawda? Uderzył ją fakt, że jedno dziecko Jonesów zmarło, a drugie wciąż wraca do szpitala z niewyjaśnionymi objawami. Kradnie dokument będący dowodem i stara się go wykorzystać, a teraz nie żyje. Tak samo, jak Ashmore.

Odstawił niespiesznie szklanę.

– Daleka droga, Alex, od ściągnięcia paru drobiazgów do zastawienia sieci na grube ryby. A biorąc pod uwagę fakty, nie ma powodu podejrzewać, że nie zarznął jej jakiś pomyleniec. Co się tyczy pieniędzy, to wciąż nie wiemy, czy nie pomagała jej rodzina. W takim układzie koka mogła być źródłem dochodów, nie wydatków, a dziewczyna – także dealerką.

– Gdyby dostawała pieniądze z domu, po co miałyby wynajmować tani pokój u Murtaughów?  
– Żeby móc się szlajać. Wiemy, że lubiła odgrywać komedie – całe to punkowanie. A kradzieże, które popełniła u swoich gospodarzy, były irracjonalne, a nie dla zysku. Są to właśnie rzeczy, które łatwo wychodzą na jaw. Alex, na mnie ona robi wrażenie osoby rozstrojonej. Nie jest to typ człowieka, który potrafiłby wymyślić i zrealizować wysokiej klasy plan szantażu.

– Nikt nie powiedział, że była w tym dobra. Zobacz, w jaki sposób skończyła.

Rozejrzał się po pustej sali, jakby nagle zainteresował się, czy nikt nie podsłuchuje. Opróżnił szklanek piwa, potem wziął łyżeczkę i zaczął popychać nią kość wokół talerza, niczym dziecko bawiące się łódeczką w małym zielonym basenie portowym.

– Sposób, w jaki skończyła – odezwał się wreszcie. – Więc kto ją zabił? Tata? Mama? Dziadek?

– Powiedziałbym raczej, że wynajęty pomocnik. Tacy ludzie nie wykonują osobiście brudnej roboty.

– Wynajęty, żeby pokrajać ją i zgwałcić drewnianym przedmiotem?

– Wynajęty, żeby upozorować robotę psycha, która nigdy nie zostanie wyjaśniona, o ile się nie powtórzy. Do licha, może Ashmore też był w to wplątany i temu samemu facetowi zapłacono, żeby dokonał pozorowanego rabunku.

– Masz fantazję – powiedział. – Siedzisz tam z tymi ludźmi, gawędzisz sobie, bawiąc się z ich dzieckiem i wymyślasz to wszystko?

– Sądziś, że moja hipoteza jest pozbawiona podstaw?

Zjadł jeszcze trochę zupy, zanim odpowiedział.

– Słuchaj, Alex, znam cię wystarczająco długo, żeby docenić twój sposób myślenia. Sądzę jednak, że w tej kwestii opierasz się wyłącznie na grze wyobraźni.

– Możliwe – odparłem. – Ale z pewnością jest to lepsze niż rozmyślanie o Cassie i wszystkim, czego dla niej nie robimy.

Podano pozostałe dania. Obserwowałem, jak Milo kraje kurczaka. Dzielił mięso, nie spiesząc się i wykazywał przy tym więcej rozważności i umiejętności chirurgicznych niż zdarzyło mi się dotąd widzieć.

– Pozorowany psychopatyczny mord na Herbert – powiedział. – Pozorowany napad rabunkowy na Ashmore'a.

– Był szefem Herbert. Posiadał komputery i sprawdzał pod względem toksykologicznym Chada Jonesa. Uzasadnione byłoby przypuszczenie, że wiedział o wszystkim, co robiła Herbert. A nawet jeśli nie, morderca Dawn mógł się zająć także nim, tak na wszelki wypadek.

– Dlaczego miałby mieszać się w szantaż? On był niezależny materialnie.

– Inwestował w nieruchomości – powiedziałem – a ceny spadają. A jeśli splukał się do czysta? A może nie rzucił hazardu, jak sądzi jego żona. Stracił wiele przy stole i potrzebował gotówki. Bogaci goście mogą zbiednieć, racja? Kalejdoskop L.A.

– Gdyby Ashmore miał takie zamiary – to tylko hipoteza – dlaczego chciałby wziąć Herbert na współniczkę?

– Kto mówi, że chciał? Sama mogła się czegoś dowiedzieć – wpadły jej w ręce jego dane z komputera i postanowiła pokombinować trochę na własną rękę.

Nic nie odrzekł. Wytarł wargi serwetką, chociaż nie jadł jeszcze kurczaka.

– Jednakże jest pewien problem – ciągnąłem. – Ashmore'a zabito dwa miesiące po Herbert. Jeżeli te zabójstwa są powiązane, dlaczego czekali tak długo z wyeliminowaniem go?

Zabębnił palcami po stole.

– No cóż... Spójrzmy na to inaczej, początkowo Ashmore nie wiedział, do czego zmierza Herbert, ale

dowiedział się później. Na podstawie danych, które ona umieściła w komputerze. I albo usiłował to wykorzystać, albo powiedział o nich niewłaściwej osobie.

– Wiesz co, to by się wiązało z czymś, co widziałem owego dnia. Huenengarth – szef ochrony – przynosił komputery Ashmore’a nazajutrz po morderstwie. Wtedy sądziłem, że zabiera sprzęt Ashmore’a, ale może Huenengarthowi zależało na tym, co było w komputerach. Na informacjach. On pracuje dla Plumba – więc praktycznie dla Chucka Jonesa. Milo, to prawdziwy fagas tej klikki. Nadto, jego nazwisko wypłynęło w czasie mojej wczorajszej rozmowy z panią Ashmore. To on dzwonił ze szpitala, żeby złożyć wyrazy współczucia. Załatwiał też certyfikat UNICEF-u i tabliczkę. Dziwne zajęcie jak na szefa ochrony, nie powiedziałbyś? Chyba że jego prawdziwym zamiarem było dowiedzieć się, czy Ashmore miał w domu komputer, a jeśli tak, wydobyć go stamtąd.

Milo spojrział na swój talerz. Wreszcie zaczął jeść. Szybko, automatycznie, bez wyraźnej przyjemności. Wiedziałem, jak wiele znaczy dla niego jedzenie, i czułem się podle, że zepsułem mu obiad.

– Intrygujące – powiedział – ale to ciągle jedno wielkie „Jeśli”.

– Masz rację – odparłem. – Dajmy temu spokój.

Odłożył widelec.

– W całym tym rozumowaniu tkwi jeden podstawowy szkopuł. Jeśli dziadek wiedział, że junior i/lub pani Juniorowa zabili Chada i zależało mu na zatuszowaniu sprawy na tyle, by zapłacić szantażyście i wynająć mordercę, dlaczego miałby pozwolić oddać Cassie do tego samego szpitala?

– Może nie wiedział, dopóki Herbert i/lub Ashmore nie przycisnęli go.

– Jeśli nawet. Dlaczego nie wysłać Cassie na leczenie gdzie indziej? Po co narażać się na kontakty z tymi samymi lekarzami, którzy zajmowali się Chadem i ryzykować, że dojdą do tych samych wniosków, co szantażyści? Takie postępowanie rodziny byłoby uzasadnione. Z Cassie nie jest wcale lepiej – sam mówiłeś, że Jones Junior wspominał o pomyłkach lekarskich. Nikt by ich nie winił za to, że zmienili zdanie. Można twierdzić, że rodzice krzywdzili dziecko, a dziadek osłania ich tak dalece, iż kazał zlikwidować szantażystę. Ale gdyby wiedział, że zatruwano Cassie, czy nie zechciałby wkroczyć i powstrzymać ich?

– Może nie jest wcale lepszy od nich – zasugerowałem.

– Rodzina psychów?

– Jak sądzisz, od kogo się zaczęło?

– Sam nie wiem...

– Może Chuck był brutalnym ojcem i od niego przejął to Chip. Sposób, w jaki rozwała szpital, z pewnością nie czyni z niego Pana Gołębie Serce.

– Pazerność finansisty to jedno, Alex. Patrząc, jak ktoś niszczy zdrowie twojej wnuczki, doprowadzając ją aż do ataków epileptycznych, to coś zupełnie innego.

– Tak – odparłem – pewnie to wszystko jest grą wyobraźni – zagalopowałem się. Może byś zaczął jeść? Twoje dziobanie działa mi na nerwy.

Uśmiechnął się na mój użytek i ujął widelec. Obaj udawaliśmy, że jesteśmy pochłonięci jedzeniem.

– Huenengarth – powiedział. – Nie wydaje się, by mogło być zbyt wielu ludzi o tym nazwisku w rejestrach. Jak ma na imię?

– Presley.

Uśmiechnął się.

– Jeszcze lepiej. Skoro o tym mowa, sprawdziłem Ashmore’a i Steph. On jest czysty, jeśli nie liczyć

kilku mandatów drogowych, których nie omieszkiał uiścić przed śmiercią. Ona była czysta przez długi czas, ale parę lat temu została zatrzymana za jazdę...

– Po pijanemu?

– Aha. Spowodowała kolizję, żadnych ofiar. Pierwsze wykroczenie, dostała wyrok z zawieszeniem. Skierowali ją pewnie do AA albo do poradni.

– Więc może dlatego się zmieniła?

– Jak to – zmieniła?

– Schudła, zaczęła się malować, modnie ubierać. Image młodej profesjonalistki. Ma w pokoju szykowną maszynkę do kawy. Prawdziwe espresso.

– Możliwe – powiedział. – Wyleczeni alkoholicy piją dużo mocnej kawy – zamiast alkoholu.

Myśląc o jego przelotnych flirtach z butelką, zapytałem:

– Sądysz, że ma to znaczenie?

– Co, tanto zatrzymanie? Natknąłeś się na jakieś dowody, że ciągle zagląda do kieliszka?

– Nie, ale nie szukałem ich.

– Są jakieś wyraźne związki między alkoholizmem a Munchhausenem?

– Nie. Ale przy jakichkolwiek problemach, picie pogarsza tylko sytuację. A jeśli miała typowe przeżycia warunkujące Munchhausena – przemoc, kazirodztwo, choroby – mógłbym zrozumieć, że zagląda do kieliszka.

Wzruszył ramionami.

– Sam sobie odpowiedziałeś na pytanie. Znaczy to przynajmniej tyle, że jest coś, o czym chciałaby zapomnieć. Co czyni ją podobną do większości z nas.

## Rozdział dwudziesty

Kiedy wyszliśmy z restauracji, Milo powiedział:

- Spróbuję dowiedzieć się wszystkiego, czego się da, o Dawn Herbert, choć nie biorę za to odpowiedzialności. Jaki będzie twój następny krok?
- Wizyta domowa. Może widząc ich w naturalnym otoczeniu doznam jakiegoś olśnienia.
- To brzmi rozsądnie. Do licha, będąc tam, mógłbyś trochę pomyszkować – masz doskonałą okazję.
- Dokładnie to samo powiedziała Stephanie. Sugerowała, żebym powęszył trochę w ich apteczce. Półzartem.

– Czemu nie? Wam, psychoanalitykom, płacą za to, żebyście szperali i grzebali. Nie potrzebujesz nawet nakazu rewizji.

Wracając do siebie, zatrzymałem się przed domem Ashmore'a – chcąc dowiedzieć się czegoś o Huenengarcie i zobaczyć, jak się miewa wdowa. Na drzwiach frontowych wisiał żałobny wieniec. Nikt nie odpowiadał na dzwonek.

Wróciłem do samochodu, włączyłem stereo i udało mi się jakoś nie myśleć przez całą drogę o śmierci i chorobach. Po przyjeździe do domu połączyłem się z biurem zleceń. Robin zostawiła kartkę, że wróci koło szóstej. Poranną gazetę położyła, jak zawsze starannie złożoną, na stole w jadalni.

Przypomniawszy sobie opryskliwą uwagę Kornblatta w kawiarence, przerzuciłem stronicę, żeby dowiedzieć się, co go tak wzburzyło. Nie znalazłem niczego na początku numeru ani w wiadomościach lokalnych, ale coś rzuciło mi się w oczy na drugiej stronie działu ekonomicznego.

Nigdy nie czytam wiadomości ze świata finansów, ale nawet gdybym je przeglądał, mógłbym to przeoczyć. Krótka notatka w dolnym rogu, obok kursów wymiany walut.

Nagłówek brzmiał: SŁUŻBA ZDROWIA W SEKTORZE PRYWATNYM: ZANIK OPTYMIZMU. Sens artykułu sprowadzał się do tego, że szpitalnictwo prywatne, uważane niegdyś na Wall Street za niezwykle dochodowy interes, okazało się być wszystkim, tylko nie tym. Twierdzenie to poparto przykładami zbankrutowanych szpitali i organizacji zajmujących się opieką medyczną oraz wywiadami z bonzami finansjery. Jednym z nich był George Plumb, były kierownik ekonomiczny w MGS Healthcare Consultants w Pittsburghu, obecnie pełniący tę samą funkcję w Western Pediatrics Medical Center w Los Angeles.

Pittsburgh... Firma, która zaopatrywała bibliotekę w przestarzały system komputerowy – BIO-DAT – też była z Pittsburgha.

Ręka rękę myje? Czytałem dalej.

Utyskiwania bonzów koncentrowały się na ingerencjach rządu i „ograniczającym rynek” cenniku opłat za usługi, ale wspomniano także o trudnościach dotyczących współpracy z towarzystwami ubezpieczeniowymi, zawrotnych cenach nowych technologii, żądaniach płacowych lekarzy i pielęgniarek oraz o tym, że koszty leczenia wykraczają poza statystyki.

„Jeden chory na AIDS może nas kosztować miliony” żalił się administrator ze Wschodniego Wybrzeża. „I wciąż nie widzimy światła w końcu tunelu. To choroba, o której nikt nie słyszał, kiedy układano plany. Reguły zmieniły się w trakcie gry.”

Zarządzający raz po raz przytaczali przykład epidemii AIDS, jakby choroba była brzydkim figlem wymyślonym po to, by wyprowadzić w pole ekspertów towarzystw ubezpieczeniowych.

Specjalny przyczynek Plumba w tej litanii narzekań dotyczył szpitali miejskich i trudności w ich prowadzeniu, wywołanych przez „niekorzystną sytuację demograficzną i problemy społeczne rejonu

wpływające na funkcjonowanie samej instytucji. Dodajmy do tego postępujące w szybkim tempie niszczenie obiektu i kurczące się dochody, i płacący pacjent oraz kierujący go lekarz nie są skłonni zawierać kontraktu”.

Zapytany o rozwiązanie, Plumb sugerował, że formuła przyszłości to „decentralizacja – zastąpienie wielkich szpitali miejskich małymi, łatwymi do zarządzania jednostkami opieki zdrowotnej, ulokowanymi strategicznie w rejonach podmiejskich wykazujących tendencję do rozwoju”.

„Jednakże”, przestrzegając, „planowanie przedsięwzięć na taką skalę musi być poprzedzone staranną analizą ekonomiczną. Nie należy też zapominać o innych aspektach, nie dotyczących finansów. Wiele szacownych instytucji inspirowane silnym poczuciem lojalności u osób, w których pamięci zachowały się wspomnienia dawnych, dobrych czasów”.

Nasuwało się nieodparte wrażenie, że jest to sonda – sprawdzenie reakcji opinii publicznej, zanim zaproponuje się radykalną operację: wystawienie „obektu” na sprzedaż i przeniesienie się na pastwiska podmiejskie. A przyparty do muru Plumb mógł zawsze ustosunkować się do swego komentarza jako bezstronnej analizy eksperta.

Uwaga Kornblatta o wyprzedawaniu nieruchomości szpitala brzmiała w tym kontekście raczej jak śmiały domysł, a nie paranoja.

Oczywiście Plumb był tylko rzecznikiem. Przemawiał w imieniu człowieka, którego właśnie zaproponowałem jako potencjalnego inspiratora morderstwa i pomocnika w znęcaniu się nad dzieckiem.

Przypomniałem sobie, co mówiła Stephanie o przeszłości Chucka Jonesa. Nim został prezesem rady Western Peds, zarządzał funduszem inwestycyjnym szpitala. Któż mógł wiedzieć lepiej, ile wynosi dokładna wartość aktywów Western Peds – nie wyłączając terenu – niż człowiek, który prowadził rachunki?

Wyobraziłem sobie jego, Plumba i siwych bliźniaków, Roberta i Novaka, przygarbionych nad zapleśniałą księgą rachunkową niczym drapieżniki z komiksu.

Czyżby żałoszna sytuacja finansowa szpitala spowodowana była czymś więcej niż niepomysłne trendy demograficzne i kurczące się dochody? Czyżby Jones obdzierał Western Peds z pieniędzy, doprowadzając do kryzysu i planował teraz ukrycie strat dzięki błyskotliwej sprzedaży nieruchomości?

I dodawał zniewagę do krzywd, biorąc tłustą prowizję za tę transakcję?

Strategicznie zlokalizowane w rejonach podmiejskich, wykazujących tendencję do rozwoju.

Jak te pięćdziesiąt parceli, które Chip posiadał w West Valley?

Ręka rękę myje...

Ale żeby to przeprowadzić, trzeba było zachowywać pozory; Jones i spółka wykazywali niezachwianą lojalność wobec miejskiego dinozaura, dopóki nie wyda ostatniego tchnienia.

Przerwanie leczenia wnuczki prezesa nie pasowałoby do tego obrazu.

Tymczasem jednak, można było podjąć kroki, żeby przyspieszyć śmierć dinozaura.

Zamykać programy kliniczne. Zniechęcać do badań naukowych. Zamrozić płace i utrzymywać zatrudnienie na zbyt niskim poziomie.

Skłonić starszych lekarzy do odejścia, zastępując ich niedoświadczonymi, żeby prywatni lekarze stracili zaufanie do szpitala i przestali kierować doń swoich płacących pacjentów.

Potem kiedy możliwość ratunku nie będzie już wchodzić w grę, wygłosić namiętne przemówienie o nierozwiązalnych kwestiach społecznych i konieczności nieustraszonego marszu ku przyszłości.

Zniszczyć szpital, żeby go uratować.

Gdyby Jonesowi i jego sługusom udało się to przeprowadzić, objawiliby się jako wizjonerzy mający

odwagę i przezorność, by podnieść z nędzy chylący się ku upadkowi przytułek i zastąpić go placówkami opieki zdrowotnej dla wyższej klasy średniej.

Nie było to pozbawione swego rodzaju występnego piękna.

Mężczyzna o wąskich wargach planujący wojnę na wyczerpanie przy pomocy wykresów, zestawień bilansowych i komputerowych wydruków.

Wydruki...

Huenengarth konfiskujący komputery Ashmore'a.

Czyżby szło tu o informacje niemające nic wspólnego z Zespołem Nagłej Śmierci Noworodków czy zatrucianiem dzieci?

Ashmore nie interesował się opieką nad chorymi, ale bardzo pociągał go świat finansjery. Czyżby wpadł na trop machinacji Jonesa i Plumba podsłuchiwał coś w podziemiach albo włamał się do niewłaściwej bazy danych?

Usiłował wykorzystać te wiadomości i zapłacił za to?

Daleka droga, powiedziała by Milo.

Przypomniałem sobie krótki moment, w którym zdołałem dostrzec pokój Ashmore'a, nim Huenengarth zamknął drzwi.

Jakież badania toksykologiczne można prowadzić bez probówek czy mikroskopów?

Ashmore zainteresował się księgami rachunkowymi i przyplącił to życiem... A co z Dawn Herbert? Dlaczego wyjęła kartę zmarłego dziecka? Dlaczego zamordowano ją dwa miesiące przed Ashmorem?

Niezależne scenariusze?

Jakaś zmowa?

Daleka droga... A jeśli nawet cokolwiek z tego było prawdą, co u licha miało to wspólnego z męczarniami Cassie Jones?

Zadzwoiłem do szpitala i poprosiłem pokój 505W. Nikt nie odbierał. Wykręciwszy numer jeszcze raz, zażądałem połączenia z dyżurką pielęgniarek Chappy Ward. Pielęgniarka, która podniosła słuchawkę, mówiła z hiszpańskim akcentem. Poinformowała mnie, że państwo Jones byli poza oddziałem, na spacerze.

– Coś nowego? – zapytałem. – Jeśli chodzi o jej stan?

– Nie jestem pewna – musi pan spytać lekarki prowadzącej. To chyba doktor...

– Eves.

– Tak, racja. Pracuję tu tymczasowo, nie znam dobrze tego przypadku.

Odłożywszy słuchawkę, spojrzałem przez kuchenne okno na korony drzew szarzejące w zachodzącym, cytrynowym słońcu. Podumałem jeszcze nad aspektem finansowym.

Pomyślałem o kimś, kto mógłby podszkolić mnie w tym względzie. O Lou Cestare, niegdyś złotym młodzieńcu giełdy, dziś ustatkowanym weteranie Czarnego Poniedziałku.

Krach zaskoczył go kompletnie i ciągle jeszcze nie udało mu się usunąć skaz z własnej reputacji. Ale dla mnie pozostawał najlepszy.

Przed laty oszczędziłem trochę gotówki, pracując po osiemdziesiąt godzin w tygodniu i niewiele wydając. Lou zapewnił mi niezależność materialną, inwestując te pieniądze w nieruchomości w gwałtownie rozwijającym się rejonie nadbrzeżnym, sprzedając je z niezłym zyskiem i lokując wszystko w pewnych papierach wartościowych i wolnych od podatku obligacjach. Unikał ryzykownych przedsięwzięć, gdyż wiedział, że zajmując się psychologią, nigdy nie stanę się bogaty, więc nie mogę sobie pozwolić na poważniejsze straty.



Zyski z tych inwestycji napływały ciągle, powoli i równomiernie, dokładając się do moich dochodów z konsultacji sądowych. Nigdy nie będzie mnie stać na kupno płócien francuskich impresjonistów, ale jeśli żyłbym na umiarkowanej stopie, to pewnie nie musiałbym pracować, kiedy nie będę miał na to ochoty.

Lou natomiast był bardzo bogatym człowiekiem, nawet po stracie większości swoich aktywów i niemal wszystkich klientów. Czas swój dzielił między łajbę na Południowym Pacyfiku a posiadłość w Willamette Valley.

Zadzwoiłem do Oregonu i porozmawiałem z jego żoną. Miała pogodny jak zawsze głos, zastanawiałem się, czy to siła charakteru czy umiejętność zachowania pozorów. Odbyliśmy małą pogawędkę, a potem powiedziała mi, że Lou jest w stanie Waszyngton, na wycieczce z synem koło Mount Rainier, i nie spodziewała się go wcześniej niż następnego dnia wieczorem lub w poniedziałek rano. Przekazałem moją listę zamówień. Niewiele jej to mówiło, ale wiedziałem, że nigdy nie rozmawiają z Lou o pieniądzach.

Podziękowałem jej, życząc wszystkiego najlepszego, i odłożyłem słuchawkę.

Potem wypłem kolejną filiżankę kawy i czekałem aż przyjdzie Robin i pomoże mi zapomnieć o przeżyciach dnia.

## Rozdział dwudziesty pierwszy

Niosła dwie walizki i wyglądała na zadowoloną. Trzecia została w jej nowym wozie. Przyniósłszy ją, obserwowałem, jak rozpakowuje i wiesza ubrania, wypełniając miejsce w szafie ściennej, które pozostawało puste przez ponad dwa lata.

Siadła na łóżku, uśmiechając się:

– No, jestem.

Pieściliśmy się trochę, przyglądaliśmy rybkom, a potem pojechaliśmy na baraninę z rusztu do zacisznego lokalu w Brentwood, gdzie byliśmy najmłodszymi gośćmi. Resztę wieczoru po powrocie do domu spędziliśmy słuchając muzyki, czytając i grając w remika. Było romantycznie, trochę geriatrycznie, ale bardzo dobrze. Nazajutrz poszliśmy na spacer w dolinę, udawaliśmy obserwatorów ptaków i wymyślaliśmy nazwy dla skrzydlatych osobników, które udało nam się dostrzec.

Niedzielny lunch składał się z hamburgerów i mrożonej herbaty podanych na tarasie. Kiedy pozmywaliśmy naczynia, Robin pograżyła się w rozwiązywaniu niedzielnej krzyżówki, gryząc ołówki i marszcząc często brwi. Ja wyciągnąłem się na szezlongu, udając, że odpoczywam. Tuż po drugiej po południu odłożyła krzyżówkę mówiąc:

– Dosyć. Zbyt wiele francuskich słów.

Położyła się obok mnie. Chłonęliśmy ciepło słońca, aż dostrzegłem, że zaczyna się wiercić.

Nachyliłem się i pocałowałem ją w czoło.

– Uhm... mogę coś dla ciebie zrobić? – zapytała.

– Nie, dzięki.

– Na pewno?

– Aha.

Starając się zasnąć, zrobiła się jeszcze bardziej niespokojna.

– Chciałbym dziś w ciągu dnia zajrzeć do szpitala – powiedziałem.

– Och, jasne... Skoro cię nie będzie, też mogłabym wpaść do sklepu, zająć się paroma drobiazgami.

W pokoju Cassie nie było nikogo. Łóżko bez pościeli, zasłony zaciągnięte. Na dywanie widniały podłużne ślady pozostawione przez odkurzacz. Łazienka była goła i zdezynfekowana, sedes owinięty paskiem papieru higienicznego.

Gdy wychodziłem z pokoju, ktoś powiedział:

– Chwileczkę.

Znalazłem się tuż przed strażnikiem ochrony. Gładka, trójkątna twarz, zacięte wargi, okulary w czarnej oprawie.

Ten sam zuch, który zatrzymał mnie pierwszego dnia, żądając nowej plakietki.

Stał w progu, blokując drzwi. Wydawał się gotów do ataku.

– Przepraszam – powiedziałem.

Ani drgnął. Dziеляcy nas dystans był tak niewielki, że ledwo zdołałem spojrzeć w dół, by odczytać nazwisko na jego plakietce. Syfoester, A.D.

On spojrzał na moją i cofnął się o krok. Częściowy odwrót, ale nie na tyle, żeby mnie przepuścić.

– Widzi pan, mam nową – rzekłem. – Piękna i lśniąca, w kolorze. A teraz, czy mógłby pan łaskawie zejść mi z drogi i pozwolił iść, zając się moimi sprawami?

Spojrzał parę razy w dół i w górę, porównując moją twarz z fotografią. Odstępując na bok, powiedział:

– Ten oddział jest zamknięty.

– To widzę. Na jak długo?

– Aż go otworzą.

Minąwszy strażnika, ruszyłem w stronę tekowych drzwi.

– Szuka pan czegoś konkretnego? – zapytał.

Przystanąłem i odwróciłem się znów twarzą do niego. Jedna ręka spoczywała na kaburze pistoletu, w drugiej trzymał pałkę.

Tłumiąc impuls, by warknąć na niego, powiedziałem:

– Odstap, przyjacielu. Przyszedłem odwiedzić pacjenta. Kiedyś leczono ich tutaj.

Korzystając z telefonu na oddziale otwartym, zadzwoniłem do izby przyjęć. Potwierdzono tam, że Cassie wypisano przed godziną. Zszedłem schodami na pierwsze piętro, gdzie kupiłem wodnistą colę z automatu. Niosąc ją przez hol wejściowy, napotkałem George'a Plumba i Charlesa Jonesa, Juniora. Szli, śmiejąc się, rażnym krokiem, który sprawiał, że krótkie, pałkowate nogi Jonesa uginały się rytmicznie. Nie bardzo przypominał zatroskanego dziadka.

Dochodzili właśnie do drzwi, kiedy się pojawiłem. Jones dostrzegł mnie i jego usta znieruchomiały. Parę sekund potem to samo stało się ze stopami. Plumb także się zatrzymał, pozostając nieco w tyle za swoim szefem. Cerę miał bardziej różową niż zwykle.

– Doktorze Delaware – powiedział Jones. Jego chropawy głos sprawił, że zabrzmiało to jak ostrzegawcze warknięcie.

– Panie Jones.

– Ma pan chwilkę czasu, doktorze?

– Jasne – odparłem, nie spodziewając się pytania.

Rzucając okiem na Plumba, powiedział:

– Złapię cię później, George.

Plumb skinął głową i odmaszerował, machając ramionami.

– Jak się ma moja wnuczka? – zapytał Jones, gdy zostaliśmy sami.

– Ostatni raz, kiedy ją widziałem, wyglądała lepiej.

– To dobrze. To dobrze. Właśnie idę ją odwiedzić.

– Wypisano ją.

Jego siwe brwi zjeżyły się nierównomiernie, każdy wiecheć stalowych włosków skierowany był pod innym kątem. Poniżej brwi widniały wybrzuszenia tkanki bliznowatej. Oczy zwężyły mu się. Po raz pierwszy zauważyłem, że są wodnisto-brązowe.

– Ach tak? Kiedy?

– Godzinę temu.

– Cholera. – Ścisnął złamany nos, poruszając koniuszkiem na boki. Wpadłem specjalnie, żeby ją odwiedzić, bo nie miałem okazji zrobić tego wczoraj – przeklęte zebrania przez cały dzień. Wie pan, to moja jedyna wnuczka. Śliczne maleństwo, prawda?

– Owszem. Dobrze by było, gdyby wyzdrowiała.

Wpatrywał się we mnie. Wsadził ręce do kieszeni, stuknął pantoflem o marmurową posadzkę. Echo rozeszło się po prawie pustym holu. Powtórzył to. Jego postawa straciła dotychczasową sztywność, ale wyprostował się szybko. Powieki wodnistych oczu opadły.

– Znajdźmy jakieś miejsce, żeby pogadać – rzucił i pognął przez hol, odzyskawszy pewność siebie. Solidnie zbudowany, tryskający energią człowieczek, zachowujący się tak, jakby pewność siebie była

zakodowana w jego genach. Pobrzękiwał w rytm kroków.

– Nie utrzymuję tu biura – oznajmił. – Przy wszystkich tych problemach finansowych i braku miejsca, ostatnią rzeczą, na jakiej mi zależy, jest to, by uważano, że jestem niekonsekwentny.

Gdy przechodziliśmy koło wind, jedna z nich właśnie się zatrzymała. Szczęście magnata. Wkroczył bez wahania do środka, jakby zarezerwował przejazd i wcisnął guzik podziemia.

– Może w jadalni? – zaproponował, kiedy zjeżdżaliśmy w dół.

– Jest zamknięta.

– Wiem o tym – odparł. – Bo to ja skróciłem godziny otwarcia.

Winda stanęła. Jones wyszedł i ruszył ku zamkniętym drzwiom kawiarenki. Wydobył z kieszeni spodni pęk kluczy – brzękadło – przesunął po nich kciukiem i wybrał jeden.

– Zrobiliśmy wcześniej przegląd dotyczący wykorzystania pomieszczeń. Wykazał on, że prawie nikt nie bywa tu o tej porze dnia.

Przekręcił klucz w zamku i otworzył drzwi.

– Przywilej zarządzającego – skomentował. – Niezbyt to demokratyczne, ale w takim miejscu demokracja na nic się nie zda.

Wszedłem do środka. W pokoju panowały egipskie ciemności. Zacząłem obmacywać ścianę, szukając kontaktu, za to on podszedł do niego bez wahania i przycisnął. Część podświetlanych jarzeniówkami taflí z matowego szkła zadrgała i rozbłysła jasno.

Wskazał stolik w środku sali. Usiadłem, a on poszedł za kontuar, nalał do kubka wody z kranu i wrzucił plasterki cytryny. Potem wydobył coś spod kontuaru – kawałek ciasta – i położył na talerzyku. Poruszał się szybko i pewnie, jakby był we własnej kuchni.

Wrócił do mnie, zjadł kęs, wypił łyżeczek i sapnął z ukontentowaniem.

– Ona powinna być zdrowa, do cholery – stwierdził. – Doprawdy nie rozumiem, dlaczego, u diabła, nie jest, a nikt nie może udzielić mi rzeczowych wyjaśnień.

– Rozmawiał pan z doktor Eves?

– Z Eves, z innymi, z nimi wszystkimi. Wygląda na to, że nikt nic nie wie. Ma pan już jakieś propozycje?

– Obawiam się, że nie.

Pochylił się do przodu.

– Jednego nie rozumiem. Po co pana wezwano? Proszę nie brać tego do siebie – nie pojmuję po prostu, do czego tu potrzebny psycholog.

– Naprawdę nie mogę o tym rozmawiać, panie Jones.

– Chuck. „Pan Jones” to piosenka tego kudłatego gościa, jak mu tam Boba Dylana? – Uśmiechnął się lekko. – Dziwi się pan, że to znam, co? To pana epoka, nie moja. Ale to dowcip rodzinny. Z dawnych czasów. Kiedy Chip był w szkole średniej. Zawsze na mnie najeżdżał. Spierał się o wszystko. Wszystko wyglądało o, tak.

Zgiął palce, zahaczył je, a potem starał się rozerwać, jakby przywarły do siebie.

– To były czasy – powiedział, uśmiechając się nagle. – Był moim jedynym synem, ale buntował się za pół tuzina. Ilekroć usiłowałem skłonić go, by coś zrobił, nie chciał, stawał dęba i wierzgał, mówiąc, że zachowuję się dokładnie jak w piosence tego Dylana Thomasa, o facecie, który nie wie, co jest grane – panu Jonesie. Puszczając to na cały regulator. Nigdy nie wsłuchiwałem się w słowa, ale pojąłem, w czym rzecz. Dzisiaj on i ja jesteśmy najlepszymi przyjaciółmi. Żartujemy sobie z tamtych dni.

Uśmiechnąłem się, myśląc o przyjaźni scementowanej przez transakcje nieruchomości.

– To solidny chłopak – powiedział. – Kolczyk i włosy są tylko elementem image'u – wie pan, że jest profesorem college'u, prawda?

Przytaknąłem.

– Dzieciaki, które uczy, uwielbiają takie rzeczy. Jest znakomitym nauczycielem, dostaje nagrody.

– Ach tak?

– Mnóstwo. Nigdy pan nie usłyszy, by chełpił się własnymi zasługami. Zawsze był taki. Skromny. Sam musiałem go chwalić. Zdobywał nagrody już będąc studentem. Poszedł do Yale. Zawsze miał do tego smykałkę, do nauczania. Uczył mniej zdolnych chłopaków ze swojej korporacji, pomagał im przejść na następny rok. Dawał też korepetycje dzieciakom ze szkoły średniej – dostał rekomendację. To przyrodzony dar, jak wszystko inne.

Dłonie miał ciągle złączone, jak dwa sękaty, grube uchwyty. Rozłączył je, rozpostarł dłonie na blacie. Złączył palce. Poskrobał fornir.

– Wydaje się, że jest pan z niego bardzo dumny.

– Z całą pewnością tak. Cindy także. Uroczą dziewczyną, bezpretensjonalną. Stworzyli coś trwałego – dowodem jest Cassie. Wiem, że nie mogę być obiektywny, ale dziewczynka jest czarująca, piękna i bystra. Na dobitkę ma miłe usposobienie.

– Niepośledni wyczyn – przyznałem. – Skoro tak.

Jego oczy błędziły przez moment. Zamknął je. Otworzył.

– Wie pan, że straciliśmy poprzednie dziecko, prawda? Piękny chłopczyk – śmierć w kołysce. Ciągłe nie wiadomo, dlaczego tak się dzieje.

Potrząsnąłem głową.

– To było piekło na ziemi, doktorze. Grom z jasnego nieba – jednego dnia jest tutaj, następnego... Nie rozumiem tylko, dlaczego nikt nie może mi wyjaśnić, co jest nie w porządku z tym dzieckiem.

– Tak naprawdę nikt tego nie wie, panie Chuck.

Machnął na to ręką.

– Wciąż nie rozumiem, dlaczego pan jest w to wmieszany. Proszę nie brać tego do siebie. Wiem, że słyszał pan rozmaite horrory o tym, dlaczego zlikwidowano psychiatrię. Ale w rzeczywistości nie ma to nic wspólnego z tym, czy uznaję potrzebę opieki nad zdrowiem psychicznym. Oczywiście, akceptuję ją – dlaczego miałbym się sprzeciwiać? Są ludzie, którzy potrzebują pomocy. Ale faktem jest, że maminsynki, które prowadziły psychiatrię, nie miały pojęcia, jak ułożyć budżet i trzymać się go, nie wspominając już o fachowym wykonywaniu własnej roboty. Z wypowiedzi innych lekarzy wynikało jasno, że byli niekompetentni. Oczywiście, jak dziś posłuchać ludzi, okazuje się, że pracowali tam sami geniusze – zniszczyliśmy kwitnący ośrodek psychiatryczny.

Wywrócił oczyma.

– Wszystko jedno. Miejmy nadzieję, że pewnego dnia będziemy w stanie stworzyć dobrą, solidną klinikę psychiatryczną. Sprowadzić paru czołowych specjalistów. Pracował pan tutaj, prawda?

– Przed laty.

Potrząsnąłem głową.

– Dlaczego pan odszedł?

– Z różnych przyczyn.

– Niezależność sektora prywatnego? Bądź swoim własnym szefem?

– Częściowo.

– Więc może po powrocie potrafi pan być obiektywny i zrozumieć, co mam na myśli. Mówiąc

o potrzebie efektywności. I realistycznego spojrzenia. Zasadniczo, widzę, że lekarze z sektora prywatnego rozumieją to. Bo prowadzenie prywatnej praktyki to biznes. Tylko ci, którzy żyją z... Ale nieważne. Wróćmy do tego, co mówiłem o pana zaangażowaniu w sprawę mojej wnuczki. Nikt nie ma chyba chętności twierdzić, że ma problemy z głową, prawda?

– Doprawdy, panie Chuck, nie mogę wdawać się w szczegóły.

– Dlaczego nie, u diabła?

– To poufne informacje.

– Chip i Cindy nie mają przede mną tajemnic.

– Musiałbym usłyszeć to od nich. Takie jest prawo.

– Twardziel z pana, co?

– Nieszczęśliwy. – Uśmiechnąłem się.

Odpowiedział również uśmiechem. Znów złączył dłonie. Napił się gorącej wody.

– W porządku. To pana biznes i powinien pan trzymać się swoich reguł. Będę musiał dostać od nich jakieś zezwolenie na piśmie.

– Chyba tak.

Uśmiechnął się szeroko. Zęby miał nierówne i brązowe.

– A tymczasem, czy ja mam prawo rozmawiać z panem?

– Jasne.

Zatrzymał wzrok na mojej twarzy, studiując ją z zainteresowaniem i równocześnie sceptycyzmem, jakby była raportem kwartalnym.

– Zakładam, że nikt na serio nie sądzi, iż dolegliwości Cassie mają charakter psychiczny, bo to byłoby po prostu śmieszne.

Przerwał. Obrzucił mnie szacującym spojrzeniem. Liczył na jakiś gest sugerujący odpowiedź?

Postarałem się pozostać bez ruchu.

– Cóż – odezwał się – jedyny inny pomysł, jaki mi przychodzi do głowy, żeby wytłumaczyć pana udział w tej sprawie, to fakt, że ktoś sądzi, iż coś jest nie w porządku z Chipem lub Cindy. To śmieszne.

Poprawił się na siedzeniu. Obserwował mnie dalej. Na jego twarzy pojawił się wyraz triumfu. Byłem pewien, że nawet nie mrugnąłem. Zastanawiałem się, czy dostrzegł coś, czy tylko blefował.

– Psychologów wzywa się nie tylko po to, żeby analizowali, panie Chuck – wyjaśniłem. – Pomagamy też ludziom znosić stresy.

– Jako płatni przyjaciele, co? – Znów poruszał nosem, wstał i uśmiechnął się. – No cóż, więc bądź pan dobrym przyjacielem. To dobre dzieci. Wszyscy troje.

## Rozdział dwudziesty drugi

Odjeżdżałem, usiłując odgadnąć, co chciał w rozmowie ze mną osiągnąć, i czy mu się to udało.

Zamierzał przedstawić się jako zatroskany dziadek?

Chip i Cindy nie mają przede mną tajemnic.

Tym niemniej Chip i Cindy nie zadali sobie trudu, żeby poinformować go, iż Cassie została wypisana. Uprzytomniłem sobie, że w czasie moich kontaktów z nimi obojgiem, nie wspomnieli o ojcu ani razu.

Zwarty wewnętrznie człowieczek, dla którego wszystko było interesem nawet w ciągu kilku minut, jakie spędziliśmy razem, mieszał sprawy rodzinne z problemami szpitala.

Nie stracił ani chwili na dyskusję, nigdy nie starał się skłonić mnie do zmiany zdania.

Zamiast tego wolał kierować rozmową.

Nawet wybór miejsca spotkania był wykalkulowany. Jadalnia, którą zamknął i traktował teraz jak własną kuchnię. Przygotowywał przekąski dla siebie, ale nie dla mnie.

Wymachiwał pękiem kluczy, dając mi do zrozumienia, iż może otworzyć każde drzwi w szpitalu. Chętnie się tym, ale sugerował, że jest zbyt prawy, by zagarniać dla siebie powierzchnię biurową.

Sprokował rozmowę na temat mojej domniemanej wrogości do człowieka, który złupił psychiatrię, a potem starał się mnie ułagodzić proponując łapówkę na tyle subtelnie, żeby wyglądało to na przypadkowo rzuconą uwagę.

Miejmy nadzieję, że pewnego dnia będziemy w stanie utworzyć dobrą, solidną klinikę psychiatryczną. Sprowadzić paru czołowych specjalistów... Nie miałby pan ochoty wrócić?

Kiedy wysunąłem obiekcje, wycofał się natychmiast.

Sympatyzował z moim rozsądnym podejściem, a następnie posłużył się nim dla poparcia własnego punktu widzenia.

Będąc hodowcą świń, nauczyłyby się kwiczeć jak one.

Musiałem zatem przyjąć, że choć spotkanie nasze było przypadkowe, to gdybyśmy nie wpadli na siebie w najbliższym czasie, zaaranżowałby je.

Nie przejmował się tym, co myśli o nim taka płotka jak ja.

Chyba że dotyczyło to Cassie, Chipa i Cindy.

Chciał wy badać, czego dowiedziałem się o jego rodzinie.

A zatem było coś do ukrycia, a on nie wiedział, czy to wyśledziłem.

Przypomniało mi się strapienie Cindy: ludzie muszą myśleć, że oszalałam.

Czy przeżyła w przeszłości jakieś załamanie nerwowe?

Cała rodzina obawiała się badań psychologicznych?

A jeśli tak, to czy istnieje lepsze miejsce, by uniknąć dokładnej kontroli, niż szpital bez oddziału psychiatrii?

Kolejny powód, żeby nie przenosić Cassie.

A wtedy Stephanie zepsuła wszystko, sprowadzając niezależnego psychologa.

Przypomniałem sobie zdziwienie Plumba, kiedy powiedziała mu, kim jestem.

Teraz jego szef sprawdził mnie osobiście.

Kierując rozmową. Malując w różnych barwach wizerunek Chipa i Cindy.

Głównie Chipa – uprzytomniłem sobie, jak mało wypowiedzi poświęcił Cindy.

Ojcowska duma? Czy odwrócenie mojej uwagi od synowej, ponieważ im mniej zostanie o niej

powiedziane, tym lepiej.

Zatrzymałem się na czerwonym świetle na rogu Sunset i La Brea.

Moje ręce zaciśnięte były na kierownicy. Przebyłem kilka mil, nie zdając sobie z tego sprawy.

Wróciłem do domu w podłym nastroju i wdzięczny byłem Robin, że jej tam nie ma, by go ze mną dzielić.

Telefonistka z biura zleceń poinformowała mnie:

– Nic, doktorze Delaware. Czyż to nie miłe?

– Ja myślę. – Pożyczeliśmy sobie wzajemnie przyjemnego dnia.

Niezdolny wyzbyć się myśli o Ashmore i Dawn Herbert, pojechałem na uniwersytet. Skręciwszy na campus od północy, posuwałem się na południe aż do Medical Center.

W korytarzu wiodącym do Biblioteki Biomedycznej wystawiono nową ekspozycję na temat historii leczenia pijawkami – średniowieczne ryciny i woskowe modele pacjentów, na których biesiadowały gumowe pasożyty. Czytelnia główna miała być otwarta jeszcze przez dwie godziny. Jedyna bibliotekarka, przystojna blondyna, siedziała przy kontuarze informacji.

Przejrzałem „Index Medicus”, szukając artykułów Ashmore’a i Herbert i napotkałem cztery, jego autorstwa, wszystkie opublikowane w ciągu ostatnich dziesięciu lat.

Najwcześniejszy ukazał się w biuletynie Światowej Organizacji Zdrowia podsumowanie jego pracy nad chorobami zakaźnymi w południowym Sudanie, podkreślające trudności prowadzenia badań naukowych na terenie rozdartym wojną domową. Styl był chłodny, ale między wierszami wyczuwało się gniew.

Trzy pozostałe teksty opublikowano w czasopismach biomatematycznych. Pierwszy, dotowany przez Narodowy Instytut Zdrowia, zawierał uwagi Ashmore’a na temat katastrofy na Love Canal. Drugi, finansowany z funduszy federalnych, był przeglądem zastosowań matematyki w naukach biologicznych. Konkluzja Ashmore’a: „Istnieją kłamstwa, cholerne kłamstwa i statystyka”.

Ostatnie doniesienie było pracą, o której mówiła pani Ashmore: analiza zależności między kumulacją pestycydów w glebie a częstotliwością występowania białaczki, guzów mózgu oraz raka wątroby i układu limfatycznego u dzieci. Rezultaty nie były oszałamiające – istniała nieznacząca zależność między chemikaliami a chorobami, ale nie była ona znacząca pod względem statystycznym. Lecz Ashmore stwierdził, że jeśli uda się dzięki temu uratować choć jedno życie, wysiłek opłacił się.

To nieco płaczliwe usprawiedliwianie samego siebie nie pasowało do tekstu naukowego. Sprawdziłem, kto finansował studium: Instytut Badań Chemicznych Ferrisa Dixona z Norfolk w Wirginii. Dotacja nr 37959.

Wyglądało to na fasadę jakiegoś koncernu, choć reprezentowany przez Ashmore’a punkt widzenia nie czynił z niego prawdopodobnego obiektu hojności przemysłu chemicznego. Ciekaw byłem, czy brak dalszych publikacji wynikał z faktu, że instytut cofnął dotację.

A jeśli tak, to kto płacił za niego w Western Peds?

Poszedłem do bibliotekarki i zapytałem, czy nie ma zestawienia dotacji na cele naukowe pochodzących od prywatnych agencji.

– Jasne – odparła. – Nauki biologiczne czy fizyka?

Nie będąc pewnym, jak zakwalifikowano prace Ashmore’a, powiedziałem:

– Jedne i drugie.

Wstała i ruszyła rażno w stronę regałów z księgozbiorem podręcznym. Bez wahania podeszła do środkowej szafki działu i zdjęła z półki dwa grube woluminy w miękkich okładkach.



– Proszę bardzo – to ostatnie tomy. Wszystkie wcześniejsze niż z tego roku są oprawione, o tu. Jeśli chce pan badania finansowane z funduszy federalnych, stoją tam, na prawo.

Podziękowałem jej, przeniosłem książki do stolika i przeczytałem tytuły na okładkach.

KATALOG PRYWATNIE FINANSOWANYCH BADAŃ NAUKOWYCH: TOM I: NAUKI MEDYCZNE I BIOLOGICZNE. Ditto, TOM II: NAUKI TECHNICZNE, MATEMATYCZNE, FIZYKA.

Otworzywszy pierwszy tom, odszukałem końcową część „Dotowani”. Nazwisko Ashmore’a pojawiło się pośrodku kolumny na a, z odsyłaczem do części „Dotujący”. Odnalazłem odpowiednią stronę.

INSTYTUT BADAŃ CHEMICZNYCH FERRISA DIXONA  
NORFOLK, WIRGINIA

W bieżącym roku akademickim instytut finansował tylko dwa programy badawcze:

Nr 37959: Ashmore, Laurence Allan. Western Pediatric Medical Center, Los Angeles, Kalifornia. Toksyczność gleby jako czynnik w etiologii nowotworów u dzieci: kontynuacja badań. 973,652,75 dol., trzy lata. Nr 37960: Zimberg, Walter William. University of Maryland, Baltimore, Maryland. Statystyka nieparametryczna a korelacje Pearsona w predykcji naukowej: badawcza, heurystyczna i predykcyjna wartość determinacji a priori dystrybucji próbek. 124,731,00 dol., trzy lata.

Drugi tytuł brzmiał całkiem imponująco, ale Ferris Dixon wyraźnie nie płacił od słowa. Ashmore dostał prawie dziewięćdziesiąt procent sumy ich dotacji.

Niemal milion dolarów na trzy lata.

Kupa szmalu, jak na jednoosobowy program, który był w zasadzie modyfikacją poprzednich badań. Ciekawe, co zrobiło takie wrażenie na facetach z Ferrisa Dixona. Ale była niedziela i nawet skąpcy odpoczywali.

Wróciwszy do domu, przebrałem się w luźne ubranie i szwendałem udając, że fakt, iż jest weekend, ma dla mnie jakieś znaczenie. O szóstej, nie mogąc się już dłużej oszukiwać, zadzwoniłem do Jonesów. W chwili gdy usłyszałem w słuchawce sygnał, otworzyły się drzwi frontowe i weszła Robin. Machnęła na przywitanie ręką, przystanęła w kuchni, by pocałować mnie w policzek, i przeszła do sypialni. Gdy zniknęła mi z oczu, odezwał się głos Cindy.

– Halo.

– Cześć. Tu Alex Delaware.

– Oo, cześć. Jak pan się ma, doktorze.

– Świetnie. A ty?

– Och... całkiem nieźle. – Wydawała się zdenerwowana.

– Coś nie w porządku, Cindy?

– Nie... Um, mógłby pan sekundkę poczekać?

Zasłoniła słuchawkę i kiedy znowu dotarł do mnie jej głos, był stłumiony, a słowa, które wypowiadała, niezrozumiałe. Ale zdołałem usłyszeć, że ktoś inny jej odpowiadał – sądząc z niskich tonów, pewnie Chip.

– Przepraszam – powiedziała. – Właśnie się zadomawiamy. Wydało mi się, że słyszę Cassie – śpi teraz.

Stanowczo była zdenerwowana.

– Zmęczona jazdą? – zapytałem.

– Um... to i zmiana otoczenia. Zjadła wspaniały obiad, z deserem, a potem przysnęła. Dzieli mnie od niej tylko hol. Nastawiam uszu... rozumie pan.

– Jasne – odparłem.

– Drzwi z jej pokoju do łazienki zostawiam otwarte – łazienka przylega do naszej sypialni – a w środku zapaloną lampkę nocną. W ten sposób mogę mieć ją ciągle na oku.

– Kiedy w takim razie sama śpisz?

– Och, daję sobie radę. Jak jestem zmęczona, drzemię razem z nią. Spędzając wspólnie tyle czasu, funkcjonujemy w tym samym rytmie.

– Czy zmieniacie się z Chipem?

– Nie, nie mogłabym tego robić – jego rozkład zajęć w tym semestrze jest bardzo przeładowany. Odwiedzi nas pan wkrótce?

– Może jutro?

– Jutro? Jasne. – Um... może po południu – około czwartej?

Mając na uwadze zatory na drodze nr 101, zapytałem:

– A nie może być wcześniej?

– Um, dobrze – o trzeciej trzydzieści?

– Myślałem, Cindy, że nawet jeszcze wcześniej, o drugiej?

– Och, pewnie... Mam trochę rzeczy do zrobienia – odpowiada panu druga trzydzieści?

– Fajno.

– Świetnie, doktorze Delaware. Czekamy na pana.

Przeszedłem do sypialni, myśląc o tym, że w domu wydawała się o wiele bardziej zdenerwowana niż w szpitalu. Coś w najbliższym otoczeniu oddziałuje na nią – wzmagając niepokój i prowokując do machinacji munchhausenowskich?

Chociaż, nawet gdyby była niewinna jak dziecko, wydawało się logiczne, że dom może mieć w sobie dla niej coś upiornego. Stanowił źródło cierpienia.

Robin wsuwała się w obcisłą czarną sukienkę, której nigdy dotąd nie widziałem. Zapiąłem jej zamek błyskawiczny, wtuliłem policzek w ciepłe miejsce między łopatkami i wreszcie zdołałem dokończyć tę operację. Pojechaliśmy w górę Glen, do włoskiej restauracji w centrum handlowym, tuż przed Mulholland. Nie mając rezerwacji, musieliśmy zaczekać w barze. Tego wieczoru znaleźliśmy się tu wśród rozszalałych samotników, mnóstwa opalonych ciał i erotycznych aluzji. Bawiliśmy się w milczeniu, zadowoleni, że nie należymy do tego świata. Zacząłem naprawdę wierzyć w odnowienie naszego związku – przyjemny temat do rozmyślań.

Pół godziny później siedzieliśmy przy stoliku w rogu, składając kelnerowi zamówienie, zanim zdążył umknąć. Spędziliśmy spokojną godzinę, jedząc cielecinę i popijając wino; wróciliśmy do domu, wyskoczyliśmy z ubrań i wskoczyliśmy prosto do łóżka. Mimo wina, nasze zespolenie było szybkie, zwinne, niemal żartobliwe. Potem Robin napuściła wody do wanny, weszła sama i zawołała mnie bym jej towarzyszył. Miałem właśnie to zrobić, gdy zadzwonił telefon.

– Doktorze Delaware, tu Janie z biura zleceń. Dzwoni Chip Jones.

– Dzięki. Połącz go, proszę.

– Doktor Delaware?

– Cześć, o co chodzi?

– Nic takiego – to znaczy, żadnych kłopotów ze zdrowiem, dzięki Bogu. Mam nadzieję, że nie dzwonię zbyt późno?

– Ależ skądże.

– Właśnie telefonowała Cindy, mówiła, że wpadnie pan jutro po południu. Chciałem sprawdzić, czy

będę tam panu potrzebny.

– Pana wkład, Chip, będzie zawsze mile widziany.

– Hmm.

– Będą jakieś problemy?

– Obawiam się, że tak. Mam zajęcia o pierwszej trzydzieści, zaraz potem spotkanie z moimi studentami. Nic specjalnego – rutynowy dyżur – ale przy zbliżających się egzaminach końcowych poziom paniki studentów wzrasta w zastraszającym tempie.

– Nie ma sprawy – odparłem. – Spotkamy się następnym razem.

– Doskonale – a gdyby przyszło panu do głowy coś, o co chciałby mnie pan zapytać, proszę zadzwonić. Dałem panu numer do pracy, prawda?

– Tak, zgadza się.

– Doskonale. A więc załatwione.

Odłożyłem słuchawkę, nie wiedząc czemu zaniepokojony jego telefonem. Robin zawołała z łazienki, więc poszedłem tam. Światło było przyćmione, siedziała po szyję w pianie, z głową wspartą o brzeg wanny. Kilka gronek baniek mydlanych zatrzymało się na jej upiętych włosach, lśniąc niczym klejnoty. Oczy miała zamknięte i nie otworzyła ich, gdy wszedłem.

Oslaniając piersi powiedziała:

– O, drzę cała – to chyba nie Norman Bates.

– Norman wołał prysznic.

– Och. Racja. Więc to jego zadumany brat.

– Jego bezsilny brat – Merman.

Roześmiała się. Wyciągnąłem się, także zamykając oczy. Oparła nogi na moich. Zanurzyłem się, czując przyjemne ciepło. Masowałem palce jej stóp, starając się rozluźnić. Ale pozostałem spięty, myśląc wciąż o niedawnej rozmowie z Chipem.

Właśnie telefonowała Cindy, mówiła, że wpadnie pan jutro po południu.

Znaczy to, że nie było go w domu, kiedy dzwoniłem.

Nie był mężczyzną, do którego, jak słyszałem, zwracała się Cindy.

Zdenerwowanie...

– O co chodzi? – zapytała Robin. – Całe barki masz napięte.

Powiedziałem jej.

– Może chcesz się w tym doszukać zbyt wiele, Alex. Pewnie odwiedził ją krewny – ojciec albo brat.

– Nie ma ani jednego, ani drugiego.

– Więc brat cioteczny albo wuj. Lub ktoś z usług technicznych – hydraulik, elektryk, ktoś taki.

– Spróbuj złapać któregoś z tych facetów w niedzielne popołudnie odparłem.

– Są bogaci. Bogaci dostają to, co chcą wtedy, kiedy chcą.

– Taak, może to tylko tyle... Tym niemniej wydawało mi się, że była zdenerwowana. Jakbym ją zaskoczył.

– Dobra, załóżmy, że się zabawia. Już ją podejrzewasz o zatrucie dziecka. W porównaniu z tym, cudzołóstwo jest tylko drobnym wykroczeniem.

– Zabawia się pierwszego dnia po powrocie ze szpitala?

– Mężuś nie widział nic złego w tym, że wyfrunął do pracy pierwszego dnia, co? Jeśli zwykle tak postępuje, Cindy jest pewnie samotną damą, Alex. Nie daje jej tego, czego potrzebuje, więc znajduje to gdzie indziej. Tak czy inaczej, czy cudzołóstwo wiąże się jakoś z całym tym Munchhausenem?

– Wszystko, co sprawia, że osoba przejawiająca takie tendencje, czuje się bezradna, może mieć wpływ. Ale nie tylko o to idzie, Robin. Jeśli Cindy ma romans, mogłoby to dostarczyć motyw. Pozbyć się mężusia i dzieciaków, odzyskać swobodę, żeby żyć z kochankiem.

– Są łatwiejsze sposoby uwolnienia się od rodziny.

– Mówimy o osobie chorej.

– Naprawdę chorej.

– Nie płacą mi za zajmowanie się zdrowymi głowami.

Przechyliła się i dotknęła mojej twarzy.

– To cię rzeczywiście gnębi.

– Pewnie, że tak. Cassie jest taka bezbronna, a wszyscy ją zawiedli.

– Robisz, co w twojej mocy.

– Chyba tak.

Leżeliśmy w wodzie. Staralem się zrelaksować, ale skończyło się na tym, że miałem rozluźnione mięśnie i spięty umysł. Piana zebrała się wokół ramion Robin, niczym gronostajowa etola. Wyglądała ślicznie i powiedziałem jej to.

– Ależ z ciebie pochlebca, Mer – rzekła. Ale jej uśmiech był szeroki i serdeczny. Przynajmniej sprawiłem, że ktoś poczuł się dobrze.

Wróciwszy do łóżka, zabraliśmy się za niedzielną gazetę. Tym razem czytałem uważniej, szukając czegoś na temat Western Peds albo Laurence’a Ashmore’a, ale nic nie znalazłem. O dziesiątej czterdzieści pięć zadzwonił telefon. Odebrała Robin:

– Cześć, Milo.

Powiedział coś, co ją rozśmieszyło.

– Absolutnie – odparła i oddawszy mi słuchawkę, wróciła do swojej krzyżówki.

– Miło znów ją słyszeć – stwierdził. – Wykazałeś się wreszcie dobrym gustem. – Jego głos brzmiał wyraźnie, ale dobiegał jakby z oddali.

– Gdzie jesteś?

– W zaułku na tyłach sklepu z artykułami skórzanymi. Czyham na drobnych złodziejasków, jak na razie nic. Przeszkadzam w czymś?

– Zakłócasz szczęście rodzinne – odrzekłem, gładząc Robin po ramieniu. Była pochłonięta krzyżówką, z ołówkiem w ustach, ale jej dłoń uniosła się, szukając mojej i spleliśmy palce.

– Miło to usłyszeć, o jakie szczęście by nie chodziło – rzekł Milo. Mam dla ciebie parę rzeczy. Po pierwsze, twój pan Huenengarth jest ciekawą postacią. Ważne prawo jazdy i numer ubezpieczenia społecznego, ale adres na dokumencie odpowiada skrzynce pocztowej w Tarzana, a przy tym facet nie ma numeru telefonu, konta w banku ani nie figuruje w urzędzie podatkowym. Nie ma go też w rejestrach hrabstwa. Nie odnotowano go w archiwach wojskowych ani na listach wyborców. Jak człowiek, który wyszedł z pudła po wieloletnim wyroku – ktoś, kto nie głosował ani nie płacił podatków. Chociaż nie figuruje w kartotece policyjnej czy w zestawieniach zwolnionych warunkowo, więc może to być jakieś przekłamanie w komputerze albo też sfuszerowałem coś pod względem technicznym. Poproszę jutro Charliego, żeby sam spróbował.

– Szpitalne widmo – powiedziałem. – Czuję się o wiele lepiej, wiedząc, że jest szefem ochrony.

Robin rzuciła mi krótkie spojrzenie, potem spuściła wzrok.

– Taa – rzekł Milo. – Zdziwiłbyś się, słysząc, ilu dziwnych typów załapuje się do agencji ochroniarskich – pomyleńcy, którzy próbowali dostać się do policji, ale nie przeszli testów

psychologicznych. Tymczasem trzymaj się od niego z dala, póki nie znajdę czegoś więcej. Druga sprawa: węszyłem trochę po aktach Herbert i planuję małą nocną wycieczkę do centrum – żeby pogadać z tym świadkiem, barmanem.

– Ma coś nowego do powiedzenia?

– Nie, ale jak na mój gust, Gomez i jego partner nie przyłożyli się należycie. Gość był wielokrotnie notowany za narkotyki, więc uznali go za niepewnego świadka. Toteż szybko wypuścili faceta, nie przycisnąwszy dostatecznie. Postarałem się o numer telefonu, rozmawiałem z jego dziewczyną. Dowiedziałem się, że dostał pracę w innym klubie nie opodal, w Newton. Pomyślałem, że pójde z nim pogadać i może chciałbyś zabrać się ze mną. Ale widzę, że masz ciekawsze rzeczy do roboty.

Robin podniosła wzrok. Uświadomiłem sobie, że moje palce zacisnęły się na jej dłoni i zwolniłem uścisk.

– Kiedy wychodzisz? – zapytałem.

– Za jakąś godzinę. Zamierzam załatwić to po północy, bo wtedy zabawa dopiero się zaczyna. Chciałbym go złapać, kiedy będzie w swoim żywiole, ale zanim zrobi się zbyt gorąco. W każdym razie ciesz się swoim szczęściem.

– Czekał. Mam parę rzeczy dla ciebie. Jesteś teraz wolny?

– Pewnie. Nie ma w tym zaufku nikogo prócz nas. O co chodzi?

– Dziadek Chuck złapał mnie dzisiaj za frak, kiedy wychodziłem ze szpitala. Opowiedział mi, jaka to z nich jedna wielka, szczęśliwa rodzinka broniąc w dyskusji honoru rodu. Na koniec ofiarował mi stanowisko. Wyciągnąłem stąd wniosek, że powinienem być grzeczny i nie grzebać w tym za głęboko.

– Niezbyt subtelne.

– W rzeczywistości udało mu się to zrobić nader subtelnie. Nawet gdyby nas nagrano, nie można by go było przyszpilić. Choć propozycja nie jest chyba wiele warta, bo nie wygląda na to, by posada w Western Peds mogła zapewnić stabilizację.

Opowiedziałem mu o wywiadzie Plumba w gazecie i mojej hipotezie na temat intryg finansowych, która skłoniła mnie do przyjrzenia się uważniej pracy naukowej Laurence'a Ashmore'a. Gdy doszedłem do Instytutu Ferrisa Dixona, Robin odłożyła krzyżówkę i słuchała w skupieniu.

– Wirginia – powtórzył Milo. – Byłem tam parę razy na cholernie nudnych seminariach szkoleniowych. Ładny stan, ale wszystko tam pachnie mi władzami federalnymi.

– Instytut jest na liście prywatnych agencji. Wygląda to na fasadę jakiejś korporacji.

– Na co była dotacja?

– Pestycydy w glebie, Ashmore analizował swoje stare wyniki. O wiele za dużo forsy za coś takiego, Milo. Pomyślałem, że zadzwonię jutro rano do instytutu, zobaczę, czego jeszcze można się dowiedzieć. Spróbuję też powtórnie skontaktować się z panią Ashmore. Zapytam, czy Tajemniczy Pan Huenengarth zajrzał do niej.

– Jak mówiłem, Alex, bądź ostrożny.

– Nie martw się, nie zbliżę się bardziej niż na odległość kabla telefonicznego. Po południu będę robił to, czego mnie uczono w szkole, u Chipa i Cindy. Którzy być może nie cieszą się szczęściem rodzinnym.

Zrelacjonowałem mu swoje podejrzenia, nie pomijając zastrzeżeń Robin.

– Co o tym myślisz?

– Myślę, że ktoś, u licha, to wie. Może przeciekał jej kran, a może jest ona Messaliną z San Fernando Valley. Powiem ci jedno, jeśli robi skoki w bok, jest przy tym bardzo nieostrożna, nie uważasz? Pozwalać ci usłyszeć głos kochasia.

– Może nie miała takiego zamiaru – zaskoczyłem ją zniecacka. Wydawała się nieswoja – prawie natychmiast zasłoniła słuchawkę. Praktycznie zdołałem usłyszeć tylko kilka niskich tonów. A jeśli to osobowość munchausenowska, i granie z jakimś innym niebezpieczeństwem byłoby w jej guście.

– Kilka niskich tonów, co? Pewien jesteś, że to nie telewizor?

– Nie, rozmawiała z kimś. Cindy coś mówiła, a facet jej odpowiedział. Uznałem, że to Chip. Gdyby nie zadzwonił do mnie później, nigdy bym się nie dowiedział, że tak nie było.

– Hmm – mruknął. – Więc cóż to oznacza? Dla sprawy Cassie?

Powtórzyłem mu swoją teorię na temat motywacji.

– Nie zapominaj, że Chip to dziany gość – powiedział – to cholerna podnieta.

– Ale i piekielne powikłania rodzinne, jeśli sprawa wyjdzie na jaw i skończy się skandalicznym rozwodem. Może Chuck stara się trzymać mnie z dala właśnie od tego. Mówił, że Chip i Cindy stworzyli coś trwałego nazwał Cindy uroczą dziewczyną. Choć ona nie wygląda na dziewczynę, którą facet o jego pozycji chciałby mieć za jedyną synową. Z drugiej strony, sądząc po jego zębach, sam piął się z trudem w górę. Więc może nie jest snobem.

– Po jego zębach?

– Są krzywe i przebarwione. Nikt nie bulił za aparat ortodontyczny dla niego. W ogóle jest dosyć szorstki w obejściu.

– Człowiek, który wybił się o własnych siłach – rzekł. – Może za to samo respektuje Cindy.

– Kto wie? Znalazłeś coś, dlaczego odeszła z wojska?

– Jeszcze nie. Muszę w tej sprawie przycisnąć Charliego... Dobra, skontaktuję się z tobą jutro.

– Jeśli dowiesz się czegoś od barmana, zadzwoń od razu do mnie.

W moim głosie czuło się napięcie. Znów naprężyłem barki.

Robin dotknęła ich i zapytała:

– Co jest?

Odwrociłem się ku niej, zasłoniwszy słuchawkę.

– Wpadł na trop czegoś, co może, ale nie musi, wiązać się ze sprawą.

– I zadzwonił, żeby zabrać cię ze sobą?

– Tak, ale...

– I chcesz iść?

– Nie, ja...

– Czy to coś niebezpiecznego?

– Nie, tylko przepytanie świadka.

Popchnęła mnie delikatnie.

– Idź.

– Robin, to nie jest konieczne.

Roześmiała się.

– Jednak idź.

– Nie potrzebuję. Tak jest miło.

– Szczęście rodzinne?

– Szczęście do kwadratu. – Otoczyłem ją ramieniem.

Pocałowała je i odsunęła.

– Idź, Alex. Nie chcę leżeć tu, słuchając, jak się rzucasz na łóżku.

– Nie będę.

- Wiem, że będziesz.
- Wolisz samotność.
- Nie będę samotna. Nie duchem. Nie z tym, co się teraz zaczęło między nami.

## Rozdział dwudziesty trzeci

Otuliłem ją w łóżku i poszedłem do salonu zaczekać na Mila. Zapukał cicho tuż przed północą. Niósł sztywny neseser wielkości dyplomatki, miał na sobie koszulkę polo, sztruksowe spodnie i wiatrówkę. Wszystko czarne. Parodia szpanera z L.A.

– Chcesz rozpuścić się w mroku, Zorro?

– Weźmiemy twój wóz. Nie chcę zabierać tam porsche.

Wyprowadziłem seville'a. Milo umieścił neseser w bagażniku i siadł na przednim siedzeniu obok kierowcy.

– Lecimy.

Zgodnie z jego wskazówkami skręciłem w Sunset na zachód, potem na południe w 405 ulicę, gdzie wmieszałem się między turkoczące ciężarówki i sunący ku lotnisku sznur czerwonych świateł. Na skrzyżowaniu z szosą na Santa Monica skręciłem w stronę L.A. i ruszyłem na wschód pasmem szybkiego ruchu. Nigdy nie widziałem, by autostrada była tak pusta. Jej kontur rozmywał się w ciepłej, wilgotnej mgiełce niby na obrazie impresjonisty.

Milo opuścił okno, i palił długie, cienkie cygaro, wydmuchując dym na miasto. Sprawiał wrażenie zmęczonego, jakby wygadał się już przez telefon. Ja także czułem znużenie, więc żaden z nas nie odzywał się słowem. Koło La Brea dognał nas głośny, niski sportowy wóz, ryknął, błysnął światłami i minął prawie setką [mil]. Milo wyprostował się gwałtownie na siedzeniu odruch policjanta – i obserwował, jak tamten znika, potem usadowił się wygodnie, patrząc przez przednią szybę.

Podążyłem za jego spojrzeniem ku górze; przesłonięty pasmami chmur i pękaty, lecz niepełny księżyc barwy kości słoniowej huśtał się nad nami niby ogromne jo-jo – kość słoniowa upstrzona cętkami śniedzi koloru pleśniowego sera.

– Trzecia kwadra – stwierdziłem.

– Raczej siedem ósmych. Znaczy to, że prawie wszyscy pomyleńcy są na mieście. Zostań na dziesiątce do rozwidlenia i zjedź na Santa Fe.

Niskim, mrukliwym głosem udzielał mi kolejnych wskazówek, prowadząc nas ku rozległej, spokojnej dzielnicy odlewni, składów i hurtowni. Żadnych świateł ulicznych, żadnego ruchu, jedyne pojazdy, jakie dostrzegłem, stały za więziennymi siatkami z drutem kolczastym. Kiedy oddaliliśmy się od oceanu, mgiełka podniosła się i widoczne na tle nieba kontury centralnej części miasta nabrały ostrości. Ale tutaj ledwo mogłem rozpoznać kształty majaczące na matowo-czarnym tle przedmieścia. Cisza robiła ponure wrażenie, przygnębiała. Tak jakby energia L.A. wyczerpała się na jego geograficznych granicach.

Kierując się wskazówkami Mila, brałem krótkie i ostre zakręty na pasach asfaltu. Trudno było powiedzieć, czy to ulice, czy zaułki – stanowiły labirynt, w którym nie zdołałbym odnaleźć z pamięci drogi powrotnej. Cygaro Mila zgasło, ale w samochodzie unosił się zapach tytoniu. Choć wpadający do środka wietrzyk był przyjemnie ciepły, Milo zaczął podnosić okno. Nim skończył, zrozumiałem, dlaczego: nowa woń wyparła przypominający smród palonych szmat zapach taniego tytoniu. Słodka i gorzka zarazem, metaliczna, ale zgniła. Przesączała się przez szyby. Tak jak i łomot – głuchy i rezonujący, niby klaskanie olbrzymich stalowych łap – skrobiący gdzieś w oddali ciszę nocy.

– Fabryki konserw – wyjaśnił. – Wschodnie L.A., aż po Vernon, ale dźwięk niesie się daleko. Kiedy zaczynałem służbę, jeździłem tam na nocne patrole. Czasem szlachtowali w nocy wieprze. Słysząc było, jak kwiczą, łomoczą o coś i brzęczą łańcuchami. Myślę, że dzisiaj dają im środki uspokajające... Tutaj, skręć w prawo, potem od razu w lewo. Podjedź do następnej przecznicy i zaparkuj, gdzie się da.



Labirynt kończył się wąskim, prostym odcinkiem ogrodzonym z obu stron. Żadnych chodników. Zielska wyrzynały się przez szpary w asfalcie niczym włosy na brodawce. Po obu stronach jezdni stały rzędy samochodów, zaparkowanych tuż przy ogrodzeniu.

Wjechałem w pierwsze wolne miejsce, jakie dostrzegłem, tuż za starym BMW z nalepką K-ROQ na szybie i wysoką stertą śmieci na podłodze z tyłu. Wysiedliśmy z seville'a. Powietrze ochłodziło się, ale zapach rzeźni pozostał – teraz lekko powiewało smrodem, a nie cuchnęło nieustannie. Prawdopodobnie zmieniał się kierunek wiatru, choć nie mogłem tego wyczuć. Mechaniczne skrobanie ucichło, zastąpione muzyką – elfimi piskami organów elektronicznych, głębokimi basami i średnimi tonami, wydawanymi zapewne przez gitary. Czy była perkusja, tego także nie mogłem rozróżnić.

– Czas na ubaw – rzekłem. – Jaki jest taniec tygodnia?

– Bandycka lambda – odparł Milo. – Przysuń się ostrożnie do partnera i przetrząśnij mu/jej kieszenie. – Wbił ręce we własne kieszenie i powlókł się naprzód.

Ruszyliśmy wzdłuż ulicy. Kończyła się ślepo przed wysokim, pozbawionym okien budynkiem. Pociągnięte bladą farbą ceglane ściany w czerwonym świetle kilku lamp wydawały się różowe. Dwa piętra – trzy kolejne poziomy ustawione jeden na drugim w coraz mniejsze sześciany. Płaski dach, stalowe drzwi, umieszczone niesymetrycznie pod dość przypadkowym szeregiem zabitych okien. Płatanina drabinek przeciwpożarowych otulała fasadę niby żeliwny bluszcz. Gdy podeszliśmy bliżej, zobaczyłem ogromne, wyblakłe litery wymalowane ponad rampą: BAKER – POTAŻ I NAWOZY SZTUCZNE S.A.

Muzyka stała się głośniejsza. Ciężka, powolna klawiszowa solówka. Między jej dźwiękami można było usłyszeć głosy. Gdy zbliżyliśmy się, dostrzegłem naprzeciw jednych drzwi szereg ludzi wygięty na kształt litery S – długa na pięćdziesiąt stóp mrówcza kolumna tarasująca ulicę.

Zaczęliśmy iść wzdłuż kolejki. Twarze odwracały się kolejno w naszą stronę, niczym ożywione kostki domina. Obowiązującym uniformem były czarne łachy, obowiązującą maską – wydęte ponuro wargi. Papierosy legalne i inne – mruknięcia, powłóczenia nogami, szydercze uśmiechy, tu i ówdzie skurcz amfetaminowy. Błyski gołego ciała, bledszego niż światło księżyca. Wulgarna uwaga z odpowiednim gestem, czyjś śmiech.

Rozpiętość wieku od osiemnastu do dwudziestu pięciu lat, z punktem ciężkości przesuniętym ku dolnej granicy. Usłyszałem za plecami kocie warknięcie, potem znów śmiech. Potkańcówka w piekle.

Wejście, które tak przyciągało tłumek, zamykały prostokątne, metalowe drzwi rdzawego koloru blokowane opuszczanym skoblem. Naprzeciw nich stał rosły mężczyzna w czarnym golfie bez rękawów, bermudach w kwiaty i wysokich, sznurowanych butach. Miał nieco ponad dwadzieścia lat, senne spojrzenie, stężale rysy, i cerę, która byłaby rumiana i bez czerwonej żarówki nad jego głową. Gęszcz czarnych włosów na czubku głowy obramowany był po bokach wystrzyżonymi strzałkami gołej skóry. Zauważyłem kilka rzadkich, niewygotolonych plamek – pokryte puszkami łaty, jakby chłopak wracał do siebie po chemioterapii. Ale był zwalisty, tęgiej budowy ciała. Włosy splótł ściśle w tyle głowy w tłusty warkocz, który przerzucił sobie przez bark. Ramię, tak jak i drugie, upstrzone było trądzikiem. Wysypka posterydowa wyjaśniała to utratę włosów.

Małolaty na początku kolejki mówiły coś do niego. Nie odpowiadał, nie zauważył naszego nadejścia albo wołał je ignorować.

Milo podszedł i rzekł:

– ... Bry wieczór, mistrzu.

Bramkarz patrzył wciąż w inną stronę.

Milo powtórzył pozdrowienie. Chłopak szarpnął głową i warknął. Gdyby nie jego gabaryty, byłoby to nawet śmieszne. Ludzie na przodzie kolejki byli pod wrażeniem.

– Jo, kung-fu – rzucił ktoś. Bramkarz uśmiechnął się, spoglądając w bok, strzelił kostkami palców i ziewnął.

Milo wykonał szybki ruch, stając tuż przy nim i wciskając mu odznakę policyjną w mięsistą twarz. Nie widziałem, kiedy wyciągnął ją z kieszeni.

Bramkarz znów warknął, lecz poza tym zachowywał się ulegle. Obejrzałem się przez ramię. Dziewczyna o włosach koloru ciemnej krwi wysunęła w moim kierunku język, poruszając nim szybko. Chłopak, który pieścił jej piersi, splunął i pstryknął palcami, bym spływał.

Milo poruszał odznaką tam i z powrotem przed twarzą bramkarza. Ten wodził za nią oczyma jak zahipnotyzowany.

Milo przytrzymał ją nieruchomo. Bramkarz odczytał mozolnie.

Ktoś zaklął. Ktoś inny zawył jak wilk. To chwyciło i wkrótce ulica rozbrzmiewała głosami jak z Jacka Londona.

– Otwieraj Spike – rzekł Milo – albo zaczniemy sprawdzać dokumenty.

Wilczy chór zabrzmiał głośniejsze, zagłuszając niemal muzykę. Bramkarz tarł nerwowo czoło, przetrawiając sytuację. Przykro było na to patrzeć. Wreszcie roześmiał się i sięgnął za siebie.

Milo chwycił go za nadgarstek, ledwo obejmując przegub chłopaka wielkimi palcami:

– Spokojnie.

– Otwieram, człowieku – wyjaśnił bramkarz. – Klucz. – Jego głos był nienaturalnie niski, jak na taśmie odtwarzanej w zwolnionym tempie, a mimo to jękliwy.

Milo cofnął się, dając mu trochę miejsca, i patrzył na ręce chłopaka. Ten wyciągnął klucz z kieszeni szortów, otworzył blokadę i podniósł sztabę.

Drzwi uchyliły się na cal. Gorąco, światło i hałas buchnęły przez nie na zewnątrz. Wilcze stado natarło.

Bramkarz skoczył do przodu, szczerząc zęby i ustawiając otwarte dłonie tak, jak według niego, zrobiłby karateka. Tłumek zatrzymał się i cofnął, ale rozległo się kilka protestów. Bramkarz podniósł ręce wysoko w górę i zamachał nimi jak kot. Płynące z góry światło zabarwiło na czerwono jego tęczówki. Pachy miał wygolone. Łącznie z pryszczami.

– Do tyłu kurwa! – ryknął.

Wilczki zamarły.

– Imponujące, Spike – rzucił Milo.

Spojrzenie bramkarza utkwione było w kolejce. Opadła mu dolna warga. Zdyszał się i spocił. Przez uchylone drzwi ciągle wylewały się dźwięki.

Milo oparł rękę na skoblu. Zawias skrzypnął, przyciągając uwagę bramkarza, który zwrócił się ku Milo.

– Pierdol go – odezwał się jakiś głos z tyłu.

– Wchodzimy teraz do środka, Spike – rzekł Milo. – Uspokój tych dupków.

Bramkarz zamknął usta, oddychając głośno przez nos. W jednej z dziurek pojawił się bąbel smarków.

– Nie jestem Spike – powiedział. – Tylko James.

Milo uśmiechnął się.

– Dobra. Odwalasz dobrą robotę, James. Pracowałeś kiedy w Mayan Mortgage?

Bramkarz otarł nos ramieniem i spytał:

– He?

Kojarzył w skupieniu.

– Nieważne.

Bramkarz wydał się urażony.

– Coś powiedział, człowieku? Tak poważnie.

– Powiedziałem, James, że masz przed sobą świetlaną przyszłość. Jak ta zabawa się skończy, zawsze możesz startować na wiceprezydenta.

Sala była przestronna, jaskrawo oświetlona w kilku punktach, ale przeważnie mroczna. Miała betonową podłogę, a ściany, te które mogłem dostrzec, z pomalowanej cegły. Z sufitu wyrastała sieć przewodów, kół, przekładni i rurek, pozrywana miejscami, jakby poszarpał ją jakiś szaleniec.

Na lewo był bar – drewniane drzwi na kozłach naprzeciw metalowej półki zastawionej butelkami. Obok pół tuzina białych mich pełnych lodu. Lśniące, porcelanowe michy. Uniesione pokrywy.

Musze klozetowe.

Dwóch ludzi obsługiwało non stop tłumek spragnionych małych, nalewając, psikając i zaczerpując kostek z toalet. Nie było żadnych kranów; tylko woda sodowa i zwykła z butelek.

Resztę pomieszczenia przeznaczono na tańce. Żadna granica nie oddzielała tłumu przy barze od ciasno słożonych ciał wijących się i miotających niczym wyrzucone na plażę ryby. Z bliska muzyka wydawała się jeszcze gorszą kakafonią dźwięków. Ale była dość głośna, by poruszyć sejsmografy w Cal Techu.

Tworzący ją geniusze stali z tyłu, na prowizorycznej estradzie. Pięciu opiętych w trykoty osobników o zapadłych policzkach, którzy mogliby, gdyby wyglądali nieco zdrowiej, uchodzić za ćpunów. Wielkie jak domki kempingowe głośniki Marshall Stacks tworzyły za ich plecami czarną, filcową ścianę. Na bębnie basowym widniał napis ODPADKI.

Na tylnej ścianie, wysoko ponad wzmacniaczami, znajdował się jeszcze jeden szyld BAKER. NAWOZY SZTUCZNE przesłonięty częściowo wiszącym ukośnie, odręcznie wypisanym transparentem.

WITAJCIE W SRACZU.

Towarzyszące malowidło było jeszcze bardziej urokliwe.

– Oryginalne – rzekłem, dość głośno, by poczuć jak wibruje mi podniebienie, ale jednak niedosłyszalnie.

Milo musiał odczytać ruch moich warg, bo wyszczerzył zęby i pokręcił głową. Następnie pochylił się i zaczął przedzierać przez tłum tancerzy w stronę baru.

Dałem nura za nim.

Do frontu pijących dotarliśmy wygnieceni, ale cali i zdrowi. Obok kwadratowych skrawków papieru toaletowego udających serwetki stały talerzyki orzeszków ziemnych w łupinach. Kontuaru dawno nie wycierano. Podłoga była mokra i spękana, tam gdzie nie pokrywała jej warstwa skorupki.

Milo zdołał przepchać się za bar. Obaj barmani byli chudzi, ciemni i brodaci. Mieli na sobie szare podkoszulki bez rękawów i białe, workowate spodnie od pizamy. Ten obok Mila był łysy. Drugi wyglądał jak Raszpunka w przebraniu.

Milo podszedł do Łysego. Barman wyrzucił w jego kierunku rękę obronnym gestem, drugą nalewając jolt colę do szklanki wypełnionej w jednej czwartej rumem. Milo chwycił go za nadgarstek, który wykręcił krótkim, ostrym szarpnięciem – zbyt słabym, by spowodować uraz, ale barman rozwarł szeroko oczy i usta, i odstawił puszkę z colą, usiłując się wyrwać.

Milo przytrzymał go, powtarzając numer z odznaką, tyle że dyskretniej, demonstrując ją pod takim

kątem, by ukryć przed spojrzeniami pijących. Z tłumy wysunęła się jakaś ręka, chwytając rum z colą. Kilka innych dłoni zaczęło plaskać o blat, a usta otworzyły się w bezgłośnych okrzykach.

Łysy obrzucił Mila przerażonym spojrzeniem.

Milo powiedział mu coś do ucha.

Łysy odpowiedział.

Milo mówił dalej.

Łysy wskazał kolegę. Milo zwolnił uchwyt. Łysy podszedł do Raszpunki. Naradzali się. Raszpunka skinął głową i Łysy wrócił do Mila, wyraźnie zrezygnowany.

Ruszyłem za nimi w wędrowkę przez i wokół parkietu, pocąc się i młócąc pięściami. Powolny marsz – chwilami balet, momentami karczowanie dżungli. Wreszcie znaleźliśmy się w końcu sali, poza wzmocnionymi zespołami i kłębówiskiem kabli elektrycznych, i wyszliśmy przez drewniane drzwi z napisem TOALETY.

Po drugiej stronie zobaczyliśmy długi, zimny korytarz, którego betonowa podłoga usiana była kawałkami papieru i obrzydliwymi, półpłynnymi bajorkami. Kilka par obmacywało się w cieniu. Paru samotników siedziało na podłodze, ze zwieszonymi nisko głowami. Wonie marihuany i wymiocin walczyły o dominację nad zmysłem węchu. Hałas zmniejszył się do poziomu ryku startującego odrzutowca.

Minęliśmy drzwi z wymalowanymi przy użyciu szablonu napisami STACZE i KUCACZKI, przestępowaliśmy przez czyjeś nogi, starając się omijać śmieci. Łysy był w tym niezły, poruszał się lekkim, tanecznym krokiem, powiewając nogawkami piżamy. Na końcu korytarza znajdowały się jeszcze jedne drzwi, z zardzewiałego metalu, podobne do tych, których strzegł bramkarz.

– Wyjdziemy, okay? – zapytał Łysy piskliwym głosem.

– Co tam jest, Robercie?

Barman wzruszył ramionami i podrapał się po brodzie.

– Tyły. – Mógł mieć równie dobrze trzydzieści pięć, co czterdzieści pięć lat. Broda, właściwie tylko rzadkie kłaczki, nie zasłaniała twarzy, którą lepiej byłoby zasłonić; drobnej, szczurzej, nikczemnej i ponurej.

Milo pchnął drzwi i wyjrzał na zewnątrz, przytrzymując barmana za ramię.

Wyszliśmy we trzech na mały, ogrodzony parking. Stała tam dwutonowa ciężarówka i trzy samochody. Wszędzie leżały śmieci, w stertach wysokich gdzieś na stopę, rozwłócone przez wiatr. Ponad ogrodzeniem wisiał okrągły księżyc.

Milo zaprowadził Łysego na względnie czyste miejsce na środku parkingu, z dala od samochodów.

– To jest Robert Gabray – powiedział do mnie. – Miksolog ekstraordinaryjny. – Zwrócił się do barmana. – Masz szybkie ręce, Robercie.

Barman zafalował palcami.

– Muszę pracować.

– Stara etyka protestancka?

Głupia mina.

– Lubisz pracować, Robercie?

– Muszę. Oni wszystko widzą.

– Jacy oni?

– Właściciele.

– Obserwują cię tam?

– Nie. Ale ściany mają oczy.

– Prawie jak CIA.

Barman nie odpowiedział.

– Kto ci płaci pensję?

– Tacy faceci.

– Jacy faceci?

– Właściciele budynku.

– Jakie nazwisko jest na czekach, które dostajesz?

– Nie ma czeków.

– Wyplata gotówką?

Barman skinął głową.

– Zalegasz z podatkami federalnymi?

Gabray skrzyżował ręce, rozcierając ramiona.

– No, a co mam robić?

– Powinieneś to wiedzieć lepiej ode mnie, prawda Robercie?

– Banda Arabusów, ci właściciele.

– Nazwiska.

– Fahrizad, Nahrizhad, Sralizad, coś takiego.

– Raczej Irańczycy, nie Arabowie.

– Coś takiego.

– Jak długo tu pracujesz?

– Parę miesięcy.

Milo potrząsnął głową.

– Nie, Robercie, nie sędzę. Spróbujesz jeszcze raz?

– Co? – Gabray wydawał się zakłopotany.

– Pomyśl dobrze, gdzie byłeś naprawdę parę miesięcy temu.

Gabray znów roztarł ramiona.

– Zimno ci, Robercie?

– W porządku... Dobra, no parę tygodni.

– Aha – rzekł Milo – to już lepiej.

– Coś takiego.

– Tygodnie, miesiące, to dla ciebie wszystko jedno?

Gabray nie odpowiedział.

– Wydawało ci się tylko, że to miesiące?

– Coś takiego.

– Czas szybko płynie, gdy się dobrze bawisz?

– Coś takiego.

– Dwa tygodnie – rzekł Milo. – To już brzmi rozsądniej. Pewnie to zamierzałeś powiedzieć. Nie chciałbyś utrudniać mi życia – po prostu się pomyliłeś, racja?

– No.

– Zapomniałeś o tym, że dwa miesiące temu nigdzie nie pracowałeś, ponieważ siedziałeś wtedy w areszcie w County za jakąś pieprzoną wycieczką z narkotykami.

Barman wzruszył ramionami.

– Doprawdy błyskotliwe, Robercie, przejeżdżać na czerwonym świetle z tym brykietem w bagażniku samochodu.

– To nie był mój towar.

– Aha.

– To prawda, człowieku.

– Wiozłeś haj dla kogoś innego?

– No.

– Jesteś grzecznym facetem, co? Prawdziwy zuch.

Mężczyzna wzruszył ramionami. Znów roztań barki. Uniósł jedno ramię i podrapał się po gołej skórze na czubku głowy.

– Świerzbi cię, Robercie?

– Nic mi nie jest, człowieku.

– Na pewno nie jesteś na głodzie?

– W porządku, człowieku.

Milo zerknął na mnie.

– Robert równie dobrze miesza proszki co płyny. Taki chemik amator, nie mam racji?

Gabray znów wzruszył ramionami.

– Masz robotę w dzień, Robercie?

Potrząsnął głową.

– Czy twój kurator wie, że tu pracujesz?

– Niby dlaczego nie miałbym?

Milo przysunął się bliżej, uśmiechając się wyrozumiale.

– Ponieważ jako notoryczny bracz, drobny przestępca powinieneś unikać złych wpływów, a ci ludzie tam w środku nie wyglądają zbyt korzystnie.

Gabray cmoknął i wbił wzrok w ziemię.

– Kto panu powiedział, że tu jestem?

– Oszczędź sobie pytań – rzekł Milo.

– To ta kurwa, co?

– Która kurwa?

– Wie pan.

– Czyżby?

– Musi pan... wiedział pan, że tu jestem.

– Gniewasz się na nią.

– Nie.

– Wcale nie?

– Nie jestem wkurzony.

– A co zrobisz?

– Nic.

– Zemścisz się?

– Mogę zapalić? – spytał Gabray.

– Zapłaciła za ciebie kaucję. Jak dla mnie to ona jest zuchem.

– Ożenię się z nią. Mogę zapalić?

– Pewnie, jesteś wolnym człowiekiem. Przynajmniej do procesu. Bo kurwa wpłaciła za ciebie kaucję.

Gabray wyciągnął z kieszeni spodni paczkę koolów. Milo pospieszył z zapalką.

– Robercie, pomówmy o tym, gdzie byłeś trzy miesiące temu.

Gabray zaciągnął się i rzucił jeszcze jedno niepewne spojrzenie.

– Na miesiąc przed tym, jak cię zatrzymano, Robercie. W marcu.

– O co chodzi?

– O Mayan Mortgage.

Gabray zaciągnął się i spojrzał w niebo.

– Pamiętasz to?

– Co takiego?

– To.

Milo wysunął coś z kieszeni koszuli. Minilatarkę i kolorową fotografię. Przytrzymał zdjęcie przed oczyma Gabraya, oświetlając je. Stałem za Gabrayem i spojrzałem ponad jego ramieniem.

Ta sama twarz, co na zdjęciu migawkowym, które dali mi Murtaughowie. Poniżej linii włosów. Powyżej, czaszka została tak spłaszczona, że nie mogłaby pomieścić mózgu. To, co zostało z włosów przypominało matową, czerwono-czarną chmurę. Skóra miała barwę skorupki jajka. Czarno-czerwony naszyjnik otaczał gardło. Oczy przypominały dwa purpurowe bakłażany.

Gabray spojrzał, zaciągnął się i zapytał:

– Więc?

– Pamiętasz ją?

– A powinienem?

– Nazywała się Dawn Herbert. Załatwiono ją niedaleko Mayan, mówiłeś detektywom, że widziałeś ją z jakimś facetem.

Gabray strząsnął popiół i uśmiechnął się.

– Więc o to chodzi? Taa, powiedziałem im to. Tak mi się wydaje.

– Wydaje ci się?

– Człowieku, to było dawno temu.

– Trzy miesiące.

– To dawno, człowieku.

Milo przysunął się do niego, spoglądając z góry na niższego od siebie mężczyznę.

– Pomożesz mi w tym? Tak czy nie? – Wymachiwał fotografią zamordowanej.

– Co się stało z tamtymi gliniarzami? Jeden z nich był chyba ćpunem.

– Odeszli na przedterminową emeryturę.

Gabray roześmiał się.

– Dokąd? Do Tia Wanna?

– Opowiedz mi.

– Nic nie wiem.

– Widziałeś ją z facetem.

Mężczyzna wzruszył ramionami.

– Robercie, czyżbyś skłamał tym biednym, ciężko pracującym detektywom?

– Ja? Nigdy. – Uśmiechnął się. Prędzej bym skonał.

– Opowiedz mi to, co im mówiłeś.

– Nie zapisali tego?

– Opowiedz mi jednak.

– To było dawno temu.  
– Trzy miesiące.  
– To dawno, człowieku.  
– Pewnie. Całe dziewięćdziesiąt dni, ale pomyśl o tym: twoje konto za byle trawkę mogą cię zapakować na czas dwa, trzy razy dłuższy. Pomyśl o tych trzystu zimnych dniach – sporo miałeś tej trawy w bagażniku.

Gabray spojrzął na fotografię, odwrócił głowę i zaciągnął się.

– Nie była moja. Trawa.

Milo zaczął się śmiać.

– To ma być twoja obrona?

Gabray zmarszczył brwi, ścisnął papierosa i wciągnął dym.

– Mówi pan, że może mi pan pomóc?

– Zależy, od tego co mi powiesz.

– Widziałem ją.

– Z facetem?

Przytaknął.

– Opowiedz mi wszystko.

– To tyle.

– Opowiedz mi to jak bajkę. Dawno, dawno temu.

Gabray zachichotał.

– Taa, pewnie. Dawno, dawno temu... widziałem ją z facetem. Koniec.

– W klubie?

– Przed.

– Gdzie przed?

– Coś jak... przecznicę dalej.

– To był jedyny raz, kiedy ją widziałeś?

Gabray medytował przez chwilę.

– Może widziałem ją jeszcze raz, w środku.

– Była stałym gościem?

– Coś takiego.

Milo westchnął i poklepał barmana po ramieniu.

– Robercie, Robercie, Robercie.

Gabray wzdrygał się za każdym razem, kiedy Milo wymieniał jego imię.

– Co?

– To niedługa bajka.

Gabray zdusił papierosa i wyciągnął następnego. Zaczekał, aż Milo poda mu ogień, a gdy to nie nastąpiło, wyjął pudełko zapalek i obsłużył się sam.

– Widziałem ją może jeszcze jeden raz – powiedział. – To tyle. Pracowałem tam tylko parę tygodni.

– Nie potrafisz utrzymać pracy, Robercie?

– Lubię być w ruchu, człowieku.

– Włóczykij z ciebie.

– Coś takiego.

– Dwa razy w ciągu paru tygodni – powiedział Milo. – Wygląda na to, że lubiła ten lokal.



– Pierdolone bubki – rzucił Gabray z nagłą pasją. – Wszystkie te bogate pieprzone palanty, przychodzą odstawiać ludzi z półświatka, a potem zmywają się na Rodeo Drive.

– Dawn Herbert wyglądała na bogatą dziwkę?

– Wszyscy są tacy sami, człowieku.

– Rozmawiałeś z nią kiedy?

Zobaczyłem popłoch w oczach barmana.

– Nee. Jak powiedziałem, widziałem ją raz, może dwa. Tylko tyle. Gównu o niej wiedziałem – nie miałem nic wspólnego z nią, i nic wspólnego z tamtym. – Wskazał fotografie.

– Jesteś tego pewien?

– Całkiem pewien. Całkowicie całkiem pewien, człowieku. To nie moja sprawa.

– Opowiedz mi o tym, jak ją widziałeś z facetem.

– Ja powiedziałem, dawno, dawno temu pracowałem tam, i dawno, dawno temu wyszedłem na papierosa i zobaczyłem ich. Zapamiętałem ją tylko z powodu faceta. Nie był jednym z nich.

– Jednym z nich?

– Jednym z tych pierdolonych bubków. Ona tak, ale nie on. On się wyróżniał.

– Czym się wyróżniał?

– Normalny.

– Biznesmen?

– Nie.

– Więc kto?

Gabray wzruszył ramionami.

– Miał garnitur, Robercie?

Gabray zaciągnął się głęboko i zamyślił.

– Nie. Coś jak pan – Sears Roebuck, kurtkę w tym stylu. – Przeciągnął dłońmi wokół pasa.

– Wiatrówkę?

– Taa.

– Jakiego koloru?

– Nie wiem – ciemną. To było dawno...

– Temu – dokończył Milo. – Co jeszcze miał na sobie?

– Spodnie, buty, coś takiego. Wyglądał jak pan. – Uśmiechnął się i zaciągnął papierosem.

– Dlaczego?

– Nie wiem.

– Tęgi?

– Taa.

– W moim wieku?

– Taa.

– Mojego wzrostu?

– Taa.

– Takie same włosy?

– Taa.

– Masz dwa kutasy?

– T... Co?

– Dość tego gówna, Robercie. Jakie miał włosy?

– Krótkie.

– Łysawy czy ostrzyżony?

Gabray zmarszczył brwi, dotykając własnej łysej kopuły.

– Miał włosy – powiedział niechętnie.

– Broda albo wąsy?

– Nie wiem. Był daleko.

– Ale nie przypominasz sobie zarostu?

– Nie.

– Ile miał lat?

– Nie wiem – pięćdziesiąt, czterdzieści, coś takiego.

– Ty masz dwadzieścia dziewięć, a on był wiele starszy od ciebie?

– Osiem. W przyszłym miesiącu będę miał dwadzieścia dziewięć.

– Wszystkiego najlepszego. Był starszy od ciebie?

– Dużo starszy.

– Dość stary, by być twoim ojcem?

– Może.

– Może?

– Nie – nie tak stary. Czterdzieści, czterdzieści pięć.

– Kolor włosów?

– Nie wiem – brązowe.

– Może czy na pewno?

– Prawdopodobnie.

– Jasno – czy ciemnobrązowe?

– Nie wiem. Była noc.

– Jakiego koloru były jej włosy?

– Ma pan tam zdjęcie.

Milo przystawił mu fotografię do twarzy.

– Tak wyglądała, kiedy ją widziałeś?

Gabray cofnął się i oblizał wargi.

– Aha – to było... jej włosy były inne.

– Pewnie, że tak – rzucił Milo. – Rosły na nietkniętej czaszce.

– Tak – nie – pomyślałem o kolorze. Wie pan, były żółte. Dosłownie żółte – jak jajecznicza. Widać to było przy świetle.

– Była oświetlona?

– Chyba... taak. Oboje stali – pod latarnią. Tylko przez sekundę, nim mnie usłyszeli i odeszli od siebie.

– Nie wspominałeś tamtym detektywom o żadnym świetle.

– Bo nie pytali.

Milo opuścił fotografię. Garbay zaciągnął się i uciekł spojrzeniem w bok.

– A co pani Herbert i ten zwyczajnie wyglądający facet robili pod latarnią?

– Rozmawiali.

– Nie miał blond włosów?

– Powiedziałem panu, ona miała. Widać to było, człowieku – były jak... banany. – Gabray

zachichotał.

– A on miał brązowe?

– Tak. Hej, jeśli to takie ważne, dlaczego pan nie zapisuje?

– Co jeszcze pamiętasz, Robercie, w związku z tym facetem?

– Tylko tyle.

– Średni wiek, ciemna wiatrówka, ciemne włosy. Nie za wiele masz do zaoferowania, Robercie.

– Mówię, co widziałem, człowieku.

Milo odwrócił się do niego tyłem i spojrzał na mnie.

– Cóż, próbowaliśmy mu pomóc.

– Ma pan kogoś?

Milo ciągle stał tyłem.

– Co masz na myśli, Robercie?

– Kogoś w pace, człowieku. Ja panu coś powiem, a potem jakiś cacuś wyjdzie za jakąś Mirandą czy coś i przyjdzie mnie szukać, rozumie pan?

– Nie powiedziałaś mi wiele, Robercie.

– Ma pan kogoś w pace?

Milo obrócił się powoli twarzą ku niemu.

– Mam ciebie, Robercie. Chcesz mnie wykiwać, zatajając dowody, na dobitkę do tego brykietu w bagażniku. Wygląda mi to na minimum sześć miesięcy – trafisz na niewłaściwego sędziego, może być nawet mowa o roku.

Gabray wyciągnął przed siebie rękę.

– Ej, nie chcę tylko, żeby ktoś wyszedł i szukał mnie. Ten facet był...

– Kim?

Gabray milczał.

– Kim był ten facet, Robercie?

– Kryminalistą – w porządku? Wyglądał na grubszy kaliber. Recydywa.

– Widziałeś to z tak daleka?

– Pewne rzeczy się widzi, no nie? Sposób, w jaki się trzymał. Sam nie wiem. Miał takie buty – wielkie i brzydkie, jak te, co dostaje się w pudle.

– Widziałeś jego buty?

– Nie z bliska – pod latarnią. Ale były wielkie – widziałem przedtem takie buty. Czego pan chcesz ode mnie – staram się pomóc.

– Dobrze, Robercie, nie martw się. Nie ma nikogo w areszcie.

– A jeśli? – zapytał Gabray.

– A jeśli co?

– Ja panu powiem i dlatego pan go zatrzyma? Skąd pan wie, że nie wyjdzie i nie zacznie mnie szukać?

Milo znów uniósł fotografię.

– Spójrz, co zrobił, Robercie. Jak sądzisz? Pozwolimy mu spacerować?

– To dla mnie nic nie znaczy, człowieku. Nie wierzę w sprawiedliwość.

– Ach tak?

– Tak. Ciągłe widzę w kinie jak goście robią różne łajdactwa i chodzą na wolności.

Milo cmoknął.

– Do czego to dochodzi na tym świecie? Słuchaj geniuszu, znajdziemy go, nie będzie spacerował. Jak mi powiesz coś, co pomoże go znaleźć, też będziesz wolny. I zasłużony. Do licha, Robercie, po tych wszystkich pochwałach, będziesz mógł skrewić jeszcze parę razy i odpłynąć w siną dal.

Gabray zaciągnął się, stuknął nogą i zmarszczył brwi.

– Co takiego, Robercie?

– Myślę.

– Aha. – Do mnie Milo powiedział: – Nie przeszkadzajmy.

– Jego twarz – odezwał się barman. – Widziałem ją. Ale tylko przez mgnienie oka.

– Ach tak? Był wściekły czy coś takiego?

– Nie, tylko mówił do niej.

– A co ona robiła?

– Słuchała. Widząc ich pomyślałem: ta punkowa cipa słucha Pana Porządnika.

– Pana Recydywy.

– Taa. A jednak nie pasował do otoczenia – o tej porze spotyka się tam tylko świrów, ćpunów i czarnuchów. I gliniarzy – z początku uznałem, że to glina. Potem pomyślałem, że wygląda jak kryminalista. Niewielka różnica.

– Co jej mówił?

– Nie słyszałem tego, człowieku! To było...

– Trzymał coś?

– Co na przykład?

– Cokolwiek.

– To znaczy coś, czym mógłby ją zranić? Nic nie widziałem. Myśli pan, że to on ją załatwił?

– Jaką miał twarz?

– Regularną... uh, jakby... kwadratową. – Gabray wetknął sobie papierosa w usta i nakreślił dłońmi nierówny czworokąt. – Regularna twarz.

– Kolor skóry?

– Był biały.

– Blady, śniady – raczej ciemny?

– Nie wiem, po prostu biały facet.

– Taki sam jak ona?

– Ona miała makijaż – ten biały szajs, który uwielbiają. On był ciemniejszy. Zwyczajnie biały. Normalny.

– Kolor oczu?

– Człowieku, za daleko byłem.

– Jak daleko?

– Nie wiem. Pół przecznicy.

– Ale widziałeś jego buty?

– Może to było bliżej... Ich widziałem. Ale nie widziałem koloru oczu.

– Był wysoki?

– Wyższy od niej.

– Wyższy od ciebie?

– Uh... może. Niedużo.

– Ile masz wzrostu?

– Pięć stóp i dziesięć cali.  
– Więc ile on miał, pięć stóp i jedenaście cali, sześć stóp?  
– Chyba tak.  
– Mocno zbudowany?  
– Tak, ale niegruby, wie pan.  
– Gdybym wiedział, nie pytałbym ciebie.  
– Mocny – duży – wie pan – jak od pracy fizycznej. Na powietrzu.  
– Muskularny.  
– Tak.  
– Poznałbyś go, gdybyś go znowu zobaczył?  
– A co? – W oczach Gabraya znów błysnęła panika. – Ma pan kogoś?  
– Nie. Poznałbyś go, gdybyś zobaczył zdjęcie?  
– Taa, pewnie – rzucił impertynencko. – Mam dobrą pamięć. Niech mi pan go ustawi w szeregu, poznam od razu. Niech mnie pan dobrze traktuje.

– Robercie, próbujesz mnie popędzać?

Gabray uśmiechnął się i wzruszył ramionami.

– Dbam o interesy.

– No cóż – rzekł Milo – zajmijmy się nimi teraz.

Przeprowadziliśmy Gabraya przez znajdujący się na tyłach parking, wypełniony gruzem rów przy wschodniej stronie budynku i wydostaliśmy się na ulicę. Kolejka przy drzwiach frontowych niewiele się skurczyła. Tym razem bramkarz zauważył nas, kiedy go mijaliśmy.

– Jo, pierdolnięty King-Kongu – rzucił pod nosem Gabray.

– Czy znajomy pani Herbert był taki duży, jak James? – spytał Milo.

Gabray roześmiał się.

– Nie – niemożliwe. Ten to nie człowiek. Dostali go z jakiegoś pieprzonego zoo.

Milo popychał go naprzód, przepytując przez całą drogę do samochodu, ale nie wyciągnął już nic więcej.

– Ładna gablota – stwierdził Gabray, kiedy stanęliśmy przy seville'u. Zarekwirował go pan czy co?

– Ciężka praca, Robercie. To ta stara etyka protestancka.

– Jestem katolikiem, człowieku. W każdym razie byłem. Wszystkie te religie jedno gówno warte.

– Zamknij się, Robercie – uciął Milo i otworzył bagażnik.

Wydobył neseser, umieścił Gabraya na tylnym siedzeniu i sam usiadł obok niego, nie zamykając drzwi, żeby było jaśniej. Stałem na zewnątrz, przyglądając się, jak otwiera walizeczkę. W środku była książka z napisem IDENTIKIT na okładce. Milo pokazywał Gabrayowi przezroczyste arkusiki z rysunkami części twarzy, a Gabray wybierał niektóre z nich i układał razem. Kiedy skończył, spojrzęło na nas dobroduszne oblicze w typie kaukaskim. Twarz jak z elementarza. Czyjegoś taty.

Milo przyjrzał jej się, umocował fragmenty, zapisał coś. Następnie kazał Gabrayowi oznaczyć żółtym flamastrem pewne miejsca na planie. Zadawszy jeszcze parę pytań, wysiadł. Gabray poszedł w jego ślady. Mimo ciepłego wiaterku, gołe ramiona barmana pokryły się gęsią skórką.

– W porządku? – zapytał.

– Chwilowo, Robercie. Pewien jestem, że nie muszę ci tego mówić, a jednak to zrobię: nie zmieniaj miejsca zamieszkania. Zostań tam, gdzie mogę cię złapać.

– Nie ma sprawy. – Gabray zbierał się do odejścia.

Milo zablokował mu drogę wyprostowanym ramieniem.

– A tymczasem, zabieram się za pisanie listów. Pierwszy do twojego kuratora, o tym że pracowałeś tu, nic nie mówiąc. Drugi do pana Fahrizada i jego koleśków, że zakablowałeś ich i dlatego wydział przeciwpożarowy zamyka lokal. A trzeci do urzędu skarbowego, informujący, że przez Bóg wie jak długo inkasowałeś gotówkę, nie składając deklaracji podatkowych.

Gabray zgiął się w pasie, jakby chwycił go skurcz.

– Och, człowieku...

– Plus raport do prokuratora, na temat twojej przygody z trawą, donoszący, że byłeś nieskłonny do współpracy i oporny, więc mało jest szans na ugodę. Nie lubię pisać listów, Robercie. To psuje mi humor. A jeśli będę musiał tracić czas na szukanie cię, humor zepsuje mi się jeszcze bardziej i osobiście doręcę wszystkie. Jeśli będziesz grzeczny, podrę je. Comprendre?

– Au, człowieku, to nieładnie. Byłem szcze...

– Nie ma sprawy, jeśli będziesz grzeczny, Robercie.

– Tak, tak, pewnie.

– Będziesz?

– Tak, tak. Mogę teraz iść? Muszę pracować.

– Słuchasz mnie, Robercie?

– Słucham. Zostać na miejscu. Być pieprzonym skautem. Nie kombinować, nie błagować. W porządku? Mogę iść?

– Jeszcze jedno, Robercie. Twoja dama.

– Taak? – zapytał Gabray twardym tonem, świadczącym, że potrafi być czymś więcej niż skamlącym nieudacznikiem. – Co z nią?. – Odeszła. Wyfrunęła z klatki. Nie myśl nawet o tym, by ją ściagać. A zwłaszcza, by zrobić jej coś za to, że ze mną rozmawiała. Bo i tak cię znajdzie. Już nic ci do niej.

Gabray rozwarł szeroko oczy.

– Odeszła? Co to... co pan ma na myśli?

– Odeszła. Miała dość, Robercie.

– O chol...

– Pakowała się, kiedy z nią rozmawiałem. Była wstrząśnięta twoim podejściem do życia rodzinnego. Gabray nic nie powiedział.

– Dość już miała łomotów, Robercie.

Gabray rzucił papierosa i zdeptał go mocno.

– Ona kłamie – rzekł. – Pierdolona kurwa.

– Załatwiła ci kaucję.

– Była mi coś winna. Ciągle jest.

– Daj sobie z tym spokój, Robercie. Pomyśl o listach.

– Tak – odparł Gabray, stukając nogą. – Coś takiego. Wisi mi to. Mam właściwy stosunek do życia.

## Rozdział dwudziesty czwarty

Kiedy wydostaliśmy się z labiryntu z powrotem na San Pedro, Milo włączył minilatarkę i przyjrzał się portretowi pamięciowemu.

– Sądziś, że można mu zaufać?

– Nie za bardzo. Lecz jeśli, co mało prawdopodobne, pojawi się kiedyś prawdziwy podejrzany, ten rysunek może pomóc.

Zatrzymawszy się na czerwonych światłach, rzuciłem okiem na układankę.

– Niezbyt charakterystyczna twarz.

– Owszem.

Przechyliłem się i przyjrzałem uważniej.

– Mógłby to być Huenengarth, gdyby nie wąsik.

– Ach tak?

– Huenengarth jest młodszy niż facet, którego opisał Gabray – ma około trzydziestu pięciu lat – i nieco pełniejszą twarz. Ale jest mocno zbudowany i podobnie ostrzyżony. Wąsik mógł sobie zapuścić od marca, a nawet jeśli nie, jest niewielki – trudno by go było dojrzeć z daleka. A sam mówiłeś, że mógłby być eks-więźniem.

– Hmm.

Światła zmieniły się na zielone, więc ruszyłem w kierunku szosy.

Zachichotał.

– Co?

– Myślałem tylko. Nawet gdybym rzeczywiście doszedł do czegoś w sprawie Herbert, byłby to dopiero początek moich kłopotów. Grzebanie w jej aktach. Działanie na terytorium komendy głównej. Oferowanie Gabrayowi ochrony, do czego nie byłem upoważniony, a w wydziale jestem tylko cholernym urzędnikiem.

– Rozwiązanie sprawy zabójstwa nie zrobiłoby wrażenia na wydziale?

– Nie takie jak przekroczenie uprawnień odpowiadających memu stanowisku – ale, cholera, przypuszczam, że jakoś się wykręcę, jeśli do tego dojdzie. Dam prezent Gomezowi i Wickerowi – niech im przypadnie sława i nadzieja na pół złotej gwiazdy. Może trzeba będzie po drodze sprzedać Gabraya... Do licha, nie jest niewiniątkiem – pieprze go. Jeśli jego informacje okażą się prawdziwe, nic mu nie będzie.

Zamknął zestaw rysopisów pamięciowych i położył go na podłodze.

– Popatrz tylko – rzekł – mówię jak jakiś cholerny polityk.

Wjechałem na podjazd na drogę publiczną. Wszystkie pasy były puste i szosa wyglądała jak ogromna wstęga zbronowanej ziemi.

– Wyeliminowanie z gry paru łajdaków powinno być wystarczającą satysfakcją, no nie? Wy to nazywacie wewnętrzną motywacją.

– Pewnie – odparłem. Czyń dobro dla samego dobra, a Święty Mikołaj nie zapomni o tobie.

Dotarliśmy pod mój dom tuż po trzeciej. Milo odjechał swoim porsche, a ja wślizgnąłem się do łóżka, usiłując nie robić hałasu. Mimo to Robin obudziła się i sięgnęła po moją rękę. Usnęliśmy, splótłszy palce.

Wstała i zniknęła nim otworzyłem oczy. Gorąca angielska bułeczka i sok stały na moim miejscu przy kuchennym stole. Załatwiłem się z nimi, planując zajęcia dnia.

Popołudnie u Jonesów.

Przedpołudnie przy telefonie.

Ale telefon zadzwonił, zanim zdążyłem do niego podejść.

– Alex – odezwał się Lou Cestare – co za ciekawe pytania. Chcesz wejść w bankowość inwestycyjną.

– Jeszcze nie. Jak się udała wycieczka?

– Długa. Obawiałem się, że mój malec będzie zmęczony, ale uparł się, żeby odstawić Edmunda Hillary'ego. Dlaczego chcesz się czegoś dowiedzieć o Chucku Jonesie?

– Jest prezesem rady nadzorczej szpitala, w którym kiedyś pracowałem. Zarządza też jego aktywami. Ciągle należę do personelu, czuję bluesa do tego miejsca. Finansowo sprawy nie stoją tam najlepiej, chodzą słuchy, że Jones doprowadza szpital do ruiny, by go zlikwidować i sprzedać teren.

– To nie jego styl.

– Znasz go?

– Spotkałem go parę razy na przyjęciach. Szybkie witam-do-widzenia nie pamiętałby mnie. Ale wiem, jaki jest jego styl.

– A jaki jest?

– Budować, nie niszczyć. Alex, to jeden z najlepszych menadżerów finansowych. Nie zwracając uwagi na to, co robią inni, szuka solidnych firm po niższych cenach. Prawdziwych okazji – wykupów akcji, o jakich wszyscy marzą. Ale on znajduje je lepiej niż ktokolwiek inny.

– Jak?

– Potrafi właściwie ocenić, czy interesy przedsiębiorstwa idą dobrze. A to znaczy, że sięga dalej niż raporty kwartalne. Jak raz wyszpera zaniżone akcje, które mają skoczyć w górę, kupuje je, czeka, sprzedaje, powtarza całą operację. Ma idealne wyczucie chwili.

– Czy szperając, korzysta z informacji pochodzących od pracowników firmy?

Pauza.

– Wczesna godzina, a tobie już takie świństwa w głowie?

– Więc korzysta.

– Alex, cała ta sprawa handlu wewnętrznymi informacjami została rozdmuchana do nieproporcjonalnych rozmiarów. Jak dla mnie, nikt nie zaproponował nawet trafnej definicji.

– Daj spokój, Lou.

– A ty masz taką?

– Pewnie – odparłem. – Korzystanie z danych niedostępnych dla przeciętnego człowieka przy podejmowaniu decyzji o kupnie i sprzedaży.

– Dobra, więc co powiesz o inwestorze, który stawia obiad z winem pracownikowi zajmującemu kluczowe stanowisko, żeby dowiedzieć się, czy firma sprawnie funkcjonuje? O kimś, kto nie oszczędzając czasu, wgryza się w szczegóły działania przedsiębiorstwa? Czy to przekupstwo czy po prostu sumienność?

– Jeśli w grę wchodzi łapówka, to przekupstwo.

– Co, obiad z winem? A czy reporter schlebiający komuś, kto jest źródłem informacji robi coś innego? Albo policjant ośmielający świadka pączkiem i filiżanką kawy? Nie znam żadnego prawa, które uznawałoby wspólne spożycie obiadu przez ludzi interesu za czyn nielegalny. Teoretycznie każdy może tak zrobić, jeśli zechce włożyć w to wysiłek. Ale nikomu, Alex, się nie chce. W tym rzecz. Nawet profesjonalni doradcy inwestycyjni polegają zwykle na grafach, wykresach i liczbach, które podaje im firma. Wielu z nich nie zadaje sobie nawet trudu, żeby odwiedzić przedsiębiorstwo, które analizują.

– Sądzę, że wszystko zależy od tego, czego inwestor dowiadyuje się w czasie obiadu z winem.



– Dokładnie. Jeśli pracownik powie mi, że ktoś wysunie poważną ofertę przejęcia interesu tego a tego dnia, będzie to nielegalne. Ale jeśli ten sam pracownik poinformuje go, że sytuacja finansowa przedsiębiorstwa dojrzała do tego, żeby je przejąć, są to dopuszczone prawem dane. Linia graniczna jest bardzo cienka – rozumiesz, o co mi chodzi? Chuck Jones odrabia tylko lekcje, to wszystko. To gracz grubszego kalibru.

– Jakie ma przygotowanie?

– Nie sądzę nawet, by chodził do college’u. Sam się wydobył z biedy. Mam wrażenie, że jako chłopak podkuwał konie czy coś takiego. Nie przemawia ci to do wyobraźni? Gość wyszedł z Czarnego Poniedziałku jak bohater, ponieważ sprzedał swoje akcje parę miesięcy przed krachem i przerzucił się na metale i weksle skarbowe. Mimo że jego akcje szły w górę. Gdyby ktoś się o tym dowiedział, pomyśleliby, że facet dostał uwięzienia. Ale kiedy rynek się załamał, był w stanie łowić ryby w mętnej wodzie, obkupił się i zbił fortunę raz jeszcze.

– Dlaczego nikt o tym nie wiedział?

– Uwielbia tajemnice – na tym opiera się jego strategia. Nieustannie kupuje i sprzedaje, unika zakupu pakietów akcji, trzyma się z dala od skomputeryzowanych transakcji. Ja sam dowiedziałem się o tym dopiero wiele miesięcy później.

– W jaki sposób?

– Pogłoski – informacje dotarły do nas wszystkich po czasie, gdy lizaliśmy już rany.

– Jak mu się udało przewidzieć krach?

– Intuicja. Najlepsi gracze to potrafią. To połączenie ogromnej bazy danych i swego rodzaju percepcji ponadzmysłowej, którą zdobywa się, biorąc udział w grze przez długi czas. Niegdyś sądziłem, że to mam, ale wyleczyłem się ze złudzeń – nic się nie stało. Życie zaczynało mnie nudzić, a odbudowa jest ciekawsza niż dryfowanie po głębokiej wodzie. Ale Chuck Jones ma to. Nie twierdę, że czasem nie przegrywa. Każdemu się zdarza. Ale o wiele częściej wygrywa.

– Czym się teraz zajmuje?

– Nie wiem – jak powiedziałem, ścisła dyskrecja to jego styl. Inwestuje tylko we własnym imieniu, więc nie musi liczyć się ze współnikami. Wątpię jednak, by zajmował się poważnie nieruchomościami.

– A to dlaczego?

– Dlatego że nieruchomości to teraz żaden interes. Nie mówię o takich ludziach jak ty, którzy kupili coś przed laty i pragną mieć stałe źródło dochodów. Ale dla zawodowców goniących za szybkim zyskiem, już po balu, przynajmniej na razie. Sam pozbyłem się ich jakiś czas temu, wracając do akcji. Jones jest bystrzejszy, więc koniec końców doszedł do tego przede mną.

– Jego syn jest właścicielem sporego szmatu ziemi w Valley.

– A kto powiedział, że mądrość się dziedziczy?

– Syn jest profesorem college’u. Nie sądzę, by stać go było na zakup pięćdziesięciu parceli dla siebie.

– Najprawdopodobniej jest to jego fundusz powierniczy – sam nie wiem. Ciągłe jednak musiałbyś mnie przekonać, że Chuck wchodzi na serio na rynek nieruchomości. Teren, na którym mieści się szpital leży w Hollywood, prawda?

– Parę akrów – wyjaśniłem. – Zakupione dawno temu – szpital ma siedemdziesiąt lat – więc zapewne wszystko jest spłacone. Nawet przy spadku cen, sprzedaż byłaby czystym zyskiem.

– Pewnie, że tak, Alex. Ale dla samego szpitala. A co miałyby z tego Jones?

– Prowizję od transakcji.

– O ilu właściwie akrach mówimy i gdzie to dokładnie jest?

– Około pięciu. – Podałem mu adres Western Peds.

– Dobra, więc jest to dziesięć, piętnaście milionów – powiedzmy nawet, że dwadzieścia, bo to zwarty teren. To dość zawyżony rachunek, ponieważ trudno pozbyć się tak dużego kawałka, więc może trzeba by było podzielić go na mniejsze parcele. A to mogłoby trochę potrwać – rozpoczęłyby się spory o przynależność do strefy, rozprawy, zezwolenia, przewalki związane z ochroną środowiska. Największy kawałek, jaki Chuck mógłby dla siebie wykroić, nie robiąc zamieszania, to dwadzieścia pięć procent – dziesięć wydaje się bardziej prawdopodobne. To oznacza dwa do pięciu milionów do jego kieszeni... Nie, nie wyobrażam sobie, żeby uganiał się za takimi pieniędzmi.

– A jeśli jest w tym coś więcej? – zaoponowałem. – A jeśli planuje nie tylko zamknięcie szpitala, ale zamierza także otworzyć nowy na terenach syna?

– Tak nagle miałby zająć się szpitalnictwem? Wątpię, Alex. Bez obrazy, ale opieka zdrowotna to też żaden interes. Szpitale poszły na dno tak samo szybko, jak oszczędności i pożyczki.

– Wiem, ale może Jones sądzi, że tak czy inaczej zrobi dobry interes, płynąc pod prąd. Sam właśnie powiedziałeś, że nie przejmuje się tym, co robią inni.

– Alex, wszystko jest możliwe, ale znów musiałbyś mi tego dowieść. Dlaczego zebrało ci się na takie teoretyzowanie?

Opowiedziałem mu o komentarzach Plumba w gazecie.

– Aha, drugie nazwisko z twojej listy. O nim nigdy nie słyszałem, więc poszukałem go we wszystkich dostępnych informatorach. Wyłania się z tego obraz typowego korporacyjnego trutnia: studia ekonomiczne, doktorat, kolejne posady w zarządach, pięcie się po szczeblach drabiny. Pierwsza praca w firmie państwowej zajmującej się rachunkowością – Smothers and Crimp. Potem przeszedł do zarządu, gdzieś indziej.

– Gdzie?

– Poczekaj – zapisałem to... Już mam. Plumb, George Haversford. Urodzony w '34; żonaty z Mary Ann Champlin, '58; dwoje dzieci, bla bla bla... Skończył studia w '60, doktorat z zarządzania; Smothers and Crimp, 1960 do '63, odszedł jako wspólnik. Kontroler, Hardfast Steel wPittsburghu, '63 do '65; kontroler i członek zarządu ds. operacji finansowych Readilite Manufacturing, Reading, Pennsylvania, '65 do '68; awans o szczebel wyżej na dyrektora ekonomicznego w towarzystwie o nazwie Baxter Consulting, pozostawał tam do '71; '71 do '74 w Advent Management Specialists; potem sam założył Plumb Group, '74 do '77; wrócił do świata korporacji w '78 w Vantage Health Planning, dyrektor ekonomiczny do '81...

– Facet często zmienia miejsce.

– Niezupełnie, Alex. Zmiana miejsca co parę lat, żeby podnieść sobie poprzeczkę to normalny bieg rzeczy w świecie finansów. To jeden z głównych powodów, dlaczego wypadłem z tego tak szybko. To piekło dla rodziny pompujące wodę żony, cale w uśmiechach i dzieci, które łamią prawo dla zabawy... Na czym skończyłem? Vantage Health do '81; wygląda na to, że potem zaczął się specjalizować w sprawach medycznych. Arthur-McClennan Diagnostics przez trzy lata, Neodyne Biologicals przez kolejne trzy, potem MGS Healthcare Consultants – ta firma w Pittsburghu, o którą mnie pytałeś.

– Czego się o niej dowiedziałeś?

– Stowarzyszenie małych i średnich szpitali specjalizujące się w placówkach doraźnej pomocy w małych i średnich miastach północnych stanów. Założone przez grupę lekarzy w '82, upaństwowione w '85, wprowadzono do obrotu akcje, ale stały kiepsko; zreprivatyzowane rok później – wykupione przez syndykat i zamknięte.

- Dlaczego syndykat miałby je wykupić, żeby potem zlikwidować?
- Z wielu powodów. Może zorientowali się, że zakup był błędem i starali się zminimalizować straty. A może chodziło im raczej o zasoby przedsiębiorstwa niż o nie same.
- Jakie zasoby?
- Sprzęt, fundusz inwestycyjny, fundusz emerytalny. Inna firma, o którą pytałeś – BIO-DAT – była pierwotnie podporządkowana MGS. Jednostka ds. analizy danych. Przed wykupem sprzedano ją innemu koncernowi Northern Holdings, z Missoula, w Montanie – i nadal funkcjonuje.
- To państwowa firma?
- Prywatna.
- A inne przedsiębiorstwa, dla których pracował Plumb? Znasz któreś z nich?
- Żadnego.
- Czy któreś z nich jest państwowe?
- Jedną sekundę, już ci mówię... Mam na to przygotowany program w komputerze. Zaraz będę miał na ekranie listę. Chcesz, bym się cofnął aż do rachunkowości – Smothers i coś tam?
- Jeśli masz czas.
- Więcej niż zwykle. Zaczekaj sekundkę.
- Czekałem, słuchając trzaskania klawiszy.
- Gotowe – powiedział – teraz sprawdzimy ich notowania.
- Piip.
- Nic na nowojorskiej.
- Piip.
- Nie ma notowań Amexa żadnej z nich. Sprawdźmy Nasdaq...
- Piip. Piip. Piip. Piip.
- Nie ma notowań, Alex. Sprawdzę listę prywatnych holdingów.
- Piip.
- Nie wygląda na to, Alex. – W jego głosie wyczułem lekkie zdenerwowanie.
- Chcesz powiedzieć, że żadna z nich nie funkcjonuje?
- Na to wygląda.
- Nie wydaje ci się to niezwykle?
- No cóż – powiedział – bardzo duży odsetek interesów upada lub jest zamykany, ale ten cały Plumb wygląda na zwiastuna śmierci.
- Lou, Chuck Jones zatrudnił go do prowadzenia szpitala. Nie zmieniłbyś swojej oceny jego intencji?
- Myślisz, że to destruktor, co?
- A co się stało z innymi przedsiębiorstwami, z którymi związany był Plumb?
- Trudno to stwierdzić – to wszystko były małe firmy, a skoro stanowiły własność prywatną, nikt nie przejął na giełdzie ich akcji, w gazetach specjalistycznych będą co najwyżej drobne wzmianki.
- A w prasie lokalnej?
- Jeśli chodziło o miasteczko powstałe wokół przedsiębiorstwa i wielu ludzi straciło prace, może. Ale trzeba mieć szczęście, żeby to wyśledzić.
- Dobra, dzięki.
- Alex, czy to naprawdę ważne?
- Nie wiem.
- Do diabła, mnie będzie o wiele łatwiej to wytropić, bo znam tę dżunglę – powiedział. – Pozwól mi

zabawić się w Tarzana i pobuszować po niej.

Gdy odłożył słuchawkę, połączyłem się z informacją stanu Wirginia, gdzie podano mi numer Instytutu Badań Chemicznych Ferrisa Dixona. Odezwał się sympatyczny kobiecy głos:

– Ferris Dixon, dzień dobry, czym mogę służyć?

– Tu doktor Schweitzer z Western Pediatrics Medical Center w Los Angeles. Jestem współpracownikiem doktora Laurence’a Ashmore’a.

– Jedną sekundę, proszę.

Długa pauza. Muzyka. Hollywood Strings grali „Every Breath You Take” The Police.

Głos odezwał się znowu:

– Tak, doktorze Schweitzer, czym mogę służyć?

– Wasz instytut finansuje badania doktora Ashmore’a.

– Tak?

– Zastanawiałem się tylko, czy wiecie, że zmarł.

– Och, to okropne – powiedziała, nie sprawiała jednak wrażenia zdziwionej. – Ale obawiam się, że osoba, która mogłaby panu pomóc, jest nieobecna.

Nie prosiłem o pomoc, ale puściłem to mimo uszu.

– A kto to taki?

– Nie jestem zupełnie pewna, doktorze. Musiałabym sprawdzić.

– Mogłaby pani?

– Oczywiście, doktorze, ale to może trochę potrwać. Może poda mi pan swój numer, a ja oddzwonię.

– Będę się trochę kręcił. Może ja do państwa zadzwonię?

– Naturalnie, doktorze. Życzę miłego...

– Przepraszam panią – przerwałem. – Skoro już rozmawiamy, czy mogłaby pani udzielić mi paru informacji o waszym instytucie? Ze względu na moje własne badania?

– Co chciałby pan wiedzieć, doktorze Schweitzer?

– Jakie programy najchętniej dotujecie?

– To pytanie natury technicznej, proszę pana – odparła. – Obawiam się, że w tym także nie jestem w stanie panu pomóc.

– Czy moglibyście przesłać mi jakąś broszurę informacyjną? Listę uprzednio dotowanych badań?

– Niestety nie – jesteśmy dość młodą agencją.

– Doprawdy? Jak młodą?

– Momencik, proszę.

Kolejna długa przerwa. Jeszcze chwila muzyki w tle, potem moja rozmówczyni wróciła.

– Przepraszam, że trwało to tak długo, doktorze. Obawiam się, że nie mogę dłużej z panem rozmawiać – mam na linii kilka innych telefonów. Proszę zadzwonić do nas raz jeszcze i podać wszystkie swoje pytania. Pewna jestem, że właściwa osoba będzie w stanie panu pomóc.

– Właściwa osoba – powtórzyłem.

– Właśnie – powiedziała z nagłą wesołością. – Życzę miłego dnia, doktorze.

Trzask.

Zadzwoniłem ponownie. Linia była zajęta. Poprosiłem telefonistkę o połączenie z przerwaniem dotychczasowej rozmowy i czekałem, aż znowu się odezwała.

– Przykro mi, proszę pana, ta linia jest zepsuta.

Siedziałem tam, a w uszach rozbrzmiewał mi sympatyczny głos.

Spokojny... dobrze wyćwiczony sposób mówienia.

Uderzyło mnie nagle jedno z użytych przez nią słów.

„Jesteśmy dość młodą agencją”.

Dziwny sposób określania prywatnej fundacji.

„Wirginia... wszystko tam pachnie mi władzami federalnymi”.

Ponownie wykręciłem numer. Słuchawka ciągle była podniesiona. Odnalazłem w notatkach drugie studium fundowane przez instytut.

Zimberg, Walter William. University of Maryland, Baltimore.

Jakiś temat dotyczący statystyki w badaniach naukowych.

Wydział medyczny? Matematyka? Zdrowie publiczne?

Dowiedziawszy się o numer uniwersytetu, zadzwoniłem. Żadnego Zimberga na liście pracowników wydziału medycznego. To samo na matematyce.

Na wydziale zdrowia publicznego odebrał mężczyzna.

– Z profesorem Zimbergiem, proszę.

– Zimbergiem? Nie ma tu takiego.

– Przepraszam – powiedziałem – musiałem dostać błędne informacje. Ma pan może pod ręką listę pracowników?

– Moment... Mam tu profesora Waltera Zimberga, ale on jest na wydziale ekonomii.

– Mógłby pan połączyć mnie z jego gabinetem?

Trzask. I kobiecy głos:

– Ekonomia.

– Z profesorem Zimbergiem, proszę.

– Proszę zaczekać.

Trzask. Inny kobiecy głos.

– Gabinet profesora Zimberga.

– Z profesorem Zimbergiem, proszę.

– Obawiam się, że nie ma go w mieście, proszę pana.

Strzeliłem w ciemno:

– Czy jest w Waszyngtonie?

– Um... Przepraszam, a kto mówi?

– Profesor Schweitzer, dawny kolega. Czy Wal... profesor Zimberg jest na zjeździe?

– Na jakim zjeździe, proszę pana?

– Krajowego Stowarzyszenia Biostatystyków – w Capital Hilton? Słyszałem, że miał przedstawić jakieś nowe dane na temat statystyki nieparametrycznej. To studium dotowane przez Instytut Ferrisa Dixona.

– Ob... Profesor powinien niedługo dzwonić, proszę pana. Może poda mi pan swój numer i poproszę, żeby oddzwonił.

– To bardzo uprzejmie z pani strony – odparłem – ale wkrótce sam wskakuję w samolot. Dlatego nie jestem na zjeździe. Czy profesor napisał przed wyjazdem streszczenie artykułu? Coś, co mógłbym przeczytać, kiedy wrócę?

– Musiałby pan porozmawiać o tym z profesorem.

– Kiedy spodziewają się państwo jego powrotu?

– Prawdę mówiąc – odparła – profesor jest na rocznym urlopie na pracę badawczą.

– Żartuje pani? Nie słyszałem o tym... No cóż, należało mu się, prawda? Dokąd pojechał?

– W różne miejsca, profesorze...

– Schweitzer.

– W różne miejsca, profesorze Schweitzer. Ale jak powiedziałam, często do nas dzwoni. Może poda mi pan swój numer, a poproszę, żeby oddzwonił do pana.

Powtórzyła, niemal słowo w słowo, to, co mówiła dosłownie przed minutą.

Dokładnie to samo przed pięcioma minutami powiedział inny przyjazny kobiecy głos, przemawiający z szacownych murów Instytutu Badań Chemicznych Ferrisa Dixona.

## Rozdział dwudziesty piąty

Do diabła z Aleksandrem Grahamem Bellem.

Pojechałem z powrotem do pewnych szacownych korytarzy, które mogłem zobaczyć i dotknąć.

Koło budynku administracji uniwersytetu znalazłem jeden wolny parkometr. Poszedłem do biura rejestracji i poprosiłem hinduską urzędniczkę w brzoskwiniowym sari o odszukanie danych Dawn Kent Herbert.

– Przykro mi, proszę pana, nie udostępniamy danych personalnych.

Błysnąłem swoją kartą pracownika klinicznego szkoły medycznej z drugiego końca miasta.

– Nie żądam żadnych informacji o sprawach osobistych – chciałbym tylko wiedzieć, na jakim jest wydziale. Ma to związek z pracą. Weryfikacja wykształcenia.

Urzędniczka przeczytała kartę, poprosiła o powtórzenie nazwiska Herbert i odeszła.

Wróciła chwilę później.

– Jest odnotowana jako doktorantka na Wydziale Zdrowia Publicznego, proszę pana. Ale nie ma jej już na liście.

Wiedziałem, że zdrowie publiczne jest w gmachu nauk sanitarnych, ale nigdy tam nie byłem. Wrzuciwszy do licznika jeszcze parę monet, ruszyłem na południe kampusu, mijając po drodze budynek psychologii, gdzie nauczyłem się tresować szczury i słuchać trzecim uchem. Przeciąłem czworokątny dziedziniec gmachu nauk ścisłych. Do Centrum wszedłem od zachodu, obok wydziału stomatologii.

Długi korytarz prowadzący do zdrowia publicznego rozpoczynał się niedaleki kawałek od biblioteki, gdzie niedawno studiowałem karierę akademicką Ashmore'a. Na ścianach po obu stronach wisiały grupowe fotografie wszystkich roczników, jakie wypuściła szkoła medyczna. Świeżo upieczeni doktorzy wyglądali jak nastolatki. Białe fartuchy kłębiące się w korytarzach były tak samo młode. Gdy dotarłem na wydział zdrowia publicznego, na korytarzu uspokoiło się. Jakaś kobieta wychodziła z głównego biura. Przytrzymałem jej drzwi i wszedłem.

Kolejny pulpit, kolejna urzędniczka pracująca w ciasnym pomieszczeniu. Ta była czarna i bardzo młoda, miała prostowane, barwione henną włosy, a jej uśmiech wydawał się szczery. Ubrana była w puchaty, cytrynowożółty sweter z wyhaftowaną na nim żółto-różową papugą. Ptak też się uśmiechał.

– Jestem doktor Delaware z Western Pediatrie Hospital. Jedna z waszych doktorantek pracowała u nas w szpitalu, chciałbym wiedzieć, kto jest jej opiekunem naukowym.

– Och, oczywiście. Jej nazwisko, proszę.

– Dawn Herbert.

Brak reakcji.

– Na jakim jest kierunku?

– Zdrowia publicznego.

Uśmiech poszerzył się.

– To jest Wydział Zdrowia Publicznego, doktorze. Mamy kilka kierunków. I odrębny zespół pracowników na każdym.

Wzięła broszurę ze stosiku obok mego łokcia, otworzyła ją i wskazała spis treści.

KIERUNKI WYDZIAŁU

BIOSTATYSTYKA

HIGIENA SPOŁECZNA

HIGIENA ŚRODOWISKOWA

INŻYNIERIA ŚRODOWISKOWA

EPIDEMIOLOGIA

SYSTEMY SŁUŻBY ZDROWIA

Pomyślawszy o tym, jakiego rodzaju prace prowadził Ashmore, odparłem:

– Biostatystyka albo epidemiologia.

Podeszła do kartoteki i wyjęła oprawiony w niebieską tkaninę skoroszyt o luźnych kartkach. Na grzbiecie widniał napis BIOSTAT.

– Tak, to tutaj. Jest na kursie doktoranckim z biostatystyki, a jej opiekunem jest pani doktor Yanosh.

– Gdzie mogę znaleźć doktor Yanosh?

– Piętro niżej – pokój B trzysta czterdzieści pięć. Chce pan, żebym zadzwoniła i sprawdziła, czy jest u siebie?

– Poproszę.

Podniosła słuchawkę i wcisnęła numer wewnętrzny.

– Doktor Yanosh? Dzień dobry, tu Merilee. Jest tu lekarz z jakiegoś szpitala, chciałby pomówić z panią o jednej z pani studentek... Dawn Herbert... Och... Jasne. – Zmarszczyła brwi. – Jak pana nazwisko?

– Delaware. Z Western Pediatrics Medical Center.

Powtórzyła to do słuchawki.

– Tak, oczywiście, doktor Yanosh... Doktorze Delaware, mogłabym zobaczyć jakiś dokument?

Karta pracownika znów ujrzała światło dzienne.

– Tak, ma, doktor Yanosh. – Przeliterowała moje nazwisko. – Dobrze pani doktor, powiem mu.

Rozłączywszy się, powiedziała:

– Nie ma zbyt wiele czasu, ale może się zaraz z panem spotkać. Wydawała się zagniewana.

Kiedy otwierałem drzwi, zapytała:

– Została zamordowana?

– Niestety tak.

– To naprawdę okropne.

Winda była obok biura, tuż za mroczną salą wykładową. Zjechałem piętro niżej. B-345 był parę drzwi na lewo.

Zamknięty na klucz. Wsuwana tabliczka informowała dr ALICE YANOS.

Zapukałem. Między pierwszym a drugim stuknięciem usłyszałem głos:

– Chwileczkę.

Zastukały obcasy. Drzwi otworzyły się. Kobieta około pięćdziesiątki powiedziała:

– Doktorze Delaware.

Wyciągnąłem rękę. Ujęła ją, potrząsając szybkim ruchem i puściła. Była niską, pulchną blondynką, uczesaną w gładki kok i fachowo umalowana. Miała czerwono-białą, szytą na miarę sukienkę, czerwone pantofle, odpowiedniego koloru paznokcie i złotą biżuterię. Jej drobna twarz była pociągająca, przypominała sympatyczny pyszczyk wiewiórki. W młodości mogła być najładniejszą dziewczyną w szkole.

– Proszę wejść. – Europejski akcent.

Wkroczyłem do pokoju. Zostawiła drzwi otwarte i weszła za mną.

Gabinet był nieskazitelnie czysty, oszczędnie umeblowany, pachnący perfumami i obwieszony plakatami z wystaw sztuki w chromowanych ramach. Miro, Albers, Stella i jeden upamiętniający



wystawę Gwathmey-Siegela w Boston Museum.

Na okrągłym szklanym stoliku leżało pudełko czekoladek. Obok gałązka mięty. Na ustawionym prostopadle do biurka stole komputer i drukarka, jedno i drugie osłonięte zapinanym na zamek błyskawiczny pokrowcem. Na drukarce elegancka torebka z czerwonej skóry. Typowo uczelniane metalowe biurko upiękzone było ułożoną ukośnie koronkową serwetą, terminarzem w kwiaty i fotografiami rodziny. Wielkiej rodziny. Mąż wyglądający jak Albert Einstein i piątka przystojnych dzieci w wieku studenckim.

Siadła obok czekoladek, krzyżując nogi w kostkach. Zwróciłem się ku niej. Łydki miała szczupłe jak baletnica.

– Jest pan lekarzem?

– Psychologiem.

– A co pana łączy z panią Herbert?

– Mam konsultacje w szpitalu w sprawie pewnego przypadku. Dawn zabrała kartę choroby brata pacjentki i nie oddała. Sądziłem, że może zostawiła ją tutaj.

– Nazwisko tej pacjentki?

Kiedy zawahałem się, powiedziała:

– Nie mogę odpowiedzieć na pana pytanie, nie wiedząc, czego mam szukać.

– Jones.

– Charles Lyman Jones Czwarty?

– Ma ją pani? – zapytałem zaskoczony.

– Nie. Ale jest pan drugą osobą, która przyszła jej szukać. Czy w grę wchodzi jakieś kwestie genetyczne, dlatego to takie pilne? Porównanie tkanek rodzeństwa, czy coś takiego?

– To skomplikowany przypadek – odparłem.

Rozłączyła nogi.

– Pierwsza osoba także nie udzieliła mi dostatecznych wyjaśnień.

– Kto to był?

Obrzuciła mnie badawczym spojrzeniem i poprawiła się na krześle.

– Pan wybaczy, doktorze, ale byłabym wdzięczna, mogąc zobaczyć dokument, który pokazywał pan przed chwilą na górze Merilee.

Już trzeci raz w ciągu pół godziny okazałem swoją kartę pracownika, wzmacniając efekt nową plakietką szpitalną z kolorowym zdjęciem. Założywszy połówkowe okulary w złotej oprawce, sprawdziła nie spiesząc się oba dokumenty. Plakietka szpitalna na dłużej przyciągnęła jej uwagę.

– Tamten mężczyzna też miał taką – rzekła, unosząc ją do góry. Twierdził, że jest odpowiedzialny za ochronę szpitala.

– Nazywał się Huenengarth?

Skinęła głową.

– Wygląda na to, że obaj panowie dublujecie swoje działania.

– Kiedy tu był?

– W poprzedni czwartek. Czy Western Peds oferuje tego rodzaju osobiste usługi wszystkim pacjentom?

– Jak powiedziałem, to skomplikowany przypadek.

Uśmiechnęła się.

– Pod względem medycznym czy socjo-kulturowym?

– Przykro mi, nie mogę wchodzić w szczegóły – odparłem.

– Tajemnica psychoterapii?

Przytaknąłem.

– No cóż, oczywiście respektuję to, doktorze Delaware, Pan Huenengarth użył innego sformułowania, że zastrzec sobie dyskrecję. „Informacja zastrzeżona”. Pomyślałam, że to brzmi jak z opowieści sensacyjnej, co też powiedziałam. Nie rozbawiło go to. Raczej ponury typ.

– Dała mu pani kartę?

– Nie, doktorze, ponieważ jej nie mam. Dawn nie zostawiła tu żadnych kart medycznych. Przepraszam, że wprowadziłam pana w błąd, ale całe to zainteresowanie, jakim ostatnio się ją obdarza, nauczyło mnie ostrożności. To i morderstwo, oczywiście. Kiedy policja przyszła tu, wpytując o nią, osobiście opróżniłam jej schowek. Znalazłam tam tylko podręczniki i dyskietki komputerowe z wynikami badań do dysertacji.

– Odczytała pani dyskietki?

– Czy to pytanie wiąże się z pana skomplikowanym przypadkiem?

– To możliwe.

– Możliwe – powtórzyła. – Cóż, przynajmniej nie jest pan tak nachalny jak pan Huenengarth. Starał się wymusić na mnie ich zwrot.

Zdjęła okulary, wstała oddając mi plakietkę i zamknęła drzwi. Usiadłszy z powrotem, zapytała:

– Czy Dawn Herbert była zamieszana w jakąś brudną aferę?

– Mogła być.

– Pan Huenengarth okazał się nieco bardziej wymowny od pana, doktorze. Prosto z mostu oświadczył, że Dawn ukradła tę kartę. Poinformował, że jest moim obowiązkiem dopilnować, żeby ją zwrócono – dość władczym tonem. Musiałam poprosić go, żeby opuścił pokój.

– Nie jest to Pan Czarujący.

– Delikatnie mówiąc – zachowuje się jak ci z KGB. Bardziej przypominał policjanta niż prawdziwi funkcjonariusze, którzy prowadzili śledztwo w sprawie zabójstwa Dawn. Oni byli nie dość nachalni. Kilka szablonowych pytań i do widzenia – oceniam ich na trzy z minusem. Parę tygodni potem zadzwoniłam, żeby dowiedzieć się, jak posuwa się śledztwo, ale nikt nie odbierał telefonu. Zostawiłam wiadomość na automatycznej sekretarce, ale nie oddzwoniono do mnie ani razu.

– O co pytali?

– Jakich miała przyjaciół, czy zadawała się z kryminalistami, czy używała narkotyków. Niestety nie umiałam odpowiedzieć na żadne z nich. Choć była moją studentką, przez cztery lata, dosłownie nic o niej nie wiedziałam. Opiekował się pan kiedykolwiek doktorantami?

– Parę razy.

– Więc wie pan, jak to bywa. Z jednymi studentami jest się naprawdę blisko, innych prawie się nie zauważa. Niestety Dawn należała do tych ostatnich. Nie żeby nie była inteligentna. Miała niezwykle uzdolnienia matematyczne. To dlatego na początku ją zaakceptowałam, chociaż miałam zastrzeżenia co do jej motywacji. Zawsze szukam kobiet, którym niestraszne są liczby, a ona miała prawdziwy talent do matematyki. Ale nigdy... nie zbliżyłyśmy się.

– A co było nie w porządku z jej motywacją?

– Nie miała żadnej. Zawsze wydawało mi się, że trafiła na studia doktoranckie, idąc po linii najmniejszego oporu. Składała podanie do szkoły medycznej, ale odrzucono ją. Próbowwała dalej, nawet po tym, jak przyjęto ją tutaj – naprawdę przegrana sprawa, ponieważ jej stopnie z przedmiotów

niematematycznych nie były bardzo dobre, a wyniki egzaminów końcowych znacznie poniżej średniej. Ale oceny z matematyki miała tak wysokie, że mimo to zdecydowałam się ją przyjąć. Posunęłam się nawet tak daleko, że załatwiłam jej stypendium. Zeszłej jesieni musiałam go jej odebrać. To wtedy znalazła pracę w pana szpitalu.

– Mierne wyniki?

– Mierny postęp w pracy nad dysertacją. Zaliczyła zajęcia z dostatecznymi wynikami, przedstawiła projekt pracy, który wyglądał obiecująco, rzuciła go, przedstawiła następny, też go rzuciła et cetera. Wreszcie zaproponowała temat, który przypadł jej do gustu. I wtedy jakby utknęła. Zupełnie nie mogła ruszyć z miejsca. Wie pan jak to jest – studenci albo kończą migiem albo ślimaczą się z tym latami. Potrafiłam pomóc wielu maruderom, starałam się pomóc i Dawn. Ale odrzucała moje rady. Nie zjawiała się na umówione spotkania, wykręcała, powtarzała, że sama da sobie radę, potrzebuje tylko więcej czasu. Miałam wrażenie, że moje słowa nie docierają do niej. Przemyślałam już, czy nie usunąć jej ze studiów. A wtedy ją...

Potarła czubkiem palca krwistoczerwony paznokieć.

– Podejrzewam, że nie ma to teraz większego znaczenia. Może czekoladkę?

– Nie, dziękuję.

Spojrzała na czekoladki. Zamknęła pudełko.

– Proszę uznać tę krótką mowę – powiedziała – za pogłębioną odpowiedź na pana pytanie o jej dyskietki. Tak, odczytałam je, ale nie było tam nic znaczącego. Niczego nie przygotowała do dysertacji. Nawiasem mówiąc, nie chciało mi się nawet zajrzeć do nich, nim nie pojawił się tu ten pana Huenengarth – odłożyłam je i zapomniałam o tym zupełnie. Tak mnie wzburzyła jej śmierć. Już samo przeszukiwanie schowka było wystarczająco upiorne. Ale on przywiązywał taką wagę do tego, żeby je dostać, że odczytałam dyskietki, gdy tylko sobie poszedł. Było gorzej niż sądziłam. Wszystko, co stworzyła, mimo moich wielu zachęt, to kolejne przeformułowania własnych hipotez oraz tablica liczb losowych.

– Tablica liczb losowych?

– Do wyznaczania próbek losowych. Z pewnością wie pan, jak to się robi.

Skinąłem głową.

– Generuje się zbiór liczb losowych przy pomocy komputera bądź innymi technikami, potem używa się ich do losowania osobników z całej populacji. Jeśli w tablicy mamy pięć, dwadzieścia trzy, siedem; wybieramy piątego, dwudziestego trzeciego i siódmego człowieka z listy.

– Dokładnie. Tablica Dawn była ogromna – tysiące liczb. Strona za stroną wygenerowane na sprzęcie wydziałowym. Cóż za bezmyślne trwonienie czasu komputera. Nie była nawet gotowa do wyselekcjonowania próbki. Nie sformułowała nawet jasno podstawowej metodologii.

– Jaki był temat jej pracy?

– Prognozowanie występowania zachorowań na raka w zależności od regionu. Tylko na tyle dokładnie to sformułowała. Odczytywanie dyskietek było doprawdy przygnębiające. Nawet te króciutkie fragmenty, które napisała, okazały się zupełnie nie do przyjęcia. Chaotyczne, nie uporządkowane. Zastanawiałam się, czy rzeczywiście nie używała narkotyków.

– Czy jeszcze coś na to wskazywało?

– Przypuszczam, że nierzetelność mogła być tego objawem. I czasami wydawała się pobudzona – wręcz maniackalnie. Gdy starała się przekonać mnie – albo siebie – że czyni postępy. Ale wiem, że nie brała pochodnych amfetaminy. Bardzo przytyła przez ostatnie cztery lata – co najmniej czterdzieści funtów. Kiedy zaczynała tu studiować, była całkiem ładna.

– Mogła być kokaina – zasugerowałem.

– Tak, tak przypuszczam, ale widziałam podobne rzeczy u studentek, które nic nie brały. Stresy związane ze studiami doktoranckimi każdego mogą doprowadzić do chwilowego szaleństwa.

– To prawda – potwierdziłem.

Pogładziła paznokcie, spojrzała na fotografię rodziny.

– Wiadomość o tym, że została zamordowana, zupełnie zmieniła mój stosunek do niej. Przedtem byłam wręcz wściekła na Dawn. Ale słysząc o jej śmierci – o tym, w jakim stanie została znaleziona... cóż, po prostu żal mi się jej zrobiło. Policja powiedziała, że była ubrana jak jakaś punk-rockerka. Uświadomiło mi to, że prowadziła też inne życie, które przede mną ukrywała. Była po prostu jedną z tych osób, dla których świat idei nigdy nie stanie się czymś istotnym.

– Czy jej brak motywacji mógł być spowodowany posiadaniem niezależnych źródeł dochodów?

– Och, nie – odparła. – Była biedna. Kiedy ją przyjąłem, błagała o stypendium, twierdziła, że bez niego nie może rozpocząć studiów.

Pomyślałem o beztróskim stosunku do pieniędzy, jaki przejawiała u Murtaughów. O nowym wozie, w którym zginęła.

– A jej rodzina? – zapytałem.

– O ile pamiętam, miała matkę – alkoholiczkę. Ale policjanci mówili, że nie zdołali znaleźć nikogo, kto mógłby odebrać ciało. Urządziliśmy tu w szkole zbiórkę, żeby ją pochować.

– To smutne.

– Niezwykle.

– Z jakich stron pochodziła? – zapytałem.

– Gdzieś ze wschodu. Nie, nie była bogatą dziewczyną, doktorze Delaware. Jej brak energii miał inne przyczyny.

– Jak zareagowała na cofnięcie stypendium?

– W ogóle nie zareagowała. Spodziewałam się gniewu, łez, czegokolwiek – miałam nadzieję, że oczyści to atmosferę i dojdziemy do porozumienia. Ale nawet nie próbowała skontaktować się ze mną. Koniec końców to ja zadzwoniłam do niej, pytając, jak zamierza zarobić na utrzymanie. Powiedziała mi o swojej pracy w pana szpitalu, zachowywała się tak, jakby było to bardzo prestiżowe zajęcie – wręcz zadzieriała nosa. Choć ten pana Huenengarth twierdził, że robiła niewiele więcej niż mycie butelek.

W laboratorium Ashmore'a nie było żadnych butelek. Milczałem.

Spojrzała na zegarek, potem na torebkę. Przez chwilę sądziłem, że zaraz wstanie. Ale zamiast tego przysunęła się z krzesłem i utkwiała we mnie gorące i nieruchome spojrzenie swych orzechowych oczu. Żarliwa dociekliwość. Wiewiórka szukająca zapasu żołądki.

– Po co te wszystkie pytania, doktorze? O co panu rzeczywiście chodzi?

– Doprawdy nie mogę podać szczegółów, ponieważ jest to sprawa poufna – odparłem. – Wiem, że to nie wydaje się fair.

Nie odzywała się przez moment. Potem rzekła:

– Ona była złodziejką. Te podręczniki w jej schowku zostały skradzione drugiej studentce. Znalazłam też inne rzeczy. Czyjś sweter. Złoty długopis, który należał do mnie. Więc nie zdziwiłabym się, gdyby była zamieszana w jakąś brudną aferę.

– Mogła być.

– W coś, co mogło doprowadzić do jej zamordowania?

– To prawdopodobne.

– A jaki jest pana udział w tym wszystkim doktorze?

– W grę wchodzi dobro mojej pacjentki.

– Siostry Charlesa Jonesa?

Skinałem głowę, zdziwiony, że Huenengarth wyjawiał aż tyle.

– Podejrzewacie jakąś formę znęcania się nad dzieckiem? – zapytała. Coś, o czym dowiedziała się Dawn i próbowała to wykorzystać?

Kryjąc zdumienie, wzruszyłem ramionami, kładąc palec na ustach.

Uśmiechnęła się:

– Nie jestem Sherlockiem Holmesem, doktorze Delaware. Ale wizyta pana Huenengartha bardzo mnie zaintrygowała – wszystkie te naciski. Zbyt długo zajmowałam się systemami opieki zdrowotnej, by uwierzyć, że ktoś posunąłby swoje wysiłki tak daleko dla przeciętnego pacjenta. Poprosiłam więc męża, żeby wypytał o chłopca nazwiskiem Jones. Jest chirurgiem naczyniowym, ma pewne przywileje w Western Peds, choć nie operował tam od lat. Toteż wiem, kim są Jonesowie i jaki jest udział dziadka w zamieszaniu panującym w szpitalu. Wiem też, że chłopiec zmarł na Zespół Nagłej Śmierci Noworodków, a drugie dziecko ciągle choruje. Chodzą różne słuchy. Skojarzmy to z faktem, że Dawn ukradła kartę pierwszego dziecka i zamiast studenckiego ubóstwa zaczęła przejawiać niejaką nonszalancję w kwestiach finansowych, dodajmy dwie niezależne wizyty fachowców szukających osobiście tej karty; dalej nie trzeba już być detektywem.

– Mimo to jestem pod wrażeniem.

– Czy pan i pan Heunengarth działacie przeciwko sobie?

– Nie działamy razem.

– A pan po czyjej jest stronie?

– Dziewczynki.

– Kto płaci pana honoraria?

– Oficjalnie, rodzice.

– Nie widzi pan w tym sprzeczności interesów?

– Jeżeli okaże się, że tak jest, nie przedłożę rachunku.

Obserwowała mnie przez parę chwil.

– Wierzę, że pan mówi serio. A teraz proszę mi powiedzieć, czy posiadanie tych dyskietek może narazić na niebezpieczeństwo mnie?

– Wątpię, ale nie jestem w stanie tego wykluczyć.

– Niezbyt pocieszająca odpowiedź.

– Nie chcę wprowadzać pani w błąd.

– Doceniam to. Przeżyłam inwazję sowieckich czołgów w Budapeszcie w 56 roku i mój instynkt samozachowawczy pozostał od tego czasu wyostrzony. Jak pan sądzi, dlaczego te dyskietki mogą być takie ważne?

– Mogą zawierać jakieś zakodowane informacje – odparłem – wmieszane w tablicę liczb losowych.

– Przyznać muszę, że pomyślałam o tym samym – doprawdy nie było żadnego logicznego uzasadnienia, żeby generowała tę tablicę na tak wczesnym etapie badań. Przejrzałam ją, spróbowałam kilku podstawowych programów, ale nie wyszły na jaw żadne oczywiste algorytmy. Ma pan jakieś umiejętności kryptograficzne?

– Żadnych.

– Ja też nie, choć istnieją dobre programy dekodujące, tak że nie trzeba już być fachowcem. Może

zajęlibyśmy się tym od razu, zobaczymy, czy połączenie naszych umiejętności da jakieś rezultaty. Potem oddam panu dyskietki i będę je miała z głowy. Wyślę też listy do Huenengartha i policji, i kopię do mego dziekana, stwierdzając, że przekazałam panu dyskietki i nie interesuję się nimi.

– Może tylko do policji? Mogę pani podać nazwisko detektywa?

– Nie. – Cofnęła się do biurka, wzięła torebkę i otworzyła zaszask. Wyjąwszy mały kluczyk, wsunęła go w zamek górnej szuflady biurka.

– Zwykle nie zamykam na klucz – wyjaśniła. – Ten człowiek sprawił, że poczułam się jakbym wróciła na Węgry.

Wysunęła lewą szufladę na dokumenty i zajrzała. Zmarszczyła brwi. Włożyła do środka dłoń, przebiegła nią po szufladzie, ale wyjęła pustą.

– Nie ma – stwierdziła, podnosząc wzrok. – To ciekawe.

## Rozdział dwudziesty szósty

Przeszliśmy oboje do biura wydziału, gdzie Yanos poprosiła Merilee o wyjęcie akt Dawn Herbert. Składała się na nie karta katalogowa pięć na osiem cali.

– Czy to już wszystko? – zapytała pani doktor marszcząc brwi.

– Oddajemy teraz stare dokumenty do powtórnego wykorzystania, doktor Yanos, nie pamięta pani?

– Ach, tak. Jakże polityczniejsoprawnie... – Odczytaliśmy kartę: u góry widniał czerwony stempel SKREŚLONA Z LISTY STUDENTÓW. Poniżej cztery wiersze pismem maszynowym:

Herbert, D.K. Próg: dokt., Bio-St.

Dat. ur.: 13/12/63

M. ur.: Poughkeepsie, N.Y.

mgr, mat., Poughkeepsie Coli.

– Nie za wiele – powiedziałem.

Yanos uśmiechnęła się chłodno i oddała kartę Merilee.

– Mam teraz seminarium, doktorze Delaware, zechce pan wybaczyć.

Wyszła z biura.

Merilee trzymała kartę w ręku, wyglądając, jakby stała się mimowolnie świadkiem kłótni małżeńskiej.

– Życzę miłego dnia – powiedziała, po czym odwróciła się do mnie plecami.

Wsiadłszy do samochodu, starałem się rozsupłać węzły, które w mojej głowie zadzierzgnęła rodzina Jonesów.

Dziadek Chuck robi coś szpitalowi.

Chip i/lub Cindy robią coś swojemu dziecku.

Ashmore i/lub Herbert dowiadują się o części sprawy lub o wszystkim. Dane Ashmore'a zostają skonfiskowane przez Huenengartha. Dane Herbert skradzione przez Huenengartha. Herbert zamordowana najprawdopodobniej przez człowieka, który przypomina Huenengartha.

Scenariusz szantażu oczywisty nawet dla postronnego obserwatora jak Yanos.

Lecz jeżeli Ashmore i Herbert planowali coś we dwójkę, dlaczego ona umarła pierwsza?

I dlaczego Huenengarth zwlekał tak długo z odszukaniem jej dyskietek, skoro zajął się komputerami Ashmore'a dzień po jego śmierci?

Chyba że dowiedział się o danych Herbert dopiero po przejrzaniu materiałów Ashmore'a.

Rozmyślałem nad tym przez chwilę i doszedłem do następującej, prawdopodobnej chronologii wydarzeń.

Herbert pierwsza zaczyna podejrzewać istnienie związku między śmiercią Chada Jonesa i chorobami Cassie – studentka wyprzedza nauczyciela, ponieważ trudno o lekarza, który mniej by się przejmował pacjentami.

Wyciągnęła kartę Chada, utwierdziła się w swoich podejrzaniach, wprowadziła dane dotyczące tych odkryć – zakodowane pod postacią liczb losowych – do uczelnianego komputera. Zapisuje je na dyskietce, którą ukrywa w schowku na uczelni, i zaczyna szantażować rodzinę Jonesów.

Ale przedtem robi kopię zapisu i wprowadza ją do komputerów Ashmore'a bez jego wiedzy.

Dwa miesiące po jej zamordowaniu Ashmore odnalazł zapis i także starał się go wykorzystać.

Chciwy, pomimo milionowej dotacji.

Przyszły mi na myśl pieniądze Ferrisa Dixona. O wiele za dużo na to, co miał robić Ashmore.

Dlaczego obiektem szczodrości fundacji chemicznej stał się człowiek, który krytykował przedsiębiorstwa chemiczne? Fundacji, o której nikt prawie nic nie wiedział, dotującej ponoć badanie przyrodnicze, choć jej jedynym pozostałym podopiecznym był ekonomista.

Nieuchwytny profesor Zimberg... sekretarki w jego biurze i u Ferrisa Dixona mówiły to samo.

Swego rodzaju gra...

Walc.

Być może Ashmore i Herbert działali na różnych płaszczyznach.

On napierał na Chucka Jonesa, ponieważ wpadł na trop afery finansowej. Ona starała się wydoić Chipa i Cindy, dowiedziawszy się o maltretowaniu dziecka.

Dwoje szantażystów działających z jednego laboratorium?

Zatrzymałem się nad tym dłużej.

Pieniądze i śmierć, dolary i nauka.

Nie byłem w stanie tego połączyć.

Czerwona chorągiewka parkometru z napisem DOPLATA wyskoczyła niczym grzanka. Spojrzałem na zegarek. Tuż po południu. Ponad dwie godziny do umówionego spotkania z Cassie i jej mamą.

Dlaczego by nie odwiedzić w tym czasie taty?

Z automatu w budynku administracji zadzwoniłem do West Valley Community College i dowiedziałem się, jak tam dojechać.

Czterdzieści pięć minut jazdy, jeśli ruch będzie niewielki. Opuściwszy campus, ruszyłem na północ, skręciłem na zachód w Sunset i dotarłem do szosy 405. Na rozjeździe przeskoczyłem na Ventura Freeway, dojechałem do zachodniego końca Valley i zoczyłem w Topanga Canyon Boulevard.

Przejażdżka w kierunku północnym ukazała mi przekrój poprzeczny dzielnic handlowych: luksusowe centra, świadczące, że model gospodarki wielopoziomowej wciąż funkcjonuje bez zarzutu; obskurne witryny drobnych interesów, które nigdy nie wierzyły w powodzenie; wąskie deptaki prowizorycznych straganów bez żadnej podbudowy ideologicznej.

Powyżej Nordhoff sklepy ustąpiły miejsca dzielnicom mieszkalnym. Rozpościerał się przede mną pochyły teren pełen luksusowych apartamentów i rezydencji, kompleksów kondominiów o ścianach ozdobionych optymistycznymi hasłami. Kilka gajów cytrusowych i farm oparło się postępowi. Zmieszane aromaty nawozu, ropy naftowej i liści drzewek cytrynowych nie do końca tłumiły zapach rozgrzanego słońcem kurzu, przywodzący na myśl woń przypalanej kolacji.

Dotarłem do przełęczy Santa Susanna, ale szosa była zamknięta bez wyraźnej przyczyny i zablokowana barierami. Pojechałem dalej do końca Topanga, gdzie płatanina wiaduktów drogowych sterczała wysoko na tle gór. Obok na prawo grupa eleganckich pań pędziła krótkim galopem na pięknych wierzchowcach. Niektóre z amazonek odziane były w stroje do polowania na lisy, wszystkie wyglądały na zadowolone.

Wewnątrz betonowego precla znalazłem podjazd na szosę 118, przez kilka minut posuwałem się nią na zachód i skręciłem przy nowo wybudowanym wyjeździe z napisem COLLEGE ROAD. West Valley CC. był pół mili dalej – jedyny obiekt w zasięgu wzroku.

W niczym nie przypominał kampusu, który niedawno opuściłem. Całość zapowiadał ogromny, prawie pusty parking. Dalej znajdował się szereg parterowych, prefabrykowanych domków i barakozów, rozmieszczonych bezładnie na dziesięcioakrowej mozaice betonu i gołej ziemi. Niektóre posadzone na próbę rośliny więdły. Luźne grupki studentów spacerowały po wylanych betonem ścieżkach.



Wysiadłem z samochodu i skierowałem się w stronę najbliższego barakowozu. Południowe słońce rzucało na Valley blask oślepiający niczym cynfolia. Większość studentów przechadzała się samotnie. W upalnym powietrzu rozlegały się dźwięki niewielu rozmów.

Po serii chybionych prób, udało mi się znaleźć kogoś, kto był w stanie powiedzieć, gdzie jest socjologia. Budynki 3A do 3F.

Biuro wydziału mieściło się w 3A. Sekretarka, szczupła blondynka, robiła wrażenie świeżo upieczonej absolwentki szkoły średniej. Wydała się przestraszona, kiedy zapytałem, gdzie jest pokój profesora Jonesa, ale odpowiedziała:

– Dwa budynki dalej, w trzy - c.

Ziemia między budynkami była spękana i poźłobiona brzdami. Tak twarda i wyschnięta, że nie pozostał na niej choćby jeden odcisk buta. Daleko było temu miejscu do Ivy League. Pokój Chipa Jonesa okazał się jednym z sześciu w małym, otynkowanym na różowo budyneczku. Drzwi zamknięto na klucz, a na kartce informującej o godzinach urzędowania dopisano:

**ZAWSZE KTO PIERWSZY, TEN LEPSZY**

Wszystkie inne pokoje również były zamknięte. Wróciłem i zapytałem sekretarkę, czy profesor Jones jest w kampusie. Zajrzawszy do rozkładu zajęć, odparła:

– Och, tak. Wykłada socjologię w pięć - j.

– Kiedy skończą się te zajęcia?

– Za godzinę – to dwugodzinne seminarium, od dwunastej do drugiej.

– Czy mają przerwę w połowie?

– Nie wiem.

Odwróciła się do mnie plecami.

– Przepraszam – powiedziałem, zdołałem skłonić ją, by wyjaśniła, gdzie jest 5J i poszedłem tam.

Był to barakowóz, jeden z trzech stojących na zachodnim krańcu kampusu, nad brzegiem płytkiego parowu.

Mimo upału Chip Jones prowadził zajęcia na dworze, siedząc na jednej z nielicznych tu połaci trawy, skryty częściowo w cieniu młodego dębu, naprzeciw mniej więcej dziesięcioosobowej grupy studentów, złożonej, z dwoma wyjątkami, z samych kobiet. Mężczyźni usiedli z tyłu, dziewczyny otaczały Jonesa ścisłym półkolem.

Przystanąłem sto stóp od nich.

Jego twarz zwrócona była bokiem do mnie, a ramiona poruszały się. Miał na sobie białą koszulkę polo i dzinsy. Pozycja siedząca nie przeszkadzała mu ożywiać wykładu mnóstwem gestów. Gdy zmieniał położenie ciała, głowy studentów zwracały się ku niemu, a długie kobiece włosy falowały.

Uprzytomniłem sobie, że nie mam mu nic do powiedzenia – ani powodu, żeby tu przebywać – więc odwróciłem się i chciałem odejść.

Wtedy usłyszałem okrzyk, obejrzałem się przez ramię i zobaczyłem, jak macha do mnie.

Powiedział coś grupie, zerwał się z ziemi i popędził ku mnie krótkimi susami. Zaczekałem, a kiedy się zbliżył, sprawiał wrażenie przestraszonego.

– Pomyślałem sobie, że to pan. Czy wszystko w porządku?

– W jak najlepszym – odparłem. – Nie miałem zamiaru pana niepokoić. Pomyślałem tylko, że wpadnę tu nim pojedę do państwa do domu.

– Och – jasne. – Odetchnął głośno. – No, ulżyło mi. Szkoda, że nie uprzedził mnie pan o przyjeździe,

mógłbym wskazać stosowniejszą porę na rozmowę. Jak na razie, mam dwugodzinne seminarium do drugiej – zapraszam do udziału, ale nie wyobrażam sobie, by chciał pan słuchać o strukturze organizacji. A potem jest zebranie wykładowców do trzeciej i następne zajęcia.

– Ma pan wypełniony dzień.

Uśmiechnął się.

– Tak jest zawsze. – Uśmiech zniknął. – W rzeczywistości to Cindy ma ciężką pracę. Ja mogę uciec.

Pogładził się po brodzie. Tego dnia miał kolczyk z malutkim szafirem, rozżarzonym słońcem. Jego nagie ramiona były opalone, żylaste i pozbawione owłosienia.

– Czy chciał pan ze mną porozmawiać o czymś konkretnym? – zapytał. Mogę im zrobić przerwę na parę minut.

– Nie, właściwie nie. – Rozejrzałem się po pustej przestrzeni wokół.

– Yale to to nie jest – stwierdził, jakby czytając w moich myślach. Ciągłe im powtarzam, że parę drzew wiele by zmieniło. Ale lubię być pionierem – budować coś od podstaw. Cała ta okolica to najszybciej rozwijający się rejon w kotlinie L.A. Proszę wrócić za parę lat, a będzie tu roić się od ludzi.

– Mimo spadku cen?

Zmarszczył brwi, szarpiąc nerwowo brodę i powiedział:

– Tak, tak myślę. Ekspansja populacji może posuwać się tylko w jednym kierunku. – Uśmiechnął się.

– A przynajmniej tak mi mówią moi znajomi demografowie.

Odrzucił się w stronę studentów, którzy patrzyli na nas i uniośł rękę.

– Wie pan, jak stąd dojechać do naszego domu?

– Mniej więcej.

– Powiem panu dokładnie. Niech pan wróci na szosę – sto osiemnastą i zboczy przy siódmym wyjeździe. Potem już nie sposób nie trafić.

– Świetnie. Nie zatrzymuję pana – powiedziałem.

Spojrzał na mnie, ale myślami zdawał się być gdzie indziej.

– Dzięki – rzekł. Znów zerknął za siebie. – Tylko to trzyma mnie przy zdrowych zmysłach – dając złudzenie wolności. Na pewno rozumie pan, co mam na myśli.

– Doskonale.

– No cóż – oznajmił. – Powinienem już wracać. Pozdrowienia dla moich pań.

## Rozdział dwudziesty siódmy

Dojazd do ich domu nie powinien zająć więcej niż piętnaście minut, pozostawało więc jeszcze czterdzieści pięć do umówionego spotkania z Cassie o drugiej trzydzieści.

Przypomniawszy sobie dziwny opór Cindy, gdy proponowałem wcześniejszą porę spotkania, postanowiłem udać się tam od razu. Postąpić dla odmiany tak, jak mnie było wygodniej.

Z każdym kolejnym wyjazdem ze sto osiemnastki, zagłębiałem się coraz bardziej w pustkowie brązowych wzgórz, o lasach przetrzebionych pięcioletnią posuchą. Siódmy, z napisem WEST VIEW, wyprowadził mnie na łagodnie skręcającą gliniastą drogę, ocienioną masywem góry. Po paru minutach glinę zastąpił podwójny pas świeżego asfaltu, a co pięćdziesiąt stóp zaczęły się pojawiać czerwone chorągiewki na wysokich metalowych słupkach. Na zakręcie stała żółta koparka. Nie było żadnych innych pojazdów w zasięgu wzroku. Przed oczyma miałem tylko wypalone zbocze i błękitne niebo. Słupki chorągiewek migały niczym pręty więziennych cel.

Asfalt kończył się kwadratowym, szerokim na sto stóp, placikiem, wyłożonym cegłą i ocienionym drzewkami oliwnymi. Wysoka, metalowa brama była otwarta na oścież. Na wielkiej drewnianej tablicy na lewo od wjazdu, wypisano czerwonymi drukowanymi literami KOLONIA WEST VIEW. Poniżej legendy artystyczna wizja rozwijającego się osiedla mieszkaniowego, odmalowana była pastelowymi barwami na tle przesadnie zielonych szczytów górskich.

Podjechałem na tyle blisko tablicy, by móc odczytać napisy. Harmonogram umieszczony poniżej malunku wymieniał sześć etapów budowy, każdy po „dwadzieścia do stu działek o powierzchni od pół do pięciu akrów, z wykonanym na zamówienie domkiem”. Zgodnie z wykazem dat, pierwsze trzy etapy powinny już być zakończone. Zajrzawszy przez bramę, dostrzegłem rzadko rozrzucone dachy domków i mnóstwo brązu. Uwagi Chipa sprzed kilku minut o wzroście populacji wyglądały trochę na pobożne życzenia.

Minąwszy pustą wartownię, na której oknach pozostały jeszcze krzyżujące się pasy taśmy ochronnej, wjechałem na kompletnie opustoszały parking obramowany krzewami żółtej gazanii. Wyjazd prowadził na szeroką, pustą ulicę, noszącą nazwę Sequoia Lane. Chodniki były tak nowe, że wyglądały jakby wymyto je do białości. Po lewej stronie wznosiła się porośnięta bluszczem skarpa. Nieco dalej, na prawo, stały pierwsze domy; cztery duże, jasne budowle, wyposażone w okna o oryginalnych kształtach, ale niewątpliwie położone na odludziu.

Imitowały styl Tudorów, hacjendy, Regencji oraz rancza Ponderosa, przed każdym rozciągał się trawnik darniowy, poprzecinany grządkami kaktusów i znów gazanie. Na tyłach domu w stylu Tudorów płachta przykrywała kort tenisowy: za otwartymi parkingami pozostałych migotała zielononiebieska woda basenów. Wywieszki na drzwiach każdego budynku informowały: WZÓR. Mała tablica na trawniku Regencji podawała godziny urzędowania oraz numer telefonu spółki handlu nieruchomościami w Agoura. Znów czerwone chorągiewki. Drzwi wszystkich czterech domków były zamknięte, a okna brudne.

Szedłem dalej, szukając Dunbar Court. Wszystkie boczne uliczki nosiły nazwę „Court” – krótkie, szerokie, kończące się ślepo pasy odchodzące ku wschodowi od Sequoia. Tylko parę samochodów stało przy krawężnikach i na podjazdach. Na środku na wpół zwiędłego trawnika dostrzegłem leżący płasko rower, wąż ogrodniczy rozpostarty niby śpiący gad – ale żadnych ludzi. Dał się słyszeć świst krótkich powiewów wiatorku, które nie łagodziły jednak upału.

Dunbar okazał się szóstym z kolei „Courtem”. Dom Jonesów stał naprzeciw ślepego końca uliczki.

Było to obszerne, parterowe ranczo, biały stiuk ozdobiony starą cegłą. Na środku frontowego dziedzińca stało koło furgonu, oparte o uginającą się pod jego ciężarem młodą brzoźkę. Wzdłuż frontowej ściany ciągnęły się grządki kwiatów. Okna lśniły. Na tle majaczących w tyle gór, dom wyglądał niczym dziecięca zabawka. W powietrzu unosił się aromat kwiatnych pyłków.

Na podjeździe parkowała szaroniebieska furgonetka plymouth voyager. Brązowy pickup z platformą pełną gumowych węży, siatek i plastikowych butelek stał z włączonym silnikiem na podjeździe sąsiedniego domku. Napis na drzwiach informował OBSŁUGA BASENÓW VALLEYBRITE. W chwili gdy podchodziłem do krawężnika, pickup ruszył z miejsca. Zobaczywszy mnie, kierowca przyhamował. Machnąłem, żeby jechał dalej. Młody mężczyzna bez koszuli, z włosami związanymi w koński ogon, przyjrzał mi się, wychyliwszy głowę przez okno. Potem nagle wyszczerzył zęby w uśmiechu, unosząc zaciśniętą pięść z wyprostowanym ku górze kciukiem – w szybkim geście koleżeństwa. Zwiesiwszy przez okno brązowe ramię, wycofał wóz i odjechał.

Podszedłem do frontowych drzwi. Nim zdążyłem zapukać, Cindy otworzyła, odgarniając włosy z twarzy i spoglądając na swego swatcha.

– Cześć – powiedziała zduszonym głosem, jakby ledwo mogła złapać oddech.

– Cześć – uśmiechnąłem się. – Ruch był mniejszy niż się spodziewałem.

– Och... jasne. Proszę wejść. – Włosy miała rozpuszczone, ale wciąż sfalowane od splotu warkocza. Ubrana była w czarną podkoszulkę i bardzo krótkie białe szorty. Nogi miała gładkie i blade, odrobinę za chude, ale kształtne, a wąskie stopy były bose. Rękawki podkoszulka, wszyte wysoko i ukośnie, odsłaniały szczupłe ramiona i część barków. Dolny brzeg bluzki ledwo sięgał pasa. Otworzywszy drzwi, skuliła się i objęła ramionami, jakby czuła się niezręcznie. Chyba dlatego, że pokazała więcej nagiego ciała niż zamierzała.

Gdy wszedłem do środka, zamknęła za mną drzwi, ostrożnie, by nie trzasnęły. Skromny hol wejściowy kończył się wysoką na dziesięć stóp ścianą pokrytą tapetą w cyjankowo-niebieski rzucik i obwieszoną przynajmniej tuzinem oprawionych w ramki fotografii. Cindy, Chip i Cassie, upozowani i w naturalnych ujęciach i parę zdjęć ładnego, ciemnowłosego dziecka w niebieskim ubranku.

Uśmiechnięty chłopczyk. Odwróciłem od niego wzrok i zatrzymałem spojrzenie na powiększonej fotografii Cindy i starszej kobiety. Cindy wyglądała na osiemnaście lat. Ubrana była w białą bluzkę odsłaniającą brzuch i obcisłe džinsy, wpuszczone w białe botki, a jej rozwiane na wietrze włosy przypominały szeroki wachlarz. Starsza pani była chuda, żyłasta, ale szeroka w biodrach. Miała na sobie trykotową bluzkę bez rękawów w czerwono-białe paski, białe elastyczne spodnie i białe pantofle. Jej szpakowate włosy były krótko przycięte, a wargi tak cienkie, że prawie niewidoczne. Obie nosiły ciemne okulary i uśmiechały się. Uśmiech starszej pani mówił: „Żadnych głupstw”. W tle widać było maszty łodzi i szarozieloną wodę.

– To jest moja ciocia Harriet – wyjaśniła Cindy.

Przypomniawszy sobie, że wychowała się w Ventura, zapytałem:

– Gdzie to jest, w Oxnard Harbor?

– Aha. Channel Islands. Chodziłyśmy tam na lunch, kiedy miała dzień wolny... – Znów zerknęła na zegarek. – Cassie jeszcze śpi. O tej porze odbywa zwykle drzemkę.

– Szybko wróciła do dawnych przyzwyczajień – powiedziałem. – To dobrze.

– To dobra dziewczynka... Sądzę, że wkrótce się zbudzi.

Znów wydawała się zdenerwowana.

– Mogę panu podać coś do picia? – zapytała, odsuwając się od ściany z fotografiami. – W lodówce

jest mrożona herbata.

– Jasne, dzięki.

Poszedłem za nią przez obszerny salon, którego trzy ściany zajmowały sięgające sufitu mahoniowe regały na książki, a umeblowanie stanowiły pokryte skórą koloru byczej krwi tapczany i fotele klubowe, wyglądające jak nowe. Półki wypełniały książki w twardych okładkach. Jeden z foteli przykryty był afgańskim kobiercem. Czwarta ściana, o dwóch zasłoniętych kotarami oknach, wyklejona była tapetą w czarnozieloną kratę, która pogłębiała jeszcze panujący w pokoju półmrok, nadając mu klubowy, wyraźnie męski charakter.

Dominacja Chipa? Czy brak zainteresowania Cindy wystrojem wnętrza? Pozostałem nieco w tyle, obserwując, jak jej gołe stopy zagłębiają się w brązowym, pluszowym dywanie. Na szortach trawa pozostawiła z jednej strony zielony ślad. Cindy szła sztywno, z ramionami przyciśniętymi do boków.

Jadalnia, pokryta tapetą w brązowy rzucik, prowadziła do wyłożonej białymi kafelkami i dębem kuchni, dość dużej, by pomieścić prosty, sosnowy stół i cztery krzesła. Chromowane urządzenia kuchenne lśniły czystością. Przeszklone szafki ukazywały starannie ustawione stopy ceramicznych naczyń i uporządkowane według wielkości szkło stołowe. Na suszarce nie umieszczono żadnych naczyń, blaty również były puste.

Okno ponad zlewem, pełniące rolę cieplarni, pełne było malowanych glinianych doniczek z letnimi kwiatami i ziołami. Większe okno na lewo wychodziło na ogród za domem. Wyłożone płytami patio, prostokątny basen przykryty niebieskim plastikiem, ogrodzone barierką z kutego żelaza. Dalej długi pas doskonale utrzymanej trawy, na którym stała tylko huśtawka dziecięca i inne sprzęty do zabawy, ograniczony żywopłotem z drzewek pomarańczowych rosnących szpalerem przy wysokim na sześć stóp murze z brykietów żuźlowych. Za murem wisiały niczym draperie wszechobecne góry. Odległe o parę mil, a może jardów. Usiłowałem ocenić dystans, ale nie byłem w stanie. Trawa przeobraziła się w pas startowy do wieczności.

– Proszę, niech pan siądzie – powiedziała Cindy.

Położyła przede mną na stole plecioną podkładkę, a na niej postawiła wysoką szklankę mrożonej herbaty.

– To mieszanka – mam nadzieję, że będzie smakować. – Nim zdążyłem odpowiedzieć, wróciła do lodówki i dotknęła drzwi.

– Świetna – powiedziałem wypiwszy łyk.

Wzięła ściereczkę i wytarła nią i tak czyste kafelki, unikając mego wzroku.

Wypiłem jeszcze trochę, zczekałem, aż spojrzy na mnie i uśmiechnąłem się do niej.

Odpowiedziała szybkim, napiętym uśmiechem, miałem wrażenie, że jej policzki zarumieniły się. Obciągnęła koszulkę i przyciskając do siebie uda, przetarła jeszcze blat, splukowała ściereczkę, wyjęła i złożyła. Trzymała ją w obu dłoniach, jakby nie była pewna, co z nią dalej zrobić.

– Tak – powiedziała.

Spojrzałem na góry.

– Piękny dzień.

Przytaknęła i przekrzywiając głowę, rzuciła spojrzenie w dół. Zawiesiła ściereczkę na kranie. Z umieszczonej na drewnianym wałku rolki oderwała kwadratowy kawałek papierowego ręcznika i zaczęła wycierać kurek. Miała wilgotne ręce. Natręctwo Lady Makbet czy tylko sposób rozładowania napięcia?

Przyglądałem się, jak czyści dalej. Znów zerknęła w dół, a mój wzrok podążył za tym spojrzeniem.

Na jej piersi. Sutki rysowały się ostro poprzez cienką bawełnianą tkaninę czarnej koszulki, drobne, ale nabrzmiałe.

Kiedy podniosła wzrok, patrzyłem gdzie indziej.

– Wkrótce powinna się obudzić – powiedziała. – Zwykle sypia od pierwszej do drugiej.

– Przepraszam, że przyjechałem tak wcześnie.

– Och nie, w porządku. Nic w zasadzie nie robiłam.

Wytarła do sucha kurek i umieściła papierowy ręcznik w koszu na śmiecie pod zlewem.

– Póki czekamy – odezwałem się – nie masz jakichś pytań dotyczących rozwoju Cassie? Albo czegoś innego?

– Um... właściwie nie. – Zagryzła wargę, polerując kran. – Chciałabym tylko... by ktoś mi powiedział, co się dzieje – nie, żebym oczekiwała tego od pana.

Skinałem głową, ale nie zauważyła tego, wyglądając przez cieplarniane okno.

– Nagle pochyliła się nad zlewem, stając na palcach, żeby poprawić jedną z roślin. Stała tyłem do mnie, zobaczyłem, jak jej koszulka unosi się, odsłaniając kilka cali szczupłej talii i rysujący się pod skórą jeden z kręgow. Gdy manipulowała przy oknie, jej długie włosy poruszały się jak koński ogon. Wypięcie ciała sprawiło, że mięśnie łydek przesunęły się w górę, a uda napięły. Poprawiła roślinę, potem inną, wypięła się jeszcze bardziej, przestawiając coś. Jedna z doniczek z sadzonkami spadła i roztrzaskała się, uderzywszy o krawędź zlewu, obsypując podłogę ziemią.

W mgnieniu oka znalazła się na czworakach, zgarniając i zbierając. Wilgotne grudki przyłgnęły do jej rąk, poplamiły szorty. Wstałem, lecz nim zdążyłem jej pomóc, skoczyła na równe nogi, pobiegła do magazynku i przyniosła szczotkę. Zamiatła ostrymi, gniewnymi ruchami. Oderwałem kawałek papieru z rolki i podałem jej, kiedy przestała sprzątać.

Policzki jej teraz płonęły, oczy miała wilgotne. Wzięła ręcznik, nie patrząc na mnie. Wytarłszy ręce powiedziała:

– Przepraszam – muszę się przebrać.

Wyszła z kuchni bocznymi drzwiami. Wykorzystałem czas, kiedy jej nie było, i pokręciłem się po pomieszczeniu, otwierając drzwi i szuflady i czując się jak debil. W kredensach nie stało nic podejrzanego; sprzęt kuchenny i półprodukty żywnościowe. Wyjrzawszy przez drzwi, którymi wyszła, znalazłem tam małą łazienkę i korytarzyk gospodarczy, sprawdziłem jedno i drugie. Pralka i suszarka, szafki zapchane detergentami i proszkami, zmiękczacami i wybielaczami – skarbnica produktów, dzięki którym świat ma się stać lśniący i wonny. Większość z nich toksyczna, ale cóż z tego?

Słyszac kroki, pospieszyłem z powrotem do stołu. Wróciła ubrana w luźną żółtą bluzkę, workowate dżinsy i sandały – jej szpitalny uniform. Włosy miała luźno splecione, a twarz wyglądała, jakby ją wyszorowała.

– Przepraszam. Co za gafa – powiedziała.

Podeszła do lodówki. Teraz nie zauważyłem żadnych nie kontrolowanych poruszeń w okolicy jej piersi, sutki już się nie odznaczały.

– Jeszcze mrożonej herbaty?

– Nie, dzięki.

Wyjęła puszkę pepsi, otworzyła i siadła naprzeciw mnie.

– Przyjemnie się panu jechało?

– Bardzo przyjemnie.

– Nie jest źle, kiedy nie ma dużego ruchu.

– Owszem.

– Zapomniałam panu powiedzieć, że zamknęli przełącz, by poszerzyć drogę...

Mówiła dalej. O pogodzie i pracy w ogródku, marszcząc czoło.

Usilnie starała się wyglądać zwyczajnie.

Ale wydawała się obca we własnym domu. Mówiła sztywno, jakby powtarzała wyuczone zdania, nie ufając jednocześnie własnej pamięci.

Pejzaż za wielkim oknem był nieruchomy jak śmierć.

Dlaczego tu mieszkali? Dlaczego jedyny syn Chucka Jonesa wybrał pozamiejską izolację we własnym, kulawo rozwijającym się osiedlu domków jednorodzinnych, skoro stać go było na to, żeby mieszkać, gdzie tylko zechce?

Bliskość dwuletniego college'u niczego nie wyjaśniała. W zachodnim krańcu Valley mnóstwo było wspaniałych rancz, zamieszkałych przez członków country clubów. A hipisowski styl życia był ciągle popularny w Topanga Canyon.

Swego rodzaju rebelia? Drobną manifestacją ze strony Chipa – chciał być częścią społeczności, jaką zamierzał stworzyć? To właśnie pomysł, którego mógł się chwycić buntownik, żeby stłumić wyrzuty sumienia z powodu ogromnych zysków. Choć, sądząc po wyglądzie otoczenia, droga do zysków była daleka.

Inny scenariusz także pasował: sadystyczni rodzice często skrywają swe rodziny przed wścibskimi spojrzemieniami potencjalnych wybawców.

Dotarł do mojej świadomości głos Cindy. Opowiadała o zmywarce do naczyń, wyrzucając z siebie nerwowy potok słów. Mówiła, że rzadko jej używa, bo woli zmyć naczynia rękawicą i spłukać gorącą wodą, wtedy obsychają błyskawicznie. Ożywiła się, jakby nie rozmawiała z nikim przez bardzo długi czas.

Najprawdopodobniej tak było. Nie mogłem sobie wyobrazić, by Chip siadywał tak, słuchając jej paplaniny o zajęciach domowych.

Ciekaw byłem, jak wiele z książek w salonie należy do niej. Ciekaw byłem, co ci dwoje mieli ze sobą wspólnego.

Kiedy przerwała dla nabrania oddechu, wtrąciłem:

– To naprawdę ładny dom.

Ni w pięć ni w dziesięć, ale ożywiła się.

Obdarzyła mnie promiennym uśmiechem; oczy miała pociemniałe, a wargi wilgotne. Zdałem sobie sprawę, jak pięknie mogła wyglądać, kiedy była szczęśliwa.

– Chciałby pan zobaczyć resztę? – zaproponowała.

– Pewnie.

Wróciliśmy do jadalni. Wyciągała z szafki ślubne srebra, pokazując je sztuka po sztuce. Potem kolej przysłała na salon pełen książek, gdzie opowiadała mi, jak trudno było znaleźć dobrych stolarzy, żeby zrobić regały z litego drewna, żadnej tam sklejki. – Sklejka wydziela trujące substancje a my chcemy mieć dom tak zdrowy, jak to możliwe.

Udawałem, że słucham, lustrując grzbiety książek.

Dzieła naukowe: socjologia, psychologia, nauki polityczne. Trochę powieści, ale nic nowszego niż Hemingway.

Pomiędzy tomami rozmieszczono certyfikaty i dowody uznania. Mosiężna płytką na jednym z nich nosiła inskrypcję: serdeczne podziękowania dla PANA CL. JONESA III OD CZŁONKÓW KOŁA

NAUKOWEGO SZKOŁY ŚREDNIEJ W LOURDES. POKAZAŁ NAM PAN, ŻE NAUCZANIE I UCZENIE SIĘ MOGĄ IŚĆ W PARZE Z PRZYJAŹNIĄ. Datowane Sprzed dziesięciu lat.

Tuż poniżej zwój ofiarowany przez Zespół Korepetytorów z Yale – CHARLESOWI „CHIPOWI” JONESOWI ZA OFIARNĄ PRACĘ NA RZECZ DZIECI Z WOLNEJ KLINIKI W NEW HAVEN.

Na wyższej półce jeszcze jedna nagroda za pracę dydaktyczną, od korporacji studenckiej z Yale. Dwie plastikowe plakietki, przyznane przez College of Arts and Sciences, University of Connecticut w Storrs, poświadczające biegłość Chipa w nauczaniu studentów. Pan Chuck nie kłamał.

Jeszcze kilka świeższych dowodów uznania od West Valley Junior College: dyplom za nauczanie studentów kursu podstawowego Wydziału Socjologii, plakietka z młoteczką przewodniczącego od Rady Studentów z podziękowaniem prof. Cl. Jonesowi za współpracę w charakterze opiekuna, fotografia grupowa Chipa i około pięćdziesięciu uśmiechniętych dziewcząt o błyszczących policzkach, członkiń żeńskiej korporacji, na boisku sportowym; on i dziewczęta mieli czerwone podkoszulki ozdobione greckimi literami. Zdjęcie opatrzone było podpisami: „Najlepszego, Wendy”, „Dzięki, psorze Jones – Debra”, „Uściski, Kristie”, Chip przykucnął na linii bazowej, obejmując ramionami dwie dziewczyny, promieniejący, wyglądał niczym maskotka drużyny.

Cindy ma ciężką pracę. Ja mogę uciec.

Zastanawiałem się, jaka to zmiana zaszła w zachowaniu Cindy. Uświadomiłem sobie, że przestała mówić i odwróciwszy się ku niej zobaczyłem, jak patrzy na mnie.

– Jest świetnym nauczycielem – odezwała się. – Chciałby pan obejrzeć jego gabinet?

Znów wyściełane meble, zapchane regały, triumfy Chipa uwiecznione w brązie, drewnie i plastiku, plus szerokoekranowy telewizor, zestaw stereo i stojak pełen uporządkowanych alfabetycznie kompaktów muzyki klasycznej i jazzowej.

Ten sam klubowy nastrój. Jedyne fragmenty ściany niezastawione półkami pokryte był również tapetą w kratę – niebiesko-czerwoną. Wisiały tam dwa dyplomy Chipa. Poniżej dwie akwarele, umieszczone tak nisko, że musiałem przykłęknąć, aby im się przyjrzeć.

Śnieg, nagie drzewa i szopy z surowego drewna. Rama pierwszej opatrzona tabliczką zima w nowej Anglii. Druga, tuż ponad listwą podłogową, zatytułowana była czas puszczenia soków. Bez podpisu. Obrazy klasy malowanek dla turystów, wykonane przez kogoś, kto uwielbiał rodzinę Wyethów, ale nie posiadał talentu.

– Namalowała je pani Jones – mama Chipa – wyjaśniła Cindy.

– Mieszkała na wschodzie? – zapytałem.

Skinęła głową.

– Przed laty, kiedy był chłopcem. Oho, chyba słyszę Cassie.

Uniosła palec wskazujący, jakby sprawdzała kierunek wiatru.

Od strony jednego z regałów rozlegało się kwilenie. Dźwięk był jakby mechaniczny i dobiegał z oddali. Odwróciłem się i zlokalizowałem jego źródło; małe, brązowe pudełeczko stojące na górnej półce. Przenośny interkop.

– Włączam to, kiedy śpi – wyjaśniła.

Pudełko znowu zapłakało.

Wyszliśmy z pokoju i przez wyłożony niebieskim dywanem hol przeszliśmy do frontowej sypialni, którą przekształcono w gabinet Chipa. Drzwi były otwarte. Przybita do nich drewniana tabliczka oznajmiała: óczony pży pracy. Było to kolejne surowe wnętrze, pełne książek.

Dalej znajdowała się ciemnoniebieska główna sypialnia z zamkniętymi drzwiami, prowadzącymi, jak



przypuszczałem, do przechodniej łazienki o której wspominała Cindy. Pokój Cassie był w końcu korytarza – obszerne narożne pomieszczenie z tęczową tapetą i białymi bawełnianymi firankami w tęczowy wzorek. Cassie, ubrana w różową koszulkę nocną, siedziała z zaciśniętymi piąstkami na łóżeczku z baldachimem, popłakując bez przekonania. Pokój pachniał dziecięcym potem.

Cindy podniosła ją i przytuliła. Głowa Cassie opierała się na jej ramieniu. Dziewczynka spojrzała na mnie, zamknęła oczy, główka jej opadła.

Cindy mruczała coś pieszczotliwie. Buzia dziecka rozluźniła się, usta otwarły. Oddech stał się rytmiczny. Cindy kołysała ją.

Rozejrzałem się po pokoju. Dwoje drzwi na południowej ścianie. Dwa okna. Kalkomanie – króliczki i kaczki – na meblach. Obok łóżeczka bujany fotel z wiklinowym oparciem. Gry w pudełkach, zabawki i dość książek, by zapewnić lekturę do poduszki na rok.

Pośrodku trzy krzeselka wokół okrągłego stoliczka. Na stoliku stosik papierów, nowe pudełko kredek, trzy zatemperowane ołówki, gumka i kawałek tektury od koszuli z odręcznym napisem witamy doktora Delaware. Pluszowe króliki – tuzin z okładem – siedziały na podłodze, oparte o ścianę, ustawione precyzyjnie niczym kadeci w czasie przeglądu.

Cindy usiadła w bujaku, trzymając dziewczynkę na rękach. Cassie przywarła do niej, niczym masło do chleba. Nie zauważyłem ani śladu napięcia w drobnym ciałku.

Cindy bujała się, przymknąwszy oczy, głaszcząc córkę po plecach i przyglądając wilgotne od snu kosmyki włosów. Cassie wzięła głęboki oddech, wypuściła powietrze i wtuliła główkę pod brodę matki, popiskując z ukontentowania.

Siadłem na podłodze ze skrzyżowanymi nogami – w psychoanalitycznym lotosie – obserwując, rozważając, podejrzewając i wyobrażając sobie wszystko, co najgorsze i więcej.

Po paru minutach poczułem ból w stawach, podniosłem się i przeciągnąłem. Spojrzenie Cindy podążało za mną. Wymieniliśmy uśmiechy. Przycisnęła policzek do główki dziecka i wzruszyła ramionami.

– Nie ma pośpiechu – szepnąłem i zacząłem przechadzać się po pokoju. Przebiegałem dłońmi po powierzchniach mebli bez jednego pyłku, przeglądałem zawartość skrzynki z zabawkami, starając się, by nie wyglądało to na zbytnie wścibstwo.

Dobre rzeczy. Właściwe rzeczy. Każda gra i zabawka bezpieczna, dobrana do wieku i pouczająca.

Kątem oka dostrzegłem coś białego. Wystające zęby jednego z królików. W przyćmionym świetle dzieciennego pokoju szeroki uśmiech stworzonka i jego kompanów wydawał się złośliwy – szydarczy.

Przypomniałem sobie te uśmiechy ze szpitalnego pokoju Cassie i naszła mnie szaleńcza myśl.

Toksyczne zabawki. Przypadkowe zatrucie.

Czytałem o takim przypadku w czasopiśmie poświęconym zdrowiu dziecka – pluszowe zwierzątka z Korei wypchane, jak się okazało, włóknami odpadowymi z fabryki chemicznej.

Delaware rozwiązuje zagadkę i wszyscy rozchodzą się uszczęśliwieni do domów.

Wziąwszy najbliższego królika – żółtego – nacisnąłem brzusek, sprawdzając elastyczność mocnej pianki. Podniosłem zabawkę do nosa, ale nic nie poczułem. Nalepka informowała wyprodukowano na Tajwanie z nieszkodliwych i niepalnych materiałów. Poniżej widniał stempelek zatwierdzający jednego z magazynów rodzinnych.

Coś było na szwie – dwa zatrzaski. Klapka, którą można otworzyć. Pociągnąłem. Odgłos zwrócił uwagę Cindy. Uniosła brwi.

Podłubałem w środku, ale nic nie znalazłem. Zapiąłem zatrzaski i odłożyłem zabawkę.

– Alergie, prawda? – zapytała, podnosząc głos nieco powyżej szeptu. Na materiał wypełniający – też o tym myślałam. Ale doktor Eves kazała przebadać Cassie, nie jest na nic uczulona. Mimo to, przez pewien czas prałam te króliki codziennie. Prałam wszystkie jej zabawki tekstylne i pościel w najdelikatniejszym płynie.

Skinałem głowę.

– Ściągaliśmy też wykładzinę podłogową, żeby sprawdzić, czy nie ma pleśni w podkładzie albo czegoś w kleju. Chip słyszał, że ludzie chorowali w niektórych gmachach biurowych – nazywano je „niezdrowymi budynkami”. Sprowadziliśmy fachowców, żeby przeczyścić przewody wentylacyjne, a Chip kazał zbadać farbę, czy nie ma w niej ołowiu albo jakichś chemikaliów.

W jej podniesionym głosie znów można było wyczuć zdenerwowanie, Cassie poruszyła się niespokojnie. Cindy ukołysała ją.

– Ciągłe uważam – szepnęła. – Cały czas – odkąd... od początku.

Przykryła usta dłonią. Odjęła ją i plasnęła o kolano, biała skóra zaróżowiła się.

Oczy Cassie otworzyły się nagle.

Cindy bujała się mocniej, szybciej. Starając się zachować spokój.

– Najpierw jedno, teraz drugie – szepnęła – głośno, niemal sycząc. Może po prostu nie jestem stworzona, by być matką!

Podszedłem i położyłem jej dłoń na ramieniu. Wyślizgnęła się spod niej, zerwała z fotela i wepchnęła mi dziecko w ręce. Łzy płynęły jej z oczu, ręce trzęsły się.

– Właśnie tak! Tak! Sama nie wiem, co robię. Żadna ze mnie matka!

Cassie zaczęła kwilić, potem dławić się.

Cindy znów wepchnęła mi małą, a kiedy ją wziąłem, przebiegła przez pokój. Obejmowałem dziewczynkę w pasie. Odchyliła się w tył. Płacząc i odpychając mnie.

Usiłowałem ją uspokoić. Nie pozwoliła na to.

Cindy gwałtownym ruchem otworzyła drzwi, ukazując niebieskie kafelki. Wbiegła do łazienki, zatraskując za sobą drzwi. Usłyszałem, jak zbiera jej się na wymioty, potem szum wody spłukującej toaletę.

Cassie wiła się, kopała i krzyczała coraz głośniejsze. Chwyciłem ją mocno wpół, poklepując po plecach.

– Już dobrze, kochanie. Mama zaraz wróci. Już dobrze.

Wykręcała się jeszcze gwałtowniej, bijąc mnie piąstkami po twarzy i wyrzucając z siebie kocie wrzaski. Starłem się pocieszyć ją, usiłowałem objąć. Szarpnęła się i spłoszyła, odrzuciła w tył główkę i wrzasnęła, nieomal wyślizgując mi się z rąk.

– Mama zaraz wróci, Cass...

Drzwi łazienki otworzyły się, wybiegła z nich Cindy, ocierając oczy. Spodziewałem się, że wyrwie mi Cassie, ale wyciągnęła tylko ręce i poprzez wrzaski dziecka rzekła z egzaltacją: „Proszę”, patrząc na mnie tak, jakby oczekiwała, że nie oddam jej córki.

Podąłem jej Cassie.

Porwawszy dziewczynkę w ramiona, jęła krążyć szybko po pokoju. Przemierzała go długimi, energicznymi krokami, od których drżały jej szczupłe uda, mrużąc Cassie coś, czego nie mogłem usłyszeć.

Dwa tuziny okrzyków i płacz Cassie przycichł. Jeszcze tuzin i uspokoiła się.

Cindy chodziła dalej, ale mijając mnie rzuciła:

– Przepraszam – naprawdę przepraszam. Przepraszam.

Oczy i policzki miała mokre.

– Nic nie szkodzi – powiedziałem. Mój głos sprawił, że Cassie znów się rozbeczała.

Cindy zaczęła krążyć szybciej, powtarzając:

– Moja, moja, moja.

Podszedłem do stoliczka i usadawiłem się, najlepiej jak mogłem, na jednym z krzesełek. Powitalna tekturka wyglądała mi teraz na jakiś niesmaczny dowcip.

Po paru chwilach płacz Cassie przeszedł w sapnięcia i poszłochiwania. Potem umilkła i zobaczyłem, że ma zamknięte oczy.

Cindy wróciła na bujak i zaczęła szeptać chropawym głosem:

– Bardzo, bardzo, bardzo przepraszam. Tak mi... To było... Boże, jestem potworną matką!

Ledwo było ją słyszeć, ale udręka w jej głosie sprawiła, że Cassie otworzyła oczy. Dziewczynka wpatrywała się w matkę, kwiląc.

– Nie, nie, maleństwo, już dobrze. Przepraszam – już dobrze.

Do mnie powiedziała z egzaltacją:

– Jestem potworna.

Cassie znów się rozplakała.

– Nie, nie, już dobrze, kochanie. Jestem dobra. Jeśli chcesz, bym była dobra, będę dobra. Jestem dobrą mamą, tak, jestem tak – tak, kochanie, już wszystko w porządku. Dobrze? Uśmiechnęła się do dziecka z przymusem. Cassie wyciągnęła rączkę, dotykając policzka Cindy.

– Och, jesteś taką dobrą, małą dziewczynką – mówiła Cindy łamiącym się głosem. – Jesteś taka dobra dla mamusi. Jesteś taka, taka dobra!

– Ma ma.

– Mama cię kocha.

– Ma ma.

– Jesteś taka dobra dla mamy. Cassie Brooks Jones to najlepsza, najukochańsza dziewczynka.

– Ma ma. Mamama.

– Mama tak bardzo cię kocha. Mama tak bardzo cię kocha. – Cindy spojrzała na mnie. Potem na stolik.

– Mama cię kocha – powiedziała do ucha malej. – A doktor Delaware jest bardzo dobrym przyjacielem, kochanie. Tutaj, widzisz?

Odwróciła jej główkę w moją stronę. Ponownie spróbowałem uśmiechu, mając nadzieję, że wyglądam lepiej niż się czułem.

Cassie potrząsnęła gwałtownie głową, mówiąc:

– Nieee!

– Pamiętasz, kochanie, to nasz przyjaciel? Wszystkie te piękne obrazki, które narysował dla ciebie w szpitalu...

– Nieee!

– Zwierzątko...

– Nieee niee!

– Daj spokój, kochanie, nie ma się czego bać...

– Nieee!

– Dobrze, dobrze. Już dobrze, Cass.

Podniosłem się.

– Wychodzi pan? – zapytała Cindy z paniką w głosie.

Wskazałem łazienkę.

– Można?

– Och. Jasne. Jest też jedna obok holu.

– Ta wystarczy.

– Jasne... Tymczasem spróbuję ją uspokoić... Bardzo, bardzo przepraszam.

Zamknąłem na zasuwkę drzwi, którymi wszedłem i te drugie, prowadzące do głównej sypialni, spuściłem wodę i odetchnąłem głęboko. Woda była równie błękitna co kafelki. Wpatrywałem się bezmyślnie w niewielki lazurkowy wir. Odkręciwszy kran, umyłem i wysuszyłem twarz, spoglądając mimochodem na swoje odbicie w lustrze.

Wydałem się sobie okropny i postarzały od nieustannej podejrzliwości. Spróbowałem kilku uśmiechów, decydując się wreszcie na ten, który nie przypominał grymasu handlarza używanymi samochodami. Lustro stanowiły drzwi apteczki.

Zatrząsk nie do sforsowania przez dziecko. Otworzyłem.

Cztery półki. Puściwszy wodę szerokim strumieniem, przetrząsnąłem je szybko, zaczynając od góry.

Aspiryna, tylenol, żyletki, krem do golenia. Męska woda kolońska, dezodorant, pumeks. Małe, żółte pudełko kapsulek z żelam plemnikobójczym. Woda utleniona, tubka maści rozpuszczającej woskową uszną, płyn do opalania.

Zamknąłem szafkę. Zakręciwszy wodę, usłyszałem przez drzwi, jak Cindy mówi coś ciepłym, macierzyńskim głosem.

Póki nie wepchnęła mi Cassie, dziewczynka akceptowała mnie.

Może nie jestem stworzona, by być matką... Jestem potworną matką.

Nerwy odmawiają jej posłuszeństwa? Czy też stara się sabotować moją wizytę?

Rozmasowałem oczy. Następna szafka pod umywalką. Następny zatrząsk nie do sforsowania przez dziecko. Jacy troskliwi rodzice, zdzierają wykładziny, piorą zabawki...

Cindy gruchała coś do córki.

Przyklęknąłem cichutko, zwolniłem zatrząsk i otworzyłem drzwi.

Pod węzłem rury odpływowej leżały pudełka ręczników higienicznych i zapakowane w folię rolki papieru toaletowego. Za nimi dwie butelki zielonego płynu miętowego do płukania ust i pojemnik aerozolu. Sprawdziłem. Pachnący sosną środek dezynfekcyjny. Kiedy odstawiałem go na miejsce, przewrócił się, więc wysunąłem gwałtownie ręką, usiłując pochwycić pojemnik, by stłumić hałas.

Udało mi się, ale grzbietem dłoni uderzyłem o jakiś przedmiot o ostrych rogach, stojący z prawej strony.

Wyciągnąłem go, odsunąwszy na bok rolki papieru.

Białe, tekturowe pudełko, jakieś pięć na pięć cali, z wydrukowanym na wierzchu logo – czerwoną strzałką – ponad stylizowanym czerwonym napisem HOLOWAY MEDICAL CORP. Powyżej nalepka ze złotej folii w kształcie strzałki: PRÓBKA: OFIAROWANIE: Ralphowi Benedictowi, dr. med. Pudełko spięte było klamerką z tworzywa sztucznego. Rozpiąłem ją i podniosłem pokrywkę. Ukazał się brązowy prostokąt karbowanego papieru. Pod spodem był rząd białych, plastikowych cylindrów wielkości długopisu, ułożonych w warstwie styropianowych granulek. Do każdego z nich przymocowano gumką złożony kawałek zadrukowanego papieru.

Wydobyłem jeden z cylindrów. Lekki jak piórko, nieomal nierzeczywisty. Dolny koniec otaczał kalibrowy pierścień: Na czubku był otworek otoczony gwintem, na drugim końcu kapturek, który obracał

się, ale nie dawał zdjęć.

Czarne litery na zbiorniczku: INSUJECT. Wyjąłem druk. Ulotka producenta, wydrukowana pięć lat temu. Główne biuro Holloway Medical mieściło się w San Francisco.

Pierwszy paragraf informował: „INSUJECT (TM) to ultralekki zestaw do podskórnego podawania insuliny ludzkiej lub świńskiej oczyszczonej w dawkach od 1 do 3 jednostek. INSUJECT winien być stosowany łącznie z innymi składnikami zestawu Holloway INSU-EASE (TM), mianowicie jednorazowymi igłami INSUJECT i nabojami INSUFILL (TM)”.

Drugi paragraf uwydatniał zalety handlowe zestawu: łatwość przenoszenia, ultra cienką igłę minimalizującą ból i ryzyko wrzodów podskórnych, zwiększoną „łatwość podawania i precyzję kalibrowania dawki”. Szereg ujętych w kwadratowe ramki rysunków ilustrował umocowanie igły, ładowanie naboju do cylindra i właściwy sposób wstrzykiwania insuliny pod skórę.

Łatwość podawania.

Ukłucie ultra cienką igłą pozostawiłoby miniaturową ranę, dokładnie jak to opisał Al Macauley. Gdyby miejsce ukłucia było zasłonięte, ślad mógłby pozostać niezauważony.

Obmacałem wewnątrz pudełka, szukając igieł.

Znalazłem tylko cylindry. Wsuniecie rąk w zakamarki szafki nie ujawniło niczego nowego.

Najprawdopodobniej było tam dość chłodno, by przechowywać insulinę, ale może ktoś jest wybredny. Czy naboje Insufill mogły leżeć w kuchni, na jednej z półek chromowanej lodówki?

Wstawszy, umieściłem pudełko na blacie, a ulotkę w kieszeni. Woda przestała właśnie ciurkać do miski klozetowej. Odchrząknąłem, kaszlnąłem spłukałem muszlę jeszcze raz, rozglądając się po łazience w poszukiwaniu innego schowka.

Jedynym możliwym miejscem, jakie mogłem dostrzec, była spluczka. Zajrzałem do środka, unosząc pokrywę. Tylko instalacja i ustrojstwo do barwienia wody.

Ultra cienka igła... Łazienka była idealną skrytką – strategicznie ulokowana między głównym apartamentem a pokojem dziecięcym.

Idealna do przygotowania zastrzyku w środku nocy.

Zamknąłem drzwi do głównej sypialni, wydobyć zestaw spod umywalki, złożyć go i wejść na palcach do pokoju Cassie.

Ukłuta dziewczynka mogła obudzić się przestraszona, prawdopodobnie zaczęłaby płakać, ale nie wiedziałaby, co się stało.

Ani ktokolwiek inny. Łzy w środku nocy były czymś normalnym u dziecka w tym wieku. Szczególnie takiego, które często chorowało.

Czy ciemności skryłyby twarz dzierzającego igłę?

Za drzwiami dziecięcego pokoju Cindy przemawiała czułym głosem.

Ale może istniało alternatywne wytłumaczenie: cylindry potrzebne były jej. Albo Chipowi.

Nie – Stephanie przebadawszy ich oboje stwierdziła, że nie cierpią na żadne schorzenia metaboliczne.

Spojrzałem na drzwi głównej sypialni, potem na zegarek. Spędziłem trzy minuty w tym wyłożonym niebieskimi kafelkami lochu, ale czułem się, jakbym był tu cały weekend. Odblokowawszy drzwi, kocim ruchem przestąpiłem próg sypialni, dziękując Bogu, że gruba, gęsto tkana wykładzina tłumi moje kroki.

W pokoju panował półmrok, rolety były opuszczone. Umeblowanie stanowiło istic królewskie łóżko i niezgrabne meble w stylu wiktoriańskim. Na jednym z nocnych stolików piętrzył się wysoki stos książek. Na nim umieszczono telefon. Nieco dalej, na mosiężno-drewnianym wieszaku wisiała para dzinsów. Na drugim stoliku stała lampa Tiffany’ego i kubek po kawie. Kapy z łóżka były zdjęte, ale

porządnie złożone. W pokoju unosił się sosnowy zapach środka dezynfekującego, który znalazłem w łazience.

Mnóstwo środków dezynfekujących. Dlaczego?

Przy ścianie naprzeciw łóżka stała podwójna komoda. Otworzyłem górną szufladę. Staniki, majtki, pończochy, pakiecik torebek substancji o zapachu kwiatowym. Obmacawszy wewnątrz szuflady, zamknąłem ją i zająłem się następną, poniżej, zastanawiając się, jaką frajdę dawały Dawn Herbert drobne kradzieże.

Dziewięć szuflad. Ubrania, parę aparatów fotograficznych, rolki filmów oraz lornetka. Po drugiej stronie pokoju był szafa ścienna. Znow ubrania, rakiety tenisowe, pudełka piłek, składana maszyna do wiosłowania, torby na ubrania i walizki, jeszcze trochę książek – wszystkie o socjologii. Książka telefoniczna, żarówki, mapy podróże, nakolanniki. Następne pudełko żelu plemnikobójczego. Puste.

Przeszukiwałem kieszenie ubrań. Znalazłem tylko strzępki tkanin.

Być może ciemne kąty szafy kryły coś jeszcze, ale zabawiłem tam zbyt długo. Zamknąwszy drzwi, wślizgnąłem się na powrót do łazienki. Woda w toalecie przestała bulgotać, a głos Cindy umilkł.

Czy moja przeciągająca się nieobecność obudziła jej podejrzania? Odchrząknąłem, odkręciłem wodę, usłyszałem głos Cassie – chyba jakiś sprzeciw – a potem Cindy znow zaczęła pieszczotliwie przemawiać do dziecka.

Odsunąwszy uchwyt przytrzymujący papier toaletowy, wyjąłem starą rolkę i wrzuciłem do szafki. Odpakowałem nową i wsunąłem ją na miejsce poprzedniej. Nadruk reklamowy na opakowaniu obiecywał delikatność.

Zabrawszy białe pudełko, pchnąłem drzwi do pokoju Cassie, przystrajając twarz w uśmiech, od którego bolały mnie zęby.

## Rozdział dwudziesty ósmy

Siedzieli przy stoliku, z kredkami w ręku. Niektóre kartki papieru pokryte były kolorowymi gryzmołami.

Widząc mnie, Cassie chwyciła matkę za ramię i zaczęła kwilić.

– W porządku, kochanie. Doktor Delaware jest naszym przyjacielem Cindy zmrużyła oczy, dostrzegłszy niesione przeze mnie pudełko.

Podszedłem bliżej i pokazałem je. Spojrzała na pudełko, potem na mnie. Przyjrzałem się jej, wypatrując oznak poczucia winy.

Tylko konfuzja.

– Szukałem papieru toaletowego – wyjaśniłem – i natknąłem się na to.

Pochyliła się, by odczytać napis na złotej nalepce.

Cassie przyglądała się jej, potem wzięła kredkę i rzuciła. Kiedy i to nie zwróciło na nią uwagi matki, zaczęła znów popłakiwać.

– Ćśś, dziecino. – Cindy jeszcze bardziej zmrużyła oczy. Wciąż wydawała się zakłopotana. – Dziwne.

Cassie wyciągnęła w górę ręce, pokrzykując:

– Uh uh uh!

Cindy przyciągnęła ją do siebie, mówiąc:

– Jak dawno ich nie widziałam.

– Nie miałem zamiaru wścibiać nosa w nie swoje sprawy – tłumaczyłem – ale wiem, że Holloway produkuje rzeczy dla cukrzyków, więc zainteresowałem się, widząc naklejkę – przyszedł mi na myśl wysoki poziom cukru u Cassie. Czy ty albo Chip macie cukrzycę?

– Och, nie – odparła. – To należało do cioci Harriet. Gdzie pan je znalazł?

– Pod umywalką.

– Dziwne. Nie, Cass, to jest do rysowania, nie do rzucania. – Wzięła czerwoną kredkę i narysowała nią zygzakowaną linię.

Cassie śledziła jej ruch, potem zanurzyła głowę w bluzce matki.

– Rety, już tak strasznie dawno ich nie widziałam. Zabrałam rzeczy z jej domu, ale sądziłam, że wyrzuciłam wszystkie leki.

– Czy doktor Benedict był jej lekarzem?

– I szefem.

Pobujała delikatnie Cassie. Dziewczynka zerknęła spod jej ramienia i zaczęła szturchać matkę pod brodą.

Cindy roześmiała się, mówiąc:

– Łaskoczesz mnie... Czyż to nie dziwne, tyle czasu pod umywalką? Uśmiechnęła się ze skrępowaniem. – Chyba wynika z tego, że nie jestem za dobrą gospodynią. Przepraszam, że musiał pan szukać papieru – zwykle zauważam, kiedy rolka się kończy.

– Żaden problem – rzekłem, uświadamiając sobie, że na pudełku nie ma kurzu.

Wyjąwszy cylinder, zakręciłem nim między palcami.

– Łódek – odezwała się Cassie.

– Nie, kochanie, to nie jest ołówek. – Cindy nie okazała żadnego niepokoju. – To tylko... taka rzecz.

Cassie wyciągnęła rączkę. Podałem jej cylinder. Cindy rozwarła szeroko oczy. Dziewczynka włożyła

przedmiot do buzi, skrzywiła się i przyłożyła go do papieru, próbując rysować.

– Widzisz, Cass, mówiłam ci. Masz, jeśli chcesz rysować, użyj tego.

Cassie zignorowała zaoferowaną kredkę, patrząc ciągle na cylinder. Wreszcie rzuciła go na stół i zaczęła kręcić się niespokojnie.

– Chodź, kruszyno, porysujemy z doktorem Delaware.

Mała zakwiliła, słysząc moje nazwisko.

– Cassie Brooks, doktor Delaware przyjechał aż tutaj, żeby się z tobą bawić, rysować zwierzątka – hipcie, kangury. Pamiętasz kangury?

Cassie kwiliła coraz głośniej.

– Cicho, kochanie – rzekła Cindy, ale bez przekonania. – Nie, nie łam kredek, kochanie. Nie możesz – daj spokój, Cass.

– Uh uh uh. – Dziewczynka usiłowała zejść z kolan matki.

Cindy spojrzała na mnie.

Nie udzieliłem żadnej rady.

– Powinnam ją puścić?

– Pewnie – odparłem. – Nie chcę, by kojarzyła mnie z ograniczeniem wolności.

Dziewczynka, puszczona przez matkę, wpęzła pod stolik.

– Rysowałyśmy trochę, czekając na pana – powiedziała Cindy. – Sądzę, że ma już dość.

Schylła się, zaglądając pod stół.

– Zmęczyłaś się rysowaniem, Cass? Chcesz robić coś innego?

Cassie zignorowała ją, skubiąc włókna dywanu.

Cindy westchnęła.

– Naprawdę przepraszam – za przedtem. Ja... to tylko... Ale zrobiłam scenę, co? Naprawdę przeholowałam – sama nie wiem, co mnie naszło.

– Czasem spiętrzy się tyle kłopotów – powiedziałem, przekładając pudełko Insuject z ręki do ręki. Trzymając je na widoku, wypatrywałem oznak zdenerwowania.

– Tak, ale zrobiłam scenę przed panem i Cassie.

– Tak czy inaczej, może ważniejsze jest dla mnie i dla ciebie, żebyśmy porozmawiali.

– Jasne – odparła, dotykając warkocza i rzucając spojrzenie pod stół. Mogłabym skorzystać z pana pomocy, prawda? Może byś teraz wyszła, panno Cass?

Brak odpowiedzi.

– Mógłbym prosić o jeszcze jedną mrożoną herbatę? – zapytałem.

– Och, jasne, to żaden kłopot. Cass, idziemy z doktorem Delaware do kuchni.

Podeszliśmy z Cindy do drzwi pokoju dziecinnego. W chwili, gdy stanęliśmy na progu, dziewczynka wypęzła spod stołu, podniosła się niepewnie i podbiegła do matki z wyciągniętymi ramionami. Ta wzięła ją na ręce i poniosła dalej, oparłszy na biodrze. Podążyłem za nimi, trzymając białe pudełko.

W kuchni Cindy otworzyła jedną ręką lodówkę i sięgnęła po dzbanek. Ale nim zdołała go wyjąć, Cassie zsunęła się i matka musiała podtrzymać ją dwiema rękami.

– Lepiej zajmij się nią – zaproponowałem kładąc pudełko na kuchennym stole i chwytając dzbanek.

– Niech panu przynajmniej podam szklanę. – Podeszła do otwartych szafek po drugiej stronie kuchni.

Ledwo odwróciła się do mnie plecami, z obłędem w oku dokonałem błyskawicznej inspekcji wzrokowej zawartości lodówki. Przedmiotem o najbardziej zbliżonych do leku właściwościach była tu



tubka bezcholesterolowej margaryny. Masło leżało w swej przegródce, inny pojemnik, oznaczony napisem SER, zawierał paczkę krojonego Americana.

Wyjąwszy dzbanek, zamknąłem drzwiczki. Cindy stawiała szklanę na wyplatanej podkładce. Napełniłem ją do połowy i napiłem się. Zabolało mnie gardło. Herbata wydawała się słodsza niż przedtem – niemal nienaturalnie. A może było to tylko złudzenie wywołane przez nurtujące mnie myśli o cukrze.

Cassie obserwowała mnie z przenikliwą dziecięcą podejrzliwością. Mój uśmiech wywołał u niej zmarszczenie brwi. Zastanawiając się, czy zdołam odzyskać jej zaufanie, odstawiłem szklanę.

– Podać panu coś jeszcze? – zapytała.

– Nie, dzięki. Lepiej już pójdę. Proszę. – Podałem jej pudełko.

– Och, nie potrzebuję tego – odparła. – Może przyda się komuś w szpitalu. Są bardzo drogie – to dlatego doktor Ralph dawał nam próbki.

Nam.

– To miło z twojej strony. – Zabrałem pudełko.

– Cóż – powiedziała – my na pewno nie możemy ich wykorzystać. Pokręciła głową. – To dziwne, że pan je znalazł – budzą wspomnienia.

Kąciki jej ust opadły. Widząc to, Cassie szarpnęła się z okrzykiem: „Uh”.

Cindy wygięła wydęte wargi w szerokim, nagłym uśmiechu.

– Cześć, kruszyno.

Dziewczynka dziabnęła ją rączką w usta. Cindy pocałowała jej paluszki. – Tak, mama cię kocha. A teraz odprowadzimy doktora Delaware.

Kiedy doszliśmy do drzwi wejściowych, przystanąłem, by spojrzeć na fotografie, uświadomiwszy sobie, że nie ma tam zdjęć rodziców Chipa. Moje spojrzenie znów padło na ujęcie Cindy i jej ciotki.

– Spacerowałyśmy owego dnia – wyjaśniła cichym głosem. – Wzdłuż basenu portowego. Często zażywała spacerów. Długich, z powodu cukrzycy – ruch pomagał jej panować nad chorobą.

– Udało jej się skutecznie nad nią zapanować?

– O tak – to nie to ją... pokonało. To był U-D-A-R. Była wyjątkowo opanowana – bardzo uważała na to, co je. Kiedy mieszkałam z nią, nie pozwalała mi na żadne cukierki czy słodczyce. Toteż nie nabrałam do nich zamiłowania i nie mamy tego wiele w domu.

Pocałowała Cassie w policzek.

– Tak sobie myślę, że jeśli nie przyzwyczai się do nich teraz, to może nie będzie ich jej brakować później.

Odwróciłem się od fotografii.

– Robimy wszystko – stwierdziła – żeby była zdrowa. Bez zdrowia nie ma... niczego. Prawda? Słyszysz się takie rzeczy w młodości, ale dopiero później zaczyna się w to wierzyć.

Jej oczy były pełne udręki.

Cassie zakolysała się, wydając nieartykułowane dźwięki.

– To prawda – potwierdziłem. – Może spotkalibyśmy się jutro, u was w domu.

– Jasne.

– Kiedy będzie ci najwygodniej?

– A czy bez... N-I-E-J?

– Bez, jeśli to możliwe.

– Więc najlepiej wtedy, kiedy śpi. Zwykle odbywa drzemkę między pierwszą a drugą lub drugą

trzydzieści, a potem kładzie się na noc o siódmej czy ósmej. Może o ósmej, dla pewności? Jeśli to nie będzie za późno dla pana.

– Doskonale, o ósmej.

– Chip chyba też już wróci do domu – tak będzie lepiej, nie sądzi pan?

– Niewątpliwie – zgodziłem się. – Więc do zobaczenia.

Dotknęła mego ramienia.

– Dzięki za wszystko i bardzo przepraszam. Wiem, że pomoże nam pan przez to przejść.

Wróciwszy na Topanga, podjechałem do pierwszej stacji benzynowej i zadzwoniłem z automatu do Mila, do pracy.

– Trafiłeś w dziesiątkę – stwierdził. – Właśnie skończyłem rozmowę z Fort Jackson. Wygląda na to, że mała Cindy była naprawdę chora. I to w 83 roku. Tyle, że nie na zapalenie płuc ani opon mózgowych. Na rzeźączkę. Wyběbnili ją z tego powodu – ze statusem wejściowym. Znaczą to, że odstężyła mniej niż sto osiemdziesiąt dni i chcieli się jej pozbyć, kiedy jeszcze nie byli zobowiązani płacić zasiłków.

– Tylko z powodu trypra?

– Trypra i tego, co do niego doprowadziło. Wygląda na to, że w czasie czterech miesięcy pobytu ustanowiła swego rodzaju rekord promiskuityzmu. Toteż jeśli robi mężusia w konia, znaczą to tylko, że jest konsekwentna.

– Promiskuityzm – powtórzyłem. – Właśnie skończyłem wizytę domową, po raz pierwszy zobaczyłem, jak wygląda, gdy chce być seksowna. Przyjechałem wcześniej, świadomie – ciekaw byłem dlaczego nie chciała mnie tam widzieć przed wpół do trzeciej. Rozpuściła włosy. Dosłownie. Ubrana była w krótkie szorty i podkoszulek, bez stanika.

– Odstawiła się dla ciebie?

– Nie. Wyraźnie czuła się niezręcznie. Parę minut potem wysypała trochę ziemi na ubranie, wybiegła przebrać się i wróciła w starych łachach.

– Może minąłeś się z amantem.

– Możliwe. Powiedziała, że między pierwszą a drugą Cassie odbywa drzemkę, a Chip ma tego dnia zajęcia od dwunastej do drugiej, czyż można znaleźć lepszą porę na romans? A w sypialni czuć było środek dezynfekcyjny.

– Chciała ukryć miłosne wonie – zasugerował. – Nie widziałeś nikogo? Mijałeś jakieś odjeżdżające wozy?

– Tylko czyściciela basenów ruszającego z podjazdu sąsiedniego domu. O cholera, nie sądzisz chyba?

– Pewnie, że tak. – Roześmiał się. – Zawsze czarno widzę. – Znów śmiech. – Czyściciel basenów. Toż to typowe zagrożenie dla spokoju rodziny.

– Był u sąsiadów, nie u niej.

– Więc co z tego? To nic niezwykłego dla tych facetów załatwić kilka basenów w jednym kwartale – tak daleko za miastem, mógł obkroczyć całą tę cholerną okolicę. Wiele jest dróg. Czy Jonesowie mają basen?

– Tak, ale był przykryty.

– Przyjrzałeś się Panu Chlorowi?

– Młody, ogorzały, koński ogon. Na wozie napisane było Obsługa Basenów ValleyBrite, przez I-T-E.

– Widział, gdzie się zatrzymujesz?

– Owszem. Przyhamował, wyjrzał przez okno, potem wyszczerzył zęby, unosząc kciuk.

– Przyjacielski, co? Nawet jeśli właśnie ją przerypał, nie musi być jedynym. W armii nie zachowywała się jak mniszka.

– Jak się o tym dowiedziałeś?

– Łatwe to nie było. Wojsko ukrywa swoje materiały dla zasady. Charlie stracił wiele czasu, starając się dotrzeć do ich danych, ale nie udało mu się. Koniec końców, schowałem dumę do kieszeni i zadzwoniłem do pułkownika – tylko dla ciebie, zuchu.

– Jestem wielce zobowiązany.

– Taak... Dupek się nie nadymał, trzeba mu to przyznać. Połączył mnie z miejsca z zastrzeżonym wojskowym numerem w Waszyngtonie. Jakieś archiwum. Nie mieli szczegółów – tylko nazwisko, stopień, numer ewidencyjny i decyzję o zwolnieniu, ale szczęściem trafiłem na oficera archiwistę, który służył w Wietnamie w tym samym czasie co ja, i przekonałem go, żeby zadzwonił do Południowej Karoliny i znalazł mi kogoś do pogadania. Wytrzasnął panią kapitan, która była kapralem, kiedy Cindy zaczynała służbę. Doskonale ją pamiętała. Wygląda na to, że przygody naszej dziewczuszki były na ustach całych koszar.

– To baza tylko dla kobiet – wtrąciłem. – Czy w grę wchodzi promiskuityzm lesbijski?

– Skądże. Szlajała się po mieście – balowała na przepustkach w miejscowych barach. Skończyło się to, według pani kapitan, kiedy Cindy spiknęła się z paczką nastolatków, a jeden z nich okazał się być synem lokalnej grubej fiszy. Złapał od niej trypra. Burmistrz złożył wizytę komendantowi bazy i do widzenia. Brudna historyjka, co? Ma to jakieś znaczenie przy Munchhausenie?

– Promiskuityzm nie jest elementem obrazu choroby, ale jeśli uznać go za inną formę zwracania na siebie uwagi, to sądzę, że mogłoby pasować. Pacjenci z Munchhausenem często informują o stosunkach kazirodczych we wczesnej młodości, a promiskuityzm mógłby być jedną z metod odreagowania. Zdecydowanie pasuje tu wczesne zetknięcie z poważnymi dolegliwościami, a przebycie choroby wenerycznej stało się którymś z rzędu. Ciotka, która ją wychowała, była diabetyczką.

– Bałagan z cukrem. Interesujące.

– Czekaj, jest jeszcze coś. – Opowiedziałem mu, jak znalazłem insujecy i pokazałem je Cindy.

– Sądziłem, że może to doprowadzić do konfrontacji, na którą czekamy. Ale nie okazywała niepokoju czy poczucia winy. Tylko zdziwienie, skąd się wzięły pod umywalką. Wyjaśniła, że należały do jej ciotki – sądziła, że pozbyła się ich, opróżniając dom po jej śmierci. Ale na pudełku nie było kurzu, więc jest to zapewne kolejne kłamstwo.

– Jak dawno temu zmarła ta ciotka?

– Cztery lata. Doktor, któremu przesłano próbki, był lekarzem i jej szefem.

– Nazwisko?

– Ralph Benedict. A niech to szlag, jak dla mnie, to on jest tym tajemniczym kochankiem. Któż lepiej od lekarza potrafiłby pozorować choroby? A wiemy, że Cindy leci na starszych facetów – jednego poślubiła.

– Na młodszych też.

– Taa. Ale wygląda to sensownie, co – przyjaciel lekarz? Benedict mógłby dostarczać jej leków i utensyliów. I pouczać ją, jak wywoływać choroby.

– A motywy faceta?

– Prawdziwa miłość. W jego oczach dzieci są przeszkodą, chce się ich pozbyć, by mieć Cindy dla siebie. Może z częścią pieniędzy Chipa na dodatek. Jako doktor medycyny wiedziałby, jak to załatwić. Potrafiłby zachować ostrożność. Bo śmierć dwójki dzieci w tej samej rodzinie, jednego tuż po drugim, to

rzecz podejrzana, lecz gdyby przyczyny były odmienne i niebudzące zastrzeżeń lekarzy, mogłoby się udać.

- Ralph Benedict – powiedział. – Sprawdzę w izbie lekarskiej.
- Cindy wychowała się w Ventura. On może tam ciągle mieszkać.
- Jak się nazywa firma, która wysyłała te cylindry?
- Holloway Medical z San Francisco.
- Zobaczymy, co jeszcze mu wysyłał i kiedy. Cylindry – takie puste rurki?
- Są częścią zestawu. – Opisałem mu system Insuject.
- Żadnych igieł czy leków pod umywalką?
- Żadnych, igły i ampułki insuliny są oddzielnie. – Zrelacjonowałem mu swoje poszukiwania w sypialni i łodowce. – Ale mogły być gdziekolwiek indziej w ich domu. Są teraz jakieś szansę na załatwienie nakazu rewizji?
- Z powodu rurek? Wątpliwe. Gdyby były z igłami i załadowane insuliną, może. Dowodziłyby premedytacji, choć Cindy mogłaby dalej utrzymywać, że to rzeczy, które pozostały po jej ciotce.
- Nie wtedy, gdyby insulina była świeża. Nie jestem pewny, jaki dokładnie jest okres przydatności insuliny, ale na pewno nie cztery lata.
- Taa. Więc znajdź mi świeżą insulinę, a złożę wizytę sędziemu. Jak na razie, nie ma dowodów przestępstwa.
- Nawet przy niskim poziomie cukru u Cassie?
- Nawet. Przykro mi. Ciekawe, dlaczego zostawiła to tak pod umywalką.
- Najprawdopodobniej nie wyobrażała sobie, że ktoś tam zajrzy. Pudełko wetknięto w kąt – trzeba by było specjalnie grzebać, żeby je znaleźć.
- I zupełnie nie wkurzyła się, że szperałeś jej w klopie?
- Nawet jeśli tak, nie okazała tego po sobie. Wymyśliłem opowiadanie, że skończył mi się papier toaletowy, więc zajrzałem pod umywalkę, szukając nowej rolki. Przepraszała, że nie jest lepszą gospodynią.
- Skora, by każdego zadowolić, co? Chłopcy w Południowej Karolinie z pewnością z tego korzystali.
- Albo wodzi ludzi za nos, udając tępą i pozbawioną inicjatywy. Wychodząc z jej domu, nie miałem wrażenia, że panuję nad sytuacją.
- Ty stary klozetowy detektywie. Wygląda na to, że szykujesz się do brygady obyczajowej.
- Nadam się. To był czysty surrealizm. Nie, żebyś zrobił wiele dobrego jako terapeuta.
- Opowiedziałem mu, jak Cindy wcisnęła mi córkę i jaką panikę dziecka to wywołało.
- Do tego czasu nawiązywałem z Cassie coraz lepszy kontakt. Teraz, Milo, wszystko diabli wzięli. Nie mogę oprzeć się wątpliwościom, czy Cindy nie sabotuje świadomie mojej działalności.
- Prowadzi w walcu, co?
- Powiedziała mi coś, co sugeruje, że panowanie nad sytuacją jest dla niej sprawą pierwszorzędnej wagi. Kiedy była dzieckiem, ciotka nie pozwalała jej jeść żadnych słodczy, mimo że jej trzustka była w całkowitym porządku. Daleko stąd do Munchhausena, ale jest w tym cień patologii – nie pozwalać zdrowemu dziecku zjeść od czasu do czasu lodów.
- Ciotka dokonywała projekcji własnej choroby na nią?
- Właśnie. A kto wie, czy ciotka nie przenosiła na nią innych aspektów choroby – jak zastrzyki. Nie insuliny, ale może jakichś witamin. Strzelam tylko w ciemno. Cindy powiedziała mi też, że ogranicza dziecku słodczy. Pozornie wygląda to na troskliwą opiekę. Uzasadnione przywiązywanie wagi do

kwestii zdrowotnych przez kogoś, kto stracił już jedno dziecko. Ale może w związku z tym cukrem odchodzą jakieś niesamowite numery.

– Grzechy matek – wtrącił.

– Ciotka pełniła w jej życiu funkcję matki. A spójrz, jakiego wzorca dostarczyła: profesjonalny pracownik służby zdrowia, cierpiący na chroniczną chorobę i panujący nad nią – Cindy mówiła o tym z dumą. Mogła skojarzyć w dzieciństwie kobiecość – macierzyństwo – z chorobą i sztywnością emocjonalną: dotknięta cukrzycą, panuje nad nią. Nie dziwi więc, że tuż po szkole Cindy wybrała wojsko – z jednego zhierarchizowanego świata do drugiego. Kiedy to się nie powiodło, następnym krokiem było technikum terapii oddechowych. Ponieważ ciocia Harriet powiedziała, że to dobry zawód. Kontrola i choroba – ten motyw ciągle się powtarza.

– Wspominała kiedykolwiek, dlaczego nie skończyła technikum?

– Nie. A co ci przyszło do głowy – znów promiskuityzm?

– Głęboko wierzę w powtarzające się wzorce zachowań. Co robiła potem?

– Była w dwuletnim college'u. Gdzie poznała Chipa. Zrezygnowała z nauki, wyszła za mąż. Od razu zaszła w ciążę – kolejna zasadnicza zmiana, która mogła wywołać u niej wrażenie, że nie panuje nad sytuacją. Dzięki małżeństwu znalazła się wyżej w hierarchii społecznej, ale wylądowała w odludnym miejscu.

Opisałem mu Dunbar Court i otaczający teren.

– Milo, to powolna śmierć dla kogoś, kto jest spragniony uwagi. Założę się, że kiedy Chip wraca do domu, sytuacja niewiele się zmienia. Pochłania go życie akademickie – jest wielką rybą w małym stawie. Wpadłem do tego college'u, zanim odwiedziłem ją w domu. Udało mi się zobaczyć, jak Chip prowadzi zajęcia. Guru na trawie, uczniowie u jego stóp. To świat, do którego ona nie należy. Mieszkanie jest tego odzwierciedleniem – pokój za pokojem wypełniają jego nagrody, męskie meble. Cindy nie odcisnęła piętna nawet na charakterze własnego domu.

– Więc odciska piętno na swoim dziecku.

– Używając znajomych środków, które pamięta z własnego dzieciństwa. Insuliny, igieł. Innych trucizn – manipulując tym, co spożywa Cassie w ten sam sposób, w jaki ciotka kontrolowała ją.

– A co Chadem?

– Może naprawdę zmarł na Zespół Nagłej Śmierci Noworodków – kolejna traumatyczna choroba w życiu Cindy – i to doświadczenie, stało się kroplą, która przelała czarę. Albo może udusiła go.

– Sądzisz, że wystraszy ją odkrycie cylindrów?

– To wydawałoby się logiczne, ale przy grze o dominację, jaką jest Munchhausen, podejrzewam, że skutek może być wręcz odwrotny – podniesie stawkę, usiłując sprostać wyzwaniu i przechytrzyć mnie. Więc prawdopodobnie sytuacja Cassie stała się przez to jeszcze groźniejsza – niech mnie szlag, jeśli wiem jak jest.

– Nie zadręczaj się. Gdzie są teraz te cylindry?

– Tutaj. W samochodzie. Mógłbyś kazać sprawdzić odciski palców.

– Pewnie, ale odciski Chipa czy Cindy niczego by nie dowodziły – jedno z nich schowało to przed laty.

– A brak kurzu?

– Czysta szafka. Albo strząsnąłeś kurz, jeśli jakiś był, wyjmując pudełko. Mówię teraz jak obrońca, chociaż daleko nam do tego, by sprawić, żeby ktoś go potrzebował. A jeśli ten cały Benedict dotykał pudełka, nic dziwnego. Cylindry wysłano najpierw do niego.

- Skoro ciotka nie żyje, nie ma powodów, by dawał je Cindy.
- Też prawda. Gdybyśmy zdołali wykazać, że wysłano je po śmierci ciotki, to by było coś. Są na tym jakieś numery serii? Albo faktura?
- Już sprawdzam... żadnej faktury. Ale są numery serii. A ulotka producenta pochodzi sprzed pięciu lat.
- Dobrze. Podaj mi te numery, rozpracuję to. A tymczasem sądzę, że najlepsze, co możesz zrobić, to pomścić jej w głowie. Odplącić pięknym za nadobne.
- Jak?
- Wyciągnij ją na spotkanie, bez dzieciaka...
- To już umówione na jutro wieczór. Chip też będzie.
- Nawet lepiej. Postaw jej zarzuty, prosto z mostu. Oznajmij, że sądzisz, iż ktoś wywołuje u Cassie choroby i że wiesz, jak. Wyciągnij cylinder, i oświadczyć, że nie wierzysz w te bzdury o rzeczach ciotki. Chcesz wykorzystać okazję, blefuj na całego: powiedz, że rozmawiałeś z prokuratorem okręgowym, który gotów jest wnieść oskarżenie o usiłowanie zabójstwa. A potem módl się, żeby pękła.
- A jeśli tego nie zrobi?
- Odsuną cię od sprawy, ale przynajmniej będzie wiedzieć, że ktoś ma na nią haka. Nie rozumiem, Alex, co możesz osiągnąć, czekając dłużej.
- A co ze Stephanie? Wtajemniczać ją? Skreślamy ją z listy podejrzanych?
- Jak już mówiliśmy, mogłaby okazać się sekretną kochanką Cindy, ale nic na to nie wskazuje. A gdyby była zamieszana, po co Cindy kombinowałaby z Benedictem? Stephanie jako lekarz – mogłaby załatwić to samo co on. Wszystko możliwe, ale o ile jestem w stanie powiedzieć, Cindy od początku prezentowała się nieźle, a wygląda coraz lepiej.
- Skoro Stephanie nie jest już zawieszona – powiedziałem – powinienem dać jej znać – jest lekarzem prowadzącym. Uciekanie się do tak mocnych środków bez jej wiedzy byłoby chyba nieetyczne.
- Dlaczego nie miałbyś po prostu wysondować jej i sprawdzić, jak zareaguje? Powiedz o cylindrach i zobacz, co z tym robi. Jeśli uznasz, że jest w porządku, zabierz ją ze sobą, by pograć z Cindy w ciuciubabkę. W ilości siła.
- Pograć w ciuciubabkę? Zapowiada się dobra zabawa.
- Nie licz na to. Gdybym mógł, zrobiłbym to za ciebie.
- Dzięki. Za wszystko.
- Coś jeszcze?
- Uprzytomniłem sobie, że dzięki Insujectom wyleciała mi z głowy wizyta w gabinecie doktor Yanos.
- Mnóstwo – odparłem i opowiedziałem mu, jak Huenengarth ubiegł mnie w sprawie dyskietek komputerowych Dawn Herbert. Potem dorzuciłem relacje z telefonów do Ferrisa Dixona i profesora W.W. Zimberga oraz moje najnowsze koncepcje na temat szantażu planowanego przez Herbert i Ashmore’a.
- Zawiła intryga, Alex – być może część z tego jest nawet prawdą. Ale nie pozwól, żeby odciągnęło to twoją uwagę od Cassie. Jeszcze sprawdzam Huenengartha. Ciągłe nic, ale działam dalej. Gdzie mogę cię złapać, gdyby coś z tego wyszło?
- Jak tylko skończymy, dzwonię do Stephanie. Jeśli będzie w swoim gabinecie, pojedę do szpitala. Jeśli nie, zastaniesz mnie w domu.
- W porządku. Może spotkamy się później wieczorem i wymieramy kłopotami. Ósma pasuje?
- Znakomicie. Jeszcze raz dzięki.

– Nie dziękuj mi. Daleko nam wciąż do zadowolenia w związku z tą sprawą.

## Rozdział dwudziesty dziewiąty

Doktor Eves wyszła. Zaraz ją wezwę – poinformowała recepcjonistka z pediatrii ogólnej.

Czekałem, obserwując przez mętne szyby budki telefonicznej kurz i ruch uliczny. Znów ukazały się amazonki, galopujące boczną uliczką: musiały zatoczyć krąg. Szczupłe nogi w bryczesach, zaciśnięte wokół lśniących boków. Mnóstwo uśmiechów.

Najprawdopodobniej wracały do klubu na zimne drinki i pogawędki. Pomyślałem o tym, jak wiele było zajęć, przy których Cindy Jones mogłaby spędzać czas.

Gdy konie zniknęły, recepcjonistka znów się odezwała:

– Nie odpowiada, doktorze. Chciałby pan zostawić wiadomość?

– Nie orientuje się pani, kiedy wróci?

– Wiem, że wróci na zebranie o piątej – niech pan spróbuje złapać ją tuż przed piątą.

Do tej pory pozostały prawie dwie godziny. Jechałem przez Topanga, myśląc o tym, ile szkody można przez ten czas wyrządzić dziecku. Sunąłem na południe w stronę wjazdu na szosę.

Było na niej tak ciasno, że musiałem przyhamować. Wcisnąłem wóz w posuwającą się w ślimaczym tempie kolumnę samochodów i powlokłem na wschód. Paskudna jazda do Hollywood. Jednak w nocy ambulans przemknąłby z łatwością.

Na parking dla lekarzy wjechałem tuż przed czwartą. Wpiąwszy w klapę plakietkę, udałem się do holu wejściowego, skąd wezwałem Stephanie. Niepokój, który opanował mnie jeszcze tydzień temu, minął. W jego miejsce pojawiło się mobilizujące uczucie gniewu.

Ileż się może zmienić w ciągu siedmiu dni...

Brak odpowiedzi. Zadzwoiłem jeszcze raz do jej pokoju. Usłyszałem tę samą rejestratorkę i tę samą odpowiedź, przekazaną nieco zirytowanym tonem.

Przeszedłem do poradni pediatrii ogólnej. Na korytarzu mijałem pacjentów, pielęgniarki i lekarzy, nie zwracając na nich uwagi.

Pokój Stephanie był zamknięty. Napisałem na kartce, by do mnie zadzwoniła i właśnie schyliłem się, żeby wsunąć papier pod drzwi, gdy jakiś suchy, kobiecy głos zapytał:

– Czym mogę panu służyć?

Wyprostowałem się. Patrzyła na mnie kobieta dobrze po sześćdziesiątce. Ubrana była w najbielszy z białych fartuchów, jakie kiedykolwiek widziałem, włożony na czarną sukienkę i zapięty na guziki. Miała ciemno opaloną, pokrytą zmarszczkami twarz o ściągniętych rysach pod hełmem prostych, białych włosów. Widząc jej postawę, marines, poprawiliby swoją.

Zobaczywszy moją plakietkę, powiedziała:

– Och, pan wybaczy, doktorze. – Miała akcent Marleny Dietrich, z londyńską naleciałością. Jej oczy były małe, zielononiebieskie i elektryzująco czujne. W kieszonce na piersi nosiła złoty długopis, na szyi cienki, złoty łańcuszek, na którym dyndała pojedyncza perła, tkwiąca w złotym gniazdku niczym opalizujące jajeczko.

– Doktor Kohler – powiedziałem. – Jestem Alex Delaware.

Uścisnęliśmy sobie ręce. Odczytała moją plakietkę. Zmieszanie nie pasowało do niej.

– Należałem kiedyś do personelu – wyjaśniłem. – Współpracowaliśmy kiedyś nad kilkoma przypadkami. Chorób Crohna. Adaptacja po osteotomii.

– Ach, oczywiście. – Jej ciepły uśmiech zneutralizował kłamstwo. Zawsze miała go na ustach, nawet wtedy, gdy obcinała stażystę za błędne rozpoznanie. Wdzięk zaszczepiony w dzieciństwie, spędzonym



wśród wyższych sfer Pragi i przerwany przez Hitlera, a następnie odświeżony dzięki małżeństwu ze Słynnym Dyrygentem. Pamiętałem, jak ofiarowała się skorzystać ze swych koneksji, żeby załatwić fundusze dla szpitala. I jak rada odrzuciła propozycję, nazywając ten sposób zdobywania pieniędzy „ordynarnym”.

– Szuka pan Stephanie? – zapytała.

– Muszę pomówić z nią o jednej z pacjentek.

Uśmiech pozostał na jej twarzy, ale oczy zlodowaciały.

– Tak się składa, że sama jej szukam. Według grafiku powinna znajdować się tutaj. Ale przypuszczam, że przyszły ordynator musi być zajęty.

Udałem zaskoczenie.

– Och, tak – potwierdziła. – Ci, którzy wiedzą lepiej, utrzymują, że grozi jej awans.

Uśmiech poszerzył się i stał drapieżny.

– Cóż, życzę jej wszystkiego najlepszego... choć mam nadzieję, że nauczy się nieco lepiej antycypować wydarzenia. Jeden z jej nastoletnich pacjentów zjawił się właśnie bez zapowiedzi i robi scenę w poczekalni. A Stephanie wyszła, nie zgłaszając tego.

– To do niej niepodobne – stwierdziłem.

– Doprawdy? Ostatnio, to stało się do niej podobne. Może wydaje jej się, że już awansowała.

Mijała nas pielęgniarka.

– Juanita? – zagadnęła ją Kohler.

– Tak, doktor Kohler?

– Czy widziałaś Stephanie?

– Chyba wyszła.

– Ze szpitala?

– Tak mi się wydaje, pani doktor. Miała ze sobą torebkę.

– Dziękuję, Juanito.

Kiedy pielęgniarka odeszła, Kohler wyciągnęła z kieszeni komplet kluczy.

– Proszę – powiedziała i otworzyła, wcisnąwszy jeden z nich w zamek pokoju Stephanie. Ledwie ująłem klamkę, wyszarpnęła gwałtownie klucz i odeszła.

Ekspres był wyłączony, ale napełniona do połowy filiżanka stała na biurku, obok stetoskopu Stephanie. Świeży zapach palonej kawy tłumił ostrą woń spirytusu, sącząca się z pokoi przyjęć. Na biurku leżała też sterta kart i notatnik reklamowy firmy farmaceutycznej. Wsuwając pod niego moją kartkę, dostrzegłem zapiski na pierwszej stronie.

Dawki leków, tytuły artykułów w czasopismach, numery telefonów szpitalnych. Poniżej samotna notatka, nabazgrana pospiesznie, ledwo czytelna.

B, Brwsrs, 4

Browsers – miejsce, gdzie kupiła oprawnego w skórę Byrona. Widziałem tę książkę, wysoko na półce.

B jak Byron? Kupić następnego?

Czy spotkać się z kimś w księgarni? Jeśli miało to być dzisiaj, właśnie tam się teraz znajdowała.

Dziwna schadzka, jak na środek gorącego dnia.

Niepodobne do niej.

Do niedawna, jeśli wierzyć Kohler.

Jakaś romantyczna historia, którą wolą utrzymywać w tajemnicy przed plotkarskim młynem

szpitala? Albo po prostu szukała samotności – chwili spokoju wśród poezji i jej zapachu pleśni.

Bóg świadkiem, że należała jej się chwila samotności.

Niedobrze, że musiałem ją zakłócić.

Szpital od Los Feliz i Hollywood dzieliło tylko pół mili, ale ruch został sparaliżowany i dotarcie tam zajęło mi dziesięć minut.

Księgarnia była po zachodniej stronie ulicy, fasada nic się nie zmieniła przez dziesięć lat: kremowy szyld z wypisanymi gotykiem czarnymi literami informującymi: ANTYKWARIUSZ KSIĘGARZA nad zapyłonymi oknami. Minąłem sklep powoli, szukając miejsca na zaparkowanie. Za drugim okrążeniem dostrzegłem starego pontiaca z włączonymi światłami cofania i poczekałem, aż bardzo drobna i bardzo leciwa staruszka zwolni miejsce przy krawężniku. Ledwo zaparkowałem, ktoś pojawił się w drzwiach księgarni.

Presley Huenengarth.

Nawet z takiej odległości jego wąsik był ledwo widoczny.

Zniżyłem się w fotelu. Poprawił krawat, wyjął ciemne okulary i założył je, rzucając szybkie spojrzenia w obie strony. Zsunąłem się jeszcze niżej, przekonany, że mnie nie dostrzegł. Znowu dotknął krawata, po czym ruszył na południe. Na rogu skręcił w prawo i zniknął mi z oczu.

Usiadłem normalnie.

Zbieg okoliczności? Nie niósł żadnej książki.

Lecz trudno mi było uwierzyć, że to z nim zamierzała spotkać się Stephanie. Dlaczego miałyby go nazywać „B”?

Nie lubiła Huenengartha, twierdziła, że jest upiorny.

Przekonała mnie, że jest upiorny.

A jednak jego szefowie popierali ją.

Czyżby pozowała na buntowniczkę, bratając się z wrogiem?

Wszystko to dla awansu zawodowego?

Alex, widzisz mnie jako ordynatora?

Każdy lekarz, z którym rozmawiałem, twierdził, że odchodzi, ale ona myślała o awansie.

Wrogość Rity Kohler zapowiadała, że objęcie tego stanowiska przez doktor Eves nie odbędzie się w sposób bezkrwawy. Czyżby Stephanie miała zostać nagrodzona za dobre zachowanie – za to, że leczyła wnuczkę prezesa, nie robiąc szumu?

Przypomniałem sobie, że nie była obecna na spotkaniu ku czci Ashmore'a. Zjawiała się później, twierdząc, że coś ją zatrzymało.

Może to i prawda, ale za dawnych czasów znalazłaby sposób, żeby przyjść. Sama stałaby na podium.

Rozmyślałem nad tym, siedząc w wozie, starając się wytłumaczyć wszystko inaczej. Wtedy ze sklepu wyszła Stephanie i zrozumiałem, że to niemożliwe.

Uśmiechała się z zadowolenia.

Ona też nie niosła książek.

Spojrzała na boki zupełnie tak samo jak Huenengarth.

Wielkie projekty doktor Eves.

Szczur wskakujący do tonącego okrętu?

Pojechałem tam, mając zamiar pokazać jej naboje Insuject. Gotów zbadać jej reakcję, uznać, że jest niewinna i włączyć ją do mającej się odbyć następnego wieczoru konfrontacji z Cindy Jones.

Teraz nie wiedziałem, czego się po niej spodziewać. Pierwotne podejrzenia Mila dotyczące Stephanie

wydawały się znajdować solidne potwierdzenie w faktach.

Coś było nie w porządku – coś się skończyło.

Znów zniżyłem głowę.

Zaczęła iść. W tym samym kierunku co on.

Podeszła do rogu, spojrzała w prawo. Tam gdzie on poszedł.

Zwlekąła przez chwilę. Uśmiechając się wciąż. Wreszcie przeszła na drugą stronę ulicy i ruszyła dalej.

Zaczekałem, aż zniknie mi z oczu, po czym odjechałem. Ledwo zwolniłem miejsce, ktoś je zajął.

Pierwszy raz owego dnia poczułem, że zrobiłem coś pożytecznego.

Wróciwszy do domu tuż przed piątą, zastałem wiadomość od Robin, że ma zamiar pracować do późna, chyba że będę miał inne projekty. Miałem ich wiele, ale żaden nie wiązał się z przyjemnościami. Zadzwoiłem do niej i zostawiłem na automatycznej sekretarce wiadomość, że ją kocham i też będę pracować. Jednakże mówiąc to, uświadomiłem sobie, że nie wiem, nad czym.

Telefnowałem do Parker Center. Odezwał się wysoki, nosowy męski głos.

– Archiwa.

– Z detektywem Sturgisem, proszę.

– Nie ma go tutaj.

– Kiedy wróci?

– Kto mówi?

– Alex Delaware. Przyjaciel.

Powtórzył moje nazwisko, wymawiając je tak, jakby była to nazwa choroby i dodał:

– Zupełnie nie mam pojęcia, panie Delaware.

– Nie wie pan, czy wyszedł na dobre?

– Tego też bym nie wiedział.

– Czy to Charlie?

Pauza. Chrząknięcie.

– Tu Charles Flannery. Czy my się znamy?

– Nie, ale Milo mówił mi, jak wiele go pan nauczył.

Dłuższa pauza, parę chrząknięć.

– Jak to ładnie z jego strony. Jeśli interesuje pana rozkład zajęć pańskiego przyjaciela, proponuję, żeby zadzwonił pan do biura zastępcy szefa.

– Dlaczego oni mieliby to wiedzieć?

– Ponieważ on tam jest, panie Delaware. Od pół godziny. I proszę nie pytać dlaczego, bo ja nie wiem. Nikt mi nic nie mówi.

Biuro zastępcy szefa. Milo znów w opałach. Miałem nadzieję, że nie z powodu czegoś, co zrobił dla mnie. Rozmyślałem nad tym, gdy oddzwoniła Robin.

– Cześć, jak się miewa dziewczynka?

– Potrafiłem już ustalić, co się z nią dzieje, ale obawiam się, że mogłoby to pogorszyć jej sytuację.

– Jak to?

Wyjaśniłem.

– Powiedziałeś już o tym Milo? – zapytała.

– Właśnie usiłowałem się z nim skontaktować, ale wezwano go do biura zastępcy szefa. Kombinował trochę dla mnie na wydziałowym komputerze. Mam nadzieję, że mu to nie zaszkodzi.

– Och – powiedziała. – No cóż, potrafi sobie poradzić – dowiódł tego.

– Co za afera – podjąłem. – Robin, ta sprawa budzi zbyt wiele wspomnień. Wszystkie te lata w szpitalu – osiemdziesięciogodzinny tydzień pracy i całe to cierpienie, które musisz przetrwać. Tyle paskudztwa, któremu nie można zaradzić. Lekarze też nie zawsze działali skutecznie, ale przynajmniej mieli swoje pigułki i skalpele. Mnie pozostawały tylko słowa, kiwnięcia głową, znaczące pauzy i trochę wymyślnych technik behawioralnych, które rzadko kiedy miałem okazję zastosować. Pół dnia spędziłem, chodząc po oddziale i czując się jak baletnica, której przeszkadza rąbek u spódnicy.

Nic nie powiedziała.

– Tak, wiem – ciągnąłem. – Użalanie się nad sobą jest nudne.

– Alex, nie możesz wykarmić całego świata własną piersią.

– To raczej coś dla ciebie.

– Mówię serio. Jesteś chłop na schwał, ale czasami mam wrażenie, że zachowujesz się jak sfrustrowana matka – chciałbyś wszystkich nakarmić. O wszystko się zatroszczyć. Nie zawsze jest to złe – popatrz, ilu ludziom pomogłeś. Nie wyłączając Mila, ale...

– Mila?

– Pewnie. Spójrz, z czym musi się borykać. Glina i gej, w wydziale, gdzie zaprzecza się, że coś podobnego może mieć miejsce. Oficjalnie, on w ogóle nie istnieje. Pomyśl o jego wyobcowaniu, dzień w dzień. Pewnie, że ma Ricka, ale to zupełnie inny świat. Przyjaźń z tobą jest dla niego zwrotnikiem – łączy go z resztą świata.

– Robin, nie jestem jego przyjacielem z miłosierdzia. To nie ma nic wspólnego z moimi poglądami. Po prostu lubię go jako człowieka.

– Właśnie. On wie, na czym polega ta przyjaźń – powiedział mi kiedyś, że zajęło mu pół roku przyzwyczajenie się do tego, że ma normalnego przyjaciela. Kogoś, kto traktuje go zwyczajnie. Mówił, że nie miał nikogo takiego odkąd był w college'u. Jest ci też wdzięczny, że nie odstawiasz przy nim terapeutę. To dlatego wysiła się dla ciebie. A jeśli wpadł z tego powodu w kabałę, da sobie radę. Bóg świadkiem, że dawał sobie radę w gorszych opałach. Uf, muszę wyłączyć piłę. To cała głębia, na jaką mnie dzisiaj stać.

– Kiedy tak zmądrzałaś?

– Zawsze taka byłam, Kędziorku. Miej tylko oczy szeroko otwarte.

Kiedy zostałem znów sam, miałem ochotę wyskoczyć ze skóry. Połączyłem się z biurem zleceń. Zostawiono cztery wiadomości: jakiś prawnik prosił o konsultację w związku ze sprawą o opiekę nad dzieckiem, ktoś z tytułem magistra zarządzania oferował pomoc w organizowaniu mojej praktyki, stowarzyszenie psychologiczne hrabstwa chciało wiedzieć, czy zamierzam wziąć udział w przyszłomiesięcznym spotkaniu, a jeśli tak, to czy życzę sobie rybę czy kurczaka. Ostatnia pochodziła od Lou Cestare, który dawał znać, że nie znalazł nic nowego o byłych pracodawcach George'a Plumba, ale będzie dalej próbować.

Raz jeszcze zadzwoniłem do Mila, na wypadek gdyby, choć było to mało prawdopodobne, wrócił już z biura zastępcy szefa. Usłyszawszy głos Charlesa Flannery'ego, odłożyłem słuchawkę.

Do czego zmierzała Stephanie, spotykając się z Huenengarthem?

Pospolite karierowiczostwo, czy ją też ktoś przyciska – przypominając, że kiedyś została aresztowana za jazdę w stanie nietrzeźwym.

A może jej popijanie nie należało do zamierzchłej przeszłości. A jeśli wciąż nie panowała nad nałogiem, i oni to wykorzystywali?

Wykorzystywali, robiąc z niej ordynatora oddziału?

Nie wydawało się to sensowne, ale może było.

Jeśli miałem rację podejrzewając, że Chuck Jones chce zlikwidować szpital, zatrudnienie ordynatora o nadwerżzonej woli znakomicie by pasowało.

Szczur pnący się na pokład tonącego statku...

Przyszedł mi na myśl ktoś, kto wyskoczył.

Co koniec końców skłoniło Melendez-Lyncha do odejścia?

Nie wiedziałem, czy zechce ze mną rozmawiać. Na nasze ostatnie kontakty, przed wielu laty, rzuciło cień jego upokorzenie – bardzo poważna sprawa, uchybienie etyce zawodowej z jego strony, o którym dowiedziałem się przypadkowo.

Ale cóż miałem do stracenia?

Informacja w Miami miała na niego tylko jeden zamiar. Our Lady of Mercy Hospital. Na Florydzie była ósma trzydzieści wieczorem. Nie zastanę już jego sekretarki, ale jeśli Raoul nie przeszedł transplantacji osobowości, powinien ciągle pracować.

Wykręciłem numer. Nagrany na taśmę, kulturalny kobiecy głos poinformował mnie, że połączyłem się z biurem naczelnego lekarza, które jest obecnie nieczynne, i podał kilka numerów kodowych, z których pomocą można było przywołać doktora Melendez-Lyncha.

Wybrawszy numer WEZWANIE NATYCHMIASTOWE, czekałem na odpowiedź, zastanawiając się, kiedy automatyczne sekretarki zaczną dzwonić jedna do drugiej, eliminując w ten sposób bałagan wprowadzony przez czynnik ludzki.

– Doktor Melendez-Lynch – odezwał się wciąż znajomy głos.

– Raoul? Tu Alex Delaware.

– Ahlex? Żartujesz. Jak się masz?

– Świetnie, Raoul. A ty?

– Jestem o wiele za gruby i zbyt zajęty, ale poza tym znakomicie.

– ...Co za niespodzianka. Jesteś tu, w Miami?

– Nie, wciąż w L.A.

– Aa... No to mów, jak spędziłeś ostatnie parę lat?

– Tak samo jak poprzednie.

– Podjąłeś ponownie praktykę?

– Krótkoterminowe konsultacje.

– Krótkoterminowe... ciągle samotnie, co?

– Niezupełnie. A co u ciebie?

– Też niewiele się zmieniło, Alex. Robimy różne pasjonujące rzeczy. Teraz zaawansowane studia nad udziałem przepuszczalności błony komórkowej w powstawaniu raka, parę badań pilotowych eksperymentalnych leków. No to mów, czemu zawdzięczam zaszczyt rozmowy z tobą?

– Mam do ciebie pytanie – odparłem – ale osobiste, nie zawodowe, więc jeśli nie zechcesz odpowiedzieć, po prostu mi to oznajmij.

– Osobiste?

– Dotyczy twego odejścia.

– Co chcesz wiedzieć?

– Dlaczego to zrobiłeś.

– A dlaczego, jeśli wolno spytać, tak cię nagle zaciekała moja motywacja?

– Ponieważ wróciłem do Western Peds, konsultując pewien przypadek. Zrobiło się tu naprawdę smutno, Raoul. Niskie morale, ludzie odchodzą ludzie, których nigdy bym o to nie posądzał. Ciebie znam najlepiej, dlatego dzwonię.

– Tak, to sprawa osobista – rzekł. – Ale mogę odpowiedzieć. – Roześmiał się. – Alex, odpowiedź jest bardzo prosta. Odszedłem, ponieważ mnie nie chciano.

– Nowa administracja?

– Tak. Wizygoci. Wybór, jaki mi zostawili, był prosty. Odejdź albo skończ się zawodowo. Tu szło o przetrwanie. Wbrew temu, co każdy ci powie, to nie była kwestia zarobków. Nikt nigdy nie pracował w Western Peds dla pieniędzy – sam o tym wiesz. Choć z pieniędzmi też się zrobiło krucho, kiedy Wizygoci przejęli kontrolę. Zamrożenie płac, blokada etatów, redukcja personelu biurowego, postawa totalnej arogancji w stosunku do lekarzy – jakbyśmy byli ich służącymi. Wsadzili nas nawet do barakowozów, na ulicę. Jak bezdomnych. Mogłem tolerować to wszystko, bo miałem pracę. Badania naukowe. Lecz kiedy te się skończyły, po prostu nie istniał powód, żeby tam pozostawać.

– Przerwali ci badania?

– Nie wprost. Jednakże na początku ubiegłego roku akademickiego rada ogłosiła nową politykę: z powodu trudności finansowych szpital nie będzie partycypować w pokrywaniu kosztów dodatkowych badań fundowanych. Wiesz, jak pracuje rząd – przy tak wielu dotacjach to, czy dadzą ci jakieś pieniądze, zależy od wkładu finansowego instytucji macierzystej. Niektóre prywatne fundacje także kładą teraz „na to nacisk. Wszystkie moje pieniądze pochodziły z funduszy federalnych. Zasada – żadnych dopłat – zniweczyła całkowicie moje projekty. Próbowałem argumentować, wyłem, krzychałem, wskazywałem na liczby i fakty – co staraliśmy się osiągnąć naszymi badaniami; szło o raka u dzieci, na Boga. Bezskutecznie. Więc poleciałem do Waszyngtonu, porozmawiać z rządowymi Wizygotami, starając się ich przekonać, żeby zawiesili te przepisy. Też na próżno. Nasza życzliwa i uprzejma rączka, co? Żaden z nich nie funkcjonuje na ludzkim poziomie. Więc jakie miałeś opcje, Alex? Pozostać jako przeuczony technik, zaprzepaszczając piętnaście lat pracy?

– Piętnaście lat – powtórzyłem. – Musiało ci być ciężko.

– Nie było to łatwe, ale okazało się fantastyczną decyzją. Tutaj, w Mercy, zasiadam w radzie jako członek z prawem głosu. Też mamy kupę idiotów, ale mogę ich ignorować. A na dodatek moje drugie dziecko – Amelia – studiuje w szkole medycznej w Miami i mieszka ze mną. Z mojego kondominium widać ocean, a kiedy mam rzadką okazję odwiedzić Little Havana, czuję się jakbym znów był małym chłopcem. Alex, to przypominało operację. Proces był bolesny, ale rezultaty są tego warte.

– Zrobili głupstwo, pozwalając ci odejść.

– Oczywiście, że tak. Po piętnastu latach nawet złotego zegarka. Roześmiał się. – To nie są ludzie, którzy mają w estymie lekarzy. Dla nich liczą się tylko pieniądze.

– Jones i Plumb?

– I ta para włóczących się za nimi psów – Novak i ktoś tam. Może i są księgowymi, ale przypominają mi zbirów Fidela. Alex, posłuchaj mojej rady: nie angażuj się tam za bardzo. Może przyjechałbyś do Miami, mógłbyś wykorzystać swoje umiejętności tam, gdzie potrafią to docenić? Załatwilibyśmy do spółki dotację. AIDS to teraz sprawa o kluczowym znaczeniu – tyle nieszczęść. Dwie trzecie naszych pacjentów z hemofilią dostało zakażoną krew. Przydałbyś się tutaj, Alex.

– Dzięki za zaproszenie, Raoul.

– Mówię szczerze. Pamiętam, ile dobrego zrobiliśmy razem.

– Ja też.

– Alex, pomyśl o tym.

– Dobra.

– Ale oczywiście nie zrobisz tego?

Obaj wybuchnęliśmy śmiechem.

– Mogę zadać ci jeszcze jedno pytanie? – zapytałem.

– Też osobiste?

– Nie. Co wiesz o Instytucie Badań Chemicznych Ferrisa Dixona?

– Nigdy o nim nie słyszałem. A dlaczego?

– Dotowali lekarza w Western Peds. Łącznie z kosztami dodatkowymi.

– Doprawdy? A co to za jeden?

– Toksykolog nazwiskiem Laurence Ashmore. Prowadził badania epidemiologiczne nowotworów u dzieci.

– Ashmore... o nim też nigdy nie słyszałem. Co to za badania epidemiologiczne?

– Pestycydy a częstotliwość występowania nowotworów złośliwych. Głównie teorie, zabawy z liczbami.

Parsknął śmiechem.

– Ile dał mu ten instytut?

– Prawie milion dolarów.

Cisza.

– Że co?

– To prawda – potwierdziłem.

– Plus koszty dodatkowe!

– Sporo, co?

– To absurd. Jak się nazywa ten instytut?

– Ferris Dixon. Dotowali jeszcze jeden program, znacznie skromniejszy. Ekonomisty nazwiskiem Zimberg.

– Plus koszty dodatkowe... Hmm, będę musiał to sprawdzić. Dziękuję za informacje, Alex. I pomyśl o mojej propozycji. Tu też świeci słońce.

## Rozdział trzydziesty

Nie mając wiadomości od Mila, zważyłem, czy przyjdzie na nasze spotkanie o ósmej. Kiedy nie zjawił się do dwadzieścia po, pomyślałem, że coś, co zatrzymało go w Parker Center, nie pozwoliło mu przyjść. Ale o ósmej trzydzieści siedem odezwał się dzwonek, a gdy otworzyłem drzwi, okazało się, że to on. Za nim stał ktoś jeszcze.

Presley Huenengarth. Jego twarz unosiła się ponad ramieniem Mila niczym złośliwy księżyc. Usta miał małe jak niemowlę.

Zobaczywszy wyraz moich oczu, Milo mrugnął uspokajająco, położył mi rękę na ramieniu i wszedł do środka. Huenengarth zawahał się przez chwilę, zanim postąpił za nim. Ręce zwisały mu swobodnie. Żadnej broni. Żadnej plakietki na marynarce; ani śladu przymusu.

Mogliby we dwójkę stanowić zespół gliniarzy.

– Niech pan się czuje jak u siebie – rzucił Milo i przeszedł do kuchni.

Huenengarth stał ciągle w wejściu. Dłonie miał grube i pokryte plamkami, a oczy rozbiegane. Drzwi nadal były otwarte. Nie poruszył się, kiedy je zamknąłem.

Przeszedłem do salonu. Nie słyszałem go, ale wiedziałem, że idzie za mną.

Zaczekał, aż usiądę na pokrytej skórą sofie, rozpiął marynarkę i opadł na fotel. Jego brzuch uwydatniał się ponad paskiem, napinając białą popelinę koszuli. W ogóle miał szeroką i mocną sylwetkę. Nabrzmiała ponad kołnierzykiem szyja była różowa niczym kwiat wiśni. Tętnice pulsowały pod skórą, szybko i jednostajnie.

Słyszałem, jak Milo krząta się po kuchni.

– Ładne miejsce – odezwał się Huenengarth. – A jaki widok?

Wtedy po raz pierwszy usłyszałem jego głos. Średniowysoki, raczej ostry, ze środkowozachodnim akcentem. Przez telefon Huenengarth zrobiłby wrażenie kogoś znacznie drobniejszego.

Nic nie odpowiedziałem.

Położył obie ręce na kolanach i rozejrzał się jeszcze trochę po pokoju.

Z kuchni znów dobiegły hałasy.

Odwrociwszy się w tamtą stronę, powiedział:

– Jeśli o mnie chodzi, prywatne życie człowieka to jego sprawa osobista. Nic mnie nie obchodzi, kim jest, o ile nie przeszkadza to w jego pracy. Nawiasem mówiąc, mogę mu pomóc.

– Świetnie. Zechce mi pan powiedzieć, kim pan jest?

– Sturgis twierdzi, że umie pan dochować tajemnicy. Niewielu to potrafi.

– Szczególnie w Waszyngtonie?

Beznamiętne spojrzenie.

– Czy też w Norfolk, w Wirginii?

Wydał wargi, nadając swym ustom opryskliwy wyraz. Wąsik ponad nimi wyglądał prawie jak popielata plamka. Uszy o niewidocznych płatkach ciasno przylegały do głowy, przechodząc gładko w byczy kark. Mimo pory roku miał ciężki garnitur z wełny czesankowej. Spodnie z mankietami, czarne podzielowane półbuty, niebieski długopis w kieszonce na piersi. Pot wystąpił mu tuż poniżej linii włosów.

– Usiłował mnie pan śledzić – powiedział. – Ale tak naprawdę nie ma pan pojęcia, co jest grane.

– Zabawne, to ja czułem się śledzony.

Potrząsnął głową. Spojrzał surowo. Jakby był nauczycielem, na którego pytanie źle odpowiedziałem.

– Więc proszę mnie oświecić – powiedziałem.



– Musi się pan zobowiązać do całkowitej dyskrecji.

– Dotyczącej?

– Wszystkiego, co panu powiem.

– To dość mało precyzyjne.

– Taki jest mój warunek.

– Czy to ma coś wspólnego z Cassie Jones?

Zaczął bębnić palcami po kolanach.

– Nie bezpośrednio.

– Ale pośrednio.

Nie odpowiedział.

– Żąda pan ode mnie zobowiązania – stwierdziłem – ale nie ustąpi pan ani na jotę. Na pewno pracuje pan dla rządu.

Milczenie. Zlustrował deseń mego perskiego dywanu.

– Jeśli to wystawi na szwank zdrowie Cassie – podjąłem – nie mogę się do niczego zobowiązać.

– Nie ma pan racji – rzekł, raz jeszcze potrząsając głową. – Gdyby naprawdę troszczył się pan o nią, nie przeszkadzałby mi pan.

– A to dlaczego?

– Jej także mogę pomóc.

– Uczynny z pana gość, nie można powiedzieć.

Wzruszył ramionami.

– Jeśli jest pan w stanie zapobiec krzywdzeniu jej, dlaczego pan tego nie zrobił?

Przestawszy bębnić, złączył palce wskazujące.

– Nie powiedziałem, że jestem wszechwiedzący. Ale mogę być pomocny. Pan sam niewiele jak na razie osiągnął, prawda?

Nim zdążyłem odpowiedzieć, podniósł się, ruszając w stronę kuchni. Wrócił z Milem, który niósł trzy filiżanki kawy.

Biorąc jedną dla siebie, Milo postawił dwie pozostałe na stoliku i usadowił się na drugim końcu sofy. Nasze spojrzenia się spotkały. Skinął nieznacznie głową. Jakby się usprawiedliwiał.

Huenengarth usiadł znowu, ale na innym fotelu niż ten, z którego właśnie się podniósł. Ani on, ani ja nie ruszyliśmy kawy.

– Na zdrowie – rzucił Milo i napił się.

– Co teraz? – zapytałem.

– Taak – rzekł Milo. – Za bardzo czarujący to on nie jest, ale być może potrafi zrobić to, co proponuje.

Huenengarth wlepił w niego wzrok, odwróciwszy głowę.

Milo łyknął kawę, założył nogę na nogę.

– Przyszedłeś tu z własnej, nieprzymuszonej woli co? – zapytałem.

– No cóż, wszystko jest względne – odparł Milo. Zwrócił się do Huenengartha: – Niech pan przestanie zgrywać młodszego śledczego z FBI i rzuci mu trochę informacji.

Huenengarth patrzył na niego jeszcze przez chwilę. Odwrócił się ku mnie. Spojrzał na swoją kawę. Dotknął wąsika.

– Ta pana teoria – rozpoczął – o tym że Charles Jones i George Plumb rujną szpital – z kim pan ją omawiał, jak dotąd?

– To nie jest moja teoria. Cały personel uważa, że administracja wykańcza tę placówkę.

– Cały personel nie posunął się tak daleko, jak pan. Z kim pan jeszcze rozmawiał, prócz Louisa B. Cestare?

Ukryłem zaskoczenie i strach.

– Lou nie jest w to zaangażowany.

Huenengarth uśmiechnął się półgębkiem.

– Tak się nieszczęśliwie składa, doktorze, że jest. Człowiek o jego pozycji i takich powiązaniach w świecie finansów – mógł mi przysporzyć prawdziwych problemów. Szczęśliwie okazał się skłonny do współpracy. Robi to dokładnie w tej chwili. Konferuje z jednym z moich kolegów w Oregon. Mój kolega twierdzi, że posiadłość pana Cestare jest nader urocza.

Teraz naprawdę się uśmiechnął.

– Głowa do góry, doktorze, śruby do miażdżenia palców wyciągamy tylko w ostatecznych wypadkach.

Milo odstawił kawę.

– Może tak przeszedłby pan do rzeczy, zuchu?

Uśmiech Huenengartha zniknął. Mężczyzna wyprostował się na krześle, spoglądając na Mila.

Wpatrywał się w milczeniu.

Milo zerknął z niesmakiem i napił się kawy.

Huenengarth odczekał chwilę, po czym zwrócił się do mnie.

– Czy rozmawiał pan o tym jeszcze z kimś, oprócz Cestare? Nie licząc pana przyjaciółki, pani – um – Castagna. Głowa do góry, doktorze. Z tego, co o niej wiem, nie jest osobą mogącą być źródłem przecieków do „The Wall Street Journal”.

– Czego pan chce, do cholery? – zapytałem.

– Nazwisk wszystkich, z którymi podzielił się pan swoimi fantazjami. Szczególnie osób związanych ze światem biznesu albo mających powody, by żywić urazę do Jonesa czy Plumba.

Spojrzałem na Mila. Kiwnął głową, choć nie wydawał się uszczęśliwiony.

– Jeszcze jedna osoba – dodałem. – Lekarz, który pracował kiedyś w Western Peds. Teraz mieszka na Florydzie. Ale nie powiedziałem mu niczego, czego sam by nie wiedział, i nie wdawaliśmy się w szczegóły...

– Doktor Lynch – uzupełnił Huenengarth.

Zakląłem.

– Co pan robił, podsłuchiwał moje rozmowy?

– Nie, to nie było konieczne. Rozmawiamy z doktorem Lynchem od czasu do czasu. Odbyliśmy małą pogawędkę.

– To on doniósł panu?

– Nie odbiegajmy od tematu, doktorze Delaware. Najważniejsze, że pan powiedział mi, że pan z nim rozmawiał. To dobrze. Szczerość godna podziwu. Podoba mi się też sposób, w jaki się pan z tym zmagał. Dylematy moralne nie są dla pana bez znaczenia – nieczęsto spotykam się z taką postawą. Toteż ufam panu teraz bardziej, niż kiedy wchodziłem do tego pokoju, i tak jest lepiej dla nas.

– Rety, jestem wzruszony – odrzekłem. – A co dostanę w nagrodę? Poznam pana prawdziwe nazwisko?

– Współpracę. Może będziemy w stanie pomóc sobie wzajemnie. I Cassie Jones.

– Jak pan jej może pomóc?

Założył ręce na potężnej piersi.

– Ta pana teoria – teoria całego personelu – jest bardzo pociągająca. Jako jednogodzinny reportaż w telewizji. Żarłocznicy kapitaliści wysysają życiodajną krew z ukochanej instytucji; wkraczają uczciwi faceci i robią z tym porządek; przerwa na reklamę.

– A kim są tutaj uczciwi faceci?

Przyłożył dłoń do piersi.

– Czuję się dotknięty, doktorze.

– Skąd pan jest, z FBI?

– Inny zestaw liter – nic to panu nie powie. Wróćmy do pana teorii: pociągająca, ale fałszywa. Przypomina pan sobie pierwszą reakcję Cestare, kiedy pan mu ją przedstawił?

– Powiedział, że to nieprawdopodobne.

– Dlaczego?

– Ponieważ Chuck Jones to twórca, a nie destruktor.

– Aha.

– Ale potem przyjrzał się karierze zawodowej Plumba i stwierdził, że spółki, z którymi był związany, mają skłonności do szybkiego upadania. Więc może Jones zmienił styl i zamierza ciąć i palić.

– To Plumb jest człowiekiem, który wycina i pali – wyjaśnił. – Przez długi czas trudnił się podprowadzaniem spółek na odstrzał, biorąc potem tłuste prowizje od wykupującego. Ale były to firmy bazujące na aktywach, dla których warto je było ograbić. Cóż miałoby być nagrodą za zniszczenie niedochodowej, deficytowej instytucji, jaką jest Western Pediatrics? Gdzie są aktywa, doktorze?

– Teren na którym stoi szpital, na początek.

– Teren. – Znów potrząśnięcie głową, z towarzyszącym mu przeczącym ruchem uniesionego w górę palca. Facet zdecydowanie miał w sobie coś z belfra. – Nawiasem mówiąc, ziemia jest własnością miasta i została wydzierżawiona szpitalowi na dziewięćdziesiąt dziewięć lat. Na życzenie szpitala kontrakt może być przedłużony na kolejne dziewięćdziesiąt dziewięć lat, a opłata wynosi dolara rocznie. Jest to w archiwach państwowych może pan sprawdzić w biurze asesora, tak jak ja.

– Nie siedzi pan tu dlatego, że Jones i jego gang to same niewiniątka powiedziałem. – O co im chodzi?

Wychylił się do przodu na krześle.

– Proszę pomyśleć o aktywach wymiernych, doktorze. Solidny zapas wysokowartościowych akcji i obligacji pozostających do dyspozycji Chucka Jonesa.

– Fundusz inwestycyjny szpitala – Jones nim zarządza. Co on robi, zgarnia zyski?

Jeszcze jedno potrząśnięcie głową.

– Dobry strzał, ale nie wygrał pan cygara, doktorze. Choć to też uzasadnione przypuszczenie. Ale jak się okazuje, fundusz inwestycyjny szpitala to śmieszna suma. Trzydzieści lat czerpania z niego, żeby zbilansować budżet bieżący ogołociło go do szczętu. Prawdę mówiąc, Chuck Jones nawet go trochę podreperował – jest zmyślnym inwestorem. Ale rosnące koszty ciągle go uszczuplają. Nigdy nie będzie tego tyle, by warto było kombinować – przynajmniej nie na poziomie Jonesa.

– A jaki jest jego poziom?

– Ośmiocyfrowy. Pierwsza liga manipulacji finansowych. Fisk i Gould sprawdzaliby, ile mają palców, wymieniwszy uścisk dłoni z Chuckiem Jonesem. Cieszy się opinią finansowego cudotwórcy, uratował nawet po drodze kilka spółek. Ale to grabieże są motorem tego wszystkiego. Ten człowiek zniszczył więcej przedsiębiorstw niż bolszewicy.

– Więc on także wycina i pali, o ile stawka jest dość wysoka.

Huenengarth spojrział w sufit.

– Dlaczego nikt o tym nie wie? – zapytałem.

Przesunął się jeszcze trochę w przód. Już prawie nie dotykał krzesła.

– Wkrótce się dowiedzą – powiedział cicho. – Szedłem jego tropem przez cztery i pół roku, i bliski jestem końca. Nikt mi tego nie spieprzy dlatego wymagam całkowitej dyskrecji. Nie pozwolę się odciągnąć od celu. Rozumie pan?

Różowy kolor jego szyi pogłębił się, przechodząc w barwę pomidorową. Huenengarth wsunął palce za kołnierzyk, rozluźnił krawat i rozpiął guzik.

– On jest dyskretny – podjął. – Wspaniale się maskuje. Ale pobiję go w jego własnej grze.

– Maskuje się – jak?

– Przy pomocy parawanów widmowych korporacji i holdingów, fałszywych syndykatów, zagranicznych kont bankowych. Dosłownie setek kont handlowych, funkcjonujących jednocześnie. Nadto posiada bataliony takich lokai jak Plumb, Roberts czy Novak, z których większość zna tylko niewielki wycinek ogólnego obrazu. Jest to zasłona na tyle skuteczna, że nawet tacy ludzie, jak pan Cestare, nie mogą jej przeniknąć. Ale kiedy runie, to runie z hukiem, doktorze, obiecuję panu. Popełniał błędy, a ja miałem go na oku.

– Więc co chce zagarnąć w Western Peds?

– Naprawdę nie musi pan znać szczegółów.

Podniósłszy filiżankę, wypił łyk kawy.

Wróciłem w myślach do mojej rozmowy z Lou.

Dlaczego syndykat miałby je wykupić, żeby potem zlikwidować?

Z wielu powodów... Może chodziło im raczej o zasoby przedsiębiorstwa niż o nie same.

Jakie zasoby?

Wyposażenie, fundusz inwestycyjny, fundusz emerytalny...

– Fundusz emerytalny lekarzy – strzeliłem. – Jones też nim zarządza, prawda?

Odstawił filiżankę.

– Statut szpitala mówi, że on jest za niego odpowiedzialny.

– Co z nim zrobił? Zmienił w prywatną skarbonkę?

– Huenengarth nic nie powiedział.

– Cholera – rzucił Milo.

– Coś w tym rodzaju – stwierdził Huenengarth, marszcząc brwi.

– Fundusz emerytalny ma osiem cyfr? – zapytałem.

– Dobre osiem.

– No nie, jak to możliwe?

– Trochę szczęścia, doktorze, trochę zręczności, ale głównie po prostu upływ czasu. Liczył pan kiedyś, jaka suma będzie na koncie po siedemdziesięciu latach, jeśli wpłaci pan na nie tysiąc dolarów na pięć procent? Niech pan kiedyś spróbuje. Fundusz emerytalny lekarzy to narastająca przez siedemdziesiąt lat wartość pewnych akcji giełdowych i obligacji, które rosły w cenę dziesięcio-, dwudziesto-, pięćdziesięcio-, i stukrotnie; a przedsiębiorstwa łączyły i dzieliły dziesiątki razy, wypłacając dywidendy, które inwestowano ponownie w fundusz. Od drugiej wojny światowej akcje systematycznie idą w górę. Fundusz pełen jest takich pereł jak akcje IBM nabyte po dwa dolary za sztukę, czy Xeroxa po dolarze. A w przeciwieństwie do komercyjnego funduszu inwestycyjnego prawie nic nie wypływa. Przepisy

funduszu mówią, że nie wolno czerpać z niego na bieżące wydatki szpitalne, więc jedyny odpływ kapitału to wypłaty dla lekarzy, którzy przeszli na emeryturę. A to tylko wąska strużka, ponieważ zarządzenia minimalizują świadczenia każdemu, kto odchodzi wcześniej niż po dwudziestu pięciu latach.

– Struktura ubezpieczeniowa – powiedziałem, przypomniałszy sobie słowa Ala Macauleya o tym, że nie zapracował na emeryturę.

Kiwnął z entuzjazmem głową. Student zaczynał wreszcie chwytać.

– Nazywa się to zasadą frakcjonowania, doktorze. Większość funduszy emerytalnych jest w ten sposób urządzona – ma to premiować lojalność. Kiedy siedemdziesiąt lat temu szkoła medyczna zgodziła się wnieść wkład do funduszu, zastrzegła, że lekarze, którzy odejdą przed upływem pięciu lat, nie dostaną ani grosza. To samo dotyczy każdego, kto odejdzie po dowolnym czasie, lecz będzie pracować dalej jako lekarz, otrzymując porównywalną pensję. Lekarze są bardzo poszukiwani, więc te dwie grupy obejmują ponad osiemdziesiąt procent przypadków. Z pozostałych jedenastu procent bardzo niewielu lekarzy odpracowuje całe dwadzieścia pięć lat i kwalifikuje się do pełnej emerytury. Ale pieniądze wpłacone na fundusz za każdego lekarza, jaki kiedykolwiek pracował w szpitalu, pozostają w nim, procentując.

– Kto jeszcze wnosi wkład, poza szkołą medyczną?

– Należał pan do personelu. Nie czytał pan przepisów o zasiłkach?

– Fundusz nie obejmował psychologów.

– Tak, ma pan rację. Zastrzeżono go tylko dla doktorów medycyny... Niech pan poczytuje to za szczęście, że jest pan doktorem psychologii.

– Kto wnosi wkład? – powtórzyłem pytanie.

– Szpital dorzuca resztę.

– Lekarze nic nie płacą?

– Ani grosza. Dlatego zgodzili się na tak surowe przepisy. Ale było to bardzo krótkowzroczne. Dla większości z nich fundusz jest beużyteczny.

– Ukartowana sytuacja – powiedziałem – dająca Jonesowi do dyspozycji ośmiocyfrową skarbonkę – dlatego tak utrudnia życie personelowi. Nie chce zniszczyć szpitala – chce go utrzymywać w stanie żalosnej wegetacji, żeby żaden lekarz nie pozostał zbyt długo. Utrzymać fluktuację kadr na wysokim poziomie – personel odchodzi przed upływem pięciu lat, albo kiedy są jeszcze dość młodzi, żeby dostać podobne posady. Fundusz obrasta w dywidendy, a on nie musi nic wypłacać i jest w stanie zgarniać nadwyżki.

Przytakiwał z pasją.

– To gwałt zbiorowy, doktorze. Dzieje się tak w całym kraju. W USA jest ponad dziewięćset tysięcy korporacyjnych funduszy emerytalnych. Dwa biliony dolarów trzymane w depozycie dla osiemdziesięciu milionów pracowników. Kiedy ostatnia zwyżka cen na rynku zaowocowała miliardami dolarów nadwyżki, korporacje skłoniły Kongres do rozluźnienia przepisów regulujących sposoby ich wykorzystania. Pieniądze te uznaje się obecnie raczej za aktywa spółki, niż za własność pracowników. Tylko w ubiegłym roku sześćdziesiąt największych korporacji USA miało sześćdziesiąt miliardów dolarów do swobodnego użytku. Niektóre spółki zaczęły kupować polisy ubezpieczeniowe, by móc korzystać z samego kapitału. To właśnie napędzało częściowo całe szaleństwo wykupowania firm – statut funduszu emerytalnego jest jedną z pierwszych instytucji, jakie sprawdzają łupieżcy, wybierając sobie cel. Rozwiązują spółkę, korzystają z nadwyżki, żeby kupić następną, którą też rozwiązują. I tak dalej, i tak dalej. Ludzie są wyrzucani z pracy – jest bardzo źle.

– Bogacą się, korzystając z cudzych pieniędzy.

– Nie produkując żadnych dóbr ani usług. Co więcej, kiedy zaczyna się myśleć o czymś jako o swojej własności, łatwiej naginać przepisy. Nielegalne manipulacje funduszami emerytalnymi mnożą się jak grzyby po deszczu sprzeniewierzenia, pobieranie prywatnych pożyczek z kapitału funduszy, podpisywanie kontraktów na zarządzanie funduszem z kolesiami, którzy odpalają za to część pieniędzy, pobierając jednocześnie horrendalne wynagrodzenia – to udział przestępczości zorganizowanej. Na Alasce mieliśmy przypadek, że gang opróżnił kasę związkową i robotnicy stracili wszystko co do grosza. Spółki zmieniały też przepisy w trakcie gry, przechodząc na system udziałów stałych. Emeryt, zamiast wpłat miesięcznych, otrzymuje jednorazowo całą sumę, wyliczoną na podstawie przewidywanego okresu jego życia, a spółka kupuje sobie w ten sposób stabilność finansową. Jest to zgodne z prawem, jak na razie, ale godzi w podstawową ideę funduszu emerytalnego – zabezpieczenia finansowego pracowników na starość. Przeciętny robotnik nie ma pojęcia, jak inwestować. Zaledwie pięć procent w ogóle to robi. Większość wypłacanych okolicznościowo zasiłków zostaje roztrwoniona na rozmaite wydatki i pracownik zostaje bez grosza przy duszy.

– Nadwyżki – powiedziałem. – Wzrost kursów akcji. A co się dzieje, kiedy rozwój gospodarczy zostaje przyhamowany, tak jak teraz?

– Jeśli spółka idzie na dno, a aktywa rozgrabiono, pracownicy mogą odbierać pieniądze w dowolnym prywatnym towarzystwie ubezpieczeniowym. Istnieje też fundusz federalny – PBGC Korporacja Gwarancji Zasiłków Emerytalnych. Ale podobnie jak FDIC czy FSLIC, jest poważnie niedoinwestowany. Jeśli zbyt wiele spółek z obrabowanym funduszem emerytalnym zacznie upadać, będziemy mieli kryzys, przy którym wcześniejsze sprawy tego typu to małe piwo. Lecz nawet gdy PBGC funkcjonuje, może potrwać lata zanim emeryt zainkasuje pieniądze. Najwięcej do stracenia mają najstarsi i schorowani pracownicy – ci lojalni, którzy poświęcili życie dla spółki. Czekać, żyją z zasiłków pomocy społecznej. I umierają.

Cała twarz mu poczerwieniała, a dłonie zacisnął w wielkie, plamiste pięści.

– Czy fundusz lekarski jest zagrożony? – zapytałem.

– Jeszcze nie. Jak już panu powiedział pan Cestare, Jones przewidział nadejście Czarnego Poniedziałku i uzyskał w ten sposób gigantyczne zyski. Rada nadzorcza szpitala uwielbia go.

– Napycha sobie skarbonkę, którą w przyszłości ograbi?

– Nie, już ją ograbia. Wrzucając do środka dolary, wysypuje je jednocześnie.

– I jak uchodzi mu to na sucho?

– Jest jedyną osobą, która kontroluje każdą transakcję – ma obraz całości. Korzysta też z funduszu, robiąc własne zakupy. Umieszcza w nim akcje, mieszając rachunki funduszu i własne – nieustannie obraca pieniędzmi. Gra nimi. Kupuje i sprzedaje pod dziesiątkami fałszywych nazwisk, które zmienia codziennie. To setki transakcji dziennie.

– Dostaje duże prowizje?

– Duże. Na dobitkę, wskutek tego niewiarygodnie trudno iść jego tropem.

– Ale robił to pan?

Kiwnął głową, mając ciągle na twarzy rumieniec myśliwego tropiącego zwierzynę.

– Zabrało mi to cztery i pół roku, aż wreszcie dobrałem się do jego banków danych, i jak dotąd, on o tym nie wie. Nie ma powodów, by podejrzewać, że jest pod obserwacją, ponieważ w normalnych warunkach rząd nie zwraca uwagi na niedochodowe fundusze emerytalne. Gdyby nie popełnił paru błędów, przy załatwianiu niektórych korporacji, znalazłby się z powrotem w domu, w powierniczym rajku.

– Jakie to błędy?

– Nieważne – warknął Huenengarth.

Utkwiłem w nim spojrzenie.

Uśmiechnął się z przymusem i wyciągnął przed siebie rękę.

– Rzecz w tym, że jego pancerz wreszcie pękł, a ja go podważam – jestem niezmiernie bliski roztrzaskania go. To przełomowy moment, doktorze. Dlatego dostaję szału, kiedy ktoś zaczyna mnie śledzić. Rozumie pan? Zadowolony pan teraz?

– Właściwie nie.

Zesztywniał.

– W czym problem?

– W dwóch morderstwach, na początek. Dlaczego Laurence Ashmore i Dawn Herbert zginęli?

– Ashmore – powtórzył kręcąc głową. – Z Ashmore’a był dziwny gość. Lekarz, który znał się na ekonomii i posiadał umiejętności techniczne, by swoją wiedzę wykorzystał. Wzbogacił się i jak większość ludzi bogatych uwierzył, że jest mądrzejszy niż wszyscy inni. Tak mądry, że nie musi płacić podatków. Przez pewien czas uchodziło mu to na sucho, aż wreszcie fiskus go dopadł. Groziło mu wieloletnie więzienie. Więc mu pomogłem.

– Jedź na zachód, młody oszuście – powiedziałem. – To on się dla pana włamał do danych Jonesa, prawda? Idealny łom – doktor medycyny, który nie przyjmuje pacjentów. Jego tytuł był autentyczny?

– W stu procentach.

– Załatwił mu pan posadę z milionem dolarów dotacji, plus koszty dodatkowe. Zasadniczo to szpitalowi zapłacono za zatrudnienie go.

Uśmiechnął się z zadowoleniem.

– Chciwość. To zawsze skutkuje.

– Jest pan z urzędu skarbowego?

Potrząsnął głową, nie przestając się uśmiechać.

– W rzadkich wypadkach jedna macka popiera drugą.

– Co pan zrobił? Złożył pan tam zamówienie? Dajcie mi lekarza w tarapatkach podatkowych, który zna się też na komputerach – i oni je zrealizowali?

– Nie było to aż tak proste. Wyszukanie kogoś takiego jak Ashmore zajęło wiele czasu. A fakt, że go znalazłem, stał się jednym z czynników, które pomogły przekonać... moich zwierzchników, by sfinansowali projekt.

– Pana zwierzchników – powtórzyłem. – Instytut Badań Chemicznych Ferrisa Dixona – FDICR. A co oznacza R?

– Rabunek. To typ poczucia humoru Ashmore’a – dla niego wszystko było grą. Tak naprawdę to chciał czegoś bardziej dosłownego. Ale przekonałem go, by był raczej subtelny.

– A kim jest profesor Walter William Zimberg? Pana szefem? Innym hackerem?

– Nikim – odparł. – Dosłownie.

– Nie istnieje?

– Nie jako rzeczywista osoba.

– Munchhausenowiec – mruknął Milo.

Huenengarth rzucił mu ostre spojrzenie.

– Ma biuro w University of Maryland. Rozmawiałem z jego sekretarką powiedziałem.

Uniósł filiżankę, popijał przez dłuższą chwilę.

– Dlaczego było takie ważne, żeby Ashmore pracował w szpitalu? zapytałem.

– Ponieważ tam jest główny terminal Jonesa. Chciałem, żeby miał bezpośredni dostęp do jego hardware'u i software'u.

– Jones wykorzystuje szpital jako centrum prowadzenia operacji finansowych? Powiedział mi, że nie ma tam biura.

– Praktycznie biorąc, to prawda. Nie znajdzie pan jego nazwiska na żadnych drzwiach. Ale sprzęt jest ukryty w części pomieszczeń, które odebrał lekarzom.

– Na drugim piętrze podziemi?

– Powiedzmy tylko – ukryty głęboko. Tam, gdzie trudno go znaleźć. Jako szef ochrony upewniłem się co do tego.

– Żeby dostać się tam osobiście musiał pan podjąć nie lada wyzwanie.

Żadnej odpowiedzi.

– Do tej pory mi pan nie wyjaśnił – przypomniałem. – Dlaczego Ashmore zginął?

– Nie wiem. Jeszcze.

– Co on zrobił? – zapytałem. – Wymanewrował pana? Wykorzystał to, czego dowiedział się od pana, żeby wydusić od Chucka Jonesa pieniądze?

Oblizwał wargi.

– To możliwe. Dane, które uzyskał są ciągle analizowane.

– Przez kogo?

– Przez ludzi.

– A co z Dawn Herbert? Ona też brała w tym udział?

– Nie wiem, jaką grę prowadziła – odparł. – Nie wiem, czy w ogóle jakąś prowadziła.

Jego frustracja wydawała się rzeczywista.

– Więc dlaczego szukał pan jej dyskietek komputerowych? – spytałem.

– Ponieważ interesował się nimi Ashmore. Kiedy zabraliśmy się za odczytywanie jego zapisków, wypłynęło jej nazwisko.

– W jakim kontekście?

– W swojej szyfrowej notacji oznaczył Herbert jako kogoś, kogo trzeba traktować poważnie. Nazwał ją „ujemną liczbą całkowitą” – to jego termin na określenie kogoś podejrzanego. Ale ona już nie żyła.

– Co jeszcze o niej mówił?

– Tylko to uzyskaliśmy, jak dotąd. Wszystko zapisywał szyfrem – systemem szyfrów. Rozwikłanie tego wymaga czasu.

– Był pana człowiekiem – powiedziałem. – Nie zostawił panu kluczy?

– Tylko niektóre. – Okrągłe oczy zwięziły się pod wpływem gniewu.

– Więc ukradł pan jej dyskietki?

– Nie ukradłem, wszedłem w posiadanie. Należały do mnie. Sporządziła zapisy, pracując dla Ashmore'a, a Ashmore pracował dla mnie, więc prawnie są moją własnością.

Dwa ostatnie słowa wyrzucił z siebie gwałtownie, jak małe dziecko zazdrosne o nową zabawkę.

– Dla pana nie jest to tylko pracą, prawda? – zapytałem.

Jego spojrzenie przebiegło po pokoju, po czym wróciło do mnie.

– Jest dokładnie tym. Tak się składa, że kocham moją pracę.

– Więc nie ma pan pojęcia, dlaczego zamordowano Herbert?

Wzruszył ramionami.

– Policja twierdzi, że to zabójstwo na tle seksualnym.



– A pan sądzi, że tak było?

– Nie jestem policjantem.

– Nie? – powtórzyłem, a wyraz jego oczu skłonił mnie, by drążyć dalej. – Założę się, że był pan czymś w rodzaju gliniarza, zanim wrócił pan do szkoły. Zanim nauczył się pan przemawiać jak profesor szkoły biznesu.

Znów rzucił gwałtowne spojrzenie, ostre i szybkie jak błysk klingi.

– Co to jest? Darmowa psychoanaliza?

– Zarządzanie biznesem – ciągnąłem. – Albo może ekonomia.

– Jestem skromnym urzędnikiem państwowym, doktorze. Moją pensję opłaca się z pana podatków.

– Skromny urzędnik państwowy z fałszywym nazwiskiem i ponad milionem dolarów pozorowanej dotacji – powiedziałem. – Zimberg to pan, prawda? Ale to prawdopodobnie także nie jest pana prawdziwe nazwisko. Co oznacza „B” w notatniku Stephanie?

Popatrzył na mnie, wstał i obszedł wkoło pokój. Dotknął rami obrazu. Włosy na czubku głowy miał przerzedzone.

– Cztery i pół roku – powiedziałem. Wiele pan dał za to, żeby go złapać.

Nie odpowiedział, ale mięśnie jego szyi naprężyły się.

– Jaki jest udział Stephanie w tym wszystkim? – zapytałem. – Poza prawdziwą miłością.

Odwrócił się w moją stronę i znów się zaczerwienił. Tym razem nie z gniewu – lecz zakłopotania. Nastolatek przyłapany na pieszczotach.

– Dlaczego jej pan o to nie zapyta? – powiedział cicho.

Była w samochodzie, ciemnym buicku regalu, zaparkowanym przy moim podjeździe, tuż za żywopłotem, tak że nie można go było dostrzec z tarasu. Punktik świetlny miotał się w jego wnętrzu niczym schwytyany w pułapkę robaczek świętojański.

Minilatarka. Stephanie czytała przy niej, siedząc na przednim siedzeniu pasażera. Okno po jej stronie było otwarte. Na szyi miała ciasny złoty łańcuszek, odbijający światło gwiazd i była uperfumowana.

– Dobry wieczór – powiedziałem.

Podniosła wzrok, zamknęła książkę i otworzyła drzwi. W momencie gdy pstryknął wyłącznik minilatarki, zapaliło się światło w samochodzie oświetlając ją niczym solistkę na scenie. Sukienkę miała krótszą niż zwykle. Poważna randka, pomyślałem. Jej beeper leżał na desce rozdzielczej.

Przesunęła się na fotel kierowcy. Usiadłem na miejscu, które właśnie opuściła. Winył był ciepły.

Kiedy w samochodzie znów zapadła ciemność, Stephanie rzekła:

– Przepraszam, że ci nie powiedziałam, ale on wymaga dyskrecji.

– Jak do niego mówisz, Pres czy Wally?

Zagryzła wargę.

– Bili.

– Jak Walter William.

Zmarszczyła brwi. – To jego przezwisko – przyjaciele tak go nazywają.

– Mnie tego nie powiedział. Widocznie nie jestem jego przyjacielem.

Spojrzała przez przednią szybę, ujawszy kierownicę.

– Słuchaj, wiem, że trochę wprowadziłam cię w błąd, ale to sprawa osobista. To, co robię z moim prywatnym życiem, zupełnie cię nie dotyczy, zgoda?

– Trochę wprowadziłaś mnie w błąd? Pan Widmowy to twój numer jeden. Czy jest coś jeszcze, czego mi o tym nie powiedziałaś?

– Nie ma – niczego, co wiązałoby się ze sprawą.

– Czyżby? On twierdzi, że może pomóc Cassie. Więc dlaczego nie skłoniłaś go wcześniej do wystąpienia z tą propozycją?

Oparła ręce na kierownicy.

– Cholera – powiedziała.

A chwilę później:

– To skomplikowana sprawa.

– Ja myślę.

– Słuchaj – rzuciła prawie krzyżąc. – Powiedziałam ci, że jest widmowy, bo takie chce robić wrażenie, jasne? To istotne by uważano go za łajdaka, który wykonuje swoją robotę. Alex, to, co on robi jest bardzo ważne. Równie ważne, jak medycyna. Rozpracowywał to przez długi czas.

– Cztery i pół roku – uzupełniłem. – Słyszałem już wszystko o tym szlachetnym dochodzeniu. Czy zrobienie cię ordynatorem oddziału stanowi część tego mistrzowskiego planu?

Spojrzała mi w twarz:

– Na to nie muszę odpowiadać. Zasluguję na ten awans. Na litość boską, przecież Rita to dinozaur. Już od lat jedzie na dobrej opinii. Opowiem ci pewną historię: parę miesięcy temu robiliśmy obchód na piątce wschodniej. W dyżurce pielęgniarek ktoś jadł hamburgera od McDonalda i zostawił opakowanie na biurku – wiesz takie styropianowe pudełko na wynos? Z wytłoczonymi na nim lukami? Rita podnosi je i pyta, co to jest. Wszyscy sądzili, że żartuje. Potem zdaliśmy sobie sprawę, że nie. McDonalda, Alex. Do tego stopnia nie kojarzy. Jak może orientować się w całym naszym kołowrocie z pacjentami?

– Cóż to ma wspólnego z Cassie?

Stephanie przycisnęła do siebie książkę niczym napierśnik. Moje przywykłe do ciemności oczy odczytały tytuł. „Pediatria przypadków nagłych”.

– Lektura rozrywkowa? – zapytałem. – Czy przygotowanie do awansu?

– A niech cię szlag! – Chwyciła za klamkę. Puściła ją. Opadła na fotel. Pewnie, że byłoby dla niego lepiej, gdybym została ordynatorem – im więcej przyjaciół umieści w pobliżu nich, tym większe ma szansę na przechwycenie informacji pomocnych, by ich przyszpilić. Więc cóż w tym złego? Jeśli ich nie dopadnie, już niedługo w ogóle nie będzie szpitala.

– Przyjaciół? – powtórzyłem. – Pewna jesteś, że rozumie, co to znaczy? Laurence Ashmore też dla niego pracował, a Huenengarth wyraża się o nim niezbyt sympatycznie.

– Ashmore był frajerem – obleśnym małym tumanem.

– Sądziłem, że nie znałaś go za dobrze.

– Nie znałam – nie musiałam. Mówiłam ci, jak mnie potraktował – jaki był zblazowany, kiedy potrzebowałam jego pomocy.

– Kto wpadł na pomysł, by dać mu do przejrzenia kartę Chada? Ty? Czy Bili? Żeby wygrzebać jeszcze trochę brudów z życia Jonesów?

– Cóż to za różnica?

– Miło by było wiedzieć, czy uprawiamy tu medycynę czy politykę.

– Alex, cóż to za różnica? Cóż to za cholerna różnica! Liczą się rezultaty. Tak, on jest moim przyjacielem. Tak, bardzo mi pomógł, więc chcę mu się odwdziżyć, to prawda! Cóż w tym złego! Nasze cele dadzą się pogodzić!

– Więc czemu nie pomóc Cassie? – Sam zacząłem krzyżeć. – Pewien jestem, że oboje rozmawialiście o niej. Po co narażać ją na choćby jeszcze jedną sekundę cierpienia, skoro Pan Uczynny

może położyć mu kres?

Skuliła się cała. Opierała się plecami o drzwi kierowcy. – Czego u diabła, wymagasz ode mnie? Doskonałości? Cóż, przykro mi, nie stać mnie na to. Próbowalam – to najkrótsza droga do nieszczęścia. Więc odwal się, jasne? Jasne?

Wybuchnęła płaczem.

– Zapomnij o tym – stwierdziłem. – Myślmy o Cassie.

– Ja to robię – powiedziała słabo. – Wierz mi, Alex, myślę o niej zawsze myślałam. Nie byliśmy w stanie nic zrobić, ponieważ nie wiedzieliśmy – musieliśmy mieć pewność. Dlatego wezwałam ciebie. Bili sprzeciwiał się, ale nalegałam. I postawiłam na swoim – naprawę.

Milczałem nadal.

– Potrzebowałam twojej pomocy, żeby się dowiedzieć – tłumaczyła. Żeby wiedzieć na pewno, że Cindy jej to robi. Wtedy Bili mógłby wkroczyć. W tym momencie bylibyśmy w stanie wystąpić z zarzutami.

– Wtedy? – powtórzyłem. – Czy po prostu czekałaś, aż Bili da znak? Aż przeprowadzi swój plan do końca i gotów będzie zgarnąć całą rodzinę?

– Nie! On... Chcieliśmy tylko zrobić to w sposób... skuteczny. Gdybyśmy wyskoczyli ni z gruszki ni z pietruszki z oskarżeniem, nie byłoby to...

– Strategicznie uzasadnione?

– Skuteczne! Ani etyczne – nie byłoby to właściwe. A gdyby okazała się niewinna?

– Coś somatycznego? Coś z metabolizmem?

– Dlaczego nie! Jestem lekarzem, do cholery, nie Bogiem. Skąd, u diabła, mogłam wiedzieć? Z tego, że Chuck to kawał padalca, nie wynika, że z Cindy jest tak samo! Nie byłam pewna, do cholery! Dotarcie do sedna tej sprawy to robota dla ciebie – dlatego cię poprosiłam o pomoc.

– Dzięki za referencję.

– Alex – rzekła żałośnie – dlaczego sprawiasz mi tym tyle bólu. Wiesz, jakim jestem lekarzem.

Pociągnęła nosem i potarła oczy.

– Odkąd mnie wezwałaś – powiedziałem – czuję się, jakbym biegał w labiryncie.

– Ja też. Sądzisz, że tak łatwo mi spotykać się z tymi bubkami i udawać, że jestem ich popychadłem? Plumb uważa, że jego ręka została stworzona po to, by spoczywać na moim kolanie.

Skrzywiła się, obciążając sukienkę.

– Myślisz, że tak łatwo mi mijać Billa w korytarzu, idąc w grupie lekarzy i słuchać, co o nim mówią? Alex, wiem, że nie jest twoim ideałem sympatycznego faceta, ale nie znasz go w gruncie rzeczy. On jest dobry. Pomógł mi.

Spojrzała przez okno po stronie kierowcy.

– Miałam problem... Nie musisz znać szczegółów. Och, do diabła, czemu nie? Miałam kłopoty z piciem, jasne?

– Jasne.

Odwróciła się szybko.

– Nie jesteś zaskoczony? Dałam to po sobie poznać – zachowywałam się nienormalnie?

– Nie, ale to się zdarza także porządnym ludziom.

– Nigdy nie dałam tego po sobie poznać?

– Niezupełnie jesteś typem śliniącej się pijaczki.

– Nie. – Roześmiała się. – Raczej pijaczką przysypiającą, tak jak moja mama – stara dobra genetyka.

Znów się roześmiała. Zacisnęła dłonie na kierownicy.

– A teraz mój tata – ciągnęła. – Masz tu gniewnego pijaczka. A mój brat, Tom, był pijaczkiem wielkopańskim. Dowcipny, czarujący. – Wszyscy byli wniebowzięci, kiedy on wypił o kilka za wiele. Zajmował się wzornictwem przemysłowym, był dużo inteligentniejszy ode mnie. Artysta, twórca. Zmarł dwa lata temu na marskość wątroby. Miał trzydzieści osiem lat.

Wzruszyła ramionami.

– Nie od razu zostałam alkoholiczką – zawsze byłam przekornym dzieckiem. Aż w końcu, w czasie praktyki szpitalnej, postanowiłam nawiązać do tradycji rodzinnej. Bibki w dni wolne Alex, byłam w tym naprawdę dobra. Potrafiłam pozbierać się w samą porę, żeby wyglądać cacy na obchodzie. Ale potem zaczęłam się obsuwać. Płatałam się w wyborze właściwego momentu. Wybór właściwego momentu to delikatna sprawa dla zakonspirowanego moczymordy... Parę lat temu zatrzymano mnie za prowadzenie w stanie nietrzeźwym. Spowodowałam wypadek. Czyż to nie uroczy obrazek? Alex, a gdybym kogoś zabiła? Zabiła dziecko. Pediatra robi z dzieciaka mokrą plamę – cóż za nagłówek.

Znów płakała. Ocierała sobie oczy tak mocno, że wyglądało to jakby się biła.

– Cholera, dość tego uzalania się nad sobą – moi kolesie z AA zawsze objeżdżali mnie za to. Chodziłam tam przez rok. Potem zerwałam z tym brak czasu, a przy tym radziłam sobie jakoś, no nie? A w zeszłym roku, przy wszystkich stresach – różne sprawy osobiste nie wypaliły – znów zaczęłam. Znasz te małe buteleczki, jakich używają w samolotach? Zabrałam sobie kilka, wracając do domu z kongresu AMA. Tylko kieliszeczek, do poduszki. Potem jeszcze kilka... potem zaczęłam zabierać małpki do pracy. Na tę upojną chwilkę w końcu dnia. Ale panowałam nad sobą, zawsze uważałam, żeby zabrać puste w torebce i nie zostawiać śladów. Widzisz, jaka ze mnie konspiratorka? Nie domyślałeś się tego aż dotąd, prawda? Ciebie też nabrałam, co? O, kurwa!

Walnęła w kierownicę, potem oparła na niej głowę.

– W porządku – rzekłam. – Zapomnij o tym.

– Pewnie, że tak. Jest w porządku, jest świetnie, fantastycznie, wręcz cudownie... Pewnej nocy – naprawdę kurewskiej nocy, mnóstwo chorych dzieciaków – obciągnęłam całą baterię małpek i straciłam przytomność siedząc za biurkiem. Bili robił obchód szpitala i znalazł mnie o trzeciej nad ranem, zwymiotowałam na karty choroby. Kiedy zobaczyłam, jak stoi nade mną, myślałam, że umrę. Ale on podniósł mnie, oczyścił i odwiózł do domu zaopiekował się mną, Alex. Nikt nigdy tego dla mnie nie zrobił. To ja zawsze opiekowałam się matką, bo zawsze była...

Jeździła czołem po kierownicy.

– To dzięki niemu wzięłam się jakoś w garść. Zauważyłeś, jak schudłam? A moje włosy?

– Wyglądasz świetnie.

– Nauczyłam się odpowiednio ubierać. Bo ostatecznie to się liczyło. Bili kupił maszynkę do kawy. On rozumiał, bo jego rodzina też była... Jego ojciec był naprawdę pijakiem. Weekendowy moczymorda, ale utrzymał pracę w tej samej fabryce przez dwadzieścia pięć lat. Potem przedsiębiorstwo przejęto i zlikwidowano, a on stracił pracę i okazało się, że fundusz emerytalny został ograbiony. Kompletnie ogołocony. Jego ojciec zapił się na śmierć nie mogąc znaleźć innej pracy. Zmarł we własnym łóżku. Bili był wtedy w szkole średniej. Znalazł go, wróciwszy do domu z treningu piłki nożnej. Wiesz już, dlaczego rozumie? Dlaczego musi robić to, co robi?

– Jasne – odparłam, zastanawiając się, ile z tej historii było prawdą. Myśląc o pamięciowym portrecie mężczyzny, którego widziano, jak niknie w mroku w towarzystwie Dawn Herbert.

– Swoją matkę też z tego wyciągnął – kontynuowała. – Ma wrodzoną zdolność rozwiązywania

problemów. Dlatego został policjantem, dlatego zadał sobie trud, żeby podjąć na nowo naukę i nauczyć się finansów. Alex, on ma doktorat. Zajęło mu to dziesięć lat, ponieważ pracował jednocześnie. – Uniosła głowę, ukazując zmieniony uśmiechem profil. – Ale nie próbuj mówić do niego per doktorze.

– Kim jest Presley Huenengarth?

Zawahała się.

– Kolejna tajemnica państwowa? – zapytałem.

– To... Dobra, powiem ci, ponieważ chcę, byś mi ufał. A nie jest to nic wielkiego. Presley był jego przyjacielem z dzieciństwa. Małym chłopcem, który zmarł na raka mózgu, mając osiem lat. Bili posłużył się jego nazwiskiem, bo było to bezpieczne – w rejestrach znajdował się tylko akt urodzenia, a obaj urodzili się w tym samym roku, więc idealnie pasowało.

Mówiła z zapartym tchem – podekscytowana – i zrozumiałem, że „Bili” i jego świat ofiarowali jej więcej niż tylko pomoc.

– Alex, proszę cię – powiedziała – nie moglibyśmy po prostu zapomnieć o tym wszystkim i pracować razem? Wiem o strzykawkach do insuliny – twój przyjaciel powiedział o tym Billowi. Widzisz, on mu ufa. Połączmy nasze siły i przyłapmy ją. Bili nam pomoże.

– Jak?

– Nie wiem, ale pomoże. Zobaczysz.

Zawiesiła swój beeper przy pasku i wróciliśmy we dwójkę do domu. Milo wciąż siedział na kanapie. Huenengarth /Zimberg/ Bili stał w kącie, po drugiej stronie pokoju, przeglądając ilustrowany magazyn.

– Cześć, chłopcy – rzuciła Stephanie przesadnie swiergotliwym głosem.

Huenengarth złożył magazyn, ujął ją za łokieć i posadził w fotelu. Przysunąwszy obok drugiego, usiadł sam. Steph nie spuszczała z niego oczu. Wykonał ruch ręką, jakby chciał jej dotknąć, ale zamiast tego rozpiął marynarkę.

– Gdzie są dyski Dawn Herbert? – zapytałem. – I niech mi pan nie mówi, że to nie ma związku, bo założę się, że ma. Herbert mogła wpaść na trop tego, co Ashmore robił dla pana, albo i nie, lecz jestem całkiem pewien, że nabrała jakichś podejrzeń dotyczących dzieci Jonesów. Nawiasem mówiąc, znalazł pan kartę Chada?

– Jeszcze nie.

– A co z dyskietaami?

– Wysłałem je do analizy.

– Czy ludzie, którzy się tym zajmują, wiedzą przynajmniej, z czym mają do czynienia? Że jest to tablica liczb losowych?

Skinął głową.

– Najprawdopodobniej jest to szyfr podstawieniowy – nie powinien stanowić większego problemu.

– Nie odcyfrowaliście jeszcze wszystkich kodów Ashmore’a. Skąd ta pewność, że lepiej wam pójdzie z Herbert?

Spojrzał na Stephanie i znów uśmiechnął się półgębkiem.

– Podoba mi się ten facet.

Odpowiedziała nerwowym uśmiechem.

– Ma chłop rację – wtrącił Milo.

– Ashmore to szczególny przypadek – wyjaśnił Huenengarth. – Prawdziwy maniak łamigłówek. Wysoki iloraz inteligencji.

– Herbert nie?

– Nie, sądząc z tego, czego się o niej dowiedziałem.

– To znaczy?

– Sam pan to wie – odparł. – Pewien talent do matematyki, ale zasadniczo była kleptomanką i miernotą – ćpunka i rozbitek życiowy.

Stephanie wzdrygała się, przy każdym rzucanym przez niego rzeczowniku. Zauważył to, odwrócił się i dotknął na chwilę jej dłoni.

– Jeśli na dyskietkach pojawi się coś, co pana dotyczy – zapewnił – może pan być spokojny, dam znać.

– Musimy to wiedzieć teraz. Posiadane przez Herbert informacje mogłyby posłużyć nam za wskazówki. – Odwróciłem się do Mila. – Opowiedziałeś mi o naszym przyjacielu barmanie?

Milo kiwnął głową.

– Wszystko?

– Niech pan się nie sili na subtelności – wtrącił się Huenengarth. Widziałem arcydzieło, które wykreował wasz nagrzany barman, ale nie, to nie ja. Nie szatkuję kobiet.

– O czym wy mówicie? – zapytała Stephanie.

– O głupocie – odpowiedział jej. – Mają rysopis podejrzanego o morderstwo – człowieka, który zamordował, albo i nie, tę całą Herbert – i dostrzegli w nim niejaki podobieństwo do niżej podpisanego.

Przyłożyła dłoń do ust.

Roześmiał się.

– Nawet niezbyt duże, Steph. Aż tak szczupły byłem ostatni raz w szkole średniej. – Zwrócił się do mnie: – Możemy teraz zająć się pracą?

– Nigdy nie przestałem się nią zajmować – odrzekłem. – Ma pan jakieś informacje o Vicki Bottomley?

Huenengarth machnął ręką na Mila.

– Niech pan mu powie.

– Sprawdzaliśmy, czy nie dzwoniło z jej domu do Jonesów albo pokoju Chipa w college'u.

– My? – wtrącił Huenengarth.

– On – poprawił się Milo. – Nakaz federalny. Za tydzień wyrosnie mu para cholernych skrzydełek.

– Znaleźliście coś? – zapytałem.

Milo potrząsnął głową.

– Żadnych telefonów. I nikt z sąsiadów Bottomley nie widział tam Cindy ani Chipa, więc jeśli mają jakieś powiązania, cholernie dobrze się kryją. Moja intuicja podpowiada, że ona nie ma z tym nic wspólnego. Z pewnością nie jest główną trucicielką. Jak już przyjdzie co do czego, przekonamy się, czy pasuje do łamigłówek.

– Więc dokąd teraz zmierzamy?

Milo spojrzał na Huenengartha. Huenengarth popatrzył na mnie i wskazał ręką na sofę.

– Siedziałem przez cały dzień – powiedziałem.

Zmarszczył brwi, dotykając krawata. Spojrzał po wszystkich obecnych.

– Jeszcze trochę tego federalnego kręcenia i nie ma mnie tu – rzucił Milo.

– Dobra – rzekł Huenengarth. – Po pierwsze, muszę ponowić moje żądanie całkowitej dyskrecji – i całkowitego współdziałania ze strony obu panów. Żadnych improwizacji. Mówię serio.

– W zamian za co? – zapytałem.

– Za wsparcie techniczne, które najprawdopodobniej wystarczy, żeby zatrzymać Cindy. Ponieważ

mam nakazy federalne na Chucka Jonesa, a wystarczy dwuminutowa rozmowa telefoniczna, bym mógł włączyć do sprawy Juniora i wszystko, co do niego należy. Mam na myśli urządzenia rejestrujące audio i wideo, w domu, w pracy – jak pójdą grać w kręgle, załatwię kogoś, kto będzie ich dyskretnie obserwował. Zostawcie mnie samego na dwie godziny w ich domu, a nafaszeruję go cudeńkami do podglądania, o jakich wam się nie śniło. Mam kamerę, którą umieszcza się w telewizorze tak, że kiedy oni patrzą w ekran, ona patrzy na nich. Mogę przetrząsnąć dom w poszukiwaniu insuliny czy innego gówna, którego szukacie, tak że oni się o tym nie dowiedzą. Jedyne, co musicie zrobić, to nie puszczać pary z ust.

– Trzeba obserwować pokój Cassie – powiedziałem. – I łazienkę, która łączy go z główną sypialnią.

– Są kafelki w łazience?

– Kafelki i jedno okno.

– Żaden problem – jeśli nie mam jakichś zabawek pod ręką, podeślą mi je w dwadzieścia cztery godziny.

– Dolary podatników ciężko pracują – wtrącił Milo.

Huenengarth zmarszczył brwi.

– Czasami tak.

Ciekaw byłem, czy wie, na czym polega dowcip. Stephanie to nie interesowało, wyraz jej twarzy wskazywał, że poruszał się po niepewnym gruncie.

– Mam zaplanowane spotkanie z Jonesami w ich domu jutro wieczorem – powiedziałem. – Spróbuję umówić się z nimi w szpitalu. Zdaży pan przygotować swój sprzęt do tego czasu?

– Prawdopodobnie. Jeśli nie, to niewiele później – dzień czy dwa. Ale czy może mi pan zagwarantować, że nikogo nie będzie w domu? Gotów jestem, by przyskrzynić tatę. Nie mogę sobie pozwolić na żadne wpadki.

– Może byś zadzwoniła do Chipa i Cindy, prosząc o spotkanie? zwróciłem się do Stephanie. – Powiedz, że coś wyszło w wynikach analiz i chciałabyś zbadać Cassie i pogadać z nimi. Skoro już tam przyjdą, zadbaj o to, żeby zostali dłużej.

– Świetnie – zgodziła się. – Każę im poczekać, powiem, że wyniki się zawieruszyły czy coś w tym stylu.

– Kamera, akcja – rzucił Huenengarth.

– W jaki sposób może pan rozszerzyć nakaz także na Chipa? – spytałem go. – Czy jest zamieszany w transakcje finansowe ojca?

Brak odpowiedzi.

– Sądziłem, że mamy być szczerzy – powiedziałem.

– To też niezła kreatura – orzekł zirytowany.

– Te jego pięćdziesiąt parceli? Czy to rzeczywiście jeden z interesów Chucka?

Potrząsnął głową.

– Handel działkami to gówniany interes – Chuck jest za mądry. Junior to nieudacznik, niezdolny utrzymać przy sobie dolara. Przepuścił już całkiem sporo tatusiowych.

– Na co jeszcze wydaje poza ziemią? – zapytałem. – Jego styl życia jest całkiem przeciętny.

– Jasne, pozornie. Ale to tylko część image'u: Pan Samodzielny. To fasada. Ten trzeciorzędny college, w którym wykłada, płaci mu dwadzieścia cztery tysiące dolarów rocznie – myśli pan, że można za to kupić dom w Watts, nie wspominając już o całym tym szmacie ziemi? Zresztą teren nie jest jego własnością.

– A czyją?

– Banku, który finansował transakcję.

– Pozbawienie prawa wykupu?

– W każdej chwili. – Radosny uśmiech. – Tata kupił teren po okazyjnej cenie, wiele lat temu. Dał go Juniorowi, z myślą o tym, by sprzedał go we właściwym czasie i wzbogacił się samodzielnie. Powiedział mu nawet, kiedy nadszedł właściwy czas, ale Chip go nie posłuchał.

Uśmiechnął się promiennie jak facet, który wygrał los na loterii.

– Nie pierwszy raz, zresztą. Jeszcze będąc w Yale, Junior założył własny interes: konkurencja z Cliff Notes, bo on potrafi to lepiej. Tata sfinansował go, wyłożył coś koło stu tysięcy. Poszły w błoto, bo nie dość, że był to narwany pomysł, to Junior przestał się nim interesować. To dla niego typowe. Nie potrafi doprowadzić niczego do końca. Parę lat później, będąc na studiach doktoranckich, postanowił zostać wydawcą – wystartował z magazynem socjologicznym dla laików. Znów ćwierć miliona, forsa tatusia. Były też inne przedsięwzięcia, wszystkie poszły tym samym torem. Według moich obliczeń przepuścił coś około miliona, nie licząc ziemi. To niewiele, wedle standardów ojca, ale mam wrażenie, że nawet półgłówek mógłby zrobić coś sensownego, mając taki kapitał wyjściowy, prawda? Lecz nie Junior. On jest zbyt twórczy.

– A co poszło źle z tą ziemią?

– Nic, ale jest recesja i ceny gruntów spadły. Zamiast ograniczyć straty, sprzedając parcele, Junior postanowił rozpocząć budowę. Ojciec odmówił sfinansowania, wiedząc, że to nedoręczne, więc Chip wziął pożyczkę z banku, podając Chucka jako gwaranta. Potem przestał się tym interesować, jak zwykle, a budowlancy spostrzegli, że trafiła im się prawdziwa gratka i zaczęli go skubać. Te domy to zupełna tandeta.

– Sześć faz – powiedziałem, przypomniawszy sobie projekt architektoniczny. – Nie całkiem zakończonych.

– Są co najwyżej w połowie pierwszego etapu. Zaplanowane było całe miasto. Prywatne przedsięwzięcia Juniora. – Roześmiał się. – Gdyby pan widział projekt, który napisał, żeby przesłać go ojcu. Niczym praca semestralna – sny o potędze. Bank, bez wątpienia, przed podjęciem działań zwróci się najpierw do ojca. A tata może wpłaci swój udział. Ponieważ kocha Juniora, opowiada każdemu, kto zechce słuchać, jaki to uczony z jego chłoptasia – jeszcze jeden dowcip. Junior zmieniał przedmiot studiów w college’u kilka razy. Nie skończył doktoratu – jak zwykle zniechęcenie.

– Jedyne rzecz, której się trzyma, to nauczanie – powiedziałem. – I wygląda na to, że jest w tym niezły – zdobył wiele nagród.

Huenengarth potrząsnął głową, wysuwając między drobnymi wargami czubek języka.

– No. Struktura organizacji, nowoczesne techniki zarządzania. Opowiadamy o marksizmie i rock and rollu. To błazen. Mam nagrania jego wykładów, zajmuje się głównie podburzaniem studentów. Mnóstwo retoryki antykapitalistycznej, piętnowanie korupcji w sferach przemysłowych. Nie trzeba być Freudem, żeby to sobie wytłumaczyć, prawda? Lubi drażnić starego – nawet małżeństwo jest częścią tego programu, nie powiedziałaby pan?

– Dlaczego?

– No nie, doktorze. Pan Milo powiedział mi, czego się pan dowiedział o jej karierze wojskowej. Przecież ta kobieta to dziwka. Wyrzutek. Na dobitkę tego, co robi ze swoim dzieckiem. Chyba nie taką żonę mógł sobie starszerek wymarzyć dla syna.

Wyszczerzył zęby w uśmiechu. Znów był szkarłatny i pocił się obficie. Prawie unosił się na krześle,



rozprawiając z lubością i gniewem. Jego nienawiść była zjadliwa, nieomal namacalna. Stephanie czuła to, a po jej oczach poznałem, że jest poruszona.

– A matka Chipa? – zapytałem. – Jak umarła?

Wzruszył ramionami.

– Samobójstwo. Proszki nasenne. Cała rodzina jest popieprzona. Choć trudno mi ją winić. Nie sądzę, by życie z Chuckiem było usłane różami. Słyszał z tego, że lubił się zabawiać – lubił mieć je w stadkach po trzy, cztery; młode, piersiaste, blondyny o śladowej inteligencji.

– Chciałby pan dostać ich wszystkich, prawda? – zapytałem.

– Nie są mi do niczego potrzebni – odparował szybko. Potem wstał, przeszedł parę kroków, odwrócił się do nas plecami i przeciągnął.

– No więc – powiedział. – Pomyślmy o jutrze. Wyciągacie ich z domu, wtedy my wkraczamy.

– Świetnie, Bili – powiedziała Stephanie. Odezwał się jej beeper. Odpieła go od paska i odczytała wyświetlony numer. – Alex, gdzie masz telefon?

Zaprowadziłem ją do kuchni i pokręciłem w pobliżu, kiedy wciskała numer.

– Tu doktor Eves. Właśnie dostałam... Co?... Kiedy?... Dobra, daj mi dyżurnego lekarza... Jim? Tu Stephanie. Co się dzieje? Tak, tak, to nie pierwszy raz. Wszystko jest w karcie... Bezwzględnie, trzymaj ją pod kroplówką. Wygląda na to, że robisz wszystko jak należy, ale przygotuj mi panel toksykologiczny, natychmiast. Dopilnuj, żeby sprawdzono metabolity hipoglikemizujące. Sprawdź też na całym ciele, czy nie śladów po igle, ale po cichu, jasne? To ważne, Jim. Proszę... Dzięki. I trzymaj ją w całkowitej izolacji. Niech nikt nie wchodzi... zwłaszcza oni... Co?... W korytarzu, na zewnątrz. Odsuń zasłony, żeby mogli ją zobaczyć, ale niech nikt nie wchodzi do środka... Nie interesuje mnie to... Wiem. Niech będzie na moją odpowiedzialność, Jim. Co?... Nie. Trzymaj ją na oddziale intensywnej opieki. Nawet jeśli stan się poprawi... Nie obchodzi mnie to, Jim. Znajdź gdzieś łóżko. To podstawowa sprawa. Co?... Tak, będę... Dobra. Dzięki. Jestem zobowiązana.

Odłożyła słuchawkę. Twarz jej zbieleła, oddychała szybko.

– Znowu – powiedziała.

Spojrzała obok mnie. Chwyciła się za głowę.

– Znow – powtórzyła. – Tym razem jest nieprzytomna.

## Rozdział trzydziesty pierwszy

Cicha noc na Chappy Ward. Nie brak wolnych pokoi.

Ten znajdował się dwie sale przed 505W, gdzie leżała Cassie.

Chłodny, czysty zapach szpitala.

Obrazy, które oglądałem na ekranie telewizora, były czarno-białe, małe i rozmyte; zminiaturyzowana rzeczywistość w kapsułce.

Chłód, czystość i zastarzała woń leków – choć przez długi czas nikt nie przebywał w tym pokoju.

Spędziłem tam większość dnia i cały wieczór.

Głęboka noc...

Drzwi były zaryglowane. Panującą w pokoju ciemność przecinał tylko okrągły snop żółtego światła rzucanego przez stojącą w kącie lampę. Za podwójnymi zasłonami kryło się Hollywood. Siedziałem na pomarańczowym krześle, odizolowany niczym pacjent. Ledwie było słycać sączącą się z korytarza muzykę.

Mężczyzna używający nazwiska Huenengarth siedział po drugiej stronie pokoju, wciśnięty w takie samo krzeselko, podsunięte do pustego łóżka. Na kolanach miał mały, czarny radiotelefon.

Na łóżku pozostał goły materac. Stos papierów oparty był pochyło o wspę. Dokumenty rządowe.

Ten, który właśnie czytał Huenengarth, zajmował jego uwagę przez ponad godzinę. W dole strony widniał rząd cyfr i gwiazdek, i jakieś słowo, które wyglądało mi na AKTUALNY. Lecz nie mogłem być pewny, gdyż dzieliła nas zbyt duża odległość, a obaj nie chcieliśmy tego zmieniać.

Ja też miałem co czytać: wyniki najnowszych badań Cassie i niedawno ukończony artykuł, który wcisnął mi Huenengarth. Pięć stron maszynopisu na temat defraudacji związanych z funduszami emerytalnymi, autorstwa profesora W.W. Zimberga, napisany suchym żargonem prawniczym, z mnóstwem słów wykreślonych grubym, czarnym mazakiem.

Przeniosłem spojrzenie na ekran. Żadnego ruchu, tylko powolne kapanie roztworu glukozy w plastikowej rurce. Zlustrowałem mały, bezbarwny świat od krańca do krańca. Tysięczny już raz...

Pościel, bariereki łóżka, ciemna plama włosów i pyzaty policzek. Wloty, wyloty i przepusty kroplomierza...

Raczej wyczułem niż dostrzegłem poruszenie w pokoju. Huenengarth wyjął długopis i wykreślił coś.

Według dokumentów, które pokazał Milowi w biurze zastępcy szefa policji, w noc, kiedy zarżnięto Dawn Herbert w jej małym samochodzie, Huenengarth był w Waszyngtonie, D.C. Jadąc ze mną do szpitala tuż przed wschodem słońca, Milo powiedział mi, że potwierdził to.

– Dla kogo właściwie on pracuje? – zapytałem.

– Nie znam szczegółów, ale jest to jakaś utajniona jednostka specjalna, najprawdopodobniej na usługach Departamentu Skarbu.

– Tajny agent? Myślisz, że zna naszego przyjaciela pułkownika?

– Sam się nad tym zastanawiałem. Cholernie szybko dowiedział się, że bawię się w gry komputerowe. Jak wyszliśmy z biura zastępcy, rzuciłem przy nim nazwisko pułkownika, nie zareagował, ale nie zdziwiłbym się, gdyby obaj chadzali na te same przyjęcia. Alex, powiem ci jedno – duppek jest czymś więcej niż zwykłym agentem, to facet z jajami.

– Z jajami i z motywacją – dodałem. – Cztery i pół roku, żeby pomścić ojca. Jak sądzisz, skąd wytrzasnął ten milionowy budżet?

– Kto wie? Wlażł w dupkę komu trzeba, komu trzeba podstawił nogę. A może po prostu była to

kwestia zwrócenia się do odpowiedniej osoby. W każdym razie łebski z niego gość.

– I dobry aktor – tak podejść Jonesa i Plumba.

– Toteż pewnego dnia wystartuje na prezydenta. Wiedziałeś, że przekroczyłeś szybkość o dwadzieścia mil?

– Jeśli należy mi się mandat, możesz mi wypisać, dobra? Skoro znów jesteś prawdziwym policjantem.

– Taa.

– Jak to załatwiłeś?

– Niczego nie załatwiałem. Kiedy wszedłem do zastępcy, Huenengarth już tam był. Staje naprzeciw mnie i pyta prosto z mostu, dlaczego go śledziłem. Zastanawiam się przez chwilę i mówię prawdę, bo jaki mam wybór? Starać się wykręcić sianem i dostać upomnienie za niewłaściwe wykorzystanie czasu i sprzętu wydziałowego? Wtedy on zadaje mi mnóstwo pytań na temat rodziny Jonesów. W tym czasie zastępca siedzi za biurkiem, słowem się nie odzywa i myślę sobie, teraz to już zacznij myśleć o prywatnej inicjatywie. Ale ledwo skończyłem, Huenengarth dziękuje mi za współpracę, mówi, że to wstyd, by przy takim wzroście przestępczości facet z moim doświadczeniem siedział przed monitorem, zamiast prowadzić dochodzenia. Zastępca wygląda, jakby właśnie wessał przez słomkę świńskie gówno, ale siedzi cicho. Huenengarth pyta, czy mogę być przedzielony do jego sprawy taki mariaż policji Los Angeles z federalnymi. Zastępca wije się, ale mówi jasne, wydział i tak planował przywrócić mnie do czynnej służby. Heunengarth i ja wychodzimy wspólnie z biura, a ledwo zostajemy sami, mówi, że nie ma nic przeciwko mnie osobiście, ale sprawa Jonesa jest bliska zakończenia i lepiej, żebym nie wchodził mu w drogę, kiedy składa się do morderczego pchnięcia.

– Morderczego pchnięcia, co?

– Subtelna dusza, nie owija w bawełnę... Po czym zaproponował: „Może ubijemy interes. Nie wpierdalaj mi się, a ja ci pomogę”. Potem przyznał, że dowiedział się o Cassie od Stephanie, lecz nic nie zrobił, ponieważ nie było dostatecznych dowodów, ale może teraz już są.

– Dlaczego tak nagle?

– Prawdopodobnie dlatego, że jest już dość bliski przyskrzynienia dziadka i nie miałby nic przeciw zniszczeniu całej rodziny. Wcale bym się nie zdziwił, gdyby w jakimś sensie cieszył się, widząc cierpienia Cassie – klątwa rodziny Jonesów. Alex, on ich serdecznie nienawidzi... Z drugiej strony, cóż byśmy bez niego poczęli? Więc wykorzystajmy go do cna, zobaczymy, co z tego wyniknie. Do twarzy mi w tym?

– Wystrzałowo.

– Taak. Zrób mi zdjęcie. Kiedy to się skończy.

Poruszenie na ekranie.

Znowu nic.

Zesztywniał mi kark. Zmieniłem pozycję, nie spuszczając ekranu z oczu.

Huenengarth dalej odrabiał lekcje. Już od wielu godzin nie zwracał uwagi na to, co robię.

Czas upływał okrutnie powoli.

Znów ruch.

Pociemniał jeden z rogów. Prawy górny.

Potem nic, przez długi czas.

Wtedy...

– Hej! – rzuciłem.

Huenengarth zerknął znad swojej broszury. Znudzony.  
Cień powiększył się. Rozjaśnił.  
Przeobraził w kształt. Biały i rozmyty.  
Rozgwieżdża... ludzka ręka.  
Trzymała coś między kciukiem a palcem wskazującym.  
Huenengarth poprawił się na krześle.  
– Już! – przynagliłem. – To jest to!  
Uśmiechnął się.  
Ręka na ekranie wysunęła się do przodu. Urosła. Wielka i biała...  
– No już! – rzuciłem.  
Huenengarth odłożył swój artykuł.  
Ręka wykonała szybki ruch... jakby wciskała coś.  
Huenengarth wyraźnie delektował się obrazem.  
Spojrzał na mnie, jakbym przerwał mu fantastyczny sen.  
Przedmiot trzymany między palcami zagłębiał się w czymś.  
Uśmiech Huenengartha pod wąsikiem poszerzył się.  
– A niech cię szlag – powiedziałem.  
Podniósł mały, czarny radiotelefon i przyłożył go do ust.  
– Do biegu – powiedział.  
Ręka była teraz przy kropłomierzu, wciskając trzymany między palcami przedmiot w zatkany gumką wlot.  
Przedmiot o ostrym końcu.  
Biały cylinder, podobny do długopisu. Supercienka igła.  
Dźgnął, jak ptak wydziobujący z dziury robaka.  
Zanurzył się.  
– Start – powiedział do radiotelefonu Huenengarth.  
Dopiero później uprzytomniłem sobie, że opuścił „gotowy”.

## Rozdział trzydziesty drugi

Ruszył ku drzwiom, ale odsunąłem zasuwkę i wydostałem się pierwszy.

Oplącały się wreszcie wszystkie lata joggingu i suchej zaprawy.

Drzwi do 505W były już otwarte na oścież.

Cassie leżała na łóżku na plecach, oddychając ustami.

Drzemka ponapadowa.

Była przykryta po szyję. Skręcona rurka kroplówki wystawała spod koca.

Cindy spała również, leżąc płasko na brzuchu, jedna ręka zwisła poza brzeg łóżka.

Milo stał obok statywu kroplówki, w workowatym, zielonym stroju chirurgicznym. Do koszuli przypiętą miał szpitalną plaketkę identyfikacyjną. M.B. Sturgis, dr med. Jego mina na fotografii była posępna i skwaszona.

Na prawdziwej twarzy malował się natomiast stoicyzm policjanta. Jedną potężną dłoń zacisnął na nadgarstku Chipa Jonesa. Drugą wykręcał mu ramię za plecami. Chip krzyczał z bólu.

Nie zwracając na to uwagi, Milo pouczał go o przysługujących mu prawach.

Chip ubrany był w strój do joggingu barwy wielbłądziej sierści i brązowe, zamszowe sportowe buty ze skośnymi, skórzanymi paskami. Plecy miał wygięte w uścisku Mila a lśniące, szeroko otwarte oczy oszalałe z przerażenia.

Widząc ten strach, miałem ochotę go zabić.

Podbiegłem do łóżka, by sprawdzić kroplomierz. Zamknięty – zalepiony klejem. Pomysł Stephanie. Ani kropla zawartości cylindra nie dostała się do krwiobiegu Cassie. Oryginalne, ale i ryzykowne: jeszcze parę sekund i Chip poczułby opór strzykawki. I wiedziałby.

Milo założył mu teraz kajdanki. Chip zaczął krzyczeć, potem przestał.

Huenengarth oblizał wargi i powiedział: – Spięprzyłś Junior. – Nie widziałem, jak wchodził.

Chip wbił w niego wzrok. Usta miał wciąż otwarte. Broda mu drżała. Upuścił coś na podłogę. Biały cylinder z cienkim, ostrym końcem, który potoczył się po podłodze, a potem zatrzymał. Chip uniósł stopę, starając się go rozdeptać. Milo szarpnął nim do tyłu. Huenengarth założył rękawiczkę chirurgiczną i podniósł cylinder.

Zamachał nim Chipowi przed twarzą.

Chip wydał cichy jęk, na który Huenengarth odpowiedział masturbacyjnym gestem.

Podszedłem do Cindy i trąciłem ją lekko. Przewróciła się na bok, ale spała dalej. Potrząśnięcie za ramiona też jej nie przebudziło. Szarpnąłem mocniej, wypowiadając jej imię. Nic.

Na podłodze, obok jej zwisającego ramienia, stała filiżanka. Do połowy napełniona kawą.

– Czym ją uśpiłeś? – spytałem Chipa.

Nie odpowiedział. Powtórzyłem pytanie, a on spojrział na podłogę. Tego wieczoru miał kolczyk ze szmaragdem.

– Co jej dałeś? – zapytałem, wykręcając numer centrali.

Wydął wargi.

Zgłosiła się operatorka pagerów. Wezwałem zespół reanimacyjny.

Chip przyglądał się z szeroko rozwartymi oczyma.

Huenengarth znów podszedł ku niemu. Milo uspokoił go spojrzeniem i rzekł:

– Jeśli grozi jej niebezpieczeństwo, a ty nic nie powiesz, pogorszysz tylko swoje położenie.

Chip odchrząknął, jakby przygotowywał się do złożenia ważnego oświadczenia. Ale nic nie

powiedział.

Podszedłem do łóżka Cassie.

– Dobra – rzekł Milo – idziemy do więzienia. – Pchnął Chipa naprzód. Niech laboratorium to rozgryzie.

– Prawdopodobnie diazepam, czyli valium – odezwał się Chip. – Ale ja jej tego nie dałem.

– Ile? – zapytałem.

– Czterdzieści miligramów to jej zwykła dawka.

Milo spojrzał na mnie.

– Chyba nie jest śmiertelna – stwierdziłem. – Ale to dużo dla kogoś o tej wadze.

– Niezupełnie – wtrącił się Chip. – Jest przyzwyczajona.

– Ja myślę – powiedziałem, splatając palce, by utrzymać ręce w spokoju.

– Nie bądźcie głupi – rzekł Chip. – Przeszukajcie mnie – zobaczymy, czy znajdziecie jakieś proszki.

– Nic nie masz, bo wszystko dałeś jej – odezwał się Huenengarth.

Chip zdołał się roześmiać, choć w jego oczach czaił się strach. – No już, szukajcie.

Huenengarth obszukał go, wyrzucił mu kieszenie, ale znalazł tylko portfel i klucze.

Chip spojrzał na niego, odrzucił włosy z oczu i uśmiechnął się.

– Coś śmiesznego, Junior?

– Popelniacie poważny błąd – powiedział. – Gdybym sam nie był ofiarą, naprawdę żałowałbym was.

– Ach tak? – uśmiechnął się Huenengarth.

– Zdecydowanie tak.

– Panowie, obecny tu Junior uważa, że to zabawne. – Najechał na Chipa: – Co ty sobie, kurwa, wyobrażasz? Sądzisz, że jeden z adwokatów tatusia wyciągnie cię z tego? Mamy cię na wideo, jak usiłujesz zabić własnego dzieciaka – wszystko od załadowania igły do wbicia jej. Chcesz zgadnąć, gdzie jest kamera?

Chip uśmiechał się dalej, ale w jego oczach zabłysła panika. Mrugał, rozglądał się, przebiegał spojrzeniem pokój. Nagle zamknął oczy i zwiesił głowę na piersi, mruczając coś.

– Co takiego? – spytał Huenengarth – Coś powiedział?

– Dyskusja zamknięta.

Huenengarth zbliżył się do niego.

– Usiłowanie zabójstwa nie jakiś tam główniany Rozdział Jedenasty. Trzeba być naprawdę skurwielem, żeby zrobić coś takiego własnemu dziecku.

Chip nie podniósł głowy.

– No cóż – rzekł Huenengarth – zawsze możesz założyć jakiś nowy interes – Cliff Notesy dla prawników z pudła. Te wielkie capy z więzienia dla długoterminowych zakochają się w twoim edukowanym zadku.

Chip nie poruszył się. Rozluźnił mięśnie – niczym podczas medytacji i Milo musiał podtrzymać go siłą.

Od strony łóżka dobiegł jakiś dźwięk. Cassie zmieniła pozycję. Chip spojrzał na nią.

Znów się poruszyła, ale spała nadal.

Jego twarz przybrała przerażający wyraz – rozczarowania, że nie dokończył dzieła.

Dość nienawiści, żeby rozpętać wojnę.

Wszyscy trzej to widzieliśmy. Pokój wydał się nagle bardzo ciasny.

Huenengarth poczerwieniał i nadał się jak ropucha.

– Sto lat w więzieniu, wypierdku – wyszeptał. Potem wyszedł.

Kiedy drzwi się zamknęły, Chip zachichotał, ale nie brzmiało to naturalnie.

Milo pchnął go w stronę drzwi. Wyszli tuż przed nadejściem Stephanie z zespołem reanimacyjnym.

## Rozdział trzydziesty trzeci

Przyglądałem się śpiącej Cassie. Stephanie wyszła z zespołem, ale wróciła jakieś pół godziny później.

– Jak się czuje Cindy? – zapytałem.

– Pewnie potwornie będzie ją boleć głowa, ale przeżyje.

– Może potrzebować odtrucia – powiedziałem, zniżając głos do szeptu. Twierdził, że jest przyzwyczajona, choć zaprzeczał, jakoby jej coś podał mocno podkreślał, że nie ma przy sobie żadnych proszków. Ale pewien jestem, że wrzucił je do kawy, i robił to wiele razy przedtem. Ilekroć go tu widziałem, miał ze sobą kubek.

Pokręciła głową, siadła na łóżku i zdjęła z szyi stetoskop. Ogrzawszy krążek oddechem, przyłożyła go do piersi Cassie i osłuchiwała ją.

Kiedy skończyła, zapytałem:

– Są jakieś leki w organizmie Cassie?

– Nie, ma tylko niski poziom cukru. – Mówiła słabym szeptem. Ujęła wolną rękę dziecka i zbadła tętno. – Wyraźne i regularne. – Puściła ją.

Siedziała tak przez chwilę, potem otuliła Cassie pościelą i dotknęła miękkiego policzka. Zasłony były odsunięte. Zobaczyłem, jak spogląda w noc zmęczonymi oczyma.

– To nie ma sensu – powiedziała. – Dlaczego użył insuliny tuż po tym, jak znalazłeś strzykawki? Chyba że Cindy nie powiedziała mu. Czyżby zachowywali w stosunku do siebie aż taki dystans?

– Pewien jestem, że mu powiedziała, i właśnie dlatego posłużył się nimi. Umieścił pudełko pod umywalką po to, bym je znalazł. Zadzwoił specjalnie, by upewnić się, że przyjdę i przekonam się, że nie ma go w tym czasie w domu. Zgrywał zatroskanego tatusia, ale tak naprawdę chciał tylko ustalić dokładny czas. Ponieważ wiedział, że musimy teraz podejrzewać Munchhausena i miał nadzieję, że szperając, znajdę cylindry i zacznę posądzac Cindy, dokładnie tak, jak to się stało. Cóż bardziej logicznego: strzykawki należały do jej ciotki. Cindy zajmowała się domem, więc najprawdopodobniej ona je schowała. I była matką – to od początku stawiało ją w niekorzystnym położeniu. Przy naszym pierwszym spotkaniu podkreślał, że w ich małżeństwie występuje tradycyjny podział ról – wychowanie dzieci, to jej domena.

– Wskazywał ją palcem od samego początku. – Pokręciła głową z niedowierzaniem. – To takie... wyreżyserowane.

– Drobiazgowo. A gdybym nie znalazł cylindrów w czasie wczorajszej wizyty, miałby jeszcze wiele innych okazji, żeby ją wystawić.

– Co za potwór – powiedziała.

– Diabeł w dresach.

Objęła się ramionami.

– Jak dużą dawkę załadował do Insujectu? – zapytałem.

Spojrząwszy na Cassie, zniżyła głos do szeptu.

– Większą niż było trzeba.

– Więc tej nocy miał nastąpić finał – powiedziałem. – Cassie dostaje śmiertelnego ataku, Cindy drzemie tuż obok, wszystkie podejrzenia padają na nią. Gdybyśmy go nie złapali, pewnie włożyłby igłę do jej torebki albo gdzieś indziej, tak by ją oskarżono. A valium w jej organizmie, sugerujące próbę samobójstwa, dopełniłoby obrazu winy. Wyrzuty sumienia po zabiciu własnego dziecka lub po prostu



brak równowagi psychicznej.

Stephanie potarła oczy. Wsparła głowę na dłoni.

– Co za nieprawdopodobny kutas... Jak się tu dostał, nie przechodząc obok ochrony?

– Twój przyjaciel Bili powiedział, że nie wszedł do szpitala frontowym wejściem, więc zapewne od tyłu, używając jednego z kluczy ojca. Może przez rampę wyładunkową. O tej porze nikogo tam nie ma. W korytarzu są kamery wiemy, że poszedł na górę schodami i czekał z wejściem na Chappy Ward, aż pielęgniarka z piątki wschodniej udała się do pokoju na zapleczu. Najprawdopodobniej zrobił to samo, kiedy Cassie miała swój pierwszy atak w szpitalu. Próba generalna. Wślizgnął się późną nocą, by wstrzyknąć tylko tyle insuliny, ile potrzeba, by wywołać opóźnioną reakcję, po czym odjechał do domu w Valley, gdzie czekał na telefon od Cindy i wrócił na ostry dyżur, podtrzymywać ją na duchu. Fakt, że Chappy jest prawie zawsze opustoszały, ułatwił mu tylko wejście i wyjście bez zwracania na siebie uwagi.

– A ja przez cały ten czas miałam obsesję na punkcie Cindy. Błyskotliwie, Eves.

– Ja również wziąłem ją na cel. My wszyscy. Idealnie pasowała do obrazu zespołu Munchhausena. Niska samoocena, swobodny sposób bycia, kontakty z poważnymi chorobami w młodym wieku, przeszkolenie medyczne. Natknął się pewnie na opis choroby w trakcie lektur, dostrzegł podobieństwo i zdał sobie sprawę, że ma okazję pozbyć się jej. To dlatego nie przeniósł Cassie do innego szpitala. Chciał dać nam trochę czasu na nabranie podejrzeń. Urabiał nas jak publiczność – tak jak urabia swoich studentów. Stehp, on jest ekshibicjonistą. Ale nigdy tego nie dostrzegliśmy, ponieważ podręczniki mówią, że zawsze dotyczy to kobiety.

Cisza.

– To on zabił Chada, prawda? – zapytała.

– To bardzo prawdopodobne.

– Alex, dlaczego? Dlaczego posłużył się własnymi dziećmi, żeby pozbyć się Cindy?

– Nie wiem, ale powiem ci jedno. On nienawidzi Cassie. Nim go zabrali, rzucił jej spojrzenie, które było naprawdę niepokojące. Czysta wzgarda. Jeśli kamera to złapała, a jest to do przyjęcia w sądzie, prokurator nie będzie potrzebował niczego więcej.

Kręcąc głową, wróciła do łóżeczka Cassie, i pogładziła ją po włosach.

– Biedne maleństwo. Biedne niewinne maleństwo.

Siedziałem tam, nie chcąc myśleć, nic robić, mówić ani czuć.

Trio pluszowych królików siedziało na podłodze u mych stóp.

Podniosłem jednego. Przełożyłem go z ręki do ręki. Wyczułem coś twardego w brzuszku.

Otworzywszy klapkę, pogrzebałem w piance, podobnie jak niegdyś w pokoju Cassie. Tym razem znalazłem coś wsuniętego w zagłębienie w kroku.

Wyjąłem. Zawiniątko. Około cala średnicy. Papier higieniczny sklejonny taśmą celofanową.

Rozwinąłem. Cztery pastylki. Bładoniebieskie, z sercowatym nacięciem.

– Valium – stwierdziła Stephanie.

– Oto i nasz tajny schowek. – Zawinąłem pakiecik i odłożyłem go dla Mila. – Tak bardzo podkreślał, że nie ma przy sobie żadnych leków. Dla niego wszystko jest grą.

– To Vicki kupiła te króliczki – powiedziała Stephanie. – To Vicki zainteresowała nimi Cassie.

– Będą jeszcze z nią rozmawiać – rzekłem.

– To zbyt niesamowite – stwierdziła. – Takich rzeczy nie uczą w szko...

Od strony łóżka dobiegł piskliwy dźwięk. Powieki Cassie zadrgały kurczowo, po czym mała

otworzyła oczy. Jej usteczka wygięły się ku dołowi. Zamrugła znowu.

– Już dobrze, dziecino – powiedziała Stephanie.

Wargi dziecka poruszyły się, wydając wreszcie dźwięk.

– Eee.

– Już dobrze, kochanie. Wszystko będzie w porządku. Teraz już będziesz zdrowa.

– Eeee.

Znów mruganie. Dreszcz. Cassie usiłowała się poruszyć, nie mogąc, rozplakała się. Zacisnęła powieki. Zmarszczyła podbródek.

Stephanie przytuliła ją i ukołysała. Dziewczynka usiłowała wykręcić się od tych pieśczoł.

Przypomniało mi się, jak walczyła ze mną w swojej sypialni.

Reakcja na niepokój matki? Czy skojarzenie z innym mężczyzną, który przychodził spowity w mrok, by robić jej krzywdę?

Ale w takim razie, czemu nie wpadała w panikę, ilekroć widziała Chipa? Dlaczego z taką ochotą pozwoliła wziąć się na ręce, kiedy widziałem ich razem po raz pierwszy?

– Eee...

– Ćśś, dziecino.

– E...e e...e.

– Śpij już, kochanie, Śpij już.

Ledwo dosłyszalne. – E...

– Ćśś.

– E...

Zamknięte oczy.

Ciche pochrapywania.

Stephanie przytrzymała ją jeszcze przez parę chwil, potem wysunęła ręce.

– Musi to być magiczne dotknięcie – rzekła smutno. Zawiesiwszy stetoskop na szyi, wyszła z pokoju.

## Rozdział trzydziesty czwarty

Wkrótce potem zjawiły się pielęgniarki i policjantka.

Podąłem tej drugiej pakiecik z pastylkami i powlokłem się niczym lunatyk w stronę tekowych drzwi.

Na piątce wschodniej ludzie chodzili i rozmawiali, ale widziałem ich jak przez mgłę. Zjechałem windą do podziemia. Kawiarenka była zamknięta. Zastanawiając się, czy Chip miał klucz także i do niej, kupiłem kawę w automatycznym dystrybutorze, znalazłem automat telefoniczny i popijając, poprosiłem informację o numer Jennifer Leavitt.

Nic.

Nim telefonista zdążył przerwać połączenie, kazałem mu sprawdzić wszystkich Leavittów w okręgu Fairfax. Podał mi dwa numery. Jeden z nich zdawał się przypominać mającący mi w pamięci telefon domowy rodziców Jennifer.

Mój zegarek wskazywał dziewiątą trzydzieści. Wiedziałem, że pan Leavitt chodzi spać wcześniej, żeby zdążyć do piekarni na piątą rano. Wystukałem numer, mając nadzieję, że nie jest jeszcze zbyt późno.

– Halo.

– Pani Leavitt? Tu doktor Delaware.

– Jak się pan miewa, doktorze?

– Dobrze, a pani?

– Doskonale.

– Nie dzwonię zbyt późno?

– Och, nie. Oglądamy właśnie telewizję. Ale Jenny tu nie mieszka. Ma teraz własne mieszkanie – moja córka, pani doktor, bardzo samodzielna.

– Pewnie jest pani z niej dumna?

– A dlaczego nie miałabym być? Zawsze byłam z niej dumna. Podać panu jej nowy numer?

– Poproszę.

– Chwileczkę... Mieszka w Westwood Village, tuż obok uniwerku. Z koleżanką, miłą dziewczyną... O jest. Jeśli jej pan nie zastanie, będzie na pewno w swoim gabinecie – ma też własny gabinet. – Chichot.

– To świetnie. – Zanotowałem numer.

– Gabinet – powtórzyła. – Wie pan, wychowywać takie dziecko, to przywilej... Brak mi jej. Jak na mój gust w domu jest za spokojnie.

– Ja myślę.

– Bardzo pan jej pomógł, doktorze Delaware. College w jej wieku to nie takie proste – to pan powinien być dumny z siebie.

Nikt nie odbierał w mieszkaniu Jennifer. Ale po pierwszym sygnale podniosła słuchawkę w swoim gabinecie.

– Leavitt.

– Jennifer, tu Alex Delaware.

– Cześć, Alex. Rozwikłałeś swego Munchhausena per procura?

– Wiem, kto – odparłem. – Ale nie jest jeszcze jasne, dlaczego. Okazało się, że to ojciec.

– No proszę, to coś nowego – powiedziała. Więc nie zawsze musi być matka.

– Liczył na to, że zrobimy takie założenie. Wystawił ją.

– Cóż za makiawelizm.

– Ma się za intelektualistę. Jest profesorem.

– Tutaj?

– Nie, w dwuletnim college'u. Ale poważniejsze studia prowadzi na uniwerku, dlatego do ciebie dzwonię. Założę się, że bardzo interesował się Munchhausenem, żeby spreparować podręcznikowy przypadek. Jego pierwsze dziecko zmarło na Zespół Nagłej Śmierci Noworodków. Kolejny podręcznikowy przypadek, więc zastanawiam się, czy tego też nie upozorował.

– Och, nie – toż to makabra.

– Przyszedł mi do głowy ten system SAP – powiedziałem. – Czy można by się tego jakoś dowiedzieć, jeżeli ma konto pracownicze?

– Biblioteka prowadzi rejestr wszystkich użytkowników, żeby wystawiać rachunki.

– Czy na rachunkach wyszczególnione są artykuły, z których korzystano?

– Bezwzględnie. Która godzina? Dziewiąta czterdzieści siedem. Biblioteka jest czynna do dziesiątej. Mogłabym tam zadzwonić i sprawdzić, czy nie pracuje teraz ktoś ze znajomych. Podaj mi nazwisko tego skurwiela.

– Jones. Charles L. Socjologia. West Valley Community College.

– Jest. Przełączę cię teraz na oczekiwanie i zadzwonię do nich przez inną linię. Podaj mi swój numer, na wypadek, gdyby nas rozłączono.

Po pięciu minutach włączyła się z powrotem.

– Voila, Alex. Debil zostawił wspaniały trop na papierze. Wyciągnął z systemu wszystko, co dotyczyło trzech tematów – Munchhausen, nagła śmierć noworodków i struktura socjologiczna szpitali. Plus parę odrębnych artykułów na dwa inne tematy: toksyczność diazepamu oraz – gotów jesteś? – fantazje kobiet związane z wielkością męskiego członka. Wszystko tu jest: nazwiska, daty, dokładna godzina. Załatwię ci jutro wydruk.

– Fantastycznie. Jestem ci naprawdę wdzięczny, Jennifer.

– Jeszcze jedno – dodała. – On nie był jedynym użytkownikiem konta. Na niektórych zapotrzebowaniach jest inny podpis – jakaś Kristie Kirkash. Znasz kogoś takiego?

– Nie – odparłem – ale nie zdziwiłbym się, gdyby była to młoda i ładna studentka Chipa. Może nawet gra w damskiej drużynie softballu.

– Brudne sprawy pana psora? Jak sądzisz?

– Ma swoje przyzwyczajenia.

## Rozdział trzydziesty piąty

Był upalny poranek i Valley przypominała patelnię. Wielki furgon wywrócił się na szosie, zasypując wszystkie pasy ruchu jajkami. Nawet pobocze było zatarasowane. Milo klął, póki policjant z patrolu drogowego nie zapewnił nam wolnego przejazdu między samochodami, machając na innych kierowców.

Do college'u dotarliśmy dziesięć minut po zaplanowanym czasie. Zdążyliśmy na zajęcia w chwili, gdy wchodzili tam ostatni studenci.

– Cholera – rzekł Milo. – Udało się. – Weszliśmy po schodach do barakowozu. Zostałem w drzwiach, a on podszedł do tablicy.

Sala była niewielka – pół barakowozu, oddzielone harmonijkową ścianką i wyposażone w stół konferencyjny i tuzin składanych krzesel.

Dziesięć z nich było zajętych. Osiem kobiet, dwu mężczyzn. Jedna z kobiet miała około sześćdziesiątki, resztę stanowiły dziewczęta. Obaj mężczyźni wyglądali na czterdziestolatków. Jeden był biały, miał jasnobrązowe włosy bez śladu łysiny, drugi był brodatym Latynosem. Biały rzucił krótkie spojrzenie, po czym pogрузzył się w lekturze książki.

Milo ujął wskaźnik i postukał nim lekko w tablicę.

– Pan Jones nie mógł dzisiaj przyjść. Moje nazwisko Sturgis, zastępuję go. Wszystkie oczy, z wyjątkiem czytającego, zwróciły się ku niemu.

Jedna z dziewcząt zapytała z lekkim napięciem w głosie:

– Czy wszystko z nim w porządku? – Miała bardzo długie, ciemne i wijące się włosy, i pociągłą, ładną twarz. Nosila dyndające kolczyki zrobione z lawendowo-białych plastikowych kuleczek na nylonowej żyłce. Jej czarna, kloszowa bluzka na ramiączkach uwydatniała obfity biust i gładkie, opalone ramiona. Zbyt niebieski tusz do powiek, zbyt blada szminka, jednego i drugiego zbyt dużo.

Mimo to wyglądała lepiej niż na fotografii w rejestrze studentów.

– Niezupelnie, Kristie – odrzekł Milo.

Otwarła usta. Wszyscy inni spojrzeli na nią.

– Hej, co jest grane? – rzuciła chwytając torebkę.

Milo sięgnął do kieszeni i wyciągnął odznakę policyjną.

– Ty mi to powiedz, Kristie.

Zmartwiała. Pozostali zbaranieli. Mężczyzna czytający książkę przesunął wzrokiem ponad jej stronicami. Powolnym ruchem.

Zobaczyłem, jak Milo spojrział na niego, a potem na podłogę.

Buty.

Czarne, znoszone półbuty o zaokrąglonych czubach. Nie pasowały do jedwabnej koszuli i szykownych dżinsów.

Oczy Mila zwęziły się. Mężczyzna utkwiał we mnie spojrzenie, potem skrył się za uniesioną wyżej książką.

„Teorie organizacji”.

Kristie wybuchnęła płaczem.

Pozostali studenci znieruchomieli jak posągi.

– Jo, Joe! Rewizja osobista! – krzyknął Milo.

Czytający odruchowo podniósł wzrok. Tylko na sekundę, ale to wystarczyło.

Łagodna twarz. Z daleka dobry tatuś. Widoczne z bliska szczegóły psuły ten ojcowski wygląd:

jednodniowy zarost, dzioby na policzkach, blizna wzdłuż czoła. Tatuaż na rękę.

I pot – warstwa potu, lśniąca jak świeży lakier.

Wstał. Patrzył twardo, mrużąc oczy. Miał ogromne dłonie, grube przedramiona. Więcej tatuazy, niebieskozielone, gadzie, prymitywne.

Wziął swoje książki i wyszedł zza stołu, nie podnosząc głowy.

– Hej, daj spokój, zostań – rzucił mu Milo. – Łatwo u mnie zaliczyć.

Mężczyzna zatrzymał się, przysiadł, a potem cisnął książkami w Milo i pędem rzucił się ku drzwiom.

Zastąpił mu drogę, osłaniając się wysuniętymi przed siebie w podwójnym bloku ramionami.

Staranował mnie barkiem. Impet pchnął mnie na drzwi, które otworzyły się na oścież.

Upadłem plecami na beton, lądując twardo i czując jak chrupnęła mi kość ogonowa. Wyciągnąwszy obie ręce, chwyciłem jedwabną tkaninę. Stał nade mną, szarpiąc, uderzając pięściami i przyskajac potem.

Milo odciągnął go, zadał dwa błyskawiczne ciosy w twarz i żołądek, i rzucił na ścianę domku. Mężczyzna szamotał się. Milo grzmotnął go pięścią w nerkę, porządnie, i założył kajdanki, gdy tamten osunął się z jękiem na kolana.

Potem przydusił go do ziemi, przydeptując krzyż.

Przeszukanie ujawniło plik banknotów, nóż sprężynowy z czarną rączką, fiolkę pigułek i tani plastikowy portfel z tłoczonym napisem RENO: PARK NEVADA. Milo wyciągnął z portfela trzy prawa jazdy.

– Proszę, proszę, co tu mamy? Sobran przecinek Karl przez K. Sebring przecinek Carl przez C, i... Ramsey przecinek Clark Edward. Które jest prawdziwe, gołąbeczku, a może cierpisz na rozszczepienie osobowości.

Mężczyzna nic nie odrzekł.

Milo trącił nogą jeden z jego czarnych butów.

– Stare, dobre więzienne chodaki. Hrabstwa czy stanowe?

Brak odpowiedzi.

– Przydałyby ci się nowe obcasy, geniuszu.

Mięśnie pleców leżącego poruszyły się pod koszulą.

Milo zwrócił się do mnie:

– Znajdź jakiś telefon i zadzwoń na posterunek Devonshire. Powiedz, że mamy podejrzanego o zabójstwo dokonane w Central Division i podaj im imię i nazwisko Dawn Herbert.

– Gówna prawda – wyrzucił leżący.

Jego głos był niski i matowy.

Jedna z dziewcząt wyszła na schody. Dwadzieścia, dwadzieścia jeden lat, obcięte na pazia blond włosy, biała sukienka bez rękawów. Twarz Mary Pickford.

– Kristie jest bardzo zmartwiona – powiedziała nieśmiałym głosem.

– Powiedz jej, że będę tam za chwilę – polecił Milo.

– Um... jasne. Co zrobił Karl?

– Niedbale odrobił pracę domową – odparł Milo.

Leżący warknął, a dziewczyna spojrzała zaskoczona.

– Zamknij się – rzucił Milo, nie zdejmując mu kolana z pleców.

Blondynka chwyciła za framugę.

– W porządku – nie ma się o co martwić – powiedział Milo, łagodniejszym już głosem. – Wejdz do środka i zaczekaj.

- To nie jest żaden eksperyment, czy coś takiego, prawda?
- Eksperyment?
- Odgrywanie ról. Rozumie pan? Profesor Jones lubi posługiwać się nimi, żeby pobudzić naszą świadomość.
- Ja myślę. Nie, panienko, to rzeczywistość. Socjologia w działaniu. Patrz uważnie – będzie to na egzaminie końcowym.

## Rozdział trzydziesty szósty

Kopertę dostarczono przez posłańca o siódmej wieczorem, tuż przed powrotem Robin do domu. Odłożyłem ją na bok, chcąc spędzić z dziewczyną normalny wieczór. Gdy poszła spać, udałem się z kopertą do biblioteki. Zapaliłem wszystkie światła i pogrążyłem się w lekturze.

ZAPIS PRZESŁUCHANIA

DR nr 102-789 793

DR nr 64458 990

DR nr 135-935 827 Miejsce: WIĘŹ. OKR. w L.A., BLOK: ŚCISŁEGO NADZORU Data/Czas: 1/6/89, 19.30 Podejrzany: JONES, CHARLES LYMAN III, WAG. ŚRED.,

6 stóp 3 cale, BRAŹ. NIEB. WIEK: 38 Obrońca: MEC. TOKARIK, ANTHONY M. LAPD: STURGIS MILO B. nr 15994, WLA

(PRZYDZIAŁ SPEC.)

MARTINEZ STEPHEN, nr 26782, DEVSHR.

det. sturgis: Rozpoczynamy sesję audio-wideo numer dwa z podejrzanym Charlesem Lymanem Jonesem Trzecim. Podejrzany został poinformowany o przysługujących mu prawach podczas aresztowania za usiłowanie zabójstwa. Pouczenie zostało powtórzone w czasie poprzedniej sesji, nagranej 1 czerwca 1989, o godz. 11.00, i zapisanej o godz. 14.00 tego samego dnia. Wyżej wymienioną sesję przerwano na życzenie doradcy podejrzanego mec. Anthony'ego Tokarika. Obecna sesja jest wznowieniem przesłuchania na życzenie mec. Tokarika. Panie mecenasie, czy mam go pouczyć raz jeszcze, czy też drugie pouczenie obowiązuje w trakcie tej sesji? mec. tokarik: Obowiązuje, o ile profesor Jones nie zażąda powtórzenia. Chip, chcesz, żeby cię jeszcze raz pouczone?

pan jones: Nie. Tamto wystarczy.

mec. tokarik: Proszę dalej.

det. sturgis: Dobry wieczór, Chip.

mec. tokarik: Wolałbym, detektywie, żeby zwracał się pan do mojego klienta z większym szacunkiem.

det. sturgis: Może być per „profesorze”?

mec. tokarik: Tak. Jednakże, jeśli to dla pana zbyt uciążliwe, wystarczy forma „panie Jones”.

det. sturgis: Mówił pan do niego Chip.

mec. tokarik: Jestem jego adwokatem.

det. sturgis: Aha... dobra... jasne. Ha, mógłbym mu nawet mówić „doktorze”, ale nigdy nie skończył doktoratu, prawda, Chip – panie Jones? Że co? Nie słyszę.

pan jones: (niezrozumiale).

det. sturgis: Musi pan mówić głośniejszym głosem, panie Jones. Pomruki nie wystarczą.

mec. tokarik: Dość tego, detektywie. O ile nie zmieni pan tonu wypowiedzi, zażądam natychmiastowego przerwania przesłuchania.

det. sturgis: Jak pan sobie życzy – pana strata. Myślałem tylko, że może chcecie wysłuchać czegoś na temat dowodów, jakie zebraliśmy przeciw staremu Chipowi. O przepraszam, panu Jonesowi.

mec. tokarik: Mogę wyciągnąć wszystko, co macie, od prokuratora okręgowego, detektywie.

det. sturgis: Świetnie. Niech pan czeka do procesu. Chodźmy, Steve.

det. martinez: Pewnie.

pan jones: Chwileczkę (niezrozumiale).



mec. tokarik: Czekaj, Chip (niezrozumiale). Chciałbym się naradzić na osobności z moim klientem, jeśli pan pozwoli.

det. sturgis: Jeśli nie potrwa to zbyt długo.

Początek nagr. 19.39

Koniec nagr. 19.51

mec. tokarik: Proszę dalej. Pokażcie, co tam macie.

det. sturgis: Taa, jasne, tylko czy pan Jones zechce odpowiadać na pytania, czy też będzie to jednostronne przedstawienie?

mec. tokarik: Zastrzegam, że mój klient ma prawo odmówić odpowiedzi na pytania. Proszę kontynuować, jeśli pan sobie tego życzy, detektywie.

det. sturgis: Co o tym sądzisz, Steve?

det. martinez: Sam nie wiem.

mec. tokarik: Wasza decyzja, panowie?

det. sturgis: Taa, dobra... No więc, Chip – panie Jones – cieszę się, że znalazł pan sobie tak drogiego adwokata, jak pan mecenas Tokarik, bo na pewno będzie pan...

mec. tokarik: Stanowczo ujmuje pan rzecz w niewłaściwy sposób. Moje honoraria nie mają związku z...

det. sturgis: Co my tu robimy, mecenasie, przesłuchujemy podejrzanego, czy krytykujemy mój styl mówienia?

mec. tokarik: Stanowczo wnoszę sprzeciw przeciw pana...

det. sturgis: Może pan się sprzeciwiać, ile pan chce. To nie sąd.

mec. tokarik: Raz jeszcze domagam się rozmowy z moim klientem.

det. sturgis: Nie ma rady. Kończmy to, Steve.

det. martinez: Ja myślę.

pan jones: Chwileczkę. Siadajcie.

det. sturgis: Chcesz mi rozkazywać, Junior?

mec. tokarik: Wnoszę sprzeciw...

det. sturgis: Chodź, Steve, spływamy stąd.

pan jones: Chwileczkę!

mec. tokarik: Chip, to jest...

pan jones: Zamknij się!

mec. tokarik: Chip...

pan jones: Zamknij się!

det. sturgis: Oho, nie mogę kontynuować przy takich tarciach między panami. Potem wniesiecie zażalenie, że nie reprezentował go wybrany przez niego adwokat? Nie da rady.

mec. tokarik: Niech pan nie zgrywa przede mną prawnika, detektywie.

pan jones: Zamknij się, do cholery, Tony! To wszystko jest niedorzeczne!

det. sturgis: Co takiego, profesorze Jones?

pan jones: Cała ta pana domniemana sprawa.

det. sturgis: Nie usiłował pan wstrzyknąć insuliny swojej córce, Cassandrze Brooks?

pan jones: Oczywiście, że nie. Znalazłem igłę w torebce Cindy, zaniepokoiłem się, gdyż potwierdziło to moje podejrzenia i chciałem sprawdzić, czy ona już...

mec. tokarik: Chip...

pan jones:...Wstrzyknęła to do kroplówki Cassie. Przestań tak na mnie spoglądać, Tony – tu idzie o moją przyszłość. Chcę wysłuchać co za nonsensy przygotowali przeciw mnie, by móc wyjaśnić to raz na zawsze.

det. sturgis: Nonsensy?

mec. tokarik: Chip...

det. sturgis: Nie będę kontynuował skoro...

pan jones: To mój wybrany adwokat, w porządku? Proszę dalej.

det. sturgis: Jest pan pewien?

pan jones: (niezrozumiałe).

det. sturgis: Proszę mówić prosto do tego mikrofonu.

pan jones: Kończmy to. Chcę stąd wyjść jak najszybciej.

det. sturgis: Tak, proszę pana, oczywiście proszę pana.

mec.tokarik: Detekt...

pan jones: Zamknij się, Tony.

det. sturois: Wszyscy gotowi? Dobra. Po pierwsze, mamy pana na wideo, jak usiłuje pan wstrzyknąć insulinę do...

pan jones: Nieprawda. Powiedziałem już panu, o co chodziło. Chciałem tylko zobaczyć, do czego zmierza Cindy.

det. sturgis: Jak powiedziałem, mamy pana na wideo, jak usiłuje pan wstrzyknąć insulinę do kroplówki pana córki. Plus zapisy z kamer wideo przy wejściu do Western Peds Medical Center, dowodzące, że nie wszedł pan do budynku frontowym wejściem. Jeden z pana kluczy okazał się kluczem uniwersalnym do zamków w szpitalu. Używał go pan zapewne, by zakradać się przez...

mec. tokarik: Wnoszę sprze...

pan jones: Tony.

mec. tokarik: Domagam się krótkiej narady z moim...

pan jones: Przestań, Tony. Nie jestem jednym z twoich kretyńskich socjopatów. Niech pan kończy tę bajeczkę, detektywie. I ma pan rację, używałem jednego z kluczy ojca. No i co? Ilekroć tam idę, unikam frontowego wejścia. Nie chcę rzucać się w oczy. Czy dyskrecja jest zbrodnią?

det. sturgis: Idźmy dalej. Kupił pan dwa kubki kawy w automacie szpitalnym, i poszedł schodami na piąte piętro. Tam też pana sfilmowaliśmy. W korytarzu, jak zagląda pan przez uchylone drzwi między piątką wschodnią i Chappy Ward, trzymając kawę. Sądzę, że czekał pan aż dyżurna pielęgniarka przejdzie do pokoju na zapleczu. Potem idzie pan do sali 505W, gdzie pozostawał pan przez pięć minut, dopóki tam nie wszedłem i nie zobaczyłem, jak wsadza pan igłę do kroplówki córki. Teraz pokażemy panu wszystkie te nagrania, dobrze?

pan jones: Wydaje się to całkiem zbyteczne, ale jak pan sobie życzy.

det. sturgis: Kamera, akcja.

Początek nagr. 20.22

Koniec nagr. 21.10

det. sturgis: Dobrze. Jakieś uwagi?

pan jones: Arcydzielo to to nie jest.

det. sturgis: Nie. Sądziłem, że było w tym wiele verite.

pan jones: Jest pan fanem cinetna vécrite, detektywie?

det. sturgis: Właściwie nie, panie Jones. Zbyt mi to przypomina pracę.

pan jones: Ha, a to dobre.

mec. tokarik: To ma być to? Pana wszystkie dowody?

det. sturgis: Wszystkie? Skądże. Dobra, więc mamy pana, jak pan wsadza tę igłę.

pan jones: Powiedziałem panu, o co chodzi – chciałem to zbadać. Sprawdzałem wlot kroplówki, żeby się przekonać czy Cindy już wstrzyknęła insulinę Cassie.

det. Sturgis: Po co?

pan jones: Po co? Żeby chronić moje dziecko.

det. sturgis: Dlaczego podejrzewał pan, że żona krzywdzi Cassie?

pan jones: Okoliczności. Informacje, jakie posiadałem.

det. sturgis: Informacje.

pan jones: Dokładnie.

det. sturgis: Chce mi pan powiedzieć o nich coś więcej?

pan jones: Jej osobowość – rzeczy, które dostrzegłem. Zachowywała się dziwnie – wykrętnie. I wyglądało na to, że Cassie zawsze zaczyna chorować, gdy przebywa z matką.

det. sturgis: Dobra... Mamy też ślad po ukłuciu pod pachą Cassie.

pan jones: Nie wątpię w to, ale to nie ja go zrobiłem.

det. sturgis: Aha... A valium, które wrzucił pan żonie do kawy?

pan jones: Wyjaśniłem to na miejscu, detektywie. Ja jej go nie dałem. Brała to na uspokojenie, proszę pamiętać. Była naprawdę zdenerwowana – zażywała proszki od pewnego czasu. Jeśli zaprzecza, kłamie.

det. sturgis: Rzeczywiście zaprzecza. Twierdzi, że nie wiedziała, iż podaje jej pan leki.

pan jones: Kłamie jak zwykle – w tym rzecz. Obwiniacie mnie tylko na podstawie tego, co ona mówi, to budowanie sylogizmu opartego na całkowicie fałszywych przesłankach. Rozumie pan, co mam na myśli?

det. sturgis: Jasne, psorze. Tabletki valium znaleziono w zabawce Cassie w pluszowym króliczku.

pan jones: A widzi pan. Skąd mógłbym o tym wiedzieć?

det. sturgis: Pana żona twierdzi, że kupił pan Cassie kilka takich królików.

pan jones: Kupowałem Cassie rozmaite zabawki. Inni też dawali jej króliki. Pielęgniarka nazwiskiem Bottomley – bardzo podejrzana osoba. Dlaczego pan tego nie sprawdzi, może ona jest w to zamieszana.

det. sturgis: Dlaczego miałyby być?

pan jones: Ona i Cindy bardzo się ze sobą zbliżyły – zawsze uważałem że za bardzo. Chciałem, żeby ją przeniesiono, ale Cindy nie zgodziła się. Niech pan sprawdzi Vicki – jest dziwna, proszę mi wierzyć.

det. sturgis: Zrobiliśmy to. Ani wykrywacz kłamstwa ani żadne inne testy tego nie wykazały.

pan jones: Test wykrywaczem kłamstwa nie może być dowodem w sądzie.

det. sturgis: Spróbuje się pan mu poddać.

mec. tokarik: Chip, nie...

pan jones: Nie widzę ku temu powodów. Cała ta sprawa jest niedorzeczna.

det. sturgis: Idźmy dalej. Czy ma pan receptę na valium, które znaleźliśmy w pana gabinecie w college'u?

pan jones: (śmiech) Nie. Czy to przestępstwo?

det. sturgis: Prawdę mówiąc, tak. Skąd pan je ma?

pan jones: Skądś tam – nie pamiętam.

det. sturgis: Od jednego ze studentów?

pan jones: Oczywiście, że nie.

det. sturgis: Od studentki nazwiskiem Kristie Marie Kirkash?

pan jones: Och – absolutnie nie. Może dostałem to kiedyś wcześniej.

det. sturgis: Dla siebie?

pan jones: Pewnie. Już od lat żyłem w stresie. Tak, teraz sobie przypominam, tak właśnie było. Ktoś mi to pożyczył – kolega z wydziału.

det. sturgis: Jak się nazywa ten kolega?

pan jones: Nie pamiętam. To nie miało znaczenia. Valium kupuje się dziś w cukierni. Przyznaję się, że miałem je bez recepty, w porządku?

det. sturgis: W porządku.

mec. tokarik: Co pan przed chwilą wyjął z teczki, detektywie?

det. sturgis: Coś do nagrania. Odczytam to zaraz na głos...

mec. tokarik: Chcę najpierw dostać kopię. Dwie kopie – dla mnie i profesora Jonesa.

det. sturgis: Słuszna uwaga. Zrobimy ksero, jak tylko tu skończymy.

mec. tokarik: Nie, chcę to mieć jednocześnie z pana...

pan jones: Przestań przeszkadzać, Tony. Niech czyta, co tam ma. Chcę wyjść stąd dzisiaj.

mec. tokarik: Chip, twoje natychmiastowe zwolnienie to dla mnie sprawa najważniejsza, ale ja...

pan jones: Cicho, Tony. Niech pan czyta, detektywie.

mec. tokarik: Absolutnie nie. Nie podoba mi się to...

pan jones: Świetnie. Niech pan czyta, detektywie.

det. sturgis: Co, uzgodnione? Na pewno? Dobra. Jest to transkrypcja zapisu zakodowanej dyskietki komputerowej, firmy 3M, DS, DD, RH, dwustronnej, podwójna gęstość, Q Mark. Oznaczonej dalej numerem ewidencyjnym FBI 1333355678345 kreska 452948. Dyskietka została rozszyfrowana przez sekcję kryptografii Narodowego Laboratorium Kryminalistyki FBI w Waszyngtonie, D.C., i przesłana do Komendy Policji w Los Angeles dziś rano, o 6.45, pocztą rządową. Kiedy już zacznę, doczytam to do końca w całości, nawet jeśli zechce pan, mecenasie, opuścić ten pokój wraz z pańskim klientem. Żeby było jasne, że przedstawiono panom ten dowód, a panowie odmówili wysłuchania. Czy to rozumiałe?

mec. tokarik: Wykorzystamy w pełni nasze prawa bez uprzedzeń.

pan jones: Niech pan czyta, detektywie. Zaintrygował mnie pan.

det. sturgis: Już czytam:

Koduję ten tekst, żeby się zabezpieczyć, ale kod nie jest skomplikowany, tylko prosta zamiana liter na liczby, z kilkoma przestawieniami, więc powinien pan sobie z tym poradzić, Ashmore. A jeżeli coś mi się stanie, będzie pan miał trochę zabawy.

Charles Lyman Jones Trzeci, znany też jako Chip, to potwór.

Pracował w mojej szkole średniej jako korepetytor-wolontariusz, wykorzystał mnie seksualnie i emocjonalnie. Było to dziesięć lat temu. Miałam siedemnaście lat, byłam w ostatniej klasie i uczyłam się matematyki według rozszerzonego programu, ale potrzebowałam pomocy w angielskim i naukach społecznych, bo mnie to nudziło. On miał wtedy dwadzieścia osiem lat i był doktorantem. Uwiódł mnie i uprawialiśmy seks wielokrotnie w ciągu sześciu miesięcy, w jego mieszkaniu i w szkole, robiąc też rzeczy, które mnie osobiście wydawały się odrażające. Często był impotentem i robił mi okropne rzeczy, żeby się podniecić. W końcu on powiedział, że się ze mną ożeni. Nigdy się nie pobraliśmy, mieszkaliśmy tylko razem w melinie koło University of Connecticut, w Storrs. Potem wszystko zaczęło się psuć.

1. Nie powiedział o mnie swojej rodzinie. Utrzymywał w mieście inne mieszkanie i szedł tam, ilekroć

odwiedzał go ojciec.

2. Zaczął się zachowywać jak prawdziwy szaleniec. Robił mi różne rzeczy – sypał proszki do napojów i robił zastrzyki, kiedy spałam. Z początku nie byłam pewna, co się dzieje, budziłam się obolała, z dziwnymi śladami na ciele. Mówił, że mam anemię, a te ślady to wybroczyny – pęknięcia naczyń włosowatych spowodowane ciążą. Twierdził, że był na wstępnym kursie medycyny w Yale, wierzyłam mu. Pewnej nocy zbudziłam się i przyłapałam go, gdy usiłował wstrzyknąć mi coś brązowego i ohydneho – teraz pewna jestem, że były to odchody. Widocznie nie dał mi wystarczającej dawki, żebym zasnęła, albo zaczęłam się przyzwyczajać i potrzeba było więcej, żebym straciła przytomność. Wyjaśniał, że zastrzyk jest dla mego dobra – jakiś witaminowy środek wzmacniający.

Byłam młoda i uwierzyłam we wszystkie jego kłamstwa. Potem stało się to zbyt okropne, więc wyprowadziłam się i chciałam zamieszkać u matki, ale była przez cały czas pijana i nie chciała mnie przyjąć. Myślę, że ją przekupił, bo właśnie wtedy sprawiła sobie mnóstwo nowych ubrań. Więc wróciłam do niego. W miarę rozwoju ciąży stawał się coraz bardziej podły i złośliwy. Raz dostał niemal ataku hysterii, powiedział, że dziecko zepsuje wszystko między nami, więc trzeba się go pozbyć. Potem twierdził wręcz, że to nie jego dziecko, było to po prostu śmieszne, ponieważ kiedy go poznałam, byłam dziewicą i nigdy nie zabawiałam się z innymi. W końcu poroniłam pod wpływem stresu, jakiemu mnie poddawał. Ale to też go nie zadowoliło. Zakradał się do mnie, kiedy spałam, krzyczał mi do ucha, a czasami kłutł mnie. Dostawałam gorączki i strasznych migren, miałam halucynacje słuchowe i zawroty głowy. Przez pewien czas wydawało mi się, że oszaleję.

Wreszcie opuściłam Storrs i wróciłam do Poughkeepsie. Pojechał za mną i mieliśmy wściekłą kłótnię w Victor Waryas Park. Dał mi czek na dziesięć tysięcy dolarów i powiedział, żebym zniknęła z jego życia. Wtedy była to dla mnie spora suma, więc zgodziłam się. Byłam zbyt przybita i wymęczona, żeby pracować, więc wyszłam na ulicę, gdzie mnie okradziono i skończyłam jako żona Willie Kenta, Murzyna, który dorabiał czasem jako alfons. Trwało to jakieś sześć miesięcy. Potem poszłam na odtrucie, zdałam egzaminy i dostałam się do college'u.

Specjalizowałam się w matematyce i informatyce i szło mi naprawdę nieźle, ale wtedy uwiódł mnie inny nauczyciel, Ross M. Herbert, i nasze małżeństwo trwało przez dwa lata. Nie był potworem jak Chip Jones, ale okazał się nudny i niechlujny, więc rozwiodłam się z nim i rzuciłam college po trzech latach.

Dostałam robotę przy komputerach, ale była mało twórcza, więc postanowiłam zostać lekarzem i wróciłam do szkoły na wstępny kurs medycyny. Musiałam dorabiać wieczorami, nie miałam dość czasu na naukę. Dlatego moje oceny za testy i egzaminy nie były tak dobre jak powinny, ale z matematyki miałam tylko piątki.

Wreszcie skończyłam i złożyłam papiery do kilku szkół medycznych, ale nie dostałam się. Pracowałam przez rok jako laborantka, zdałam jeszcze raz końcowe egzaminy i poszło mi lepiej. Znów złożyłam papiery, ale nie przyjęto mnie z braku miejsc. Próbowałam się też dostać na jakiś wydział zdrowia publicznego, żeby zdobyć stopień naukowy w dziedzinie pokrewnej. Najlepszy, na jaki zgodzono się mnie przyjąć był w Los Angeles, więc przyjechałam tutaj.

Ciągnęłam to jakoś przez cztery lata, składając podania na wydział medyczny. Kiedyś, czytając gazetę, zobaczyłam artykuł o Charlesie Lymanie Jonesie, Jr., i uświadomiłam sobie, że to jego ojciec. To wtedy zrozumiałam, jacy to bogaci ludzie i jak mnie wykorzystano. Postanowiłam wydusić coś z tego, co mi się należało. Próbowałam skontaktować się z jego ojcem, ale nie udało mi się dodzwonić, pisałam nawet listy, ale nie odpowiedział. Więc poszukałam adresu Chipa w archiwum miejskim. Dowiedziałam się, że mieszka w Valley. Pojechałam zobaczyć, jak wygląda jego dom. Zrobiłam to w nocy, żeby nikt

mnie nie spostrzegł. Byłam tam parę razy, zobaczyłam też jego żonę. Najbardziej rozzłościło mnie to, jak bardzo jest do mnie podobna, do mnie zanim przytyłam. Jego córeczka była naprawdę ładna, chłopak też, współczułam im obojgu.

Nie chciałam ich skrzywdzić – żony i dziewczynki – ale czułam, że powinnam je ostrzec przed tym, co je czeka. I należało mi się coś od niego.

Wracałam tam parę razy, namyślając się, co zrobić. Pewnej nocy zobaczyłam, jak ambulans zatrzymuje się przed ich domem. Tuż potem Chip wyjechał swoim volvo, a ja ruszyłam jego śladem, w pewnej odległości, aż do Western Pediatrics Medical Center. Szłam tuż za nim i usłyszałam na ostrym dyżurze, jak pyta o swoją córkę, Cassie.

Nazajutrz wróciłam tam, do archiwum medycznego, mając na sobie biały fartuch laboratoryjny, i przedstawiłam się jako doktor Herbert. Było to bardzo łatwe, żadnej ochrony. Dopiero później docisnęli śrubę. Wracając do córki: nie było jej karty choroby, ale natrafiłam na taką, do której wpisano wszystkie inne hospitalizacje małej, więc zrozumiałam, że to znów jego sztuczki. Biedne maleństwo.

Właśnie to mnie pobudziło do działania – nie chodziło tylko o pieniądze. Ashmore, może pan w to wierzyć lub nie, ale taka jest prawda. Kiedy zobaczyłam tę kartę dziewczynki, zrozumiałam, że muszę go dopaść. Więc poszłam do działu kadr i złożyłam podanie o pracę. Zadzwonili po trzech tygodniach, proponując mi pół etatu. U pana, Ashmore. Gówniana robota, ale mogłam niepostrzeżenie obserwować Chipa. W końcu zdobyłam kartę Cassie i dowiedziałam się o wszystkim, co jej robił. Przeczytałam tam też, że mieli chłopca, który zmarł. Więc wyszukałam jego kartę i okazało się, że zmarł na zespól nagłej śmierci. Więc Chip w końcu kogoś zamordował. Następnym razem kiedy zobaczyłam nazwisko Cassie na liście przyjęć i zwolnień, rozglądałam się za nim, wreszcie zobaczyłam go, poszłam za nim na parking i powiedziałam: „Co za niespodzianka”.

Był wściekły, na początku udawał, że mnie nie zna. Potem chciał mnie speszyć, mówiąc, że bardzo przytyłam. Wypaliłam mu prostu z mostu, że wiem, do czego zmierza, i że lepiej będzie, jeżeli przestanie. I że jeśli nie da mi miliona dolarów, pójdę na policję. Zaczął wrzeszczeć, twierdził, że nie chce nikogo skrzywdzić – tak jak mówił, kiedy byliśmy razem. Ale tym razem to nie podziałało. „Nie ze mną te numery”, powiedziałam.

Wtedy obiecał, że zapłaci mi dziesięć tysięcy dolarów, a jeśli dam mu trochę czasu, spróbuje dołożyć więcej, ale niech nie liczę na milion – nie ma aż tylu pieniędzy. Pięćdziesiąt zaliczki, powiedziałam, w końcu stanęło na dwudziestu siedmiu pięćset. Następnego dnia spotkaliśmy się w Barnsdale Park w Hollywood, dał mi pieniądze gotówką. Ostrzegłam go, że lepiej będzie jeśli dołoży jeszcze co najmniej dwieście tysięcy do końca miesiąca. Znowu zaczął krzyczeć i obiecał, że zrobi, co będzie mógł. Potem prosił mnie o przebaczenie. Odeszłam. Pieniądze wydałam na nowy samochód, bo mój stary był zepsuty, a w L.A. bez dobrego wozu jesteś niczym. Kartę Chada Jonesa zostawiłam w skrytce na lotnisku – LAX, United Airlines, numer 5632 – a następnego dnia odeszłam ze szpitala.

Teraz czekam do końca miesiąca, a to zapisuję, żeby mieć dodatkowe zabezpieczenie. Chcę być bogata i chcę być lekarzem. Należy mi się to. Ale na wypadek, gdyby spróbował wycofać się z umowy, co wieczór zamykam tę dyskietkę na klucz w szufladzie, a rano zabieram ją. Jeszcze jedna kopia jest w moim schowku w szkole. Jeżeli pan to czyta, musiałam wpaść w tarapaty, ale cóż. Nie mam innego wyjścia.

7 marca, 1989

Dawn Rose Rockwell Kent Herbert det. sturgis: To było to. mec. tokarik: Spodziewa się pan, że jesteśmy pod wrażeniem? Rozszyfrowany hokus-pokus? Wie pan, że to żaden dowód.

det. sturgis: Skoro pan tak uważa.

mec. tokarik: Chodź Chip, zbierajmy się stąd – Chip?

pan jones: Aha.

det. sturgis: Na pewno chcą panowie iść? To nie wszystko.

mec. tokarik: Wysłuchaliśmy już dosyć.

det. sturgis: Jak pan sobie życzy, mecenasie. Ale niech pan oszczędzi sobie fatygi i nie prosi o zwolnienie za kaucją. Prokurator okręgowy wnosi oskarżenie o morderstwo pierwszego stopnia, jak to się u nas mówi.

mec. tokarik: Morderstwo pierwszego stopnia! To oburzające. A kto ma być ofiarą?

det. sturgis: Down Herbert.

mec. tokarik: Morderstwo pierwszego stopnia? Na podstawie tej bajeczki.

det. sturgis: Na podstawie zeznań świadka, mecenasie. Zeznań współnika. Szacownego obywatela Karla Sobrana. Studenci garną się do pana, co profesorze?

mec. tokarik: Kto?

det. sturgis: Niech pan spyta psora.

mec. tokarik: Pytam pana, detektywie.

det. sturgis: Karl Edward Sobran. Mamy wiatrówkę ze śladami krwi i zeznania oskarżające pana klienta. A jego rekomendacje są bez zarzutu. Dyplom z przemocy interpersonalnej z Soledad, studia podyplomowe w wielu instytucjach. Pana klient wynajął go, żeby zabił panią Herbert, pozorując zbrodnię na tle seksualnym. Niewielki problem, bo Sobran lubi używać przemocy w stosunku do kobiet – siedział za gwałt i napad. Ostatni płatny urlop przyznano mu za kradzież, spędził go w Ventura County Jail. To tam właśnie spotkał go obecny tu profesor Chip. Ochotnicze nauczanie – był to projekt grupowy realizowany przez jego studentów socjologii. Sobran dostał piątkę. Stary Chip wysłał list zalecający zwolnienie warunkowe, nazywając Sobrana dobrym materiałem na studenta i obiecując, że weźmie go pod swoje skrzydła. Sobran wyszedł na wolność i zapisał się do West Valley Community College jako student socjologii. A to, co zrobił Dawn – co to było, psorze?

Badania terenowe?

mec. tokarik: Nigdy nie słyszałem czegoś równie śmiesznego.

det. sturgis: Prokurator okręgowy nie podziela pańskiego zdania.

mec. tokarik: Prokurator ma motywację czysto polityczną. Gdyby mój klient był jakimkolwiek innym Jonesem, nie siedzielibyśmy nawet tutaj.

det. sturgis: Dobra... życzę miłego dnia. Steve?

det. martinez: No to na razie.

mec. tokarik: Zakodowane dyskiety, rzekome świadectwo skazanego zbrodniarza – to absurd.

det. sturgis: Niech pan spyta swego klienta, czy to absurd.

mec. tokarik: Nie mam najmniejszego zamiaru. Idziemy, Chip. Chodź.

pan jones: Załatwisz mi zwolnienie za kaucją, Tony?

mec. tokarik: Nie miejsce tu, żeby...

pan jones: Chcę stąd wyjść, Tony. Mam tyle rzeczy do załatwienia. Prace do oceny.

mec. tokarik: Oczywiście, Chip. Ale to może...

det. sturgis: Nigdzie nie pójdzie, dobrze pan o tym wie, mecenasie. Niech pan będzie wobec niego uczciwy.

pan jones: Chcę wyjść. Przygnębia mnie to miejsce. Nie mogę się skoncentrować.

mec. tokarik: Rozumiem, Chip, ale...

pan jones: Żadnych ale, Tony. Chcę wyjść. Al'exterier. WYJŚĆ.

mec. tokarik: Oczywiście, Chip. Wiesz, że zrobię wszystko, co...

pan jones: Chcę wyjść, Tony. Jestem dobrym człowiekiem. To zupełnie jak z Kafki.

det. sturgis: Dobrym człowiekiem, co? Kłamca, sadysta, morderca... Taa, jeśli nie liczyć tych technicznych szczegółów, jesteś prawie świętym, Junior.

pan jones: Jestem dobrym człowiekiem.

det. sturois: Powiedz to swojej córce.

pan jones: Ona nie jest moją córką.

mec. tokarik: Chip...

det. sturgis: Cassie nie jest pana córką?

pan jones: Nie w ścisłym tego słowa znaczeniu, detektywie. Zresztą to bez znaczenia – nie skrzywdziłbym żadnego dziecka.

det. sturgis: Ona nie jest pana?

pan jones: Nie. Choć wychowałem ją, jak własne dziecko. Cała odpowiedzialność, żadnych praw własności.

det. martinez: Więc czyją jest córką?

pan jones: Kto wie? Jej matka to nałogowa puszczańska, uganiana się za każdym... w spodniach. Bóg raczej wie, kto jest ojcem. Na pewno nie ja.

det. sturgis: Terminem „Jej matka” określa pan swoją żonę? Cindy Brooks Jones.

pan jones: Żonę tylko z nazwy.

mec. tokarik: Chip...

panjones: To barakuda, detektywie. Nie daj się pan zwieść pozorom niewinności. To prawdziwy drapieżnik. Gdy mnie już dopadła, wróciła do pierwotnej postaci.

det. sturgis: Do jakiej postaci?

mec. tokarik: Wzywam do natychmiastowego zakończenia tej sesji. Odpowiada pan prawnie za wszelkie dalsze pytania, detektywie.

det. sturgis: Przykro mi, Chip. Twój prawny pies gończy mówi – gęba na kłódkę.

pan jones: Będę mówił z kim chcę i kiedy chcę, Tony.

mec. tokarik: Na litość boską, Chip...

pan jones: Zamknij się, Tony. Robisz się nudny.

det. sturuis: Lepiej go słuchaj, profesorze. To ekspert.

mec. tokarik: Właśnie. Sesja skończona.

det. sturgis: Jak by nie mówić.

pan jones: Przestańcie traktować mnie jak dziecko – wy wszyscy. To mnie zapakowano do tej cholernej nory. To moje prawa są ograniczone. Co mam zrobić, żeby stąd wyjść, detektywie?

mec. tokarik: Chip, na tym etapie nic nie można zrobić...

pan jones: Więc nie jesteś mi potrzebny. Czuj się zwolniony.

mec. tokarik: Chip...

pan jones: Najlepiej zamknij się i pozwól mi zebrać myśli, dobra?

mec. tokarik: Chip, nie mogę z czystym sumieniem...

pan jones: Ty nie masz sumienia, Tony. Jesteś prawnikiem. I rzekł bard: „Zabijmy wszelkich prawników”. Jasne? Więc przestań... dobra... Słuchajcie, jesteście gliniarzami – znacie ludzi



z marginesu, wiecie, jak lżą. Taka jest Cindy. Kłamie instynktownie – to nawyk, którego nie sposób wykorzezić. Zwodziła mnie tak długo, bo ją kochałem – „Kiedy przysięga, iż z prawdy jest cała, wierzę jej chętnie, choć wiem, że kłamie”. To Szekspir – u Szekspira znaleźć można wszystko. Na czym skończyłem?...

mec. tokarik: Chip, dla swego własnego dobra...

pan jones: Ona jest zadziwiająca, detektywie. Mogłaby oczarować głąz. Podaje mi obiad, uśmiecha się, pyta, jak minął dzień – a jeszcze przed godziną rżnęła się w małżeńskim łóżu z czyszcicielem basenów. Z czyszcicielem basenów, na litość boską. Toż to miejska legenda. Ale ona to przeżyła.

det. sturgis: Czy terminem „czyszciciel basenów” określa pan Grega Worleya z Obsługi Basenów ValleyBrite?

pan jones: Jego, innych – cóż to za różnica? Stolarze, hydraulicy, cokolwiek w dżinsach i z pasem na narzędzia. To żaden problem wezwać do nas rzemieślnika – och, nie. Nasz dom to Disneyland dla każdego koguta z naszego miasta ubranego w roboczą bluzę. To choroba, detektywie. Ona nie może się powstrzymać. W porządku, bądźmy racjonalni. Mogę to zrozumieć. Nie kontrolowane popędy. Ale ona zniszczyła mnie przy okazji. To ja byłem ofiarą.

mec. tokarik: (niezrozumiałe).

det. sturgis: Co takiego, mecenasie?

mec. tokarik: Odnutowuję mój sprzeciw przeciw całej tej sesji.

pan jones: Zapomnij na chwilę o sobie, Tony. To ja jestem ofiarą – nie wykorzystuj mnie przez egoizm. Na tym w ogóle polega mój problem ludzie starają się mnie wykorzystać, bo wiedzą, że jestem taki naiwny. det. sturgis: Dawn Herbert też to robiła?

pan jones: Bezwzględnie. Ten nonsens, który pan odczytał, to czysta fantazja. Była lekomanką, kiedy ją poznałem. Staralem się jej pomóc, a ona odpłaciła mi paranoją.

det. sturgis: A Kristie Kirkash?

pan jones: (niezrozumiałe).

det. sturgis: Co takiego, psorze?

Pan jones: Kristie to moja studentka. A co? Czy twierdzi, że jest kimś więcej?

det. sturgis: Rzeczywiście tak twierdzi.

pan jones: Więc kłamie – jeszcze jeden.

det. sturgis: Co jeszcze jeden?

pan jones: Drapieźnik. Niech mi pan wierzy, jest nad wiek dojrzała. Pewnie je pociągam. Co się tyczy Kristie, to złapałem ją na ściąganiu w czasie testu i chciałem nauczyć ją postępować etycznie. Dam panu radę, niech pan nie bierze za dobrą monetę nic z tego, co mówi.

det. sturgis: Twierdzi, że wynajęła dla pana skrytkę pocztową w Agoura Hills. Masz gdzieś pod ręką numer, Steve?

det. martinez: Mailboxes Plus, Agoura, skrytka numer 1498.

pan jones: To na potrzeby badań naukowych.

det. sturgis: Jakich badań?

pan jones: Rozważałem taki projekt: studium pornografii – powracające obrazy w przeorganizowanym społeczeństwie – jako forma rytuału. Naturalnie nie chciałem, żeby wysyłano mi materiały do domu czy do college’u wpisałiby mnie na listę zбочeńców, nie chciałem żeby zalała mnie fala plugastwa. Toteż Kristie wynajęła dla mnie skrytkę pocztową.

det. sturgis: A dlaczego nie zrobił pan tego sam?

pan jones: Nie miałem czasu, a Kristie tam mieszka, więc tak było wygodniej.

det. sturgis: A z jakich powodów wynajął pan skrytkę pod nazwiskiem dr med. Ralf Benedict? To lekarz, który nie żyje od dwu i pół lat, tak się składa, że leczył ciotkę pana żony na cukrzycę.

mec. tokarik: Nie odpowiadaj na to pytanie.

det. sturgis: Z jakich powodów, posłużysz się nazwiskiem dra med. Ralpha Benedicta i numerem jego licencji, kazał pan wysłać sprzęt medyczny na adres tej skrytki?

mec. tokarik: Nie odpowiadaj.

det. sturgis: Z jakich powodów kazał pan przysłać sobie insulinę i zestawy Insuject do jej wstrzykiwania, jak ten, z którym zastaliśmy pana w pokoju szpitalnym pana córki, na adres tej skrytki, na nazwisko dr med. Ralph Benedict?

mec. tokarik: Nie odpowiadaj.

pan jones: To śmieszne. Cindy też wiedziała o skrytce. Dałem jej zapasowy klucz. Musiała go wykorzystywać do tego celu.

det. sturgis: Twierdzi, że tego nie robiła.

pan jones: Kłamie.

det. sturgis: Dobra, jeśli nawet, to dlaczego pan używał nazwiska Benedicta, żeby załatwić skrytkę? Przecież to pan wypełniał formularz podania.

mec. tokarik: Nie odpowiadaj.

pan jones: Ja chcę – chcę oczyścić się z zarzutów, Tony. Mówiąc szczerze, nie potrafię na to odpowiedzieć, detektywie. Musiałem zrobić to podświadomie. Prawdopodobnie Cindy wymieniła nazwisko Benedicta – tak, pewien jestem, że tak. Jak pan powiedział, był lekarzem jej ciotki, wiele o nim opowiadała, utkwilo mi to w pamięci – więc kiedy potrzebowałem nazwiska, żeby wynająć skrytkę, po prostu przyszło mi ono do głowy.

det. sturgis: Ale dlaczego w ogóle używał pan przybranego nazwiska?

pan jones: Już to wyjaśniłem. Ze względu na pornografię – niektóre przesłane mi materiały były naprawdę obrzydliwe.

det. sturgis: Pana żona twierdzi, że nic nie wiedziała o skrytce.

pan jones: Oczywiście, że wiedziała. Kłamie. Naprawdę detektywie, to kwestia punktu widzenia – trzeba zobaczyć wszystko w innym świetle, mieć świeże spojrzenie.

det. sturgis: Aha.

mec. tokarik: A co pan teraz wyjmuje?

det. sturgis: Myślę, że to oczywiste. Maskę.

mec. tokarik: Nie dostrzegam...

pan jones: To nic takiego. Pochodzi z zabawy karnawałowej Delta Psi. Przebrali mnie za czarownicę. Zatrzymałem tę maskę na pamiątkę.

det. sturgis: Zatrzymała ją Kristie Kirkash. Dał jej pan ją w zeszłym tygodniu i kazał przechować.

pan jones: Więc?

det. sturgis: Więc sądzę, że zakładał pan ją, robiąc zastrzyki Cassie. Żeby wyglądać jak kobieta – jak zła wiedźma.

mec. tokarik: To śmieszne.

pan jones: W tym punkcie zgadzam się z tobą, Tony.

det. sturgis: Pamiątka, co? Dlaczego dał pan ją Kristie?

pan jones: Należy do Delta Psi. Sądziłem, że korporacja chciałaby ją mieć.

det. sturgis: Zdumiewająca troskliwość.

pan jones: Jestem ich opiekunem. Cóż to za...

det. sturgis: Studenci garną się do pana, prawda? W ten sposób poznał pan swoją żonę, tak? Była pana studentką.

pan jones: Nic w tym niezwykłego – w związku wykładowca-studentka...

det. sturgis: Cóż takiego?

pan jones: Często... czasami przeradza się to w zażyłość.

det. sturgis: Pomagał jej pan, co? Swojej żonie?

pan jones: Prawdę mówiąc, tak. Ale była beznadziejna – niezbyt inteligentna.

det. sturgis: A jednak pan się z nią ożenił? Jak do tego doszło? Taki błyskotliwy facet jak pan.

Pan jones: Byłem nią oczarowany – „ta wiosna miłości”.

det. sturgis: Spotkaliście się na wiosnę?

pan jones: To cytat.

det. sturgis: Z Szekspira?

pan jones: Rzeczywiście tak. Byłem bardzo zakochany i wykorzystano mnie. Mam romantyczną naturę. To moja betę noire.

det. sturgis: A Karl Sobran? Też pana wykorzystał?

pan jones: Z Karlem to inna para kaloszy – w stosunku do niego, o ironio, nie byłem naiwny. Wiedziałem, kim jest, od początku, ale sądziłem, że mógłbym pomóc mu pohamować popędy.

det. sturgis: A kim według pana jest?

pan jones: Typowym antyspołecznym socjopatą. Ale wbrew obiegowym opiniom nie są to jednostki pozbawione sumienia. Po prostu zawieszają jego funkcjonowanie dla własnej wygody – niech pan poczyta Samenowa. Naprawdę powinien pan, jako funkcjonariusz policji. Na czym skończyłem? Aha, Karl. Karl jest bardzo bystry. Miałem nadzieję, że uda mi się sprawić, by spożytkował swą inteligencję w sposób twórczy.

det. sturgis: Na przykład dokonując płatnego morderstwa?

mec. tokarik: Nie odpowiadaj.

pan jones: Przestań mnie pouczać, Tony. To śmieszne. Oczywiście, że nie. Czy Karl tak powiedział?

det. sturgis: A skąd mógłbym się o tym dowiedzieć, psorze?

pan jones: To zabawne. Ale to socjopatą – niech pan o tym nie zapomina. Urodzony kłamca. W najgorszym razie zawiniłem, nie doceniając go nie zdając sobie sprawy, jak bardzo jest niebezpieczny. Choć nie szanowałem Dawn jako człowieka, byłem przerażony, gdy usłyszałem, że ją zamordowano. Gdybym wiedział, nigdy nie napisałbym tego listu z prośbą o zwolnienie warunkowe Karla. Nigdy bym...

det. sturgis: Nigdy bym – co?

pan jones: Nie mówiłbym niepotrzebnych rzeczy Karlowi.

det. sturgis: O Dawn?

mec. tokarik: Nie odpowiadaj.

pan jones: Znowu mnie pouczasz – to bardzo męczące, Tony. Tak, o niej, a także o wielu innych rzeczach. Obawiam się, że rzuciłem jakieś niepotrzebne uwagi o Dawn, które Karl zrozumiał w zupełnie opaczny sposób.

det. sturgis: Jakiego rodzaju uwagi? Pan jones: Och nie. Nie mogę uwierzyć, że on rzeczywiście... – O tym, że mnie dręczyła. Źle to zrozumiał. Boże, cóż za straszliwe nieporozumienie!

det. sturgis: Utrzymuje pan, że źle zrozumiał pana uwagi i zabił ją na własną rękę?

pan jones: Niech mi pan wierzy, detektywie, na samą myśl o tym robi mi się niedobrze. Ale to nieunikniona konkluzja.

det. sturgis: A co konkretnie powiedział pan Sobranowi o Dawn?

pan jones: Że to kobieta z mojej przeszłości, która mi się naprzykrza.

det. sturgis: Tylko tyle?

pan jones: Tylko tyle.

det. sturgis: Do niczego pan nie namawiał? Żeby ją zabił albo skrzywdził?

pan jones: Absolutnie nie.

det. sturgis: Ale były pieniądze, psorze. Dwa tysiące dolarów, które Sobran umieścił na swoim koncie w dzień po morderstwie. Ich część miał w kieszeni, kiedy go aresztowałem. Twierdzi, że dostał je od pana.

pan jones: To nie problem. Pomagałem Karlowi przez długi czas, żeby mógł stanąć na własnych nogach i nie musiał wracać do dawnego stylu życia.

det. sturgis: Dwa tysiące dolarów?

pan jones: Czasami bywam rozrzutny. To ryzyko związane z zawodem.

det. sturgis: Profesora socjologii?

pan jones: Kogoś, kto wychował się w bogatej rodzinie – wie pan, to może być prawdziwe przekleństwo. Toteż zawsze starałem się wieść swoje własne życie, jakby te pieniądze w ogóle nie istniały. Żyć w sposób bezpretensjonalny – trzymać się z dala od potencjalnych źródeł rozkładu moralnego.

det. sturgis: Jak handel nieruchomościami?

pan jones: Inwestowałem dla nich – dla Cindy i dzieciaków. Chciałem zabezpieczyć im stabilizację materialną, bo praca wykładowcy z pewnością jej nie zapewnia. To było jeszcze zanim zorientowałem się, co ona robi.

det. sturgis: Słowem „robi” określa pan jej życie seksualne?

pan jones: Właśnie. Zadawała się ze wszystkim, co przeszło przez próg. Te dzieci nie były moje, a jednak zajmowałem się nimi. Jestem zbyt litościwy to coś, nad czym muszę popracować.

det. sturgis: Aha... Czy Chad był pana synem?

pan jones: Żadną miarą.

det. sturgis: Skąd pan to wie?

pan jones: Wystarczyło na niego spojrzeć. Wypisz wymaluj blacharz, który pracował w sąsiedztwie. Wierna kopia – idealny klon.

det. sturgis: To dlatego pan go zabił?

pan jones: Niech pan nie będzie nudny, detektywie. Chad zmarł na Zespół Nagłej Śmierci Noworodków.

det. sturgis: Skąd ta pewność?

pan jones: Podręcznikowy przypadek. Czytałem trochę o tym – o zespole nagłej śmierci – po zgonie chłopaka. Starałem się zrozumieć – przegryźć przez to. Przeżyłem straszny okres. To nie była moja krew, ale mimo to kochałem go.

det. sturgis: Dobra idźmy dalej. Pana matka. Dlaczego pan ją zabił?

mec. tokarik: Wnoszę sprzeciw!

pan jones: Ty pierdolony...

ret. sturgis: Widzi pan, ja też trochę postudiowałem...

pan jones: Ty tłusty, pier...

mec. tokarik: Wnoszę sprzeciw! Wnoszę stanowczy sprzeciw ko...

det. sturgis:... starając się zrozumieć pana, psorze. Rozmawiałem z ludźmi o pana mamie. Zdziwiłby się pan, jak każdy chętnie opowiada, gdy się komuś noga powinie...

pan jones: Jest pan głupcem. Jest pan psychotykiem i... kapitalnym głupcem i ignorantem. Nie powinienem był obnażać mojej duszy przed kimś takim...

mec. tokarik: Chip...

det. sturgis: Wszyscy są zgodni co do jednego; pana staruszka była hipochondryczką. Zdrowa jak koń, ale przekonana o swojej śmiertelnej chorobie. Jedna z osób, z którymi rozmawiałem, twierdziła, że jej sypialnia wyglądała niczym pokój szpitalny – że właściwie miała nawet szpitalne łóżko. Z małym stolikiem. A wszędzie wokół leżały te pastylki i syropy. Także igły. Mnóstwo igieł. Sama sobie robiła zastrzyki, czy kazała panu?

pan jones: O Boże...

mec tokarik: Weź moją chusteczkę, Chip. Detektywie, żądam, żeby pan zaprzestał zadawania pytań w ten sposób.

det. sturgis: Jasne. Pa.

pan jones: To ona robiła zastrzyki! Sobie i mnie – dręczyła mnie! Zastrzyki z witaminy B12 dwa razy dziennie. Zastrzyki z białek. Zastrzyki antyhistaminowe, chociaż nie miałem żadnej alergii! Zrobiła sobie z mego tyłka jakąś cholerną poduszkę na igły! Antybiotyki po każdym kichnięciu. Surowica przeciwieżcowa, kiedy się zadrapałem. Byłem jak kozioł ofiarny – tran i rycyna, a jeśli wylałem, musiałem wytrzeć i przełknąć podwójną porcję. Nie miała problemów z kupnem leków, bo była pielęgniarką – tak się spotkali. W szpitalu wojskowym, został ranny pod Anzio – wielki bohater. Opiekowała się nim, ale w stosunku do mnie była maniacką sadystką – nie może pan sobie tego wyobrazić!

det. strugis: Wygląda na to, że nikt pana nie bronił.

pan jones: Nikt! To było piekło za życia. Każdy dzień przynosił nową niespodziankę. Dlatego nienawidzę niespodzianek. Nienawidzę ich. Nie cierpię ich.

det. sturgis: Woli pan, żeby wszystko było zaplanowane, co?

pan jones: Zorganizowane. Lubię porządek.

det. sturgis: Wygląda na to, że papa zawiódł pana.

pan jones: (śmiech) To jego hobby.

det. sturgis: Więc idzie pan własną drogą.

pan jones: Matka jest – potrzeba jest matką wynalazku (śmiech). Dziękuję, Herr Freud.

det. sturgis: Wróćmy jeszcze na chwilę do mamy...

pan jones: Lepiej nie.

det. sturgis: Sposób, w jaki umarła – przedawkowanie valium, plastikowa torebka na głowie – sędzę, że nigdy nie dowiemy się, że to nie było samobójstwo.

pan jones: Bo to było samobójstwo. I to wszystko, co mam do powiedzenia na ten temat.

det. sturgis: Zechce pan wyjaśnić, dlaczego powiesił pan u siebie w domu dwa namalowane przez nią obrazy, ale bardzo nisko, tuż nad podłogą? Chodzi o symboliczne poniżenie, czy co?

pan jones: Nie mam na ten temat nic do powiedzenia.

det. sturgis: Aha... taa... Więc chce mnie pan przekonać, że to pan jest ofiarą, a wszystko sprowadza się do wielkiego nieporozumienia.

pan jones: (niezrozumiale).

det. sturgis: Co?

pan jones: Kontekst, detektywie, kontekst.

det. sturgis: Świeże spojrzenie.

pan jones: Właśnie.

det. sturgis: Czytał pan o zespole nagłej śmierci, bo chciał pan zrozumieć, jak umarł pana... jak umarł Chad?

pan jones: Właśnie.

det. sturgis: I czytał pan o zespole Munchausena per procura, chcąc zrozumieć dlaczego Cassie choruje?

pan jones: Rzeczywiście tak było. Praca badawcza to mój zawód, detektywie. Objawy Cassie wprawiały w zdumienie każdego specjalistę. Staralem się dowiedzieć wszystkiego, czego mogłem.

det. sturgis: Dawn Herbert wspominała, że był pan na wstępnym kursie medycyny.

pan jones: Bardzo krótko. Przestało mnie to interesować.

det. sturgis: Dlaczego?

pan jones: Zbyt konkretne, nie angażuje wyobraźni. Lekarze to w istocie rzeczy tylko gloryfikowani hydraulicy.

det. sturgis: Tak...więc czytał pan o zespole Munchausena – wróciwszy do dawnych zainteresowań?

pan jones: (śmiech) Cóż mam panu powiedzieć? Koniec końców wszyscy powracamy... To stało się prawdziwym objawieniem, niech mi pan wierzy. Kiedy dowiedziałem się o tej chorobie. Nie żebym wyobrażał sobie, od samego początku, że Cindy może jej coś robić... Może powinienem był wcześniej się domyślić, ale moje własne dzieciństwo... było zbyt bolesne. Myślę, że tłumilem to w sobie. Ale wtedy... kiedy przeczytałem...

det. sturgis: Co? Dlatego kręci pan głową?

pan jones: Trudno o tym mówić... to takie okrutne... Sądzi pan, że zna pan kogoś i wtedy... Ale pasowało – wszystko zaczęło pasować. Przeszłość Cindy. Jej obsesja na punkcie zdrowia. Techniki, które musiała stosować... to obrzydliwe.

det. sturgis: Jak na przykład?

pan jones: Przyduszenie, żeby upozorować zamartwicę. To Cindy wstawiała zawsze, kiedy Cassie płakała – mnie wzywała tylko wtedy, kiedy było z nią niedobrze. A potem te straszliwe dolegliwości przewodu pokarmowego i gorączki. Kiedyś dostrzegłem coś brązowego w butelce Cassie. Cindy powiedziała, że to sok jabłkowy, uwierzyłem jej. Teraz widzę, że musiały to być jakieś fekalia. Zatrzymała Cassie jej własnymi odchodami, żeby wywołać infekcję autologiczną – zakażenie własnymi bakteriami, żeby analizy krwi nie wykazały obecności żadnych obcych organizmów. Obrzydliwe, prawda?

det. sturgis: Na pewno, psorze. A jaka jest pana teoria na temat konwulsji? Pan jones: Niski poziom cukru we krwi, oczywiście. Przedawkowanie insuliny. Cindy wiedziała o insulynie wszystko, z powodu ciotki. Powinienem był na to wpaść – ciągle opowiadała o cukrzycy Harriet, nie dawała Cassie słodczy ale naprawdę nie przyszło mi to do głowy. Chyba rzeczywiście nie chciałem w to uwierzyć, ale... dowody. To znaczy, na pewnym etapie już nie sposób zaprzeczać, prawda? Ale jednak... Cindy miała – ma – swoje słabości i oczywiście byłem na nią wściekły za seksualne ekscesy. Ale jej własne dziecko...

det. sturgis: Tylko jej.

pan jones: Tak, ale to nie ma nic do rzeczy. Któż chciałby patrzeć na cierpienie dziecka?

det. sturgis: Więc pojechał pan na uniwersytet i wy dostał artykuły medyczne z banku danych SAP.

Pan jones: (niezrozumiale).

det. sturgis: Co takiego?

pan jones: Dość już tych pytań, dobrze? Jestem trochę zmęczony.

det. sturgis: Czyżbym powiedział coś, co pana uraziło?

pan jones: Tony, niech on przestanie.

mec. tokarik: Sesja skończona.

det. sturgis: Jasne. Bezwzględnie. Ale czegoś tu nie rozumiem. Gawędzimy sobie w miłej atmosferze i oto nagle wspominam o banku danych SAP – to ten ich wielki skomputeryzowany system, dzięki któremu można wyciągnąć artykuły wprost z komputera i kserować je. Coś tu zaskoczyło, profesorze? Jak to, że profesorowie mogą otworzyć sobie konto i dostają co miesiąc szczegółowy rachunek?

mec. tokarik: Mój klient i ja nie mamy pojęcia, o czym pan mówi...

det. sturgis: Steve?

det. martinez: Proszę bardzo.

mec. tokarik: Aha, znów jakieś policyjne zagrania.

det. sturgis: Proszę. Niech pan na to spojrzy, mecenasie. Artykuły oznaczone czerwoną gwiazdką dotyczą Zespołu Nagłej Śmierci Noworodków. Proszę sprawdzić daty, kiedy pana klient i panna Kirkash wyciągnęli je z komputera. Sześć miesięcy przed śmiercią Chada. Te z niebieską są o zespole Munchhausena. Niech pan porówna daty, sam pan zobaczy, że wyciągnięto je dwa miesiące przed urodzeniem Cassie – na długo przedtem, zanim pojawiły się u niej pierwsze objawy. Coś mi tu pachnie premedytacją, nie sądzi pan, mecenasie? Choć z przyjemnością obejrzałem komedyjkę, jaką odegrał tu przed nami – może chłopakom z celi też się spodoba. Do licha, może załatwi mu pan przeniesienie z bloku ścisłego nadzoru do części ogólnej, mecenasie? Żeby mógł powykładać tym socjopatom trochę socjologii – co pan na to? Co takiego?

pan jones: (niezrozumiale).

mec. tokarik: Chip...

det. sturgis: Czyżbym widział lzy, Chipper? Biedne dziecko. Głośniej – nie słyszę cię.

pan jones: Dogadajmy się.

det. sturgis: Dogadajmy? W jakiej sprawie?

pan jones: Złagodzenia oskarżenia: napad – napad z użyciem niebezpiecznego narzędzia. Zresztą tylko na to macie dowody.

det. sturgis: Pana klient chciałby pertraktować, mecenasie. Myślę, że powinien go pan pouczyć.

mec. tokarik: Nie odzywaj się, Chip. Ja to załatwię.

pan jones: Chcę się dogadać, do cholery jasnej! Chcę wyjść!

det. sturgis: A co masz dla nas, Chipper?

pan jones: Informacje – niezbite fakty. O tym, co robił mój ojciec. Prawdziwe morderstwo. Był taki lekarz w szpitalu, Ashmore – musiał sprawiać jakieś kłopoty. Bo podsłuchałem kiedyś starego i jednego z jego fagasów – gnidę nazwiskiem Novak – jak rozmawiali o tym, kiedy byłem u ojca w domu. Siedzieli w bibliotece i nie wiedzieli, że stoję tuż pod drzwiami – nigdy nie zwracali na mnie specjalnej uwagi. Mówili, że tego faceta, tego lekarza, trzeba załatwić. Że przy wszystkich problemach dotyczących bezpieczeństwa na terenie szpitala, nie powinno z tym być trudności. Nie przywiązywałem do tego znaczenia, ale miesiąc potem Ashmore został zamordowany na szpitalnym parkingu. Więc musi być jakiś związek, no nie? Pewien jestem, że mój ojciec kazał go zabić. Zbadajcie tę sprawę – niech mi pan wierzy, cała ta niedorzeczność wyda się panu błahostką.

det. sturgis: Cały ten nonsens, co?

pan jones: Niech mi pan wierzy, wystarczy to zbadać.

det. sturgis: Zdradzamy starego, co?

pan jones: Nigdy nic dla mnie nie zrobił. Nigdy nie stanął po mojej stronie nawet raz, nawet jeden jedyny raz!

det. sturgis: Słyszysz pan, mecenasie? To pana linia obrony: nieszczęśliwe dzieciństwo. Cześć, Chip. Chodź, Steve.

det martinez: Do zobaczenia w sądzie.

pan jones: Czekać...

mec. tokarik: Chip, nie ma potrzeb...

**KONIEC TAŚMY**



## Rozdział trzydziesty siódmy

Informacja o wniesieniu oskarżenia pojawiła się na trzeciej stronie sobotniego wydania gazety, obok niewielu innych doniesień. Nagłówek brzmiał PROFESOR OSKARŻONY O ZABÓJSTWO I ZNĘCANIE SIĘ NAD DZIECKIEM. Zamieszczono też fotografię Chipa z czasów studenckich. Wyglądał na niej jak szczęśliwy hipis, w artykule określono go jako „pracownika nauki, socjologa i laureata kilku nagród za działalność pedagogiczną”. Nie obyło się bez zacytowania fragmentów pełnych wątpliwości wypowiedzi kolegów z pracy.

Historia z następnego tygodnia zepchnęła tę sprawę na dalszy plan: Chuck Jones i George Plumb zostali aresztowani pod zarzutem zaplanowania morderstwa Laurence’a Ashmore’a.

Współpracownik nazwiskiem Warren Novak – jeden z siwych księgowych – poszedł na ugodę i złożył obszernie zeznania, twierdząc między innymi, że Plumb polecił mu podjąć gotówkę z konta szpitala, żeby wynająć płatnego mordercę. Henry Lee Kudey, mężczyzna, który roztrzaskał czaszkę Ashmore’a okazał się być ochroniarzem Charlesa Jonesa. Fotografia ukazywała, jak prowadzi go do więzienia niewymieniony z nazwiska agent federalny. Kudey był wysoki, tęgi, niechlujnie ubrany i wyglądał jakby się właśnie obudził. Funkcjonariusz miał blond włosy i okulary w czarnej oprawie. Jego twarz przypominała kształtem trójkąt równoboczny. Jako strażnik ochrony w Western Peds nazywał się A.D. Sylvester.

Zastanawiałem się, dlaczego aresztowania pod zarzutem morderstwa miałyby dokonywać agent federalny, aż doszedłem do ostatniego paragrafu: Chuckowi Jonesowi i jego ekipie groziły także „poparte wynikami długotrwałych dochodzeń organów rządowych” federalne oskarżenia o „domniemane nadużycia finansowe”. Zacytowano anonimowych „urzędników federalnych”. Nazwiska Huenengarth i Zimberg w ogóle się nie pojawiły.

We wtorek o czwartej uczyniłem czwartą próbę skontaktowania się z Anną Ashmore. W trakcie pierwszych trzech nikt nie podnosił słuchawki w domu przy Whittier Drive. Tym razem odebrał jakiś mężczyzna.

– Kto mówi? – zapytał.

Alex Delaware. Pracuję w Western Pediatric Hospital. Złożyłem w zeszłym tygodniu wizytę kondolencyjną, chciałem się tylko dowiedzieć, jak się czuje.

– Och, Tu Nathan Best, jej adwokat. Czuje się tak dobrze, jak można się tego spodziewać. Poleciała wczoraj wieczorem do Nowego Jorku, odwiedzić starych przyjaciół.

– Nie orientuje się pan, kiedy wróci?

– Nie jestem pewien, czy wróci.

– Rozumiem – powiedziałem. – Jeśli będzie pan z nią rozmawiać, proszę przekazać najlepsze życzenia.

– Oczywiście. Przepraszam, jak pana nazwisko?

– Delaware.

– Jest pan lekarzem.

– Psychologiem.

– Nie miałby pan ochoty na okazyjny zakup nieruchomości, doktorze? Pozbrywamy się kilku posesji należących do masy spadkowej.

– Nie, dziękuję.

– Cóż, gdyby pan spotkał kogoś, kto ma ochotę, proszę mu to przekazać. Na razie.

O piątej, zgodnie z ustalonym niedawno zwyczajem, zajechałem przed biały domek stojący w cieniściej zaułku West L.A., nieco na wschód od Santa Moniki.

Tym razem Robin zabrała się ze mną. Zaparkowałem wóz i wysiadłem. To nie potrwa długo.

– Nie śpiesz się. – Cofnęła fotel, oparła stopy na desce rozdzielczej i zabrała się do szkicowania na kawałku brystolu wzorów inkrustacji z macicy perłowej. Jak zwykle, story w oknach były zaciągnięte. Ruszyłem dróżką z podkładów kolejowych, która przecinała trawnik. Na klombach walczyły o przetrwanie cynobrowo-białe petunie. Na podjeździe stała furgonetka plymouth voyager. Za nią wgnieciona honda w kolorze miedzi. Upał ustalił się na dobre, powietrze było gęste i lepkie. Nie czułem najlżejszego podmuchu wiatru. Ale bambusowe dzwoneczki nad drzwiami brzęczały cicho, poruszane jakąś siłą.

Zapukałem. Klapka zasłaniająca otwór judasza odsunęła się, a Vicki Bottomley odstała, żeby mnie przepuścić. Ubrana była w zielony fartuch pielęgniarki i białe elastyczne spodnie. Włosy miała obficie spryskane lakierem. W ręku trzymała kubek koloru dyni.

– Kawy? – zaproponowała. – Jeszcze trochę zostało.

– Nie, dziękuję. Jak dzisiaj leci?

– Wydaje się, że lepiej.

– Obie?

– Głównie mała – nie jest już taka zamknięta w sobie. Biega po domu jak prawdziwy mały bandyta.

– To dobrze.

– Mówi też sama do siebie – czy to w porządku?

– Na pewno tak.

– Tak. Tak właśnie sądziłam.

– O czym mówi, Vicki?

– Nic nie można zrozumieć – przeważnie coś gaworzy. Ale wygląda na dość szczęśliwą.

– Mała twardzielka – powiedziałem wchodząc.

– Jak większość dzieci... Czeka na pana niecierpliwie.

– Czyżby?

– Owszem. Gdy wymieniłam pana nazwisko, uśmiechnęła się. Czas najwyższy, co?

– Pewnie. Musiałem awansować.

– Należy się panu, od dzieci.

– A jak ze snem?

– Dobrze. Za to Cindy źle sypia. Ciągłe słyszę, jak wstaje w nocy kilka razy i włącza telewizor. Skutki odstawienia valium, co? Choć nie dostrzegam żadnych innych objawów.

– Może być to. Albo zwykły niepokój.

– Taak. Zeszłej nocy zasnęła przed telewizorem. Zbudziłam ją i odesłałam do sypialni. Ale wróci do siebie. Właściwie nie ma wyboru, prawda?

– A to dlaczego?

– Jest matką.

Przeszliśmy przez salon. Białe ściany, beżowy dywan, fabrycznie nowe meble prosto z wypożyczalni. Na lewo była kuchnia. Na wprost rozsuwane szklane drzwi, szeroko otwarte. Za domem wąski pas sztucznego trawnika, dalej prawdziwa trawa, wyglądająca blado przy tym pierwszym. Na środku drzewko pomarańczowe ciężkie od dojrzewających owoców. W tyle zakończone ząbkowaniem ogrodzenie z drzewa sekwojowego, dalej druty telefoniczne i dach garażu sąsiadów.

Cassie siedziała na trawie z palcami w buzi i oglądała różową plastikową lalkę, której ubranko leżało rozrzucone wokół. Cindy siedziała nie opodal ze skrzyżowanymi nogami.

– Chyba tak – odezwała się Vicki.

– Co takiego?

– Chyba zasłużył pan na awans.

– Zdaje się, że oboje zasłużyliśmy.

– Taa... Wie pan, nie byłam zbytnio uszczęśliwiona, gdy musiałam poddać się badaniu wykrywaczem kłamstw.

– Mogę sobie wyobrazić.

– Odpowiadać na wszystkie te pytania – być podejrzaną o coś takiego. Pokręciła głową. – To było doprawdy bolesne.

– Wszystko było bolesne – powiedziałem. – Tak to urządził.

– Taa... Dołożył każdemu z nas – użyć moich króliczków. Tacy ludzie zasługują na karę śmierci. Będę wniebowzięta, mogąc wystąpić jako świadek, i opowiedzieć o nim. Jak pan sądzi, kiedy to się odbędzie – rozprawa?

– Prawdopodobnie w ciągu kilku miesięcy.

– Prawdopodobnie... Dobra, miłej zabawy. Porozmawiamy później.

– Kiedy tylko zechcesz, Vicki.

– Kiedy tylko co zechcę?

– Kiedy tylko zechcesz porozmawiać.

– A to dobre – wyszczerzyła zęby. – To naprawdę dobre. Ja i pan gadu-gadu – to byłby dopiero numer.

Klepnęła mnie lekko po plecach i obróciła się na pięcie. Wyszedłem na patio.

Cassie spojrzała na mnie, potem zajęła się rozebraną lalką. Była na bosaka, miała na sobie czerwone szorty i różową koszulkę w srebrne serduszka. Włosy miała upięte w kucyk, a buzię umazaną czymś. Wydawało się, że nieco przytyła.

Cindy rozplotła nogi i wstała lekko. Ona też miała szorty. Białe i skąpe, te same, w których widziałem ją w ich domu. Do tego białą koszulkę. Włosy były rozpuszczone i zaczesane z czoła gładko do tyłu. Na policzkach i brodzie pojawiło jej się kilka wyprysków, które pokryła makijażem.

– Cześć – powiedziała.

– Cześć. – Uśmiechnąłem się i siadłem na ziemi obok Cassie. Cindy postąpiła tam przez chwilę, po czym weszła do domu. Cassie odwróciła się patrząc za nią unosząc bródkę i otwierając buzię.

– Mama zaraz wróci – powiedziałem i wziąłem ją na kolana.

Opierała się przez moment. Puściłem ją. Nie starała się zejść, więc objąłem jedną ręką jej miękką talię i przytuliłem. Nie poruszała się przez chwilę, potem powiedziała:

– Ko-nii.

– Na konika?

– Ko-nii.

– Duży konik czy mały konik?

– Ko-nii.

– No dobra. Już się robi, mały konik. – Pobujałem ją lekko. – Ijja.

– Ha.

Podskakiwała coraz mocniej, a ja zacząłem szybciej poruszać kolanem. Zachichotała, wyrzucając

ramiona w górę. Za każdym skokiem jej kucyk łaskotał mnie w nos.

– I-ja! I-ja!

Kiedy przestaliśmy się bawić, roześmiała się, zgramoliła z moich kolan i podreptała w stronę domu. Poszedłem za nią do kuchni, która była o połowę mniejsza niż ta przy Dunbar Drive. Sprzęty wyglądały na podniszczone. Vicki stała przy zlewie, z ręką zanurzoną po łokieć w chromowanym dzbanku do kawy.

– Proszę, kogo tu przyniosło – powiedziała, nie przerywając zajęcia. Cassie podbiegła do lodówki i spróbowała ją otworzyć. Nie udało jej się, więc zaczęła się niecierpliwić.

Vicki odstawiła dzbanek razem ze zmywakiem i ujęła się pod boki.

– A czegoż to sobie panienska życzy?

Cassie spojrzała na nią, wskazując lodówkę.

– Żeby coś tu dostać, musimy to powiedzieć, panno Jonesy.

Cassie znów wskazała palcem.

– Przykro mi, ale nie rozumiem, gdy ktoś mówi na migi.

– Loo!

– Jakie loof Ogórek czy cebulę?

Cassie potrząsnęła głową.

– Krem czy dżem? – pytała Vicki. – Grzanekę czy śmietankę? Łosia czy łosiosia?

Chichot.

– No więc, cóż takiego? Lody czy schody?

– Loo-da.

– Co takiego? Mów głośniej.

– Loo-da!

– Tak myślałam.

Vicki otworzyła zamrażalnik i wyjęła litrowy pojemnik.

– Miętowe – poinformowała mnie, marszcząc brwi. – Mrożona pasta do zębów, jeśli chodzi o moje zdanie, ale uwielbia to – jak wszystkie dzieci. Chce pan trochę?

– Nie, dziękuję.

Cassie niecierpliwie przestępowała z nogi na nogę.

– Siądźmy przy stole panienko i jedzmy jak człowiek.

Cassie podreptała do stołu. Vicki posadziła ją na krześle, potem wyjęła z szuflady łyżeczkę i zaczęła dziobać lody.

– Na pewno nie chce pan trochę? – zapytała.

– Na pewno, dzięki.

Weszła Cindy, wycierając ręce papierowym ręcznikiem.

– Mała przekąska, proszę mamy – wyjaśniła Vicki. – Pewnie zepsuje jej to obiad, ale lunch jadła z apetytem. Nie masz nic przeciw?

– Jasne – odparła Cindy. Uśmiechnęła się do córki i pocałowała ją w czubek głowy.

– Opróżniłam dzbanek z kawą. Aż do dna. – Powiedziała Vicki. Chcesz jeszcze?

– Nie, dziękuję.

– Wyjdę chyba później do sklepu. Potrzebujesz czegoś?

– Nie, niczego Vicki. Dziękuję.

Vicki postawiła przed Cassie miseczkę lodów i wcisnęła łyżeczkę w zieloną, plamistą masę.

– Tylko zmiękczyć to trochę – i będziesz mogła zabrać się do jedzenia.

Cassie oblizwała wargi i podskoczyła na krześle.

– Loo-da!

– Smacznego, ptysiu – rzekła Cindy. – Gdybym była potrzebna, jestem na zewnątrz.

Cassie pomachała jej i odwróciła się ku Vicki.

– No, jedz. Smacznego – powiedziała Vicki.

Wyszedłem za dom. Cindy stała przy parkanie. Palce stóp zanurzyła w ziemi zgarniętej pod sekwojowe sztachety.

– Boże, co za upał – powiedziała, odgarniając włosy z czoła.

– Pewnie. Masz dziś jakieś pytania?

– Nie... właściwie nie. Czuję się świetnie... Myślę, że to będzie... – Myślę, że ciężko będzie dopiero wtedy, kiedy zacznie się jego proces, prawda? Uwaga ludzi skupi się na nas.

– Ciężej będzie tobie niż jej – odparłem. Jesteśmy w stanie trzymać ją z dala od tego.

– Taak... chyba tak.

– Prasa na pewno zechce mieć zdjęcia was obu. Trzeba będzie zmieniać miejsce pobytu – wynajmować inne domy – ale da się ją osłonić.

– To dobrze – tylko na tym mi zależy. A co u doktor Eves?

– Rozmawiałem z nią wczoraj. Powiedziała, że wpadnie dzisiaj wieczorem.

– Kiedy wyjeżdża do Waszyngtonu?

– Za kilka tygodni.

– Czy planowała tę przeprowadzkę, czy po prostu...

– O to musisz ją zapytać – odparłem. – Ale wiem, że nie wiąże się to bezpośrednio z twoją sprawą.

– Bezpośrednio – powtórzyła. – Co to znaczy?

– Przeprowadza się z powodów osobistych, Cindy. Ta decyzja nie ma nic wspólnego z tobą czy Cassie.

– To sympatyczna kobieta – taka... naładowana. Ale lubiłam ją. Myślę, że wróci na rozprawę.

– Tak, wróci.

Od strony drzewka pomarańczowego zapachniało cytrusami. Białe płatki zaścielały trawę u jego podnóża, owoce, które nigdy nie powstaną. Cindy otworzyła usta, chcąc coś powiedzieć, ale zamiast tego przykryła je dłonią.

– Podejrzewałaś go, prawda? – zapytałem.

– Ja? Ja... Dlaczego pan tak mówi?

– Za każdym razem, kiedy rozmawialiśmy ostatnio, przed aresztowaniem, czułem, że chcesz mi coś powiedzieć, ale coś cię powstrzymuje. Tak samo wyglądasz teraz.

– Ja... To naprawdę nie było podejrzenie. Zastanawiałam się tylko zaczęłam się zastanawiać, to wszystko.

Wbiła wzrok w zgarniętą pod parkaniem ziemię. Kopnęła ją raz jeszcze.

– Kiedy zaczęłaś się zastanawiać? – zapytałem.

– Sama nie wiem – trudno mi sobie przypomnieć. Sądzymy, że kogoś znamy, a potem zdarzają się rzeczy... Sama nie wiem.

– W końcu będziesz musiała o tym wszystkim opowiedzieć – przypominałem. – Prawnikom i policjantom.

– Wiem, wiem, i przeraża mnie to, proszę mi wierzyć.

Poklepałem ją po ramieniu. Odsunęła się, uderzając plecami o parkan. Sztachety zdrząły.

– Przepraszam – powiedziała. – Po prostu nie chcę teraz o tym myśleć. To jest zbyt...

Znów spojrzałem na ziemię pod nogami. Dopiero gdy ujrzałem łzy spływające jej po twarzy i kapiące na ziemię, zdałem sobie sprawę, że płacze.

Wyciągnąłem rękę i objąłem ją. Chciała odejść, potem poddała się i oparła na mnie całym ciężarem.

– Sądźmy, że kogoś znamy – wyszlochała. – Sądźmy, że... Sądźmy, że ktoś nas kocha, a oni... a wtedy... cały świat się wali. Wszystko, co wydawało się rzeczywiste okazuje się... fikcją. Nic... Wszystko zmiecione. Ja... ja...

Czułem, jak drży.

Urwawszy dla złapania oddechu, powtórzyła:

– Ta... Ja...

– Co takiego, Cindy?

– Ja... To jest... Pokręciła głową. Jej włosy muskały moją twarz.

– Już dobrze, Cindy. Powiedz mi.

– Powinam. – To nie miało sensu!

– Co nie miało?

– Czas. – To on... To on znalazł Chada. To ja zawsze wstawałam, kiedy Chad płakał albo był chory. To ja byłem matką – to była moja praca. On nigdy nie wstawał. Ale tamtej nocy to on wstał. Ja nic nie słyszałam. Nie mogłam tego pojąć. Dlaczego nic nie słyszałam? Dlaczego? Zawsze słyszałam, kiedy moje dzieci płaczą. Zawsze wstawałam, pozwalając mu spać, ale tym razem było inaczej. Powinam była wiedzieć.

Waliła mnie pięścią w pierś, charczała, trąc głową o moją koszulę, jakby usiłowała zetrzeć swój ból.

– Powinam była wiedzieć, że coś jest nie tak, kiedy przyszedł mnie obudzić i stwierdził, że Chad nie wygląda dobrze. Nie wygląda dobrze! Był siny. Był... Weszłam i zobaczyłam, jak leży tam – tylko leży, bez ruchu. Jego kolor... to było... wszystko... To było nie tak! On nigdy nie wstawał, kiedy płakały! To było nie tak. To było nie w porządku – powinam była... Powinam była wiedzieć od początku! Mogłabym... Ja...

– Nie mogłabyś – powiedziałem. – Nikt nie mógł wiedzieć.

– Ja jestem matką! Powinam była!

Oderwała się ode mnie, kopnęła parkan, mocno.

Kopnęła znów, jeszcze mocniej. Zaczęła walić dłońmi o sztachety.

– Och! O Boże, oo! – jęczała, nie przestając uderzać.

Posypał się na nią sekwojowy pył.

Wydala okrzyk, który przeszył rozgrzane powietrze. Wparła się w parkan, jakby chciała precyzyjnie się przez niego.

Stałem tam, wdychając zapach pomarańczy. Planując moje słowa, moje pauzy i moje milczenie.

Kiedy wróciłem do samochodu, Robin kontemplowała wzory, które rozłożyła na desce rozdzielczej. Siadłem za kierownicą, a ona schowała je z powrotem do teczki.

– Jesteś cały mokry – powiedziała, ocierając mi pot z twarzy. – Dobrze się czujesz?

– Jestem wykończony. Ten upał. – Włączyłem silnik.

– Żadnych postępów.

– Niewielkie. Zapowiada się prawdziwy maraton.

– Wytrzymasz do końca.

– Dzięki – powiedziałem. Odjechałem, biorąc ostry zakręt.

W połowie drogi do następnej przecznicy zjechałem na pobocze, przełączyłem silnik na wolne obroty, przechyliłem się i pocałowałem ją mocno. Zarzuciła mi ramiona na szyję i pozostaliśmy tak w uścisku przez dłuższą chwilę.

Rozdzieliło nas głośnie „chrząknięcie”.

Podniósłszy wzrok, ujrzeliśmy staruszka podlewającego trawnik plastikowym węzem. Podlewał, krzywił się groźnie i mruczał coś pod nosem. Ubrany był w słomkowy kapelusz z szerokim rondem i porwanym środkiem, szorty i gumowe sandały. Miał goły tors – sutki zwisały mu jak u wyniszczonej głodem kobiety. Jego ramiona były żylaste i opalone. Kapelusz ocieniał skwaszoną, obwisłą twarz, ale nie zdołał ukryć niesmaku, jaki się na niej malował.

Robin uśmiechnęła się do niego.

Pokręcił głową, a strumień wody wygiął się w łuk, spryskując chodnik.

Machnął przyzwalająco ręką.

Robin wychyliła się przez okno i zapytała:

– O co chodzi, nie uznaje pan prawdziwej miłości?

– Cholerne dzieciaki – powiedział, odwracając się do niej.

Odjechaliśmy, nie podziękowawszy mu.